

JACK LONDON

KSIĘŻYCOWA DOLINA

PRZEŁOŻYŁA KRYSZYNA TARNOWSKA

TYTUŁ ORYGINAŁU: THE VALLEY OF THE MOON

SCAN-DAL

*Nieś, koniu, nieś
Przez step, przez wieś,
Przez góry, rowy, gaje, bory!
Twa moc, twój pęd
Zabłyśnie wnet
W słonecznej, złotej słońca glorii.*

KSIĘGA PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Słyszysz, Saxon? Musisz przyjść. Co z tego, że to jest piknik murarzy? Będę tam miała znajomych panów, a ty też pewnie kogoś spotkasz. Grać będzie orkiestra Al Vista. Wiadomo, że oni cudownie grają. Przecie przepadasz za tańcami...

Tęga, starsza kobieta, stojąca w odległości dwudziestu stóp, przerwała perswazje dziewczyny. Była zwrócona do nich plecami i właśnie te jej plecy - bezkształtne, zdeformowane, pochylone - zaczęły drgać w konwulsyjnym oddechu.

- Boże! - zawołała. - O Boże!

Wodziła dzikim spojrzeniem osaczonego zwierzęcia po ogromnej, białej tynkowanej izbie, zięjącej gorącem i dusznej od pary, która wydostawała się z sykiem z wilgotnych tkanin dotykanych żelazkami prasowaczek. Kobiety i dziewczęta w pobliżu, prasujące ruchem miarowym, lecz bardzo szybko, rzucały jej ukradkowe spojrzenia, przez co wydajność pracy zmalała o co najmniej dwadzieścia opuszczonych albo niewłaściwych ruchów. Krzyk starej kobiety przejął dreszczem pracujące na akord prasowaczki luksusowej bielizny; groziło im zmniejszenie zarobków.

Z widocznym wysiłkiem kobieta opanowała się, schwyciła żelazko i bezładnymi ruchami prasowała delikatną, ozdobioną żabotem bluzkę.

- Już myślałam, że znowu ją chwyciło - powiedziała dziewczyna.

- To hańba, żeby kobieta w jej wieku i... i chora... - odparła Saxon karbując specjalnymi rurkami koronkową falbankę. Ruchy miała precyzyjne, pewne i szybkie, a chociaż twarz jej pobladła ze zmęczenia i wyczerpującego upału, ani na chwilę nie zwolniła tempa pracy.

- A w dodatku ma siedmioro drobiazgu, w tym dwoje w szkole poprawczej - dorzuciła współczująco dziewczyna przy sąsiedniej desce. - Ale musisz, Saxon, przyjść jutro do Weasel Park. Na pikniku u murarzy zawsze jest świetna zabawa... przeciąganie sznura, wyścigi grubasów, irlandzkie tańce i... i wszystko. Podłoga w pawilonie do tańca jest wspaniała...

Stara kobieta znowu przerwała im rozmowę. Upuściła żelazko na bluzkę i na próżno usiłowała chwycić się deski. Nogi ugięły się pod nią, opadła bezwładnie na ziemię, a jej przeciągłe wrzaski wypełniły aż pod sufit duszną izbę, w której szybko zaczął się rozchodzić drażniący zapach przypalonego materiału. Kobiety rzuciły się od pobliskich desek - wpiersz do gorącego żelazka, aby uratować bluzkę, potem do niej - gdy tymczasem kierowniczka prasowni pośpieszyła wojowniczo z drugiego końca sali. Kobiety przy dalszych deskach

nadal pracowały, ale tak nierównomiernie, że strata ruchów dała jednodominutowe opóźnienie w ogólnej wydajności prasowaczek z oddziału luksusowej bielizny.

- Pies by zdechł od takiego życia - mruknęła dziewczyna rzucając żelazko na podstawkę gestem zuchwałym i stanowczym. - Życie pracującej kobiety nie jest znowu takiej różowe, jak je opisują. Jeszcze trochę, a cisnę to wszystko!

- Mary! - Saxon wypowiedziała imię towarzyszkę z wyrzutem tak głębokim, że musiała odstawić na chwilę żelazko, przez co straciła okrągłe dwanaście ruchów.

Mary rzuciła jej na pół wylężnione spojrzenie.

- Nie mówiłam tego poważnie, Saxon - wyjąkała. - Słowo daję. Ale powiedz tylko, czy taki dzień może nie działać człowiekowi na nerwy. Słyszysz?

Kobieta w konwulsjach leżała na wznak i bijąc piętami o podłogę wyła przeraźliwie, monotonnie, jak syrena parowa. Dwie prasowaczki chwyciły ją pod pachy, i zaczęły ciągnąć przez salę, ona zaś nie przestawała wyc i walić piętami. Otwarto drzwi i do środka wdarła się potężna fala ściszonego łoskotu maszyn, w którym utonęło walenie i wycie, zanim jeszcze drzwi z powrotem zostały zatrzaśnięte. O epizodzie przypominał tylko swąd przypalonego płótna unoszący się złowroźnie w powietrzu.

- Człowiek może zwariować - powiedziała Mary.

Potem, bardzo długo, żelazka to podnosiły się, to opadały miarowo i tempo pracy w prasowni ani trochę nie osłabło. Tymczasem kierowniczką przechadzała się po izbie powstrzymując groźnym wzrokiem wszelkie oznaki załamania czy hysterii. Od czasu do czasu któraś z prasowaczek zgubiła na chwilę rytm, westchnęła lub jęknęła z cicha, a potem, znużona, lecz zdeterminowana, podejmowała znów pracę. Długi letni dzień dobiegał końca, ale upał nie zelżał i praca toczyła się dalej w jaskrawym blasku lamp elektrycznych.

O dziewiątej pierwsze kobiety zaczęły się zbierać do wyjścia. Góra luksusowej, krochmalonej bielizny zniknęła, tylko tu i tam na deskach leżały jeszcze jakieś resztki, nad którymi pochylały się prasowaczki.

Saxon skończyła pracę przed Mary i w drodze do drzwi zatrzymała się przy jej desce.

- Sobota wieczór i jeszcze jeden tydzień minął - powiedziała Mary pośpnie. Policzki miała blade i zapadnięte, pod czarnymi oczami niebieskie sińce. - Jak myślisz, Saxon, ile zarobiłaś?

- Dwanaście dolarów i dwadzieścia pięć centów, - brzmiała odpowiedź leciutko zabarwiona dumą. - A miałabym więcej, gdyby nie ta paczka sfałszowanego krochmalu.

- Coś takiego! Bijesz mnie na głowę - pogratulowała Mary przyjaciółce. - Słowo daję, że jesteś prawdziwy wyścigowiec... Pożerasz te sztuki jedna po drugiej. Ja dostanę tylko

dziesięć i pół, a cały tydzień ciężko pracowałam... Spotkamy się przy pociągu o dziewiątej czterdzieści. Umowa stoi. Połazimy trochę, dopóki się nie zaczną tańce. Po południu przyjedzie tłum moich znajomych.

W odległości dwóch bloków od pralni, w miejscu, gdzie pod łukową lampą stała na rogu gromadka łobuzów, Saxon przyśpieszyła kroku. Kiedy ich mijała, jej twarz przybrała nieświadomie wyraz surowy i twardy. Saxon nie dosłyszała wymamrotanej uwagi, ale po ordynarnym śmiechu, jaki jej towarzyszył, odgadła treść słów i zaczerwieniła się z gniewu. Szła przez chłodniejszą już noc, minęła dalsze trzy bloki, skręciła raz w lewo, raz w prawo. Po obu stronach stały domy robotnicze, drewniane, zniszczone przez wiatry i deszcze, o ścianach pokrytych łuską wiekowej farby ściemniającej od kurzu. Odznaczały się jedynie taniością i brzydotą.

Ciemno było bardzo, ale Saxon nie zablądziła; gdy wyciągnęła rękę, przywitało ją znajome skrzypienie obłuzowanej w zawiasach furtki. Wąską ścieżką okrążyła dom, machinalnie ominęła brakujący stopień i weszła do kuchni, gdzie migotał samotny płomyk gazu. Odkręciła kurek do końca, tak że gaz buchnął jasnym płomieniem. Izba była niewielka, ale panował w niej względny ład, brakowało bowiem sprzętów, które by ją mogły zagrabić. Tynk na ścianach, wyblakły od pary licznych dużych prań, znaczyły pęknięcia powstałe ubiegłej wiosny w czasie wielkiego trzęsienia ziemi. Podłoga była nierówna, poprzecinana bruzdami i szerokimi szparami, a przed kominem tak zdeptana, że wyłatano ją dużą blaszanką po nafcie, sklepaną młotkiem na płask i złożoną podwójnie. Zlew, brudny ręcznik na rolkach, kilka krzeseł i drewniany stół dopełniały obrazu.

Ogryzek jabłka trzasnął jej pod bucikiem, kiedy przysuwała krzesło do stołu. Na postrzępionej ceracie czekała kolacja. Saxon wzięła do ust wystygłą fasolę, gęstą od zakrzepłego tłuszczu, ale odstawiła talerz i posmarowała masłem kromkę chleba.

Rozklekotana rudera zatrzęsała się od kroków ciężkich i wskazujących na brak próżności. Po chwili stanęła w drzwiach Sara, kobieta w średnim wieku, o obwisłych piersiach, rozczochranych włosach i tłustej twarzy pociętej bruzdami trosk i irytacji.

- Ach, to ty - mruknęła na przywitanie. - W żaden sposób nie mogłam trzymać dłużej ognia na kominie. Co za dzień! O mały włos nie padłam od tego gorąca. A mały Henry okropnie sobie przeciął wargę. Doktor musiał zeszyć ranę czterema szwami.

Sara podeszła bliżej i stanęła nad Saxon jak groźna góra.

- Co znowu z tą fasolą? - spytała zaczepnie.

- Nic, tylko... - Saxon wciągnęła w usta powietrze i dzięki temu nie wybuchnęła. - Po prostu nie jestem głodna. Ten upał przez cały dzień... W pralni było okropnie.

Odważnie wzięła do ust łyk zimnej herbaty, która parzyła się tak długo, że miała teraz smak kwasu, i odważnie, pod wzrokiem bratowej, przełknęła to i wypila całą zawartość filiżanki. Otarła usta chusteczką i wstała.

- Pójdę chyba spać.

- Dziwne, że nie idziesz na tańce - syknęła Sara. - Swoją drogą ciekawe, że jak wracasz, co wieczór padasz ze zmęczenia, ale na tańce tobyś latała każdego dnia w tygodniu i wracała o Bóg wie której.

Saxon już miała coś powiedzieć, ale zacisnęła usta i zdołała się opanować. Potem nie wytrzymała i wybuchnęła:

- Czyś ty nigdy nie była młoda?

Nie czekając na odpowiedź poszła do swojego pokoju, który przylegał do kuchni.

Była to mała izdebka o wymiarach osiem stóp na dwanaście; i tu trzęsienie ziemi pozostawiło ślady na tynku ścian. Łóżko i krzesło z taniej sosny i bardzo stara komoda składały się na umeblowanie. Komodę pamiętała Saxon całe swoje życie. Jej obraz wpleciony był w najdawniejsze wspomnienia. Saxon wiedziała, że komoda przebyła wraz z jej rodzicami prerie w wielkim wozie pionierskim. Była z solidnego mahoniu, jeden bok miała pęknięty i wyszczerbiony - pamiątka po przeokożółkowaniu się wozu w Rock Canyon. Ślad po kuli w górnej szufladzie przypominał o walce z Indianami pod Little Meadow. O tych zdarzeniach mówiła jej matka. Powiedziała też, że komoda przybyła wraz z jej przodkami z Anglii na długo, zanim urodził się Jerzy Waszyngton.

Nad komodą wisiało lustro. Pod ramkę wsunięte były fotografie młodych mężczyzn i kobiet oraz zdjęcia grupowe z pikników, na których młodzieńcy w kapeluszach zsuniętych zawadiacko na tył głowy obejmowali dziewczęta. Dalej wisiał barwny kalendarz, obok kolorowe ogłoszenia i rysunki wyrwane z magazynów. Od lampy gazowej u sufitu zwisało moc karnecików tanecznych, gęsto zapisanych.

Saxon zaczęła zdejmować kapelusz, nagle jednak usiadła na łóżku. Płakała cicho, usiłując stłumić łkanie, ale słaba zasuwka u drzwi puściła, drzwi otworzyły się bez szmeru i zaterkotał głos Sary:

- Co ty znowu wyprawiasz? Jak ci ta fasola nie smakowała...

- Nie, nie, to nie dlatego... - wyjaśniła prędko Saxon. - Jestem po prostu zmęczona i nogi mnie bolą. Nie byłam głodna, Saro. To tylko zmęczenie.

- Jakbyś się zajmowała tym domem - brzmiała odpowiedź - i musiała gotować i smażyć, i prać, i znosić to wszystko, co ja muszę znosić, miałabyś z czego być zmęczona. Masz powodzenie, a jakże. Ale poczekaj trochę. - Sara wybuchnęła złośliwym chichotem. -

Poczekaj jeszcze trochę, to zobaczysz... Będiesz na tyle głupia, że wyjdiesz któregoś dnia za męża, jak ja... a wtedy dostaniesz za swoje. Zaczną się bachory i bachory, i bachory... nie będzie już tańców i trzech par butów naraz, i jedwabnych pończoch. Masz teraz święte życie - o nikogo nie musisz się troszczyć, chyba tylko o siebie samą, i skacze koło ciebie kupa chuliganów, którzy mówią ci, jakie masz ładne oczy. Tfu! Któregoś pięknego dnia wyjdiesz za jednego z nich i wtedy czasem będziesz miała na zmianę podbite oko.

- Nie mów tak, Saro! - zaprotestowała Saxon. - Mój brat nigdy nie podniósł na ciebie ręki. Wiesz o tym.

- Ma się rozumieć, że nie podniósł. Za mało ma na to oleju w głowie. Ale swoją drogą i tak jest lepszy niż ta hołota, z którą latasz, chociaż na przyzwoite życie zarobić nie potrafi i własnej żonie trzech par butów nie kupi. O niebo jest lepszy od tych łobuziaków, na których żadna przyzwoita kobieta nie chciałaby nawet spojrzeć. Nie mogę zrozumieć, nie wiem, jakim cudem uniknęłaś dotąd nieszczęścia. Może młodzi są teraz mądrzejsi w tych sprawach... nie wiem. Ale wiem jedno. Młoda dziewczyna, co ma trzy pary butów i myśli tylko o tym, jak by się zabawić, dostanie zdrowo za swoje któregoś pięknego dnia. Tyle tylko mogę powiedzieć. Za mojej młodości tak nie bywało. Moja matka złupiłaby mi skórę, jakbym się zachowywała tak jak ty. I miałyby rację, a teraz na świecie jest wszystko na wywrót. Weź swojego brata. Nic, tylko biega na socjalistyczne wiece i zamiast żyć w zgodzie z pracodawcami, drze z nimi koty i wygrzebuje z kieszeni pieniądze na dodatkowe składki strajkowe dla związku, co oznacza mniej chleba dla jego własnych dzieci. Przecież za te składki, które płaci, mogłabym mieć siedemnaście par butów, jakbym była dość dumna, żeby tyle chcieć, Popamiętasz moje słowa - któregoś dnia Tom trafi do kozy, a co się wtedy z nami stanie? Co ja wtedy pocznę, biedna, z pięcioma gębami do żywienia i bez jednego centa w domu?

Umilkła, bo zabrakło jej tchu, ale aż kipiała od słów, które się w niej zebrały.

- Och, Saro, proszę cię, zamknij drzwi! - powiedziała błagalnie Saxon. Drzwi huknęły, ale zanim Saxon ponownie zaniósła się płaczem, usłyszała, jak jej bratowa stąpa ciężko po kuchni i na głos mówi do siebie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przy wejściu do Weasel Park każda kupiła bilet dla siebie. I każda kładąc pół dolara uświadomiła sobie dokładnie, ile sztuk luksusowej bielizny musiała na to uprasować. Pora była wczesna, nie zebrały się więc jeszcze tłumy, ale przybywali już murarze obładowani wielkimi koszami z jedzeniem i dziećmi - zdrowa, krzepka klasa robotników, dobrze zarabiających i obficie żywionych. Tu i tam widziało się między nimi szczuplejsze i niższe postacie ludzi, których tożsamości nie zdołało ukryć dostatnie amerykańskie odzienie, postacie wysuszone nie tylko przez wiek; lecz także przez biedę lat chudych i dawne znoje. Byli to ich dziadkowie i babki, którzy światło dzienne ujrzeli na starej irlandzkiej ziemi. A gdy tak kuśtykali ze swoim bujnym potomstwem, które żywiło się lepiej niż oni, twarze ich wyrażały zadowolenie i dumę.

Mary i Saxon nie należały do ich grona. Nie znały ich nawet, nie miały między nimi przyjaciół. Było obojętne, czy festyny urządzali Irlandczycy, Niemcy czy Słowianie; czy gospodarzami pikników były związki murarzy, piwowarów czy rzeźników. One, Saxon i Mary, należały do tłumu tancerzy, który powiększał o pewien stały procent wpływy z biletów wejściowych na wszelkie tego rodzaju zabawy.

Przechadzały się między kioskami, gdzie łuskano już fistaszki i palono kukurydzę na dzisiejszy dzień. Potem poszły obejrzeć podłogę w pawilonie do tańca. Saxon objęła wymagowanego partnera i odtańczyła kilka pas wirowego walca. Mary klasnęła w rękę.

- Słowo daję! - zawołała. - Jesteś pyszna! A te pończochy to cudo!

Saxon uśmiechnęła się z wdzięcznością, wysunęła stopę w aksamitnym pantofelku na wysokim obcasie i leciutko uniósłszy czarną obcisłą spódnice, odsłoniła zgrabną kostkę i delikatny łuk łydki; biała skóra prześwitywała przez cieniutką jak pajęczyna, czarną jedwabną pończochę za pięćdziesiąt centów. Saxon była smukła i niezbyt wysoka, ale jej ciało miało kobiecą krągłość. Ubrana była w białą bluzkę z plisowanym żabotem z taniej koronki, przepiętym modną broszką z imitacją koralu. Na bluzkę włożyła szykowny zakieczik z rękawami do łokcia, strój zaś uzupełniła długimi rękawiczkami z imitacji zamszu. Jedynym naturalnym elementem jej wyglądu były nie tknięte przez żelazka kędziorki włosów, które wymykały się spod maleńkiego, zawadiackiego kapelusika z czarnego aksamitu, zsuniętego nisko na czoło.

Czarne oczy Mary zabłysły radością na ten widok. Podbiegła do Saxon, schwyciła ją w ramiona, uścisnęła ze wszystkich sił i ucałowała. Później, zawstydzona tym wybuchem,

zarumieniła się i wypuściła ją z objąć.

- Strasznie mi się podobasz - zawołała z zapalem. - Gdybym była mężczyzną, ręce same by mi się po ciebie wyciągały! Zjadłabym cię żywcem, słowo daję.

Wyszły z pawilonu dłoń w dłoń i przechadzały się po słońcu, radośnie wymachując splecionymi rękami, znajdując w wesołości odprężenie po ciężkim znoju tygodnia. Przewieszane przez balustradę otaczającą wybieg dla niedźwiedzia, przyglądały się z drżeniem ogromnemu przybyszowi z obcych stron, a potem prędko pobiegły pod klatkę z małpami i przez dziesięć minut zanosily się od śmiechu. Wędrując przez rozległe tereny zerknęły w dół na małą bieżnię u stóp naturalnego amfiteatru, gdzie wczesnym popołudniem miały się odbyć zawody. Potem zwiedziły las poprzecinany licznymi ścieżkami, na końcu których zaskakiwały coraz to nowe widoki malowanych na zielono ogrodowych stołów i ławek ukrytych wśród liściastych altan, częstokroć zajętych już przez rodziny murarzy. Wreszcie rozłożyły gazetę na zielonym, osłoniętym drzewami zboczu i usiadły na puszystej trawie, wysuszonej promieniami kalifornijskiego słońca. Częściowo zrobiły to dlatego, że skusiła je rozkoszna bezczynność po sześciu dniach nieustannego ruchu, częściowo, aby wypocząć przed tańcami.

- Bert Wanhope na pewno przyjdzie - szczebiotała Mary. - A obiecał, że przyprowadzi Billa Roberta... Wielkiego Billa, jak go chłopcy nazywają. Bill Roberts jest po prostu wyrośniętym chłopcem, ale straszny z niego gagatek. Jest zawodowym bokserem i wszystkie dziewczyny za nim latają. Ja się go boję. W rozmowie nie jest taki znowu dowcipny. Trochę przypomina tego wielkiego niedźwiedzia, cośmy go przed chwilą widziały. Wrr! Wrrr! - i zaraz odgryzie ci głowę. Tak naprawdę to nie jest bokserem, tylko woźnicą i należy do związku. Pracuje w firmie Corberly i Morrison. Ale czasami walczy w klubach. Większość mężczyzn się go boi. Ma strasznie gwałtowne usposobienie i uderzyć człowieka to dla niego jak zjeść chleb z masłem. Nie będzie ci się podobał, chociaż tancerz z niego doskonały. Waży dużo, ale w tańcu lekki jak piórko. Tak czy siak, powinnaś z nim zatańczyć. A poza tym rękę ma szeroką. Niczego nie pożałuje. Tylko niech go licho! Straszny zabijaka!

Rozmowa, a właściwie monolog toczył się dalej. Mary wracała wciąż do osoby Berta Wanhope'a.

- Wygląda mi na to, że bardzoście się ze sobą zaprzyjaźnili - zaryzykowała Saxon.

- Jutro bym za niego wyszła! - rzuciła Mary impulsywnie. Nagle twarz jej stała się beznadziejnie smutna, niemal surowa w swojej żalostnej bezradności. - Tylko że on mnie o to nie prosi. Bo on jest... - Umilkła, ale zaraz wybuchnęła namiętnie. - Uważaj na niego, Saxon, jakby się tak kiedy zaczął do ciebie zalecać! Straszny z niego numer. Ale mimo to jutro bym

za niego wyszła. Inaczej mnie nie dostanie. - Otworzyła już usta, ale nie powiedziała nic, tylko ciężko westchnęła. - Dziwny jest ten świat, prawda? - dodała. - Właściwie śmiechu wart. A wszystkie gwiazdy to też światy. Ciekawe, gdzie jest Pan Bóg. Bert Wanhope powiada, że Boga nie ma. Ale on jest okropny. Mówi straszne rzeczy. Ja tam wierzę w Boga. A ty, Saxon? Co myślisz o Bogu?

Saxon wzruszyła ramionami i roześmiała się.

- Ale kto popełnia złe uczynki, ten dostanie za swoje. Prawda, Saxon? - nalegała Mary. - Wszyscy tak mówią... z wyjątkiem Berta. Ben uważa, że może robić, co mu się żywnie podoba, a za swoje i tak nie dostanie, bo jak umrze, to będzie nieżywy, a wtedy chciałby zobaczyć, czy ktoś najgorszym nawet pyskowaniem potrafi go wskrzesić. Czy on nie jest okropny? Ale to wszystko takie właściwie śmieszne. Czasem, jak sobie pomyślę, że Bóg nigdy nie spuszcza ze mnie oka, strasznie się zaczynam bać. Czy ty przypuszczasz, że Bóg wie, co ja teraz mówię? A w ogóle, Saxon, jak on może wyglądać?

- Nie wiem - odparła Saxon. - Po prostu zabawny z niego osobnik.

- Saxon! - jęknęła Mary.

- Kiedy tak jest, sądząc z tego, co ludzie o nim mówią - ciągnęła Saxon rezolutnie. - Mój brat uważa, że jest podobny do Abrahama Lincolna. A Sara twierdzi, że nosi bokobrody.

- Ja znowu jakoś nigdy nie mogę go sobie wyobrazić z przedziałkiem - dorzuciła Mary wążąc się na tę śmiałą myśl, ale jednocześnie drżąc z przerażenia. - Moim zdaniem nie może mieć przedziałka. Dopiero to byłoby zabawne.

- Wiesz, jak wygląda ten mały, pomarszczony Meksykanin, który sprzedaje zgadywanki z drutu? - spytała Saxon. - No, więc dla mnie Bóg jakoś zawsze jest do niego podobny.

Mary wybuchnęła śmiechem.

- A to ci pomysł! Nigdy o nim tak nie myślałam. Jak na to wpadłaś, Saxon?

- Bo uważam, że Bóg, jak ten mały Meksykanin, handluje zgadywankami. Każdemu daje jedną i potem ludzie przez całe życie próbują ją rozwiązać. Ale nie potrafią. Ja w żaden sposób nie mogę rozwiązać mojej. Nie wiem, od której strony zacząć. A pomysł tylko o zgadywance, jaką dostała Sara. Zresztą Sara jest częścią zgadywanki Toma i przez nią Tom ma więcej kłopotów z rozwiązaniem własnej. A oni i w ogóle wszyscy, których znam - nie wyłączając ciebie - są częścią mojej zgadywanki.

- Może z tym to masz nawet rację - powiedziała Mary z namysłem. - Ale Bóg nie wygląda jak ten mały, żółty Meksykanin. Na to się nie dam nabrać! Bóg nie wygląda jak człowiek. Pamiętasz, co jest napisane na ścianie w Armii Zbawienia? „Bóg jest duchem”.

- To jeszcze jedna z jego zgadywanek, bo przecież nikt nie wie, jak wygląda duch.

- To prawda. - Mary przypomniała sobie coś i zadrżała ze strachu. - Ile razy próbuję pomyśleć o Bogu jako o duchu, zawsze widzę Hena Millera, jak cały okryty prześcieradłem gonił nas, kiedy byliśmy małe. Nie wiedziałyśmy, że to on, i o mało nie umarłyśmy ze strachu. Mała Maggie Murphy zemdląła, a Beatrice Peralta upadła i okropnie sobie podrapała twarz. Jak teraz pomyślę o duchu, widzę tylko białe prześcieradło uganiające się w ciemnościach. Ale tak czy siak, Bóg jest niepodobny do tego małego Meksykanina i nie nosi przedziałka.

Dźwięk muzyki płynący od strony pawilonu tanecznego poderwał dziewczęta na nogi.

- Mogłybyśmy zatańczyć ze dwa razy, zanim pójdziemy coś zjeść - zaproponowała Mary. - A potem zaraz będzie popołudnie i przyjdą chłopcy. Większość z nich to straszne skapiradła i nie przyjeżdżają wcześniej tylko dlatego, żeby się wymigać od zaproszenia dziewczyny na obiad. Ale Bert lubi wydawać pieniądze, tak samo Bill. Jeżeli inne dziewczęta nie wejdą nam w paradę, Bert i Bill zaproszą nas do restauracji. Chodźmy, Saxon, prędko!

Kiedy przyszły do pawilonu, na parkiecie kręciło się zaledwie kilka par. Mary i Saxon zatańczyły pierwszego walca ze sobą.

- Idzie Bert - szepnęła Saxon, gdy po raz drugi okrążyły salę.

- Udawaj, że ich nie widzisz - odpowiedziała Mary. - Będziemy tańczyły dalej. Niech sobie nie wyobrażają, że za nimi latamy.

Ale Saxon zauważyła silniejszy rumieniec na policzku przyjaciółki i usłyszała jej przyśpieszony oddech.

- Widziałas tego drugiego? - spytała Mary prowadząc Saxon w długim okrążeniu wzdłuż przeciwległej ściany pawilonu. - To był Bill Roberts. Bert powiedział, że go przyprowadzi. Bert zaprosi mnie na obiad, a Bill ciebie. Zobaczysz, będzie świetna zabawa. Żeby tylko ta orkiestra nie przestała grać, zanim wrócimy na tamtą stronę sali.

Okrążyły więc salę w zamiarze złowienia tancerzy i zapewnienia sobie obiadu - dwie hoże, młode istoty, które tańczyły naprawdę dobrze i które okazały radosne zdumienie, kiedy orkiestra nagle umilkła osadzając je w miejscu niebezpiecznie bliskim upragnionego celu.

Bert i Mary zwracali się do siebie po imieniu, ale dla Saxon Bert był „panem Wanhope”, chociaż on nazywał ją po prostu Saxon. Przedstawieni sobie zostali tylko Saxon i Bill Roberts. Ceremonii tej dopełniła Mary w podnieceniu i z wymuszoną swobodą.

- Pan Roberts - panna Brown, moja przyjaciółka. Na imię jej Saxon. Czy to nie okropne imię?

- Mnie się podoba - odparł Bill zdejmując kapelusz i wyciągając rękę. - Miło mi panią

poznać.

Gdy spotkały się ich ręce i Saxon poczuła stwardniałą od lejców skórę na dłoni Billa, jej bystry wzrok dostrzegł wiele. On zauważył tylko jej oczy, które zresztą wydały mu się niebieskie. Dopiero później, w ciągu dnia, spostrzegł, że są szare. Natomiast Saxon zobaczyła jego oczy takie, jakie naprawdę były - ciemnoniebieskie, duże i ładne w jakiś pochmurno chłopięcy sposób. Zobaczyła także, że patrzą prosto. Spodobały jej się te oczy, tak jak spodobała jej się ręka, którą w przelocie spostrzegła, i dotyk tej ręki. Zobaczyła też - choć niezbyt wyraźnie - krótki, prosty nos, różowość policzków i stanowczą, krótką linię profilu między nosem a górną wargą. Potem jej zachwycone spojrzenie dostrzegło w przelocie kształtne i duże wargi o szlachetnym zarysie, odsłaniające w ładnym uśmiechu wspaniałe, białe zęby. „Chłopiec, wielki mężczyzna—chłopiec” - pomyślała. A gdy uśmiechnęli się do siebie i Saxon wysuwała rękę z jego dłoni, zaskoczył ją przyjemny widok jego włosów - kędzierzawych i jasnych, przywodzących na myśl najbledsze złoto, chociaż właściwie były na to zbyt płowe.

Tak był jasny, że patrząc na niego Saxon pomyślała o postaciach na scenie, które widywała, takich jak Ole Olson i Yon Yonson. Ale na tym wyczerpywało się podobieństwo. Ograniczało się jedynie do kolorytu, bo oprawę oczu miał Bill Roberts ciemną, a same oczy nie patrzyły na świat z jakby dziecinnym zdumieniem, były natomiast chmurne i zdradzały temperament. Co więcej, ubrany był w szyte na miarę ubranie z gładkiego, brązowego sukna, na którym Saxon natychmiast się poznała, szacując je w duchu na sumę nie mniejszą niż pięćdziesiąt dolarów. Ponadto Bill nie miał w sobie nic z niezdarności skandynawskich imigrantów. Przeciwnie, należał do tych rzadkich mężczyzn, którzy promieniają fizycznym wdziękiem poprzez niezgrabne odzienie cywilizowanego człowieka. Każdy jego ruch był sprężysty, swobodny i z góry obmyślony. Saxon nie widziała tego wszystkiego i nie analizowała. Widziała tylko mężczyznę o pięknej postawie i ruchach. Wyczuwała raczej niż dostrzegała spokój i pewność gry jego mięśni; wyczuwała w nim także obietnicę spokoju i wytchnienia, szczególnie pociągającą dla kogoś, kto przez sześć dni w tygodniu prasował w pośpiechu luksusową bieliznę. Podobnie jak przyjemny był dla niej dotyk jego ręki, tak też w sposób mniej uchwytny on sam - ciałem i duszą - wydał się Saxon miły.

Gdy wzięwszy jej karnecik zaczął wzorem wszystkich młodych ludzi przekomarzać się z nią i żartować, Saxon pojęła, jak nieoczekiwanie szybko spodobał jej się ten człowiek. Nigdy żaden mężczyzna nie wywarł na niej takiego wrażenia. Zastanawiała się w duchu: czy to jest ON?

Tańczył wspaniale. Odczuwała radość, jaką zwykle odczuwają dobre tancerki, gdy

trafią na godnego siebie partnera. Wdzięczne i płynne ruchy jego ciała harmonizowały doskonale z rytmem muzyki. Ani jednego wahania, ani sekundy niepewności. Saxon zerknęła na Berta, który prowadząc Mary „z rozmachem”, okrążał długi parkiet nierzadko powodując karambole z coraz liczniejszymi parami. Smukły, wysoki, cienki w pasie Bert miał po swojemu ruchy zręczne i był uważany za dobrego tancerza, ale taniec z nim nigdy nie sprawiał Saxon specjalnej przyjemności. Psuły go jak gdyby szarpnięcia - szarpnięcia, których właściwie nie było, ale które zawsze groziły. Umysł Berta działał jakby spazmatycznie. Był za szybki albo raczej bezustannie zagrażał nadmierną szybkością. To denerwowało. Bert rozsiewał wokół siebie niepokój.

- Tańczy pani jak mało kto - powiedział Bill Roberts. - Wiele razy słyszałem od znajomych, że pani świetnie tańczy.

- Lubię taniec - odparła. Ale ze sposobu, w jaki to powiedziała, wyczuł że nie ma ochoty na rozmowę, i tańczył dalej w milczeniu, podczas gdy ona z wdzięcznością oceniła, jak tylko kobiety potrafią ocenić, okazywane jej względy. W życiu Saxon okazywanie kobiecie względów było zjawiskiem rzadkim. Czy to jest ON? Przypomniała sobie słowa Mary: „Wysłałabym za niego jutro” i złapała się na tym, że rozważa możliwość małżeństwa z Billem Robertsem nazajutrz - gdyby jej to zaproponował.

Z półprzymkniętymi oczami, rozmarzona, tańczyła w uścisku władczej siły, która kierowała jej ruchami. Bokser zawodowy! Przebiegł ją dreszcz złośliwego, przewrotnego zadowolenia na myśl o tym, co by Sara powiedziała, gdyby mogła ją teraz zobaczyć. Tylko że on nie był bokserem, a woźnicą.

Nagle krok taneczny wydłużył się, siła tancerza stała się bardziej zniewalająca i Saxon, porwana w górę, popłynęła przez salę, chociaż jej stopy obute w aksamitne pantofelki ani razu nie oderwały się od podłogi. Potem nagle krok zmienił się z posuwistego na wirowy i Saxon poczuła, że Bill odsuwa ją nieco od siebie, aby spojrzeć jej w twarz i śmiać się razem z nią - śmiać się z radości, że dokonali takiego wyczynu. A gdy w kilku ostatnich taktach orkiestra zwolniła tempo, oni też zwolnili, aż ich taniec rozplątał się wraz z muzyką w jednym wydłużonym, posuwistym pasie i znieruchomiał wraz z ostatnim tonem.

- Co jak co, ale jeśli idzie o taniec, to jesteśmy dla siebie stworzeni - powiedział, gdy szli w kierunku Mary i Berta.

- Było jak we śnie - odparła.

Saxon powiedziała to tak cicho, że Bill musiał się pochylić i wtedy zobaczył na jej policzkach rumieniec i odbicie tego rumieńca w oczach, które lśniły ciepłym delikatnym i zmysłowym. Wziął jej karnecik i z powagą, ogromnymi literami, wypisał swoje nazwisko w

poprzek całej strony.

- Teraz go zmarnowałem - powiedział zuchowato. - Na nic się nie przyda.

Przedarł karnecik i odrzucił na bok.

- Następny tańczysz ze mną, Saxon - zawołał Bert, gdy do nich podeszli. - Ty, Bill, weźmiesz Mary.

- Nic z tego, Bert - brzmiała odpowiedź. - Postanowiliśmy z Saxon razem przetrwać ten dzień.

- Uważaj, Saxon - ostrzegła ją żartobliwie Mary. - Gotów się jeszcze w tobie zadurzyć.

- Na dobrej rzeczy potrafię się poznać od pierwszego wejrzenia - powiedział szarmancko Bill.

- Ja też - zachęciła i pomogła mu Saxon.

Mary przyglądała im się z udanym przerażeniem, a Bert powiedział dobrotliwie:

- Powiem tylko, że czasu nie tracicie. Ale gdybyście tak swoją drogą mogli oderwać się od siebie na kilka minut po dwóch najbliższych tańcach, Mary i ja bylibyśmy zaszczyceni waszym towarzystwem przy stole.

- O właśnie! - zawtórowała Mary.

- Dość tych żartów! - bronił się Bill ze śmiechem i obróciwszy głowę spojrzął Saxon w oczy. - Proszę nie zwracać na nich uwagi. Są tacy kwaśni, bo muszą tańczyć ze sobą. Bert tańczy haniebnie. A Mary tak sobie. Chodźmy, Saxon. Spotkamy się po dwóch następnych tańcach.

ROZDZIAŁ TRZECI

Obiad jedli pod gołym niebem, w restauracji, w której konary drzew zastępowały dach. Saxon zauważyła, że Bill płacił rachunek za wszystkich czworo. Znali wielu spośród młodych ludzi i dziewcząt przy sąsiednich stolikach, nie było więc końca powitaniom i żarcikom. Bert odnosił się do Mary z zaborczością bez mała szorstką: to przykrywał dłonią jej dłoń, to chwycił ręką i więził w uścisku, a raz przemocą ściągnął jej z palca dwa pierścionki i przez długi czas nie chciał oddać. Niekiedy, gdy opasywał ramieniem jej kibić. Mary prędko uwalniała się z uścisku; kiedy indziej znów udawała, że nie zauważa ręki Berta, przy czym jej roztargnienie było tak wystudiowane, że nie mogło zwiść nikogo.

Saxon, która mówiła mało, ale cały czas pilnie obserwowała Billa Robertsa, wyciągnęła wniosek, że on w takiej sytuacji będzie się zachowywał zupełnie inaczej... jeżeli w ogóle kiedyś to nastąpi. W każdym razie na pewno nie poklepywałyby dziewczyny, jak to robił Bert i wielu innych chłopców. Zmierzyła wzrokiem szerokie bary Billa.

- Dlaczego nazywają pana Wielki Bill? - spytała. - Nie jest pan taki bardzo, wysoki.

- Nie jestem - przyznał. - Mam tylko pięć stóp, osiem i trzy czwarte cala. To pewnie przez tę moją wagę.

- On walczy w wadze ciężkiej - wtrącił Bert.

- Och, uspokój się! - rzucił szybko Bill z przelotnym błyskiem niezadowolenia w oczach. - Nie jestem bokserem. Nie walczę od pół roku. Rzuciłem ring. Nie opłaca się.

- Dostałeś dwie setki, kiedyś rozłożył na deski tego diabła z San Francisco. - Bert z dumą obstawał przy swoim.

- Daj spokój, mówiłem ci!... Słuchaj, Saxon, ty też nie jesteś taka znowu bardzo wysoka. Ale za to figurę masz doskonałą, to ci mogę powiedzieć. Jesteś smukła i jednocześnie okrągła. Zakład, że zgadnę, ile ważysz.

- Już niejednen próbował odgadnąć - ostrzegła go, dziwiąc się zarazem w duchu, że i cieszy ją to, i martwi, iż Bill zaprzestał walk na ringu.

- Na mnie się nie zawiedziesz - odparł. - Jestem mistrzem w zgadywaniu wagi. Zaraz zobaczysz. - Przyglądał jej się krytycznie; najwyraźniej gorący zachwyt dla tego, co widział, walczył o lepsze z chłodnym osądem wzroku. - Chwileczkę...

Przysunął się do Saxon i dotknął ręką jej mięśni. W dotyku palców opasujących jej ramię było coś stanowczego i uczciwego, co przeniknęło Saxon przyjemnym dreszczem. Ten chłopak miał w sobie jakąś magię. Gdyby Bert lub ktokolwiek inny dotknął jej ramienia,

odczuwałaby tylko irytację. Ale on! Czy to jest właśnie ON? - zapytywała się w duchu, gdy Bill ogłaszał swój wyrok.

- Twoje ubranie nie waży więcej niż siedem funtów. A jak odejmiemy siedem od... hm... powiedzmy stu dwudziestu trzech... Tak, ważyłabyś sto szesnaście funtów, gdyby cię rozebrać.

Ale przy ostatnich słowach Mary wybuchnęła ostrą naganą:

- Słuchaj, Bill, nie mówi się o takich rzeczach!

Spoglądał na nią uważnie, z narastającym zdumieniem.

- O jakich rzeczach? - spytał w końcu, nic nie rozumiejąc.

- Masz ci znowu! Wstydzili byś się. Popatrz! Saxon się przez ciebie zaczerwieniła.

- Wcale nie - zaprotestowała Saxon z oburzeniem.

- A jeżeli zaraz nie przestaniesz, Mary, ja się przez ciebie zaczerwienie - warknął Bill.

- Myślę, że wiem, co wolno, a czego nie wolno. Nie jest ważne to, co człowiek mówi, tylko jak myśli. A ja myślę uczciwie i Saxon wie o tym. Ani jej, ani mnie nie przyszło do głowy to, co ty masz na myśli.

- Och, och - zawołała Mary. - Robisz się coraz okropniejszy! Nigdy takich rzeczy nie mam na myśli!

- Prrr, Mary! Do tyłu! - powstrzymał ją stanowczo Bert. - Weszłaś do złej przegrody. Bill nigdy nie robi takich omyłek.

- Ale nie powinien być taki ordynarny - upierała się Mary.

- No, już dobrze, Mary. Bądź teraz dobrą dziewczyną i daj temu pokój - uciął Bill zwracając się do Saxon. - O ile się pomyliłem? - Sto dwadzieścia dwa - odparła spoglądając rozmyślnie na Mary. - Ważę sto dwadzieścia dwa funty w ubraniu.

Bill wybuchnął serdecznym śmiechem, zaraz też Bert mu zawtórował.

- Mnie to nic nie obchodzi - zaprotestowała Mary. - Jesteście okropni, obaj... i ty też, Saxon. Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewała.

- Posłuchaj, mała... - zaczął Bert pojednawczo, opasując jej kibić ramieniem.

Ale w sztucznym podnieceniu, do którego sama się doprowadziła, Mary szorstko odepchnęła jego rękę; potem zaś w obawie, że zbyt wielbiciela uraziła, skorzystała z przekomarzania się i żarcików, aby odzyskać dobry humor. Ramię Berta wróciło na dawne miejsce i w chwilę później, z głową tuż przy głowie, prowadzili szeptem rozmowę.

Bill dyskretnie zwrócił się do Saxon:

- Wiesz, swoją drogą twoje imię jest dziwne. Nigdy nie słyszałem, żeby komuś przyklepili taką etykietę. Ale nie mam nic przeciwko temu. Podoba mi się.

- Matka mnie tak nazwała. Była wykształcona i знаła strasznie dużo różnych słów. Wciąż czytała książki, prawie że do samej śmierci. I masę pisała. Mam niektóre jej wiersze, wydrukowane dawno temu w gazecie z San José. Saksonowie to była rasa ludzi, matka opowiadała mi o nich, kiedy byłam mała. Byli dzicy jak Indianie, tylko że biali. I mieli niebieskie oczy, płowe włosy i strasznie lubili wojować.

Gdy mówiła, Bill przysłuchiwał się z powagą, cały czas patrząc jej w oczy. - Nigdy o nich nie słyszałem - wyznał. - Czy mieszkali gdzieś w tych okolicach?

Roześmiała się.

- Nie. Mieszkali w Anglii. Byli pierwszymi Anglikami, a wiesz, że Amerykanie wywodzą się od Anglików Jesteśmy Saksonami - ty i ja, i Mary, i Bert, i wszyscy Amerykanie, którzy są prawdziwymi Amerykanami, a nie Hiszpanami czy Włochami, czy Japończykami.

- Moja rodzina od dawna mieszka w Ameryce. - Bill mówił powoli, przetrawiając otrzymaną informację i wiążąc ją z własną osobą. - W każdym razie rodzina mojej matki. Wiem, że przybyli do Maine setki lat temu.

- Mój ojciec pochodził ze stanu Maine - wtrąciła. W jej głosie zadrgała radość. - A matka urodziła się w Ohio, a raczej tam, gdzie teraz jest Ohio. Nazywała te ziemie Wielkim Zachodnim Rezerwatem. Z jakiej rodziny pochodził twój ojciec?

- Nie wiem. - Bill wzruszył ramionami. - Sam tego nie wiedział. W ogóle nikt nie wiedział, ale Amerykaninem był na pewno.

- Nazwisko jest stare, amerykańskie - podsunęła Saxon. - W Anglii mają teraz wielkiego generała, który nazywa się Roberts. Czytałam w gazetach.

- Ale mój ojciec nie był Roberts. Nie wiedział, jak się naprawdę nazywa. Roberts to nazwisko jednego kopacza złota, który go usynowił. Bo to było tak. Kiedy wybuchły walki z Indianami ze szczepu Modok, kopacze i osadnicy pomagali żołnierzom. Ten Roberts był kapitanem jednego oddziału i kiedyś po jakiejś walce wzięli do niewoli całą kupę jeńców - kobiety, dzieci, niemowlęta. Między tymi dziećmi był mój ojciec. Ludzie przypuszczali, że miał z pięć lat. Mówił tylko po indiańsku.

Saxon klasnęła w dłonie, oczy jej zalśniły.

- Porwali go Indianie podczas jakiejś napaści?

- Tak ludzie przypuszczali - potwierdził Bill. - Przypomnieli sobie, że cztery lata przedtem Modokowie wymordowali karawanę wozów pionierskich z Oregonu. Roberts zaadoptował mojego ojca i dlatego nie wiem, jak się naprawdę nazywał. Ale przeżył prerię, bądź spokojna.

- Tak jak mój ojciec - powiedziała Saxon z dumą.

- I jak moja matka - dorzucił Bill. W jego głosie zabrzmiała nuta dumy. - W każdym razie tak jakby przekroczyła równiny, bo urodziła się w pionierskim obozie po przebyciu La Platy.

- Moja matka też była pionierką - rzekła Saxon. - Miała wtedy osiem lat i jak woły zaczęły padać, prawie cały czas szła pieszo.

Bill wyciągnął do niej dłoń.

- Daj rękę, dziecino - powiedział. - Pochodzimy z podobnego pnia, więc jesteśmy jak starzy przyjaciele.

Z oczami niby gwiazdy Saxon usłuchała. Z powagą wymienili uścisk.

- Czy to nie cudowne? - wyszeptła Saxon. - Oboje pochodzimy ze starych amerykańskich rodów. A jeżeli ty nie jesteś Saksonem, to w ogóle nikt nim nie jest - masz takie włosy, oczy, cerę, wszystko. A poza tym lubisz się bić.

- Jak już o tym mowa, to powiem, że chyba wszyscy nasi przodkowie lubili się bić. Urodzili się z tym - i niech to licha! Musieli się bić, bo inaczej nie przetrzymaliby tego wszystkiego.

- O czym wy dwoje tak rozmawiacie? - spytała nagle Mary.

- Nie tracą czasu i gruchają jak dwa gołąbki - zażartował Bert. - Człowiek mógł pomyśleć, że znają się od tygodnia.

- Och, znamy się dłużej - odparła Saxon. - Jeszcze zanim przyszedliśmy na świat, nasi przodkowie razem szli przez prerie.

- Wtedy, kiedy wasi dziadkowie czekali sobie wygodnie na wybudowanie kolei i wybicie Indian, zanim zebrało im się na odwagę, żeby wyruszyć do Kalifornii. - Tymi słowami Bill oznajmił światu nowe przymierze. - Jesteśmy naprawdę pierwsza klasa, Saxon i ja, gdyby was tak kto pytał o zdanie.

- Och, nie powiedziałabym tego - rzuciła Mary chełpliwie, z nutą rozdrażnienia w głosie. - Mój ojciec został po to, żeby walczyć w Wojnie Domowej. Był doboszem. Dlatego dopiero później przyjechał do Kalifornii.

- A mój ojciec specjalnie wrócił, żeby walczyć - rzekła Saxon.

- Mój też - dorzucił Bill.

Spojrzeli po sobie rozradowani. Znaleźli nowe porozumienie.

- Co tam! I tak wszyscy pomarli, nie? - rzucił posepnie Ben. - Co za różnica, czy ktoś umrze w bitwie, czy w przytułku. Najważniejsze, że umiera. Ani by mnie to grzało, ani ziębiło, jakby tak mój ojciec zginął na szubienicy. Wychodzi na jedno i to samo. A od całego

tego gadania o przodkach zbiera mi się tylko na ziewanie. Zresztą mój ojciec i tak nie mógłby walczyć. Urodził się w dwa lata po zakończeniu wojny. Ale moi dwaj stryjowie zginęli pod Gettysburgiem. Zrobiliśmy chyba, co do nas należało.

- O właśnie! - przytaknęła Mary.

Ramię Bena znowu opasało jej kibić.

- Jesteś tu, co? - spytał. - A to się tylko liczy. Umarli są umarli i zakład o całusa, że dalej umarłymi zostaną.

Mary zatkała mu usta ręką i zaczęła go łącać, że jest taki straszny, na co on pocałował ją w dłoń i bliżej przysunął głowę do jej głowy.

Wesoły brzęk talerzy wzmagął się, w miarę jak przybywało gości. Tu i tam rozlegały się urywki piosenek. Odwieczne utarczki między młodzieńcami a dziewczętami przybierały na sile. Coraz częściej słychać było chichoty i piski, i wybuchy grubszego, męskiego śmiechu. Niektórzy mężczyźni wyraźnie już byli podpić. Dziewczeta przy sąsiednim stoliku nawoływały Billa. A Saxon, w której poczucie czasowej własności już się zdążyło ugruntować, zauważyła z zazdrością, że Bill jest celem ich westchnień.

- Czy one nie są okropne? - powiedziała Mary z naganą. - Bezczelne. Wiem, co to za jedne. Żadna uczciwa dziewczyna nie zadawałyby się z nimi. Posłuchajcie tylko!

- Hej, Bill! - wołała jedna, młoda i hoża brunetka. - Chyba mnie jeszcze nie zapomniałeś, Bill!

- Jak się masz, kurczaczku - odpowiedział Bill szarmancko.

Saxon pochlebiała sobie, że Bill jest rozgniewany, i poczuła bezmierną antypatię do dziewczyny.

- Idziesz tańczyć? - spytała brunetka.

- Może - odparł i zwrócił się do Saxon: - Wiesz, my starzy Amerykanie powinniśmy się trzymać razem. Mam rację? Niewielu nas zostało. W kraju jest coraz więcej rozmaitych cudzoziemców.

Mówił dalej, głosem cichym, poufnie, z głową przy głowie, dając w ten sposób do zrozumienia tamtej dziewczynie, że jest zajęty.

Młodzieniec przy sąsiednim stoliku upatrzył sobie Saxon. Ubrany był jak andrus. Jego towarzysze obojga płci też wyglądali na andrusów. Twarz miał rozognioną, oczy dzikie.

- Hej, ty! - zawołał. - Ty mała w aksamitnych pantofelkach! Tańczysz ze mną.

Dziewczyna siedząca obok opasała mu szyję ramieniem i usiłowała zmusić do milczenia. Usłyszeli jego stłumiony bełkot:

- Powiadam ci, że ona jest cacy. Pójdę i sprzątnę ją sprzed nosa tym dwóm niedojdom.

- Hołota z Butchertown! - warknęła Mary.

Oczy Saxon podchwyciły ziejące nienawiścią spojrzenie dziewczyny. Spostrzegła też, że w oczach Billa zapala się gniew. Były one teraz bardziej pochmurne, ładniejsze, a światła i cienie, błyski i chmury przesuwane się i kłębiące w błękicie oczu dały Saxon poczucie ich niezmiernie głębokie. Umilkł i nie podejmował rozmowy.

- Nie zaczynaj awantury - ostrzegł go Bert. - Są z tamtej strony zatoki i nie wiedzą, kim jesteś. To jasne.

Bert wstał nagle, podszedł do tamtych, powiedział cicho kilka słów i wrócił. Wszystkie twarze przy ich stoliku zwrócone były do Billa. Winowajca wstał, uwolnił się od ramienia dziewczyny, która usiłowała go zatrzymać, i podszedł do nich. Był to mężczyzna ciężkiej budowy, o twarzy brutalnej, złośliwej i nieprzyjemnych oczach. A także - był to mężczyzna wystraszonego.

- Jesteś Wielki Bill Roberts - powiedział bełkotliwie, opierając się o stół i lekko zataczając. - Kłaniam się nisko. Przepraszam. Masz pan dobry gust do dam, nie ma co. Ale nie wiedziałem, kto pan jesteś. Jakbym wiedział, że pan jesteś Bill Roberts, nie rozpuściłbym gęby. Rozumiesz mnie pan? Przepraszam. Dasz pan rękę na sztamę?

Bill burknął: - Dobrze, dobrze... nie ma o czym mówić. - Potem niechętnie uściśnił wyciągniętą dłoń i nieśpiesznym, mocnym ruchem pchnął intruza w stronę jego stołu.

Saxon promieniała. Oto prawdziwy mężczyzna, opiekun. Nawet awanturnicy z Butchertown przed nim tchórzą.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po obiedzie jeszcze dwa tańce w pawilonie, a potem orkiestra przeniosła się na boisko, gdzie miało nastąpić otwarcie zawodów. Tancerze podążali za orkiestrą, a gdy szli przez park, wycieczkowicze wstawali od stolików i przyłączali się do nich. Pięć tysięcy osób wypełniło trawiaste zbocza amfiteatru i stłoczyło się na samym boisku, gdzie mężczyźni ustawiali się już do przeciągania liny. Były to rozgrywki między Murarzami z San Francisco a Murarzami z Oakland i doborowi zawodnicy, masywni i wielcy, zajmowali pozycje wzdłuż liny. Wykopywali sobie w miękkiej ziemi dołki pod obcasy, nacierali ręce piaskiem i śmiali się, i żartowali z tłumem, który na nich napierał.

Sędziowie i obserwatorzy na próżno usiłowali odepchnąć do tyłu gromady krewnych i przyjaciół. Celtycka krew wrzała, obudził się celtycki duch. Powietrze rozbrzmiewało okrzykami zachęty i rady, ostrzeżeniami, pogrozkami. Znaleźli się tacy, którzy woleli przejść ze strony swoich faworytów na boisko drużyny wroga, aby zapobiec ewentualnym oszukańczym sztuczkom. Wśród stłoczonych, poszturchujących się kibiców było tyle samo kobiet, co mężczyzn. W powietrzu unosił się kurz wzbity setkami drepzczących, szurgających stóp i Mary, pokaszując i dysząc, prosiła Berta, żeby ją wyprowadził z tłumu. Ale Bert ze swoją chochlikowatą naturą, podniecony zapowiedzią awantury, koniecznie chciał podejść bliżej. Saxon trzymała się Billa, który powoli i systematycznie łokciami i ramionami torował jej drogę.

- Nie jest to miejsce odpowiednie dla dziewczyny - rzekł gderliwie, spoglądając na nią z udanym roztargnieniem, gdy tymczasem jego potężny łokieć wgniótł się w żebro masywnego Irlandczyka, który usunął im się z drogi. - Zrobi się piekło, kiedy zaczną ciągnąć linę. Wypili za dużo, a wiesz, że Irlandczycy pierwsi są do awantur.

Saxon wydawała się szczególnie nie na miejscu wśród tych dużych, grubokościstych mężczyzn i kobiet. Była przy nich dziecięco drobna, delikatna i krucha, stworzenie innej rasy. Ratowała ją w tym tłumie siła i zręczność Billa. Bill spoglądał wciąż po twarzach kobiet - i wciąż wracał do niej i badał wzrokiem jej twarz. Saxon wiedziała, jakie wnioski wyciąga z tych porównań.

W odległości kilkunastu kroków od nich wybuchło zamieszanie i tłum zafalował gwałtownie wśród okrzyków i odgłosów uderzeń. Duży mężczyzna, wbijając się klinem w najgęstsza cizbę, został odrzucony na Saxon i całą siłą przyparł ją do Billa. Ten sięgnął do pleców mężczyzny i pchnął go ruchem stanowczym i mniej powolnym niż zwykle. Ofiara jęknęła mimowolnie i obróciwszy głowę ukazała twarz o zaczerwienionej od słońca białej

cerze i rozwścieczonych oczach Irlandczyka.

- Co cię ugryzło, he? - warknął.

- Nastąpiłeś pan sobie na nogę, lepiej zejdziesz, bo cię zabolę - brzmiała pogardliwa odpowiedź Billa, poparta mocniejszym pchnięciem w plecy.

Irlandczyk jęknął powtórnie i wyteżył wszystkie siły, aby obrócić się do Billa twarzą, ale był unieruchomiony w kleszczach napierających z boku ciała.

- Poczekaj, zrobię ci z gęby marmoladę! - oznajmił głosem zduszonym wściekłością.

Wtem jego własna twarz podległa raptownej zmianie. Złagodniały wykrzywione złością wargi, w pociemniałych od gniewu oczach pokazały się przyjazne błyski.

- Słowo daję, kto by to pomyślał - zawołał. - Nie miałem pojęcia, że to pan mnie pchasz. Widziałem, jak złołeś pan skórę Straszemu Szwedowi, chociaż sędziowie skrzywdzili cię decyzją.

- Nie, bracie, niczego takiego nie widziałem - odparł Bill przyjaźnie. - Widziałem, jak dostałem solidne lanie. A decyzja sędziów była słuszna.

Irlandczyk dosłownie promieniał. Posłużywszy się kłamstwem chciał powiedzieć Billowi komplement, a szybkość, z jaką Bill odrzucił kłamstwo, zwiększyła tylko jego uwielbienie dla bohatera ringu.

- To prawda, lanie było solidne - przyznał. - Ale walczyłeś pan z zawziętością stu rozwścieczonych diabłów. Jak tylko uwolnię rękę, uściskę panu dłoń i pomogę robić miejsce dla pańskiej damy.

Gdy wszelkie próby zepchnięcia tłumu z boiska okazały się daremne, sędzia strzałem z rewolweru oznajmił początek gry. Wybuchło piekło. Chroniona przez dwóch mężczyzn atletycznej budowy, Saxon znajdowała się blisko pierwszych rzędów i widziała niemal cały przebieg wypadków. Zawodnicy przy linie ciągnęli i napinali mięśnie, aż ich twarze poczerwieniały z wysiłku i kości trzeszczały w stawach. Lina była nowa, gdy więc ręce zaczęły im się ślizgać po gładkiej powierzchni, żony i córki rzuciły się na boisko, wygrzebywały ziemię palcami, sypały ją na linę i dłonie zawodników.

Krępa kobieta w średnim wieku, podniecona ferworem walki, chwyciwszy linę stanęła obok męża i zagrzewała go głośnymi okrzykami. Jeden z kibiców strony przeciwnej odciągnął wrzeszczącą na bok, ale sam padł na ziemię jak kłoda, gdyż otrzymał cios w ucho od sympatyka drużyny, do której należał mąż kobiety. Z kolei runął sympatyk i krzepkie kobiety przyłączyły się do bójki u boku mężów.

Na próżno sędziowie i widownia prosili, błagali, wrzeszczeli, młócili pięściami. Mężczyźni i kobiety podbiegali do liny i ciągnęli wraz z zawodnikami. Nie była to już

drużyna przeciwko drużynie, lecz całe San Francisco przeciw całemu Oakland, ozdobione dokoła girlandą walki wręcz, dozwolonej dla wszystkich. Dłonie zaciskały się na linie w dwóch, trzech warstwach. Ręce, dla których zbrakło już miejsca, zaciskały się w pięści, pięści te zaś grzmociły po szczękach obserwatorów usiłujących oderwać intruzów od sznura.

Bert ryczał z radości, a Mary tuliła się do niego nieprzytomna ze strachu. W pobliżu liny walczący padali na ziemię, gdzie ich tratowano. Nad całym boiskiem unosiły się chmury kurzu. Wrzawę powiększały płynące ze wszystkich stron przenikliwe, bezsilne wrzaski i ryki wściekłości mężczyzn i kobiet, którzy nie mogli przyłączyć się do walki.

- Paskudna robota, paskudna robota - mruczał wciąż Bill. A chociaż widział wiele z tego, co się działo, spokojnie i bezpiecznie, z pomocą przyjacielskiego Irlandczyka, zaczął wyprowadzać Saxon ze skotłowanej ciżby.

Wreszcie nadszedł kres. Drużyna przegrywająca, wraz z zastępami ochotników, została przyciągnięta do przodu i runęła na ziemię, po czym natychmiast zniknęła pod lawiną walczących widzów.

Bill pozostawił Saxon pod opieką Irlandczyka we względnie spokojnym zakątku poza kręgiem walk i sam dat z powrotem nurka w ciżbę. Po kilku chwilach wrócił prowadząc zagubioną parę. Bertowi krew ciekła z rozciętego ucha, ale był rozradowany. Mary miała suknię wymiętą i była bliska hysterii.

- To nie jest sport - powtarzała w kółko.

- To wstyd, hańba. - Musimy się stąd wydostać - powiedział Bill. - Zabawa dopiero się zaczęła.

- Och, poczekajmy - prosił Bert. - Taki widok wart jest osiem dolarów. Właściwie żadna cena nie jest za wysoka. Od Bóg wie jak dawna nie widziałem tylu podbitych oczu i rozkwaszonych nosów.

- To wracaj i wesołej zabawy - zaproponował Bill. - Ja wezmę dziewczęta dalej na tamten pagórek, skąd będziemy wszystko widzieli. Ale nie dałbym wiele za twoją śliczną fizjonomię, jeżeli któryś z Irlandczyków dobierze się do ciebie.

Bijatyka skończyła się zdumiewająco szybko, bo z budki sędziowskiej obok toru ogłoszono rozpoczęcie biegu juniorów. Bert, mocno zawiedziony, wrócił do Billa i dziewcząt i wraz z nimi usiadł na stoku górującym nad bieżnią.

Odbyły się kolejno biegi chłopców i biegi dziewcząt, biegi młodych kobiet i starych kobiet, grubych mężczyzn i grubych kobiet, biegi w workach i „biegi na trzech nogach”. Zawodnicy okrążali małe boisko wśród najdzikszych ryków, którymi dodawali im otuchy sympatycy. Zapomniano już o przeciąganiu liny i wrócił przyjazny nastrój.

Pięciu młodych mężczyzn stanęło na linii startu i palcami rąk dotykając ziemi, czekało na wystrzał z rewolweru. Trzech było w skarpetkach, dwaj mieli na nogach podbite kolcami buty.

- Bieg mężczyzn - przeczytał Bert w programie. - I tylko jedna nagroda, dwadzieścia pięć dolarów. Popatrzcie na tego rudzielca z kolcami... ten drugi od brzegu. San Francisco na niego stawia. Jest ich faworytem, zrobili masę zakładów.

- Który z nich wygra? - spytała Mary Billa, zdając się na sąd tego znawcy lekkoatletyki.

- Skądże ja mogę wiedzieć? - odparł. - Żadnego z nich dotąd nie widziałem. Ale wszyscy mi się podobają. Oby wygrał najlepszy.

Huknął wystrzał i pięciu zawodników ruszyło z miejsca. Trzej pozostali w tyle zaraz po rozpoczęciu biegu. Przewodził rudzielec, a czarnowłosy młody mężczyzna następował mu na pięty. Było widoczne, że walka rozegra się pomiędzy tymi dwoma. W połowie okrążenia czarny przyspieszył tempa i wysunął się naprzód w zryw, który najwidoczniej nie miał już osłabnąć aż do mety. Zyskał dziesięć stóp przewagi i rudowłosy ani o cal nie mógł zmniejszyć dystansu.

- Czarny idzie jak maszyna - zauważył Bill. - Nie wysiła się, a rudzielec wyłazi już ze skóry.

Dystans między biegaczami wynosił nadal dziesięć stóp i czarny wpadł na metę wśród grzmotu radosnych okrzyków. Ale dały się też słyszeć wrzaski niezadowolenia. Rozradowany Bert bił się rękami po udach.

- Ho... ho!... - pokrzykiwał. - A to się San Francisco wścieka. Czekaście, teraz będzie chryja. Widzicie? Zakwestionowali zwycięstwo. Sędziowie nie wypłacają mu nagrody. Ale on ma za sobą całą gromadę chłopaków. Och! Och! Och! Nic mnie tak nie ubawiło, odkąd moja mama złamała nogę.

- Bill, dlaczego nie chcą mu zapłacić? - spytała Saxon. - Przecież wygrał. - Stronnicy San Francisco zarzucają mu, że jest zawodowcem - wyjaśnił Bill. - Teraz wrzeszczą o tym jeden przez drugiego. Ale nie mają racji. Oni wszyscy biegali o nagrodę, więc wszyscy są zawodowcami.

Tłum rozprawiał, wrzeszczał i kłębił się wokół budki sędziowskiej. Było to koślawe, rozklekotane rusztowanie o dwóch poziomach; na górnej, otwartej z przodu platformie siedzieli sędziowie rozprawiający nie mniej popędliwie niż tłum na dole.

- O, już się zaczyna! - zawołał Bert. - A to ci chryja!

Czarnowłosy biegacz w towarzystwie kilkunastu stronników wspinał się po

zewnątrznych schodkach na platformę sędziowską.

- Skarbnik jest po jego stronie - powiedział Bill. - Widzicie, wypłacił mu pieniądze. Niektórzy sędziowie zgadzają się, a innych aż rzuca z wściekłości. Teraz druga banda idzie na górę... rudzielec ze swoimi. - Spojrzał na Saxon z uspokajającym uśmiechem. - Dobrze, że nas tam nie ma. Za chwilę rozpocznie się bijatyka nie na żarty.

- Sędziowie próbują go namówić, żeby oddał pieniądze - wyjaśnił Bert. - A jak nie odda, gromada rudzielca i tak mu je odbierze. O, widzicie? Już wyciągają łapy.

W ręce wzniesionej wysoko nad głową zwycięzca trzymał papierowy rulonik z dwudziestoma pięcioma srebrnymi dolarami. Otaczająca go gromadka przyjaciół odpychała łokciami tych, którzy usiłowali pochwycić pieniądze. Nie wymierzono jeszcze ani jednego ciosu, ale szamotanie stawało się coraz gwałtowniejsze, aż w końcu zachwiała się rozklekotana sędziowska wieża. Z tłumu na dole padały pod adresem zwycięzcy najrozmaitsze okrzyki. - Oddaj pieniądze, hultaju! - Trzymaj, Tim! - Wygrałeś uczciwie, Timmy! - Oddaj forszę, bandyto! - Obrzucano go nie nadającymi się do druku obelgami i radami pełnymi życzliwości.

Szamotanie przybrało na sile. Stronnicy Tima usiłowali podnieść go w górę, tak aby ręce przeciwników nie mogły dosięgnąć jego dłoni zaciśniętej na rulonie pieniędzy. W pewnej chwili napastnikom udało się ściągnąć w dół rękę Tima. Wyrwał ją i znowu wznosił do góry. Ale widocznie papier pękł, gdyż Tim - w ostatnim rozpaczliwym wysiłku - cisnął rulon i srebrny deszcz monet posypał się na tłum w dole. Rozpoczęły się teraz nużące dla widzów burzliwe pertraktacje.

- Chciałbym, żeby już wreszcie skończyli i żebyśmy mogli potaćzyć - powiedziała Mary. - To żadna zabawa.

Powoli i z trudem udało się opróżnić platformę sędziowską i zapowiadacz, wyszedłszy naprzód, rozłożył ręce i tym niemym gestem poprosił o ciszę. Gniewna wrzawa ucichła.

- Sędziowie postanowili - zaczął gromkim głosem - że w tym dniu braterstwa i Przyjaźni...

- Słuchajcie! Słuchajcie! - Wielu spośród bardziej zrównoważonych widzów zaczęło klaskać. - Mądrze gada! Dość tej bijatyki! Dość awantur!

- I dlatego - dał się znów słyszeć głos zapowiadacza - sędziowie postanowili ufundować powtórny nagrodę w wysokości dwudziestu pięciu dolarów i po raz drugi rozegrać bieg.

- A co z Timem? - wrzeszczało dobre kilkadziesiąt głosów. - Co z Timem? Okradziono go! Sędziowie nabierają!

Ponownie zapowiadacz gestem ręki uciszył tłum.

- Aby powróciła zgoda, sędziowie postanowili, że Timothy McManus weźmie udział w biegu. Jeżeli wygra, otrzyma pieniądze.

- Czy ten człowiek może się nie wściekać? - rzucił Bill z oburzeniem. - Jeżeli Tim ma prawo stanąć do zawodów teraz, to miał prawo stanąć do nich za pierwszym razem. A jeżeli mógł wtedy stanąć do zawodów, to pieniądze należą do niego.

- W tym biegu rudzielec będzie wyłaził ze skóry - cieszył się Bert.

- Tim też - odparł Bill. - Zakład, że go trzęsie z wściekłości, więc pokaże to, czego nie pokazał poprzednim razem.

Piętnaście minut trwało oczyszczanie bieżni z podnieconego tłumu. Tylko Tim i rudzielec stanęli na starcie, pozostali trzej biegacze wycofali się z zawodów.

Gdy rozległ się strzał z rewolweru, startowy skok Tima dał mu jard przewagi. - Zdaje się, że on naprawdę jest zawodowcem. Nie ma co - zawyrokował Bill. - Spójrzcie, jak on idzie!

Na półokrążeniu przewaga Tima wynosiła pięćdziesiąt stóp. Biegł świetnie i utrzymując wciąż ten sam dystans, wypadł na prostą jako pewny już zwycięzca. Gdy znalazł się dokładnie poniżej grupy widzów na stoku pagórka, zdarzyła się rzecz niewiarygodna i nieprawdopodobna. Blisko wewnętrznego krawężnika bieżni stał wymuskany młody mężczyzna ze szpicrutą w ręku. Był w tym zbiorowisku wyraźnie nie na miejscu, nie nosił bowiem piętna przynależności do klasy robotniczej. Nieco później Bert wyraził opinię, że wyglądał jak elegancki maître tańca, natomiast Bill nazwał go krótko „fircyk”.

Wymuskany młody mężczyzna odegrał w stosunku do McManusa rolę przeznaczenia. Gdy Tim go mijał, ów, ruchem jak najstaranniej przemyślanym, rzucił mu szpicrutę między nogi. Tim poszybował głową naprzód w powietrze, z rękami rozłożonymi padł na twarz i przejechał kawałek po ziemi w tumanach kurzu.

Przez krótką chwilę panowała przytłaczająca, zapierająca dech cisza. Nawet właściciel szpicruty jak gdyby skamieniał, tak go przeraziła potworność własnego czynu. Nie od razu zdał sobie - podobnie jak widzowie - sprawę z doniosłości swego postępku. Widzowie ocknęli się pierwsi i z tysiąca gardzieli huknął grzmotem przeciągły irlandzki okrzyk wojenny. Rudzielec wpadł na metę, ale nie powitały go oklaski. Ośrodek burzy przeniósł się na młodego mężczyznę ze szpicrutą. Gdy wybuchł wrzask, młodzieniec miał jeden krótki moment wahania, potem skoczył na bieżnię i pognął przed siebie.

- Prędzej, bratku, prędzej! - zagrzewał go Bert wymachując w powietrzu kapeluszem.
- Stawiam na ciebie! Kto by to pomyślał? Kto by to pomyślał? Powiedźcie, przyszłoby wam

coś takiego do głowy? Powiedźcie, przyszłoby wam?

- Ho, ho! Sam jest pierwszorzędnym biegaczem - orzekł z podziwem Bill. - Ale dlaczego on to zrobił? Nie jest przecież murarzem.

Ścigany wściekłym wrzaskiem młody mężczyzna biegł przez tor jak wystraszony królik; biegł ku otwartej przestrzeni na stoku pagórka, na który wspiał się i zniknął między drzewami. Za nim gramoliły się setki żądnych zemsty murarzy.

- Jaka szkoda, że nie może ich widzieć - powiedział Bill. - Spójrzcie, co za niezdary!

Bert dosłownie szalał. Podskakiwał i wrzeszczał w kółko:

- Spójrzcie na nich! Spójrzcie! Spójrzcie!

Stronnictwo Oakland nie posiadało się z oburzenia. Ich faworyt dwukrotnie został pozbawiony laurów zwycięstwa. W tym drugim wypadku była to jeszcze jedna sztuczka stronnictwa San Francisco. Tak więc Oakland zacisnęło potężne dłonie w pięści i żądne krwi natarło na San Francisco. A San Francisco, w poczuciu własnej niewinności, nie mniej ochoczo wzięło udział w dyspucie. Oskarzenie o tego rodzaju zbrodnię było czymś niemal tak potwornym, jak sama zbrodnia. Co więcej, przez wiele nużących godzin Irlandczycy bohatersko trzymali na wodzy swój temperament. Teraz pięć ich tysięcy radośnie skoczyło do walki. Kobiety ani myślały pozostać w tyle za mężczyznami. Bijatyka objęła cały amfiteatr. Strony walczące koncentrowały siły, cofały się, przypuszczały ataki i kontrataki. Słabsze grupy zostały odepchnięte na stok pagórka, gdzie nadal walczyły. Inne grupy, przepędzone z amfiteatru, umknęły między drzewa i tam prowadziły partyzantkę, od czasu do czasu wyskakując niespodziewanie z ukrycia i atakując pojedynczych nieprzyjaciół. Obie zaś panie w sposób najzupełniej bezstronny przetrzepały skórę sześciu policjantom, których zarząd parku wynajął na tę okazję.

- Mało kto kocha policjantów - zachichotał Bert przytykając chusteczkę do ucha, które wciąż krwawiło.

Coś zatrzeszczało w krzakach za jego plecami i Bert odskoczył, aby przepuścić splecione ciała dwóch mężczyzn, którzy poturlali się w dół stoku. Ten, który był w danej chwili na wierzchu, grzmocił tego pod spodem, za nimi zaś biegła rozwścieczona kobieta okładając pięściami nieszczęśliwca nie należącego do jej klanu.

Sędziowie na górnej platformie mężnie odpierali zaciekle ataki, aż w końcu drewniana wieża runęła, rozlatując się w drobne drzazgi.

- Co ona robi? - spytała Saxon, kierując ich uwagę ku niemłodej kobiecie tuż pod nimi na bieżni, która usiadłszy na trawie zdjęła okazałych rozmiarów but rozszyty z boku gumką.

- Idzie się kąpać - parsknął Bert, gdy z kolei zaczęła ściągać pończochę.

Przyglądali się jej jak urzeczeni. Kobieta włożyła z powrotem but na gołą stopę, a potem wsunęła do pończochy kamień wielkości pięści i wymachując tą starożytną a straszliwą bronią rzuciła się w środek najbliższej z walczących grup.

- Och, och, och! - wykrzykiwał Bert przy każdym zadawanym przez nią ciosie. - Hej, stara dziewojo! Uważaj! Zaraz ci się od nich dostanie. Och, ach! Wspaniała baba! Widzieliście ją? Hura, niech żyje nasza stara! Spójrzcie, jak ona ich grzmoci! Uważaj, kobieto!... O-o-o...

Głos Berta rozpląnął się w żalonym westchnieniu, gdy inna amazonka chwyciła z tyłu za włosy kobietę uzbrojoną w pończochę i zakreśliła nią w powietrzu półkole. Na próżno Mary czepiała się ramienia Berta, potrząsając nim i ostro strofując.

- Czyś ty oszalał? - wołała. - Przecież to okropne! Mówię ci, że to okropne!

Ale Bert był nieposkromiony.

- Dalejże, staruszko! - zachęcał ją. - Twoje na wierzchu! Stawiam na ciebie! Teraz twoja szansa! Trzask! Och! Niech ją lichu! Wspaniała baba! Wspaniała!

- To największa bijatyka, jaką w życiu widziałem - wyznał Bill. - Irlandczycy wiedzą, jak się brać do rzeczy. Ale po co ten firecyk to zrobił? Tego w żaden sposób nie mogę zrozumieć. Nie jest murarzem... w ogóle nie jest robotnikiem... ot, maminsynek i firecyk, który nie znał tu nikogo. Ale jeżeli chciał wywołać bijatykę, to mu się to udało. Spójrzcie na nich. Walczą wszędzie.

Nagle wybuchnął śmiechem tak serdecznym, że aż łzy napłynęły mu do oczu.

- Co się stało? - spytała Saxon, nie chcąc tracić niczego.

- Ach, ten firecyk! - wyjaśnił Bill pomiędzy napadami śmiechu. - Dlaczego on to zrobił? Nic nie rozumiem. Dlaczego on to zrobił?

Znowu w krzaskach rozległy się trzaski i dwie kobiety wypadły na stok pagórka, jedna w ucieczce, druga w pościgu. Zanim czwórka przyjaciół zdołała zrozumieć; co się właściwie dzieje, została wciągnięta w zdumiewający konflikt, który ogarnął jeżeli nie cały wszechświat - to w każdym razie cały teren parku.

Ścigana kobieta potknęła się okrążając ławkę i zostałaby niechybnie schwytana, gdyby dla odzyskania równowagi nie uczepiła się ręki Mary i nie pchnęła jej prosto w objęcia swej prześladowczyni. Ta zaś - kobieta muskularna, w średnim wieku i nazbyt rozwścieczona, aby cokolwiek zrozumieć - schwyciła Mary za włosy jedną ręką, drugą zaś wzniosła do ciosu. Zanim zdołała go zadać, Bill unieruchomił oba przeguby jej dłoni.

- Wolnego, paniusiu - powiedział uspokajająco. - Pomyliłaś się. Ona nic tu nie zawiniła.

Wtedy kobieta zrobiła coś przedziwnego. Nie stawiała Billowi oporu, ale i nie wypuściła z ręki włosów Mary, zaczęła natomiast najspokojniej w świecie wrzeszczeć. W krzyku tym mieszał się w sposób szkaradny strach z bólem, chociaż jej twarz nie wyrażała ani strachu, ani bólu. Przyglądała się Billowi chłodno i taksująco, jak gdyby ciekawa jego reakcji na wrzask, który nie był niczym innym, jak tylko klanowym wołaniem o pomoc.

- Zamknij się, megiero! - huknął Ben, usiłując odciągnąć ją za ramiona. Rezultat był taki, że wszyscy czworo kołysali się do przodu, to do tyłu, a kobieta spokojnie dalej wrzeszczała. Kiedy w krzakach ponownie dały się słyszeć trzaski, głos jej rozbrzmiał triumfalną nutą.

Saxon zobaczyła, że w mgnieniu oka senne spojrzenie Billa stwardniało jak stal. Jego palce zacisnęły się mocniej na przegubach dłoni kobiety, która puściła Mary, a wtedy Bill uwolnił jej ręce i odepchnął ją do tyłu. W tej samej chwili był przy nich pierwszy mężczyzna z pościgu. Nie tracił czasu na wchodzenie w meritum sprawy. Wystarczyło, że widział, jak kobieta zatoczyła się wrzeszcząc z bólu w dużej mierze udawanego.

- To zwyczajne nieporozumienie! - zawołał prędko Bill.

- Przykro mi, bracie... Irlandczyk wyrzucił ramię potężnym zamachem. Bill uchylił się, uciawszy w połowie grzeczne przeprosiny, a gdy wielka jak młot pięść przesunęła się tuż nad jego głową, sam wymierzył lewą pięścią cios w szczękę napastnika. Ogromny Irlandczyk zatoczył się, upadł i wylądował na samej krawędzi stoku. Gdy próbował dźwignąć się na nogi, spadła na niego pięść Berta i tym razem zjechał w dół stoku porośniętego krótką, wyschlą trawą.

Bert był groźny.

- Teraz kolej na ciebie, paniusiu... wszystkiego najlepszego! - wrzasnął spychając kobietę przez krawędź na zdradliwą pochyłość stoku. W sekundę później trzech mężczyzn wyłonili się z krzaków.

Tymczasem Bill umieścił Saxon za ogrodowym stołem. Mary, rozhisteryzowana, czepiała się rękami, ale on podsadził ją na blat stołu i pchnął w kierunku Saxon.

- Chodźcie tutaj, gałgany! - ryknął Bert do nowo przybyłych. Poniosła go wściekłość, jego czarne oczy miały dzikie ognie, śniada twarz pociemniała od nazbyt gorącej krwi. - Podejdźcie bliżej, szubrawcy! Porozmawiamy o Gettysburgu. Pokażemy wam, że nie wyginęli jeszcze prawdziwi Amerykanie!

- Zamknij się, głupcze. Nie wolno dopuszczać do bijatyki, gdy są z nami dziewczęta - warknął Bill zajmując pozycję przed stołem. Zwrócił się do trzech mężczyzn przybyłych na ratunek, którzy stali niepewnie, zdumieni, że nie mają kogo ratować. - Odejdźcie, chłopcy.

Nie szukamy awantury. Omyliliście się. Nic tu po was, jeżeli chcecie bijatyki. My nie chcemy się bić. Rozumiecie?

Wahali się i Bill byłby może uniknął starcia, gdyby mężczyzna zepchnięty w dół pochyłości nie wybrał tego niefortunnego momentu i nie wrócił na plac boju. Wyłonił się zza krawędzi stoku, na czworakach, z zakrwawioną twarzą. Powtórnie Bert dopadł go i zepchnął w dół, trzej zaś nowo przybyli wrzasnęli dziko i skoczyli na Billa, który wymierzał ciosy, zmieniał pozycję, robił uniki, znowu wymierzał ciosy, zmieniał pozycję, uchylał się - dopóki nie uderzył po raz trzeci. Jego ciosy były precyzyjne i czyste, zadawane według zasad boksu ciężarem całego ciała.

Saxon widziała jego oczy i dowiedziała się o Billu wiele nowego. Była przestraszona, ale wzrok jej nie stracił ostrości, zdumiała się więc, że nagle zniknęła głębia światła i cieni w oczach Billa. Widać było tylko samą ich powierzchnię - twardą, lśniącą, nieomal szklaną, pozbawioną wszelkiego wyrazu prócz śmiertelnej powagi. Z oczu Berta wyglądało szaleństwo. Oczy Irlandczyków były złe i poważne, chociaż nie ze wszystkim poważne. Lśniły w nich niesforne ogniki, jak gdyby bójka sprawiała im radość. Ale w oczach Billa nie było radości. Robił takie wrażenie, jak gdyby mając jakąś pracę, zabrał się z uporem do jej wykonania.

Twarz jego pozbawiona była niemal wyrazu, ale nie przypominała teraz w niczym twarzy, na którą Saxon patrzyła cały dzień. Zniknęła z niej chłopięcość. Była dojrzała, ale dojrzała w jakiś sposób przerażający, nie określony latami. Nie wyrażała gniewu. Nie była też okrutna. Tylko rysy stężały w surowym, beznamietnym wyrazie, podobnie jak oczy. Napłynęły ku Saxon strzępy zasłyszanych od matki opowieści o Saksonach i Bill wydał jej się jednym z nich. Gdzieś w mrocznych głębiach świadomości ujrzała długą, ciemną łódź o dziobie jak dziób drapieżnego ptaka, a w tej łodzi ogromnych, półnagich mężczyzn i wśród nich jednego, który miał twarz Billa. Nie były to obrazy wyrozumowane. Saxon czuła je, widziała oczyma duszy, jakby w momencie jasnowidztwa - i nagle osłupiała, gdyż było już po walce; trwała zaledwie kilka sekund. Bert tańczył nad krawędzią stoku i drwił z pokonanych, którzy zsunęli się bezsilnie na sam dół pochyłości. Ale Bill objął komendę.

- Chodźcie, dziewczęta - rozkazał. - Pośpiesz się, Bert. Trzeba wziąć nogi za pas. Nie możemy walczyć z całą armią Irlandczyków.

Prowadził odwrót, trzymając Saxon za ramię, Bert zaś, roześmiany i uszczęśliwiony, szedł za nim z rozgniewaną Mary, która na próżno wlewała mu do uszu gorycz swoich protestów. Przez sto jardów biegli klucząc między drzewami, a gdy nic nie zapowiadało zbliżania się pościgu, zaczęli iść nieco godniejszym, spacerowym krokiem. Bert, zabijaka,

nastawił uszu, gdy w pewnej chwili dobiegł ich stłumiony odgłos ciosów i szloch. Poszedł sprawdzić, co to znaczy, i po chwili zawołał:

- Och... zobaczcie, co znalazłem!

Stanęli przy nim nad krawędzią suchego, głębokiego rowu i spojrzeli w dół. Na dnie dwaj mężczyźni, odłączeni od głównego nurtu walki, tłukli się wciąż, spięci we wzajemnym uścisku. Szlochali z wyczerpania i bezradności, a ciosy, które od czasu do czasu zadawali, były nieskuteczne i nie rozstrzygające.

- Hej, bratku, ciśnij mu piasku w oczy - poradził Bert. - To go oślepi i będziesz górą.

- Nie waż się tego robić! - krzyknął Bill do mężczyzny, który już zamierzał postąpić zgodnie ze wskazówką. - Bo inaczej zejdziesz i sam ci dogodzę. Już jest po wszystkim, rozumiecie? Walka skończona i nikt się nie bije. Uściśnijcie sobie ręce na zgodę. Musicie teraz wzajemnie zafundować sobie po szklaneczce. Tak, to mi się podoba... podajcie mi ręce, to was wyciągnę.

Gdy odchodzili, dwaj przeciwnicy ściskali sobie dłonie i otrzepywali nawzajem ubrania.

- Niedługo naprawdę będzie po wszystkim - uśmiechnął się Bill do Saxon. - Nam ich. Bójka to dla nich najlepsza zabawa. A dzięki tej wielkiej bijatyce dzisiejszy piknik będzie jednym z najbardziej udanych. Co ci mówiłem? Spójrz tam... na ten stolik!

Gromada potarganych i zadyszanych mężczyzn i kobiet ściskała sobie ręce stojąc wokół ogrodowego stolika.

- Chodźcie, zatańczymy - prosiła Mary prowadząc ich w kierunku pawilonu.

Na każdym kroku widać było wojowniczych murarzy wymieniających uściski dłoni na zgodę, a w barach na świeżym powietrzu tłoczno było i gwarно.

Saxon szła bardzo blisko Billa. Była z niego dumna. Umiał się bić i umiał unikać awantur. Za każdym razem starał się ich uniknąć. I przede wszystkim miał na uwadze ją i Mary, robił to przez wzgląd na nie.

- Jesteś odważny - powiedziała.

- Przecież to była dziecinna zabawka - zaprzeczył. - Ci ludzie umieją tylko wywoływać burdy. Nie mają pojęcia o boksie. Zupełnie jakby się sami nastawiali na ciosy. Wystarczy ich uderzyć: To przecież nie jest prawdziwa walka. - Spojrzał na knykie palców i zrobił zmartwioną, zabawnie chłopięcą minę.

- Będę nimi musiał jutro powozić - uzalił się. - Zapewniam cię, że jak te pęknięcia zaschną, nie będzie to przyjemne.

ROZDZIAŁ PIĄTY

O godzinie ósmej orkiestra odegrała „Domu mój, miły domu” i w zapadającym zmroku czwórka przyjaciół, wraz z tłumem śpieszących do wycieczkowego pociągu, udała się na stację i zajęła w przedziale dwa podwójne miejsca naprzeciwko siebie. Gdy rozbawione tłumy wypełniły szczerlnie wszystkie przejścia i platformy, pociąg ruszył w krótką drogę z przedmieścia do centrum Oakland. Cały wagon śpiewał kilkanaście piosenek naraz i Bert, przytuliwszy głowę do piersi Mary, zaintonował „Nad brzegiem Wabash”. Odśpiewał pieśń do samego końca, nie odstraszyła go nawet wrzawa dwóch solidnych bijatyk, z których jedna rozgrywała się na sąsiedniej platformie, druga zaś w głębi wagonu. Obie zostały w końcu stłumione przez policjantów przy wtórze wrzasku kobiet i brzęku rozbijanych szyb.

Bill odśpiewał żałobną, długą balladę o kowboju, której refren brzmiał: „Pochowajcie mnie, pochowajcie na samotnej pre-e-rii”.

- Tej pieśni na pewno nigdy nie słyszałaś. Mój ojciec często ją nucił - powiedział do Saxon, która była rada, że skończył.

Odkryła w nim pierwszą skazę. Nie miał ani krztyny słuchu. Cały czas śpiewał w fałszywej tonacji.

- Bardzo rzadko śpiewam - dodał.

- No chyba! - wykrzyknął Bert. - Inaczej zginąłbyś marnie z rąk przyjaciół.

- Wszyscy mi tym dokuczają - poskarżył się Bill Saxon. - Powiedz uczciwie, czy uważasz, że naprawdę śpiewam tak źle?

- Trochę może... trochę fałszywie - przyznała Saxon z ociąganiem.

- Mnie się wcale nie wydaje, że fałszywie - zaprzeczył Bill. - Po prostu nabijają się ze mnie. Głowę dam, że Bert cię na mnie napuścił. A teraz ty coś zaśpiewaj, Saxon. Zakład, że masz dobry głos. Wystarczy na ciebie popatrzeć.

Zaczęła „Gdy skończą się żniwa”. Bert i Mary zawtórowali jej, ale kiedy Bill chciał się przyłączyć do chóru, Bert wyperswadował mu to kopniakiem w kostkę. Saxon śpiewała czystym sopranem, głosik miała niewielki, ale miły. Zdawała sobie sprawę z tego, że śpiewa wyłącznie dla Billa.

- To się nazywa głos - oznajmił Bill, gdy umilkła. - Zaśpiewaj jeszcze raz. Proszę cię, Saxon. Wspaniale to robisz.

Jego ręka zsunęła się i zamknęła jej dłoń w uścisku. Saxon czuła, jak przenika ją płynący od Billa prąd siły i ciepła.

- Proszę, proszę, za rączkę się trzymają - zawołał kpiąco Bert. - Trzymają się za rączkę, jakby ich strach oblatywał. Popatrzcie na Mary i na mnie! Dalej, bierzcie z nas przykład, wy lodowe góry! Przytulcie się do siebie. Bo jak nie, zacznę coś podejrzewać. Już mam podejrzenia. Widać że coś knujecie.

Jego aluzje nie pozostawiały żadnych wątpliwości i Saxon poczuła gorący rumieniec na policzkach.

- Radzę ci zająć się sobą, Bert - skarcił go Bill.

- Przestań gadać! - dodała Mary z oburzeniem. - Straszny z ciebie ordynus, Bert, i nie chcę mieć z tobą więcej do czynienia.

Wypuściła go z objęć i odepchnęła po to tylko, żeby mu w kilkanaście sekund później przebaczyć i wziąć go znów w ramiona.

- Słuchajcie, wy wszyscy - ciągnął niepoprawny Bert. - Noc jest jeszcze młoda. Chodźmy się zabawić... najpierw do Pabsta, a potem do jakiejś innej dziury. Jak myślisz, Bill? Co ty na to, Saxon? Mary się zgodzi, świetny z niej kompan.

Saxon czekała, ogarnął ją nagle lęk przed odpowiedzią tego mężczyzny u jej boku, którego tak krótko знаła.

- Ni-ie - odpowiedział Bill spokojnie. - Wstaję wcześniej i czeka mnie dzień ciężkiej pracy, a dziewczęta też nie próżnują.

Saxon przebaczyła mu brak słuchu. Zawsze wiedziała, że istnieją na świecie tacy mężczyźni. Na takiego mężczyznę czekała. Miała dwadzieścia cztery lata, a pierwszy raz oświadczono jej się, kiedy miała szesnaście. Po raz ostatni - przed miesiącem. Poprosił ją o rękę kierownik pralni, mężczyzna dobry i delikatny, ale już niemłody. Za to ten siedzący obok na ławce... ten był silny i dobry, i delikatny - i młody. Sama była tak młoda, że musiała pociągać ją młodość. Małżeństwo z kierownikiem uwolniłoby ją od pracy w prasowni, ale nie dałoby jej ciepła. Z tym mężczyzną obok... Powstrzymała się w ostatniej chwili, aby nie ucisnąć mu ręki, w której spoczywała jej dłoń.

- Nie, Bert, nie naprzykrzaj się - mówiła Mary. - Bill ma rację. Musimy się wyspać. Jutro jest prasowanie i cały dzień będziemy na nogach.

Nagle Saxon poczuła w sercu chłód na myśl, że jest chyba starsza od Billa. Rzuciła ukradkowe spojrzenia na jego gładką twarz, a dominująca w nim młodość, która tak ją przedtem pociągała, przestraszyła ją teraz. Ożeni się naturalnie z dziewczyną dużo od siebie młodszą, dużo młodszą od niej, Saxon. Ile on może mieć lat? Czy naprawdę jest dla niej za młody? A im bardziej nieosiągalny jej się wydawał, tym bardziej ją pociągał. Był taki silny, taki łagodny. Jeszcze raz przeżywała w myślach zdarzenia dnia. Nic mu nie mogła zarzucić.

Okazywał Mary i jej tyle względów. I podarł jej karnecik, a potem tańczył tylko z nią. Musiała mu się podobać, bo inaczej by tego nie zrobił.

Leciutko poruszyła ręką zamkniętą w jego dłoni i poczuła szorstkość skóry zgrubiałej od lejców. Było to wrażenie rozkoszne. On także poruszył ręką, aby dostosować się do zmienionej pozycji jej dłoni. Saxon czekała z lękiem w sercu. Nie chciała, aby się okazał podobny do innych mężczyzn; znieawidziłaby go chyba, gdyby wykorzystując lekkie poruszenie jej palców objął ją ramieniem. Ale nie zrobił tego i serce Saxon wyszło ku niemu. Miał w sobie tyle delikatności. Nie był ani płochy jak Bert, ani brutalny jak inni mężczyźni, których знаła. Saxon zebrała już bowiem sporo doświadczeń, nie zawsze miłych, i często cierpiała z powodu braku owej cechy określanej mianem rycerskości - choć jej z kolei brakowało tego słowa na oznaczenie przedmiotu własnych przeczuć i pragnień.

Co więcej, Bill był bokserem. Na samą myśl o tym brakło jej tchu. Nie odpowiadał jednak jej wyobrażeniom o zawodowym bokserze. Bo też nie był nim właściwie. Sam powiedział, że nie jest. Musi spytać go o to... jeżeli proponuje jej następne spotkanie. Ale w to chyba mogła nie wątpić, bo jeżeli mężczyzna tańczy cały dzień z jedną dziewczyną, to nie zrywa zaraz znajomości. Nieomal pragnęła, żeby się okazał bokserem. Był w tym jakiś leciutki posmak zdrożności. Bokserzy są ludźmi strasznymi i tajemniczymi. I jest w nich coś romantycznego, już choćby z tej przyczyny, że są inni niż wszyscy, inni niż na przykład stolarze czy robotnicy z parowych pralni. A poza tym są prawdziwą potęgą. Nie pracują dla zwierzchników, tylko siłą własnych mięśni, na oczach ludzi, biorą się za bary z wielkim światem i wyrywają z jego zazdrosnych rąk dostatnie życie dla siebie. Niektórzy z nich mają nawet samochody i podróżują ze sztabem służby i trenerów. Może Bill tylko przez skromność powiedział, że rzucił ring. Miał jednak zgrubiałą skórę na dłoniach. To dowodziło, że nie jest już bokserem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pożegnali się przy furtce. Zachowanie Billa zdradzało pewną niezręczność, która ujęła Saxon. Nie był jednym z tych zarozumiałych i pewnych siebie mężczyzn - Zapadło krótkie milczenie; Saxon udawała, że chce już pójść do domu, a w rzeczywistości czekała z tajoną niecierpliwością na upragnione słowa.

- Kiedy się znów zobaczymy? - spytał przytrzymując jej rękę.

Uśmiech dziewczyny wyrażał przyzwolenie.

- Mieszkam we wschodniej stronie miasta - wyjaśnił. - Bo widzisz, tam są nasze stajnie i większość naszych przewozów odbywa się w tamtej dzielnicy, więc w te strony nieczęsto zaglądam. Ale, widzisz...: - Jego ręka zacisnęła się mocniej na jej dłoni. - No, po prostu musimy jeszcze ze sobą zatańczyć. Wiesz, co ci powiem? W klubie „Orindore” jest w środę zabawa. Jeżeli nie jesteś zajęta... Jesteś?

- Nie - odpowiedziała.

- W takim razie w środę. O której mam po ciebie wstąpić?

Omówili szczegóły. Bill zgodził się, żeby zatańczyła kilka razy z innymi młodymi ludźmi, i raz jeszcze powiedział jej „dobranoc”. Potem wzmocnił znowu uścisk ręki i przyciągnął ją do siebie. Opierała mu się słabo, ale robiła to szczerze. Zwyczaj tak nakazywał, Saxon czuła jednak, że nie powinna stawiać mu zbyt dużego oporu - z obawy, aby Bill źle jej nie zrozumiał. Pragnęła go jednak pocałować, jak dotąd nikogo. Gdy uniosła ku niemu twarz, przekonała się, że z jego strony był to pocałunek uczciwy. Szorstki i jednocześnie łagodny, jak on sam; niemal dziewiczy pocałunek, który nie wskazuje na zbyt dużą praktykę w sztuce żegnania się z dziewczętami. „A więc nie wszyscy mężczyźni są brutalni” pomyślała.

- Dobranoc - powiedziała cicho. Furtka zaskrzypiała pod jej dotknięciem. Odeszła śpiesznie wąską ścieżką prowadzącą wokół domu.

- Środa, zawołał półgłosem.

- Środa - odpowiedziała.

Ale przystanąła w mroku między dwoma domami i przysłuchiwała się rada echu jego kroków na cementowych płytach chodnika. Poszła dalej dopiero, gdy całkiem ucichły. Weszła ostrożnie na schodki i przez kuchnię do swojego pokoju, dziękując Bogu, że Sara śpi. Zapaliła lampę gazową i gdy zdejmowała aksamitny kapelusik, czuła wciąż na wargach pocałunek Billa. Nie miało to żadnego znaczenia. Wszyscy młodzi mężczyźni tak postępowali. Wszyscy. Tylko że ich pocałunki na dobranoc nigdy nie pozostawały tak długo

na jej wargach, a pocałunki Billa Saxon czuła wciąż nie tylko na wargach, ale i w mózgu. Dlaczego tak się dzieje? Co to znaczy? Pod wpływem nagłego impulsu spojrzała w lustro. Oczy były promienne, patrzyło z nich szczęście. Rumieńce, które nie tak łatwo wypływały na jej policzki, barwiły teraz twarz. Była to ładna twarz i Saxon uśmiechnęła się do swojego odbicia - częściowo z radością, częściowo z uznaniem, a uśmiech ten pogłębił się na widok równych rzędów białych, mocnych zębów. Dlaczego ta twarz nie miałaby podobać się Billowi? Podobała się innym mężczyznom. Tak, bardzo się podobała. Nawet dziewczęta przyznawały, że jest ładna. Charleyowi Long musiała się podobać, sądząc po tym, jak jej się naprzykrzał i obrzydzał życie.

Spojrzała w bok, gdzie za ramę lustra wsunięta była jego fotografia, i zrobiła grymas. Z oczu mężczyzny wyzierało okrucieństwo i brutalność. Był brutalem. Od roku już prześladował ją swoją miłością. Inni mężczyźni bali się do niej zbliżyć. Odstraszał ich. Stała się bez mała niewolnicą okazywanych jej względów. Przypomniała sobie młodego buchaltera o delikatnych rękach i delikatnym głosie. Charley napadł na niego i zbił na rogu ulicy, ponieważ tamten ośmielił się zaprosić Saxon do teatru. A ona była bezradna. Przez wzgląd na bezpieczeństwo buchaltera nie przyjmowała więcej zaproszeń.

A teraz, w środę wieczór, miała pójść z Billem na tańce! Bill! Serce zabiło jej radośnie. Na pewno będzie jakaś awantura, ale Bill obroni ją przed Charleyem. Chciałaby zobaczyć Charleya próbującego walki z Billem! Gwałtownym ruchem wyrwała fotografię z ramki i rzuciła ją na komodę. Fotografia upadła obok małego pudreczka z ciemnej, zmatowiałej skóry. Saxon miała uczucie, że jest to profanacja, schwyciła więc ponownie nienawistną fotografię i rzuciła ją w kąt pokoju. Potem wzięła do ręki pudreczko, nacisnęła sprężynkę i spojrzała na dagerotyp wymizerowanej, drobnej kobiety o męźnych szarych oczach i rozbrajająco ufnym wyrazie ust. Na aksamicie wyściełającym wieczko widniał napis o złotych literach: „Carltonowi od Daisy”. Saxon odczytała ów napis z czcią, gdyż mówił o jej ojcu, którego nie знаła, i matce, a chociaż matkę znała tak krótko, dotąd nie mogła zapomnieć, że mądre, smutne oczy miały barwę szarą.

Saxon nie była religijna w konwencjonalnym sensie tego słowa, miała jednak naturę głęboko religijną. Jej myśli o Bogu były niejasne i mgliste, nie potrafiła sobie stworzyć własnego wyobrażenia Boga. Tutaj, w dagerotypie, znajdowała pewien konkret; przyswajała sobie z niego wiele wartości, a zawsze miała uczucie, że są tam jeszcze nieprzebrane skarby. Saxon nie chodziła do kościoła. Tutaj był jej wielki ołtarz, najświętsze ze świętych miejsc. Przychodziła do niego z troskami, z samotnością, po radę i pociechę. Jeżeli znajdowała, że różni się w czymś od swych rówieśniczek, tutaj, w tej twarzy, starała się odszukać

odróżniające ją cechy. Jej matka też się różniła od innych kobiet. Pamięć matki była dla Saxon tym, czym dla innych Bóg. Jej starała się dochować wiary, jej nie chciała obrazić, zagniewać. Co naprawdę wiedziała o matce, a co było tylko domysłem i przypuszczeniem - tej kwestii Saxon nie umiałaby rozstrzygnąć, albowiem budowała ów mit od wielu lat.

Ale czy wszystko było mitem? Odegnęła od siebie to podejrzenie i sięgnawszy do najniższej szuflady w komodzie wyciągnęła wryty album. Wypadły ze środka wyblakłe, zniszczone rękopisy, rozeszła się słaba, ledwie, uchwytna woń dawnych lat. Pismo było delikatne, okrągłe, wytworne ową dziwną wytwornością sprzed pół wieku. Saxon przeczytała jedną strofkę:

*Słodko jak lutni wiatru szept
Twa wdzięczna Muza śpiewa -
Aż Kalifornii szumny step
Nutami jej rozbrzmiewa.*

Po raz tysięczny zastanawiała się, co to jest lutnia. W wierszu tym wyczuwała jednak wiele z piękna, wiele z inności swojej mgliście zapamiętanej, cudownej matki. Trwała chwilę w zadumie, a potem rozwinęła drugi manuskrypt. W tytule był napis: „Do C. B.” Do Carltona Browna... Saxon wiedziała. Poemat miłosny poświęcony jej ojcu przez matkę. Przeczytała cztery pierwsze linijki.

*I porzuciwszy tłumy uszedłem w gaj święty,
Gdzie pośród drzenia liści bieleją posągi
Bukcha, pięknej Pandory, Psyche uśmiechniętej -
Skamieniałe na zawsze, choć tak żywe ongi.*

To też przekraczało jej zdolność pojmowania. Wchłaniała jednak w siebie piękno odczytywanych słów. Bakehus, Pandora i Psyche - trzy zaklęcia, trzy słowa magiczne! Ale niestety! Tylko matka posiadała tę wiedzę magiczną. Obce, niezrozumiałe słowa, które tak wiele znaczyły! Jej cudowna matka знаła ich sens. Saxon odczytała trzy słowa litera po literze, bo nie śmiała ryzykować wymowy i w jej świadomości zaświtały oszałamiające współznaczenia, głębokie, niepojęte. Myśli Saxon zatrzymały się na błyszczących światłem gwiazd, oślepiających obszarach świata poza własnym jej światem, gdzie matka, ta cudowna matka poruszała się swobodnie. Jeszcze i jeszcze raz odczytała cztery linijki poematu. Były

blaskiem i jasnością dla nawiedzonego przez zmyły cierpień i rozterki świata, na którym Saxon żyła. Tutaj, między tajemniczymi, śpiewnymi wierszami, znajdował się klucz. Gdyby zdołała go odnaleźć, wszystko stałoby się jasne. Była o tym najgłębiej przekonana. Zdołałaby wtedy zrozumieć złość i ostry język Sary, smutek swego brata, okrucieństwo Charleya Longa, niesprawiedliwość zemsty na młodym buchalterze, ciągnącą się dniami, miesiącami, latami harówkę przy desce do prasowania.

Opuściła strofkę, której żadną miarą nie mogła zrozumieć, i czytała dalej:

*Mrok w oranżerii łyska jeszcze drżeniem
Smug opalowych przetykanych złotem...
Słońce już zaszło - lecz zachodu lśnienie
jak słodycz wina leciutkim nalotem*

*Rumieni czoło kamiennej najady
U stóp fontanny, której ametysty
Skrzą w dłoniach nimfy, nim strumień kaskady
Spłynie jej z piersi w basen przezroczysty...*

- Piękne, piękne! - szepnęła wzdychając. Przygnębiła ją nagle długość poematu i bezmiar zawartej w nim tajemnicy, zwinęła więc manuskrypt i odłożyła na miejsce. Ponownie zagłębiła rękę w szufladzie i zaczęła szukać innej wskazówki wśród drogich sercu pamiątek stanowiących klucz do matczynej duszy.

Tym razem była to mała paczuszka owinięta w bibułkę i przewiązana wstążką. Otworzyła ją ostrożnie, ruchami kapłana celebrującego u stóp ołtarza, z powagą i zachowaniem rytuału. Oczom jej ukazał się mały pas hiszpański, na wzór gorsetu usztywniony fiszbinami, haftowany - pionierska ozdoba kobiety, która przebyła prerie. Pas wykonany był ręcznie, według kalifornijsko-hiszpańskich wzorów z tamtych odległych lat. Nawet fiszbiny wykonane były domowym sposobem z surowca kupowanego na statkach wielorybnych wraz z wielorybią skórą i tranem. Czarna koronka, którą obszyty był pas, zrobiona była ręką jej matki. Na potrójnej aksamitnej wypustce widniały ściegi przez nią szyte.

Saxon zadumała się nad hiszpańskim pasem, splecione myśli bez składu i ładu kłębiły się w jej głowie. To znowu był konkret. To znowu mogła zrozumieć. To wielbiła, jak ludzie wielbią przez człowieka stworzonych bogów, choć mają mniej namacalne dowody ich pobytu

na ziemi.

Pas miał dwadzieścia dwa cale długości. Wiedziała, bo sprawdzała przy wielu okazjach. Wstała i przymierzyła go w talii. Była to część rytuału. Końce prawie że się schodziły. Bez sukni zeszyłyby się z pewnością, tak jak schodziły się na jej matce. Ta pamiątka dawnych dni bardziej niż cokolwiek innego przybliżała Saxon do matki. Była zbudowana tak jak ona, fizycznie była do niej podobna. Wytrwałość, szybkość i wydajność w pracy, która tak innych zdumiewała - to cechy odziedziczone po matce. W taki sam sposób matka zadziwiała swoje pokolenie - jej matka, ta krucha istotka, najdrobniejsza i najmłodsza z krzepkiego rodu pionierów, która jednak przewodziła temu rodowi. Z jej mądrością zawsze się liczone, nawet bracia i siostry o kilkanaście lat od niej starsi. To Daisy tupnęła nóżką i zarządziła przeniesienie się z malarycznych równin Colusa na zdrowe wyżyny Ventura; to Daisy zmusiła do kapitulacji ojca, tego nieustraszonego pogromcę Indian, i stawiała czoło całej rodzinie, aby Vila mogła wyjść za mąż wedle własnego wyboru; to Daisy, cisnęła rodzinie i społeczeństwu w twarz zasady moralności i zażądała dla Laury rozwodu z mężem o zbrodniczo słabym charakterze. Ale z drugiej strony to Daisy utrzymywała spójnię rodzinną, gdy tylko zaczęły jej zagrażać nieporozumienia i słabostki ludzkie.

Orędowniczka pokoju i wojowniczką! Wszystkie dawne opowieści ożyły przed oczyma Saxon. Były wyraźne i pełne szczegółów, bo wskrzeszała je często w wyobraźni, chociaż na treść ich składały się zdarzenia, w których nie uczestniczyła. Szczegóły Saxon sama sobie dorabiała, nie widziała bowiem nigdy bawołu ani dzikiego Indianina, ani pionierskiego wozu. A jednak widziała ów obraz, tętniący życiem i prawdziwy: drgająca w rozświetlonych drobinach pyłu wzbijanego spod dziesiątków tysięcy kopyt, ze wschodu na zachód zdążająca przez prerię wielka pielgrzymka głodnych ziemi Anglosasów. Obraz ten zrósł się z nią, był częścią jej istnienia. Wychowała się na tradycjach tamtych zdarzeń i na faktach, które zasłyszała z ust uczestników zdarzeń. Widziała wyraźnie długie kolumny pionierskich wozów, wychudłych mężczyzn idących przodem, młodych chłopców poganiających woły, które wyczerpane padały i pod gradem razów podnosiły się znowu, aby paść bez siły. pośród tego wszystkiego, jak czółenko tkackie przeplatające materię złotą, lśniąca nicią, poruszała się mała postać jej nieposkromionej matki - ośmioletniej, gdy się zaczęła, dziewięcioletniej, gdy dobiegła kresu wielka przeprawa - kobiety znającej magiczne słowa, prawodawczynie kierującej się własną wolą, ale wolą, która zawsze była słuszna i sprawiedliwa.

Saxon widziała Puncta, małego, ostrowłosego skyteriera o wiernych oczach, który przez długie miesiące biegł dzielnie przy wozie, a teraz okulał i porzucony leżał w trawie;

widziała, jak Daisy, mały skrzat, chowa Pucha w wozie. Widziała, jak stary, zatroskany ojciec znajduje ów kilkunastokrotny balast, który dodatkowo obciążał padające z wyczerpania woły. Widziała wściekłość starego pioniera, gdy trzymał Pucha za skórę na karku. Widziała Daisy pomiędzy muszką długolufej strzelby a małym psem. I widziała Daisy przez długie dni i tygodnie, pośród alkalicznego pyłu i żaru, potykającą się w kurzu wzbijanym przez wozy i niosącą chorego psa jak niemowlę w ramionach.

Ale najwyraźniej widziała walkę przy Little Meadow i Daisy ubraną jak na uroczyste święto, w białej sukience przewiązanej szarfą, z wstążkami i hiszpańskim grzebieniem we włosach. Trzymając w rękach małe wiadra wyszła spoza obwarowanego wozami skrawka, gdzie ranni majaczyli w gorączce o źródłach krynicznej wody, i szła przez zalaną słońcem otwartą przestrzeń kwiecistych łąk, jak gdyby cudem powstrzymując Indian od strzałów, do wodopoju odległego o sto jardów. Saxon ucałowała mały hiszpański pas z czerwonego aksamitu i owinęła go śpiesznie w bibułę, bezradna wobec zagadki matczynego bóstwa i tajemnicy ludzkiego istnienia.

Leżąc w łóżku, wskrzesiła pod powiekami kilka żywych obrazów matki, które utrwaliła dziecięca pamięć. Był to jej ulubiony sposób przywoływania snu. Całe życie tak robiła - zapadała w czarną otchłań snu z wizerunkiem matki obecnym do ostatniej chwili w zanikającej świadomości. Ale ta matka nie była małą Daisy z prerii ani kobietą z dagerotypu. Tamte istniały, zanim Saxon przyszła na świat. Przed snem widywała matkę starszą, wyczerpaną bezsennością, lecz mężną w swoim cierpieniu. Matkę, która chodziła, wciąż chodziła - krucha istota, łagodna i nieustraszona, umierająca z braku snu, siłą woli utrzymująca się przy życiu i siłą woli broniąca się przed szaleństwem. Nie mogła jednak siłą woli przywołać snu, żaden lekarz nie umiał jej snu przywrócić. Wędrowała, bezustannie wędrowała po domu, torturę łóżka zamieniając na torturę fotela przez długie dni i tygodnie udreki; ale nie skarżyła się nigdy, chociaż cierpienie zniekształcało jej mężny uśmiech, a mądre szare oczy, wciąż mądre i szare, były teraz nienaturalnie duże i zaskakiwały bezdenną głębią.

Tej jednak nocy Saxon nieprędko przywołała sen. Wędrująca matka to przychodziła, to znikła, a w przerwach pod powiekami zjawiał się Bill - jego twarz o chmurnych i posępnych pięknych oczach. I jeszcze raz, zanim sen nadpłynął, Saxon zadała sobie pytanie: - Czy to jest ON?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Praca w prasowni toczyła się wartko, ale trzy dni do środy wieczór były nieznośnie długie. Saxon nucila nad sztukami bielizny, które z błyskawiczną szybkością wychodziły spod jej żelazka.

- Nie rozumiem, jak ty to robisz - dziwiła się Mary.

- Jeżeli tak dalej pójdzie, dostaniesz w tym tygodniu trzynaście albo czternaście dolarów.

Saxon odpowiedziała jej uśmiechem i w kłębach pary ujrzała tańczące złote litery, które układały się w jedno słowo: „środa”.

- Co myślisz o Billu? - spytała Mary.

- Podoba mi się - brzmiała szczerą odpowiedź.

- Hm... radzę ci, żebyś na tym poprzestała.

- Nie poprzestanę, jeżeli przyjdzie mi taka ochota - odparła Saxon wesoło.

- Nie radzę ci - ostrzegła ją Mary. - Napytasz sobie tylko biedy. On nie należy do tych, co się żenią. Niejedna dziewczyna już się o tym przekonała. A w ogóle dziewczyny za nim latają.

- Nie mam zamiaru za nim latać... ani za żadnym innym mężczyzną.

- Pomyślałam sobie, że zawsze lepiej, jak ci powiem - wyjaśniła Mary. - Słówko przestrogi nigdy nie zaszkodzi.

Saxon spoważniała.

- Bill nie jest chyba... nie jest... - zaczęła i oczami dopowiedziała zdanie, które nie chciało jej przejść przez gardło.

- Och, nie, nic podobnego... chociaż gdyby chciał, pozwoliłyby mu na wszystko. Jest uczciwy, nie o to idzie. Ale złapać dziewczynie się nie da. Tańczy, zaprasza, bawi się, tylko że poza tym - nici. Zakład, że kocha się w nim z kilkanaście naraz. A on nic, tylko na nie gwizdże. Na przykład taka Lily Sanderson... znasz ją chyba. Musiałaś ją widzieć zeszłego lata na pikniku Związku Słowian w Shellmound - wysoka, przystojna blondynka, była w towarzystwie Butcha Willowsa.

- Owszem, pamiętam ją - odparła Saxon. - No i co?

- Już od Bóg wie jak dawna chodziła z Butchem Willowsem, ale ponieważ doskonała z niej tancerka, Bill ciągle ją prosił do tańca. Butch nie jest tchórz. Wolał od razu wyłożyć karty na stół, więc przyłapał Billa przed salą i w obecności wszystkich powiedział mu, co miał do powiedzenia. Bill słuchał w ten swój senny, spokojny sposób, a tymczasem Butch

coraz bardziej się wściekał i wściekał i wszyscy przypuszczali, że będzie chryja.

Potem Bill zwrócił się do Butcha: „Skończyłeś?”

„Tak - mówi Butch. - Powiedziałem, co miałem do powiedzenia, i co ty teraz masz zamiar zrobić?” - Wtedy Bill powiedział... jak myślisz, co on mu powiedział? Pamiętaj, że wszyscy im się przyglądali i Butch aż się rwał do bójki. Bill powiedział: „Nic nie zrobię”. Tylko tyle. Butch tak zgłupiał, że dziecko mogłoby go pchnąć palcem i przewrócić. „I nie będziesz z nią więcej tańczył?” - pyta. „Nie będę, jeśli ty mi tego bronisz” - mówi Bill. Tylko tyle.

Sama wiesz, że gdyby ktoś inny przyjął od drugiego takie pyskowanie, wszyscy by go palcami pokazywali. Ale z Billem inna sprawa. Bill może sobie na to pozwolić. Wszyscy wiedzą, jaki z niego bokser, więc kiedy ustąpił Butchowi, nikt nie pomyślał, że się go boi czy coś takiego. Po prostu Lily Sanderson tyle go obchodziła, co zeszłoroczny śnieg, a każdy wiedział, że ona za nim wariuje.

Ten opowiedziany przez Mary epizod przysporzył Saxon niemało zgryzoty. Miała, rzecz jasna, sporo zwykłej kobiecej próżności, ale jeśli idzie o sztukę zdobywania mężczyzn, była wręcz zarozumiała - i to nie bez podstaw. Taniec z nią najwyraźniej sprawiał Billowi przyjemność i Saxon zastanawiała się, czy to było wszystko. Jeżeli Charley Long będzie go próbował nastraszyć, czy Bill machnie na nią ręką, jak na Lily Sanderson? Nie należał do mężczyzn skorych do ożenku; ale z drugiej strony Saxon nie mogła zamykać oczu na fakt, że był świetną partią. Nic dziwnego, że dziewczęta za nim biegały. Podbijał nie tylko kobiety, ale i mężczyzn. Mężczyźni go lubili. Bert Wanhope po prostu za nim przepadał. Saxon przypomniawszy sobie zabijakę z Butchertown, który na pikniku przyszedł do ich stołu, żeby Billa przeprosić, i Irlandczyka, który zaledwie go rozpoznał, zaniechał myśli o walce.

„Zepsuty powodzeniem młody chłopak” - ta myśl często przychodziła Saxon do głowy; i za każdym razem dziewczyna potępiała ją jako niesprawiedliwą. Był łagodny w ten swój dręcząco powolny sposób. Mimo niespotykanej siły nie rozpychał się łokciami; nie wykorzystywał swej przewagi nad innymi. A jeśli idzie o Lily Sanderson... Saxon kilkakrotnie analizowała tę sprawę, rozpatrywała szczegóły. Dziewczyna była mu obojętna, więc się też natychmiast wycofał i ustąpił miejsca Butchowi. Bert nigdy by się na to nie zdobył, już choćby z czystej przekory i zamiłowania do awantur. Doszłoby naturalnie do bójki, Butch zostałby jego śmiertelnym wrogiem, a dla Lily nic by z tego dobrego nie wynikło. Ale Bill zrobił to, co powinien był zrobić - leniwie, z niewzruszonym spokojem i nie krzywdząc nikogo. Dzięki temu wszystkiemu wydawał się Saxon bardziej godny pożądanego, ale i trudniejszy do zdobycia.

Kupiła nową parę jedwabnych pończoch. Był to wydatek, na który nie mogła się zdecydować od kilku tygodni. A we wtorek szła do późnego wieczora nową bluzkę, czym naraziła się na wymówki Sary, że zużywa za dużo gazu.

Zabawa w klubie „Orindore” miała swoje ciemne strony. Dziewczęta wprost bezwstydnie narzucały się Billowi, a chwilami leniwa uprzejmość, jaką im okazywał, była dla Saxon prawie irytująca. Musiała jednak w duchu przyznać, że nie ranił uczuć innych mężczyzn, tak jak dziewczęta raniły jej uczucia. Niewiele brakowało, a byłyby go wręcz prosiły do tańca i Saxon dobrze widziała, jak natrętnie się do niego zalecają. Postanowiła, że sama się do tego nie poniży, i raz po raz odmawiała mu tańców, ale podświadomie zdawała sobie sprawę, że jej taktyka jest właściwa. Z rozmysłem starała mu się dowieść, że ma powodzenie u innych mężczyzn, tak jak on mimowolnie jej pokazywał, że podoba się innym kobietom. Moment szczęścia przyszedł, kiedy Bill zimno i stanowczo odrzucił jej sprzeciwy i zażądał dwóch tańców więcej, niż mu początkowo obiecała. Rada też była - jak również zagniewana - gdy podsłuchiwała rozmowę dwóch silnych, młodych dziewcząt z fabryki konserw. „Widziałas, jak to małe chuchro go przy sobie trzyma?” - powiedziała jedna. A druga: „Powinna mieć dość rozumu w głowie, żeby latać za kimś w swoim wieku”. „Porywaczka niemowląt” - tak brzmiała ostatnia zjadliwa uwaga, która zabarwiła rumieńcem gniewu policzki Saxon. Dziewczęta odeszły nie wiedząc, że zostały podsłuchane.

Bill odprowadził ją do domu, pocałował na pożegnanie i otrzymał przyrzeczenie, że w piątek wieczorem pójdzie z nim na zabawę do „Germania Hall”.

- Właściwie się nie wybierałem - powiedział. - Ale jeżeli powiesz słówko... Bert tam będzie.

Nazajutrz rano w prasowni Mary oznajmiła jej, że idzie z Bertem na piątkową zabawę.

- Wybierasz się? - spytała.

Saxon skinęła głową.

- Z Billem Robertsem?

Saxon ponownie skinęła głową, a Mary odstawiła żelazko i przyjrzała jej się ciekawie, badawczo.

- Słuchaj, a co będzie, jak Charley Long zacznie się stawiać?

Saxon wzruszyła ramionami.

Przez piętnaście minut prasowały szybko i w milczeniu.

- No cóż - przemówiła w końcu Mary - jeżeli zacznie się stawiać, może dostanie baty. Chciałabym to zobaczyć. Nadęty balon! Wszystko zależy od tego, co Bill czuje... naturalnie

do ciebie.

- Nie jestem Lily Sanderson - oburzyła się Saxon. - Możesz być pewna, że nie dam Billowi okazji do tego, żeby mnie zostawił na lodzie.

- Dasz mu Saxon, jeżeli Charley Long zacznie się stawiać. Już ja ci mówię, że Charley nie jest dżentelmen: Pomyśl tylko, co zrobił z panem Moody. Haniebnie go pobił. A to taki spokojny człeczyna, muchy by nawet nie skrzywdził. Swoją drogą zobaczyłby, że z Billem Robertsem to nie przelewki.

Tego wieczoru Charley Long czekał przed wejściem do pralni. Gdy przywitał się z nią i zaczął iść przy niej, Saxon znowu poczuła w sercu owo nieprzyjemne drżenie, którego zawsze doznawała w jego obecności. Pod wpływem złych przeczuć i lęku wywołanego widokiem Longa cała krew odpłynęła dziewczynie z twarzy. Bała się masywnej postaci tego człowieka; bała się jego dużych piwnych oczu, władczych i pewnych siebie, bała się wielkich rąk kowala i grubych, silnych palców porośniętych kępkami włosów. Ten człowiek raził jej oczy i wszystkie subtelniejsze uczucia. Nie tyle jego siła, ile rodzaj tej siły i sposób, w jaki jej nadużywał, były Saxon nienawistne. Brutalność wobec łagodnego pana Moody budziła w niej zgrozę. A przecież bez wstępu przyglądała się Billowi walczącemu w Weasel Park w ten sam prymitywny, zwierzęco-ludzki sposób. Było to jednak co zupełnie innego. Odczuwała różnicę, chociaż nie umiała jej zanalizować. Uderzała ją tylko brutalność rąk tego człowieka i brutalność jego umysłu.

- Jesteś blada i minę masz zmęczoną - powiedział. - Dlaczego nie rzucisz pracy? Tak czy siak będziesz musiała to zrobić. Nie wymkniesz mi się, mała.

- Mam nadzieję, że tak - odparła.

Roześmiał się z wulgarną jowialnością. - Nic z tego, Saxon. Jesteś stworzona, żeby zostać panią Long, i możesz być spokojna, że nią zostaniesz.

- Chciałabym być wszystkiego taka pewna jak ty - powiedziała z łagodną drwiną, która chybiła celu.

- Już ja ci to mówię - ciągnął - że możesz być pewna, że ja jestem tego pewien. - Roześmiał się, zadowolony z dowcipu. - Kiedy czegoś chcę, zawsze to dostanę, a jak mi coś stanie na drodze, marne tego czegoś widoki. Zrozumiałas? Będziesz moja i nie ma o czym gadać, więc lepiej przestań wreszcie kręcić nosem i przyjdź pracować u mnie w domu zamiast w pralni. Źle na tym nie wyjdiesz. Roboty dużo nie będziesz miała. Zarabiam dobrze i niczego ci nie zbraknie. Wiesz, tylko się umyłem po pracy i skoczyłem tu po ciebie. Jeszcze raz ci to wszystko mówię, żebyś przypadkiem nie zapomniała. Nawet nic nie zjadłem, co wskazuje, jak dużo o tobie myślę.

- A może byś tak lepiej poszedł coś zjeść? - poradziła, chociaż wiedziała, że i tak nie zdoła się go pozbyć.

Prawie nie słyszała tego, co do niej mówił. Ogarnęło ją nagle zmęczenie, poczuła się dziwnie słaba i mała przy tym olbrzymie. „Czy zawsze będzie mnie dręczył?” - zapytywała się z rozpaczą i zobaczyła w wyobraźni długą, nużącą drogę przyszłego życia i przy sobie twarz i masywną postać prześladowającego ją kowala.

- Dalej, mała, nie rób kawałów - ciągnął Long. - Mamy teraz lato, lato to najlepsza pora do żeniaczki.

- Tylko że ja nie mam zamiaru za ciebie wychodzić - rzekła gniewnie. - Mówiłam ci to już tysiąc razy.

- Och, zapomnijmy o tym. Lepiej nie wbijaj sobie takich myśli do tej małej mózgowicy. Ma się rozumieć, że za mnie wyjdiesz. To mur. A drugi mur to, że w piątek pojedziesz ze mną do San Francisco. Będzie pierwsza klasa zabawa u kowali.

- Nie pojedę - rzuciła.

- A jakże, pojedziesz - odparł ze spokojną pewnością siebie. - Wrócimy ostatnim statkiem, a ubawisz się za wszystkie czasy. I przedstawię ci kilku pierwszorzędnych tancerzy. Taki zazdrosny to ja nie jestem, a wiem, że lubisz tańczyć.

- Mówiłam ci, że nie mogę pojechać.

Rzucił jej podejrzliwe spojrzenie spod czarnych, krzaczastych brwi, zrośniętych nad nosem.

- Dlaczego nie możesz?

- Umówiłam się - odparła.

- Z którym facetem?

- Nie twoja sprawa. Umówiłam się i niech ci to wystarczy.

- Owszem, to moja sprawa. Pamiętasz tego osła buchaltera? Radzę ci nie zapominać o biciu, jakie dostał.

- Och, czy nie mógłbyś wreszcie zostawić mnie w spokoju? - zawołała gniewnie. - Czy nie mógłbyś chociaż raz postąpić przyzwoicie?

Kowal roześmiał się nieprzyjemnie.

- Jeżeli jakiś facet sobie wyobraża, że może się pchać między mnie i ciebie, dostanie zdrową nauczkę, bo ja lubię być nauczycielem... Piątek wieczór, co? Gdzie?

- Nie powiem ci.

- Gdzie? - powtórzył.

Wargi miała zaciśnięte, na policzkach czerwone plamy gniewu.

- He, he... tak jakbym nie mógł zgadnąć! „Germania Hall”. W porządku, przyjdę tam i odprowadzę cię potem do domu. Zrozumiałas? I lepiej zrobisz, jak powiesz temu facetowi, żeby poszedł do diabła, chyba że chcesz zobaczyć, jak mu zrobię marmoladę z twarzy.

Saxon, dotknięta w swej kobiecej dumie tym poniżającym traktowaniem, ledwie oparła się pokusie rzucenia Charleyowi w twarz nazwiska i bokerskich kwalifikacji swojego nowego opiekuna. Ale zlekka się. Long to ogromny mężczyzna, a Bill jest tylko chłopcem. Zawsze robił na niej takie wrażenie. Przypomniała sobie ręce Billa - takie, jak je po raz pierwszy zobaczyła - i zerknęła ukradkiem na ręce mężczyzny u swego boku. Były dwa razy większe niż ręce Billa, a kępki włosów na palcach zdawały się dowodzić straszliwej siły. Nie, Bill nie dałby rady temu wielkiemu dzikusowi. Nie powinien z nim walczyć. Ale nagle w Saxon zbudziła się nadzieja - maleńki promyk złej nadziei, że dzięki owym tajemniczym i niepojętym bokerskim właściwościom Bill zdoła może zwyciężyć tego brutala i uwolnić ją od niego. Ale gdy znowu na niego spojrzała, wróciło zwątpienie, wzrok jej zatrzymał się bowiem na potężnych barach kowala. Dostrzegła miejsce, gdzie sukno kurtki marszczyło się nad węzłami mięśni i bicepsy wypychały rękawy.

- Jeżeli jeszcze raz ośmielisz się podnieść rękę na kogoś, z kim chodzę... - zaczęła.

- A jakże, każdy taki dostanie - przerwał jej Long szczerząc zęby. - I będzie mu się to słusznie należało. Z faceta, co próbuje sprzątnąć człowiekowi dziewczynę sprzed nosa, powinno się zrobić sieczkę.

- Nie jestem twoją dziewczyną, a wmawianie tego we mnie nic ci nie pomoże.

- W porządku, powściąkaj się trochę - powiedział z uznaniem. - Do twarzy ci ze złością. Masz w sobie ogień i gorącość. Lubię na to patrzeć. Takiej kobiety człowiek potrzebuje na żonę... a nie tych rozmazgajonych ciepłych klusek. Tamte są jak drewno, a ty przynajmniej żyjesz i jesteś jak kawałek węgla.

Zatrzymała się przed domem i położyła rękę na furtce.

- Do widzenia - powiedziała.

- Poczekam na ciebie. Pójdziemy się przejść do parku Idora - zaproponował.

- Nie, jestem zmęczona i zaraz po kolacji idę do łóżka.

- Ho, ho! - drwił. - Odpoczywamy przed jutrzejszymi tańcami, he?

Otworzyła furtkę niecierpliwym gestem i weszła do środka.

- Zdaje się, że ci wszystko jasno wyłożyłem - ciągnął. - Jak nie pójdziesz ze mną jutro, ktoś mocno oberwie.

- Mam nadzieję, że ty - zawołała mściwie.

Roześmiał się odrzucając głowę, wypinając piersi i podciągając potężne bary. Poczula

obrzydzenie, bo ruch ten przypominał jej ogromnego goryla, którego widziała kiedyś w cyrku.

- No, to dobranoc - powiedział. - Zobaczymy się jutro wieczorem w „Germania Hall”.

- Wcale ci nie powiedziałam, że tam idę. - I nie powiedziałaś, że tam nie idziesz. W każdym razie ja się wybieram. Odprowadzę cię do domu. I pamiętaj, żebyś zostawiła dla mnie dużo wirowych tańców. W porządku, w porządku, powściekaj się trochę. Ładnie ci z tym.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy po odegraniu walca orkiestra umilkła, Bill z Saxon znajdowali się właśnie przy głównym wejściu na salę.

Wsunęła mu rękę pod ramię i szła u jego boku, rozglądając się za wolnym miejscem, gdy Charley Long zastąpił im drogę.

- To pan jesteś ten facet od pchania się, gdzie go nie proszą - warknął. Twarz miał groźną, wykrzywioną wściekłością.

- Kto? Ja? - spytał Bill łagodnie. - To jakaś pomyłka. Nigdy tego nie robię.

- Jeżeli się stąd prędko nie wyniesiesz, możesz zostać przypadkiem skrócony o głowę!

- O, bardzo bym nie chciał, żeby mi się to przydarzyło - wycedził Bill. - Chodź, Saxon, ta okolica nie jest dla nas zdrowa.

Zrobili kilka kroków, ale Long znowu zastąpił im drogę.

- Takiś ładny i świeży, bratku, że się nie uchowasz - warknął. - Warto by cię trochę przysolić. Rozumiesz?

Bill podrapał się w głowę, jego twarz wyrażała przesadne zdumienie.

- Słowo daję, że pana nie rozumiem - wyznał. - Co pan takiego powiedział?

Ale olbrzymi kowal pogardliwie się od niego odwrócił i rzekł do Saxon:

- Chodź no tu, pokaż swój karnecik.

- Czy chcesz z nim tańczyć? - spytał Bill.

Potrząsnęła głową.

- Przykro mi, bracie, ale nic z tego - powiedział Bill, po raz trzeci usiłując odejść.

Kowal po raz trzeci zastąpił im drogę.

- Odejdź, bracie, i poszukaj, czy cię nie ma gdzie indziej - poradził mu Bill.

Niewiele brakowało, a Long byłby się na niego rzucił. Zacisnął pięści, jedną rękę cofnął już dla lepszego rozmachu przed ciosem, ramiona i piersi wysunął do przodu. Powstrzymał się jednak na widok spokojnej postawy Billa i jego zimnych, chmurnych oczu. Nie drgnął w nim ani jeden mięsień, nie zmienił się wyraz twarzy. Mogło się zdawać, że nie zauważa grożącej mu napaści. Wszystko to było czymś zupełnie nowym dla Longa.

- Może nie wiesz, pętake, kim jestem? - powiedział groźnie.

- Uhm, wiem - odparł lekko Bill. - Jesteś rekordzistą od robienia awantur. - Tu zadowolenie pojawiło się na twarzy Longa. - Powinieneś dostać nagrodę „Gazety Policyjnej” za rozbijanie wózków dzieciennych. Głowę dam, że się tego nie boisz.

- Zostaw go, Charley - radził jeden z mężczyzn, którzy otoczyli ich kołem. - To jest

ten bokser, Bill Roberts. Słyszałeś o nim. Wielki Bill.

- Dla mnie może być choćby Jimem Jeffriesem. Niech się nie pcha, gdzie go nie wołali - burknął Long.

Ale nawet Saxon zauważyła, że jego wściekłość mniej jest teraz zapalczywa. Nazwisko Billa działało uspokajająco na awanturników.

- Znasz go? - spytał Bill.

Odpowiedziała mu tylko wzrokiem, chociaż zdawało się, że powinna była postawić tysiąc zarzutów temu brutalowi, który z takim uporem ją prześladował. Bill zwrócił się do kowala:

- Słuchaj, bratku, nie radzę ci ze mną zaczynać. Wiem, co myśleć o takich jak ty. A zresztą po co mielibyśmy się bić? Przecież ona ma tu najwięcej do powiedzenia.

- Nie, nie ma. To jest sprawa między tobą a mną.

Bill powoli potrząsnął głową. - Nie, bracie, mylisz się. Jej zdanie jest najważniejsze.

- No, to mów - warknął Long do Saxon. - Z kim będziesz chodziła, z nim czy ze mną? Zamiast odpowiedzi Saxon sięgnęła wolną ręką do ręki, którą trzymała Billa pod ramię.

- Ładnie powiedziane - zauważył Bill.

Long spojrział złowrogo na Saxon, potem przeniósł wzrok na jej opiekuna.

- Mam wielką chęć jeszcze się z tobą porachować - rzucił przez zęby.

Gdy odchodzili, Saxon była wniebowzięta. Nie podzieliła losu Lily Sanderson, a jej cudowny chłopak - spokojny i nieporuszony - zwyciężył ogromnego kowala, chociaż nie podniósł nawet ręki do ciosu.

- Bezustannie mi się narzucał - wyszeptała do Billa. - Próbował mną rządzić i bił każdego mężczyznę, który się do mnie zbliżył. Nie chcę go więcej na oczy widzieć!

Bill natychmiast się zatrzymał. Long, który właśnie odchodził, także przystanął.

- Ona powiada, że nie chce mieć z tobą więcej do czynienia - zwrócił się do niego i Bill. - A jak ona powiada, tak ma być. Jeżeli szepnie mi słówko, że ją napastujesz, zajmę się twoją osobą. Zrozumiano?

Long spojrział na niego z wściekłością, ale milczał.

- No jak, zrozumiałeś? - powtórzył Bill ostrzej.

Kowal przytaknął warknięciem.

- W porządku - rzekł Bill. - Radzę ci, żebyś o tym pamiętał. A teraz z drogi, bo inaczej podepczę.

Long cofnął się mamrocząc pod nosem jakieś niewyraźne pogroźki i Saxon zaczęła iść

jak we śnie. Charley Long stchórzył. Zląkł się tego chłopca o gładkiej cerze i błękitnych oczach. Bill uwolnił ją od niego, chociaż żaden inny mężczyzna nie odważył się tego zrobić. I lubi ją bardziej niż Lily Sanderson.

Dwukrotnie Saxon usiłowała opowiedzieć Billowi szczegóły swojej znajomości z Longiem, ale dwukrotnie jej przerywał.

- Ani mnie to ziębi, ani grzeje - powiedział za drugim razem. - Jesteś ze mną, prawda?

Ale postawiła na swoim i gdy zdenerwowana i rozzłoszczona własnymi słowami skończyła opowieść, Bill poklepał ją po ręce uspokajająco.

- Teraz wszystko będzie w porządku, Saxon - powiedział. - Ten człowiek to nadęta purchawka. Poznałem się na nim, jak tylko na niego spojrzałem. Nie będzie ci się więcej naprzykrzał. Znam ten gatunek. Zwyczajny łajdak. Grozi piekłem? Takiego piekła niemowlęta by się nie zlekły.

- Ale jak ty to robisz? - spytała bez tchu. - Dlaczego mężczyźni tak się ciebie boją? Jesteś po prostu wspaniała.

Uśmiechnął się zaambarasowany i zmienił temat.

- Wiesz co - powiedział - lubię twoje zęby. Są takie białe i równe, ani za duże, ani za małe, jak u dziecka. Są... są akurat takie, jakie powinny być, i ładnie ci z nimi. Nigdy nie widziałem u dziewczyny takich ładnych zębów. Słowo daję, że jak na nie patrzę, robię się głodny. Człowiek miałby cię ochotę zjeść.

O północy, pożegnawszy się z nienasyconą parą, Bertem i Mary, Saxon i Bill wyruszyli do domu. On zaproponował ten wczesny powrót, czuł się więc w obowiązku wytłumaczyć przed nią.

- Jednego się nauczyłem, kiedy walczyłem jeszcze na ringu - powiedział. - Dbać o siebie. Człowiek nie może pracować cały dzień, tańczyć całą noc i zachować dobrą kondycję. Z pićem rzecz ma się podobnie... a nie myśl, że jestem taki znowu anioł ze skrzydełkami. Zdarzało mi się pić i upijać w trupa. Lubię piwo, i to w dużych ilościach. Ale nie piję nigdy tyle, na ile mam ochotę. Próbowałem, nie warto. Weź tego nadętego balona, który nas dzisiaj zaczepiał. Właściwie powinien mieć nade mną przewagę. Jest tchórz, to swoją drogą, ale poza tym był nasiąknięty piwem jak gąbka. Zobaczyłem to, jak tylko na niego spojrzałem, a od takich rzeczy zależy, kto ma nad kim przewagę. Kondycja, to jest ważne.

- Ale on jest taki ogromny - upierała się Saxon. - Ma pięści dwa razy większe od twoich.

- To nic, nie znaczy. Ważne jest to, co te pięści potrafią. On zacząłby się na pewno rzucać jak dziki koń na prerii. Gdybym mu nie dał rady na samym początku, markowałbym

tylko, zasłaniał się i czekał. Potem nagle byłoby po nim... wiesz, nie wytrzymałby... płuca! serce, wszystko. I wtedy zrobiłbym z nim, co bym tylko chciał. Rzecz w tym, że on też to wiedział.

- Jesteś pierwszym bokserem zawodowym, jakiego znam - powiedziała Saxon po chwili milczenia.

- Nie jestem już - poprawił ją prędko. - Tego też mnie boks nauczył... że lepiej trzymać się od ringu z daleka. Na dłuższą metę nie popłaca. Człowiek trenuje i trenuje, aż osiąga taką kondycję, że mógłby żyć sto lat. A potem idzie na ring i rozpoczyna ciężkie dwadzieścia rund z tym czy innym twardym przeciwnikiem, który walczy nie gorzej od niego, i podczas tych dwudziestu rund zużywa całą swoją dobrą kondycję i rok życia na dodatek. A jakże, a czasem zużywa pięć lat życia albo dzieli je na pół, albo szasta całe na raz. Przyglądałem się walkom. Widziałem mężczyzn silnych jak woły, którzy rozgrywali na ringu ciężką walkę i w ciągu roku umierali na suchoty albo nerki, albo na coś takiego. Więc jaka korzyść? Nie kupią za żadne pieniądze tego, co na ringu zmarnowali. Dlatego rzuciłem boks i wziąłem się z powrotem do powożenia. Zdobyłem dobrą kondycję i zamierzam ją utrzymać. To wszystko.

- Musisz być chyba dumny z tego, że masz przewagę nad innymi mężczyznami - powiedziała cicho, uświadamiając sobie, że sama odczuwa dumę na myśl o jego sile i zręczności.

- To prawda - wyznał szczerze. - Jestem rad, że walczyłem... nie mniej niż z tego, że się z walk wycofałem... Tak, nauczyło mnie to niejednego, przede wszystkim trzymać oczy otwarte i zachować spokój. Och, mam gwałtowne usposobienie, temperament piekielnika. Czasem boję się samego siebie. Dawniej co rusz wybuchiałem. Ale boks nauczył mnie ściągać mocniej wędzidło i nie robić rzeczy, których bym potem żałował.

- Przecież ty jesteś najłagodniejszym, najspokojniejszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam! - wtrąciła Saxon.

- Nie wierz w to. Poczekaj trochę, a zobaczysz, że jak kiedyś wybuchnę, sam nie będę wiedział, co robię. Och, jak wpadnę w złość, człowiekowi od samego patrzenia mogą włosy dęba stanąć na głowie.

Ta między wierszami wyczytana zapowiedź podtrzymania znajomości przeniknęła Saxon radosnym dreszczem.

- Słuchaj - powiedział, gdy zbliżali się do dzielnicy, w której mieszkała - co robisz w niedzielę?

- Nic. Nie mam żadnych planów.

- To może pojechalibyśmy dwukółką na cały dzień gdzieś na wzgórze? Nie odpowiedziała od razu. Na chwilę stanął jej przed oczami przerażający obraz ostatniej takiej wyprawy - przestach i skok z powozika na ziemię, długi, wielomilowy marsz, gdy potykając się szła i szła przez ciemność i czuła każdy kamień przez podeszwy cienkich pantofelków. A potem napłynęła ciepła fala radości, że ten mężczyzna obok niej jest taki.

- Kocham konie - powiedziała. - Kocham je chyba bardziej niż taniec, tylko że wcale się na nich nie znam. Mój ojciec miał deresza. Bo wiesz, był kapitanem kawalerii. Nie znałam ojca, ale mimo to widzę go na tym koniu, przewiązanego szarfą w pasie, z szablą u boku. Tę szablę ma teraz mój brat George, ale Tom - to jest brat, u którego i mieszkam - mówi, że szabla jest moja, ponieważ nie należała do ich ojca, bo oni są moimi przyrodnimi braćmi. Ja byłam jedynym dzieckiem z drugiego małżeństwa matki. To było jej prawdziwe małżeństwo... małżeństwo z miłości.

Urwała raptownie, wstydząc się tego wybuchu. Ale jakiś impuls nakazywał jej opowiedzieć temu młodemu mężczyźnie wszystko o sobie, miała zaś uczucie, że te dawne wspomnienia są ważną częścią jej osobowości.

- Mów dalej, Saxon - prosił Bill. - Lubię słuchać o tych dawnych ludziach z dawnych czasów. Ja też pochodzę z pionierskiej rodziny, a jakoś mi się zdaje, że w tamtych czasach ludzie lepiej żyli. Wtedy świat był jakiś rozsądniejszy i naturalniejszy. Nie bardzo potrafię powiedzieć, co mam na myśli, ale idzie mi o to, że nie rozumiem dzisiejszego życia. Są związki zawodowe i są stowarzyszenia pracodawców, są strajki i kryzysy, pogoń za pracą i tak dalej. W dawnych czasach tego wszystkiego nie było. Ludzie pracowali na roli, polowali, mieli dość jedzenia i mogli zaopiekować się rodzicami na stare lata. Teraz wszystko jest tak pokręcone, że nic z tego nie mogę zrozumieć. Może jestem głupi. Nie wiem. W każdym razie opowiedz mi o swojej matce.

- No więc kiedy była młoda, poznali się z kapitanem Brownem i zakochali w sobie. Był w wojsku, jeszcze nim zaczęła się wojna. Jak wojna wybuchła, odkomenderowali go na wschód, a ona pojechała pielęgnować swoją chorą siostrę, Laurę. I potem przyszła wiadomość, że kapitan Brown zginął pod Shiloh. W jakiś czas później wyszła za mąż za człowieka, który kochał ją całe życie. Znali się od dziecka, on jako chłopiec przebywał prerie w tej samej grupie wozów. Lubiła go, ale go nie kochała. Potem przyszła wiadomość, że mój ojciec wcale nie zginął. Matka naturalnie wzięła to sobie do serca, ale się nie załamała. Była dobrą matką i żoną, tylko że był w niej taki jakiś wielki smutek, i tyle dobroci, i łagodności... i myślę, że miała najpiękniejszy głos na świecie.

- Dzielna kobieta, nie ma co - rzekł z uznaniem Bill.

- A mój ojciec nie ożenił się. Kochał ją ciągle. Mam w domu śliczny wiersz, który dla niego napisała. Jest po prostu wspaniały i brzmi jak muzyka. Wiele, wiele lat później pierwszy mąż matki umarł i wtedy oni się pobrali, i to było ich małżeństwo z miłości. Pobrali się dopiero w roku 1882 i ona nie była już wtedy młoda.

Stanęli przed furtką. Saxon dalej mówiła Billowi o matce. A gdy pocałował ją na dobranoc, zdawało jej się, że był to pocałunek odrobinę dłuższy, niż zwyczaj nakazywał w takich okolicznościach.

- Więc jak? Może o dziewiątej? - spytał. - I nie zwracaj sobie głowy obiadem czy czymś takim. To już moja sprawa. Bądź tylko gotowa na dziewiątą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W niedzielę rano Saxon była gotowa przed umówioną godziną i gdy wyrzawszy po raz drugi na ulicę wracała przez kuchnię, Sara rozpoczęła swój zwykły atak.

- To wstyd i obraza boska, jak niektórzy ludzie szastają na lewo i prawo pieniędzmi, żeby kupować sobie jedwabne pończochy - zaczęła. - Spójrz na mnie... haruję od świtu do nocy i od nocy do świtu, a pończoch jedwabnych kupić sobie nie mogę ani trzech par trzewików naraz. Ale Bóg w niebie jest sprawiedliwy i niektórzy ludzie otworzą gębę ze zdumienia, kiedy przyjdzie dzień sądu i rozstrzygną się ich losy.

Tom, który palił fajkę i trzymał na kolanach najmłodsze z dzieci, mrugnął ukradkiem do Saxon na znak, że Sara znowu ma napad złego humoru. Saxon z wielką pilnością zawiązywała wstążkę we włosach jednej z brataniczek. Sara krzątała się hałaśliwie po kuchni, zmywając i sprzątając talerze po śniadaniu. Jęknęła, wyprostowała się nad zlewem i spojrzała na Saxon ze zdwojoną wrogością.

- Nawet nie odpowiadasz, co? A ja wiem dlaczego. Bo jeszcze nie wszystkim wstyd w tobie wygasł... Lata z bokserem! Słyszałam już o twoich ciemnych sprawkach z Billem Robertsem. Dobry z niego numer. Ale zobaczymy, co będzie, jak się Charley Long do niego weźmie.

- Och, nie powiedziałbym tego - wtrącił Tom. - Jak mi ludzie mówią, Bill Roberts to przyzwoity chłopiec.

Saxon uśmiechnęła się z wyższością osoby wtajemniczonej, a uśmiech ten rozwścieczył Sarę.

- Dlaczego nie wyjdiesz za Charleya Longa? Ma bzika na twoim punkcie i do kieliszka nie zagląda.

- Ale za to piwem nie gardzi - odcięła się Saxon.

- To prawda - przyznał Tom. - A wiem z całą pewnością, że zawsze ma beczułkę pod ręką w domu.

- Możesz sam z niej złopał? - warknęła Sara.

- Może - odparł Tom ocierając na to wspomnienie usta wierzchem dłoni.

- W każdym razie stać go na trzymanie beczułki w domu - podjęła Sara atak, skierowany teraz również przeciwko mężowi. - Z rachunkami nie zalega i zarabia dobrze... lepiej niż niektórzy inni.

- A poza tym nie ma żony i dzieci na utrzymaniu - podsunął Tom.

- Ani nie płaci furt składek na związki, które i tak żadnego pożytku nikomu nie przynoszą.

- Owszem, płaci - wyjaśnił uprzejmie Tom. - Niewiele by miał roboty w tym swoim warsztacie, czy w jakimś innym warsztacie w Oakland, gdyby nie tył w zgodzie ze Związkiem Kowali. Nie rozumiesz sytuacji klasy robotniczej, Saro. Związki muszą się mocno trzymać, bo inaczej robotnicy pozdychaliby z głodu.

- A jakże! - syknęła Sara. - Ja przecież nic nie rozumiem. Mam kurzy mózdzek. Jestem głupia i ty mi to mówisz w obecności dzieci. - Rozwścieczona zwróciła się do najstarszego chłopca, który drgnął i skulił się w sobie. - Willy, słyszałeś? Twoja matka jest głupia. Rozumiesz? Ojciec tak powiedział... powiedział jej to w oczy, w twojej obecności. Jest głupia i koniec. Poczekaj trochę, a powie, że jest obłąkana, i zamknie ją w domu wariatów. I jak ci się to będzie podobało, Willy? Przyjemnie ci będzie patrzeć na matkę w kaftanie bezpieczeństwa, co? Przyjemnie ci będzie, jak ją zamkną w celi, żeby więcej bożego świata nie oglądała, i jak ją będą bili niczym Murzyna przed wojną, bili kijami po głowie jak zwyczajnego czarnego Murzyna? Takiego masz ojca, Willy. Pomyśl, synku... matka, co cię rodziła, zamknięta w domu wariatów, a dokoła wszędzie obłąkańcy wyją i wrzeszczą i pełno oblanych wapnem ciał nieszczęśników, co ich na śmierć kijami zatłukli strażnicy.

Terkotała tak niezmordowanie, malując w najczarniejszych barwach przyszłość, jaką podstępnie przygotowywał dla niej mąż, a tymczasem chłopiec, przerażony tą niejasną, niezrozumiałą dla siebie katastrofą, zaczął płakać cicho, wygiąwszy wargi w podkówkę. Saxon nie wytrzymała i wybuchnęła.

- Na miłość boską, czy my nie możemy przebywać z sobą pięciu minut, żeby się od razu nie kłócić?

- Kto się kłóci? Niech tylko spróbuję słowo powiedzieć, zaraz na mnie oboje napadacie.

Saxon wzruszyła ramionami w poczuciu beznadziejności, a Sara zwróciła się z kolei do męża.

- Jeżeli kochasz o tyle więcej siostrunię od własnej żony, to po coś się ze mną żenił? Ze mną, twoją żoną, która rodziła ci dzieci i harowała dla ciebie, ręce sobie urabiała po łokcie i nie usłyszała ani jednego dobrego słowa, a same tylko obelgi, i to w obecności dzieci, że niby jestem obłąkana? A cóżes ty dla mnie takiego zrobił? To bym chciała wiedzieć... dla mnie, co ci gotowałam i prałam twoje brudne łachy, i cerowałam skarpetki, i całe noce przesiadywałam przy twoich bachorach, kiedy chorowały? Spójrz na to!

Wysunęła bezkształtną, spuchniętą stopę obutą w potwornych rozmiarów niechlujny

pantofel, którego wysuszona, nie nasycona pastą skóra pękała na brzegach. - Spójrz tylko na to! Spójrz na to! - Jej głos przybierał wciąż na sile, a jednocześnie stawał się osobliwie gardłowy. - Jedyne moje buty! Jedyne, jakie twoja żona ma w majątku! Nie wstyd ci? Gdzie są moje trzy pary butów? Spójrz na te pończochy!

Nagle głos odmówił jej posłuszeństwa. Usiadła przy stole - uosobienie nieszczęścia i złości. Wstała sztywna jak automat, nalała sobie filiżankę zimnej kawy i z tą samą sztywnością ruchów usiadła z powrotem. Jak gdyby w obawie, że sparzy sobie wargi, wylała trochę płynu o brunatnonijakiej barwie na spodek i dalej patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem. Piersi jej wznosiły się i opadały mechanicznym, przyspieszonym rytmem.

- Sara, Sara, uspokój się - prosił Tom.

W odpowiedzi Sara spokojnie, z uwagą i namysłem, jak gdyby od precyzji jej działania zawisły losy państw, przewróciła spodek z kawą do góry dnem. Podniosła prawą rękę powoli, lecz z rozmachem i powoli, z rozmachem wymierzyła Tomowi otwartą dłońią głośny policzek. Natychmiast też wzniosła głos w przenikliwym, monotonnym, obłąkańczo histerycznym krzyku, po czym siadła na podłodze i zaczęła kołysać się do przodu i tyłu w męce bezdennej rozpacz.

Cichy płacz Willy'ego zmienił się teraz w głośny szloch, zawtórowały mu dwie mniejsze dziewczynki. Twarz Toma była blada, rysy ściągnięte, a na policzku czerwieniały ślady palców Sary. Saxon pragnęła objąć go ramieniem i pocieszyć, nie śmiała jednak. Tom pochylił się nad żoną.

- Sara, źle się czujesz. Chodź, zaprowadzę cię do łóżka i skończę za ciebie sprzątanie.

- Nie dotykaj mnie, nie dotykaj mnie! - wrzeszczała, odsuwając się gwałtownie od niego.

- Wyprowadź dzieci na podwórze, Tom, albo weź je na spacer... zrób z nimi cokolwiek... - powiedziała Saxon. Była blada, wstrząśnięta, dygotała na całym ciele. - Idź, Tom, proszę cię, idź! Podam ci kapelusz. Idź. Zajmę się nią. Wiem, co trzeba robić.

Gdy Tom wyszedł z dziećmi, Saxon zaczęła się uwijać z szaleńczym pośpiechem. Udawała spokój, którego w niej nie było, ale którego musiała udzielić kobiecie wrzeszczącej w ataku hysterii. Ohydny wrzask wydostawał się na zewnątrz przez cienkie drewniane ściany i Saxon wiedziała, że słyhać go nie tylko w sąsiednich domach, ale także na ulicy i w domach po przeciwnej stronie. Bała się, że Bill przyjedzie, gdy Sara będzie jeszcze w najlepsze krzyczeć. A ponadto była oburzona, wstrząśnięta. Buntowała się cała jej natura, obrzydzenie graniczyło z uczuciem mdłości, zachowując jednak chłód i opanowanie głaskała czoło i głowę Sary powolnymi, kojącymi ruchami. Niebawem objąwszy ją ramieniem, zyskała tyle, że

przeraźliwy, ohydny, nie milknący wrzask uciszył się nieco. W kilka zaś minut później nieszczęsna kobieta leżała na łóżku szlochając spazmatycznie. Na czole i oczach Saxon położyła jej zimny okład z ręcznika, aby złagodzić migrenę, jak nazywały atak hysterii.

Na ulicy rozległ się stuk kopyt końskich i zatrzymał przed ich domem, lecz sytuacja na tyle już była opanowana, że Saxon mogła przemknąć się do drzwi wejściowych i pomachać Billowi ręką. W kuchni siedział Tom, przybity i niespokojny.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - Bill Roberts przyjechał, więc muszę już iść. Wejść do sypialni i posiedź przy niej. Możliwe, że zaśnie. W każdym razie nie, przynaglaj jej do niczego. Niech robi, co chce. Jeżeli pozwoli ci się wziąć za rękę, skorzystaj z okazji. W każdym razie spróbuj. Ale na początek jak gdyby nigdy nic zacznij jej zmieniać okłady.

Był dobrym, łatwym w pożyciu człowiekiem, ale jak większość ludzi Zachodu nie lubił okazywać uczuć. Skinął głową, podszedł do drzwi, aby wykonać polecenie - i w ostatniej chwili przystanął niezdecydowany. W spojrzeniu, które skierował na Saxon, była psia niemal wdzięczność i bezmiar braterskiej miłości. Saxon dostrzegła to i tkliwość wypełniła jej serce.

- Wszystko w porządku... nie myśl o tym, Tom - zawołała prędko.

Tom potrząsnął głową.

- Nie, wcale nie. To hańba, zwykła hańba. - Wzruszył ramionami. - Och, nie idzie mi o mnie. Myślę o tobie. Masz całe życie przed sobą, siostrzyczko. Ale zanim się obejrzyysz, przyjdzie starość wraz ze wszystkimi przekleństwami starości. Nie jest to dobry początek dnia wolnego od pracy. Zapomnij teraz o wszystkim, jedź ze swoim chłopakiem i baw się dobrze. - Gdy był już w drzwiach z ręką na klamce, zatrzymał się po raz drugi. Spazm bólu przebiegł mu po twarzy. - Ach, piekło! Pomyśl tylko! Czy ty wiesz, że Sara i ja jeździliśmy, kiedyś na przejażdżki dwukółką? I zdaje się, że miała wtedy trzy pary butów. Uwierzyłybyś w to?

Saxon pobiegła do swego pokoju, aby ubrać się do wyjścia. Najpierw weszła na krzesło i zerknąwszy w małe lustro na ścianie, obrzuciła krytycznym spojrzeniem lnianą spódnicę, którą kupiła gotową w sklepie. Dopasowała ją do swojej figury, zakiet zaś dostosowała do spódnicy i obrzuciła szwy podwójnym ścięciem, osiągając w ten sposób upragniony efekt stroju szytego na miarę. Stojąc wciąż na krześle, ściągnęła spódnicę mocno do tyłu i uniosła ją nieco. Widok, który ukazał się jej oczom, zadowolił ją w zupełności, potrafiła też docenić cienkość kostki nad płytkim brązowym bucikiem, jak również delikatną, a jednak pełną linię łydki obciągniętej jasnobrązową, nową pończochą bawełnianą. Zeskoczywszy na podłogę włożyła kapelusz marynarski z białej słomki, przybrany brązową wstążką tej samej barwy co pasek u spódnicy. Gwałtownym, szybkim ruchem potarła

policzki, przywołując w ten sposób rumieńce, które zniknęły z winy Sary, po czym zatrzymała się jeszcze chwilę, aby włożyć rękawiczki z jasnobrązowego kordonku. Przeczytała kiedyś w rubryce mody dodatku niedzielnego do gazety, że dama nigdy nie wkłada rękawiczek po wyjściu z domu.

Gdy mijając drzwi do pokoju sypialnego Sary usłyszała iście bawole jęki i westchnienia, powzięła mocne postanowienie, że ani policzki jej nie stracą barwy, ani oczy blasku. Sukces jej był zupełny, gdyż Bill nigdy by się nie domyślił, że to promienne, pełne życia stworzenie, które wybiegło ku niemu lekkim krokiem, stawiało przed chwilą czoło odrażającej hysterii i obłąkaniu.

Spojrzała na niego w promieniach porannego słońca i znowu uderzyła ją zdumiewająca jasność cery i włosów Billa. Policzki gładkie jak u dziewczyny barwił lekki rumieniec. Niebieskie oczy wydawały się bardziej niż zwykle błękitno-pochmurne, a płowe włosy bardziej niż zwykle nasuwały myśl o bladym złocie, którego w nich nie było. Nigdy dotąd nie wydał jej się tak wspaniale młody. A gdy na przywitanie uśmiechnął się do niej, jak gdyby leniwie pokazując białe zęby między czerwonymi wargami, w uśmiechu tym znowu dostrzegła obietnicę wychnienia i odpoczynku. Po pustoszącym zamięcie, jaki panował w umyśle bratowej, pokój Billa wydał się Saxon szczególnie pociągający. Wyśmiała w duchu ową gwałtowność, o jaką sam siebie oskarżał.

Jeździła już dwukółkami, ale zaprzężonymi w jednego konia, zwykle jakąś biedną szkapinę; dwukółki zaś, do których wsiadała, były ciężkie i odrapane, takie, jakie stajnie wypożyczają przez wzgląd na ich solidność i większą wytrzymałość. Ale teraz zobaczyła dwa konie nerwowo podrzucające łbami, niespokojne. Ich lśniaca i jedwabista, złotogniada sierść mówiła wyraźnie, że konie te nigdy w swym wspaniałym młodym życiu nie były wypożyczane. Rozdzielał je dyszel długi i zdumiewająco smukły, uprząż zaś miała nedorzecznie cienką i delikatną. I Bill należał tu jakimś prawem żywiołowości, był nieodłączną częścią tego obrazu, częścią składową, lecz zarazem władającą, wraz z delikatnym jak cacko, a jednak sprawnym i mocnym powozikiem o wąskim pudle, szeroko rozstawionych, ogumionych, żółtych kołach - powozikiem tak bardzo różniącym się od zwykłych pojazdów, jak Bill różnił się od mężczyzn, którzy biorąc ją na przejażdżkę, powozili ciężkimi stajennymi szkapami. Trzymał lejce jedną tylko ręką, ale przemawiając cichym i spokojnym głosem, pewnym siebie i zrównoważonym, panował nad młodymi, nerwowymi zwierzętami bardziej wolą i duchem niż siłą mięśni.

Szkoda było tracić czas. Rzuciwszy dokoła szybkie spojrzenie, Saxon zobaczyła, a także wyczuła kobiecą intuicją, że nie tylko zebrały się wokół nich gromadki ciekawych

dzieci, lecz że przyglądają im się dorośli przez otwarte drzwi i okna i spoza odsuniętych na bok lub podniesionych firanek. Bill wolną ręką odchylił płócienny fartuch dwukółki i pomógł Saxon wejść do środka. Wysokie oparcie, zbytkownie wybite brązową skórą, dało jej poczucie błogości dala jej bliskość tego człowieka, bliskość jego ciała.

- Jak ci się podobają? - spytał biorąc lejce do obu rąk i cmoknął na konie, które ruszyły z miejsca z szybkością błyskawiczną i dla Saxon zaskakującą. - Należą do szefa. Nie wypożyczyłbym nigdzie takich koni. Pozwala mi je czasem brać, żeby je rozruszać. Bo jak nie przegoni ich się regularnie, nie można sobie z nimi dać rady... Spójrz na Króla... widzisz, jak on bryka? Ma styl! Ale ten drugi jest o niebo lepszy. Nazywają go Księżę. Trzeba mieć siłę w rękach, żeby go utrzymać... Ach! Niech je licho! Popatrz, Saxon, jak one idą! Wspaniałe konie! Wspaniałe!

Z tyłu za nimi rozległ się pełen zachwytu okrzyk dzieci i Saxon westchnęła zadowolona, że wreszcie zaczął się szczęśliwy dzień.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie znam się zupełnie na koniach - powiedziała Saxon. - Nigdy nie jeździłam konno, a jak próbowałam powozić, to zawsze tylko jednym koniem, i to albo kulawym, albo ledwie powłóczącym nogami, albo jakimś takim. Ale nie boję się koni. Przepadam za nimi. Musiałam się z tym chyba urodzić.

Bill spojrzał na nią z uznaniem, ba - nawet z zachwytem.

- To rozumiem. To mi się w kobiecie podoba. Odwaga. Możesz mi wierzyć, że dziewczyny, które brałam ze sobą na przejażdżkę, zupełnie mi obrzydły. Takie nie mają u mnie żadnych widoków. Nerwowe, trzęsą się tylko i piszczą, i wrzeszczą. Wydaje mi się, że one przyjmowały zaproszenie bardziej ze względu na mnie niż na przejażdżkę. A ja uznaję tylko odważne dziewczyny, takie, które lubią konie. Ty, Saxon, jesteś zupełnie inna... słowo honoru. Z tobą nawet mówienie idzie mi jak z płatką. Tamte wszystkie strasznie mnie nudzą. W ich towarzystwie to jakby mi ktoś usta zasznurował. Na niczym się nie znają i takie są cały czas wystraszone... Chyba mnie rozumiesz, co? - Może trzeba się z tym urodzić, żeby lubić konie? - odpowiedziała.

- Może ja lubię konie dlatego, że zawsze wyobrażam sobie mojego ojca na tym wielkim dereszku? Nie wiem, w każdym razie je lubię. Kiedy byłam mała, najchętniej rysowałam konie. Matka mnie do tego zachęcała. Mam jeszcze brulion prawie cały zarysowany końmi. Wiesz co, Bill? Czasem mi się śni, że mam własnego konia. I bardzo często we śnie jadę konno albo powożę.

- Weźmiesz potem lejce, tylko niech się konie wpierw trochę wyładują. Teraz rwą jeszcze za ostro. Spróbuj, daj tu rękę... przed moimi... trzymaj mocno. Czujesz? No pewnie. Chociaż nie czujesz nawet dziesiątej części. Jakżebyś mógł popuścić lejców, kiedy ty ważysz nie więcej od piórka?

Oczy jej rozbłysły, gdy poczuła w naprężeniu lejców, jak piękne, pełne temperamentu zwierzęta szarpia wędzidłami. Patrząc na nią Bill rozpromienił się jej radością. - Jaka korzyść z kobiety, kiedy nie potrafi dotrzymać kroku mężczyźnie? - wybuchnął entuzjastycznie.

- Ludzie, którzy lubią te same rzeczy, zawsze najlepiej się ze sobą zgadzają - powiedziała nieco zgryźliwie, maskując w ten sposób radość, że tak spontanicznie nawiązało się między nimi porozumienie.

- Ach, Saxon, rozgrywałem walki, dobre walki... wyłaziłem ze skóry, traciłem kondycję, żeby się popisać przed zadymioną, śmierdzącą whisky salą, pełną zwariowanych

amatorów boksu, do których brało mnie tylko obrzydzenie. I posłuchaj: oni, którzy nie wytrzymaliby jednego porządnego ciosu w szczękę czy żołądek, wrzeszczeli, żeby mnie zagrzać do walki, i żądali krwi! Pomyśl, Saxon - żądali krwi! Ludzie, którzy mieli w żyłach tyle krwi, co morskie kraby. Słowo daję, że wolałbym walczyć w obecności jednej osoby... w obecności twojej na przykład czy kogoś, kogo lubię. Chciałbym wtedy zwyciężyć. Ale żeby takie obmierzłe durne chłystki, które tyle mają w sobie odwagi, co zając, i taką kondycję, jak parchate kundle... żeby takie chłystki mnie zagrzewały do walki! Czy możesz się dziwić, że rzuciłem to plugastwo? Wolałbym już chyba mieć na widowni stare szkapki pociągowe, które są kandydatkami na parówki, niż tę przeklętą bandę ciamajdów, którzy w żyłach mają wodę zamiast krwi!

- Nie wiedziałam, że... boks zawodowy jest taki - powiedziała niepewnie, wypuszczając lejce i opierając się plecami o poduszkę obok niego.

- Nie mówię o walce, tylko o widzach - bronił gorąco. - Naturalnie sama walka młodemu chłopakowi też dobrze nie robi, bo mu niszczy kondycję i tak dalej. Ale mnie tylko wstręt bierze do tych chłystków na widowni. Nawet kiedy mnie chwala, kiedy mi mówią miłe rzeczy, to tak, jakby mi w gębę dawali. Rozumiesz, Saxon? Tracę szacunek do samego siebie. Pomyśl tylko - moczygęby i słabeusze, którzy by się bali zadrzeć z chorym kotem, stają na tylnych łapach i wrzeszczą, i zagrzewają do walki mnie... mnie! Cha! cha! Jak ci się to podoba? A to kawał łotra!

Wielki buldog przebiegł na ukos jezdnię, obojętnie i w milczeniu usiłując wyminąć zaprzęg. Gdy znalazł się obok Księcia, ów obnażył zęby jak ogier i szarpnął łbem w dół próbując psa pochwycić.

- Ten Książę aż się rwie do walki. I to jest naturalne. Nie szarpnął łbem po to, żeby go oklaskiwały jakieś nędzne chłystki. Zrobił to ze zwykłej złości, bo mu przysłała taka chęćka. I to jest uczciwe. To jest słuszne. Bo naturalne. Ale ci amatorzy i kibice! Żebyś ty, Saxon, wiedziała!

A Saxon przyglądała mu się ukradkiem, gdy wpatrzony w konie śledził ich bieg przez miejskie ulice w niedzielny poranek, gdy ściągnąwszy zaprzęg skręcił gwałtownie, żeby wyminąć dwóch małych chłopców, którzy na hulajnodze przejeżdżali w poprzek jezdni. I patrząc tak, dostrzegła w nim głębię i intensywność, całą magiczną zmienność temperamentu, dostrzegła przeblysk szalejących w nim burz, dostrzegła chłód tak wyniosły jak dalekie gwiazdy, dzikość tak naturalną jak dzikość wilka i tak czystą jak dzikość ogiera, gniew tak nieubłagany jak gniew anioła mściciela i młodość, która była jak ogień, młodość ponad czasem i ponad miejscem. Saxon patrzyła na niego z uczuciem podziwu, patrzyła jak

urzeczona; gnana odwiecznym głodem kobiety przerzuciła most nad dzielącą ich otchłanią, w swej śmiałości kochała go ramionami i piersiami, które tęskniły do niego. Szeptwała w duchu: - Jedyny, jedyny!

- Uczciwie ci to wszystko mówię, Saxon - podjął Bill przerwaną nić. - Bywały takie chwile, że ich nienawidziłem, że chciałem przeskoczyć sznury, wpaść między nich i walić, i grzmocić... pokazać im, czym jest prawdziwa walka. Weź choćby taki wieczór z Billem Murphy. Ach, Bill Murphy, gdybyś go tylko znała! Mój najbliższy przyjaciel. Najuczciwszy, najporządniejszy bokser, jaki stawał na ringu. Razem chodziliśmy do szkoły Duranta. Zaprzyjaźniliśmy się. Każda jego walka była moją walką, każde moje zmartwienie było jego zmartwieniem. Obaj wzięliśmy się do boksu. Wystawili nas przeciwko sobie. Nie po raz pierwszy. Dwukrotnie walka skończyła się remisem. Raz wygrał on. Raz ja go zwyciężyłem. To była piąta walka, walka dwóch mężczyzn, którzy się kochali jak bracia. Bill Murphy jest ode mnie starszy o trzy lata. Ma żonę i troje dzieci, znam ich wszystkich. I jest moim przyjacielem. Rozumiesz?

Ważę od niego dziesięć funtów więcej, ale w ciężkiej wadze taka różnica jest dopuszczalna. On gorzej ode mnie oblicza odległość i szybkość ciosów, poza tym jestem od niego wytrzymalszy. Ale za to on jest sprytniejszy i szybszy. Nigdy nie dorównywałem mu w szybkości. Obaj nie boimy się ciosów i obaj jesteśmy oburęczni, potrafimy grzmocić lewą i prawą pięścią. I obaj walczyliśmy uczciwie. Sytuacja między nami była wyrównana. Dwa remisy, po jednym zwycięstwie. Słowo ci daję, Saxon, że nie miałem pojęcia, kto będzie górą. Tak wyrównana była zawsze nasza walka. No więc wychodzimy na ring... Ale może nieprzyjemnie ci o tym słuchać?

- Nie, nie! - zawołała. - Tak mnie to interesuje... jesteś taki cudowny!

Przyjął pochwałę prosto, naturalnie, nie było w jego postawie ani cienia chępliwości.

- No więc walczymy. Sześć rund, siedem rund, osiem rund.

I tutaj zaczął się pech Billa Murphy'ego.

Już mieliśmy się unieruchomić w zwarcu, gdy Bill Murphy wyrzucił lewą pięść, próbując krótkim hakiem dosięgnąć mojej głowy... cios jak piorun, gdyby wylądował na szczęce. Pochylam głowę, ale nie dość szybko, i pięść trafia mnie całą siłą w bok czaszki. Słowo daję, Saxon, uderzenie jest takie silne, że gwiazdy stają mi przed oczami. Ale krzywdy taki cios nie robi, bo kości w tym miejscu są grube. No i tutaj biedny Bill Murphy zupełnie się skończył. Widzisz, miał chory kciuk, bo jeszcze jako dziecko wybił go sobie ze stawu walcząc na boisku Watts Tract i nadwreżył ścięgna, które zawsze już były słabe po tym pierwszym wypadku. Zrobiłem to nieumyślnie. Nastawić się tak facetowi, żeby sobie rękę

rozbił o czaszkę, to chwyt plugawy, chociaż często używany na ringu. Ale nie między przyjaciółmi. Nie zrobiłbym tego świństwa Billowi Murphy nawet za milion dolarów. Zdarzyło się to przypadkiem, ponieważ ruszam się wolno, od urodzenia jestem powolny.

Jak to boli! Naprawdę, Saxon, człowiek nie ma pojęcia, co to jest ból, dopóki nie odnowi mu się taka dawna historia. Billowi Murphy nie pozostało nic innego, jak zwolnić tempo. Nie może już walczyć obiema pięściami. Wie o tym. Sędzia wie o tym. Ale nikt poza nami. Rusza tą swoją lewą ręką, jak gdyby wszystko było w porządku. Ale nie jest. Czuje taki ból, jakby mu ktoś wbijał sztylet w ciało. Nawet nie próbuje zadać prawdziwego ciosu tą swoją lewą. Tak czy siak, boli go okropnie. Czy rusza, czy nie rusza ręką, jednakowo go boli, a od każdego takiego markowanego uderzenia, przed którym ja nie muszę się naturalnie zasłaniać, bo wiem, że nie ma w nim żadnej siły - od każdego takiego dziabnięcia ból idzie mu z kciuka prosto w serce, ból okropniejszy niż tysiąc wrzodów czy tysiąc nokautów. I za każdym razem, za każdym dotknięciem gorszy.

Powiedzmy, że walczylibyśmy w ogródku za domem... ot tak, dla przyjemności... i że on zrobiłby sobie taką krzywdę. Zanim ktoś zdążyłby do trzech policzyć, już nie mielibyśmy rękawic na rękach i ja przykładałbym mu zimne kompresy do tego biednego palca, a potem obandażowałbym go, żeby powstrzymać opuchliznę. Ale tutaj o czymś takim mowy być nie może. Tutaj walczymy ze sobą dla przyjemności amatorów walki, którzy zapłacili za wejście i chcą krwi, i krew muszą naturalnie zobaczyć. To nie są ludzie. To wilki.

Bill Murphy musi teraz uważać, a ja go nie przynaglam. Jestem w kropce, nie wiem, co robić. Zwalniam tempo, ale kibice zaraz się miarkują. „Dlaczego nie walczysz? - zaczynają wrzeszczeć. - Bujda! Oszustwo! Dlaczego go nie liźniesz? Twoja na wierzchu, Bill Roberts!” I więcej takich okrzyków.

„Walcz! - warknął do mnie cicho sędzia arbiter. - Walcz, bo cię zdyskwalifikuję... mówię do ciebie, Bill!” - I dotknął mego ramienia.

Nie było to przyjemne. Nie było to ładne. Wiesz, Saxon, o cośmy walczyli? O sto dolarów. Pomyśl tylko! A rzecz w tym, że każdy z nas miał obowiązek wszystko z siebie dawać, żeby zarabiać punkty, ponieważ kibice stawiali na nas. Przyjemne, co? No cóż, to była moja ostatnia walka. Miałem już tego wyżej uszu. Powiedziałem sobie, że nigdy więcej - dziękuję, nie używam.

„Wycofaj się - mówię do Billa w zwarcu. - Na miłość boską, Bill, zejdz z ringu - A on mi odpowiada szeptem: - „Nie mogę, Bill. Wiesz, że nie mogę”.

Sędzia przerywa zwarcie a kibice wrzeszczą i wyją.

„Weź się do roboty, Bill Roberts - warczy na mnie sędzia - i skończ go, u wszystkich

diabłów!” - a ja mu na to, żeby sam poszedł do diabła i znów zwieramy się z Billem, żeby uniknąć ciosów. Ale Bill uraził sobie palec i widzę, jak mu się cała twarz wykrzywia z bólu. O pieniądze się gra? Przecież najmniejszą stawką jest tu ten chłopak. Kiedy się patrzy w oczy dzielnego mężczyzny, który cierpi z bólu... kiedy się go kocha i widzi miłość w jego oczach, a mimo to dalej zadaje mu się ból... Czy to jest sport? Dla mnie nie! Ale sala postawiła na nas pieniądze. My się nie liczymy. My sprzedaliśmy się za sto dolarów, a jak handel, to handel.

Bogiem się świadcę, Saxon, że to była jedna z tych chwil, kiedy chciałem przeskoczyć przez sznury i rzucić się między chłystków na sali i pokazać im, co to znaczy prawdziwa walka.

„Na miłość boską, Bill, skończ mnie - powiada Bill w tym zwarcu. - Wal mocno, nie będę się bronił, ale zejść z ringu nie mogę”.

Chcesz, Saxon, żebym ci coś powiedział? Rozplakałem się... na środku ringu, kiedy staliśmy w tym zwarcu. Jak bek. „Nie mogę tego zrobić” - szepczę obejmując go jak brata. Tymczasem sędzia obskakuje nas i usiłuje rozerwać, a wilki na widowni aż wyją z wściekłości.

„Jesteś górą, Bill! - wrzeszczy widownia. - Dość tego marudzenia, skończ go! Zadaj mu bobu, Bill! Wal go prawą prosto w szczękę, niech pójdzie na deski!”

„Musisz to zrobić, Bill. Inaczej powiem, żeś łajdak” - szepce Bill Murphy patrząc mi z miłością w oczy, gdy tymczasem sędzia ponownie nas rozdziela.

A wilki na widowni wrzeszczą: „Oszustwo! Bujda! Nabieranie!”

No więc zrobiłem to! Nie było innego wyjścia. Zrobiłem to. Na Boga, zrobiłem! Musiałem. Nacieram na niego niby to lewą, przerzucam się przez swoje ramię na prawą i łąduję prawym prostym na jego szczękę. A on zna na pamięć tę sztuczkę. Sto razy blokował mi się przed nią ramieniem. Ale tym razem tego nie zrobił. Opuszcza gardę i naumyślnie się nie osłania. Bums! Dostał w szczękę. Jeszcze w powietrzu stracił przytomność i wali się na bok, twarzą najpierw przejeżdża po brezencie rozpiętym na podłodze, a potem nieruchomieje, z głową tak wykręconą, że wygląda, jakby miał przetrącony kark. Ja, ja to zrobiłem! Za sto dolarów... żeby dogodzić bandzie łajdaków, na których nawet splunąć nie warto.

Wziąłem Billa na rękę, zaniósłem do narożnika i pomagałem go cucić. No cóż, nikt nikogo nie nabrał. Zapłacili za wejście i dostali za to krew i nokaut na dodatek. A człowiek o niebo od nich lepszy, którego kocham jak brata, leży nieprzytomny, ze skórą zdartą z policzka.

Przez chwilę milczał i z twarzą gniewną, zaciętą, spoglądał przed siebie, na konie. Westchnął, spojrzął na Saxon i uśmiechnął się.

- I wtedy z miejsca rzuciłem ring. Bill Murphy śmiał się tylko ze mnie. On dalej jest zawodnikiem. Traktuje to jako dodatkowe zajęcie, bo ma dobrą pracę. Ale jak trzeba odmalować mieszkanie albo jak urosną rachunki za doktora, albo jak najstarszy malec naprzykrza się o rower, Bill Murphy wychodzi na deski i zarabia pięćdziesiąt czy sto dolarów w takim czy innym klubie. Mówię ci, Saxon, że wspaniały chłop z tego Billa. Chciałbym, żebyś go przy okazji poznała. Ale boks zawodowy raz na zawsze mi obrzydł tamtego wieczora.

Jego twarz znowu stała się gniewna i surowa. Ku własnemu zdumieniu Saxon bezwiednie zrobiła coś, co kobiety z wyższych sfer robią z udaną szczerością. Wyciągnęła impulsywnie rękę, położyła dłoń na jego dłoni i trzymała ją tam przez chwilę, w uścisku mocnym choć przelotnym jej nagrodą był uśmiech jego oczu i uśmiech ust, gdy obrócił ku niej twarz.

- A to historia! - powiedział. - Nigdy przy nikim nie jestem taki gadatliwy. Najczęściej trzymam język za zębami i nie wywnętrzam się ludziom z moich myśli. To swoją drogą ciekawe, ale z tobą mam takie jakieś uczucie, jakbym chciał, żebyś o mnie dobrze myślała. I dlatego ci opowiadam o tym, co mi chodzi po głowie. Tańczyć potrafi każdy.

Droga wiodła przez miasto. Minęli ratusz i drapacze chmur na Czternastej ulicy, a potem przez Broadway wyjechali na Mountain View. Skręcili w prawo obok cmentarza, wspięli się na Piedmont Heights do Blair Park i w końcu zagłębili się w chłodną zieleń Jack Hayes Canyon. Saxon nie posiadała się ze zdumienia i radości, że tak prędko przebyli tę odległość.

- One są naprawdę wspaniałe - powiedziała. - Nigdy nawet nie marzyłam, że będę kiedyś jechała takim zaprzęgiem. Aż mnie strach bierze, bo może to tylko sen i obudzę się za chwilę? Mówiłem ci, że najczęściej śnią mi się konie. Dałabym nie wiem co, żeby mieć kiedyś takiego jednego na własność.

- Powiedz, Saxon, czy wszystko to nie jest jakieś pokręcone? - odparł Bill pytaniem. - Ja lubię konie w taki sam sposób. Mój pryncypał uważa, że mam bzika na punkcie koni. Ja wiem, że on nie ma o koniach zielonego pojęcia. Ale on ma dwieście wielkich i ciężkich koni pociagowych i tę cugową parę, a ja nie mam ani jednego.

- A przecież Bóg stworzył konie - wtrąciła Saxon.

- Z pewnością nie stworzył ich mój pryncypał. Ale w takim razie dlaczego ma ich tyle... dwieście, jak ci mówiłem. Jemu się zdaje, że lubi konie. Słowo uczciwe ci daję, Saxon, że dla niego wszystkie dwieście koni razem wzięte znaczy tyle, ile dla mnie jeden włos w ogonie najlichszego w całej stajni. Ale on jest ich właścicielem. Czy człowiek może się nie

wściekać?

- Czy może się nie wściekać - zaśmiała się ze zrozumieniem Saxon. - Ja po prostu przepadam za ozdobnymi bluzkami. No i życie mi schodzi na prasowaniu najpiękniejszych, jakie można sobie wyobrazić. To jest takie jakieś dziwne... i nie jest sprawiedliwe.

W przypiływie gniewu Bill zazgrzytał zębami.

- A jeszcze jak pomyśleć, w jaki sposób niektóre kobiety dochodzą do tych swoich bluzek. Aż mnie złość trzęsie, że ty je prasujesz. Wiesz, Saxon, co chcę przez to powiedzieć. Szkoda słów. Ty wiesz. Ja wiem. Wszyscy wiedzą. I źle by było, gdyby mężczyźni i kobiety nie mogli czasem pomówić o tych sprawach. - Był w sposobie bycia niemal przepraszający, ale jednocześnie jak gdyby zuchwale pewien swojej racji. - Nigdy nie rozmawiam w ten sposób z innymi dziewczynami. Pomyślałyby, że mam jakieś swoje brzydkie zamiary. Obrzydzenie bierze człowieka, bo one wciąż dopatrują się we wszystkim tych zamiarów. Ty jesteś inna. Z tobą mogę mówić. Właściwie to nawet powinienem mówić. Tak jest uczciwiej. Ty jesteś jak Bill Murphy czy jakiś inny mężczyzna, z którym człowiek może się dogadać.

Saxon westchnęła, bezgranicznie szczęśliwa, i spojrzała na niego oczami, w których błyszczała nie uświadomiona jeszcze miłość.

- Dokładnie tak samo jest ze mną - powiedziała. - Nigdy nie pozwoliłabym mężczyznom, z którymi chodziłam, mówić o takich rzeczach, bo oni zaraz by to sobie wytłumaczyli na swój sposób. Wiesz, w ich towarzystwie mam zawsze takie uczucie, jakbyśmy prowadzili jakąś grę, niby na balu maskowym.

Milczała przez chwilę, wahając się i zastanawiając nad czymś, a potem ciągnęła dalej głosem osobliwie matowym: - Nie jestem dzieckiem. Mam oczy... i uszy. Bywały chwile, kiedy pralnia mi brzydła i tak mnie męczyła, że wszystko wydawało mi się lepsze. Mogłam mieć te ozdobne bluzki... i dużo, dużo więcej... nawet może własnego konia. Był taki kasjer z banku... żonaty, a jakże. Mówił ze mną bez obłonek. Bo ja się nie liczyłam. Nie traktował mnie jak młodą dziewczynę, która ma swój dziewczęcy wstyd. Rozmawiał ze mną tak, jak się mówi o interesach. Poznałam dzięki niemu mężczyzn. Powiedział mi, jak sobie wszystko wyobraża. Powiedział mi...

Jej głos rozplynął się w żalości. Zapadło milczenie i słychać było, jak Bill zgrzyta zębami.

- Nie potrzebujesz mi tego mówić! - zawołał. - Wiem, jak to jest. Świat jest podły... niesprawiedliwy i podły. Nie mieści mi się to wszystko w głowie. Nie ma na świecie uczciwości. Kobiety sprzedaje się i kupuje jak konie. Nie rozumiem takich kobiet. I nie rozumiem takich mężczyzn. I myślę, że chyba mężczyzna, który kupuje w ten sposób kobietę,

musi się czuć nabrany. Dziwne to, prawda? Weź mojego pryncypała, z tymi jego końmi. Bierze sobie też na własność kobiety. Mógł ciebie wziąć na własność... tylko dlatego, że ma dość pieniędzy. A przecież ty, Saxon, jesteś warta tego, żeby mieć piękne bluzki i tak dalej, ale na Boga, Saxon, nie mogę myśleć, że miałabyś płacić za nie w taki sposób!... To byłaby zbrodnia...

Urwał raptownie i ściągnął lejce. Zza ostrego zakrętu ukazał się samochód pędzący ku nim w dół pochyłości. Samochód zatrzymał się ze zgrzytem hamulców. Znudzone twarze pasażerów ożywiły się, ich oczy spoglądały ciekawie na parę młodych ludzi w lekkim powoziku, który zagroził im drogę. Bill podniósł rękę.

- Objedź po zewnętrznej, przyjacielu - powiedział do szofera.

- Mowy nie ma - odparł szofer mierzząc twardym, doświadczonym okiem obsypującą się krawędź drogi i spadzisty stok poniżej.

- W takim razie nocujemy - oznajmił Bill pogodnie. - Znam regulamin drogowy. Te konie nie przywykły do samochodów i jeśli sobie wyobrażasz, że dla twojej przyjemności dam im ponieść w dół tego stoku, czeka cię przykra niespodzianka.

Pasażerowie samochodu odpowiedzieli gwarem podnieconych sprzeciwów. - Nie każdy, kto siedzi w samochodzie, jest zawalidrogą - powiedział szofer. - Nie zamierzamy krzywdzić twoich koni. Zjedź na bok, żebyśmy mogli przejechać. Bo jak nie...

- Nie fatyguj się, bratku - przerwał mu Bill. - Ze mną takim gadaniem daleko nie zajedziesz. Znam się na takich jak ty. Nadepnałeś sobie na odcisk, więc radzę, zejdziesz. Cofnij się kawałek i na pierwszej mijance stań przy zewnętrznym krawężniku, to cię wtedy wyminę. Benzyny ci starczy. Włącz tylny bieg.

Po krótkiej nerwowej naradzie szofer posłuchał i samochód cofnął się i znikł za zakrętem. - A to hołota! - warknął Bill. - Niech tylko taki ma dość pieniędzy na dwa galony benzyny i kupno samochodu, a zaraz mu się zdaje, że jest właścicielem drogi, którą wybudowali twoi i moi przodkowie!

- Masz zamiar nocować? - dobiegł ich głos szofera spoza zakrętu. - Pośpiesz się trochę. Możesz nas wyminąć.

- Nie tak nerwowo, bratku - brzmiała pogardliwa odpowiedź Billa. - Pośpieszę się, jak będę miał ochotę, a jeśliś mi nie zostawił dość miejsca, przejadę się po tobie i twoim ładunku cielęciny.

Popuścił trochę lejców i niespokojne, rwące się do drogi zwierzęta bez zachęty pociągnęły lekki pojazd w górę i lękliwie, po wewnętrznej stronie drogi, minęły warczący samochód.

- Na czymśmy to skończyli? - spytał Bill, gdy droga przed nimi znów była wolna. - Ano właśnie. Weź takiego mojego pryncypała. Dlaczego on ma konie i kobiety, i Bóg wie co jeszcze, a ty i ja nic nie mamy?

- Ty masz swoją wspaniałą kondycję - powiedziała Saxon łagodnie.

- A ty masz swoją. Ale co z tego, kiedy im ją sprzedajemy, jakby to była sztuka materiału po tyle i tyle za jard. Pewnie się orientujesz, jak ci dogodzi kilka jeszcze lat pracy w prasowalni. Ja sprzedaję moje zdrowie po trochu, każdego dnia pracy. Widzisz ten mały palec? - Przełożył lejce do jednej ręki i pokazał jej wolną dłoń. - Nie mogę go już wyprostować, a wciąż sztywnieje. Nie myśl, że go wybiłem na ringu. To od powożenia. Taki właśnie kawałek sprzedany z mojej sztuki materiału. Widziałaś może kiedy ręce starego woźnicy od czwórki koni? Wyglądają jak szpony, takie są powykręcane i kalekie.

- Za dawnych czasów, kiedy nasi rodzice przebywali prerie - wtrąciła Saxon - inaczej się na świecie działo. Mieli może palce powykręcane od pracy, ale mieli za to konie i wszystko, co im było potrzebne. - Pewnie. Pracowali dla siebie. Wykręcali palce, ale dla siebie. A ja wykręcam palce dla mojego pryncypała. Czy ty wiesz, Saxon, że on ma ręce takie delikatne jak kobieta, która nigdy nie tknęła się pracy? A mimo to ma konie i stajnie, i mógłby cały dzień leżeć do góry brzuchem, a ja ledwo zarabiam na jedzenie i ubranie. Flaki się we mnie przewracają na myśl, że świat jest tak kiepsko urządony. A kto nim rządzi? To chciałbym wiedzieć. Czasy się zmieniły. Kto je zmienił?

- Na pewno nie Bóg.

- Możesz się założyć, że nie Bóg. Ale to jeszcze jedna rzecz, której nie rozumiem. Jaki on właściwie jest ten Bóg? Jeżeli rządzi światem (jeżeli nie rządzi, jaki z niego pożytek?), to dlaczego pozwala, żeby mój pryncypał albo taki kasjer, o którym wspomniałaś... żeby tacy ludzie mieli konie i kupowali kobiety? Żeby kupowali za pieniądze miłe, młode dziewczyny, które powinny kochać swoich mężów i mieć dzieci, których nie muszą się wstydzić, i znajdować szczęście w tym co jest ich naturą?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Stara droga do doliny Moraga była stroma i ciężka, toteż konie odpoczywały często i sierść ich pokryła się pianą.

Ze szczytu pagórków Contra Costa droga schodziła raptownie w dół i wiodła przez zieloną i rozslonecznioną ciszę Kanionu Sekwoi.

- Powiedz, Saxon, czy to nie cudowne? - spytał Bill wykonując ręką gest, którym obejmował wszystko: gęste kępy drzew, szmer niewidzialnego strumienia, brzęczenie pszczoł.

- Cudownie tu - odparła Saxon. - jak patrzę na to wszystko, przychodzi mi ochota zamieszkać na wsi. A nigdy nie mieszkałam.

- Ja też nie, Saxon. Chociaż cała moja rodzina pochodzi ze wsi.

- Wtedy nie było miast. Wszyscy mieszkali na wsi.

- Ano tak, masz chyba rację - przytaknął Bill. - Po prostu musieli.

Lekki powozik nie miał hamulca i Bill musiał skupić całą uwagę, aby sprowadzić bezpiecznie swój zaprzęg w dół stromej i krętej drogi.

Saxon rozsiadła się wygodnie i zamknęła oczy z uczuciem niewysłowionej błogości.

Bill co chwila rzucał spojrzenia na jej opuszczone powieki.

- Co ci się stało? - spytał w końcu, trochę zaniepokojony. - Nie czujesz się chyba źle?

- To wszystko jest takie piękne, że aż się boję patrzeć - odpowiedziała.

- Jest takie szlachetne, że aż boli.

- Szlachetne? No wiesz, co za śmieszny pomysł!

- Nie mam racji? Tak to jakoś odczuwam. Szlachetne. Przecież domy i ulice w mieście nie są szlachetne, a tu wszystko jest szlachetne. Nie wiem dlaczego. Ale tak jest.

- Niech to licho! Wiesz, masz chyba rację! - wykrzyknął. - Jak o tym powiedziałaś, to też mi się tak jakoś zaczęło wydawać. Tu nie ma sztuczek i kawałów, nie ma oszustwa i kłamstwa. Drzewa stoją sobie naturalne i silne, i czyste jak młodzi chłopcy, co pierwszy raz wyszli na ring i nie znają jeszcze brudnych gier, nie nauczyli się szachrować i kombinować z kibicami na udział w zakładach. Masz rację, to jest szlachetne. Słuchaj, Saxon, ty się rozumiesz na tych rzeczach, prawda? - Jego milczenie było niemal tęskne. Obrócił ku niej głowę i przyglądał jej się z pieszczotliwą łagodnością, która przenikała ją radosnym drżeniem. - Wiesz, chciałbym, żebyś mnie zobaczyła kiedyś w walce... w jakiejś prawdziwej walce, kiedy ciągle się coś dzieje na ringu. Byłbym dumny i walczyłbym dla ciebie. I

walczyłbym na pewno popisowo, bobym wiedział, że patrzysz i rozumiesz. Powiadam ci, Saxon, że miałabyś na co patrzeć. Ale to swoją drogą dziwne. Nigdy mi na tym nie zależało, żeby walczyć w obecności kobiety. Kobiety piszczą i wrzeszczą, i nic nie rozumieją. Ale ty byś rozumiała. Głowę dałbym sobie uciąć i na dodatek rękę, że poznałabyś się na prawdziwym boksie.

Nieco później, gdy pędzili dnem doliny pośród małych zrębów i wyłoconych słońcem łąnów dojrzałego zboża, Bill znowu zwrócił się do Saxon.

- Słuchaj, Saxon, kochałaś się pewnie dużo razy. Opowiedz mi o tym. Jak to było?

Potrząsnęła głową.

- Zdawało mi się tylko, że jestem zakochana... i wcale nie tak dużo razy.

- Na pewno dużo! - zawołał.

- Tak naprawdę, to ani razu - zapewniła go, w duchu uszczęśliwiona objawem podświadomej zazdrości. - Ani razu nie byłam naprawdę zakochana. Gdybym była, wyszłabym za męża. Widzisz, jakbym kogoś kochała, to chciałabym być jego żoną.

- A powiedzmy, że on by cię nie kochał?

- Och, nie wiem. - Uśmiechnęła się na poły żartobliwie, na poły z pewnością siebie i dumą. - Myślę, że potrafiłabym go zdobyć.

- Głowę dam, że tak! - oznajmił Bill entuzjastycznie.

- Cały kłopot w tym - ciągnęła - że ci mężczyźni, którzy mnie kochali, byli mi najzupełniej obojętni. Och, spójrz!

Królik przebiegł w poprzek drogi; mała chmurka kurzu wznosiła się w powietrzu jak dym, znacząc drogę jego ucieczki. Za następnym zakrętem stadko przepiórek wzbilo się w powietrze spod kopyt końskich. Bill i Saxon wykrzykiwali w zgodnym zachwycie.

- Słowo daję - mruknął Bill - że niewiele trzeba, a zacznę żałować, że nie urodziłem się farmerem. Ludzie nie są stworzeni do tego, żeby mieszkać w miastach.

- W każdym razie nie tacy ludzie jak my - przyznała mu rację Saxon. Umilkła i westchnęła ciężko. - Wszystko to jest takie piękne. Przecież byłoby jak we śnie, gdyby człowiek mógł zawsze tu mieszkać. Czasem żałuję, że nie jestem indiańską squaw.

Bill kilkakrotnie chciał przemówić i powstrzymał się w ostatniej chwili.

- A co do tych mężczyzn, co ci się zdawało, że jesteś w nich zakochana - rzekł wreszcie. - Nic mi jeszcze o nich nie powiedziałaś.

- Chciałbyś wiedzieć? Kiedy oni się naprawdę nie liczą.

- Naturalnie, że chcę wiedzieć. Mów. Śmiało i odważnie.

- No, więc najpierw był Al Stanley...

- Jakie miał zajęcie? - spytał Bill głosem niemal rozkazującym.

- Był szulerem.

Twarz Billa nagle steżała, w pochmurnych oczach pojawiło się z wątpienie.

- Och, nie ma w tym nic złego - powiedziała ze śmiechem. - Miałam wtedy osiem lat. Jak widzisz, zaczynam od samego początku. Było to zaraz po tym, jak moja matka umarła i Cady mnie zaadoptował. Cady prowadził hotel i bar w Los Angeles. Mały hotelik, w którym zatrzymywali się robotnicy, przeważnie zwykli robotnicy i kolejarze. Przypuszczam, że część ich zarobków trafiała do kieszeni Ala Stanleya. Był taki przystojny, taki uprzejmy i łagodny. Miał piękne oczy i niezwykle delikatne, czyste ręce. Dotąd jeszcze je widzę. Czasem bawił się ze mną po południu, dawał mi cukierki i różne drobiazgi. Spał zwykle przez cały dzień. Naturalnie nie rozumiałam dlaczego. Myślałam, że jest księciem z bajki w przebraniu. A potem kiedyś zastrzelili go na dole w barze, ale najpierw on zabił tego, który go zabił. W ten sposób skończyła się moja pierwsza historia miłosna.

Następną przeżyłam, kiedy po opuszczeniu sierocińca wziął mnie do siebie mój brat Tom, u którego dotąd mieszkam. Był to młody chłopiec, który rozwoził pieczywo. Spotykałam go prawie co dzień w drodze do szkoły. Wyjeżdżał z Wood Street i skręcał w Dwunastą ulicę. Może spodobało mi się w nim to, że siedział na koźle. W każdym razie kochałam go ze dwa miesiące. Potem stracił chyba pracę, czy coś takiego, bo inny chłopiec powoził furgonem. Nie zamieniliśmy ze sobą ani jednego słowa.

Jak miałam szesnaście lat, był taki jeden buchalter. Mam widocznie szczęście do buchalterów. Ten, co go Charley Long pobił, jest buchalterem w naszej pralni. Tamtego poznałam, kiedy zaczęłam pracować w fabryce konserw Hickmeyera. On też miał delikatne ręce. Ale prędko się na nim poznałam. Był... no cóż, był w zapatrywaniach podobny do twojego pryncypała. A ja tak naprawdę wcale go nie kochałam, słowo ci daję, Bill. Od pierwszej chwili czułam, że coś tu jest nie w porządku. Potem, kiedy pracowałam w fabryce pudełek tekturowych, ubrdałam sobie, że się kocham w jednym urzędniku ze Składow Towarowych Kahna... wiesz, na rogu ulicy Waszyngtona i Jedenastej. Ten był bez zarzutu. Tylko że to mi się znów nie podobało. Był aż za bardzo bez zarzutu. Nie miał w sobie ani krztyny życia. Ale chciał, żebym została jego żoną. Jakoś nie mogłam sobie tego wyobrazić, co wskazuje, że go nie kochałam. Był wąski w ramionach i chudy, a ręce miał zimne i wilgotne. Za to umiał się ubierać... wyglądał zawsze jak z pudełka. Powiedział, że się utopi i tak dalej, ale mimo to z nim zerwałam.

Potem... och, właściwie nie ma żadnego „potem”. Zrobiłam się widocznie bardzo wymagająca, ale nie spotkałam nikogo, kogo mogłabym pokochać. A mężczyźni, których

poznawałam... cóż, bardziej to wyglądało na grę czy na walkę niż na miłość. I obie strony nie walczyły nigdy uczciwie. Zachowywaliśmy się zawsze tak, jakbyśmy trzymali karty w rękach. Nie byliśmy szczerzy ani uczciwi, staraliśmy się tylko wyciągnąć z siebie wzajemnie ajwięcej korzyści. Jednakże Charley Long był uczciwy. Tak samo na swój sposób był uczciwy ten kasjer z banku. Ale mimo to walka z nimi wydawała mi się trudniejsza niż z kimkolwiek innym. Zawsze miałam przy nich uczucie, że muszę dobrze na siebie uważać. Że w nich nie znajdę opiekunów. To było pewne.

Umilkła i patrzyła ciekawie na czysty profil Billa, gdy utkwivszy wzrok w drodze prowadził konie. Spojrzał na nią pytająco, a ona uśmiechnęła się do niego leniwie i rozłożyła ręce.

- To wszystko - dodała za zakończenie. - Opowiedziałam ci wszystko. Nigdy tego dotąd nie robiłam. A teraz kolej na ciebie.

- Niewiele mam do powiedzenia, Saxon. Nigdy specjalnie nie przepadałem za dziewczętami... w każdym razie nie na tyle, żeby chcieć się żenić. Zawsze wolałem mężczyzn, takich jak Bill Murphy. A poza tym za bardzo mnie interesował trening i walka, żebym się miał zajmować kobietami. Uczciwie ci mówię, Saxon, że chociaż nie byłem tak zupełnie bez winy... wiesz, co mam na myśli... to przecież nigdy nie mówiłem żadnej dziewczynie, że ją kocham. Nie czułem potrzeby.

- Za to dziewczyny się w tobie kochały - powiedziała Saxon z żartobliwą ironią, odczuwając jednocześnie pod wpływem tego dziewiczego wyznania osobliwą radość w sercu.

Całą uwagę zwrócił ku koniom.

- Mnóstwo dziewczyn - nalegała.

Nadal nie odpowiadał.

- Czy nie mam racji, Bill? - Kiedy to nie moja wina - powiedział z namysłem. - Jeżeli one chciały robić do mnie słodkie oczy, to była ich sprawa. A gdybym znów ja chciał z tego korzystać, to byłaby moja sprawa. Nie masz, Saxon, nawet wyobrażenia, jak kobiety latają za bokserami. Wiesz, czasem mi się zdawało, że dziewczęta i kobiety nie mają ani odrobiny przyrodzonego wstydu. Nie myśl, że się ich bałem. Ale z drugiej strony nie powiem, żebym się tak znowu do kobiet palił. Tylko głupiec traci dla nich głowę.

- A może ty nie potrafisz kochać? - rzuciła Saxon wyzwanie.

- Może - brzmiała zniechęcająca odpowiedź. - W każdym razie nie zdaje mi się żebym mógł kochać dziewczynę, która za mną lata. To jest dobre dla różnych lowelasów, ale mężczyzna, który jest naprawdę mężczyzną, nie chce, żeby kobiety za nim latały.

- Moja matka mówiła zawsze, że miłość to największa rzecz na świecie - dowodziła

Saxon. - Pisała wiersze o miłości. Niektóre były drukowane w „Merkurym”, gazecie wychodzącej w San José.

- A co ty o tym myślisz?

- Och, nie wiem - ucięła Saxon krótko, spoglądając mu w oczy z tym samym co przed chwilą leniwym uśmiechem. - Wiem tylko, że w takim dniu jak dzisiejszy dobrze jest żyć.

- Specjalnie, jak się jest na takiej wycieczce - dodał prędko.

O pierwszej Bill zjechał z drogi na polanę pomiędzy drzewami.

- A teraz coś zjemy - oznajmił. - Pomyślałem sobie, że będzie przyjemniej zjeść obiad we dwoje niż zatrzymywać się w przydrożnej jadłodajni. Najpierw wyprzęgnę konie, żeby było i bezpieczniej, i wygodniej. Czasu mamy pod dostatkiem. A ty wyjmij tymczasem koszyk z jedzeniem i wyłóż wszystko na fartuch powozu.

Rozpakowując koszyk Saxon przeraziła się na widok rozrzutności Billa. Wyjęła ze środka zdumiewającą ilość kanapek z szynką i kurczakiem, sałatkę z raków, jajka na twardo, marynowane nóżki, marynaty z oliwek i kopru, ser szwajcarski, solone migdały, pomarańcze i banany. A ponadto kilka butelek piwa. Martwiła ją zarówno ilość jak i różnorodność jedzenia. Zawartość koszyka sprawiała wrażenie, jakby ktoś nie oglądając się na koszty usiłował wykupić cały sklep z delikatesami.

- Nie powinieneś był tak się wykosztowywać - skarciła go, gdy usiadł obok. - Przecież starczyłoby tych przysmaków dla tuzina wygłodniałych murarzy.

- Ale wybrałem chyba dobrze?

- Tak - przyznała. - O to właśnie idzie. Wybrałeś za dobrze.

- W takim razie w porządku - oznajmił. - Lubię mieć wszystko dobre w dużej ilości. Napijesz się trochę piwa, żeby opłukać usta z kurzu? Uważaj na szklanki. Obiecałem je zwrócić.

Nieco później, gdy skończyli posiłek, Bill położył się na plecach i zapaliwszy papierosa zaczął pytać o wcześniejsze dzieje jej życia. Opisała mu życie w domu brata, gdzie płaciła za jedzenie i mieszkanie cztery i pół dolara na tydzień. W wieku lat piętnastu skończyła szkołę podstawową i poszła do pracy w fabryce wyrobów z juty. Zarabiała tam cztery dolary na tydzień, z których trzy płaciła Sarze.

- A co z tym właścicielem baru? - spytał. - Jak się to stało, że cię zaadoptował?

Wzruszyła ramionami.

- Właściwie nie wiem. Wiem tylko, że wszyscy nasi krewni byli ubodzy. Widocznie nie bardzo potrafili dawać sobie radę. Zarabiali na skromne życie, ale to wszystko. Cady, ten właściciel baru, był żołnierzem w kompanii mojego ojca i wciąż mówił o swoim

przywiązaniu do kapitana Kita, jak go nazywali w wojsku. Kiedyś podczas wojny chirurdzy chcieli amputować Cady'emu nogę, mój ojciec im nie pozwolił i Cady nigdy tego nie zapomniał. Zarabiał dobrze w tym swoim hotelu i barze, a jak się potem zorientowałam, wziął na siebie sporą część wydatków na leczenie i pogrzeb mojej matki. Miałam pójść do wuja Willa, bo tak matka rozporządziła. Ale w górach Ventura, gdzie wuj Will miał ranczo, wybuchła jakaś strzelanina i kilku mężczyzn zginęło. Szło im o miedzę i pastuchów czy coś takiego. W każdym razie wuj poszedł na długo do więzienia, a zanim odzyskał wolność, adwokaci zagarnęli jego ranczo. Był już wtedy stary i bez pieniędzy, a na dobitkę pochorowała mu się żona. Przyjął pracę stróża nocnego za czterdzieści dolarów na miesiąc, więc nie mógł mnie wziąć do siebie i dlatego Cady mnie zaadoptował.

Cady był zacy człowiek, chociaż prowadził bar. Miał żonę, okazałą, przystojną kobietę. Myślę, że ona nie była tak zupełnie porządna... zresztą później mówiono mi o tym. Ale była dla mnie dobra. Nic mnie to nie obchodzi, co ludzie o niej mówili albo czym była naprawdę. Wiem, że dużo dobrego od niej zaznałam. Po śmierci Cady'ego zeszła już zupełnie na złą drogę i wtedy oddano mnie do sierocińca. Nie działało mi się tam najlepiej, ale spędziłam w sierocińcu trzy lata. A potem Tom się ożenił, dostał stałą pracę i wziął mnie do siebie. No i od tego czasu pracuję właściwie bez przerwy.

Jej smutne spojrzenie powędrowało w dal ponad polami, aż zatrzymało się na ogrodzeniu, przy którym czerwieniły się jaskrawe maki. Bill, który spoglądał na nią ze swego miejsca na trawie, wpatrując się z upodobaniem w delikatny owal jej dziewczęcej twarzyczki, powolnym ruchem wyciągnął rękę i powiedział cicho:

- Biedactwo!

Jego palce zamknęły się na jej nagim przedramieniu; był to gest wyrażający współczucie. A gdy spojrzała w dół ku niemu, spostrzegła w jego oczach zdziwienie i zachwyt.

- Jaką ty masz chłodną skórę! - powiedział. - Bo ja zawsze jestem rozgrzany. Dotknij mojej ręki.

Rękę miał ciepłą i wilgotną. Saxon zauważyła maleńkie krople potu na jego czole i nad starannie wygoloną górną wargą.

- Ach, jaki jesteś spocony.

Pochyliła się nad nim i otarła mu chusteczką czoło i górną wargę, potem dłoń.

- Oddycham przez skórę - wyjaśnił. - Koledzy na obozach treningowych mówili mi, że to oznaka zdrowia, a oni znają się na rzeczy. Ale dzisiaj jakoś bardziej się jeszcze pocę niż zwykle. Dziwne, co?

Gdy wycierała mu dłoń, musiała ją zsunąć ze swego ramienia; ale zaraz potem dłoń Billa wróciła na dawne miejsce.

- Jaką ty masz chłodną skórę! - powtórzył z ponownym zdumieniem. - A poza tym delikatną jak aksamit i gładką jak jedwab. Przyjemna w dotyku.

Łagodnie, lecz ciekawie przesunął dłoń od napiętka do łokcia i z powrotem, po czym zatrzymał ją w połowie przedramienia. Zmęczona i ociężała po porannym słońcu, Saxon czuła, jak od dotyku jego dłoni przenikają ją rozkoszne dreszcze. Na pół sennie pomyślała, że oto jest mężczyzna, którego mogłaby kochać.

- No i proszę... zabrałem cały chłód z tego miejsca. - Nie patrzył na nią, więc mogła zaobserwować łobuzerski uśmiech na jego wargach. - Chyba sprawdzę, jak jest gdzie indziej.

Przesunął rękę w górę, ruchem łagodnym, zmysłowym, ona zaś spoglądając na jego usta wspomniała drażniący ich dotyk, gdy ich wargi spotkały się po raz pierwszy.

- Mów dalej - zażądał po kilku minutach rozkosznego milczenia. - Lubię patrzeć na twoje wargi, kiedy poruszają się przy mówieniu. To śmieszne, ale każdy ich ruch, to tak jakby pocałunek.

Pragnęła gorąco, żeby ta chwila trwała jak najdłużej. Powiedziała jednak:

- Jeżeli coś powiem, nie będzie ci się to podobało.

- Mów - nalegał. - Nie możesz powiedzieć nic, co by mi się nie podobało.

- No więc, po pierwsze, tam koło ogrodzenia rosną maki. Chciałabym zebrać bukiet. A po drugie, czas, żebyśmy wracali.

- Przegrałem - roześmiał się. - Ale swoją drogą zrobiłaś ustami dwadzieścia pięć pocałunków. Policzyłem wszystkie. Powiem ci coś. Zaśpiewasz teraz „Gdy skończą się żniwa”, a przez ten czas ja będę cię trzymał za drugie chłodne ramię. Potem pojedziemy.

Śpiewała patrząc na jego oczy, których spojrzenie utkwione było nie w jej oczach tylko w wargach. Skończywszy pieśń uwolniła się od uścisku jego dłoni i wstała. Miał już odejść do zaprzęgu, gdy podała mu swój żakiet. Mimo samodzielności, tak zrozumiała jej dziewczyny, która zarabiała na życie, Saxon miała wrodzone upodobanie do drobnych uprzejmości, do kurtuazji życia codziennego; co więcej, pamiętała z dzieciństwa rozmowy kobiet pionierskich o szarmanterii caballeros z hiszpańsko-kalifornijskich czasów.

Gdy zatoczywszy wielki krąg na wschód i południe przebyli dział wodny pagórków Contra Costa i zaczęli spuszczać się w dół wielkiej pochyłości, która prowadziła przez Szczyt Sekwoi do Fruitvale, słońce zachodziło już na ciemniejącym niebie. Przed nimi w dole rozpościerała się równina schodząca aż do zatoki, pocięta szachownicą pól, poznaczona plamami miast Elmhurst, San Leandro i Haywards. Na zachodzie nad Oakland niebo mroczne

było i mgliste od dymów, w głębi zaś, po drugiej stronie zatoki, mrugały pierwsze światła San Francisco.

Ogarnęła ich ciemność i Bill stał się dziwnie milczący. Przez pół godziny zachowywał się tak, jakby jej przy nim nie było; zwrócił się do niej tylko raz, gdy powiał chłodny wieczorny wiatr. Otulił szczelnie ją i siebie fartuchem powozu. Kilkakrotnie Saxon miała już spytać: - O czym myślisz, Bill? - ale powstrzymywała się za każdym razem. Siedzieli bardzo blisko siebie. Ciała ich przenikały się wzajemnym ciepłem i Saxon czuła w sercu bezgraniczną błogość i ukontentowanie.

- Słuchaj no, Saxon - zaczął nagle. - Na nic się nie zda, żebym milczał dłużej. Cały czas od obiadu mam to na końcu języka. Może byśmy się tak pobrali?

Wielki spokój i wielka radość wypełniły jej serce. Wiedziała, że Bill mówi szczerze. Instynkt nakazywał jej okazać powściągliwość, tak aby musiał starać się o jej rękę, aby stała mu się bardziej godna pożądania, zanim ją zdobędzie. Co więcej, Bill uraził jej dumę i próżność kobiecą. Nie wyobraża sobie, że mężczyzna, któremu będzie rada oddać rękę, oświadczy jej się tak obcesowo i bez ogródek. Bezpośredniość i prostota oświadczyn Billa bez mała ją bolały. Z drugiej jednak strony pragnęła go tak bardzo... Nie uświadamiała sobie nawet, jak bardzo, dopóki nagle nie stał się dla niej osiągalny.

- Musisz mi, Saxon, odpowiedzieć. Dobre czy złe słówko, ale powiedzieć musisz. I weź jeszcze pod uwagę, że cię kocham. Wiesz co? Kocham cię jak wszyscy diabli, Saxon. Chyba musi tak być, bo cię proszę, żebyś za mnie wyszła, a nigdy nie proponowałem tego żadnej dziewczynie.

Znowu zapadło milczenie i myśli Saxon pobiegły bezwiednie ku ciepłu przenikającemu ich ciała pod fartuchem dwukółki. Gdy zdała sobie sprawę z kierunku swoich myśli, zaczerwieniła się w ciemności z poczuciem winy.

- Ile masz lat, Bill? - To jej niespodziewane i nie na temat pytanie tak było zaskakujące, jak tamte jego słowa.

- Dwadzieścia dwa - odparł.

- A ja mam dwadzieścia cztery.

- Mówisz, jakbym tego nie wiedział. Wiem, kiedyś wyszła z sierocińca i ile miałaś lat, jak długo pracowałaś w fabryce juty, w fabryce konserw i pudełek tekturowych, w pralni... Może myślisz, że ja nie umiem rachować? Wiem, ile masz lat, z dokładnością co do dnia.

- To nie zmienia faktu, że jestem od ciebie o dwa lata starsza.

- Co z tego? Gdyby to miało jakieś znaczenie, chyba bym cię nie kochał. Prawda? Twoja matka miała świętą rację. Miłość to piekielnie wielka rzecz. Taka naprawdę ważna.

Nie rozumiesz tego? Kocham cię, Saxon, i muszę cię mieć. Myślę, że to jest naturalne. A zawsze to obserwowałem u koni, u psów i u innych ludzi, że co jest naturalne, jest słuszne. Nie ma co na to zamykać oczu, Saxon. Muszę cię mieć i chcę cię mieć, i z całej siły pragnę, żebyś ty mnie chciała. Może nie mam rąk tak delikatnych jak buchalterzy i kanceliści, ale moje ręce potrafią pracować dla ciebie i walczyć dla ciebie, i Saxon... potrafię cię kochać.

Odwieczny antagonizm płci, który zawsze dominował w jej stosunkach z mężczyznami, znikł nagle. Po raz pierwszy nie miała uczucia, że znajduje się na pozycjach obronnych. Ale bo też nie była to żadna gra. Było to owo coś, na co czekała i o czym marzyła. Wobec Billa czuła się bezbronna, ale ta świadomość nie niepokoiła jej bynajmniej. Nie umiałaby mu niczego odmówić. Nawet gdyby się okazał podobny do innych mężczyzn. A z bezmierności tej myśli wyrosła myśl jeszcze ogromniejsza: Bill nie okaże się podobny do innych mężczyzn.

Nie odpowiedziała, tylko w żarliwości duszy i ciała sięgnęła po jego lewą rękę i łagodnie usiłowała zdjąć ją z lejców. Nie rozumiał, gdy jednak nalegała, przełożył lejce do prawej ręki i pozwolił wziąć jej lewą. Wtedy pochyliła głowę i pocałowała tę dłoń stwardniałą od pracy.

Bill oniemiał.

- Nie żartujesz? - wyjąkał po chwili.

Zamiast odpowiedzi po raz drugi pocałowała jego rękę.

- Kocham twoje ręce, Bill - wyszeptła. - Dla mnie są to najpiękniejsze ręce na świecie i godzinami musiałabym ci tłumaczyć, ile one dla mnie znaczą.

- Prrr! - huknął na konie.

Ściągnął lejce, a gdy powozik stanął, uspokoił zwierzęta głosem i umocował lejce do bata. Potem obrócił się do niej, wziął ją w ramiona i wargami przywarł do jej warg.

- Och, Bill, postaram się być dobrą żoną - zaszlochała, gdy przerwali pocałunek.

Ucałował jej wilgotne oczy i znowu poszukał wargami jej warg.

- Teraz już wiesz, o czym myślałem i dlaczego się pocilem, kiedy jedliśmy obiad. Wyglądało na to, że nie wytrzymam ani chwili dłużej i powiem ci. Czy ty wiesz Saxon, żeś mi się spodobała w tej samej chwili, kiedy na ciebie spojrzałem?

- Myślę, Bill, że ja cię też pokochałam tego pierwszego dnia. I taka byłam wtedy z ciebie dumna, taki byłeś dobry i łagodny, a taki silny, i mężczyźni tyle ci okazywali szacunku, a dziewczęta wszystkie przewracały do ciebie oczami... i zwyciężyłeś tych trzech Irlandczyków, kiedy stałam za ogromnym stołem. Nie mogłam pokochać ani wyjść za mąż za mężczyznę, z którego nie byłabym dumna, a z ciebie jestem taka dumna, taka dumna...

- Ani w połowie nie jesteś taka dumna, jak ja jestem w tej chwili z siebie że cię zdobyłem. Aż mi się to wydaje za dobre, żeby było prawdziwe. Za dwie minuty zadzwoni budzik i zbudzi mnie ze snu. Ale w takim razie muszę wykorzystać jak najlepiej te dwie minuty. Uważaj, żeby cię nie zjadł, taki mam na ciebie apetyt.

Wziął ją w ramiona i zamknął w uścisku tak miazdzącym, że niemal bolesnym. Po chwili, która Saxon wydawała się długą jak wieczność niebiańską szczęśliwością, zwolnił uścisk, opanowując się jak gdyby z najwyższym wysiłkiem.

- No i budzik jakoś jeszcze nie zadzwonił - wyszeptał z twarzą przy jej twarzy.

- Ale noc jest ciemna i Fruitvale leży prosto przed nami, więc teraz już widzę Księcia i Króla, jak stoją sobie spokojnie na środku drogi. Nigdy bym nie pomyślał, że przyjdzie taki czas, kiedy będę chciał zatrzymać w drodze parę wspaniałych koni. Ale czas taki przyszedł. Nie mogę... zwyczajnie nie mogę się z tobą rozstać, a śpieszyć się dzisiaj nie muszę. Wstyd mnie pali jak rozżarzone żelazko, ale co robić?

Wpuścił ją z objęć, otulił fartuchem i cmoknął na niecierpliwe konie.

W pół godziny później zawołał: - Prr!

Wiem już, że teraz nie śpię, ale kto wie, czy tamto wszystko mi się nie przyśniło, więc wolę sprawdzić.

Znowu przywiązał lejce do bata i wziął ją w ramiona.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dni szybko mijały. Saxon pracowała nadal w pralni, a nawet brała więcej niż zwykle godzin nadliczbowych, cały zaś wolny czas poświęcała na przygotowania do wielkiej zmiany w życiu - i Billowi. Bill okazał się niecierpliwym narzeczoną, gdyż żądał, aby się pobrali nazajutrz po oświadczeniach, potem zaś stanowczo nie chciał przystać na zwłokę dłuższą niż tydzień.

- Po co czekać? - pytał. - Nie młodniejemy, jeśli mogę zauważyć, a pomyśl tylko, ile tracimy z każdym dniem czekania.

W końcu zgodził się na miesiąc, co wyszło tylko na dobre, bo po dwóch tygodniach przeniesiono go wraz z kilku innymi woźnicami do wielkich stajen Corberly'ego i Morrisona w Zachodnim Oakland. Zaniechali więc polowań na mieszkanie w tamtym końcu miasta i na ulicy Sosnowej, pomiędzy Piątą i Czwartą ulicą, tuż obok wielkich warsztatów kolei Southern Pacific, wynajęli za dziesięć dolarów na miesiąc mały, schludny domek składający się z czterech pokoi.

- Uważam, że to za bezcen, jak porównać z tymi wszystkimi kłitkami, za które Bóg wie ile przepłacałem - oznajmił Bill. - Weź pokój, w którym teraz mieszkam. Mniejszy od najmniejszego tutaj, a płacę sześć dolarów na miesiąc.

- Ale jest umeblowany - przypomniała mu Saxon. - A chyba rozumiesz, że to wielka różnica.

Bill wcale tego nie rozumiał.

- Nie jestem specjalnie uczony, Saxon, ale znam się na arytmetyce. Kiedy było mi ciężko, zastawiałem zegarek, więc umiem obliczać procenty. Jak myślisz, ile musiałyby kosztować umeblowanie takiego domu? Chodniki na podłodze, linoleum w kuchni i tak dalej?

- Wystarczyłoby w zupełności trzysta dolarów - odparła. - Zastanawiałam się nad tym i jestem pewna, że trzysta dolarów pokryje wszystkie wydatki.

- Trzysta dolarów - powtórzył marszcząc czoło z wysiłku. - Trzysta, powiedzmy, na sześć procent... to wypada sześć centów od dolara, sześćdziesiąt centów od dziesięciu dolarów, sześć dolarów od stu... od trzystu osiemnaście dolarów. Przyznasz, że jestem mocny w mnożeniu przez dziesięć. A teraz podzielmy osiemnaście przez dwanaście, to nam da półtora. Półtora dolara oprocentowania na miesiąc. - Umilkł, zadowolony, że dowiódł swojej racji. Nagle nowa myśl ożywiła mu rysy. - Czeka! To nie wszystko! Obliczyłem procent od sumy wydanej na meble do czterech pokoi. Trzeba to teraz podzielić przez cztery. Ile to

wypada... półtora dolara podzielone przez cztery? - Cztery w piętnastu... trzy całe i trzy w pamięci - recytowała Saxon bez zająknięcia.

- Cztery w trzydziestu... siedem całych... dwadzieścia osiem... dwa w pamięci. A dwie czwarte to jest jedna druga. Gotowe!

- Ale ty masz głowę do liczenia! - Zawahał się. - Wiesz, niezupełnie cię rozumiem. Ile to wypadło?

- Trzydzieści siedem i pół centa.

- No proszę... Zaraz zobaczymy, ile wyrzucałem w błoto płacąc za mój pokój. Dziesięć dolarów miesięcznie za cztery pokoje, wypada dwa i pół dolara za jeden pokój. Jak dodamy do tego trzydzieści siedem i pół centa procentu od sumy na meble, wypadnie dwa dolary i osiemdziesiąt siedem i pół centa. Teraz trzeba to odjąć od sześciu dolarów.

- Trzy dolary dwanaście i pół centa - podsunęła prędko.

- Aha! Czyli że przy płaceniu za pokój, który wynajmuję, wyciągali mi z kieszeni trzy dolary i dwanaście i pół centa! Nie uważasz, Saxon, że małżeństwo to taka kasa oszczędności?

- Ale meble się niszczą, Bill.

- Hmm... wcale mi to nie przyszło do głowy. To naturalnie też należy wziąć pod uwagę. W każdym razie trzeba się będzie tym zająć, więc w przyszłą sobotę musisz wziąć wolne popołudnie, żebyśmy mogli pójść i kupić meble. Zaszedłem wczoraj wieczorem do Salingera. Dam im pięćdziesiąt dolarów z góry, reszta w ratach miesięcznych po dziesięć dolarów. Po dwudziestu pięciu miesiącach meble są nasze. Ale pamiętaj, Saxon, masz wybrać wszystko, co będzie ci potrzebne, bez oglądania się na koszty. Żadnego skapienia na tym, co ma być dla ciebie i dla mnie.

Skinęła głową, ale nie zdradziła się ani jednym mięśnieniem twarzy, że w myślach planuje już setki drobnych oszczędności. Jej oczy zalśniły wilgocią.

- Taki jesteś dla mnie dobry, Bill - wyszeptwała, gdy zbliżyła się do niego i zamknęła ją w ramionach.

- A więc stało się - powiedziała Mary któregoś dnia rano. Najdalej w dziesięć minut po rozpoczęciu pracy zauważyła pierścionek na serdecznym palcu lewej ręki Saxon. - Kto jest tym szczęśliwcem? Charley Long czy Bill Roberts?

- Bill - brzmiała odpowiedź.

- No wiesz! Bierzesz sobie chłopaczka na wychowanie?

Widać było po Saxon, że cios trafił w bolące miejsce i Mary okazała szczerą skruchę.

- Czy ty się nie rozumiesz na żartach? Przecież strasznie się z tego cieszę. Bill to porządny człowiek i naprawdę jestem rada, żeś go dostała. Takich jak on można by na palcach zliczyć, nie znajduje się takich na każde zawołanie. Obojgu wam się poszczęściło. Jesteście dla siebie jak stworzeni i naprawdę nie znam takiej dziewczyny, która by bardziej niż ty nadawała się na jego żonę. Kiedy ślub?

Gdy w kilka dni później Saxon wracała z pralni, natknęła się na Charleya Longa. Zatarasował chodnik i zmusił ją do rozmowy.

- A więc włączysz się z bokserem zawodowym - powiedział szyderczo. - Nawet ślepy by zobaczył, czym się to skończy.

Po raz pierwszy nie czuła lęku przed tym masywnym, posępnym człowiekiem o owłosionych rękach. Pokazała mu lewą rękę.

- Widzisz to? Mimo że taki jesteś silny, nie udało ci się włożyć mi tego na palec. A Bill Roberts włożył mi pierścioneł w tydzień po naszym poznaniu. Rozprawił się z tobą, a w tym samym czasie zdobył mnie.

- Ale ci było spieszno! - odciął się Long. - Masz dwadzieścia trzy latka.

- Jest niepodobny do ciebie - ciągnęła Saxon. - Jest mężczyzną, prawdziwym mężczyzną... wspaniałym i szlachetnym.

Long roześmiał się gburowato.

- Mógłbym ci powiedzieć o nim niejedno. Uczciwie ci mówię, Saxon, że niezłe z niego ziółko. Gdybym ci tak powiedział...

- Radzę ci mnie przepuścić - przerwała Saxon - bo jak nie, powtórzę Billowi wszystko, a wiesz, co cię wtedy spotka!

Long drgnął, zaszurgał nogami i odsunął się na bok z ociąganiem.

- Ale twarda z ciebie sztuka - rzekł na pół z podziwem.

- To samo da się powiedzieć o Billu Robertsie - rzuciła Saxon ze śmiechem i ruszyła przed siebie. Po chwili przystanąła. - Słuchaj, Charley! - zawołała.

Ogromny kowal obrócił się ku niej skwapliwie.

- Dalej na tej samej ulicy widziałam człowieka z chorą nogą - powiedziała. - Mógłbyś pójść i pobić go.

W okresie krótkiego narzeczeństwa Saxon pozwoliła sobie na jeden ekstrawagancki wydatek. Poszła do fotografa i zamówiła sześć gabinetowych zdjęć, przeznaczając na to całodzienny zarobek. Bill oznajmił, że życie straci wszelką wartość, jeżeli nie będzie mógł

wieczorem przed snem i rano po przebudzeniu spoglądać na jej podobiznę. W zamian dwie jego fotografie - jedna konwencjonalna, druga w boksterskim kostiumie - ozdobiły ramę lustra w pokoju Saxon. I właśnie patrząc na tę drugą, przypomniała sobie opowieść matki o dawnych Saksonach, zdobywcach mórz, o zwycięzcach angielskich wybrzeży. Z komody, która przebyła prerie, wyjęła mały przedmiot spośród swego bezcennego dziedzictwa - zeszyt z wycinkami matki, gdzie przyklejone do kart znajdowały się wszystkie niemal wiersze z pism ulotnych pionierskiej Kalifornii. Były tam także reprodukcje obrazów i starych drzeworytów zamieszczane w miesięcznikach przed kilkudziesięciu laty.

Palce Saxon przewracały szybko znajome kartki i zatrzymały się dopiero przy obrazie, którego szukała. Pomiędzy groźnymi skałami wybrzeża a niebem niskim od szarych, skłębionych chmur lądowało na piaszczystym, zbryzganym pianą fal skrawku plaży kilkanaście długich, smukłych, ciemnych łodzi o dziobach niczym potworne ptaki. Mężczyźni w łodziach - na pół nadzy, o potężnych mięśniach i płowych włosach - nosili hełmy ozdobione piórami. W rękach mieli miecze i dzidy, skakali w morze i zanurzeni po pas brnęli do brzegu. Naprzeciw nich stali, broniąc dostępu do lądu, barbarzyńcy odziani w skóry, ale niepodobni do Indian; stali zbici w gromadki na brzegu lub wchodzili po kolana w wodę. Wymieniono już pierwsze ciosy; tu i tam ciała zabitych i rannych unosiły się na przybrzeżnej płytczynie. Jeden płowowłosy najeźdźca leżał w poprzek burty - strzała tkwiąca w jego piersi mówiła o tym, jaką poniósł śmierć. Z mieczem w ręku przeskakiwał przez niego - Bill. Nie mogła się mylić. Niezwykła płowość włosów i jasność skóry, rysy, oczy, usta były te same. Nawet w wyrazie twarzy wojownika dostrzegła to, co widziała u Billa, kiedy w Weasel Park stawiał czoło rozwścieczonym Irlandczykom.

Z mrowia tych wojowniczych plemion wywiedli się przodkowie Billa... i moi, dodała w myślach, zamykając zeszyt i odkładając go na powrót do szuflady. A jeden z owych przodków zrobił tę starodawną i zniszczoną teraz komodę, która przebyła ocean i prerie, i trafiona została kulą w walce z Indianami pod Little Meadow. Saxon niemal widziała oczyma wyobraźni kobiety, które trzymały swoje stroiki i domową bieliznę z własnoręcznie tkanego płótna w szufladach komody - kobiety tamtych wędrujących pokoleń, które były babkami i prababkami jej matki. Tak - pomyślała z westchnieniem - to dobrze, że się urodziła z takiego szczepu; ze szczepu ludzi, którzy potrafią pracować i potrafią walczyć. Zaczęła się zastanawiać, jak wyglądałoby jej życie, gdyby była Chinką albo Włoszką... jedną z tych włoskich kobiet, które widywała w szalu lub z gołą głową, przysadzistych, niezgrabnych i śniadych, noszących na głowie stosy drzewa w rzuconego przez morze na piasek. Potem roześmiała się z własnej głupoty, przypomniała sobie Billa i czteropokojowy domek na ulicy

Sosnowej. Poszła do łóżka, po raz setny rozpamiętując najdrobniejsze szczegóły umeblowania.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nasze stada były już do cna wyczerpane - mówiła Saxon - i zima nadchodziła, tak że nie śmieliśmy się przeprowiać przez Wielką Amerykańską Pustynię i rozbiliśmy zimowy obóz w Salt Lake City. To było jeszcze, zanim mormoni¹ zrobili się źli i trzeba przyznać, że traktowali nas bardzo po ludzku.

- Mówisz zupełnie tak, jakbyś tam była - zauważył Bert.

- Ja nie, ale moja matka była - odparła Saxon z dumą. - Tej zimy skończyła dziewięć lat.

Siedzieli przy stole w kuchni małego domku na ulicy Sosnowej i jedli obiad składający się z kanapek, tamale² i piwa. Była to niedziela, dla wszystkich czworga dzień wolny od pracy, przyszli więc wcześniej i pracowali ciężiej niż w dzień powszedni: umyli ściany i okna, szorowali podłogi, rozkładali chodniki i linoleum, zawieszali firanki, przestawili piec, rozmieścili garnki i talerze i ustawili meble.

- Mów dalej, Saxon - prosiła Mary. - Dosłownie umieram z ciekawości. A ty, Bert, zamilcz i słuchaj.

- No więc tej zimy zjawił się Del Hancock. Pochodził z Kentucky, ale już od lat mieszkał na Dzikim Zachodzie. Był tropicielem, jak Kit Carson. Znali się zresztą doskonale i niejedną noc spędzili pod wspólną derką. Razem walczyli pod generałem Fremontem w Kalifornii i Oregonie. Tej zimy Del Hancock przejeżdżał przez Salt Lake City w drodze do... sama nie wiem dokąd; w każdym razie chciał zebrać gromadkę myśliwych z Gór Skalistych i zapolować z nimi na bobry w jakiejś sobie tylko znanej okolicy. Był urodziwym mężczyzną. Miał długie włosy, takie jak na obrazach, i nosił w talii szeroki jedwabny pas, czego nauczył się od Hiszpanów w Kalifornii. U paska skórzanego wisiała mu para pistoletów.

Kobiety kochały się w Delu Hancocku od pierwszego wejrzenia, a on zobaczył Sadie, najstarszą siostrę mojej matki, i widocznie stracił dla niej głowę, bo został w Salt Lake City i nie zrobił ani kroku dalej. Był wielkim pogromcą Indian. Kiedy byłam mała, słyszałam, jak ciotka Villa mówiła, że miał czarne, płomienne oczy i spojrzenie orła. Stawał też do pojedynków, jak to w tamtych czasach mężczyźni mieli w zwyczaju, i nie bał się niczego.

Sadie, która była prawdziwą pięknoscią, flirtowała z nim i doprowadzała go do

1 Mormoni - amerykańska sekta religijna powstała w roku 1827. Od roku 1847 mormoni założyli własne państwo na brzegu wielkiego Jeziora Słonego (Salt Lake). Odtąd miasto Salt Lake City jest ich „stolicą”.

2 (tamale - przysmak meksykański, rodzaj potrawy z kurcząt mocno przyprawionej czerwonym pieprzem.)

szaleństwa. Może nie była pewna swoich uczuć - nie wiem. Wiem tylko, że nie uległa tak prędko jak ja Billowi. W końcu Del nie mógł już tego dłużej wytrzymać i któregoś wieczora przyjechał do niej konno, zupełnie szalony. „Słuchaj, Sadie - powiedział - jeżeli nie przyrzekniesz, że jutro za mnie wyjdiesz, strzelę sobie w łeb zaraz za podwórzem!”. I dotrzymałby słowa, o czym Sadie wiedziała, przyrzekła mu więc, że zrobi wedle jego woli. No i czy oni w tamtych czasach nie byli prędcy w miłości?

- Och nie powiedziałbym tego - rzuciła Mary pogardliwie. - W tydzień po tym jak pierwszy raz zobaczyłaś Billa na oczy, już byłaś z nim zaręczona. Czy ci może Bill powiedział, że palnie sobie w łeb za pralnią, jeżeli mu nie obiecasz ręki?

- Nie dałam mu do tego okazji - wyznała Saxon. - W każdym razie Del Hancock i ciotka Sadie pobrali się nazajutrz. I byli bardzo szczęśliwi, tylko że ona umarła. A potem jego zabili Indianie, razem z generałem Custerem i całą resztą. Był jut wtedy stary, ale myślę, że wysłał na tamten świat niejednego Indianina, zanim oni go dostali. Ludzie tacy jak on zawsze walczą do ostatka i drogo sprzedają swoje życie. Kiedy byłam mała, znałam pewnego Ala Stanleya. Al był szulerem, ale nie brakło mu odwagi. Jeden kolejarz strzelił mu w plecy, kiedy Al siedział przy stole. Strzał był śmiertelny i Al po paru sekundach już nie żył. Ale zanim umarł, wyciągnął pistolet i wpakował trzy kulki w człowieka, który go zabił.

- Nie lubię walk - oznajmiła Mary. - Strasznie mnie denerwują. To okropne, że Bert zawsze tak się rwie do bójki. Czy to ma jakiś sens?

- A ja bym nawet nie spojrziała na mężczyznę, który nie miałby w sobie zamiłowania do walki - oznajmiła Saxon. - Przecież gdyby nie waleczność naszych ojców i dziadków, nie byłoby nas tutaj.

- Jeżeli idzie o waleczność, masz w Billu pierwszorzędny towar - zapewnił ją Bert. - Gatunek ekstraklasa. Bill to prawdziwy Mohikanin z pęczkiem skalpów u pasa. A jak się wścieknie, lepiej schodzić mu z drogi, bo inaczej marne dla człowieka widoki.

- No właśnie - przytaknęła Mary.

Bill, który nie brał udziału w rozmowie, wstał, zajrzał do małego pokoju sypialnego obok kuchni przeszedł do bawialni i sąsiadującego z nią dużego pokoju sypialnego, wrócił do kuchni i stanąwszy ze zmarszczonymi brwiami przy drzwiach sypialenki zaglądał do środka.

- Co cię gryzie, chłopie? - spytał Bert. - Masz taką minę, jakbyś coś zgubił albo jakbyś postawił na wyścigach na trypla. No mów, co masz na wątrobie.

- Zastanawiam się tylko, gdzie są, u licha, meble do małej sypialni.

- W ogóle nie ma - wyjaśniła Saxon - bośmy ich nie zamawiali.

- W takim razie muszę się tym jutro zająć.

- A po cóż wam drugie łóżko? - spytał Bert. - Jedno wam nie wystarczy?

- Uspokój się, Bert - krzyknęła Mary. - Nie bądź ordynarny.

- Prr, Mary! - powiedział Bert z uśmiechem. - Cofnij się. Znowu weszłaś do złej przegrody.

- Ten pokój nam niepotrzebny - mówiła Saxon do Billa. - Więc nie pomyślałam o meblach. Pieniądze, które musielibyśmy na nie wydać, poszły na kupno lepszych chodników i pieca.

Bill podszedł do niej, podniósł ją z krzesła, sam usiadł i wziął ją na kolana.

- Dobrze zrobiłaś, malutka. Wszystko dla nas musi być w najlepszym gatunku. A jutro wieczór wezmę cię do Salingera i wybierzemy porządny komplet mebli i chodnik do tej małej sypialni. Coś naprawdę przyzwoitego. Żadnej tandety.

- Będziemy musieli wydać z pięćdziesiąt dolarów - zaprotestowała Saxon.

- W porządku - skinął głową. - Niech kosztuje pięćdziesiąt i ani centa mniej. Musimy mieć wszystko najlepsze. A jaki jest pożytek z pustego pokoju? Przecież cały dom wyglądałby jakoś ładajako. Przecież ja teraz ciągle patrzę i obserwuję, jak to nasze małe gniazdko... od dnia, kiedyśmy zapłacili zadatek i dostali klucze... rozrasta się po trochu, robi się wygodniejsze. Nie ma prawie takiej chwili, kiedy jestem w pracy, kiedy powożę moimi końmi, żebym nie widział tego gniazdko. A jak się pobierzemy, dalej będę je w myślach widział i chciałbym je widzieć wykończone. Gdyby ta sypialnia miała nie mieć mebli i chodnika, cały dzień widziałbym tylko puste ściany i gołą podłogę. Czułbym się jakoś oszukany. Cały nasz domek byłby właściwie kłamstwem. Popatrz, Saxon, na firanki, któreś tam zawiesiła. Chyba po to, żeby sąsiedzi myśleli, ten pokój jest umeblowany. Te firanki kłamią, Saxon, kłamią i wszyscy dookoła słyszą to kłamstwo. Nie świadczy to o nas dobrze. Moja rzecz w tym, żeby zaczęły mówić prawdę.

- Moglibyście pokój wynająć - podsunął Bert. - Niedaleko są warsztaty kolejowe, a do restauracji kilkadziesiąt kroków.

- Nigdy w życiu! Nie żenię się z Saxon, żeby brać sublokatorów. Wiesz, co bym zrobił, gdybym nie potrafił jej utrzymać? Poszedłbym na Wielkie Molo, uwiązałbym sobie kamień do szyi i skoczył do wody. Mam rację, Saxon?

Było to wbrew jej zwykłej roztropności, schlebiało jej jednak. Zarzuciła mu ręce na szyję i zanim go pocałowała, rzekła:

- Ty nam przewodzisz, Bill. Twoje słowa są jak rozkaz. Zawsze będą.

- Słyszałaś? - zwrócił się Bert kpiąco do Mary. - Tak być powinno. Saxon wie, jak się wziąć do rzeczy.

- Myślę, że zanim coś postanowię, będziemy wszystko wspólnie omawiali - rzekł Bill do Saxon.

- A ty słyszałeś? - zawołała Mary z triumfem. - Możesz mi wierzyć na słowo, że mężczyzna, który się ze mną ożeni, będzie musiał wszystko omawiać ze mną z góry.

- Przecież Bill tylko ją nabiera - kpił Bert. - Wszyscy mężczyźni robią to przed ślubem.

Mary parsknęła gniewnie.

- Głowę dam, że Saxon będzie go wodziła za nos. A ja powiem głośno i wyraźnie, że też będę wodziła za nos mężczyznę, za którego wyjdę.

- Nie... jeżeli go będziesz kochała - wtrąciła Saxon.

- Tym bardziej - upierała się Mary.

Bert zrobił minę żalobną i zgnębiającą.

- Teraz widzicie, dlaczego się nie pobieramy - powiedział. - Jestem wielki straszny Indianin i niech mnie licho, jeżeli wybuduję wigwam, w którym nie będę mógł być panem.

- A ja nie jestem indiańska squaw - odcięła się Mary - i nie wyszłabym za wielkiego straszego Indianina, choćby był jedynym mężczyzną na świecie.

- Hm... wielki straszny Indianin wcale cię o to nie prosił.

- Wie, co by usłyszał, więc woli nie ryzykować.

- A po tym, co usłyszał, dobrze się namyśli, zanim naprawdę zaryzykuje.

Chcąc skierować rozmowę na przyjemniejsze tory, Saxon klasnęła w ręce, jakby jej się nagle coś przypomniało.

- Och, zupełnie mi to z głowy wypadło! Chcę wam coś pokazać. - Wyjęła z portmonetki cienką złotą obrączkę i podała im, aby obejrzeeli. - Obrączka mojej matki - powiedziała. - Nosila ją zawsze na szyi jak medalionik. W sierocińcu tak za nią płakałam, że kierowniczką oddała mi ją i pozwoliła nosić. A teraz - pomyślcie! Od najbliższego wtorku będę ją nosiła na palcu. Zobacz Bill, co jest wyryte w środku.

- „D od C, 1879” - przeczytał.

- Daisy od Carltona... mój ojciec miał na imię Carlton. Musisz, Bill, kazać teraz wyryć napis dla nas.

Mary była podniecona i zachwycona.

- Ach, jakie to wzruszające! - zawołała. - „S od B, 1907”.

Bill namyślał się przez chwilę.

Nie, to nie będzie dobrze, bo przecież Saxon nie dostaje obrączki ode mnie.

- Wiem, jak zrobimy - powiedziała Saxon. - „B i S”.

- Mowy nie ma, Bill potrząsnął głową. - „S i B”, ponieważ ty jesteś dla mnie pierwsza.
- Jeżeli ja jestem dla ciebie pierwsza, ty jesteś pierwszy dla mnie. Billy, kochany, żądam, żeby było „B i S”.
- Widzisz? - zwróciła się Mary do Berta. - Już go wodzi za nos i stawia na swoim. Saxon poczuła ukłucie.
- Jak chcesz, Bill - rzekła nagle. Przytulił ją mocniej do siebie.
- Myślę, że jeszcze się nad tym zastanowimy - powiedział.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Sara miała poglądy konserwatywne, które, co gorsza, ostatecznie się skryzlowały pod koniec jej miesięcy miodowych, z przyjściem na świat pierwszego dziecka. Po tym okresie poglądy Sary zakrzyły jak gips w formie. Jej formą odlewniczą były zapatrywania i przesady młodości i domu, w którym żyła. Tak bardzo zasklepiła się w przyzwyczajeniach i nawykach, że każda zmiana w utartej rutynie rozrastała się do rozmiarów rewolucji. Tom przeżył wiele takich rewolucji, w tym trzy, kiedy zmieniali mieszkanie. Potem jego odporność zmalała i nigdy więcej nie proponował przeprowadzki.

Z tego względu Saxon nie zawiadamała rodziny o planowanym małżeństwie dopóty, dopóki to było możliwe. Spodziewała się sceny - i miała scenę.

- Bokser zawodowy, chuligan, łobuziak - szydziła Sara, wyczerpawszy już wszystkie dramatyczne prognozy przyszłości swojej i dzieci, gdy zbraknie czterech i pół dolara płaconych tygodniowo przez Saxon. - Ciekawe, co by tak twoja matka powiedziała, gdyby dożyła tego dnia, kiedy jej córka zaczęła latać z nicponiem w rodzaju Billa Roberta. Powiem ci tylko, że możesz się teraz pożegnać ze swoimi jedwabnymi pończochami i trzema parami bucików. Niedługo będziesz szczęśliwa, jak włożysz na nogi płócienne pantofle i pończochy bawełniane za dwadzieścia pięć centów dwie pary.

- Och, o to jestem spokojna, Bill potrafi zarobić na a mnie - odcięła się Saxon, dumnie odrzucając do tyłu głowę.

- Sama nie wiesz, co mówisz! - Sara umilkła i roześmiała się z bezlitosnym szyderstwem. - Poczekaj, jak zaczną przychodzić na świat dzieci. A przychodzą prędzej, niż rosną zarobki.

- Kiedy my nie chcemy mieć dzieci... to jest, nie od razu. W każdym razie nie wcześniej, niż spłacimy meble.

- Mądre to twoje pokolenie, co? W moich czasach dziewczęta były za skromne, żeby wiedzieć o nieprzyzwoitych sprawach.

- Takich jak dzieci? - spytała Saxon z łagodną ironią.

- A jakże, takich jak dzieci.

- Pierwszy raz słyszę, żeby dzieci były czymś nieprzyzwoitym. Jaka ty, Saro, jesteś nieprzyzwoita ze swoją piątką drobiazgu! My z Billem nie będziemy nawet w połowie tak nieprzyzwoici. Postanowiliśmy mieć tylko dwójkę, dziewczynkę i chłopca.

Tom zachichotał, ale zdołał zachować spokój dzięki temu, że ukrył twarz w filiżance z kawą. Chociaż ten atak z flanki pokrzyżował Sarze szyki, była jednak tak zręczna w kunsztach

prowadzenia kłótni, że w okamgnieniu przypuściła szturm od innej strony.

- A ślub musi się odbyć raz dwa, na łapu-capu, co? Niech mi ktoś powie, że to nie jest podejrzane. Pojęcie ludzkie przechodzi, co te młode panny teraz wyprawiają. Są nieprzyzwoite. Zwyczajnie nieprzyzwoite. Takie bywają skutki latania w niedzielę na tańce. Dzisiejsze dziewczyny są jak zwierzęta. Takiej rozpusty i takiego rozwydrzenia w życiu nie widziałam.

Saxon pobladła z gniewu, ale gdy Sara ciągnęła swoje gwałtowne przemówienie, Tom ukradkowym i wymownym mrugnięciem poprosił siostrę, aby mu pomogła przywrócić spokój.

- Nic się nie martw, siostrzyczko - pocieszał Saxon, gdy zostali sami. - Z Sarą nie warto wdawać się w rozmowę. Z Billa Robertsza porządny chłopak, słyszałem o nim niejedno. Możesz być dumna, że go dostajesz za męża. Wygląda na to, że będziesz szczęśliwa... - Głos mu się załamał, twarz postarzała nagle, rysy ściągnęło zmęczenie. - Niech Sara będzie dla ciebie przestrogą - dodał. - Nie terkocz mu ciągle nad uchem. Pozwól mu się czasem wygadać. Mężczyźni też mają trochę oleju w głowie, chociaż Sara tego nie wie. Sara mnie kocha, naprawdę, chociaż nigdy nie przyszłoby jej na myśl, żeby mi o tym powiedzieć. Ty, siostrzyczko, powinnaś kochać swojego męża, tylko, u wszystkich diabłów, powinnaś mu o tym mówić! Wtedy tak go wykołujesz, że zrobi prawie wszystko, co będziesz chciała. Pozwól mu czasem robić po swojemu, wtedy on tobie zawsze ustąpi. A pamiętaj, musisz go kochać i mieć zaufanie do jego rozsądku, bo głupcem nie jest. Będzie ci wtedy jak w niebie.

- Posłucham twojej rady, Tom - skinęła głową Saxon uśmiechając się do niego przez łyżki, które wycisnęła jej troska okazana przez brata. - A na dodatek zrobię jeszcze coś innego. Będę tak postępowała, żeby Bill mnie kochał... i żeby nie przestał mnie kochać. A wtedy nie będę musiała go kołować, żeby robił to, co będę chciała. Wtedy ustąpi mi z miłości do mnie.

- Bardzo mądre zasady, Saxon. Trzymaj się ich, a będziesz górą.

Gdy nieco później Saxon włożyła kapelusz i wyszła do pralni, natknęła się za rogiem na Toma, który czekał na nią.

- Słuchaj, Saxon, nie pomyślisz chyba, że... że to, co mówię o Sarze, jest... dowodem braku lojalności z mojej strony. - Mówił prędko, zacinał się. - Sara to w gruncie rzeczy zacna kobieta i wierna. A życia nie ma takiego znowu łatwego. Prędzej bym sobie język odgryzł, niż skrzywdził ją słowem. Każdy człowiek ma jakieś swoje zmartwienie. Biedakom niełatwo jest żyć na świecie, co?

- Byłeś dla mnie zawsze dobry, Tom. Nigdy ci tego nie zapomnę. I wiem, że Sara chciałaby jak najlepiej. Intencje ma dobre.

- Nie będę mógł ci dać prezentu ślubnego - ciągnął Tom przepraszającym tonem. - Sara nie chce o tym nawet słyszeć. Powiedziała, że kiedyśmy się pobierali, moja rodzina nic nam nie dała. Ale mimo to mam coś dla ciebie. Niespodziankę. Nigdy byś nie zgadła.

Saxon czekała w milczeniu.

- Kiedy mi powiedziałaś, że wychodzisz za mąż, przyszła mi do głowy jedna myśl. Napisałem w tej sprawie do brata George'a i George przysłał mi to ekspresem. Nic ci dotąd nie mówiłem, bo nie byłem pewien, czy George tego nie sprzedał. Srebrne ostrogi sprzedał, widać potrzebował pieniędzy. Ale tamto przysłał mi pod adresem warsztatu... żeby nie drażnić Sary. Wczoraj przyniosłem ukradkiem do domu i schowałem w komórce za domem.

- Och, musi to być coś, co należało do mojego ojca! Tom, powiedz mi, co to? Powiedz mi!

- Szabla.

- Szabla, którą nosił przy boku, kiedy dosiadał wielkiego deresza! Nie mógłbyś, Tom, dać mi lepszego prezentu! Chodź, wrócimy. Tak bym ją chciała obejrzeć. Przemkniemy się wejściem od tyłu. Sara zmywa w kuchni i przez godzinę nie będzie wychodziła przed dom.

- Mówiłem z Sarą, żeby ci dać tę starą komodę, która należała do matki - wyszeptał Tom, gdy przemykali się wąskim przejściem między domami. - Ale nic z tego, bo ona wsiadła na swojego wysokiego konia. Powiedziała, że Daisy była tak samo moją matką, jak twoją, chociaż mieliśmy różnych ojców, i że komoda należała do rodziny Daisy, a nie kapitana Kita, więc jest moja, i wobec tego ona też ma tu coś do powiedzenia.

- O to się nie martw, Tom - uspokoiła brata Saxon. - Sara sprzedała mi ją wczoraj wieczorem. Nie poszła spać, tylko z ogniem w oczach czekała na mój powrót do domu.

- A tak, wkroczyła na wojenną ścieżkę, jak tylko wspomniałem o komodzie. Ileś jej dała?

- Sześć dolarów.

- To czysty rozbój! Komoda nie jest tyle warta! - jęknął Tom. - Cały jeden bok ma popękany i jest Bóg wie jak stara.

- Dałabym za nią dziesięć dolarów. Dałabym chyba wszystko, co mam. Przecież należała do matki i pamiętam, że do jej śmierci stała u niej w pokoju.

W komórce Tom wydobył na światło dzienne ukryty skarb i odwinął go z papieru. Saxon zobaczyła ciężką zardzewiałą szablę w stalowej pochwie, z rodzaju tych, jakie podczas wojny nosili oficerowie kawalerii. Przymocowana była do jedwabnego, pociętego przez mole pasa z grubo plecionej purpurowej tkaniny jedwabnej, ozdobionego ciężkimi jedwabnymi chwastami. Saxon prawie wyrwała z rąk brata drogą jej sercu pamiątkę. Wyciągnęła szablę z

pochwy i przylgnęła wargami do klingi.

Był to jej ostatni dzień w pralni. Tego wieczoru na dobre rozstała się z najemną pracą. Nazajutrz o piątej po południu miał odbyć się jej ślub, mieli stanąć z Billem przed sędzią pokoju. Bert i Mary będą świadkami, a potem wszyscy czworo pójdą do restauracji Barnuma, gdzie w gabinecie odbędzie się uczta weselna. Po tej małej uroczystości Bert i Mary wybiorą się na tańce do Myrtle Hall, ona zaś z Billem wsiądzie na Ósmej ulicy w tramwaj który ich dowiezie na róg Siódmej i Sosnowej. Podróż poślubna jest w klasie robotniczej rzadkim zjawiskiem. Następnego dnia rano Bill musi pójść do pracy o zwykłej godzinie i wyprowadzić swój zaprzęg ze stajni.

Wszystkie robotnice w pralni wiedziały, że jest to dla Saxon ostatni dzień pracy. Większość cieszyła się jej radością, sporo jednak zazdrościło, że zdobyła męża i uwalnia się od niewolnictwa deski i żelazka. Wiele kpin musiała znieść tego dnia; taki los spotykał wszystkie dziewczęta, które wychodząc za mąż opuszczały prasownię. Ale Saxon czuła się zbyt szczęśliwa, aby brać sobie do serca docinki, z których część nie należała może do najdelikatniejszych, wszystkie jednak wypowiedane były w dobrej intencji.

W parze wydobywającej się spod żelazka, na gładkiej powierzchni cienkich muślinów i płócienek Saxon widziała wciąż siebie krzątającą się po domu na ulicy Sosnowej. Cały też czas nuciła cichutko parafrazę modnej ostatnio piosenki:

*A gdy będę pracować; gdy będę pracować,
Będzie to dla mego Billa.*

O trzeciej po południu napięcie nerwowe wśród robotnic akordowych w wilgotnej, dusznej prasowni wzrosło. Stare kobiety wzdychały i z trudem łapały ustami powietrze; młode straciły rumieńce, rysy ich twarzy ściągnęły się, pod oczyma występowały głębokie cienie. Ale tempo pracy nie osłabło. Niezmordowana, zawsze czujna kierowniczką rozglądała się pilnie, czy któraś z kobiet nie zdradza objawów hysterii, i w pewnej chwili wyprowadziła z prasowni młode stworzenie o zapadniętej klatce piersiowej i przygarbionych plecach.

Saxon drgnęła gwałtownie na dźwięk najdzikszego okrzyku przerażenia, jaki kiedykolwiek zdarzyło jej się słyszeć. Pękła napięta do ostateczności nić ludzkiego postanowienia, załamała się wola, nie wytrzymały nerwy i sto kobiet znieruchomiało z

żelazkami w powietrzu - lub na deskach. Mary była tą, z której gardła wyrwał się ów straszliwy krzyk. Saxon zobaczyła dziwaczne czarne zwierzę trzepoczące wielkimi, podobnymi do szponów skrzydłami i sadowiące się na ramieniu przyjaciółki. Wciąż krzyżąc Mary przysiadła na ziemi i wtedy osobliwy stwór wzbił się w powietrze i w locie uderzył o twarz przerażonej kobiety przy sąsiedniej desce. Kobieta zdążyła tylko krzyknąć i zemdlą. Teraz potwór zataczał kręgi, fruwał to tu, to tam, podczas gdy rozwrzeszczane, kulące się ze strachu kobiety rzuciły się do ucieczki lub chroniły pod deskami.

- Przecież to tylko nietoperz! - wrzasnęła rozwścieczona kierowniczką. - Nie widziałyście nietoperza? Nie bójcie się, nie zje was.

Ale były to kobiety z getta, a takie kobiety niełatwo dają się uspokoić. Jedna z nich, która nie mogła dojrzeć przyczyny przeraźliwego wrzasku, zaczęła krzyżeć, że się pali, i w panice pobięła do drzwi. Wrzeszczały teraz wszystkie, a w głosach ich dominowała piskliwa, obłądna nuta zwierzęcego przestachu, zagłuszając nawoływania kierowniczki. W pierwszej chwili Saxon odczuła tylko niepokój, ale pod wpływem obłądnego wycia straciła panowanie nad sobą i dała się porwać panice: Nie krzychała wprawdzie, ale wraz z innymi rzuciła się do drzwi. Gdy oszalała gromada kobiet wdarła się do następnej sali, robotnice, które tam pracowały, przyłączyły się do ucieczki przed nie znanym im niebezpieczeństwem. W ciągu dziesięciu minut pralnia opustoszała; w budynku pozostało tylko kilku mężczyzn, z granatami w ręku obchodzących pomieszczenia i szukających na próżno przyczyny niepokoju.

Kierowniczka była dzielna i nieposkromiona. Tłum uciekających kobiet wyniósł ją ze sobą, przedarła się jednak z powrotem i prędko złapała oślepionego światłem przybysza w kosz od bielizny.

- Mogę nie wiedzieć, jak wygląda Bóg, ale wierz mi na słowo, że widziałam diabła - mówiła Mary z przejęciem, to śmiejąc się, to płacząc.

Ale Saxon była zła na siebie, bo podczas obłądnej ucieczki odczuwała lęk nie mniejszy niż inne kobiety.

- Wszystkie jesteście idiotki - powiedziała. - Przecież to był tylko nietoperz. Słyszałam o nietoperzach. Żyją na wsi. Nie skrzywdziłyby nawet muchy. W świetle dziennym są ślepe. Dlatego ten latał tak dziko po sali. To był tylko nietoperz.

- Och, nie nabierzesz mnie - odparła Mary. - To był diabeł. - Zaszlochała, potem wybuchnęła histerycznym śmiechem. - Widziałas, jak pani Bergstrom zemdlą? A przecież on tylko dotknął jej twarzy. A mnie usiadł na ramieniu i czułam na gołej szyi jego dotyk, jakby dotyk ręki nieboszczyka. Ale nie zemdląłam. - Znowu się roześmiała. - Pewnie byłam

za bardzo wystraszona, żeby zemdleć.

- Chodź, wracamy do pracy - powiedziała Saxon. - Straciłyśmy już pół godziny.

- Co to, to nie. Idę do domu, choćby mnie mieli z pracy wyrzucić. Tak się trzęsę, że za nic w świecie nie mogłabym prasować.

Jedna kobieta złamała nogę, inna rękę, sporo zaś odniosło lżejsze obrażenia. Ani groźbami, ani prośbami kierowniczką nie zdołała zmusić kobiet do podjęcia pracy. Zbyt były zdenerwowane i roztrzęsione; znalazło się tylko kilka odważnych, które wróciły na salę po kapelusze i koszyki obiadowe reszty koleżanek. Saxon należała do garstki tych, które wróciły i pracowały do szóstej.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Bert, jesteś zwyczajnie pijany! - zawołała Mary z wyrzutem.

Siedzieli we czwórkę w gabinecie restauracji Barnuma. Kolacja weselna - skromna i prosta, ale w oczach Saxon nazbyt kosztowna - została już zjedzona. Bert wstał od stołu i wzięwszy do ręki kieliszek czerwonego kalifornijskiego wina, które zakład trzymał dla swoich klientów po pięćdziesiąt centów flaszka, przygotowywał się do wygłoszenia mowy. Twarz miał zaczerwienioną, w czarnych oczach błyskały mu gorączkowe ogniki.

- Piłeś już, zanim się ze mną spotkałeś - ciągnęła Mary. - Widać to po tobie.

- Radzę ci, moja droga, zwrócić się po poradę do okulisty - odparł. - Bertram jest dziś wieczór sobą. I podnosi się na nogi, żeby złożyć życzenia swemu staremu koleźce. Bill, chłopie, twoje zdrowie. Piję na przywitanie... i chyba na pożegnanie. Jesteś teraz, Bill, człowiekiem żonatym i musisz prowadzić regularne życie. Skończyły się hulanki z kolegami. Będziesz musiał dbać o zdrowie, ubezpieczyć się na życie, wziąć polisę od wypadków, zapisać się do towarzystwa budowy domków jednorodzinnych i do kasy pożyczkowej, opłacać składki na kasę pogrzebową...

- Dość tego, Bert! Uspokój się! - przerwała Mary. - Na weselu nie mówi się o pogrzebie. Powinieneś się wstydzić.

- Prrr, Mary! Cofnij się! To, co powiedziałem, powiedziałem dlatego, że tak myślałem. Nie myślę wcale tego, co Mary. Myślałem tylko... Dajcie mi powiedzieć, co miałem na myśli. Powiedziałem: kasa pogrzebowa. Otóż, drodzy przyjaciele, nie miałem wcale zamiaru psuć wesołego nastroju tej uczty. Nic podobnego...

Tak wyraźnie usiłował znaleźć wyjście z przykrego położenia, że Mary gestem triumfalnym odrzuciła do tyłu głowę. Było to jak ostroga dla jego rozkołysanej wyobraźni.

- Pozwólcie mi powiedzieć, dlaczego wspomniałem o kasie pogrzebowej - ciągnął. - Dlatego, Bill, że masz taką piekielnie ładną żonę. Tak, dlatego. Wszyscy mężczyźni za nią szaleją, a jak zaczną za nią latać, co będzie z tobą? Będziesz miał ręce pełne roboty. No, i czy nie przyda ci się wtedy kasa pogrzebowa, żeby ich chować? Uważam, że owszem. Taki ci próbowałem powiedzieć komplement w związku z twoim dobrym gustem do dziewczyn, kiedy wtrąciła się Mary.

Kpiące i triumfalne spojrzenie jego płomiennych oczu spoczęło na Mary.

- Kto powiedział, że jestem zawiany? Ja? Nic podobnego. Widzę wszystko jasno i wyraźnie. Widzę Billa siedzącego przy stole, mojego starego przyjaciela Billa. I wcale nie widzę dwóch Billów. Widzę tylko jednego. Bill nigdy w życiu nie miał dwóch głów. Bill,

stary chłopie, kiedy tak patrzę na ciebie w małżeńskim zaprzęgu, żal mnie ściska... Urwał raptownie i zwrócił się do Mary: - Nie wściekaj się, kochane dziewczę. Postanowiłem sobie coś i nie ustąpię. Mój dziadek był senatorem stanowym i umiał wygłaszać eleganckie i wzruszające mowy. ja też potrafię... Więc kiedy patrzę na ciebie, Bill, żal mnie ściska. Powtarzam: żal mnie ściska. - Łypnął wyzywająco na Mary. - Żal mnie ściska nad samym sobą, kiedy tak patrzę na ciebie i wiem, żeś sobie nokautem zdobył furę szczęścia i radości. Mądry z ciebie chłop, ja ci to powiadam. Niech żyją kobiety. Zrobiłeś dobry początek. Jedź dalej. Żeń się z nimi wszystkimi po kolei. Bill, twoje zdrowie. Jesteś Mohikaninem z pęczkiem skalpów u pasa. I masz squaw, która jest pierwszorzędną squaw, nie ma co. Minnehaha³... wasze zdrowie... was obojga... i przyszłych latorośli, niech je lichy!

Wychylił duszkiem kieliszek i opadł na krzesło. Mrugając powiekami, wpatrywał się w nowo zaślubioną parę, a łzy ciekły mu po twarzy. Mary położyła kojącym gestem dłoń na jego dłoni, do reszty go tym rozklejając.

- Mój Boże, mam chyba prawo płakać - szlochał. - Tracę najlepszego przyjaciela. Nie? Nigdy już nie wróci, co było... nigdy. Jak pomyślę o naszych wspólnych zabawach i bójkach, i kawałach, mógłbym cię znienawidzić, Saxon, kiedy tak siedzisz z ręką w jego ręce.

- Głowa do góry, Bert - uśmiechnęła się Saxon łagodnie. - Spójrz, kogo ty trzymasz za rękę.

- To tylko taki jeden z jego napadów płaczu - powiedziała Mary z szorstkością, której jednocześnie zadawała kłam, gdyż wolną ręką gładziła włosy Berta czule i kojąco. - Uśmiechnij się, Bert. Wszystko jest w porządku. A teraz Bill powinien nam coś powiedzieć po tej twojej eleganckiej przemowie.

Z pomocą jednego jeszcze kieliszka wina Bert szybko przyszedł do siebie.

- Ruszaj z kopyta, Bill! - zawołał. - Teraz na ciebie kolej.

- Nie jestem mówcą - mruknął Bill. - Co ja im mam powiedzieć, Saxon? Nie warto mówić, że jesteśmy szczęśliwi. Sami to widzą.

- Powiedz im, że zawsze będziemy szczęśliwi - odparła. - I podziękuj za wszystkie dobre życzenia. Powiedz, że my im życzymy tego samego. I że zawsze będziemy się razem trzymali, we czwórkę, jak za dawnych czasów. Zaproś ich na ulicę Sosnową nr 507 na obiad w najbliższą niedzielę... A gdybyś ty, Mary, chciała przyjść już w sobotę wieczór, mogłabyś się przespać w małej sypialni.

- Powiedziałas im to wszystko dużo lepiej, niż ja bym potrafił - zawołał Bill klaszcząc w dłonie. - Spisałaś się dzielnie! Chyba niewiele można tu dodać. Ale mimo to powiem im

3 (Minnehaha - bohaterka poematu Longfellowa (1807-1882) „Hiawatha”)

kilka słów do słuchu.

Wstał trzymając rękę na kieliszku. Jego błękitne oczy pod ciemnymi brwiami, okolone ciemną rzęsą, zdawały się intensywniej błękitne i tym wyraźniej podkreślały płowosc włosów i jasny kolor skóry. Policzki miał gładkie i różowe - zaróżowione nie od wina, gdyż był to dopiero jego drugi kieliszek - ale od zdrowia i radości. Saxon spoglądała na niego z dumą. Był tak dobrze ubrany, tak przystojny, tak schludny... jej chłopiec-mężczyzna. Odczuwała też dumę z samej siebie, ze swych powabów kobiecych, dzięki którym zdołała zdobyć tak wspaniałego mężczyznę.

- Słuchajcie mnie, Bert i Mary. Jesteście na naszej kolacji weselnej. Otóż mamy zamiar wziąć sobie wszystkie wasze dobre życzenia do serca, sami zaś życzymy wam tego samego, a kiedy to mówimy, mamy więcej na myśli, niż wam się zdaje. Saxon i ja wyznajemy zasadę ząb za ząb. Życzymy więc wam, aby jak najprędzej nadszedł dzień, kiedy sytuacja się odwróci i my zasiądziemy jako goście przy waszym weselnym stole. A jak wtedy was zaprosimy w niedzielę na obiad, będziecie mogli przyjść już w sobotę i oboje przenocujecie w małej sypialni. Mądrze zrobiłem, kiedy ją umeblowałem, co?

- Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewała, Bill! - wykrzyknęła Mary. - Jesteś tak samo bezczelny jak Bert. Ale swoją drogą... Oczy jej zwilgotniały, głos się załamał. Uśmiechnęła się do nich przez łyżę, potem spojrzała na Berta, który otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

Opuścili restaurację i we czwórkę poszli na przystanek tramwajowy na rogu Ósmej i Broadwayu. Bert i Bill byli speszeni i milczący, skrepowani jakąś dziwną obcością. Ale Mary objęła Saxon z tkliwym niepokojem.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie - wyszeptła. - Nic się nie bój. Wszystko będzie dobrze. Pomyśl, że przecież wszystkie kobiety na świecie...

Konduktor uderzył w gong i dwie pary przyjaciół rozstały się wśród gwaru pożegnania...

- Och, ty Mohikaninie! - zawołał Bert. - Och ty, Minnehaha!

- Pamiętaj, Saxon, co ci powiedziałam - brzmiały słowa Mary.

Tramwaj zatrzymał się na końcowym przystanku, na rogu Siódmej i Sosnowej. Odległość do domku Billa i Saxon wynosiła zaledwie kilkadziesiąt kroków. Przed drzwiami Bill wyjął klucz z kieszeni.

- Śmieszne, prawda? - spytał przekręcając klucz w zamku. - Ty i ja. Tylko my dwoje.

Saxon zdejmowała kapelusz, podczas gdy on zapalał lampę w saloniku. Przeszedł do

pokoju sypialnego i z kolei tam zapalił lampę, a potem wrócił i stanął na progu. Saxon, która jakoś dziwnie długo nie umiała sobie poradzić ze szpilkami od kapelusza, rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Otworzył ramiona.

- Chodź - powiedział.

Podeszła do niego, a gdy zamknął ją w uścisku, czuł, jak drży jej ciało.

KSIĘGA DRUGA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wieczorem, na drugi dzień po ślubie, Saxon czekała na Billa przy drzwiach, gdy wchodził na frontowe stopnie. Pocałowali się, a gdy potem szli trzymając się za ręce przez salonik do kuchni, Bill wciągnął w płuca powietrze z wyraźną przyjemnością.

- Ale przyjemny zapach w tym domu! Nie... to nie jest kawa, chociaż kawę też czuję. To cały dom tak pachnie. Coś jakby... Och, po prostu podoba mi się ten zapach.

Mył się nad zlewem, podczas gdy ona rozgrzewała patelnię na głównej fajerce. Osuszając ręce przyglądał jej się uważnie, a gdy rzuciła befszytk na patelnię, zawołał z uznaniem:

- Gdzieś ty się nauczyła smażyć befszytk na suchej rozgrzanej patelni? To jedyny właściwy sposób, ale kobiety na ogół tego nie wiedzą.

Gdy zdjęła przykrywkę z rondelka i kuchennym nożem zaczęła mieszać smakowicie pachnącą zawartość, zbliżył się, stanął za nią, wsunął jej ręce pod pachy i dłonie położył na piersiach, a potem schyliwszy się przytknął policzek do jej policzka.

- Mniam... mniam. Przysmażone ziemniaki z cebulą, takie, jak robiła matka. To coś dla mnie! Ale przyjemnie pachną! Mniam... mniam!

Zelzał uścisk jego dłoni, policzek musnął pieszczotliwie policzek - Bill już miał wypuścić Saxon z objęć. Ale nagle jego dłonie znowu się zamknęły. Poczula, że całuje ją we włosy, i usłyszała, jak umyślnie głośno wciąga w nozdrza jej zapach.

- Mniam... mniam! Ty sama też przyjemnie pachniesz! Kiedy mówili przy mnie, że jakaś dziewczyna jest słodka, nigdy nie mogłem zrozumieć, co to znaczy. Teraz rozumiem. A ty jesteś najśłodsza na świecie.

Jego radość nie miała granic. Poszedł do sypialni uczesać się, a gdy wrócił, usiadł naprzeciw niej przy małym stole i wziął do ręki widelec i nóż. Ale zanim zaczął jeść, powiedział:

- Wiesz, małżeństwo to dużo lepsza rzecz, niżby się mogło zdawać po tym, co mówi większość żonatych ludzi. Słowo daję, Saxon, my jeszcze pokażemy, co to znaczy dobre małżeństwo. Ale swoją drogą muszę ci powiedzieć parę gorzkich słów.

Zachichotał widząc niepokój, który natychmiast pojawił się w jej oczach.

- O to, że nie pobraliśmy się przedzej. Pomyśl tylko. Straciłem cały tydzień.

Jej oczy rozpromieniły się szczęściem i wdzięcznością. Złożyła sobie w duchu uroczystą przysięgę, że nigdy nie będzie inaczej.

Gdy zjedli, sprzątnęła ze stołu i zaczęła zmywać naczynia nad zlewem. Bill chciał je wycierać, ale schwyciła go za poły marynarki i odciągnęła do krzesła.

- Siądziesz teraz i będziesz siedział. Bądź grzeczny i posłuchaj mnie. Poza tym wypalisz papierosa. Nie, nie będziesz mi się przyglądał. Tam obok leży gazeta. A jak się nie pośpieszysz z czytaniem, skończę zmywać, zanim weźmiesz gazetę do ręki.

Bill czytał i palił, a ona wciąż i wciąż odrywała oczy od pracy i zerknęła na niego. Tak, pomyślała. Jeszcze jedno - pantofle ranne. Wtedy obraz wygody i szczęścia będzie pełny.

W kilka minut później Bill westchnął i odłożył gazetę.

- Nie da rady - powiedział ze skargą w głosie. - Nie mogę czytać.

- Co się stało? - spytała kpiąco. - Masz może słaby wzrok?

- Nie. Ale mnie bołą oczy, a znam tylko jedno lekarstwo, które mi pomaga. Patrzenie na ciebie.

- Dobrze już, moje kapryśne dzidzi. Skończę za minutkę.

Gdy uprała ścierkę i splukała wrzątkiem zlew, zdjęła fartuch, podeszła do niego i pocałowała go najpierw w jedno, potem w drugie oko.

- No i jak? Lepiej?

- Odrobinę lepiej.

Powtórzyła zabieg.

- A teraz?

- Znowu trochę lepiej.

- A teraz?

- Prawie dobrze. Zamrugał powiekami, jęknął i oznajmił, że w prawym oku wciąż czuje ból.

Znowu wzięła się do leczenia, ale nagle sama wydała okrzyk jakby ostrego bólu. Bill przestraszył się nie na żarty.

- Co się stało, kochanie? Czy coś cię boli?

- Oczy... oczy! Strasznie mnie bołą.

Teraz z kolei Bill był lekarzem, a ona pacjentką. Gdy wreszcie kuracja została skończona, Saxon zaprowadziła Billa do saloniku, gdzie z pewnym trudem zdołali się zmieścić na jednym fotelu stojącym przy otwartym oknie. Był to najokazalszy i najzbytłowniejszy sprzęt w całym mieszkaniu. Kosztował siedem i pół dolara, a chociaż wspaniałością przewyższał najśmielsze marzenia Saxon, przez cały dzień czuła się na pół winna, że pozwolili sobie na ten nadmierny wydatek.

Owionął ich słonawy, chłodny powiew, który po zachodzie słońca przynosi

błogosławioną ulgę wszystkim miastom nad zatoką. Słyszeli sapanie lokomotywy na zwrotnicy w warsztatach kolejowych i głucho dudnienie pociągu lokalnego z Mole, który zwalniał na stacji Oakland–Zachód. Z ulicy dobiegały ich nawoływania dzieci bawiących się w mroku letniego wieczoru, a z ganków sąsiednich domów - ciche głosy plotkujących gospodyń.

- Możesz to zrozumieć? - wyszeptał Bill. - Kiedy sobie przypomnę ten mój umeblowany pokój za sześć dolarów na miesiąc, wściekam się na samą myśl, ile traćłem. Ale jest przynajmniej jedna pociecha. Gdybym go wcześniej zmienił, nie miałbym teraz ciebie. Przecież jeszcze parę tygodni temu nie wiedziałem, że w ogóle jesteś na świecie.

Przesunął dłoń po jej przedramieniu, aż pod rękaw schodzący do łokcia. - Masz takie chłodne ciało - powiedział. - Nie zimne, tylko chłodne. Przyjemne w dotyku.

- Jeszcze trochę, a zaczniesz mnie nazywać swoją ukochaną górą lodową zaśmiała się.

- I głos masz chłodny - ciągnął. - Słuchając twojego głosu mam takie uczucie, jak kiedy kładziesz mi rękę na czole. To zabawne. Nie umiem tego wytłumaczyć. Ale twój głos przenika mnie na wskroś, jest tak przyjemny i chłodny. Jak chłodny powiew. Jak pierwsza bryza wiejąca pod wieczór, kiedy kończy się skwarne dzień. A czasem, kiedy mówisz cicho, to tak, jakbym słyszał wiolonczelę w orkiestrze teatru Macdonougha. Bo twój głos nigdy nie jest piskliwy ani ostry czy skrzekliwy, czy chrypiący, jak głosy innych kobiet, kiedy wpadają w gniew albo się kłócą, albo są podniecone, tak że przypominają człowiekowi pękniętą płytę gramofonową. Twój głos... twój głos przenika przeze mnie tak, że cały aż drzę... jak gdyby od tego chłodu, który w nim jest. To jest... naprawdę cudowne. Myślę, że chyba aniołowie w niebie, jeżeli są tacy, mówią podobnym głosem!

Po kilku chwilach, kiedy szczęście jej było tak niewymowne, że milczała i tylko gładziła go po włosach, tuląc się do niego, Bill podjął na nowo:

- Powiem ci, co mi przypominasz... Widziałaś kiedy klaczkę pełnej krwi całą błyszczącą w słońcu, o sierści jak aksamit i skórze tak delikatnej i cienkiej, że najłżejsze dotknięcie batem pozostawia na niej ślad?... Nerwową, wrażliwą, a jednocześnie tak wytrzymałą, że ani się z nią może równać najwytrwalszy półdziki koń stepowy... ale która w mig sobie naciągnie ścięgno i na śmierć się zaziębi, jeżeli jej nie okryć derką na noc. Musisz wiedzieć, że niewiele widuje się na świecie piękniejszych widoków. A jakie są żywe, jakie wrażliwe i delikatne. Trzeba się z nimi obchodzić ostrożnie, w rękawiczkach. No, więc ty mi przypominasz taką klacz. I moja głowa w tym, żebyś miała podobną opiekę i staranie. Tak się różnisz od innych kobiet, jak klaczka pełnej krwi od konia roboczego. Ty też jesteś pełnej krwi. Jesteś zgrabna i dzielna i ciało masz... Słuchaj, Saxon, czy ty wiesz, że masz wspaniałą

figurę? A jakże, masz. Mówią tyle o Anecie Kellerman. Aneta Kellerman może się przy tobie schować. Ona jest Australijką, a ty jesteś Amerykanką, tylko że figurę masz wcale nie jak Amerykanka. Jesteś jakaś... taka zręczna... nie wiem, jak to wytłumaczyć. Kobiety przeważnie są inaczej zbudowane. Ty sprawiasz takie wrażenie, jakbyś pochodziła z innego kraju. Jesteś jakaś taka... francuska. No właśnie! Masz figurę Francuzki. Ale nie tylko to, bo czy chodzisz, czy ruszasz się, siadasz czy wstajesz, czy odpoczywasz, zawsze przypominasz Francuzkę.

I Bill utrafił w sedno - on, który nigdy nie opuszczał Kalifornii, który jednej nocy nie spędził poza swym rodzinnym Oakland. Była kwiatem na gałęzi wyrastającej z anglosaskiego pnia, była wcieleniem gracji ciała i ruchów, o zdumiewająco małych stopach i dłoniach, i drobnych kościach. Była jakby echem, które przepłynęło otchłan czasu, latoroślą frankonormañskiego szczepu najeźdźców, którzy zmieszali się z krzepkimi anglosaskimi plemionami.

- I suknie nosisz w taki sam sposób - ciągnął Bill. - Widać, że twoje ubranie do ciebie należy. Jest częścią ciebie, jak ten twój chłodny głos i chłód twojej skóry. Zawsze jesteś ładnie ubrana, nie mogłabyś się ubierać ładniej. A wiesz, człowiekowi przyjemnie, jak go widzą z kobietą taką ja ty, co nosi suknie jak królowa... przyjemnie mu, jak inni mężczyźni mówią: „Kto to jest ta nowa dziewczyna Billa? ładna, nie ma co! Chętnie bym mu ją odbił”. I tym podobne rzeczy.

A Saxon wiedziała, że jest to sowita nagroda za noce spędzone nad szyciem, za godziny udręki, kiedy po całym dniu ciężkiej pracy z wysiłkiem odpędzała senność, przetwarzając na swój użytek pomysły skradzione ze wzorów wykwintnej garderoby, która parowała pod jej gorącym żelazkiem.

- Wiesz co, Saxon? Mam dla ciebie nowe imię. Jesteś moim Odżywczym Kochaniem.

- I nigdy ci się nie znudzę? - spytała.

- Ty miałabyś mi się znudzić? Przecież my jesteśmy dla siebie stworzeni.

- Czy to nie cudowne, Bill, żeśmy się spotkali? Przecież mogliśmy się w ogóle nie poznać. To był zwykły przypadek.

- Poszczyliło nam się w życiu - oznajmił. - To pewne.

- A może to więcej niż szczęście? - odważyła się na pytanie.

- Pewnie, że więcej. Musiało tak być. Przeznaczenie. Nic by nas nie mogło rozdzielić.

Siedzieli w milczeniu, które pulsowało nie wypowiedaną w słowach miłością, aż nagle poczuła, jak przygarnia ją mocniej do siebie, jak jego wargi zbliżają się do jej ucha i szepczą:

- A może... poszlibyśmy spać?

*

Spędzili wiele podobnych wieczorów, przeplatanych niekiedy tańcami, to znów wypadami do teatru Orpheum czy Bell lub wreszcie seansem w kinie czy koncertem piątkowym w miejskim parku.

Często w niedzielę Saxon przygotowywała obiad i jechali na wzgórze, bo chlebodawca Billa nadal był rad, gdy zabierał Księcia i Króla na przejażdżki.

Co rano Saxon zrywała się na dźwięk budzika. Pierwszego ranka Bill nie zważając na jej sprzeciw wstał jednocześnie z nią i rozpałił ogień na kominie. Tego pierwszego dnia Saxon ustąpiła, ale potem przygotowywała wszystko z wieczora, tak że rano wystarczyło tylko przytknąć zapalnik. Zmuszała Billa, by pozostawał w łóżku, dopóki nie zawoła go na śniadanie, i nie wyrwie tym z ostatniej krótkiej drzemki. Przez pierwsze kilka tygodni przygotowywała mu posiłek, który zabierał ze sobą, potem przez jakiś czas wpadał na obiad do domu. Potem znów musiał zabierać ze sobą jedzenie - wszystko zależało od tego, w jakiej odległości od domu dokonywano przewozów.

- Źleś zaczęła, Saxon. Nie wolno tak postępować z mężczyzną - ostrzegła ją Mary. - Usługujesz mu, wszystko podtykasz pod rękę. Jeżeli nie będziesz uważała, na nic go rozpuścisz. To on powinien ci usługiwać.

- On zarabia na chleb - odparła Saxon. - Pracuje ciężiej ode mnie, a ja nie wiem, co robić z czasem. Zresztą chcę mu usługiwać, ponieważ strasznie lubię i ponieważ... no, po prostu chcę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Chociaż Saxon stawiała sobie w pracy domowej duże wymagania, z chwilą gdy usystematyzowała swoje zajęcia, pozostawało jej dużo wolnego czasu. Zwłaszcza kiedy Bill zabierał obiad ze sobą i nie musiał przygotowywać południowych posiłków, miała w ciągu dnia kilka godzin wolnych od zajęć. Była przyzwyczajona od lat do rutyny pracy w fabryce i pralni, nie mogła więc teraz znieść tej niezwyklej dla siebie beczynności. Nie potrafiłaby usiąść z założonymi rękami, nie mogła zaś odwiedzać przyjaciółek, gdyż te nadal pracowały w fabryce i pralni. Nie знаła też dotąd sąsiadek - prócz jednej dziwnej starej kobiety, która mieszkała w następnym domu i z którą Saxon wymieniała od czasu do czasu kilka krótkich zdań nad płotem dzielącym podwóreczka.

Jedną z zabijających czas rozrywek były kąpiele, z których Saxon mogła korzystać wedle swej woli i chęci. W sierocińcu i domu Sary przyzwyczajono ją do jednej tylko kąpieli na tydzień. Gdy dorosła, usiłowała brać częstsze kąpiele. Ale próba ta skończyła się niepowodzeniem, narażając ją najpierw na śmiech, potem zaś na wściekłość Sary. Poglądy Sary skryształizowały się w erze cotygodniowej sobotniej kąpieli, uważała więc wszelkie próby częstokrotnienia tego zabiegu higienicznego za zwykle zadzieranie nosa i przytyk do jej własnej czystości. Ponadto było to w jej oczach ekstrawaganckie marnowanie opału, pociągające za sobą zwiększenie ilości ręczników w wielkim praniu. Teraz jednak, w domu Billa, gdzie rozporządzała własnym piecem kuchennym, własną wanną, ręcznikami i mydłem, Saxon miała na sumieniu codzienną orgię czystości. Była to co prawda zwykła cynowa wanna, którą stawiała w kuchni na podłodze i ręcznie napełniała, dla niej jednak taka kąpiel stanowiła luksus, na który czekać musiała całe dwadzieścia cztery lata swego życia. Od dziwnej kobiety z sąsiedniego domu Saxon otrzymała rzuconą w przypadkowej rozmowie wskazówkę, która ustokrotniła przyjemność kąpieli. Rada jakże prosta - kilka kropel amoniaku do wody, ale Saxon nigdy o tym nie słyszała.

Z biegiem czasu Saxon miała się wiele nauczyć od dziwnej sąsiadki. Zawarły znajomość, gdy któregoś dnia Saxon wieszala na podwóreczku za domem dwa gorsety i kilka sztuk swej najzodobniejszej bielizny. Kobieta stała oparta o poręcz ganku i gdy w pewnej chwili oczy ich spotkały się, skinęła głową. Saxon odniosła wrażenie, że gest ten był w połowie przeznaczony dla niej, w połowie dla bielizny wiszącej na sznurze.

- Jest pani młodą mężatką, co? - spytała kobieta. - Nazywam się Higgins. Ale wolę moje imię. Mercedes.

- A ja się nazywam Roberts - odparła Saxon, rozsmakowując się w rozkosznej nowości tego brzmienia. - Na imię mi Saxon.

- Dziwne imię u jankeskiej kobiety - zauważyła Mercedes Higgins.

- Kiedy ja nie jestem Jankeską! - wykrzyknęła Saxon. - Jestem Kalifornijką.

- Tra-la-la! - zaśmiała się tamta. - Zapomniałam, że jestem w Ameryce. W innych krajach nazywają Amerykanów jankesami. A więc jesteś pani niedawno po ślubie?

Saxon skinęła głową, przy czym z ust wyrwało jej się westchnienie szczęścia. Mercedes również westchnęła.

- Och, ty szczęśliwe, delikatne, piękne stworzenie! Mogłabym cię zniechęcić z zazdrości!... Mężczyźni tylko czekają, żebyś ich sobie owinęła dokoła palca. A ty nawet nie rozumiesz, jak bardzo jesteś szczęśliwa. Nikt nie rozumie, dopóki nie jest za późno.

Saxon zmieszała się i poczuła nieswojo, odpowiedziała jednak bez namysłu:

- Kiedy ja zdaję sobie sprawę z mojego szczęścia. Mam najlepszego męża na świecie.

Mercedes Higgins ponownie westchnęła i zmieniła temat rozmowy. Spojrzała na bieliznę na sznurze i skinęła głową.

- Widzę, moje dziecko, że lubisz ładne szmatki. Zamiłowanie rozsądne u młodej kobiety. Ładne szmatki to przynęta dla mężczyzny... to połowa broni używanej w walce. Zdobywają mężczyznę... i trzymają go... - Urwała i spytała niemal groźnie: - A ty chciałabyś zatrzymać przy sobie męża... zatrzymać go na zawsze, jeżeli to możliwe?

- Mam taki zamiar. Chcę, żeby zawsze mnie kochał, do końca życia.

Saxon umilkła, zakłopotana i zdziwiona, że zdobyła się na tak poufne zwierzenia wobec obcej osoby.

- Swoją drogą dziwna rzecz ta miłość mężczyzny - powiedziała Mercedes. - A kobiety najczęściej wyobrażają sobie niemądrze, że potrafią czytać w mężczyźnie jak w otwartej książce. I większość ich umiera ze złamanym sercem... Chociaż przyczyną ich śmierci jest nieznanostwo mężczyzny, do ostatka im się zdaje, że wiedzą o nim wszystko. O la, la... biedne głuptasy! Więc powiadasz, mała kobietko, że masz zamiar na zawsze zatrzymać przy sobie miłość swojego mężczyzny? Wszystkie młode mężatki tak mówią, chociaż tylko im się zdaje, że znają mężczyzn i dziwaczność męskiej miłości. Łatwiej jest wygrać pierwszą nagrodę na małej loterii w Luizjanie, ale młode mężatki dowiadują się o tym, kiedy jest już za późno. Trzeba powiedzieć, że ty, moje dziecko, zrobiłaś dobry początek. Dbaj zawsze o swoje łaszki i o swoją urodę. Tak było, kiedyś zdobywała swojego mężczyznę - tak też zdołasz go przy sobie zatrzymać. Ale to nie wszystko. Kiedyś z tobą porozmawiam i powiem ci o różnych rzeczach, którymi niewiele kobiet zaprzęta sobie głowę, o których niewiele kobiet się

dowiaduje. Saxon... to wymowne, ładne imię. Ale właściwie nie pasuje do ciebie. Nieraz ci się przyglądam. Wyglądasz na Francuzkę... niewątpliwie jest w tobie coś francuskiego. Powiedz panu Robertsowi, że mu gratuluję dobrego gustu.

Zatrzymała się z ręką na gałce drzwi.

- Wpadnij do mnie któregoś dnia. Nie pożałujesz. Mogę cię niejednego nauczyć. Przyjdź po południu. Mój mąż jest dozorcą nocnym w warsztatach i rano zwykle odsypia noc.

Saxon wróciła do siebie zdziwiona i zaintrygowana. Jakże niezwykła wydała się jej ta chuda, śniada kobieta, o twarzy jakby spieczonej, wysuszonej na wielkim żarze, o czarnych ognistych oczach, skrzących się i płomiennych, które mówiły wyraźnie o nieugaszonym wewnętrznym ogniu. Była stara, ale mogła mieć zarówno pięćdziesiąt, jak siedemdziesiąt lat; jej włosy, kiedyś kruczoczarne, przeplatały teraz gęste siwe pasma. Najbardziej uderzał Saxon jej sposób wysławiania się: Mówiła piękną angielszczyzną, poprawniejszą niż ta, do której Saxon przywykła. A mimo to Mercedes nie była Amerykanką. Z drugiej jednak strony nie miała wyraźnego akcentu. To raczej w jej słowach było coś cudzoziemskiego - ale coś tak nieuchwytnego, że Saxon nie potrafiła tego zanalizować i określić.

- Ho, ho! - powiedział Bill, gdy tego wieczora opowiadała mu o wydarzeniach dnia. - A więc to jest pani Higgins. On pracuje jako dozorca nocny. Ma jedną rękę amputowaną. Stary Higgins i ta kobieta... dziwna z nich para. Ludzie się jej boją, przynajmniej niektórzy. Stare Włoszki i Irlandki uważają ją za czarownicę. Nie chcą mieć z nią do czynienia. Mówił mi o tym Bert. Czy ty wiesz, Saxon, że są tacy, co wierzą, że gdyby się pani Higgins na nich rozłościła albo gdyby się jej nie spodobała ich twarz czy coś takiego, wystarczyłoby jedno jej spojrzenie i zaraz wyciągnęliby nogi. Jeden z ludzi pracujących u nas w stajniach... poznałaś go... Henderson... mieszka tu obok za rogiem... powiada, że ona ma źle w głowie.

- Och, nie myślę - broniła Saxon nowej znajomej. - Może jest trochę zwariowana, ale mówi to samo, co ty. Mówi, że z figury przypominam nie Amerykankę, tylko Francuzkę.

- W takim razie zdejmuję przed nią kapelusz - oznajmił Bill. - Nie może mieć królików w głowie, jeżeli to powiedziała. - Wierz mi na słowo, że mądra z niej niewiasta.

- I wiesz, Bill, mówi taką ładną angielszczyzną. Jak nauczycielka albo jak... jak musiała mówić moja matka. jest wykształcona.

- Nie może być głupia, bo nie potrafiłaby tak się na tobie poznać.

- Prosiła mnie, żebym ci powiedziała, że okazałeś dobry smak żeniąc się ze mną - dodała Saxon ze śmiechem.

- Naprawdę? W takim razie daj jej ode mnie całusa. Lubię, jak ktoś potrafi się pomać od pierwszego wejrzenia na czymś dobrym. Ale swoją drogą mogła ci też pogratulować

dobrego gustu, żeś mnie wybrała na męża.

W kilka dni później Mercedes Higgins znów skinęła głową - ni to na przywitanie, ni to z aprobatą na widok wykwintnych kobiecych stroików, które Saxon wieszała na sznurze.

- Martwi mnie twoje pranie, młoda mężateczko - zwróciła się do Saxon.

- Och, kiedy ja bardzo długo pracowałam w pralni - odparła prędko Saxon.

W głosie Mercedes zabrzmiało szyderstwo.

- Pralnia parowa. Po pierwsze to jest biznes, a po drugie w ogóle rzecz głupia. Tylko pospolita garderoba może być odsyłana do pralni parowej. To jest kara za jej pospolitość. Ale wykwintne, ale delikatne... cienka jak mgiełka damskie szatki... Ach, moja droga! Pranie ich to prawdziwa sztuka. Wymaga wiedzy, talentu, rozsądku. Dam ci przepis na mydło domowej roboty. Tkanina nie będzie od niego sztywniała. Przeciwnie stanie się bielsza, miększa, trwalsza. Będziesz nosiła swoją bieliznę długo, a piękna, biała bielizna zasługuje na długoletnią miłość. Och, umiejętność prania rzeczy wykwintnych dowodzi kultury, jest sztuką. Prać powinno się tak, jak artysta maluje obraz albo pisze wiersze - z miłością, uroczyście.

Nauczę cię, moja droga, rozmaitych rzeczy, o jakich wy, Jankeski, nie macie pojęcia. Nauczę cię szyć nowe fasony bielizny. - Wskazała skinieniem głowy na fatalaszki Saxon wiszące na sznurze. - Widzę, że robiłaś już koronki. Znam sposób robienia wszystkich koronek... brukselskich, brabanckich... wielu, wielu najpiękniejszych koronek. Nauczę cię kilku prostszych sposobów, żebyś mogła je robić dla siebie - dla swojego męża, którego chcesz na zawsze przy sobie zatrzymać.

Podczas pierwszej wizyty u Mercedes Higgins, Saxon otrzymała przepis na robienie mydła domowym sposobem i została wtajemniczona w sztukę prania pięknej bielizny. Urzekła ją inność i dziwność starej kobiety, od której powiało oddechem dalekich krajów i mórz leżących poza horyzontami.

- Pani jest Hiszpanką? - odważyła się spytać.

- I tak, i nie... i ani tak, ani nie... i więcej. Mój ojciec był Irlandczykiem, matka pół Peruwianką, pół Hiszpanką. Po niej odziedziczyłam koloryt, urodę. Resztę po ojcu, niebieskookim Celcie z wesołą piosenką na ustach, o niespokojnych stopach, które nie pozwalały mu usiedzieć na miejscu, które powiodły go na dalekie, dalekie wędrówki. Te stopy, które po nim odziedziczyłam, poniosły mnie na gościńce nie mniej szerokie i nie mniej długie.

Saxon sięgnęła do zasobów swej szkolnej geografii i oczyma duszy zobaczyła mapę kontynentu o poszarpanych, równoległe biegnących liniach, które były wybrzeżami.

- Och, w takim razie pani pochodzi z Ameryki Południowej! - zawołała.

Mercedes wzruszyła ramionami.

- No cóż, musiałam się gdzieś urodzić. Moja matka miała wielkie ranczo. Mogłabyś zmieścić całe Oakland na jednym z naszych mniejszych pastwisk.

Mercedes Higgins westchnęła pogodnie i zatoneła we wspomnieniach. Saxon pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o tej kobiecie, której życie musiało być podobne do życia z dawnych hiszpańsko-kalifornijskich czasów. - Otrzymała pani staranne wykształcenie - powiedziała zachęcająco. - Mówi pani doskonale po angielsku.

- Angielskiego nauczyłam się później, nie w szkole. Ale jeśli już o to idzie, kształcono mnie starannie i wszechstronnie we wszystkich dziedzinach prócz najważniejszej - znajomości mężczyzny. To także przyszło dopiero z czasem. A mojej matce nawet się nie śniło... moja matka była wielką damą, jak się to mówi, królową stad... nawet jej się nie śniło, że moje świetne wykształcenie przyda mi się w końcu na to, żebym została żoną stróża nocnego. - Roześmiała się szczerze, tak ją ubawiła groteskowość tej myśli. - Stróże nocni, robotnicy... och, mieliśmy ich setki. Tak, tysiące ludzi na nas pracowały. Peoni⁴, którzy są na pół niewolnikami, kowboje, którzy mogli przejechać konno dwieście mil, nie opuszczając granic rancza. I w wielkim, wielkim domu służba, której nie sposób się było doliczyć, zapamiętać. La, la, w domu mojej matki roilo się od służby.

Mercedes Higgins należała do kobiet gadatliwych, toteż wspomnienia same cisnęły jej się na usta.

- Ale nasza służba była leniwa i brudna. Chińczycy są doskonałymi służącymi. Podobnie Japończycy, jeżeli dobrze się trafi, ale nigdy nie dorównują Chińczykom. Japońskie pokojówki są ładne i wesołe, tylko że nigdy nie wiadomo, kiedy taka podziękuje za służbę. Hindusom brakuje może siły, ale są za to bardzo posłuszni. *Sahib* i *memsahib* to dla nich bogowie. Ja byłam *memsahib*, co znaczy kobieta. Miałam kiedyś rosyjskiego kucharza, który pluł zawsze do zupy - na szczęście. Niezwykłe, co? Ale patrzyliśmy na to przez palce, bo taki był jego zwyczaj.

- Ile się pani musiała napodróżować, żeby mieć tych wszystkich dziwnych służących!
- zachęcała ją Saxon.

Stara kobieta zaśmiała się przytwarzając.

- Najdziwniejsi ze wszystkich byli czarni niewolnicy na Morzach Południowych, drobni, niscy ludożercy o kręconych włosach, z kawałkami kości przetkniętymi przez nozdrza. Kiedy byli nieposłuszni albo kiedy kradli, przywiązywało się ich do pnia palmy

⁴ Peoni - robotnicy rolni w obszarach majątkach Meksyku.

kokosowej za osiedlem i chłostało batogami ze skóry nosorożca. Pochodzili z wyspy ludożerców i łowców głów i nigdy podczas chłosty nie krzyczeli. Szczycili się tym. Na przykład mały Vibi, który miał zaledwie dwanaście lat. Był moim służącym i kiedy bat pociął mu skórę na plecach i ja płakałam nad nim, on tylko roześmiał się i powiedział: „Krótki czas i Vibi uciąć głowa wielki biały pan”. Miał na myśli Bruce’a Ansteya, Anglika, który wymierzył mu baty. Ale mały Vibi nie zdobył nigdy głowy Bruce’a. Uciekł i dzicy jemu samemu ucięli głowę i zjedli go, obrali do kości.

Saxon poczuła chłód, wyraz twarzy miała poważny, ale Mercedes paplała dalej:

- Ach, były to szalone, wesołe, dzikie czasy! Czy uwierzyłabyś, moja droga, że w ciągu trzech lat ci Anglicy z plantacji wypili morze szampana i whisky i utopili w swoim zwariowanym przedsięwzięciu ponad trzydzieści tysięcy funtów. Nie dolarów, funtów, co wynosi sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dopóki mieli pieniądze, żyli jak książęta. Ach, wspaniałe, cudowne życie! Szalone... szalone! Musiałam sprzedać połowę moich pięknych klejnotów, zanim mogłam ruszyć się z Nowej Zelandii. Bruce Anstey palnął sobie w łeb. Roger został szturmanem na statku handlowym z czarną załogą, za osiem funtów na miesiąc. A Jack Gilbraith - ten miał najwięcej fantazji. Jego rodzina była bogata i utytułowana. Pojechał do Anglii i sprzedawał kocie mięso na ulicach pod ich wspaniałą rezydencją dopóty, dopóki nie dali mu pieniędzy na założenie plantacji kauczuku w Indiach Wschodnich... Zdaje się na Sumatrze... a może na Nowej Gwinei.

Saxon wróciła do domu i przygotowując w kuchni kolację dla Billa, zastanawiała się, jakie to żądze i namiętności kazały tej kobiecie o spiekłej od żarów twarzy opuścić wielkie peruwiańskie ranczo i przywiodły ją, poprzez cały świat, do Oakland i domu Barry’ego Higginsa. Stary Barry nie należał do ludzi, którzy potrafiliby przehulać udział w stu pięćdziesięciu tysiącach dolarów, nie mówiąc już o tym, że nigdy by nie doszedł do takiego bogactwa. Co więcej, Mercedes wymieniała nazwiska innych mężczyzn, ale o nim ani razu nie wspomniała.

W takich urywkach i fragmentach stara kobieta opowiedziała Saxon jeszcze dużo więcej o swoim życiu. Nie było kraju, nie było miasta w Starym czy Nowym Świecie, do którego nie trafiłaby Mercedes. Przed laty dziesięciu wyprawiała się nawet do Klondike. W kilkunastu barwnych zdaniach opisała Saxon ubranych w futra i mokasyny kopaczy, rozsiewających na podłogach szynków złoty piasek wartości tysięcy dolarów. Saxon doszła do wniosku, że pani Higgins przebywała zawsze u boku mężczyzn, którym pieniądze przepływały między palcami jak woda.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rozmyślając nad sposobem zatrzymania miłości Billa i zachowania świeżości ich wzajemnych uczuć, aby nie zeszedli nigdy z wyżyn, po których obecnie stąpali, Saxon zwróciła się instynktownie do pani Higgins. Ona wie. Ona musi wiedzieć. Bo czyż to, co mówiła, nie dowodziło wiedzy przekraczającej wiedzę zwykłych kobiet?

Minęło kilka tygodni, w czasie których Saxon często widywała starą kobietę. Ale pani Higgins mówiła o innych sprawach, nauczyła Saxon kilku prostych sposobów robienia koronki i kształciła ją w sztuce prania i dokonywania zakupów. Potem któregoś popołudnia Saxon zastała panią Higgins w bardziej gadatliwym usposobieniu; głośno i wyraźnie wypowiedane słowa w pośpiechu cisnęły jej się na wargi. Jej oczy i twarz pałały, słowa były jak płomień. W powietrzu unosiła się woń alkoholu i Saxon wiedziała, że stara kobieta musiała pić. Zaniepokojona i wystraszona, ale jednocześnie urzeczona szaleńczym potokiem słów, Saxon przysłuchiwała się Mercedes mereżkując lnianą chusteczkę dla Billa.

- Posłuchaj, moja droga. Będę ci mówiła o świecie mężczyzn. Nie bądź głupia jak większość ludzi tutaj i nie uważaj mnie za pomyloną czy czarownicę ze złym okiem. Cha, cha! Kiedy pomyślę, jak Maggie Donahue zasłania dziecku twarz szalem, kiedy mijam ją na ulicy!...Byłam czarownicą, to prawda, ale rzucałam moje czary tylko na mężczyzn. Och, ja wiem dużo, bardzo dużo. Powiem ci, drogie dziecko, o sposobach postępowania kobiet z mężczyznami i mężczyzn z kobietami - tych najlepszych i tych najgorszych. Opowiem ci o bestii, która jest w każdym mężczyźnie, o jego osobliwościach, które łamią serce głupim kobietom, co nic nie rozumieją. A głupie są wszystkie kobiety. Ja nie jestem głupia. La, la! Posłuchaj.

Jestem stara. Ale jako prawdziwa kobieta nie powiem ci, ile mam lat. Mimo to potrafię zatrzymać przy sobie mężczyznę, potrafiłabym nawet, gdybym miała sto lat i była bezzębna. Nie mówię o młodych mężczyznach. Tych miałam, kiedy byłam młoda. Ale starych, odpowiednich dla mnie wiekiem. I moje szczęście, że posiadam nad nimi tę władzę. Nie mam nikogo na świecie, nie mam majątku. Została mi tylko mądrość i wspomnienia - wspomnienia, które są popiołami, ale królewskimi popiołami, popiołami pełnymi klejnotów. Stare kobiety, takie jak ja, przymierają z głodu i zimna albo idą do przytułku. To nie dla mnie. Ja mam swojego mężczyznę. Cóż... jest to tylko Barry Higgins, stary Barry, nudziarz, wół roboczy... ale mężczyzna, moje dziecko, i dziwny, jak dziwni są wszyscy mężczyźni. Barry ma tylko jedną rękę. - Umilkła i wzruszyła ramionami. - Daje to pewne korzyści. Nie może

mnie bić, a stare kości stają się kruche, kiedy wysycha jędrne ciało.

Ale jak pomyślę o moich szalonych młodych kochankach... Książęta obłąkani szaleństwem młodości! Wiem, że żyłam. A to dużo. Niczego nie żałuję. Ze starym Barrym mam swoją łyżkę stawy i kąpiel przy kominie. A dlaczego? Bo znam mężczyzn i zawsze będę umiała zatrzymać ich przy sobie. Słodka i zarazem gorzka jest ta wiedza o mężczyznach... bardziej słodka niż gorzka. Ach, mężczyźni, mężczyźni! Nie tępi głupcy czy opasli burżuazje od robienia interesów, ale mężczyźni z temperamentem, z ogniem, z żarem. Może szaleńcy... ale królewska, wspaniała rasa szaleńców.

Musisz się wiele nauczyć, młoda mężateczko. Rozmaitość, zmienność! To jest ów sposób magiczny. Złoty kluczyk. Zabawka, która zawsze bawi. Bez niej mężczyzna staje się Turkiem, ale jeżeli kobieta potrafi być wciąż inna, mężczyzna jest jej niewolnikiem. Żona musi być tysiącem żon. Jeśli chcesz miłości męża, musisz być dla niego tysiącem kobiet. Musisz być wciąż inna, wciąż błyszcząca rosą nowości, kwiat, który nie rozkwita nigdy w pełni, aby nie przekwitnąć. Musisz być całym ogrodem kwiatów, zawsze świeżych, zawsze nowych, zawsze innych. A nie wolno, aby mężczyzna zerwał w tym ogrodzie ostatni bukiet.

Słuchaj uważnie, młoda mężateczko. W ogrodzie miłości jest wąż. Ten wąż - to spowszednienie. Zmiażdż go nogą, zdepcz, bo inaczej zniszczy twój ogród. Zapamiętaj jego nazwę: spowszednienie. Nie dopuszczaj nigdy do zbytnej poufałości. Mężczyźni tylko wydają się gruboskórni. Kobiety są bardziej gruboskórne od mężczyzn... Nie, nie próbuj przeczyć. Jesteś jeszcze bardziej dzieckiem niż kobietą. Kobiety są mniej delikatne niż mężczyźni. Myślisz, że ja o tym nie wiem? Potrafią zdradzać innym kobietom najintymniejsze sekrety miłosne swych mężów. Mężczyźni nigdy tego nie robią, nigdy nie mówią w ten sposób o swoich żonach. Wy tłumacz mi dlaczego. Odpowiedź jest tylko jedna. W sprawach miłości kobiety są mniej delikatne. Wielki to błąd z ich strony. Brak delikatności rodzi spowszednienie, a właśnie spowszednienie niszczy i zabija miłość.

Bądź delikatna, młoda mężateczko. Nie pokazuj się nigdy bez zasłony, bez wielu zasłon. Przysyłaj się tysiącem zasłon, a każda z nich niech lśni i skrzy się złotogłowiem i klejnotami. Nie pozwól, żeby spadła z ciebie ostatnia zasłona. Na dzień następny ustrój się w nowe zasłony, wciąż nowe i nowe, wiele nowych zasłon. Ale pamiętaj, że muszą one sprawiać takie wrażenie, jakby były jedną zasłoną. Każda z nich musi tak wyglądać, jakby była jedyną zasłoną oddzielającą cię od twego wygłodniałego kochanka, który pragnie pościć cię całą. Za każdym razem niech mu się zdaje, że otrzymał wszystko, że zerwał ostatnią zasłonę, za którą się ukrywasz. Musi mu się tak zdawać. Ale nie może tak być w rzeczywistości. Wtedy nigdy nie nastąpi przesyt, bo nazajutrz znajdzie jeszcze jedną, ostatnią

zasłonę, której zerwać nie zdołał.

Pamiętaj, że każda zasłona musi się wydawać jedyną i ostatnią. Mężczyzna zawsze musi odnosić wrażenie, żeś oddała mu wszystko. Zawsze musisz zostawić sobie coś, co mu oddasz nazajutrz i dni następnych. Bo na tym polega różnorodność, inność, niespodzianka, bo dzięki temu twój mężczyzna wiecznie cię będzie pragnął i jego oczy zwrócą się ku tobie szukając odmiany, nie zaś ku innym kobietom. Świeżość i nowość twojej urody, tajemnica twojej osobowości zdobyły cię mężczyznę. Kiedy mężczyzna zerwał kwiat i poznał całą jego słodką woń, rozgląda się za innym kwiatem. To jest jego dziwność, dziwność mężczyzny. Musisz zawsze być kwiatem prawie zerwanym, ale nigdy nie zerwanym zupełnie.

Głupie kobiety, a wszystkie kobiety są głupie, wyobrażają sobie, że gdy zdobyły mężczyznę, odniosły ostateczne zwycięstwo. Potem siadają z założonymi rękami, tyją, tracą świeżość, żywość i są nieszczęśliwe. Cóż - są takie głupie! Ale ty, mała kobietko, odniosłaś pierwsze zwycięstwo i twoje życie miłosne musi stać się jednym pasmem zwycięstw. Co dzień musisz na nowo zdobywać swojego mężczyznę. A gdy odniesiesz ostateczne zwycięstwo, gdy on nie będzie już miał nic do zdobycia, wtedy nadejdzie koniec miłości. Nadejdzie koniec i on pójdzie rwać kwiaty do innych ogrodów. Pamiętaj: miłość musi być nienasycona. Miłość musi mieć apetyt nigdy nie zaspokojony. Musisz karmić swojego kochanka dobrze... ach, najlepiej, jak potrafisz, doskonale; dawaj mu, dawaj, ale niech odchodzi od ciebie wciąż głodny, aby wrócił na nową ucztę.

Pani Higgins wstała nagle i wyszła z pokoju. Saxon zauważyła smukłość i wdzięk jej szczupłego, przywidłego ciała. Wiedziała, że nie jest to tylko przywidzenie.

- Nauczyłam cię zaledwie pierwszej litery w alfabecie miłości - powiedziała Mercedes Higgins siadając.

W jej rękach Saxon zobaczyła maleńki instrument muzyczny z pięknego ciemnobrązowego drzewa, podobny do gitary, z tą jednak różnicą, że miał tylko cztery struny. Mercedes poruszała je rytmicznie palcem wskazującym, jednocześnie zaś rozległ się jej głos cienki i miękki, śpiewający osobliwą melodię w dziwnym języku, tchnącym ciepłem śpiewanych samogłosek, wzniesionym miłością. Łkający cicho głos i struny to wznosiły się do zmysłowego crescendo, to przechodziły w pieszczotliwy szept, to przemykały się przez leniwe półcienie miłości, to nabrzmiwały w krzyku miłosnym barbarzyńsko nagłym, w którym słyszeć było i żalosne nawoływanie, i szaleństwo kuszących obietnic. Melodia przeniknęła Saxon, aż stała się jak ów instrument rozedrgany namiętymi tonami. Gdy Mercedes Higgins skończyła, Saxon poczuła zawrót głowy.

- Gdyby twój mężczyzna po raz ostatni wziął cię w objęcia, gdyby cię już znał na

pamięć... ach, nawet wtedy wystarczy, abyś mu zaśpiewała tę pieśń, tak jak ja śpiewałam, a znów wyciągnie do ciebie ramiona i jego oczy znów zapłoną dawnym szaleństwem. Rozumiesz? Zrozumiałaś mnie, mała mężateczko?

Saxon skinęła tylko głową; głos nie mógł się wydobyć z jej spieczonych warg.

- Złote *koa*, drzewo królewskie - mówiła Mercedes wskazując na instrument. - *Ukulele*, tak go nazywają na Hawajach, co znaczy, moje dziecko, skacząca pchła. Hawajczycy mają złote ciała i są rasy kochanków... w rześkim cieple podzwrotnikowych nocy, na wyspach, gdzie wieją pasaty.

Znowu poruszyła strunami. Śpiewała teraz w innym języku, który Saxon wydał się francuskim. Piosenka była łobuzersko wesoła, żywa i rozśmieszająca. Chwilami ogromne oczy Mercedes stawały się jeszcze ogromniejsze i dziksze, to znów zwięzały się, kuszące i grzeszne. Gdy skończyła, spojrzała na Saxon pytając wzrokiem o zdanie.

- Ta mi się podoba - odparła Saxon.

Mercedes wzruszyła ramionami.

- Wszystkie one mają swoje zalety, mała mężateczko, która tyle jeszcze musisz się nauczyć. Bywają chwile, kiedy można zdobyć mężczyznę winem. Bywają chwile, kiedy można zdobyć go winem pieśni. Tacy dziwni są mężczyźni. La, la... tyle sposobów, tyle sposobów. Na przykład twoje piękne fatałaszki, twoje koronki i batysty. Są one sieciami magicznymi. Żaden rybak nie łowi ryb w morzu z lepszym wynikiem, niż my kobiety łowimy ich w nasze piękne łaszki. Jesteś na dobrej drodze. Widziałam mężczyzn oplątanych w sieć halki nie tak wykwintnej, nie tak ślicznej jak ta, którą tu suszyłaś na sznurze.

Nazwałam umiejętność prania ozdobnej bielizny sztuką. Ale nie jest to sztuka dla sztuki. Największą ze sztuk jest zdobywanie mężczyzn. Miłość jest sumą wszystkich sztuk, a także ich sensem i celem. Posłuchaj. We wszystkich czasach, we wszystkich wiekach żyły kobiety, wspaniałe, mądre kobiety. Nie musiały być piękne. Wspanialszy nad wszelką kobiecą piękność był ich rozum. Książęta i potentaci w pas im się kłaniali. Państwa o nie walczyły. Mocarstwa upadały z ich powodu. Religie powstawały na ich micie. Afrodyta, Astarte... cześć oddawana nocy... Posłuchaj, opowiem ci o kobietach, które podbiły świat mężczyzn.

Osołomiona Saxon przysłuchiwała się opowiadaniu, które byłoby obłądnym bredzeniem, gdyby poprzez dziwaczność bezsensownych na pozór zdań nie przebijał sens ukryty i tajemniczy. Dostrzegała głębie niewypowiedziane i niepojęte, które przywodziły na myśl przerażające skojarzenia i wyuzdane współznaczenia. Słowa Mercedes płynęły jak rozpalona lava; czoło, policzek i szyję Saxon objął pogłębiający się wciąż żar rumieńca.

Drżała z lęku, przejmował ją wstręt, miała chwilami wrażenie, że zemdleje, tak obłądne odczuwała zawroty głowy. Nie mogła się jednak oderwać, siedziała jak urzeczona i upuściwszy haft na podolek, wpatrywała się oczami duszy w wizje straszne i śmielsze od najśmielszej fantazji. W końcu, gdy nie mogła już znieść tego dłużej i zwilżała spiekłe wargi, aby wznieść okrzyk sprzeciwu, Mercedes raptownie zamilkła.

- I na tym kończy się lekcja pierwsza - powiedziała spokojnie, po czym roześmiała się śmiechem, który dla Saxon był torturą. - Co ci, dziewczyno? Nie jesteś chyba zgorszona?

- Boję się - odparła Saxon głosem drżącym i ochrypłym. - Pani mnie przeraża. Jestem taka głupia... i wiem tak niewiele... że nigdy by mi nie przyszło na myśl... to.

Mercedes skinęła głową ze zrozumieniem.

- Trzeba przed tym odczuwać lęk - powiedziała. - Bo są to rzeczy uświęcone. Straszne. Wspaniałe.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Saxon była bystrą obserwatorką, chociaż jej pole widzenia nie miało dużego zasięgu. Była bystrą obserwatorką już w dzieciństwie, kiedy przygarnął ją właściciel zajazdu Cady i jego dobroduszna acz niemoralna żona, poczyniła więc sporo spostrzeżeń w sprawach płci, a potem wyciągnęła ogólne wnioski. Niewiele chyba kobiet z klas wyższych i niższych doceniało tak jak ona wagę problemu utrzymania miłości męża po ślubie; niewiele też chyba dziewcząt z klasy robotniczej doceniało tak jak ona wagę problemu wybrania odpowiedniego męża.

Samodzielnie stworzyła sobie niezwykle racjonalną filozofię miłości. Zarówno instynktownie, jak i świadomie dążyła do delikatności, unikała zaś niebezpieczeństwa nawyków i spowszednienia. Rozumiała doskonale, że obniżając swoją wartość, obniży wartość miłości. W ciągu wielu tygodni ich małżeńskiego pożycia Bill nie widział nigdy, żeby była niestarannie ubrana czy rozdrażniona, czy ospała. Starła się też przesyć dom własną atmosferą spokoju, świeżości, łagodności. Umiała docenić takie atuty, jak niespodzianka i osobisty czar. Wyobraźnię miała żywą i dużo wrodzonej inteligencji. W Billu zdobyła bezcenny skarb - i wiedziała o tym. Jego zapał miłosny radował ją i napawał dumą. Zdawała sobie sprawę z tego, jak nieprzeciętna jest hojność Billa, jego pragnienie, aby mieć wszystko najlepsze, jego schludność i umiejętność dbania o własny wygląd. Bill nigdy nie był ordynarny. Na delikatność odpowiadał delikatnością; Saxon rozumiała jednak, że inicjatywa w tego rodzaju sprawach znajduje się i zawsze powinna się znajdować w jej rękach. Bill na ogół nie zdawał sobie sprawy z istoty i motywów swoich czynów. Natomiast ona miała ich pełną świadomość. A Bill był takim skarbem między mężczyznami!

Mimo że doceniała wagę problemu utrzymania Billa jako kochanka i mimo że posiadała stosunkowo dużą wiedzę i sporo doświadczenia, Mercedes Higgins rozszerzyła jej perspektywę. Stara kobieta potwierdziła jej własne wnioski, podsunęła nowe pomysły, ośmieliła ją w dawnych, a nawet brutalnie uwypukliła tragiczną ważność całego problemu. Saxon wiele zapamiętała z tej obłądnej nauki, wiele się domyślała i wyczuwała, wiele jednak przekraczało jej doświadczenie i zdolność pojmowania. Ale metafory o zasłonach i o kwiatach, a także zasadę oddawania wszystkiego tak, aby zawsze zostało jeszcze coś do dania, zrozumiała dobrze i dzięki nim mogła stworzyć sobie szerszą i głębszą filozofię miłości. W świetle tych objawień zanalizowała raz jeszcze życie małżeńskie wszystkich znanych sobie par i dostrzegła tak wyraziście, jak nigdy dotąd, w czym i dlaczego ludzie

popelniali błędy.

Ze wznowionym zapałem Saxon poświęcała się obowiązkom domowym, upiększaniu swojej bielizny i pielęgnacji urody. Idąc na zakupy, jeszcze usilniej starała się wybrać to, co najlepsze, chociaż nie zapominała nigdy o nakazach oszczędności. W dziale kobiecym niedzielnego dodatku do gazety i w pismach kobiecych przeglądanych w pobliskiej bezpłatnej czytelnicy znalazła wiele sposobów pielęgnacji i zachowania urody. Systematycznie ćwiczyła mięśnie i poświęcała co dzień pewien czas na masaż twarzy i zabiegi mające na celu zachowanie jędrności, świeżości i barwy. Bill nie wiedział o tym. Nie dla niego były przeznaczone intymności jej toalety. Dla niego był tylko rezultat starań. Wypożyczała książki z biblioteki Carnegie. Studiowała fizjologię i higienę; nauczyła się tysiąca rzeczy o sobie i o kobiecie w ogólności, których nie nauczyła jej ani Sara, ani opiekunki w sierocińcu, ani żona Cady'ego.

Po długim namyśle zaprenumerowała tygodnik kobiecy, w którym zamieszczone wzory i przepisy najlepiej odpowiadały jej gustom i kieszeni. Do innych pism miała łatwy dostęp w bezpłatnej czytelnicy, nieraz więc przerysowywała z nich przez bibułkę wzory koronek i haftów. Zatrzymywała się też często i przyglądała bieliznie na wystawach sklepów w eleganckiej dzielnicy miasta, dokonując zaś drobnych sprawunków przeglądała towary na kontuarze z ręcznie haftowanymi halkami. Raz nawet przemyśliwała, czyby nie nauczyć się malować na porcelanie, ale porzuciła ten projekt dowiedziawszy się, jak bardzo jest kosztowny.

Stopniowo zastępowała swą prostą panieńską bieliznę stroikami kobiecymi równie prostymi, lecz przyozdobionymi pięknym francuskim haftem, marszczeniami, falbankami. Skromną trykotową bieliznę zimową obrzuciła piękną koronką zrobioną szydełkiem.

Uszyła koszulki i pokrycia na gorsety z cieniutkiego jak mgielka, choć dość taniego batystu, a jej koszule nocne w delikatny kwiatowy deseń, zawsze po mistrzowski uprane i uprasowane, zachwycały świeżością i wdziękiem. W którymś z pism przeczytała krótką notatkę, że we Francji wchodzi właśnie w modę czarujące czepeczki obszyte marszczoną koronką, które nosi się przy śniadaniu. Nie miało to dla niej znaczenia, że musiała wpierw sama przygotować śniadanie. Niebawem zjawił się w domu jard szwajcarskiego muślinu w kropki Saxon przymierzała i wypróbowywała najodpowiedniejsze dla siebie fasony, a także wybrała koronkę spośród swoich skromnych zapasów. Urzekająca kreacja, która była wynikiem tych zabiegów, zyskała entuzjastyczne pochwały Mercedes Higgins.

Uszyła też sobie proste szlafroki z ładnego perkalu, z wykładanymi kołnierzami odsłaniającymi jej jędrną, krągłą szyję. Oprócz jardów szydełkowych koronek zrobiła

serwetkę gipiurową na stół i na biurko, jednym zaś z największych jej osiągnięć była włóczkowa kapa na łóżko, która zyskała gorący poklask Billa. Ozdobiła też mereżką białą pościelową i stołową, najlepszą, na jaką było ich stać.

Płynęły szczęśliwe miesiące i Saxon nigdy, ani przez chwilę nie była beczynna. Naturalnie nie zapominała też o Billu. Gdy nadeszły zimna, zrobiła mu na drutach rękawiczki, które z pietyzmem wkładał w domu - po to, aby zaraz po wyjściu schować do kieszeni. Lepszy natomiast los spotkał dwa swetry i pantofle ranne, które wkładała mu na nogi w te wieczory, kiedy nie wychodzili z domu.

Twarda i praktyczna wiedza Mercedes Higgins oddała jej nieocenione usługi, gdyż Saxon gorączkowo, bez mała namiętnie pragnęła mieć wszystko najlepsze - i jednocześnie oszczędzać. Stała tu oko w oko z finansowymi i ekonomicznymi problemami społeczeństwa, w którym koszty utrzymania rosły szybciej niż płace robotników. Stara kobieta nauczyła ją sztuki dokonywania zakupów tak umiejętnie, że za jednego dolara zarobionego przez Billa Saxon kupowała półtora raza więcej niż jej sąsiadki za dolary swych mężów.

W każdą sobotę wieczorem Bill wysypywał jej na podolek całe swoje zarobki. Nigdy nie pytał, na co i w jaki sposób wydaje pieniądze, choć wciąż powtarzał, że nigdy w życiu nie jadł tak obficie i dobrze. I w każdą sobotę, gdy pieniądze nietknięte leżały jeszcze na jej podoleku, ona zmuszała go, aby wziął sumę, jaka będzie mu potrzebna na wydatki w następnym tygodniu. Nie tylko prosiła, żeby odkładał dla siebie dużo, ale domagała się, żeby brał dodatkową sumę każdego dnia w tygodniu i nie mówił, na co ją wydaje.

- Zawsze miałeś pieniądze w kieszeni - dowodziła mu - i nie widzę powodu, żeby małżeństwo miało to zmienić. Gdyby tak się stało, wolałabym za ciebie nie wychodzić. Och, wiem, jak to jest, kiedy się spotka kilku mężczyzn. Najpierw jeden stawia, potem drugi; a to przecież kosztuje. Znam cię i wiem, że gdybyś nie mógł stawiać tak swobodnie jak inni, unikałbyś ich towarzystwa. A to byłoby niesprawiedliwe wobec... wobec ciebie. Chcę, żebyś przestawał z mężczyznami. Mężczyzna tego potrzebuje.

Bill porywał ją w ramiona i zaklinał się, że jest najwspanialszą małą kobietką, jaką mężczyzna miał kiedykolwiek za żonę.

- Przecież nie tylko jem lepiej - mówił z triumfem - nie tylko żyję w większej wygodzie i mogę spotkać się z kolegami, ale odkładam pieniądze... a raczej ty je za mnie odkładasz. No, i proszę: raty za meble płacone regularnie co miesiąc, w domu mała kobietka, za którą szaleję, a na dodatek oszczędności w banku. Ile tego mamy?

- Sześćdziesiąt dwa dolary - odparła. - Przyda się w jakiejś trudniejszej chwili. Możesz

zachorować albo mieć wypadek, albo coś innego może się zdarzyć.

W połowie zimy Bill poruszył w rozmowie z Saxon kwestię pieniężną, robiąc to zresztą z wyraźnym ociąganiem. Jego najlepszy przyjaciel, Billy Murphy, zachorował na grype, jedno zaś z dzieci Billy'ego zostało poważnie zranione przez przejeżdżający wóz, kiedy bawiło się na ulicy. Billy Murphy, wciąż osłabiony po dwóch tygodniach choroby, prosił Billa o pożyczanie pięćdziesięciu dolarów.

- Te pieniądze będą bezpieczne jak w banku - dodał Bill na zakończenie. - Znam go od dziecka, razem chodziliśmy do szkoły Duranta. Uczciwy z niego chłop.

- Przecież to nie ma nic do rzeczy - powiedziała Saxon z wymówką. - Gdybyś był kawalerem, pożyczylbyś mu tę sumę bez namysłu. Prawda?

Bill skinął głową.

- Wobec tego nie może być inaczej tylko dlatego, że jesteś żonaty. Pieniądze są twoje, Bill.

- Co też ty mówisz, Saxon! - zawołał Bill. - Nie są moje. Są nasze. Nie przyszłoby mi do głowy dawać je komukolwiek, zanim bym się z tobą nie rozmówił.

- Mam nadzieję, żeś mu tego nie powiedział? - zaniepokoiła się Saxon.

- Nie - odparł Bill ze śmiechem. - Wiedziałem, że zaczęłabyś na mnie prychać ze złości. Powiedziałem mu tylko, że zobaczę, co będę mógł zrobić. Widzisz, byłem pewien, że się zgodzisz, jeżeli tylko masz tę sumę.

- Och, Bill - wyszeptała głosem nabrzmiałym miłością. - Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale to jest jedna z najmilszych rzeczy, jakie mi powiedziałeś, odkądśmy się pobrali.

Im częściej Saxon widywała panią Higgins, tym mniej ją rozumiała. W każdym razie przekonała się niebawem, że stara kobieta jest przerażająco skąpa. Trudno jej było pogodzić ten rys z opowieściami Mercedes o jej dawnych szaleństwach. Z drugiej jednak strony zdumiewała Saxon ekstrawagancją starej kobiety w osobistych wydatkach. Bieliznę nosiła bardzo kosztowną i, naturalnie, ręcznie robioną. Potrawy, które przygotowywała dla Barry'ego, były dobre, ale dla siebie przygotowywała nieporównanie lepsze. A mimo to stawiała je obok siebie na stole. Podczas gdy Barry kontentował się solidnym okrągłym stekiem, Mercedes jadła filety z miękkiej polędwicy. Ogromny, łykowaty kotlet baranina talerzu Barry'ego równoważyły małe delikatanne sznycelki na talerzu żony. Herbata parzyła się w oddzielnych dzbankach, tak samo kawa. Stary Barry popijał z dużego i grubego kubka herbatę po dwadzieścia pięć centów za funt, natomiast Mercedes piła małymi łyżkami herbatę po trzy dolary za funt - piła ją z małej, różowo-kremowej filiżanki, kruchej jak

łupina jajka. Podobnie jego taniutką kawę zabelala mlekiem, do swego kosztownego tureckiego gatunku dolewała śmietanki.

- Wszystko to jest w sam raz dla staruszka - tłumaczyła Saxon. - Nie przywykł do takich rzeczy i byłby to grzech śmiertelny marnować dla niego takie specjały.

Rozpoczęły między sobą drobny handel. Nauczywszy Saxon łatwej sztuki akompaniowania do śpiewu na *ukulele*, Mercedes zaproponowała jej wymianę. Minął już ten czas, oznajmiła, kiedy zajmowała się rzeczami tak frywolnymi, zaproponowała więc Saxon instrument za czepek do śniadań.

- *Ukulele* warte jest kilka dolarów - powiedziała Mercedes. - Zapłaciłam za nie kiedyś dwadzieścia, tylko że to było przed wielu laty. Nawet teraz warte jest jeszcze tyle, co czepek.

- Ale czy czepek nie jest... nie jest też frywolny? - spytała Saxon, chociaż sama bardzo była zadowolona z zamiany.

- Och, nie myślę go nosić na swoich siwiejących włosach - odparła szczerze Mercedes. - Sprzedam to cacko. Sprzedaję większość rzeczy, które robię, kiedy reumatyzm nie wykrzywia mi palców. He, he, moje dziecko! Pięćdziesiąt dolarów, które mi Barry przynosi co miesiąc, nie może zaspokoić moich kosztownych gustów. Dorabiam haftem różnicę. A stary wiek potrzebuje pieniędzy, jak nigdy ich nie potrzebują lata młodości. Kiedyś sama się o tym przekonasz.

- Jestem bardzo zadowolona z zamiany - powiedziała Saxon. - A jak tylko odłożę dość pieniędzy na materiał, zrobię sobie drugi czepek.

- Zrób kilka - poradziła Mercedes. - Sprzedam ci wszystkie, biorąc mały procent dla siebie za fatygę. Mogę ci zapłacić sześć dolarów za sztukę. Porozmawiamy jeszcze o tym. Za zarobione pieniądze będziesz sobie mogła kupić batyst na czepek dla siebie i jeszcze ci sporo zostanie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zima przyniosła cztery ważne zdarzenia. Bert i Mary pobrali się i wynajęli domek w pobliżu. Zarobki Billa uległy obniżce, podobnie jak zarobki wszystkich woźniców w Oakland. Bill zaczął się golić żyletką. I wreszcie - Saxon okazała się fałszywym prorokiem, a Sara miała słuszość.

Saxon nie mówiła nic Billowi, dopóki nie zyskała absolutnej pewności. Początkowo, gdy było to tylko niejasne podejrzenie; serce zamierało jej z przerażenia przed nieznanym i niewiadomym. Potem, kiedy pomyślała o nieuniknionym zwiększeniu wydatków, przyszedł lęk o sprawy finansowe: Ale gdy upewniła się już ponad wszelką wątpliwość, tamte uczucia zniknęły pod falą namiętnej radości. Jej i Billa! To zdanie bezustannie tkwiło w jej świadomości, a każda powracająca myśl przyprawiała ją o bez mała fizycznie odczuwane szczęście.

Gdy wieczorem któregoś dnia zdradziła swój sekret Billowi, on nie wspomniał ani słowem o oczekiwanej obniżce zarobków i dzielił z nią jej radość. - Co będziemy robili? Musimy to jakoś uczcić. Może pójdziemy do teatru? - spytał zwalniając uścisk ramion, aby mogła przemówić. - A może zostaniemy w domu we dwójkę... a raczej we trójkę?

- Zostaniemy w domu - brzmiała jej odpowiedź. - Chciałabym, żebyś mnie trzymał w objęciach... żebyś mnie nie wypuszczał z objęć.

- Ja też miałem na to największą ochotę, tylko nie wiedziałem, czy po całym dniu spędzonym w domu nie będziesz wolała wyjść na miasto.

Na dworze było mroźno, więc Bill przeniósł fotel do kuchni i postawił go obok komina. Leżała w jego ramionach, głowę złożonywszy mu na piersiach, on policzek przytulił do jej włosów.

- Nie zrobiliśmy źle, żeśmy się pobrali tak szybko - rozmyślał na głos Bill. - Przecież my, Saxon, ciągle jesteśmy jak para narzeczonych, którzy się starają wzajemnie o swoje względy. A teraz... mój Boże, Saxon, to jest za dobre, żeby było prawdziwe! Pomyśl tylko! Nasze małżeństwo! Będzie nas troje! A to mały łotrzyk! Głowę dam, że to będzie chłopiec. Już ja go nauczę robić dobry użytek z pięści i dbać o siebie jak należy! I pływać go nauczę. Jeżeli nie nauczy się pływać, zanim skończy sześć lat...

- A jak on będzie dziewczynką?

- Ona będzie chłopcem - odparł Bill stanowczo, naśladowując Saxon w tym żartobliwym mieszaninzie zaimków.

Roześmiali się, pocałowali i westchnęli z zadowoleniem.

- Zrobię się teraz kutwą - oznajmił Bill po długim namyśle. - Żadnego picia z koleżkami. Woda z beczki jest najlepsza. I będę mniej palił. A właściwie nie wiem dlaczego nie miałbym sobie kręcić papierosów. Wypada to dziesięć razy taniej niż gotowe. No i mogę zapuścić brodę. Pieniądze, które w ciągu roku fryzjerzy wyciągną człowiekowi z kieszeni, starczą na utrzymanie dziecka.

- Spróbuj mi tylko zapuścić brodę, a zaraz poproszę o rozwód! Zagroziła Saxon. - Jest ci tak ładnie z wygoloną twarzą. Za bardzo mi się twoja twarz podoba, żebyś ją miał chować za zarostem. Och, kochany, najdroższy Bill, nie miałam pojęcia, co to jest szczęście, dopóki nie zamieszkałam z tobą.

- Ja też nie.

- I zawsze tak będzie?

- Zakład, że zawsze.

- Myślałam, że po prostu szczęśliwie wychodzę za mąż - ciągnęła. Ale nigdy mi się nawet nie śniło, to może być coś takiego. - Podniosła głowę i pocałowała go w policzek. - Bill, to nie jest szczęście. To raj.

Bill nadal nie zawiadamiał Saxon obniżce zarobków. Powiedział o tym dopiero w dwa tygodnie później, kiedy otrzymawszy zmniejszoną sumę wysypał jej pieniądze na kolana. Nazajutrz Bert i Mary, już od miesiąca poślubieni, przyszedli do nich na obiad niedzielny i sprawa ta stała się tematem ogólnej rozmowy. Bert był w nastroju szczególnie pesymistycznym i napomynał posępnie o nieuniknionym strajku w warsztatach kolejowych.

- Byłoby dużo lepiej, gdybyście tak wszyscy zamknęli buzie na kłódki - przyganiła mu Mary. - Ci wasi agitatorzy związkowi robią tylko złą krew między ludźmi. Skóra mi cierpie, kiedy pomyślę, jak się do wszystkiego wtrącają i podjudzają ludzi do złego. Na miejscu pracodawców obciąłabym zarobki wszystkim tym, co ich słuchają.

- Ale sama należałaś do związku pracowników pralni - zgromiła ją łagodnie Saxon.

- Bo inaczej nie dostałabym pracy. I dużo dla mnie ten związek zrobił!

- Weź Billa - dowodził Bert. - Woźnice siedzieli cicho, pary z ust nie puszczały wszystko było ślicznie. A potem nagle trrrach, pałąk po głowie - i dziesięcioprocentowa obniżka! Myślicie, że mamy jakieś widoki? Wciąż dostajemy w skórę. Nic dla nas nie zostało w tym kraju, któryśmy zbudowali i którzy budowali przed nami nasi ojcowie. Już po nas. Wykończą nas na amen, nas - dzieci białych ludzi, którzy rzucili Anglię przeprawili się tu przez morza, którzy uwolnili niewolników, bili się z Indianami zaludnili Zachód! Ślepy by zobaczył, że nas wykończą.

- Ale czy możemy temu jakoś zaradzić? - spytała Saxon z niepokojem.

- Musimy walczyć. To wszystko. Kraj jest w rękach bandy rabusiów. Spójrzcie na kolej Southern Pacific. Rządzi Kalifornią.

- Bzdura - wtrącił Bill. - Mówisz chyba dla śmiechu. Kolej nie może kierować rządem Kalifornii.

- Jesteś cymbał - rzucił szyderczo Bert. - A kiedyś, kiedy już będzie za późno, ty i inne cymbały zrozumiecie prawdę. Bzdury? Powiem ci, że to wszystko śmierdzi. Czy ty wiesz, że każdy kandydat do senatu stanowego musi pojechać do San Francisco, pójść do biura kolei, zdjąć kapelusz i pokornie prosić o pozwolenie? Czy ty wiesz, że gubernatorzy Kalifornii byli dyrektorami kolei, kiedy mnie i ciebie nie było jeszcze na świecie? Tfu! Nie próbuj we mnie wmawiać, że jest inaczej. Wykończyli nas. Zeszliśmy na psy. Ale lżej by mi było na sercu, gdybym tak pomógł - zanim sam zdechnę zaprowadzić na szubienicę kilku z tych śmierdzących złodziei. Wiesz, Bill, kim my jesteśmy... my, synowie pionierów, którzy walczyli w wojnach, wykarczowali tę ziemię i zbudowali ten kraj? Powiem ci. Jesteśmy ostatnimi mohikanami.

- Kiedy wpada w tę swoją wściekłość, dosłownie umieram ze strachu - powiedziała Mary z nie ukrywaną wrogością. - Jeżeli nie przestanie mleć ozorem, wyrzucą go z zakładów. Ale powiem wam jedno. Do pralni na pewno nie wrócę. - Podniosła prawą dłoń i wypowiadała słowa uroczyście, jak przysięgę. - Tego się nie doczekacie. Moja noga nigdy tam nie postanie.

- Och, dobrze wiem, do czego zmierzasz - odparł szorstko Bert. - I tyle ci powiem. Nie obchodzi cię, co będzie ze mną, czy zdechnę, czy nie, czy mnie zostawią, czy wyrzucą z pracy, bylebyś tylko ty zawsze mogła postawić na swoim.

- Zdaje się, że niczego nie udawałam, zanim się poznaliśmy - rzuciła gniewnie Mary. - A także niczego nie udawałam, kiedyśmy zaczęli z sobą chodzić.

Bert miał na języku gorące i złe słowa, ale Saxon przerwała sprzeczkę i doprowadziła do pojednania. Martwiła ją sytuacja w ich małżeństwie. Oboje byli nerwowi, porywczy i łatwo wpadali w gniew, a ich bezustanne sprzeczki nie stanowiły dobrej wróżby na przyszłość.

Maszynka do golenia była dla Saxon wielkim osiągnięciem. W tajemnicy odbyła naradę z pewnym znajomym subiektem w sklepie żelaznym Pierce'a i dokonała zakupu. W niedzielę po śniadaniu, kiedy Bill wybierał się do golarza, zaprowadziła go do sypialni i pokazała mu ukryte dotąd pod ręcznikiem pudełko z maszynką do golenia, mydło, pędzel i miseczkę z rozrobioną już pianą. Bill w pierwszej chwili odskoczył, ale wiedziony

ciekawością zaczął przyglądać się nowemu nabytkowi. Na maszynkę patrzył z politowaniem.

- I to ma być narzędzie odpowiednie dla mężczyzny!

- Spełni swoje zadanie - powiedziała. - Tysiące mężczyzn golą się nim co dzień.

Bill potrząsnął głową i już miał odejść.

- Golisz się trzy razy na tydzień - nalegała. - Kosztuje to razem czterdzieści pięć centów... Powiedzmy pół dolara na tydzień, a w roku mamy pięćdziesiąt dwa tygodnie. Czyli dwadzieścia sześć dolarów rocznie na samo golenie. Proszę cię, kochany, spróbuj! Tysiące mężczyzn błogosławią te maszynki.

Buntowniczo potrząsnął głową, a chmurne błyski w jego oczach stały się jeszcze chmurniejsze. Kochała tę jego posepnie chłopięcą twarz. Śmiejąc się i całując go, usadowiła Billa na krześle, zdjęła mu marynarkę, odpięła koszulę i podkoszulek i zawinęła kołnierz do środka.

Wzięła do ręki pędzel i pokryła mu twarz grubą warstwą piany, grożąc równocześnie, że jeśli otworzy usta, aby ją łąjać, zaklei je mydłem.

- Chwileczkę! - powstrzymała go, gdy zrezygnowany sięgnął po maszynkę. - Przyglądałam się fryzjerom przez szybę. Po namydleniu twarzy robią zawsze tak...

Koniuszkami palców zaczęła mu wcierać mydło w skórę.

- Gotowe - powiedziała, po raz drugi namydliwszy mu twarz. - Teraz możesz zaczynać. Tylko pamiętaj, że nie zawsze będę to za ciebie robiła. Dzisiaj po prostu cię przyuczam.

Demonstrując swój buntowniczy nastrój - na pół szczerzy, na pół udawany - Bill pociągnął kilkakrotnie maszynką po policzku. Skrzywił się i zawołał przeraźliwym głosem:

- Na świętego tańczącego Józefata!

Spojrzał w lustro. W białej gęstwinie piany ukazała się strużka krwi.

- Skaleczyłem się! Skaleczyłem się maszynką do golenia! Już widzę, jak tysiące mężczyzn błogosławią to piekielne narzędzie! Nie można im się dziwić!

- Poczekaj, kochany - prosiła Saxon. - Trzeba ją naregulować. Subiekt mi pokazywał, w którym miejscu. Widzisz te małe śrubki? O tu... przykręć je.

Bill ponownie przesunął ostrze po policzku, spojrzał uważnie w lustro, uśmiechnął się i bez słowa golił się dalej. Szybko i zręcznie usunął pianę z twarzy. Saxon klasnęła w dłoń.

- Wspaniale! - pochwalił Bill.- Nadzwyczajne! No proszę! Daj mi rękę! Zobacz, jak pięknie się ogoliłem. Przesunął dłoń Saxon po policzku. Saxon wyrwała mu rękę i z westchnieniem rozczarowania przyjrzała się z bliska jego twarzy.

- Wcaleś się nie ogolił! - powiedziała.

- Bo też to jest zwykle oszustwo. Kraje skórę, ale zostawia włosy. Idę do fryzjera.

Ale Saxon nie ustępowała.

- Nie wypróbowałeś jej jeszcze jak należy. Była źle naregulowana. Daj, może ja to zrobię lepiej. O, widzisz... tak... i tak. A teraz namydl się jeszcze raz i spróbuj.

Tym razem rozległ się szmer, charakterystyczny przy goleniu.

- No i jak? - spytała niespokojnie.- Zbiera... oj... włosy - jęknął Bill marszcząc się i wykrzywiając. - Ale szarpie... au... jak diabli!

- Nie rezygnuj - zachęcała go. - Wytrwaj na posterunku, wielki Indianinie. Pamiętaj, co mówił Bert, i bądź ostatnim mohikaninem.

Po piętnastu minutach Bill splukał twarz, wytarł ręcznikiem i westchnął z ulgą.

- Ogolić jakoś mnie to ogoliło, ale nie powiem, żebym za tym specjalnie szalał. Taka operacja kosztuje za dużo nerwów. Jestem słaby jak osesek.

Nagle jęknął przypomniawszy sobie nową niedolę.

- Co się stało? - spytała.

- Kark... Przecież nie mogę sam sobie ogolić karku. Będę musiał zapłacić za to golarzowi.

Konsternacja Saxon była bezgraniczna, ale trwała tylko kilka sekund. Wzięła pędzel do ręki.

- Usiądź, Bill. - Co? Ty? - zawołał z oburzeniem.

- Tak, ja. Jeżeli może cię golić pierwszy lepszy fryzjer, nie widzę, dlaczego ja bym nie miała dostąpić tego zaszczytu.

Upokorzony i zgnębiony Bill jęczał i wzdychał, poddał się jednak jej woli.

- Gotowe i muszę powiedzieć, że zupełnie dobrze wypadło - oznajmiła po chwili. - Poszło jak po maśle. A poza tym daje nam dwadzieścia sześć dolarów oszczędności na rok. Kupisz za to wózek dla dziecka, kołyskę, pieluszki i mnóstwo innych rzeczy. Posiedź jeszcze chwilę.

Wytarła mu kark mokrym ręcznikiem, potem osuszyła i zasypała talkiem. - Jesteś czyściutki i gładziutki jak mały niemowlaczek - powiedziała.

Chociaż Bill przez dwa dni przysięgał, że nie będzie miał więcej nic wspólnego z tym diabelskim narzędziem, na trzeci dzień pozwolił Saxon pomóc sobie przy ponownej próbie. Tym razem golenie poszło lepiej.

- Nie jest tak źle - przyznał. - Zaczynam łapać dryg. Wszystko zależy od naregulowania. Można się wygolić tak dokładnie, jak się chce, i nie podrażnić przy tym skóry. Fryzjerzy tego nie potrafią. Od czasu do czasu twarz mnie piekielnie boli po ich

goleniu.

Trzecia próba była wspaniałym sukcesem; ale szczyt szczęścia został osiągnięty, gdy Saxon podarowała mu flakon płynu do wcierania w twarz po goleniu. Od tego momentu Bill zaczął gorliwie nawracać się na nową wiarę. Nic mógł się doczekać wizyty Berta i wzięwszy cały ekwipunek poszedł do niego do domu zademonstrować działanie maszynki.

- Słuchaj, Bert, byliśmy przez tyle lat ostatnimi głupcami. Naraziliśmy się na różne wysypki i inne paskudztwa. Spójrz na to! Widzisz, jak dokładnie goli? Skóra gładka jak aksamit. I zupełnie łatwo... Skończone! Sześć minut według zegarka. Uwierzyłyś? A jak się przyłożę, jestem gotów w trzy minuty... Działa po ciemku. Działa pod wodą. Choćbyś chciał, nie mógłbyś się skaleczyć. No, i oszczędza dwadzieścia sześć dolarów na rok. Saxon na to wpadła, a ona jest cudowna, powiadam ci, że cudowna.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wymiana handlowa pomiędzy Saxon a Mercedes ożywiła się. Stara kobieta znajdowała nieograniczony rynek zbytu dla pięknych robótek, które jej Saxon dostarczała. Saxon zaś pracowała z zapałem i ukontentowaniem. Dwa fakty: spodziewane dziecko i obniżka zarobków Billa kazały jej poważniej niż dotąd spoglądać na ekonomiczną stronę życia. Odkładali do banku za mało pieniędzy, odczuwała więc wyrzuty sumienia na myśl, że tak dużo wydaje na piękne rzeczy dla siebie i do domu. Co więcej, po raz pierwszy żyła z pieniędzy nie przez siebie zarobionych. Od wczesnej młodości przywykła wydawać własne pieniądze i teraz Mercedes znowu jej to umożliwiła. Z zarobków Saxon szła dla siebie kosztowniejszą i ozdobniejszą bieliznę.

Mercedes dawała projekty wykwintnych cacek, Saxon zaś udoskonalała je i wykonywała w materiale. Szła przymarszczone koszulki z czystego płótna, obszyte piękną koronką własnej roboty i ozdobione francuskim haftem na piersiach i plecach; lniane ręcznej roboty kombinacje; i nocne koszule cienkie jak pajęczyna, czarowne - haftowane, obszyte irlandzką koronką. Namówiona przez Mercedes wykonała pracę niezwykle ambitną: przepiękny czepeczek, za który stara kobieta po odliczeniu prowizji zapłaciła jej dwanaście dolarów.

Wypełniała pracą każdą chwilę dnia i była bardzo szczęśliwa. Nie zaniedbała też przygotowań na przyjęcie maleństwa. Z gotowych rzeczy kupiła jedynie trzy śliczne trykotowe kaftaniki. Poza tym cała wyprawka dziecka zrobiona została jej rękami; kołderki obdziergane ozdobnym ścięciem, żakiecik i czepeczek wykonane szydełkiem, rękawiczki na pięciu drutach, haftowane kapturki, ozdobne sukienki rozsądnej długości, koszulki na śmiesznie lilipucich ramiączkach, haftowane jedwabiem flanelowe haleczki, pończoszki i buciki z wełny, i wiele pieluszek z rozkosznie miękkiego płótna. Nieco później stworzyła największy majstersztyk - paletko wyjściowe z białego jedwabiu, haftowane. Każdy najmniejszy ściąg w tych malutkich stroikach mówił o jej miłości. Ale gdy zastanowiła się, doszła do zdumiewającego wniosku, że jest to bardziej miłość do Billa niż do tej mgławicowej istotki; której obrazu nie umiała stworzyć nawet jej kochająca wyobraźnia.

- Ho, ho - powiedział Bill, gdy obejrzawszy całą garderobę maleństwa skupił uwagę na lilipucich trykotowych koszulkach - te wyglądają jakoś prawdziwiej niż tamte wszystkie haftowane fatalaszki. Wiesz, Saxon, już teraz mogę go sobie wyobrazić w tych męskich koszulinach.

Czując pod powiekami łzy szczęścia, Saxon przysunęła mu jedną z maleńkich koszulek do ust. Ucałował ją poważnie, nie odrywając oczu od Saxon.

- Ten pocałunek częściowo jest dla małego - powiedział. - Ale dużo bardziej dla ciebie.

Zarobki Saxon miały się jednak skończyć sromotnie i dramatycznie. Któregoś dnia postanowiła poszukać okazji na wyprzedaży w jednym z magazynów i w tym celu przeprawiła się na drugą stronę zatoki do San Francisco. Na Sutter Street przyciągnęły jej uwagę towary rozłożone na małej wystawie niewielkiego sklepu. W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć własnym oczom. A jednak... Na honorowym miejscu leżał piękny czepeczek, za który Mercedes zapłaciła jej dwanaście dolarów. Miał podaną cenę - dwadzieścia osiem dolarów. Saxon weszła do sklepu i rozmówiła się z właścicielką, kobietą cudzoziemskiego pochodzenia, szczupłą, w średnim wieku i o przenikliwych oczach.

- Nie... nie, ja nie chcę nic kupić - powiedziała. - Szyję wykwinną bieliznę, taką jak pani ma w sklepie, i chciałam się tylko dowiedzieć, ile pani płaci... Na przykład za czepek, który jest na wystawie.

Kobieta rzuciła bystre spojrzenie na lewą rękę Saxon, zauważyła niezliczone ślady ukłuć na dużym i wskazującym palcu, a potem przyjrzała się jej twarzy i odzieniu.

- Umie pani robić takie rzeczy?

Saxon skinęła.

- Kobiecie, która przyniosła mi ten czepek, zapłaciłam dwadzieścia dolarów.

Saxon powstrzymała okrzyk i przez chwilę spokojnie rachowała w myślach. Mercedes dała jej dwanaście dolarów, czyli że wzięła dla siebie osiem, chociaż ona, Saxon, dostarczyła materiał i wykonała pracę.

- Czy zechce mi pani pokazać inną ręcznie robioną bieliznę... koszule nocne, dzienne, halki? Chciałabym się dowiedzieć, jakie ceny pani płaci.

- A umie pani robić takie rzeczy?

- Tak.

- I będzie mi je pani sprzedawała?

- Oczywiście - odparła Saxon. - Przecież dlatego tu jestem.

- Dorzucamy przy sprzedaży stosunkowo niewiele - ciągnęła kobieta. - Rozumie pani... światło, komorne, no i naturalnie nasz zysk. Bo inaczej nas by tu nie było...

- To przecież zrozumiałe - przyznała Saxon.

Pomiędzy piękną bielizną, którą obejrzała, znalazła koszulę nocną i kombinację własnej roboty. Za koszulę otrzymała od Mercedes osiem dolarów, cena sprzedażna wynosiła

osiemnaście, kobieta zapłaciła czternaście. Za kombinację Saxon otrzymała sześć, cena wynosiła piętnaście, kobieta zapłaciła jedenaście.

- Bardzo pani dziękuję - powiedziała Saxon wkładając rękawiczki. - Chętnie przyniosę pani bieliznę mojej roboty po tej cenie.

- A ja chętnie ją przyjmę... jeżeli będzie odpowiadała stawianym przeze mnie wymaganiom. - Kobieta spojrzała na Saxon surowo. - Proszę pamiętać, że towar musi być taki dobry jak ten, który pani pokazałam. Otrzymuję często specjalne zamówienia i pani mogłaby je dla mnie wykonywać.

Mercedes przyjęła wymówki Saxon z bezwstydnym spokojem.

- Zrozumiałam, że bierze pani tylko mały procent - brzmiały oskarżycielskie słowa Saxon.

- A bo też brałam procent.

- Kiedy to przecież ja wykonałam całą robotę i kupiłam materiał, a mimo to pani zarobiła więcej ode mnie. Wzięła pani lwią część.

- Dlaczego bym nie miała wziąć więcej? Byłam pośrednikiem. Tak już się dzieje na świecie. Pośrednicy biorą lwią część!

- Uważam, że to niesprawiedliwe - powiedziała Saxon, a w jej głosie brzmiał bardziej smutek niż gniew.

- Miej o to pretensje nie do mnie, tylko do świata - odparła ostro Mercedes i natychmiast złagodniała w zwykłej dla siebie zmienności nastroju. - Nie powinnaś się kłócić. Za bardzo cię lubię. La, la... co to dla ciebie znaczy! Jesteś młoda i masz młodego, silnego męża. Posłuchaj! Jestem starą kobietą i Barry niewiele już może dla mnie zrobić. Goni ostatkami, nerki ma prawie doszczętnie przeżartą chorobą. Pamiętaj, że to ja jego będę musiała pochować. A czeka go nie lada zaszczyt, bo ułoży się obok mnie do ostatniego snu. Głupi z niego i nudny staruch, to prawda, ale swoją drogą poczciwy i zacny, ani cienia w nim podłości. Miejsce na cmentarzu zostało już kupione... ostatnią ratę zapłaciłam częściowo z tych pieniędzy, które zarobiłam od ciebie. Ale będą jeszcze wydatki na pogrzeb. Wszystko musi być w dobrym guście. Potrzeba mi jeszcze dużo pieniędzy. A Barry może każdego dnia przenieść się na tamten świat.

Saxon ukradkiem wciągnęła w nozdrza powietrze i poczuła zapach alkoholu. Mercedes znowu piła.

- Chodź, dziecko, coś ci pokażę. - Mercedes zaprowadziła Saxon do dużej skrzyni marynarskiej w sypialnym pokoju i podniosła wieko. Ze środka wionęło delikatnym zapachem jakby płatków różanych. - Spójrz, to moja wyprawa śmiertelna. W tym stroju

zaślubię nicość.

Zdumienie Saxon rosło, gdy sztuka po sztuce stara kobieta wyjmowała ze skrzyni najwykwintniejszy, najkosztowniejszy i najpiękniejszy kompletny strój ślubny. Mercedes podała jej wachlarz z kości słoniowej.

- Podarowano mi go w Wenecji, moja droga... Widzisz ten szylkretowy grzebień? Bruce Anstey kazał go dla mnie zrobić zaledwie na tydzień przedtem, kiedy wypił ostatnią butelkę whisky i palnął z colta 44 w ten swój szalony łeb. Ten szal... La, la...

- I wszystko to ma być pochowane razem z panią - powiedziała Saxon w zamyśleniu. - Och, co za marnotrawstwo!

Mercedes roześmiała się. - Dlaczego nie? Umrę tak, jak żyłam. To cała moja przyjemność. W proch się obrócę ubrana w szaty panny młodej. Wąskie, twarde łóżko - to nie dla mnie. Chciałabym, żeby była kanapa przykryta puszystymi wschodnimi dywanami i na niej bez liku poduszek.

- Za to, co jest w tej skrzyni, mogłaby pani kupić dwadzieścia miejsc na cmentarzu i opłacić dwadzieścia pogrzebów - zawołała Saxon zgorzona tym bluźnierstwem przeciwko konwencjonalnemu ceremoniałowi śmierci. - To jest zwykły grzech!

- Umrę tak, jak żyłam - powtórzyła Mercedes pogodnie. - Trzeba przyznać, że pięknie ubrana panna młoda przyjdzie kiedyś położyć się obok starego Barry'ego. - Zamknęła wieko skrzyni i westchnęła. - Chociaż wolałabym, żeby to Bruce Anstey czy inny spośród moich wielbicieli leżał obok mnie w grobie i zmienił się razem ze mną w proch, który jest dopiero prawdziwą śmiercią.

Spojrzała na Saxon oczyma rozplamienionymi przez alkohol, a jednocześnie błyskającymi chłodnym światłem ukontentowania.

- W dawnych czasach grzebano ludzi możliwych wraz z ich żyjącymi niewolnikami... Ja zabieram ze sobą tylko moje fatałaszki.

- Więc pani... nie boi się śmierci... zupełnie się pani nie boi?

Mercedes potrząsnęła głową.

- Śmierć jest wspaniała, dobra, łaskawa. Nie boję się śmierci. Boję się za to ludzi... tego, co mogą ze mną zrobić po mojej śmierci. Właśnie dlatego się zabezpieczam. Nie dostaną mnie, kiedy umrę.

Twarz Saxon wyrażała zdziwienie.

- Przecież nie będzie im pani wtedy potrzebna.

- Potrzebują wielu - brzmiała odpowiedź. - Czy wiesz, co się dzieje ze starymi nędzaczami, którzy nie mają pieniędzy na pogrzeb? Nikt ich nie chowa. Zaraz ci wszystko

wyjaśnię. Staliśmy przed wielkimi drzwiami. Osobliwy był z niego człowiek - profesor, który powinien był być korsarzem, który wykładał w salach uniwersytetu, chociaż powinien był zdobywać warowne twierdze lub rabować banki. Smukły, miał w sobie coś z Don Juana. Ręce miał mocne jak stal i stalowego ducha. Był szalony, trochę szalony, jak wszyscy moi kochankowie. „Chodź, Mercedes - powiedział. - Obejrzymy naszych współbraci i nauczymy się pokory... I będziemy radzi, że nie jesteśmy jak oni, że jeszcze nie jesteśmy jak oni. Potem, wieczorem, z tym większym smakiem zasiądziemy do kolacji i wzniesiemy za nich toast, a barwa złotego wina, które będziemy pili, tym nam się wyda piękniejsza na ich wspomnienie. Chodź, Mercedes”.

Pchnął wielkie drzwi i wprowadził mnie za rękę do środka. Och, co za żałobna kompania! Było ich dwudziestu czterech, niektórzy leżeli na marmurowych płytach, inni, podparci, na pół siedzieli. Gromada młodych ludzi o błyszczących oczach, z małymi błyszczącymi nożykami w rękach, przerwała na chwilę pracę i przyglądała mi się ciekawie.

- To byli... umarli?! - spytała Saxon zduszonym głosem.

- To byli umarli nędzarze, moja droga. „Chodź, Mercedes - powiedział: - Pokażę ci ich więcej. Na ich widok będziesz szczęśliwa, że żyjesz”. Zaprowadził mnie do piwnic, gdzie stały zbiorniki. Zbiorniki z solą, moja droga. Nie bałam się. Ale właśnie wtedy po raz pierwszy uświadomiłam sobie, jak to ze mną będzie, kiedy umrę. No więc leżeli tam, kawały mięsa, w roztworze soli. Przyszło polecenie: „Potrzebna kobieta, stara kobieta”. Człowiek, który tam pracował, zaczął grzebać w zbiorniku. Pierwszego wyłowił mężczyznę. Znowu zaczął grzebać i znowu wyłowił mężczyznę. Zniecierpliwił się i przeklinał, że nie ma szczęścia. Aż wreszcie wyciągnął na powierzchnię kobietę i ucieszył się, bo z twarzy było widać, że jest stara.

- To nieprawda! - wykrzyknęła Saxon.

- Widziałam, moja droga, i wiem. I powiadam ci: nie lękaj się gniewu Boga po śmierci. Lękaj się tylko zbiorników z roztworem soli. Gdy stałam tam i patrzyłam, a ten, który mnie przyprowadził, spoglądał na mnie, uśmiechał się pytająco i urzekał mnie tymi swoimi szalonymi czarnymi, znużonymi oczami uczonego, wiedziałam, że nie jest to odpowiednia droga zejścia z tego świata dla mojego drogiego ciała. Bo też jest ono dla mnie drogie; drogie było dla innych. La, la... zbiorniki z solą nie są miejscem odpowiednim dla mojego ciała, które zaznało tyle miłości. - Mercedes podniosła wieko skrzyni i spojrzała z zadowoleniem na swoją pogrzebową wyprawę. - Dlatego przygotowałam sobie posłanie. Na nim będę leżała. Jakiś filozof powiedział: wiemy, że musimy umrzeć, ale w to nie wierzymy. Ludzie starzy wierzą. Ja wierzę.

Pomyśl więc, moja droga, a zbiornikach z solą i nie gniewaj się na mnie, że policzyłem sobie tak dużą prowizję. Nie cofnąłabym się przed niczym, co by mi pozwoliło uniknąć zbiorników z solą - mogłabym ukraść grosz wdowi, ostatni kęs strawy sierocie, monety z oczu nieboszczyka.

- Czy pani wierzy w Boga? - spytała nagle Saxon, opanowując się mimo uczucia zgrozy.

Mercedes wzruszyła ramionami i zatrasnęła wieko skrzyni.

- Kto wie? Odpoczywać będę dobrze.

- A w karę? - dopytywała się Saxon, przypominając sobie trudną do pojęcia historię życia starej kobiety.

- Nie może być mowy o karze, drogie dziecko. Jakiś dawny poeta powiedział, że Bóg to poczciwe chłopisko. Kiedyś powiem ci o Bogu. Nie bój się go. Bój się tylko zbiorników z solą i tego, co ludzie mogą zrobić po śmierci z twoim ślicznym ciałem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bill kusił los. Zaczął podejrzewać, że żyje zbyt dostatnio w stosunku do zarobków. Gdy brał pod uwagę oszczędności zwiększające się w banku, spłacanie miesięcznych rat za meble, komorne, pieniądze na drobne wydatki i doskonałe jedzenie w domu, żadną miarą nie mógł zrozumieć, jak Saxon starcza pieniędzy na materiały, które zużywa na swoje robótki. Kilkakrotnie napomykał o tym i za każdym razem Saxon zbywała go tajemniczym śmiechem.

- Nie pojmuję, jakim sposobem może ci starczyć na to pieniędzy - powiedział któregoś wieczora.

Chciał jeszcze coś dodać, ale zamknął usta i przez pięć minut siedział ze zmarszczonymi brwiami.

- Słuchaj, Saxon - podjął - co się stało z tym ozdobnym czepeczkiem śniadaniowym, nad którym tak zawzięcie pracowałaś? Nie widziałem, żebyś go nosiła, a dla maleństwa z pewnością byłby za duży.

Saxon zawahała się, usta miała złożone w ciup, w oczach przekorne błyski. Mówienie nieprawdy zawsze szło jej niesporo. Wobec Billa było niemożliwością. Zobaczyła, że pogłębia się chmurne światło w jego oczach, a rysy tężeją w dobrze jej znanym wyrazie, który pojawiał się, gdy Billa coś gniewało.

- Słuchaj, Saxon, ty chyba... chyba nie sprzedajesz swoich haftów i robótek?

Powiedziała mu wszystko, nie pomijając roli, jaką Mercedes Higgins odegrała w transakcjach, ani jej osobliwej pogrzebowej wyprawy. Ale Bill nie dał sobie zamydlić oczu opowiadaniem o Mercedes Higgins. W słowach stanowczych oznajmił Saxon, że nie życzy sobie, by pracowała dla zarobku.

- Bill, kochanie, przecież ja mam tyle wolnego czasu - prosiła.

Potrząsnął głową.

- Wykluczone. Nie chcę o tym nawet słyszeć. Ożeniłem się z tobą i potrafię się tobą zaopiekować. Nikt nie będzie mówił, że żona Billa Robertsa musi pracować. Zresztą mnie samemu taka myśl też nie jest miła. A w ogóle to nie jest potrzebne.

- Kiedy, Bill.

- Nie ma mowy. To jest jedyna rzecz, w której ci nie ustąpię. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie lubię twoich robótek. Lubię je, ale kiedy ty sama je nosisz. Rób dalej, ile chcesz dla siebie, a ja dam ci pieniądze. Przecież, Saxon, ja cały dzień chodzę wesoły i szczęśliwy, bo myślę o chłopcu i o tobie, jak siedzisz w domu i pracujesz nad tymi

wszystkimi ślicznościami. Bo wiem, że je lubisz robić. Ale klnę się Bogiem, Saxon, że wszystko byłoby zmarnowane i zepsute, gdybym wiedział, że pracujesz dla zarobku. Zrozum, żona Billa Robertsa nie musi pracować. Mam już taką ambicję. Zresztą to w ogóle nie byłoby właściwe.

- Jesteś taki kochany - wyszeptała Saxon, szczęśliwa mimo rozczarowania.

- Chcę, żebyś miała wszystko, na co ci przyjdzie ochota - ciągnął. - I będziesz miała, dopóki mi zostaną te moje dwie dłonie do pracy. Widzisz, ja wiem, jakie ładne są te wszystkie rzeczy, które nosisz... nie mówiąc już o tym, że mnie się podobają. Może, zanim cię poznałem, nauczyłem się kilku rzeczy, których nie powinienem się być uczyć. Ale wiem, o czym mówię, i chcę powiedzieć, że jeśli idzie o te rzeczy, co je nosisz pod sukienką... i te, co nosisz pod spodem, i te pod spodem tych pod spodem... że nigdy nie wiedziałem takiej kobiety. Ach, Saxon...

Wyrzucił w górę ręce, jakby zrozpaczony, że nie potrafi wyrazić tego, co czuje i myśli. A potem pokusił się o jeszcze jedną próbę.

- Nie idzie tylko o to, że są takie czyste, chociaż to dużo znaczy. Kobiety najczęściej są czyste. Ale to nie o to idzie. To jest coś innego, coś znacznie więcej. Ich wygląd... są takie białe i ładne, i jakieś apetyczne. Działają na wyobraźnię człowieka. Są czymś, co wiąże się ściśle z moimi myślami o tobie. Wiesz, że niewiele ludzi potrafi naprawdę dbać o bieliznę, ale ty, Saxon... ty jesteś cudowna. Jeżeli o mnie idzie, to nie możesz mieć za dużo tych ślicznych rzeczy i najładniejsze nie mogą być dla ciebie za ładne. A jak już o tym mowa, to ci powiem, że będziesz mogła wydawać wedle chęci. Wystarczy sięgnąć ręką, żeby mieć pieniądze. Jestem w doskonałej kondycji. Nie dawniej jak w zeszłym tygodniu Bill Murphy położył na deski mistrza Wybrzeża Północnego i zarobił siedemdziesiąt pięć dolarów żywą gotówką. Dlatego mógł nam spłacić te pięćdziesiąt dolarów.

Ale tym razem Saxon się zbuntowała.

- Jest taki bokser Carl Hansen - usiłował ją przekonać Bill. - W gazetach sportowych nazywają go drugim Sharkeyem. A on sam nazywa siebie mistrzem floty Stanów Zjednoczonych. No, więc cóż... poznałem się na nim. Nadęty balon. Widziałem go na ringu i wiem, że mogę go rozłożyć bez trudu. Sekretarz sportowego klubu związkowego zaproponował, że mnie wystawi przeciw niemu. Nagroda dla zwycięzcy sto dolarów, które będziesz mogła wydać, na co będziesz chciała... Co mówisz?

- Jeżeli ja nie mogę pracować dla zarobku, ty nie możesz walczyć - brzmiało ultimatum Saxon, które zaraz jednak cofnęła. - Ale my przecież nie będziemy się targowali. Nawet gdybyś mi pozwolił zarabiać, ja bym ci nie pozwoliła walczyć. Nie zapomnę nigdy

tego, co mi mówiłeś o zawodowych bokserach... o tym, jak tracą zdrowie. Ty swojego nie będziesz tracił w ten sposób. Pamiętaj, że ono jest w połowie moje. A jeżeli ty nie będziesz walczył, ja nie będę pracowała. Co więcej, Bill, nigdy nie będę robiła czegoś, czego ty sobie nie życzysz.

- To samo ja - zgodził się Bill. - A swoją drogą aż mnie ręka świerzbi, żeby chociaż raz trzepnąć tego durnia Hansena. - Uśmiechnął się błogo na myśl o tym. - Ale dajmy temu spokój. Zaśpiewaj mi „Gdy skończą się żniwa” i zagraj na tym swoim brązowym dziwołagu. Gdy odśpiewała pieśń do akompaniamentu *ukulele*, poprosiła, żeby on z kolei zaśpiewał swój żaloszny „Lament kowboja”. Tylko cud wielkiej miłości mógł sprawić, że polubiła ten jedyny wyczyn wokalny swego męża. Ponieważ to Bill śpiewał, Saxon podobała się nawet monotonia i banalność pieśni. Najbardziej ze wszystkiego zachwyciły ją beznadziejne i czarujące fałszy na każdej niemal nucie. Nauczyła się śpiewać wraz z nim, fałszując precyzyjnie i ślicznie te same tony. Nie podważała też jego niezachwianej wiary w siebie.

- Myślę, że Bert i ci wszyscy inni tylko mi dokuczali - powiedział Bill.

- Nam we dwójkę śpiewa się doskonale - przyznała Saxon, gdyż w tego rodzaju sprawach nie wahała się przed nieprawdą. Była już wiosna, kiedy w warsztatach kolejowych wybuchł strajk. W niedzielę poprzedzającą jego ogłoszenie Saxon i Bill zostali zaproszeni na obiad do Mary i Berta. Przyszedł też brat Saxon, Tom, ale sam, bo nie udało mu się oderwać Sary od zajęć gospodarskich. Bert był w nastroju skrajnie pesymistycznym i śpiewał z szyderczą wesołością:

*Któż dzisiaj lubi milionera!
Zaprawdę istna to szarańcza,
Co grosz za groszem w kieszeń zbiera
Jak pierwszy lepszy drab czy kanciarz!
Oszczędność - zbrodnią, mówiąc szczerze,
Więc wydaj wszystko co do grosza!
Żyjemy w takiej śmiesznej erze,
Gdy pieniądz wrzuca się do kosza!*

Mary przygotowywała obiad, w sposób aż nadto widoczny demonstrując oznaki buntu. Saxon zawinęła rękawy, włożyła fartuch i zabrała się do zmywania naczyń po śniadaniu. Bert przyniósł dzbanek dymiącego piwa z baru na rogu i trzej mężczyźni rozpoczęli rozmowę o nadchodzącym strajku.

- Powinien był wybuchnąć przed laty - oznajmił Bert. - Im prędzej teraz się zaczniesz, tym lepiej, ale i tak jest za późno. Przegraliśmy z kretesem. Ostatni mohikanie dostali mocno po karku.

- Och, nie powiedziałbym tego - wygłosił swoją opinię Tom, który dotąd w milczeniu i poważnie palił fajkę. - Organizacje robotnicze z każdym dniem przybierają na sile. Pamiętam przecież czasy, kiedy w całej Kalifornii nie było ani jednego związku. Pomyślcie, mamy teraz unormowane płace, czas pracy i tak dalej.

- Mówisz jak działacz związkowy - szydził Bert - częstujący bzdurami gromadę durniów. Ale my wiemy, że jest inaczej. Płace zdobyte dla robotników przez związki nie kupią teraz tyle, ile kupowały płace nie zorganizowanych robotników. Jesteśmy bici na wszystkich frontach. Spójrzcie, co się dzieje w San Francisco. Przywódcy związków prowadzą brudniejszą politykę niż jakiegokolwiek dawne stronnictwa, pazurami rozdrapują między sobą publiczne pieniądze i idą do więzienia, a tymczasem... co dzieje się tymczasem z cieślami w San Francisco? Powiem ci jedno, Tom. Jeżeli będziesz słuchał tego, co dokoła ciebie mówią, dowiesz się, że każdy cieśla w San Francisco należy do związku i dostaje pełne płace ustalone przez umowę zbiorową. Wierzysz temu? Przecież to czyste kłamstwo! Nie znajdziesz w całym San Francisco ani jednego cieśli, który w sobotę wieczór po wypłacie nie oddaje z powrotem części swojego zarobku przedsiębiorcy, który go zatrudnia. Tak wyglądają z bliska związki zawodowe cieśli, których przywódcy jeżdżą sobie do Europy za ciężko zapracowane pieniądze robotników... jeżeli nie oddają tych pieniędzy adwokatom za to, żeby im zmienili więzienne pasiaki na zwykłe ubrania.

- To wszystko prawda - przyznał Tom. - Nikt temu nie przeczy. Cały kłopot w tym, że robotnicy mają oczy jeszcze niezupełnie otwarte. Powinni się zajmować polityką, ale musi to być polityka właściwa.

- Czyli socjalizm, co? - zaatakował go Bert zjadliwie. - A czy socjaliści nie sprzedadzą nas znowu, jak to już raz zrobili Ruefowie i Schmitzowie⁵.

- Znaleźć uczciwych ludzi - wtrącił Bill. - W tym cała rzecz. Nie chcę przez to powiedzieć, że jestem za socjalizmem, bo nie jestem. Wszyscy pochodzimy z rodzin nie wiem od jak dawna osiadłych w Ameryce i jeśli o mnie chodzi, nie pozwolę, żeby mi banda grubych Niemców i brudnych rosyjskich Żydów, którzy nie potrafią jeszcze mówić przyzwoicie po angielsku, dyktowała, jak mam rządzić moim własnym krajem.

- Twoim własnym krajem! - zawołał Bert. - Przecież ty, głupcze, nie masz żadnego

⁵ Abe Ruef - aferzysta i macher polityczny, który w roku 1903 przeforsował na stanowisko burmistrza San Francisco Eugene Schmitza. Uprawiając niesłychaną korupcję zyskał ogromne wpływy na zarząd miastem

własnego kraju. To są bajki, którymi cię częstują macherzy polityczni, kiedy chcą ci jeszcze raz wsadzić łapę do kieszeni!

- Bo też nie trzeba głosować na macherów politycznych - obstawał przy swoim Bill. - Gdybyśmy wybierali uczciwych ludzi, bylibyśmy uczciwie traktowani.

- Chciałbym, Bill, żebyś przyszedł na któryś z naszych wieców - powiedział Tom niemal tęsknie. - Zaraz by ci się oczy otworzyły i przy następnych wyborach głosowałbyś na socjalistów.

- Tego się po mnie nie spodziewaj - odparł Bill. - Nie zobaczysz mnie na socjalistycznym wiecu, dopóki twoi socjaliści nie nauczą się mówić jak ludzie.

Bert zanucił:

*Żyjemy w takiej śmiesznej erze,
Gdy pieniądz wrzuca się do kosza!*

Mary nazbyt była rozgniewana na męża za jego wojownicze wypowiedzi i poparcie dla zbliżającego się strajku, żeby prowadzić rozmowę z przyjaciółką. Wobec tego Saxon przysłuchiwała się, zadumana, sprzecznym opiniom mężczyzn.

- Więc do czego właściwie zmierzamy? - spytała z wesołością, pod którą ukrywał się niepokój.

- Do niczego - warknął Bert. - Już jest po nas.

- Ale przecież mięso i olej znowu poszły w górę - ciągnęła - a zarobki Billa zmalały. Robotnikom w zakładach kolejowych obcięli zarobki w zeszłym roku. Trzeba znaleźć jakąś radę.

- Jedyne rady to walczyć. Walczyć jak wszyscy diabli i zginąć w walce. To wszystko. Przegraliśmy, ale na zakończenie możemy sobie zrobić trochę przyjemności własnym kosztem.

- Tak nie wolno mówić - obruszył się Tom.

- Czas na mówienie już się skończył, bracie. Przyszedł czas walki.

- Dużo zwojujesz przeciwko żołnierzom i karabinom maszynowym! - rzucił gniewnie Bill.

- Och, kto mówi o takiej walce. Są inne sposoby... takie, jak proszek...

- Ach, to tak! - wybuchnęła Mary, podparłszy się rękami pod boki. - Teraz już wiem, co znaczy ten proszek w twojej kieszeni!

Bert nie zwrócił na nią uwagi. Tom milczał paląc z zafrasowaną miną. Bill był

wyraźnie dotknięty. Zdradzał to wyraz jego twarzy. - Nie zrobiłeś chyba tego, Bert? - spytał. Ze sposobu, w jaki zadał to pytanie, wynikało wyraźnie, że się spodziewa odpowiedzi przeczącej.

- Jeśli chcesz wiedzieć, owszem, zrobiłem. Zanim mnie samego diabli wezmą, chciałbym ich wszystkich zobaczyć w piekle.

- Przecież to jest krwawy anarchista! - skarżyła się Mary. - Tacy jak on zabili McKinleya i Garfelda i... i... wszystkich innych. Powiesz go. Przekonacie się. Wspomnicie moje słowa. Jedno tylko szczęście w nieszczęściu, że nie ma dziecka w drodze.

- To ta wiosna w powietrzu tak go rozzuchwała - pocieszał ją Bill.

- Dokucza ci tylko żartem - powiedziała Saxon uspokajająco. - Wiesz, jaki zawsze był z niego kawalarz.

Ale Mary potrząsnęła głową.

- Kiedy ja wiem. Słyszę, jak mówi przez sen. Strasznie przeklina i zgrzyta zębami. Posłuchajcie go teraz.

Bert postawił krzesło pod ścianę, usiadł i śpiewał. Na jego urodziwej twarzy malowała się gorycz i śmiałość desperata.

Któż dzisiaj lubi milionera!

Zaprawdę istna to szarańcza,

Co grosz za groszem w kieszeń zbiera

jak pierwszy lepszy drab czy kanciarz!

Tom powiedział coś o rozsądku i sprawiedliwości, a wtedy Bert przerwał śpiew i wpadł mu w słowa:

- Sprawiedliwość? To jeszcze jedna bujda. Dowiodę wam, jaką to sprawiedliwość otrzymują robotnicy. Pamiętacie - był taki Forbes. J. Alliston Forbes, który doprowadził do bankructwa Kalifornijskie Towarzystwo Kredytowe i buchnął dwa okrągłe miliony. Widziałem go wczoraj, tylko mi mignął przed nosem w wielkim samochodzie. Ile dostał? Osiem lat: Ile siedział w więzieniu? Niecałe dwa. Zwolniono go z uwagi na zły stan zdrowia. My zdążymy zgnieć w ziemi, zanim on wyciągnie nogi. A teraz wyjrzyjcie przez okno. Widzicie tyły tego domu z połamaną poręczą na ganku? Mieszka tam pani Danaker. Przyjmuje bieliznę do prania. Jej mąż został zabity na kolei. Ani centa z tytułu odszkodowania współdziałał w odpowiedzialności za zaniedbanie w pracy czy tym podobne dyrdymałki. Taki wyrok usłyszała w sądzie. Jej syn, Archie, miał szesnaście lat. Całe dnie

spędzał na, ulicy, zrobił się z niego regularny ulicznik. Któregoś dnia pojechał sobie do Fresno i oskubał jakiegoś pijaka. Chcecie pewnie wiedzieć, ile mu zabrał? Dwa dolary osiemdziesiąt centów. Rozumiecie? Dwa osiemdziesiąt. Ale ile dostał od sędziego w prezencie? Pięćdziesiąt lat. Odsiedział już w San Quentin osiem. I będzie siedział, dopóki nie zdechnie. Pani Danker powiada, że kiepsko z nim, bo dostał suchot - nabawił się ich w więzieniu, ale ona nie ma stosunków, więc nie może mu wyrobić darowania kary. Mały Archie kradnie pijakowi dwa osiemdziesiąt i dostaje za to pięćdziesiąt lat więzienia. J. Alliston Forbes okrada Towarzystwo Kredytowe na dwa miliony i wychodzi z więzienia po niecałych dwóch latach. Czyj jest ten kraj? Twój, Bill, i małego Archie? Zastanów się. Czy może J. Allistona Forbesa? Och!

Któż dzisiaj lubi milionera!

Zaprawdę istna to szarańcza,

Co grosz za groszem w kieszeń zbiera

Jak pierwszy lepszy drab czy kanciarz!

Mary podeszła do Saxon, która skończyła właśnie zmywać przy zlewie ostatni talerz, i odwiązawszy jej fartuch, pocałowała ją z czułością i zrozumieniem, jakie tylko kobieta odczuwa dla drugiej kobiety w obliczu zbliżającego się macierzyństwa.

- Teraz usiądziesz, kochanie. Nie wolno a się przemęczać, a do końca dnia jeszcze daleko. Przyniosę ci twoje szycie, możesz przysłuchiwać się rozmowie mężczyzn. Tylko nie zwracaj uwagi na to, co mówi Bert, bo on jest obłąkany.

Saxon szyjąc śledziła rozmowę mężczyzn. Nagle twarz Berta zasepiła się i stężała, gdy jego oczy napotkały niemowlęce ubranka na jej kolanach.

- No właśnie! - wybuchnął. - Srowadzacie dzieci na świat, chociaż nie macie żadnej pewności, czy będziecie mieli czym je karmić!

- Musiałeś chyba wczoraj wieczorem za dużo wypić - uśmiechnął się Tom.

Bert potrząsnął głową.

- Po co te złe humory, Bert? - starał się go Bill rozpogodzić. - Ten nasz kraj nie jest wcale taki najgorszy.

- Był dobry - odparł Bert - kiedy wszyscy byliśmy mohikanami. Ale teraz nie jest. Teraz jesteśmy wszyscy skończeni. Jesteśmy przegrani. Jesteśmy wystawieni do wiatru, oszukani. Moi przodkowie walczyli za ten kraj. Wasi też walczyli. Uwolniliśmy Murzynów, wybiliśmy Indian, przymieraliśmy głodem, marzli na mrozie, mordowali się w upale.

Walczyliśmy. Kochaliśmy ten kraj. Wykarczowaliśmy go, uprawialiśmy ziemię, założyliśmy miasta, wybudowali drogi. I dla wszystkich wszystkiego było pod dostatkiem. Nie przestawaliśmy walczyć o ten nasz kraj. Moi dwaj wujkowie zginęli pod Gettysburgiem. Wszyscy nasi ojcowie brali udział w tej wojnie. A słyszeliście od Saxon, przez jakie piekło przeszła jej rodzina, żeby się tu dostać, żeby zdobyć ranczo i konie, i bydło, i wszystko inne. I zdobyli to, co im było potrzebne do życia. Wszyscy nasi ojcowie to zdobyli. Mary też...

- A gdyby byli mądrzy, nigdy by tego nie stracili - wtrąciła Mary.

- Ma się rozumieć - przyznał Bert. - O to właśnie idzie. Przegraliśmy. Zostaliśmy okradzeni. Nie umieliśmy znaczyć kart ani rozdawać ich spod spodu, ani trzymać w rękawach, jak to robili inni. Jesteśmy biali ludzie, którym się nie powiodło. Widzicie, czasy się zmieniły, a było nas dwa rodzaje ludzi - lwy i szkapy. Szkapy tylko pracowały, a lwy tylko żarły. Pożarły farmy, kopalnie, fabryki, a teraz chwyciły nawet rząd w swoje pazury. Jesteśmy białymi ludźmi, dziećmi białych ludzi, którym uczciwe postępowanie przysparzało za dużo roboty, żeby jeszcze mieli czas na spryt. Jesteśmy białymi ludźmi, którzy przegrali. Złupiono nas do skóry. Rozumiecie?

- Byłby z ciebie dobry agitator wiecowy - zauważył Tom - gdybyś tylko nie płatał tak sprawy i prościej rozumował.

- To wszystko wydaje się słuszne - wtrącił Bill - ale nie jest. Dzisiaj każdy może się wzbogacić...

- Albo zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych - warknął Bert. - A jakże... byleby tylko miał na to w sobie zadatki. Tylko że nie widzę, żebyś ty na przykład kroił na milionera czy prezydenta. Dlaczego? Bo nie masz na to w sobie zadatków. Jesteś ciamajda. Szkapa, a nie lew. Dlatego! Na śmietnik z tobą! Na śmietnik z nami wszystkimi.

Gdy siedzieli przy stole, Tom opowiadał im o radościach życia na wsi, które znał z dzieciństwa i wczesnej młodości. Wyznał, że od dawna marzy o tym, żeby wziąć ziemię od rządu i gospodarować gdzieś na wsi, jak to robili jego przodkowie. Ale niestety, wyjaśnił, Sara nie chce o tym nawet słyszeć, więc marzenie pozostanie marzeniem.

- Na tym polega gra - westchnął Bill. - Rozgrywana jest według prawideł. Ktoś zawsze musi być bity.

Nieco później, gdy Bert rozpoczął następną z kolei perorę, Bill uświadomił sobie, że przeprowadza porównania. Ten dom różnił się od jego domu. Panowała tu inna atmosfera, życie zdawało się być pełne zgrzytów. Przypomniał sobie, że gdy przyszli, naczynia po śniadaniu nie były jeszcze zmyte. Z typowym u mężczyzn brakiem zmysłu spostrzegawczego w sprawach gospodarskich nie zauważył szczegółów; ale w tysiąc najrozmaitszych sposobów

narzucało mu się przez cały ranek, że Mary nie jest tej miary gospodynią, co Saxon. Spojrzał na żonę i poczuł nagłą pokusę, aby wstać; obejść stół i pocałować ją z miłością. Wspaniała żona!

- Słuchaj, Bill - ciągnął Bert. - Uważasz mnie za strasznego zgorzknialca. Masz rację. Ale ty nie przeszedłeś przez to, co ja przeszedłem. Pracowałeś zawsze jako woźnica i zarabiałeś furę pieniędzy na ringu. Nie wiesz, co to ciężkie czasy. Nie brałeś nigdy udziału w strajkach. Nie miałeś na utrzymaniu starej matki i nie musiałeś z jej powodu znosić cierpliwie, kiedy ci pluli w pysk. Dopiero po jej śmierci mogłem robić, co mi się podoba, i brać albo rzucać pracę.

Weźcie na przykład ten raz, kiedy się starałem o pracę konduktora w tramwajach towarzystwa Niles. Zobaczycie, jak wół roboczy dostaje po skórze. Przyjęła mnie największa ich szyszka. Obejrzał mnie od stóp do głów, wypompał pytaniami i dał formularz do wypełnienia. Wypełniłem formularz i zapłaciłem dolara za doktora, od którego kazali mi przynieść świadectwo zdrowia. Potem musiałem pójść do fotografa i zrobić zdjęcie fizjonomii - do galerii przestępców towarzystwa Niles. Poleciał mi na to drugi dolar. W biurze szef bierze ode mnie formularz, świadectwo zdrowia i fotografie i dalej łupi mnie pytaniami. Czy byłem kiedy członkiem związku zawodowego? Ja? Powiedziałem mu naturalnie, że nigdy w życiu. No cóż, zależało mi na tej pracy jak wszyscy diabli. Sklepikarz nie chciał mi już dawać więcej na kredyt, a w domu była matka.

Ha, myślę sobie, teraz już nie jest ze mnie prawdziwy konduktor. Wezmę pracę na tylnej platformie, gdzie najłatwiej mogę poznać jakąś ślicznotkę. Nic z tego! Płacisz pan dwa dolary. - Ja ja muszę im dawać dwa dolary. I za co? Za cynowy konduktorski znaczek. A potem jeszcze umundurowanie - dziewiętnaście dolarów i pięćdziesiąt centów, tylko że wszędzie indziej zapłaciłbym piętnaście dolarów. Mieli mi to potrącić z pierwszych miesięcznych zarobków. Poza tym musiałem jeszcze mieć pięć dolarów drobnymi w kieszeni, z moich własnych pieniędzy. Taki był przepis. Pożyczyłem tego piąta od Toma Donovana, policjanta. I co dalej? Przez dwa tygodnie kazali mi pracować za darmo, przyuczali mnie do zawodu.

- No o poznałeś jakąś ślicznotkę? - spytała Saxon żartobliwie.

Bert ponuro potrząsnął głową.

- Pracowałem tylko miesiąc. Potem zorganizowaliśmy się, ale oni rozpędzili nasz związek na cztery wiatry.

- W taki sam sposób rozpędzą was, wszystkich durniów z warsztatów, jeżeli rozpoczniecie strajk - oznajmiła Mary.

- Właśnie to wam cały czas tłumaczę - Powiedział Bert. - Nie mamy żadnych widoków na wygraną.

- To po co strajkować? - spytała Saxon.

Wpatrywał się w nią przez chwilę zmatowiałymi oczami. potem odpowiedział:

- A po co moi dwaj wujowie zginęli pod Gettysburgiem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Saxon krzątała się teraz przy swoim gospodarstwie mocno zatroskana. Nie wypełniała już wolnego czasu szyciem pięknych stroików. Za materiał trzeba było płacić, a ona nie śmiała wydawać pieniędzy. Strzała Berta ugodziła w bolące miejsce. Niczym ułamek stali tkwiła w jej świadomości, jątrząc i wciąż przypominając o sobie. Ona wraz z Billem byli odpowiedzialni za tę młodą istotkę. Czy mogą mieć pewność, że zdołają ją wyżywić, ubrać i przygotować do życia? Czy istnieją takie gwarancje? Pamiętała jak przez mgłę ciężkie czasy w przeszłości; odtworzone w pamięci skargi ojców i matek nabierały teraz nowego znaczenia. Mogła niemal zrozumieć wieczne utyskiwania Sary.

Ciężkie czasy rozpanoszyły się już w sąsiedztwie, gdzie mieszkali robotnicy, którzy w warsztatach kolejowych ogłosili strajk. Chodząc codziennie na zakupy Saxon wyczuwała wśród sklepikarzy przygnębienie. Zniknęła nagle wesołość i pogoda. Zapanował niepodzielnie nastrój posępny i chmurny. Posępne były twarze matek, których dzieci bawiły się na ulicy. Wieczorem gawędziły jak zwykle ponad furtkami lub na gankach domów, ale mówiły głosami przyciszonymi i śmiały się rzadko.

Mary Donahue, która brała zawsze od mleczarza trzy kwaterki mleka, teraz zamawiała tylko jedną. Skończyły się rodzinne wyprawy do kina. Okrawki mięsa u rzeźnika natychmiast były rozchwytywane. Nora Delaney, z trzeciego domu na tej samej ulicy, nie kupowała już w piątki świeżej ryby. Pojawił się teraz na jej stole solony sztokfisz, i to nie w najlepszym gatunku. Pulchne dzieci, które między posiłkami wybiegały na ulicę trzymając w rękach grube pajdy chleba z masłem i cukrem, teraz musiały się zadowolić cieńszymi kromkami cienko posmarowanymi masłem i bez cukru. Sam zwyczaj szedł powoli w zapomnienie i Saxon wiedziała, że niektóre dzieci nie dostają już chleba między posiłkami.

Na każdym kroku dawały się zauważyć oznaki skąpienia i zaciskania pasa, ograniczanie i zmniejszanie wydatków. Na każdym też kroku spotykało się objawy irytacji. Kobiety łatwiej niż dotąd wpadały w gniew, zarówno na siebie wzajem, jak i na dzieci. Saxon wiedziała, że Bert i Mary bezustannie się kłócą.

- Gdyby Mary tylko chciała zrozumieć, że mam po uszy własnych kłopotów - skarżył jej się Bert.

Przyjrzała mu się uważnie i niejasny lęk o niego zmroził jej serce. W czarnych oczach tlił się nie gasnący ogień szaleństwa. Śniada twarz była chudsza, rysy wyostrzone. Nieznaczny grymas, który wykrzywił mu wargi, stężał teraz w wyrazie rozgoryczenia.

Nawet ruchy i sposób, to jaki nosił kapelusz, mówiły o jego nowym i na nic niebacznym zuchwalstwie.

Gdy złożywszy beczynnie ręce na kolanach siadywała przez długie popołudnia w fotelu przy oknie, odtwarzała niekiedy w wyobraźni wielką wędrówkę swoich przodków przez prerie, góry i pustynie ku ziemiom leżącym nad zachodnim morzem. I często śniła na jawie o tych sielskich dniach, kiedy ludzie nie zamieszkiwali miast, kiedy nie musieli się borykać ani ze związkami zawodowymi, ani z organizacjami pracodawców. Pamiętała jeszcze opowieści starych ludzi o ich samowystarczalności, o tym, jak hodowali bydło lub polowali na zwierzynę, jak uprawiali warzywa, byli sami kowalami i stolarzami, sami szyli sobie obuwie, jak przędli nici i tkali samodziały na odzież. Przypomniła też sobie tęskny wyraz twarzy Toma, gdy wyjawiał im swoje marzenie o wzięciu ziemi od rządu i założeniu gospodarstwa.

Wspaniałe musi być życie farmera, mówiła sobie Saxon w duchu. Dlaczego ludzie muszą mieszkać w miastach? Dlaczego czasy się zmieniały? Jeżeli dawniej wszyscy mieli wszystkiego pod dostatkiem - dlaczego teraz nie starcza dla tak wielu? Czy to naprawdę konieczne, żeby się ludzie kłócili, ubliżali sobie, ogłaszali strajki i walczyli o pracę? Dlaczego nie ma dość pracy dla wszystkich? Załedwie tego ranka... wzdygnęła się na samo wspomnienie... Załedwie tego ranka widziała, jak pobito dwóch łamistrajków idących do pracy... Pobili ich strajkujący, ludzie, których znała z widzenia, a kilku nawet osobiście, mieszkający w jej bliskim sąsiedztwie. Zdarzyło się to naprzeciwko jej okien, po drugiej stronie ulicy. Było straszne, okrutne... kilkunastu ludzi zaatakowało dwóch! Zaczęły dzieci. Ciskały w łamistrajków kamieniami i obrzuciły ich stekiem wyzwisk, jakie dzieciom nie powinny być znane. Przybiegli na pomoc policjanci z rewolwerami w rękach i strajkujący wycofali się do domów albo uciekli przez wąskie przejścia między domami. Jeden z łamistrajków stracił przytomność i zabrany został ambulansem do szpitala; drugi odszedł do warsztatów pod ochroną specjalnej straży kolejowej. I na tego Mary Donahue, stojąca z dzieckiem w ramionach na stopniach swego domu rzuciła przekleństwo tak plugawe, że policzki Saxon zapłonęły rumieńcem wstydu. Właśnie walka rozgorzała na dobre, gdy Saxon zauważyła na schodach sąsiedniego domu osobliwie uśmiechniętą Mercedes. Nozdrza starej kobiety były rozszerzone, przyglądała się zajściu niemal łapczywie. Uderzyło Saxon, że twarz Mercedes nie wyrażała niepokoju, tylko ciekawość.

I u niej, która posiadała tak wielką wiedzę w sprawach miłości, Saxon szukała wyjaśnienia tego, co dzieje się na świecie. Ale wiedza starej kobiety o sprawach przemysłowych i ekonomicznych była pełna tajemniczych niedomówień i dla Saxon nie do

przyjęcia.

- La, la, moja droga, przecież to takie proste. Większość ludzi to głupcy z urodzenia. Ci zostają niewolnikami. Tylko nieliczni rodzą się mądrzy. I ci zostają panami. Myślę, że Bóg stworzył ludzi w taki sposób.

- To wobec tego jak połączyć Boga z tym strasznym biciem po drugiej stronie ulicy?

- Obawiam się, że go to zupełnie nie interesowało - odparła Mercedes z uśmiechem. - Wątpię, czy w ogóle wie o tym.

- Tak się bałam, że o mało nie umarłam ze strachu - oznajmiła Saxon. - Ale pani... widziałam panią... pani patrzyła tak spokojnie, jakby to było przedstawienie.

- A bo też to było przedstawienie, moja droga.

- Jak pani może tak mówić!

- La, la, widziałam już, jak się ludzie zabijają. Nie ma w tym nic niezwykłego. Wszyscy muszą umrzeć. Głupcy umierają jak woły, nie wiedząc dlaczego. Grzmocą się pięściami czy kijami i rozbijają sobie czaszki. To pospolite. Tacy ludzie są jak zwierzęta. Jak psy walczące o kości. Bo widzisz, praca jest tym dla ludzi, czym dla psów są kości. Gdyby natomiast walczyli o kobietę albo o ideę, albo o sztaby złota czy brylanty bajecznej wartości... Och, to byłoby cudowne. Ale nie. Oni są tylko głodni i walczą o nędzne żarcie.

- Och, gdybym mogła to wszystko zrozumieć - jęknęła Saxon zaciskając dłonie. Niemożność zrozumienia tych spraw była dla niej udręką, a pragnienie objęcia ich umysłem stało się żywiołowe.

- Tu nie ma nic do rozumienia. Cała sprawa jest jasna jak słońce. Na świecie zawsze byli głupcy i ludzie mądrzy, niewolnicy i panowie, wieśniacy i książęta. I zawsze będą.

- Ale dlaczego?

- Moja droga! Dlaczego wieśniak jest wieśniakiem? Dlaczego mucha jest muchą?

Saxon gniewnie potrząsnęła głową.

- Moje dziecko, odpowiedziałam ci na twoje pytanie. Żadna filozofa świata nie znajdzie lepszej odpowiedzi. Dlaczego wolisz mieć za męża twojego Billa niż jakiegokolwiek innego mężczyznę? Bo ci się podoba taki, jaki jest. To wszystko. Dlaczego ci się podoba? Bo ci się podoba. Dlaczego ogień pali, a mróz szczypie? Dlaczego są na świecie mądrzy ludzie i głupi ludzie? Panowie i niewolnicy? Pracodawcy i robotnicy? Dlaczego czarne jest czarne? Odpowiedz na to, a będziesz miała odpowiedź na wszystko.

- Ale to nie jest w porządku, żeby ludzie byli głodni i nie mieli pracy, kiedy chcą pracować i żądają tylko, żeby postępowano wobec nich uczciwie - upierała się Saxon.

- To jest w porządku, moja droga... tak jak jest w porządku, że kamień nie chce się

palić jak drzewo, że piasek morski nie jest cukrem, że kolce kołają, że woda jest mokra, że dym wzbija się w powietrze, że rzeczy spadają na dół, a nie do góry.

Ale takie teorie rzeczywistości nie zrobiły na Saxon żadnego wrażenia. Nie mogła ich zrozumieć. Wydawały się jej czystą bzdurą.

- W takim razie nie mamy ani wolności, ani niezawisłości! - zawołała namiętnie. - Jeden człowiek nie jest tak dobry jak drugi! Moje dziecko będzie miało mniejsze prawo do życia niż dziecko bogatej matki!

- Oczywiście - przytaknęła Mercedes.

- A przecież moi przodkowie walczyli o to wszystko - dowodziła Saxon wspominając szablę ojca i szkolne lekcje historii.

- Demokracja - mrzonka ludzi głupich. La, la, moja droga, demokracja jest kłamstwem, jest mamidłem służącym do tego, żeby utrzymać pracujące społeczeństwo w zadowoleniu, tak jak dawniej utrzymywała je religia. Kiedy jęczeli w jarzmie nędzy i ciężkiego znoju, do pozostawania w tym jarzmie namawiały ich piękne bajeczki o krainie niebieskiej, gdzie czeka ich życie wspaniałe i bogate, podczas gdy mądrzy będą smażyli się na wiecznym ogniu. Ach, jak ci mądrzy musieli się śmiać w kułak! A kiedy to kłamstwo straciło już swoją moc i wyśniony został sen o demokracji, mądrzy dopilnowali, żeby to był naprawdę tylko sen, nic więcej tylko sen. Świat należy do wielkich i mądrych.

- Pani należy przecież do klasy robotniczej - zaatakowała ją Saxon.

Stara kobieta wyprostowała się, bliska gniewu.

- Ja? Ja należę do klasy robotniczej? Dlatego, że źle zainwestowałam pieniądze, dlatego, że jestem stara i nie mogę już zdobywać dzielnych młodych mężczyzn, dlatego, że przeżyłam mężczyzn mojej młodości i nie mam do kogo pójść, dlatego, że mieszkam w tej dzielnicy z Barrym Higginsem i przygotowuję się na śmierć? Ależ, dziecko drogie, urodziłam się między panami i przez całe życie szłam po karkach głupców. Piłam drogie wina i uczestniczyłam w biesiadach, za które można by utrzymać całe nasze sąsiedztwo do końca życia. Razem z Dickiem Goldenem w ciągu tygodnia przegrałam w Monte Carlo czterysta tysięcy franków. Pieniądze należały do Dicka, ale mogłam mieć je wszystkie. Dick był Żydem, ale umiał wydawać pieniądze. W Indiach nosiłam klejnoty, za które można było uratować życie dziesięciu tysięcy rodzin umierających przed moimi oczami...

- Pani widziała, jak umierali?... I nic pani nie zrobiła? - spytała Saxon w osłupieniu.

- Zachowałam klejnoty... La, la, po to tylko, żeby mi je w rok później ukradł pewien łajdak, rosyjski oficer.

- Pozwoliła im pani umrzeć...

- Czymże oni byli? Bezwartościowym przychówkiem. Mnożą się jak chrabąszcze. Byli niczym, moja droga, niczym, absolutnie niczym. Znaczyli nie więcej, niż znaczy wasza klasa robotnicza w tym kraju, która chyba dla ukoronowania własnej głupoty młodzi wciąż coraz więcej głupiego przychówku - po to tylko, żeby go oddać panom w niewolę.

Tak więc Saxon usłyszała niewiele rozsądnych wyjaśnień od swego bliskiego otoczenia, ale od przerażającej starej kobiety nie otrzymała ich ani na lekarstwo. Zresztą nie bardzo mogła uwierzyć w historie, które wydawały jej się bajkami zmyślonymi przez Mercedes.

Mijały tygodnie i walka strajkowa w warsztatach kolejowych przybierała na sile i zajadłości. Bill potrząsał głową i przyznawał, że w żaden sposób nie może się połapać w trudnościach, w jakie stacza się klasa robotnicza.

- Nie mogę tego zrozumieć - powiedział Saxon. - Wszystko się pomieszało. Jest teraz tak, jakby ktoś wywołał bójkę w pokoju i zgasił światło. Weź na przykład nas, woźniców. Już zaczyna się między nami mówić o strajku solidarności z robotnikami fabrycznymi. Strajkują od tygodnia, większość ich miejsc już jest obsadzona przez łamistrajków, a jeżeli my, woźnice, będziemy dostarczali do fabryk surowce, przegramy strajk.

- A przecież kiedy wam obcięto płace, nawet nie próbowaliście strajkować - rzekła Saxon marszcząc czoło w namyśle.

- Och, wtedy nie mogliśmy w żaden sposób. Ale teraz pewnie otrzymalibyśmy poparcie od woźniców z San Francisco i może nawet od Związku Robotników Portowych. Zresztą zaczyna się dopiero o tym u nas mówić. Ale gdybyśmy ogłosili strajk, żądalibyśmy cofnięcia tamtej dziesięcioprocentowej obniżki.

- To jest ta cała przeklęta polityka - powiedział innym razem. - Wszyscy są przekupni. Gdybyśmy tylko wreszcie zmądrzeli i wybrali uczciwych ludzi...

- Ale jak możesz się spodziewać, że wszyscy będą jednego zdania, kiedy nawet między tobą, Bertem i Tomem nie ma zgody? - spytała Saxon.

- Poddaję się - przyznał. - Od samego myślenia o tym człowiek może zwariować. A przecież sprawa jest prosta jak drut. Wziąć uczciwych ludzi do polityki, a zaraz wszystko pójdzie jak należy. Uczciwi ludzie uchwaliliby uczciwe prawa i wtedy każdy uczciwy człowiek otrzymałby, co mu się należy. Ale Bert chciałby wszystko zburzyć i zrujnować, a znów Tom pali swoją fajkę i marzy o przyszłości, kiedy wszyscy będą głosowali po jego myśli. Tylko że to nie idzie o tę przyszłość. My chcemy zmiany teraz. Tom powiada, że teraz na zmianę jest za wcześnie, a Bert - że zmiany nigdy nie będzie. Co biedny człowiek ma robić, kiedy ile ludzi, tyle zdań. Weź choćby samych socjalistów. Wciąż się tylko kłóca, robią

rozłąmy i wyrzucają się nawzajem z partii. Wszystko to jeden dom wariatów i od samego myślenia ćmi mi się w głowie... Sprawa, o której ani na chwilę nie mogę zapomnieć, to że my teraz chcemy zmiany.

Urwał natychmiast i spojrzał na Saxon.

- Co ci? - spytał głosem ochryplym z niepokoju. - Czujesz się źle... czy... coś takiego?

Jedną rękę przycisnęła do serca, ale zdumienie i niepokój w jej oczach zniknęły i na ich miejsce wypłynęła radość, podczas gdy wargi rozchyliły się w tajemniczym uśmiechu. Zdawała się nieświadoma obecności męża, jak gdyby wsłuchiwała się w jakiś głos płynący z daleka i przeznaczony nie dla jego uszu. Potem zachwyty i szczęście rozpromieniły jej twarz i wyciągnęła rękę do Billa.

- To jest życie... - wyszeptwała. - Czuję życie. Jestem taka szczęśliwa, taka szczęśliwa.

Gdy nazajutrz Bill wrócił wieczorem z pracy, Saxon przypomniała mu o obowiązkach ojcowskich.

- Wiesz, Bill, dużo o tym myślałam - zaczęła. - Jestem taka zdrowa i silna, że naprawdę można będzie urządzić wszystko niedrogo. Marta Skelton jest bardzo dobrą akuszerką.

Ale Bill potrząsnął głową.

- Nie wysilaj się, Saxon, bo nic z tego. Będziesz miała doktora Hentleya. On leczy Billa Murphy'ego i Bill nie może się go dość pochwalić. Stary, ale mądra głowa.

- Marta Skelton przyjmowała dziecko Maggie Donahue - nie dawała za wygraną Saxon. - Wystarczy spojrzeć na nią i na maleństwo.

- Ale nie będzie przyjmowała twego dziecka. Niech ci się nawet nie marzy.

- Kiedy doktor policzy sobie dwadzieścia dolarów - ciągnęła Saxon - i każe wziąć pielęgniarkę, ponieważ nie mam w domu kobiecej opieki. A Marta Skelton zrobiłaby wszystko i kosztowałoby to o tyle taniej.

Ale Bill przygarnął ją do siebie czule i wygłosił pogląd, który miał się stać dla niej prawem.

- Słuchaj uważnie, maleńka żono. Robertsonie nie lubią tandety. Zapamiętaj to sobie. Masz urodzić dziecko. To jest twój obowiązek i trzeba przyznać, że niemały. Mój obowiązek to dostarczyć pieniędzy i opiekować się tobą. A dla ciebie najlepsze nie jest za dobre. Przecież ja bym, dziewczyno, nie naraził cię na najmniejsze ryzyko nawet za milion dolarów. Tylko ty się liczysz. A dolary to śmieć. Myślisz pewnie, że ja lubię już trochę to dziecko.

Owszem, lubię je. Właściwie to cały dzień o nim myślę. Jeżeli mnie wyrzucą z pracy, to będzie z jego powodu. Zupełnie na jego punkcie znikowałem. Ale mimo to, Saxon, Bóg mi świadkiem, że zanim bym pozwolił, żeby tobie się coś przydarzyło, wolałbym zobaczyć je umarłe i w grobie. Może da ci to jakieś pojęcie o tym, ile dla mnie znaczysz.

Wiesz, Saxon, zawsze sobie wyobrażałem, że małżeństwo to po prostu uregulowanie życia i że po pewnym czasie chodzi tylko o to, żeby mąż i żona możliwie najmniej się kłócili.

Może tak jest z innymi ludźmi.

Ale ze mną i z tobą rzecz ma się zupełnie inaczej.

Ja co dzień bardziej cię kocham.

W tej chwili kocham cię więcej, niż cię kochałem pięć minut temu, kiedy zacząłem z tobą rozmowę.

A pielęgniarki nie musimy brać.

Doktor Hentley będzie przychodził każdego dnia, a Mary zajmie się domem i zaopiekuje tobą tak, jakbyś ty w razie potrzeby dla niej zrobiła.

W miarę jak mijały dni i tygodnie, w nabrzmiewających piersiach Saxon coraz wyraźniej odzywało się uczucie macierzyńskiej dumy. Była kobietą na wskroś normalną i macierzyństwo dawało jej szczęście bezgraniczne i zaspokajające. Co prawda miała i swoje chwile lęku, były one jednak tak przelotne, że podnosiły jedynie smak szczęśliwości.

Jedna tylko rzecz ją frasowała, niejasna i groźna sytuacja klasy robotniczej, której nikt - a ona już najmniej - nie mógł zrozumieć.

- Wciąż mówicie o tym, że dzięki maszynom wytwarza się tyle więcej wszystkiego niż dawnym systemem - powiedziała któregoś dnia w rozmowie z Tomem.

- W takim razie dlaczego mamy teraz o tyle mniej?

- To rozumiem, nareszcie trafiłaś w sedno - odparł. - Bardzo prędko zrozumiałabyś, na czym polega socjalizm.

Jednakże myśli Saxon skierowane były ku najbliższym potrzebom.

- Tom, od jak dawna jesteś socjalistą?

- Od ośmiu lat.

- I nic ci to nie dało?

- Ale nam da... kiedyś.

- W tym tempie prędzej znajdziesz się w grobie - zaatakowała.

Tom westchnął.

- Możliwe. Bieg rzeczy jest taki powolny.

Znowu westchnął. Zauważyła wyraz cierpliwego znużenia na jego twarzy,

przygarbione plecy, ręce zdeformowane od pracy. Wszystko to symbolizowało dla niej daremność jego społecznej wiary.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zaczęło się wszystko spokojnie, tak jak często zaczynają się zdarzenia niespodziane i brzemienne w skutki.

Dzieci różnego wieku i wzrostu bawiły się na ulicy i Saxon siedząca przy otwartym oknie obserwowała je, śniąc sny na jawie o swym maleństwie. Słońce gasło w łagodnym zachodzie, od zatoki powiał chłodny wiatr, niosąc leciutki posmak soli. Jeden z malców wskazał w kierunku ulicy Siódmej. Dzieci przestały się bawić i stały patrząc i pokazując rękami w jednym kierunku. Potworzyły się gromadki - starsi chłopcy, od lat dziesięciu do dwunastu, stali oddzielnie, starsze dziewczynki trzymały małe dzieci za ręce lub brały je w ramiona.

Saxon nie widziała przyczyny, odgadła ją jednak, gdy zobaczyła, że starsi chłopcy chwytają kamienie z rynsztoków i ukrywają się w wąskich alejach między domami. Mniejsi chłopcy usiłowali ich naśladować. Starsze dziewczynki odciągały malców za ramiona, zatraskiwały furtki i wbiegały na stopnie małych domków. Drzwi zamknęły się za nimi. Ulica opustoszała i tylko tu i tam spoza odsuniętej na bok firanki wyglądały pełne niepokoju twarze kobiet. Saxon usłyszała sapanie lokomotywy pociągu wyjeżdżającego ze stacji centralnej. Potem od strony ulicy Siódmej napłynął ochrypły, gardłowy wrzask. Saxon wciąż jeszcze nie mogła nic dojrzeć. Przypomniały jej się słowa Mercedes Higgins: „Są jak psy walczące o kości”.

Wrzawa była teraz bliżej. Wychyliwszy się, Saxon zobaczyła idących jej stroną ulicy kilkunastu łamistrajków konwojowanych przez tyluż strażników kolejowych i detektywów. Szli zwaną grupą, zdyscyplinowani, za nimi zaś ciągnęła bezładna, rozwrzeszczana gromada strajkujących robotników, którzy co rusz schylali się i podnosili kamienie z ulicy. Saxon zadygotała z przerażenia, ale opanowała się natychmiast. Pomógł jej w tym widok Mercedes Higgins. Stara kobieta wyszła przed drzwi frontowe ciągnąc za sobą krzesło, ustawiła je na szerokim najwyższym stopniu i usiadła najspokojniej w świecie.

Strażnicy kolejowi trzymali w rękach pałki. Nie widać było, czy detektywi mają przy sobie broń. Napierający z tyłu robotnicy jak dotąd zadowalali się wyładowywaniem wściekłości w pogroźkach i wrzasku i dzieciom przeznaczono było przyspieszyć konflikt. Z przeciwległej strony ulicy, z alejki pomiędzy domem Ishamów i Olsenów, posypał się grad kamieni. Większość nie dosięgnęła celu, ale jeden trafił któregoś z łamistrajków w głowę. Mężczyzna ów znajdował się w odległości najwyżej dwudziestu stóp od Saxon. Zatoczył się

na sztachety jej ogródka, wyciągając jednocześnie z kieszeni rewolwer. Jedną ręką otarł krew z oczu, drugą nacisnął cyngiel i strzelił w dom Ishamów. Detektyw chwycił go za ramię, aby uniemożliwić drugi wystrzał, i odciągnął go na bok. W tej samej chwili z piersi strajkujących wyrwał się dzikszys jeszcze wrzask, a spomiędzy domu Saxon i Maggie Donahue posypała się druga salwa kamieni. Łamistrajki i ich opiekunowie stanęli w miejscu i dobyli rewolwerów. Saxon widziała, że twarde, zacięte twarze tych ludzi, których rzemiosłem była walka, nie wróżą nic innego, jak tylko rozlew krwi i śmierć. Starszy mężczyzna, najwyraźniej ich przywódca, zdjął miękki filcowy kapelusz i otarł chustką pot z czubka łysej głowy. Był tęgi, miał wydatny brzuch i dziwnie bezradną minę. Palił cygaro, na jego siwej brodzie zółciły się plamy soku tytoniowego. Plecy miał pochylone, Saxon dostrzegła łupież na kołnierzu jego kurtki.

Jeden z mężczyzn wskazał na coś i kilku jego towarzyszy wybuchnęło śmiechem. Sprawcą tej wesołości był mały Emil Olsen, chłopczyk może czteroletni, który wymknąwszy się jakoś spod matczynej opieki zbliżał się ku swoim ekonomicznym wrogom. W prawej ręce niósł kamień tak ciężki, że ledwie mógł go udźwignąć. Groził im tą bronią. Różową buzię wykrzywiała mu wściekłość, raz po raz wykrzykiwał piskliwym głosem: - Łamistrajki! Łamistrajki! - Śmiech, którym go przywitali, rozjątrzył tylko jego złość. Przydreptał bliżej i z ogromnym wysiłkiem cisnął kamień, który upadł w odległości zaledwie sześciu stóp od jego ręki.

Tyle Saxon zobaczyła. Widziała jeszcze, jak pani Olsen wybiega na ulicę po dziecko. Strzały rewolwerowe z grupy strajkujących skierowały jej uwagę ku mężczyznom stojącym pod domem. Jeden z nich zaklął ostro i zaczął obmacywać mięśnie lewej ręki, która zwisała mu bezwładnie. Saxon zobaczyła, że po dłoni spływa strużka krwi. Wiedziała, że nie powinna patrzeć na to, co się dzieje, ale żywa była w niej pamięć o wojowniczych przodkach, natury zaś nie miała lękliwej. Gdy wybuchła walka na jej spokojnej ulicy, zapomniała o spodziewanym dziecku. Zapomniała zaś o strajkujących i o wszystkim innym w osłupieniu na widok tego, co się stało z brzuchatym i palącym cygaro przywódcą. W jakiś niewytłumaczony sposób zawisł głową między dwoma szpicami sztachet w jej ogrodzeniu. Kolanami niezupełnie dotykał ziemi, kapelusz spadł mu z głowy i słońce zapalało wprost zdumiewające błyski na jego spoczonej łysinie. Cygaro wypadło mu z ust. Widziała, że patrzy na nią. Jedną ręką wsuniętą pomiędzy sztachety poruszała się, jak gdyby machał do Saxon; zdawało jej się też, że mruga do niej żartobliwie, chociaż wiedziała, że to potworny ból wykrzywia mu wargi.

Spoglądała na niego może sekundę lub dwie, gdy nagle drgnęła na dźwięk głosu Berta. Biegł po chodniku przed jej domem, tuż za nim kilku innych strajkujących. Krzyczał: -

Za mną, mohikanie! Już nam się nie wymkną!

W lewej ręce trzymał drag, w prawej rewolwer z wystrzelonymi już nabojami, gdyż obracający się bębenek wydał pusty stuk. Nagle Bert jakby wyrósł w ziemię, wypuścił z ręki drag i zrobiwszy pół obrotu zwrócił się twarzą do furki Saxon. Padał, ale jeszcze się wyprostował i cisnął rewolwer w twarz nadbiegającemu łamistrajkowi. Potem zaczął się chwiać, kolana uginały się pod nim. Powoli, z nadludzkim wysiłkiem, wyciągnął prawą rękę i uchwycił się sztachety; powoli, jak gdyby z namysłem, osunął się na ziemię. Mijał go teraz tłum strajkujących, którym przewodził.

Była to bitwa bez miłosierdzia, istna masakra. Łamistrajki i ich opiekunowie, otoczeni ze wszystkich stron, wsparci plecami o sztachety ogródka Saxon, walczyli zajadłe, nie mogli jednak sprostać naporowi setki ludzi. Śmigały kije i rękojeści kilofów, rozlegały się strzały rewolwerowe, kamienie rzucane na odległość ramienia miażdżyły kości. Saxon zobaczyła, jak Frank Davis, przyjaciel Berta i ojciec kilkumiesięcznego niemowlęcia, przykłada lufę rewolweru do brzucha łamistrajka i naciska cyngiel. Powietrze nabrzmiałe było od przekleństw i wściekłych wrzasków, obłądnych krzyków strachu i jęków. Mercedes miała rację. To nie byli ludzie. To były zwierzęta walczące o kości, zabijające się w walce o kości.

Ludzie walczą o pracę jak psy o kość... jak psy o kość. Zdanie to brzęczało bezustannie w mózgu Saxon. Teraz choćby nie wiem jak chciała, nie miałaby sił odejść od okna. Była jak sparaliżowana, jej umysł przestał działać. Siedziała w odrętwieniu, z oczami szeroko otwartymi, niezdolna do żadnej reakcji, wpatrująca się tylko bezwolnie w przerażające obrazy, które migwały przed nią jak film kręcony ręką obłąkańca. Widziała padających na ziemię detektywów, strażników kolejowych, robotników. Ciężko ranny łamistrajek, który błagał na klęczkach o litość, został kopnięty w twarz. Drugi robotnik stanął nad nim i wpakował mu w pierś cały ładunek rewolweru, strzelając szybko i z rozmysłem. Inny łamistrajek, przyparty do sztachet i unieruchomiony przez rękę zaciskającą mu się na gardle, otrzymał miażdżący cios kolbą rewolweru w twarz. Kolba wznosiła się i opadała, wznosiła się i opadała raz po raz, a Saxon znała człowieka, który wymierzał ciosy. Chester Johnson... Spotykała, go na tańcach i tańczyła z nim, zanim poznała Billa. Był łagodny i miły. Przypomniała sobie wieczór po piątkowym koncercie orkiestry miejskiej, kiedy Chester zaprosił ją i dwie inne dziewczyny do „Tamale” na Trzynastej ulicy. Potem, w drodze do domu, wstąpili jeszcze wszyscy do kawiarni Pabsta na szklanek piwa. Niemożliwe, żeby to mógł być ten sam Chester Johnson. A gdy wpatrywała się w niego, zobaczyła nagle, że przywódca z grubym brzuchem, którego głowa wciąż tkwiła między sztachetami, wyciąga wolną ręką rewolwer z kieszeni i zezując straszliwie, przykłada lufę do boku Chestera.

Chciała ostrzec go krzykiem. Krzyk istotnie wyrwał się z gardła. Chester podniósł głowę i zobaczył ją. W tym samym momencie rewolwer wypalił i Chester runął twarzą w dół na ciało zabitego łamistrajka. Ciała trzech innych mężczyzn wisiały na sztachetach jej ogrodzenia.

Wszystko mogło się teraz zdarzyć. Bez zdziwienia Saxon patrzyła, jak strajkujący przesadzają ogrodzenie i tratując nogami krzaczki geranium i bratki, uciekają w alejkę dzielącą jej dom od domu Mercedes. Ulicą Sosnową, od strony warsztatów, nadciągała gromada strażników kolejowych i detektywów, strzelających w biegu. Z przeciwnej strony zbliżały się pędem, wśród bicia w gongi, trzy wozy patrolowe policji. Strajkujący znaleźli się w pułapce. Jedyna droga odwrotu prowadziła między dwoma domami i przez płoty ogradzające podwórka. W wąskiej alejce ścisk zrobił się tak wielki, że nie wszyscy zdążyli uciec. Kilkunastu zostało otoczonych i zepchniętych w kąt między ścianą frontową a stopniami jej domu. I jak oni czynili, tak im uczyniono. Policja nie trudziła się nawet, aby kogoś aresztować. Strajkujący wybici zostali do nogi za pomocą pałek i rewolwerów przez stróży porządku publicznego, których rozwścieczył widok zemsty wywartej na ich braciach.

Było już po wszystkim i Saxon jak we śnie, trzymając się kurczowo poręczy, zeszła w dół po stopniach. Przywódca z grubym brzuchem wciąż spoglądał na nią z ukosa i wciąż poruszał jedną ręką; dwaj krzepcy policjanci pochyliłi się właśnie nad nim, aby go stamtąd wyciągnąć. Furtka wyrwana była z zawiasów, co Saxon wydało się dziwne, bo chociaż cały czas patrzyła, nie widziała, kiedy się to zdarzyło.

Bert miał oczy zamknięte. Na wargach czerwieniła mu się krew, z gardła wydobywało bulgotanie, jak gdyby usiłował coś powiedzieć. Gdy pochyliła się nad nim i ocierała mu krew z policzka, gdzie zranił go czyjś but, otworzył oczy. Błyszczało w nich dawne wyzywające światło. Nie poznał jej. Poruszył wargami i głosem cichym, niewyraźnym jak echo, wyszeptał: - Ostatni mohikanie... ostatni mohikanie. - Potem jęknął, opadły mu powieki. Żył jeszcze. Wiedziała o tym. Pierś podnosiła się i opadała w oddechu, z gardła wydobywało się nadal bulgotanie.

Podniosła głowę. Mercedes Higgins stała obok niej. Oczy starej kobiety błyszczały, na zwiędłych policzkach jaskrawił się rumieniec.

- Czy pomoże mi pani zanieść go do domu? - spytała Saxon.

Mercedes skinęła głową i poprosiła o pomoc sierżanta policji. Sierżant spojrzał na Bertę i natychmiast w jego spojrzeniu pojawiła się zajadła wściekłość.

- Niech idzie do diabła. My zajmujemy się naszymi ludźmi.

- Może my we dwie damy radę - powiedziała Saxon. - Nie bądź głupia. - Mercedes kiwnęła na panią Olsen po drugiej stronie ulicy. - Wejdz do domu, mała mateczko. Nie są to

dla ciebie widoki właściwe. Zaraz go przyniesiemy. Pani Olsen już idzie, zawołamy jeszcze Maggie Donahue.

Saxon szła przodem, prowadząc je do małej sypialni, którą Bill uparł się umeblować. Gdy otworzyła drzwi, miała uczucie, że dywan podnosi się i uderza ją w twarz, bo przypomniała sobie, że to Bert rozkładał go na podłodze. A gdy kobiety położyły Berta na łóżku, pomyślała, że to Bert pomagał jej którejś niedzieli ustawić to łóżko. Potem poczuła się bardzo osobliwie i była zdziwiona, że Mercedes przygląda się jej pytającym, badawczym wzrokiem. Dziwne uczucie pogłębiło się szybko i szybko Saxon zstąpiła w otchłań bólu, który znany jest tylko kobietom. Zaprowadzono ją, na pół zaniesiono do frontowej sypialni. Widziała wokół wiele twarzy - Mercedes, pani Olsen, Maggie Donahue. Chciała koniecznie spytać panią Olsen, czy uratowała małego Emila, ale Mercedes wyprosiła panią Olsen z pokoju i kazała jej pielęgnować Berta, a Maggie Donahue poszła otworzyć drzwi, do których ktoś stukał. Z ulicy wdzierał się do pokoju gwar głosów i okrzyki rzucanej komendy, od czasu do czasu zaś słychać było gongi ambulansów i wozów policyjnych.

Potem pojawiła się tłusta, budząca zaufanie twarz Marty Skelton, a nieco później przyszedł doktor Hentley. Raz, podczas krótkiej chwili ciszy, Saxon usłyszała przez cienkie ściany histeryczny krzyk Mary. Innym znów razem usłyszała głos Mary powtarzający w kółko: - Nie wrócę do pralni. Nigdy. Nigdy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W tym okresie Bill na widok Saxon za każdym razem doznawał nowego wstrząsu. Co rano i co wieczór, gdy wracał z pracy, wchodził do jej pokoju i walczył mężnie, aby nie zdradzić się z niczym i udawać pogodę i wesołość. Leżąc w łóżku wydawała się taka drobna, wychudzona, znużona i tak dziecięco krucha. Siadał przy niej, ujmował jej szczupłą rękę i gładził tklawie smukłe, przezroczyste ramię, podziwiając w duchu delikatność kości.

Jedno z jej pierwszych pytań, zaskakujących zarówno dla Billa, jak i dla Mary, brzmiało:

- Czy uratowali małego Emila Olsena?

A gdy im opowiedziała, jak malec zaatakował w pojedynkę dwudziestu kilku mężczyzn, twarz Billa rozjaśniła się zachwytem.

- A to smarkacz! - zawołał. - Z takiego dziecka można być dumnym.

Umilkł niezręcznie, a ta jego wyraźna obawa, że ją zranił, wzruszyła Saxon. Wyciągnęła do niego rękę.

- Bill... - Umilkła i czekała, aż Mary wyjdzie z pokoju.

- Nie pytałam dotąd... zresztą to i tak nie ma znaczenia... teraz. Ale czekałam, że mi powiesz. Czy to był?...

Bill potrząsnął głową.

- Nie. Dziewczynka. Śliczna dziewczynka. Tylko... przyszła za wcześnie.

Uścisnęła jego rękę i zdawać się mogło, że to ona mu współczuje.

- Nigdy ci o tym nie wspominałam, Bill...: tak bardzo chciałeś mieć chłopca. Ale mimo to powiedziałam sobie, że jeśli urodzi się dziewczynka, nazwiemy ją Daisy. Pamiętasz, że tak było mojej matce na imię.

Skinął głową.

- Wiesz, Saxon, że chciałem chłopca jak wszyscy diabli... ale teraz jest mi wszystko jedno. Teraz chyba tak samo chciałbym dziewczynki... no i miejmy nadzieję, że następną będziemy mogli nazwać... Słuchaj, Saxon, nie będziesz miała nic przeciwko temu?

- Przeciwno czemu?

- Żebyśmy jej dali to samo imię... Daisy.

- Och, Bill! Myślałam o tym samym.

Nagle jego twarz stężała w surowym wyrazie.

- Tylko że nie ma mowy o żadnych następnych. Nie miałem dotąd pojęcia, czym jest

naprawdę rodzenie dzieci. Nie pozwolę, żebyś narażała się więcej.

- Posłuchajcie, jak mówi wielki, silny mężczyzna o zajętym sercu! - zadrwiła Saxon uśmiechając się blado. - Nic nie wiesz o tych sprawach. Zresztą, skąd by mężczyzna mógł o nich wiedzieć? Jestem zdrową, normalną kobietą. Wszystko odbyłoby się tym razem szczęśliwie, gdyby... gdyby nie było tej walki. Gdzie pochowano Berta?

- Wiedziałaś?

- Od pierwszej chwili. A co z Mercedes? Nie była już u mnie dwa dni.

- Stary Barry zachorował. Jest przy nim.

Nie powiedział jej, że stary stróż nocny umiera odgradzony dwiema cienkimi ścianami, w odległości zaledwie kilku stóp.

Wargi Saxon zadrżały, zaczęła płakać cicho, zacisnąwszy obie dłonie na ręce Billa.

- Nie mogę się powstrzymać - łkała. - Zaraz mi to przejdzie... Nasza maleńka córeczka, Bill. Pomyśl tylko! A ja jej nigdy nie widziałam.

Leżała jeszcze w łóżku, gdy któregoś wieczoru Mary wybuchnęła pełnym gorzycy dziękczynieniem, że uniknęła dotąd - i że sam los pozwoli jej uniknąć w przyszłości tego, przez co Saxon przeszła.

- Co ty mówisz, dziewczyno? - oburzył się Bill. - Za jakiś czas wyjdiesz za mąż, co pewne jest jak dwa razy dwa cztery.

- Nie wyjdę nawet za księcia - oznajmiła. - Zresztą nie ma żadnej potrzeby. Widocznie na świecie za dużo jest teraz ludzi, bo dlaczego na każdą pracę wypada po kilku mężczyzn? A poza tym rodzenie dzieci to okropność.

W oczach Saxon pojawił się wyraz cierpliwej mądrości, a gdy mówiła, twarz jej opromieniło osobliwe światło:

- Powinnam chyba wiedzieć, czym jest rodzenie. Przeszłam przez to i wiem. I dlatego mówię ci to właśnie teraz, że mimo całego cierpienia i bólu, i rozpacz - rodzenie jest najwspanialszą, najcudowniejszą rzeczą na świecie.

Gdy Saxon odzyskała siły (doktor Hentley powiedział w cztery oczy Billowi, że jest zdrowa jak ryba), sama skierowała rozmowę na dramat ekonomiczny, który rozegrał się pod jej oknami. Policja natychmiast została wezwana do akcji, powiedział jej Bill, i obozowała teraz na nie zabudowanym terenie u wylotu ulicy Sosnowej, tuż obok warsztatów kolejowych. Piętnastu spośród strajkujących znajdowało się w więzieniu. Policja przeprowadziła rewizję kolejno we wszystkich domach w sąsiedztwie i w ten sposób prawie cała piętnastka, wszyscy ranni, została pochwycona. Nie czeka ich nic dobrego, przepowiadał ponuro Bill. Gazety żądały, aby za krew zapłacono krwią i wszyscy duchowni z Oakland gromili z ambony

strajkujących. Zarząd kolei przyjął nowych ludzi i wiadomo już było, że strajkujący robotnicy nie tylko nie zostaną przyjęci na dawne miejsca, ale że nazwiska ich znajdują się na czarnej liście w zarządach wszystkich kolei na terenie Stanów Zjednoczonych. Organizacja strajkowa zaczęła się rozpadać. Kilku pojechało szukać pracy w Panamie, czterej zaczęli ostatnio napomykać o przeniesieniu się do Ekwadoru i przyjęciu pracy w warsztatach linii kolejowej prowadzącej przez Andy do Quito.

Z ukrytym niepokojem Saxon usiłowała wysondować pogląd Billa na to, co się zdarzyło.

- Widać z tego, do czego prowadzą gwałtowne metody Berta - powiedziała.

Bill potrząsnął głową poważnie, z namysłem.

- W każdym razie Chester Johnson pójdzie na szubienicę - odpowiedział. - Znasz go. Mówiłaś mi, żeś tańczyła z nim na zabawach. Złapali go na gorącym uczynku... leżał ranny na ciele łamistrajka, którego zabił kolbą rewolweru. Stary John Brzuchacz dostał trzy kulki, ale będzie żył, a właśnie on widział Chestera. Powieszą go na podstawie zeznań Johna Brzuchacza. Wszystko to było w gazetach. John Brzuchacz wpakował Chesterowi kulkę, chociaż sam wisiał zaczepiony o nasze sztachety.

Dreszcz wstrząsnął ciałem Saxon. A więc tak się nazywa ów mężczyzna z łysiną i plamami soku tytoniowego na wąsach...

- Tak - potwierdziła. - Widziałam to wszystko. Musiał wisieć na sztachetach chyba wiele godzin...

- Cała walka od początku do końca trwała pięć minut.

- A mnie się zdawało, że to była wieczność.

- Takie samo wrażenie miał pewno John Brzuchacz, który wisiał na naszych sztachetach - powiedział Bill z posepnym uśmiechem. - Ale to twarda sztuka. Chyba przy kilkunastu najrozmaitszych okazjach dziurawiono go kulą albo nożem. Podobno teraz czeka go kalectwo do końca życia, będzie musiał chodzić o kulach albo jeździć na wózku. Przystanie robić brudną robotę dla zarządu kolei. Był ich najgłośniejszym łamistrajkiem, pchał się zawsze w sam środek każdej bijatyki. Muszę mu przyznać, że nie bał się nigdy żadnego dwunożnego stworzenia.

- Gdzie on mieszka? - spytała Saxon.

- Na ulicy Adeline, niedaleko Dziesiątej. Dobra dzielnica, same piętrowe domy. Komorne musi go kosztować ze trzydzieści dolarów na miesiąc. Nie ma obawy, zarząd kolei dobrze mu płaci.

- Pewnie jest żonaty?

- Owszem. Nie widziałem nigdy jego żony, ale ma dwóch synów. Jeden, Jack, jest maszynistą pociągów pasażerskich. Znam go. Był kiedyś zdolnym bokserem, ale nie walczył nigdy na ringu. Drugi ma na imię Paul, uczy w szkole średniej. Jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku. Był doskonałym graczem w baseball. Zналиśmy się w dzieciństwie. Prześcignął mnie trzy razy z piłką, kiedy nasza szkoła grała przeciwko jego szkole.

Oparwszy się plecami o poduszkę fotela Saxon zagłębiła się w myślach. Zagadnienie komplikowało się coraz bardziej. Ten niemłody, łysy i brzuchaty przywódca łamistrajków miał też żonę i dzieci. Albo taki Frank Davis, żonaty zaledwie od roku, ojciec kilkutygodniowego syna... Może łamistrajk, któremu Frank strzelił w brzuch, też miał żonę i dzieci. Wszyscy się znali, wszyscy byli członkami jakby jednej ogromnej rodziny, ale mimo to ranili się wzajem i zabijali - każdy dla swojej własnej rodziny. Widziała, jak Chester Johnson zabił łamistrajka. A teraz Chester zawisnie na szubienicy - ten sam Chester, który ożenił się z Kitty Brady, robotnicą z fabryki konserw. Saxon i Kitty pracowały kilka lat razem w fabryce pudełek tekturowych.

Na próżno Saxon czekała, aby Bill wypowiedział słowa, z których wynikałoby, że nie pochwała zabijania łamistrajków.

- Postąpił źle - odważyła się wreszcie powiedzieć.

- A tamci zabili Berta - odparował Bill atakiem jej atak. - I wielu innych. Między nimi Franka Davisa. Wiedziałaś, że on nie żyje? Kula strzaskała mu całą dolną szczękę, umarł w ambulansie, zanim go odwieziono do szpitala. Nigdy dotąd nie było w Oakland takich krwawych zająć.

- Ale oni są winni - upierała się Saxon. - Oni zaczęli. To było zwykłe morderstwo.

Bill nie odpowiedział, słyszała jednak, że mamrocze ochryple przekleństwa. Domyślała się, że powiedział: - Niech ich Bóg skarże - ale kiedy spytała: - Co mówisz? - zbył ją milczeniem. Troska pogłębiła chmurne światło w jego oczach, na wargach pojawił się wyraz zaciętości.

Dla niej było to jak pchnięcie sztyletem w serce. Czy on jest taki jak tamci? Czy zabijałby mężczyzn, którzy mieli rodziny, czy postąpiłby jak Bert, Frank Davis, Chester Johnson? Czy on takie jest dziką bestią, psem, który obnaża kły w walce o kości?

Westchnęła. Życie jest trudną zagadką. Może Mercedes Higgins miała rację wygłaszając swoje okrutne twierdzenia o warunkach bytu ludzkiego.

- Więc co z tego? - zaśmiał się chrapliwie Bill, jak gdyby w odpowiedzi na jej nie sformułowane pytanie. - Pies pożera psa. Zawsze tak było. Weź tę walkę pod naszymi oknami. Zabijali się nawzajem... dokładnie tak samo, jak to robili w wojnie domowej ci z

Północy z tymi z Południa.

- Ale przecież robotnicy w ten sposób nigdy nie zwyciężą. Sam uważasz że to zaprzepaściło szansę wygranej.

- Chyba tak - przyznał z ociąganiem. - Tylko że tych innych szans też nie widzę. Weź na przykład nas. Teraz będzie nasza kolej.

- Co, woźnice? - zawołała.

Skinął posepnie głową.

- Pracodawcy rozahulali się na całego i poczynają sobie jak za dawnych dobrych czasów. Mówią, że wybiją z nas hardość, aż wrócimy do nich na klęczkach i będziemy żebrali o dawną pracę. Skaczą do góry z radości z powodu tych zająć na naszej ulicy. Umożliwiło im to wyprowadzenie wojska na ulicę, a to jest połowa wygranej, tym bardziej że mają za sobą duchownych, wszystkie gazety i opinię publiczną. Już teraz wrzeszczą na całe gardło o tym, co mają zamiar zrobić. Jasne, że chcieliby sprowokować krwawą awanturę. Po pierwsze, powieszą Chestera Johnsona i tyłu, ilu się da spośród piętnastki aresztowanych. Tego nie owijają w bawełnę. „Tribune”, „Enquirer” i „Times” w kółko to powtarzają. I prześcigają się w swojej wściekłości na związki. Zabronić strajków! Do diabła ze zorganizowaną klasą robotniczą! Pomyśl, Saxon, ta brudna szmata, „Intelligencer”, napisała dziś rano, że wszystkich działaczy związkowych powinno się albo przepędzić z Oakland, albo powiesić. Dobre, co? Weź nas, woźniców. Teraz nie jest to już sprawa strajku solidarności z robotnikami fabrycznymi. Mamy własne kłopoty. Zwolnili czterech naszych najlepszych ludzi, tych którzy we wszystkich pertraktacjach z pracodawcami występowali zawsze w naszym imieniu. Zwolnili ich bez żadnego powodu. Szukają guza, jak ci już mówiłem, i będą go mieli. Związek Robotników Portowych z San Francisco porozumiał się z nami. Przy ich poparciu coś chyba zdziałamy.

- Chcesz przez to powiedzieć, że... ogłosisie strajk? - spytała Saxon.

Spuścił głowę.

- Ale przecież im chyba właśnie o to chodzi? Sądząc po tym, jak postępują...

- Jaka różnica? - Bill wzruszył ramionami. - Lepiej strajkować niż wylecieć z pracy.

W ten sposób zaskoczmy ich, zanim będą gotowi. Wiemy przecież, co oni robią. Zgarniają z całego stanu woźniców z budowy kolei i poganiaczy mułów. Już mają ze czterdziestu, poją ich i karmią w hotelu w Stockton. W odpowiedniej chwili rzucają ich do pracy na nasze miejsca, a będą mieli takich setki. Dlatego wypłata, jaką przyniosę w tę sobotę, będzie pewnie ostatnia na pewien czas.

Saxon zamknęła oczy i przez pięć minut bardzo spokojnie rozmyślała nad słowami

Billa. Nie reagowała nigdy na nic w podnieceniu, było to obce jej naturze. Spokój i opanowanie, które Bill tak w niej podziwiał, zawsze jej towarzyszyły w trudnych chwilach. Zrozumiała, że jest zaledwie pyłkiem porwanym w wir niezrozumiałego, potężnego konfliktu.

- Komorne w tym miesiącu będziemy musieli płacić z naszych oszczędności - powiedziała pogodnie.

Billowi wydłużyła się twarz.

- Mamy w banku mniej, niż ci się zdaje - wyznał. - Trzeba było zebrać na pogrzeb Berta, więc dopłaciłem brakującą sumę.

- Ile?

- Czterdzieści dolarów. Miałem zamiar nie płacić jakiś czas rzeźnikowi i sklepikarzom. Wiedzą, że jestem dobrym płatnikiem. Ale upomnieli się o należność. Przez cały czas szli strajkującym na rękę. A teraz, kiedy strajk został rozbity, oni też dostali po skórze. No, więc wziąłem potrzebne pieniądze z banku. Wiedziałem, że nie będziesz miała pretensji. Miałem rację?

Uśmiechnęła się odważnie i odważnie przezwyciężyła uczucie lęku chwytającego ją za serce.

- Nie mogłeś postąpić inaczej, Bill - powiedziała. - Ja bym to samo zrobiła, gdybyś ty leżał chory, a Bert na pewno by to zrobił dla nas.

Twarz Billa promieniała.

- Och, Saxon, człowiek zawsze może na ciebie liczyć! Jesteś jak moja prawa ręka. Dlatego powiadam: nie chcę więcej dzieci. Gdybym cię stracił, zostałbym kaleką do końca życia.

- Musimy oszczędzać - mówiła myśląc głośno. - Ile zostało w banku?

- Koło trzydziestu dolarów. Bo widzisz, musiałem zapłacić Marcie Skelton i za... za kilka jeszcze drobiazgów. A związek ostro wziął się do rzeczy i nałożył na wszystkich członków dodatkową składkę w wysokości czterech dolarów, żeby z góry przygotować się na wszystko, jeżeli strajk wybuchnie. Ale doktor Hentley może poczekać. Sam to zaproponował. Powiadam ci, Saxon, że pierwszorzędny z niego człowiek. Jak ci się podoba?

- Bardzo. Tylko, że ja niewiele wiem o doktorach. Nigdy mnie żaden nie leczył... raz jeden, szczepiono mi ospę, i to na koszt miasta.

- Wygląda na to, że tramwajarze też się szykują do strajku. Dan Fallon przyjechał do miasta. Taki kawał drogi - z Nowego Jorku. Próbował się przemycić po cichu, ale związkowcy wiedzieli, kiedy opuścił Nowy Jork, i śledzili go całą drogę. Musieli to zrobić. Dan Fallon zawsze spada jak z nieba tam, gdzie się tramwajarze organizują. Wygrał już dla

pracodawców dziesiątki strajków tramwajowych. Trzyma całą armię rozbijaczy i wozi ich w specjalnych pociągach po całym kraju, wszędzie tam, gdzie są potrzebni. Oakland nigdy nie miało, takich kłopotów z robotnikami. Wygląda na to, że będą się działy straszne rzeczy.

- W takim razie musisz mi przyrzec, Bill, że będziesz na siebie uważał. Ja też nie chcę cię stracić.

- Bądź spokojna. Potrafię dbać o własną skórę. Zresztą nie myśl, że jest już po nas. Mamy niezłe widoki.

- Ale je straciecie, jeżeli dojdzie do rozlewu krwi.

- Słusznie. Musimy się tego strzec jak ognia.

- Żadnego gwałtu.

- Żadnej strzelaniny i dynamitu - przyznał. - Inna rzecz, że kupa łamistrajków dostanie po łbach. Bez tego się nie obejdzie.

- Ale ty tego nie będziesz robił, Bill. - Na pewno nie w taki sposób, żeby jakiś tajniak mógł zeznać przed sądem, że mnie przy tym widział. - Nagle Bill zmienił temat. - Stary Barry Higgins nie żyje. Nie chciałem ci o tym mówić, dopóki leżałaś. Pochowali go przed tygodniem. A Mercedes przenosi się do San Francisco. Powiedziała, że przyjdzie się pożegnać. Bardzo się tobą przejmowała przez te pierwsze dni i wzięła Martę Skelton do galopu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Z chwilą gdy Bill rozpoczął strajk i całe dni spędzał poza domem, pełniąc służbę w pikietach strajkowych, gdy Mercedes przeniosła się do San Francisco i nie było już Berta, Saxon skazana została na samotność, która nawet kogoś tak zrównoważonego jak ona musiała doprowadzić do stanu chorobliwego przygnębienia. Mary także odjechała, wspomniawszy dość mgliście, że przyjęła służbę gdzieś w Piedmont.

Bill niewiele mógł pomóc Saxon w tym trudnym okresie. Przeczuwał niejasno jej cierpienia, ale nie domyślał się ani ich rozmiaru, ani głębi. Miał na to umysłowość zbyt męską i zbyt praktyczną, a już choćby z racji odmienności płci obcy musiał mu być tego rodzaju osobisty dramat. W najlepszym wypadku nie rozumiał go, był tylko przyjaznym widzem. Dla Saxon dziecko było czymś żywym i rzeczywistym. I to stanowiło jej dramat. Żadnym świadomym wysiłkiem woli nie mogła wypełnić luki, jaka po nim została. Uczucie rzeczywistości jego istnienia prowadziło niekiedy do halucynacji. Istnieje gdzieś... wciąż istnieje i ona musi je odnaleźć. Czasem łapała się na tym, że nasłuchuje, że czeka na krzyk, którego nigdy nie słyszała... a który w wyobraźni słyszała tysiąc razy w tamtych szczęśliwych miesiącach przed końcem. Dwukrotnie we śnie wstawała z łóżka i szła szukać maleństwa... dwa razy ocknęła się przy starej komodzie matki, gdzie przechowywała wyprawkę. W takich momentach mówiła sobie: - Miałam dziecko. - Powtarzała te słowa na głos, gdy patrzyła na dzieci bawiące się na ulicy.

Któregoś dnia w tramwaju na ulicy Ósmej usiadła obok niej matka z gaworzącym dzieckiem w ramionach. Saxon powiedziała jej:

- Miałam dziecko, ale zmarło.

Matka spojrzała na nią zdumiona, przygarnęła do siebie dziecko mocniej, zazdrośniej czy też może pod wpływem lęku. Potem opamiętała się i rzekła współczująco:

- Biedactwo.

- Tak - skinęła Saxon głową. - Umarło.

Łzy napłynęły jej do oczu, poczuła, że mówienie o własnym cierpieniu przynosi jej ulgę. A przez cały ten dzień dręczyło ją neodparte pragnienie, by opowiadać wszystkim o swoim nieszczęściu - kasjerowi w banku, starszawemu sprzedawcy u Salingera, niewidomej kobiecie, którą prowadził mały chłopczyk grający na organkach... wszystkim prócz policjantów. Policjanci byli dla niej istotami najzupełniej nowymi i przerażającymi. Widziała, jak zabijali strajkujących tak samo bezlitośnie, jak strajkujący zabijali łamistrajków. Tylko że

w przeciwieństwie do strajkujących policjanci byli mordercami z zawodu. Nie walczyli o pracę, śmierć była ich rzemiosłem. Tamtego dnia mogli byli aresztować mężczyzn przypartych do muru w kącie pod jej frontowymi schodami. Nie zrobili tego. Ilekroć spotykała policjanta; odsuwała się bezwiednie na sam brzeg chodnika, żeby być od niego możliwie najdalej. Nie był to jakiś świadomy akt, ale głębiej niż świadomość tkwiło uczucie, że policjanci są przedstawicielami jakiejś wrogiej siły - wrogiej w stosunku do niej i jej bliskich.

Gdy w drodze powrotnej do domu stała czekając na tramwaj na skrzyżowaniu Broadwayu i ulicy Ósmej, policjant na rogu poznał ją i uklonił się. Zbladła, serce załomotało jej boleśnie. Był to tylko Ned Hermanmann - grubszy niż dawniej, o twarzy pełniejszej i pogodniejszej. Przez trzy okresy w szkole siedział na sąsiedniej ławce. Przez jeden okres była razem z nim odpowiedzialna w klasie za zeszyty z wypracowaniami. W dniu, kiedy nastąpił wybuch w prochowni i w szkole wyleciały wszystkie szyby, tylko oni dwoje nie przyłączyli się do panicznej ucieczki na dwór i pozostali w klasie; rozgniewany kierownik prowadził ich z klasy do klasy i pokazywał tchórzliwym uczniom, po czym w nagrodę oboje zostali na miesiąc zwolnieni z lekcji. Później Ned Hermanmann został policjantem i ożenił się z Leną Highland. Saxon słyszała, że mają pięcioro dzieci.

Ale mimo wszystko jest teraz policjantem, a Bill strajkuje. Czy nie może się tak zdarzyć, że któregoś dnia zabije Billa, tak jak tamci policjanci zabijali strajkujących pod jej frontowymi schodami?

- Co ci jest, Saxon? - spytał. - Źle się czujesz?

Skinęła głową, ale nie mogła dobrać głosu. Zaczęła iść do tramwaju, który zatrzymał się właśnie na przystanku.

- Pomogę ci - powiedział.

Odskoczyła od jego wyciągniętej ręki.

- Nie, nie... nic mi nie jest - wymamrotała. - Nie wsiądę do tego wozu. Zapomniałam coś załatwić.

Odeszła półprzytomna, kierując się Broadwayem do ulicy Dziewiątej, a stamtąd znów na ulicę Ósmą, gdzie zaczęła na następny tramwaj.

W miarę jak płynęły powoli upalne miesiące lata, sytuacja w przemyśle w Oakland stale się pogarszała. Mogło się zdawać, że kapitał wybrał to miasto na teren batalii ze zorganizowaną klasą robotniczą. Tak wiele ludzi w Oakland strajkowało albo straciło pracę z powodu lokautu, albo nie mogło pracować, ponieważ produkcja ich fabryk wiązała się z

unieruchomionymi gałęziami przemysłu, że coraz trudniej było o dorywczą pracę. Billowi udawało się niekiedy przepracować dzień lub dwa, ale jego zarobki nie starczyły na utrzymanie mimo niewielkich zasiłków strajkowych, które otrzymywał początkowo od związku, i mimo surowych oszczędności, jakie zaprowadzili oboje z Saxon.

Jedzenie, które Saxon przygotowywała, niewiele miało wspólnego z tym, co w pierwszym roku ich małżeństwa ukazywało się na stole. Nie tylko wszystkie produkty były tańsze, ale ponadto wiele potraw zniknęło z jadłospisu. Z rzadka tylko kupowała mięso, a i to najlichszego gatunku. Mleko skondensowane zajęło miejsce mleka świeżego, a w końcu i ono zniknęło. Osełka masła, jeżeli ją w ogóle mieli, musiała starczyć teraz na przeciąg czasu sześć razy dłuższy. Bill pijał dawniej na śniadanie trzy filiżanki kawy, ale teraz musiał się zadowolić jedną. Saxon gotowała fusy przeraźliwie długo, a za funt kawy płaciła zaledwie dwadzieścia centów.

Ciężkie czasy dały się we znaki całemu sąsiedztwu. Rodziny, których nie dotykał bezpośrednio strajk w jednej fabryce, cierpiały z powodu strajku w innych zakładach lub na skutek przerwania produkcji w przemyśle zależnym. Wielu kawalerów wynajmujących pokoje wyniosło się z miasta, przez co wzrosły wydatki na komorne rodzin, które ich przygarnęły.

- Gott! - powiedział rzeźnik do Saxon. - My, klasa robotnicza, zawsze cierpimy razem. Moja żona nie będzie teraz mogła wstawić sobie zębów. Kto wie, czy ja sam niedługo nie zbankrutuję.

Któregoś dnia, gdy Bill miał pójść do lombardu i zastawić zegarek, Saxon podsunęła mu myśl, żeby pożyczył potrzebną sumę od Billa Murphy'ego. - Miałem taki zamiar - odparł Bill - ale nic z tego. Nie mówiłem ci, co się stało we wtorek wieczór w klubie Sportowym. Pamiętasz tego durnia, o którym ci wspominałem, mistrza boksu marynarki Stanów Zjednoczonych? Wystawili Billa przeciwko niemu i Bill mógł sobie powiedzieć, że ma już nagrodę w kieszeni. Pod koniec szóstej rundy robił, co chciał, z tym durniem, a w siódmej miał go zamiar wykończyć. I wtedy nagle wywichnął sobie prawe przedramię - psie szczęście, bo jego fabryka stoi. Tamten naturalnie zaraz się na Billu odkuł - i do widzenia. Na czym jak na czym, ale na psim szczęściu to nam ostatnim mohikanom od jakiegoś czasu nie zbywa.

- Nie mów tak! - zawołała Saxon dygocąc mimo woli.

- Jak? - spytał Bill otwierając usta ze zdziwienia.

- Nie powtarzaj więcej tych słów. Bert ich wciąż używał.

- Rozumiem, ostami mohikanie. Dobrze, nie będę. Ale ty chyba nie jesteś przesądna?

- Nie. Ale za dużo jest dla mnie w tym słowie prawdy, żebym je miała lubić. Niekiedy mi się zdaje, że Bert miał rację. Czasy się zmieniły nawet, odkąd ja byłam dzieckiem. Przebyliśmy prerie i zbudowaliśmy ten kraj, ale teraz nie możemy już nawet zarobić w nim na życie. A nie jest to moja wina ani twoja wina. Żyjemy dobrze albo żyjemy źle - jak szczęście zdarzy. Nie można tej sprawy inaczej wytłumaczyć.

- Nic z tego nie mogę zrozumieć - dorzucił Bill. - Pomyśl tylko, jak ja w zeszłym roku pracowałem. Nie opuściłem ani jednego dnia. W tym roku też bym ani jednego dnia nie opuścił, a tymczasem od tygodnia nie mogę dostać żadnej roboty. Powiedz, Saxon - kto właściwie rządzi tym krajem?

Saxon nie prenumerowała już gazety porannej, ale często synek Maggie Donahue, który roznosił „Trybunę”, podrzucał „zbywający” numer na stopnie jej domku. Z artykułów wstępnych Saxon wyłuskała taki sens: klasa robotnicza próbuje rządzić krajem i wprowadza chaos. Wszystko jest winą usiłującej chwycić władzę klasy robotniczej - tak dowodziły artykuły wstępne dzień po dniu, a Saxon, choć przekonywana, pozostawała nie przekonana. Socjologiczna zagadka życia była zbyt zawiła.

Należało się spodziewać, że strajk woźniców, wspomagany finansowo przez woźniców San Francisco i sprzymierzony Związek Robotników Portowych z San Francisco, potrwa długo - bez względu na to, czy zostanie, czy nie zostanie uwieńczony powodzeniem. Cała z nielicznymi wyjątkami oaklandzka obsługa stajenna przyłączyła się do strajku. Firmy przewozowe nie mogły nawet w połowie wykonywać zleceń, pomagał im jednak pieniądze związek pracodawców. W rzeczy samej połowa tego rodzaju stowarzyszeń z wybrzeży Pacyfiku wspomagała swego oaklandzkiego brata.

Saxon zalegała z komornym za jeden miesiąc, co - jeżeli się weźmie pod uwagę, że czynsz najmu zobowiązali się płacić z góry - równało się właściwie dwóm miesiącom. Miała też dwumiesięczne zaległości w spłacaniu rat za meble. Jednakże meblarska firma Salingera nie dopominała się zbyt natarczywie o pieniądze.

- Postaramy się pójść pani możliwie jak najbardziej na rękę - powiedział akwizytor. - Polecono mi, żebym wyciągnął od pani, ile się da, żebym jednak zbyt nie nalegał. Firma chciałaby się zachować przyzwoicie, ale ciężkie czasy też jej się dają we znaki. Nie ma pani pojęcia, ile jest takich rachunków jak pani. Prędzej czy później szefowie będą musieli ostro wziąć się do rzeczy, bo inaczej sami zamkną budę. Dlatego niech się pani postara wygrzebać gdzieś do przyszłego tygodnia chociaż z pięć dolarów, żeby ich trochę udobruchać.

Jeden ze stajennych, którzy nie przyłączyli się do strajku, nazwiskiem Henderson, pracował w stajniach Billa. Chociaż pracodawcy namawiali go, by sypiał i jadł wraz z innymi

w stajniach, Henderson wracał co rano do swego małego domku, tuż za rogiem Piątej ulicy. Saxon widziała go kilka razy, jak szedł wymachując wyzywająco koszykiem obiadowym, podczas gdy chłopcy z sąsiedztwa pomykali za nim w bezpiecznej odległości i oznajmiali mu jazgotliwym chórem, że jest łamistrajk i nic dobrego. Ale gdy któregoś wieczora szedł do pracy, w przyпыwie brawury wstąpił do baru na rogu Sosnowej i Siódmej. Niestety chciało, że spotkał tam Otto Franka, strajkującego woźnicę z tych samych stajni. W kilka minut później ambulans pędził wioząc do szpitala Hendersona z pękniętą czaszką, gdy tymczasem karetka policyjna nie mniej szybko wiozła Otto Franka do miejskiego więzienia.

O zdarzeniu tym Saxon dowiedziała się od Maggie Donahue, której oczy błyszczały radością.

- Dobrze mu tak, śmierdzącemu łamistrajkowi - dodała na zakończenie Maggie.

- Ale pomyśl o jego biednej żonie! - zawołała Saxon. - To taka słabowita kobieta. I dzieci! Przecież jeżeli on umrze, ona nie da sobie z nimi rady.

- Niech się męczy przekłeta flądra!

Saxon była dotknięta i zgorziona brutalnością Irlandki. Ale Maggie była nieubłagana.

- Należy się to każdej kobiecie, która żyje pod jednym dachem z łamistrajkiem. A dzieci? Niech zdychają z głodu, ich tatunio odejmuje innym dzieciom jedzenie od ust.

Pani Olsen inaczej się na to zapatrywała. Prócz biernej, sentymentalnej litości dla żony Hendersona i jego dzieci nie poświęcała im wiele myśli, martwiła się zaś tylko o Otto Franka i jego rodzinę, gdyż pani Frank była jej rodzoną siostrą.

- Jeżeli Henderson umrze, Otto pójdzie na szubienicę - powiedziała. - A co pocznie wtedy Hilda? Ma żylaki na obu nogach i nie ustoi cały dzień przy pracy. Ja pomóc jej nie mogę. Przecież Carl też strajkuje.

Bill miał jeszcze inny pogląd na tę sprawę.

- Jest to dla strajku niedźwiedzia przysługa, zwłaszcza jeżeli Henderson wyciągnie nogi - mówił z troską w głosie, wróciwszy do domu. - Frank raz dwa powędruje na szubienicę. Poza tym będziemy musieli bronić go przed sądem, a adwokaci, wiadomo zdzierają skórę. Wyjedzą nasze fundusze związkowe jak głodne myszy ziarno. Gdyby Frank nie miał w żołądku whisky, nigdy by tego nie zrobił. Na trzeźwo najłagodniejszy i najpoczciwszy z niego człowiek pod słońcem.

Dwa razy tego wieczora Bill wychodził z domu, żeby się dowiedzieć, czy Henderson jeszcze żyje. Poranne gazety mało dawały nadziei, a wieczorne doniosły o jego śmierci. Otto Frank, za którego nie złożono kaucji, siedział w więzieniu. „Tribune” domagała się skróconego postępowania sądowego i szybkiego wykonania wyroku, wezwała przysły sąd

przysięgłych, aby po męsku spełnił swą powinność, a wreszcie rozpięła się długo i szeroko nad moralnym wpływem, jaki wywrze na rozzuchwaloną klasę robotniczą tak energiczne akcje. Autor artykułu posunął się nawet dalej, dowodząc, że karabiny maszynowe mogłyby podzielać wprost zbawiennie na motłoch, który chwycił w swe szpony piękne miasto Oakland.

Wszystkie takie zdarzenia godziły w Saxon osobiście. Była sama na świecie, miała tylko Billa, przeto jej życiu, jego życiu, ich wspólnemu życiu małżeńskiemu zagrażało bezustannie niebezpieczeństwo. Od momentu, kiedy wychodził z domu, aż do jego powrotu nie miała chwili spokoju. Szła niebezpieczna robota, o której Bill nic jej nie mówił, ale w której - Saxon o tym wiedziała - brał udział. Nie raz i nie dwa dostrzegała świeże pęknięcia na knykciach jego palców. W takich wypadkach był niezwykle małomówny i albo siedział w posepnym milczeniu, albo prawie natychmiast kładł się spać. W obawie, by to powściągliwe milczenie nie przeszło w nawyk, zebrała się na odwagę i poprosiła, by okazał jej zaufanie. Siadła mu na kolanach, przytuliła się do niego objawszy go jedną rękę za szyję, drugą odgarnęła mu włosy z czoła i wygładziła posepną zmarszczkę między brwiami.

- A teraz posłuchaj mnie, chłopcze - zaczęła lekkim tonem. - Nie prowadzisz ze mną gry uczciwej i ja dłużej na to nie pozwolę. Sza! - Przycisnęła palec do jego warg. Teraz ja mówię, przede wszystkim dlatego, żeś ty od jakiegoś czasu za dużo milczał. Pamiętasz, że na początku małżeństwa postanowiliśmy wszystkie sprawy omawiać wspólnie. Ja pierwsza złamałam tę zasadę, kiedy sprzedawałam moje robótki pani Higgins, nic ci o tym nie mówiąc. Bardzo mi było przykro, że to zrobiłam. Ciągle jeszcze żałuję. Teraz przyszła kolej na ciebie. Nie omawiasz ze mną swoich spraw. Robisz rzeczy, o których mi nawet nie wspominasz.

Bill, jesteś mi droższy ponad wszystko w świecie. Wiesz o tym. Dzielimy się naszym życiem, tylko że teraz jest coś, czego ty ze mną nie dzielisz. A poza tym, Bill, Kocham cię tak bardzo, że choćbyś nie wiem co robił, zawsze cię będę kochała.

Bill wpatrzył się w nią z pełnym miłości niedowierzaniem.

- Nie bądź takim milczkiem - ciągnęła żartobliwie - i pamiętaj, że cokolwiek knujesz, możesz na mnie liczyć.

- I nie zwymyślasz mnie? - pytał.

- Jakżebyś mogła? Przecież tobą nie rządzą. Za nic na świecie bym tobą nie rządziła. A gdybyś mu pozwolił wodzić się za nos, ani w połowie bym cię tak nie kochała.

Przetrawiał powoli jej słowa i w końcu skinął głową.

- I nie wściekniesz się?

- Na ciebie? Nie widziałeś dotąd, że bym się na ciebie złościła. Dalej, Bill, nie bądź

skąpy! Powiedz mi, w jaki sposób zraniłeś sobie pięści. Te zadrapania są zupełnie świeże, każdy by to zauważył.

- Zgoda. Opowiem ci, jak się to stało. - Urwał i na wspomnienie czegoś roześmiał się ze szczerym chłopięcym rozradowaniem. - No więc, to było tak... Ale naprawdę się nie wściekniesz? Musimy robić takie różne rzeczy w naszym własnym interesie. Powiadam ci, było zupełnie jak w kinie, z tym tylko, żeśmy wszyscy mówili. Idzie sobie jakiś kmiotek, cały obsypany żdźbłami siana. Pięści ma jak młoty, stopy jak kanonierki na Missisipi. Z półtora raza większy ode mnie, a poza tym młody. Tylko że idzie sobie spokojnie i jest taki niewinny, jak... och, mniejsza o to. Na pewno najniewinniejszy łamistrajk, jaki przekroczył miejskie rogatki i natknął się na pikietę strajkową. Rozumiesz, nie żaden tam zawodowy rozbijacz, tylko ciemny kmiotek, który przeczytał ogłoszenie pryncypałów i przybiegł w te pędy do miasta po wielkie zarobki.

A z drugiej strony idę ja z Budem Strothersem. Zawsze chodzimy tak parami, a czasem nawet w większych gromadkach. Ja zaczepiam kmiotka. „Cześć - powiadam. - Szukasz pracy?” „Zgadłeś, bracie” - on na to. „A powozić potrafisz?” „No chyba”. „Czwórką koni?” „Daj mi lejce, to ci pokażę”. „Nie bądź taki prędko - mówię. - Na pewno chcesz powozić?” „Przecież po to przyszedłem do miasta”. „Spadłeś nam z nieba - powiadam. - Zanim się obejrzyś, będziesz miał pełne ręce roboty”.

Rozumiesz, Saxon, nie mogliśmy tego zrobić zaraz na miejscu, bo dalej za rogiem stał Tom Scanlon - wiesz, ten młody policjant. Wytrzeszczał na nas oczy, ale z daleka nie mógł nas poznać. No więc poszliśmy we trzech, my z Budem prowadzimy tego durnia, który przyszedł, żeby odebrać nam pracę. Skręciliśmy w wąskie przejście na tyłach sklepu spożywczego Campbella. Ani żywego ducha. Bud zatrzymuje się pierwszy, my z kmiotkiem też przystajemy.

„Nie wydaje mi się, żeby on chciał powozić” - powiada Bud po namyśle. A na to kmiotek prędko: „Jeszcze jak!” „Głowę dajesz, że chcesz tej pracy?” - pytam. Dał głowę. Żeby tam nie wiem co, musi ją dostać. Przecież po to przyszedł do miasta i aż się pali do roboty.

„Cóż, bracie - powiadam - z przykrością muszę cię zawiadomić, żeś się grubo omylił”. „Jakże to?” - pyta nasz chłopina. „Uważaj - mówię mu. - Nadepnąłeś sobie na nogę”. I słowo ci daję, Saxon, ten głupiec spogląda na dół i patrzy na swoje nogi. „Nie rozumiem” - powiada. A ja mu na to: „Zaraz ci wszystko wytłumaczmy”.

No i wtedy się zaczęło - Pac! Buch! Bum! Lu! Fajerwerki na czwartego lipca, przyjdź królestwo twoje! Gwiazdy się sypią, rakiety strzelają - ogień piekielny, słowo daję! Taka

rzecz nie trwa długo, kiedy człowiek bierze się do niej naukowo i przyzwyczajony jest do pracy zespołowej. Jasne, że knykcie się przy tym kaleczą. Ale mówię ci, Saxon, gdybyś widziała tego kmiotka przedtem i potem, myślałabyś, że to artysta cyrkowy, co się na zawołanie zmienia. Śmiałałabyś się! Powiadam ci, pękłabyś ze śmiechu!

Bill umilkł i dał folgę własnej wesołości. Saxon przemogła się i zawtórowała mu, ale w głębi serca czuła przerażenie. Mercedes miała rację. Głupi robotnicy żrą się i walczą o pracę. Mądrzy panowie jeżdżą automobilami i ani się między sobą nie żrą, ani nie walczą. Wynajmują głupców, którzy to za nich robią. Ludzi jak Bert i Frank Davis, jak Chester Johnson i Otto Frank, jak John Brzuchacz i jego detektywi, jak Henderson i łamistrajki - ludzi, których bito do krwi, dziurawiono kulami, wieszano na szubienicy.

- „A niech was” jęczy kmiotek gramoląc się na nogi - ciągnął Bill. - „Czy dalej chcesz tej pracy? - pytam go. Potrząsnął głową. To wtedy odczytałem mu wyrok: „Jedno ci tylko zostało, bracie. Wziąć nogi za pas i z powrotem na farmę. A jak jeszcze raz będziesz się tu pętał, naprawdę się na ciebie pogniewamy. Dzisiaj to była tylko dziecinna zabawa. Ale jak cię drugi raz złapiemy, własna matka cię nie pozna, kiedy do niej wrócisz”.

Trzeba ci go było widzieć, jak pyrgał! Głowę dam, że dotąd jeszcze jest w drodze. A jak wróci do swojego Milpitas czy Kaczego Dołu, czy jak się ta dziura nazywa, i opowie, co chłopcy z Oakland sobie z takimi jak on łazikami... Ach, Saxon, zakład o dolara, że ani jeden kmiotek z jego okolicy nie przyjdzie do miasta powozić, choćby mu obiecali dziesięć dolarów za godzinę.

- To straszne - powiedziała Saxon i zaraz się roześmiała z dobrze udaną pochwałą.

- Ale to jeszcze nic - ciągnął Bill. - Kilku naszych złapało dziś rano innego łamistrajka. Nie zrobili mu nic złego. Mój Boże, nic, ale to nic! W niecałe dwie minuty zmienił się w takiego obdrapańca, jakiego nigdy jeszcze nie widzieli w oaklandzkich szpitalach. Wieczorne gazety wszystko dokładnie wyliczyły: złamany nos, trzy rany w głowie, wybite przednie zęby, pęknięty obojczyk, złamane dwa żebra. Zapewniam cię, że słusznie mu się dostało. Ale to jeszcze nic. Czy wiesz, co woźnice z San Francisco robili podczas wielkiego strajku przed trzęsieniem ziemi? Każdemu przyłapanemu łamistrajkowi gruchotali przedramiona żelaznym drągiem. Żeby nie mógł powozić. Mówię ci, że w szpitalach nie starczało już dla nich miejsca. No i woźnice wygrali strajk.

- Och, Bill! Czy to konieczne, żeby ludzie byli tacy okrutni? Wiem, że to są łamistrajki i że odejmują chleb od ust dzieciom strajkujących robotników po to, żeby go dać własnym dzieciom. Wiem, że to nie jest w porządku i tak dalej. Ale czy mimo to trzeba być aż tak... okrutnym?

- Pewnie, że trzeba - odparł Bill z wiarą we własne słowa. - Musimy nauczyć ich bojaźni bożej... naturalnie w taki sposób, żeby nas przy tym nie złapano.

- A jak was złapią?

- Wtedy związek wynajmuje adwokatów, żeby nas bronili przed sądem, chociaż teraz niewielki z tego pożytek, bo gazety bez przerwy nawołują sędziów, żeby dawali coraz surowsze wyroki. W każdym razie, zanim skończy się ten strajk, całe mnóstwo facetów będzie sobie pluło w brodę, że się brali do łamistrajkowania.

W ciągu następnej półgodziny Saxon z wielką ostrożnością usiłowała wybadać postawę Billa. Chciała się przekonać, czy wierzy w słuszność metod gwałtu, jakie sam stosuje i jakie stosują jego bracia woźnice. Ale normy etyczne Billa były ustalone i niezachwiane. Nie przychodziło mu nigdy do głowy, że może nie mieć absolutnej słuszności. Takie były reguły gry. Schwytny w jej gęste sieci nie zdołałby nawet zrozumieć, że można ją rozgrywać inaczej, niż to robili wszyscy. Nie opowiadał się jednak za dynamitem i morderstwem. Ale związki też się za nimi nie opowiadały. Jakże naiwne były jego wyjaśnienia, że dynamit i morderstwo nie popłacają, gdyż tego rodzaju metoda ściąga na siebie potępienie społeczeństwa i załamuje strajki. Jedyne właściwe i słuszne sposoby, dowodził, to zdrowe wyłożenie skóry łamistrajkowi i „nauczenie go bojaźni bożej”.

- Nasi przodkowie nie musieli robić takich rzeczy - powiedziała Saxon na zakończenie. - Nie mieli ani strajków, ani łamistrajków.

- Pewnie, że nie mieli - przytaknął Bill. - Ale bo też żyli w dawnych, dobrych czasach. Sam chciałbym żyć w takich. - Westchnął głęboko. - Ale tamte czasy skończyły się i nigdy nie wrócą.

- Chciałbyś mieszkać na wsi, Bill? - spytała Saxon.

- Ma się rozumieć - odparł.

- Przecież dużo ludzi dalej żyje na ziemi - podsunęła.

- Owszem żyją, ale jak zauważyłem, szmuglują się do miasta, żeby nam skrać naszą pracę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Błysnął jaśniejszy promyk, kiedy Bill dostał pracę woźnicy przy konstrukcji wielkiego mostu, który budowano właśnie w Niles. Zanim poszedł do roboty, sprawdził, czy jest to praca związkowa. I była to praca związkowa przez całe dwa dni - dopóki betoniarze nie rzucili narzędzi. Firma budowlana najwyraźniej przygotowała się na taką ewentualność, bo natychmiast postawiła na miejsce strajkujących betoniarzy włoskich robotników nie zrzeszonych. Wtedy to przyłączyli się do strajku cieśle, zbrojarze i woźnice, a Bill, nie mając pieniędzy na bilet kolejowy, spędził resztę dnia na pieszej wędrówce do domu.

- Nie mogę pracować jako łamistrajk - powiedział na zakończenie.

- Nie, nie możesz pracować jako łamistrajk - przyznała mu Saxon.

Nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego się tak dzieje, że kiedy ludzie chcą pracować i jest dla nich praca, mimo to nie mogą pracować, ponieważ związek im nie pozwala. Po co istnieją związki? A jeżeli już związki muszą istnieć, dlaczego nie należą do nich wszyscy robotnicy? Nie byłoby wtedy łamistrajków i Bill co dzień chodziłby do roboty. Zastanawiała się też, gdzie i jak zdobyć worek mąki, dawno już bowiem wyrzekła się luksusu kupowania chleba u piekarza. Tyle zaś kobiet w sąsiedztwie robiło to samo, że piekarz, mały Walijczyk, zamknął sklep i wyniósł się wraz z żoną i dwiema córeczkami. Gdziekolwiek Saxon obróciła wzrok, widziała ludzi cierpiących na skutek zaburzeń ekonomicznych.

Pewnego popołudnia obcy mężczyzna zastukał do jej drzwi, a wieczorem Bill wrócił do domu z dziwną nowiną. Nawiązano z nim rozmowę tego dnia. Wystarczy, żeby powiedział słowo, a wróci do stajni jako masztalerz z wynagrodzeniem stu dolarów na miesiąc.

Bliskość takiej sumy, możliwość osiągnięcia jej oszołomiła Saxon; siedzieli właśnie przy kolacji składającej się z gotowanych kartofli, odgrzanej fasoli i małej cebulki, którą jedli na surowo. W domu nie było ani chleba, ani kawy, ani masła. Cebulę Bill wyciągnął z kieszeni - znalazł ją na ulicy. Sto dolarów na miesiąc! Saxon zwilżyła wargi i opanowała się z wysiłkiem.

- Dlaczego zaproponowali ci tę pracę? - spytała.

- To proste - odparł - Mieli do tego sto powodów. Facet, który objeżdża Księcia i Króla, jest dureń. Król okulał w łopatce. Poza tym domyślają się, że to ja unieruchamiam im większość łamistrajków. Dalej: Macklin był ich starszym stajennym od Bóg wie ile lat. Nosilem spodenki do kolan, kiedy on pracował już jako starszy stajenny. No więc Macklin jest chory i nie ma sił do roboty. Muszą znaleźć kogoś na jego miejsce. Dalej jest też ważne,

że pracuję już u nich od bardzo dawna. Ale najważniejsze, że nadaję się do tej roboty. Wiedzą dobrze, że jak mało kto znam się na koniach. Niech diabli - przecież to jedyna robota, do jakiej się nadaję!

- Pomyśl tylko, Bill! - westchnęła. - Sto dolarów na miesiąc!

- I zazdrość własnych towarzyszy - powiedział.

Nie było to pytanie. Ani nie twierdzenie. Saxon mogła zrobić z tego, cokolwiek chciała. Spoglądali na siebie. Czekala, żeby przemówił. Ale on tylko się w nią wpatrywał. Zrozumiała, że stoi przed decydującym momentem w życiu, i zbierała siły, żeby mu sprostać. Bill nie ofiarował jej najmniejszej pomocy. Jakikolwiek był jego pogląd na sprawę, ukrywał go pod maską obojętności. Jego oczy nie zdradzały nic. Patrzył i czekał.

- Nie... nie wolno ci tego robić, Bill - powiedziała w końcu. - Nie wolno ci ich zdradzać.

Jego ręce wyciągnęły się do niej, twarz rozpromienił mu radosny uśmiech.

- Daj rękę, Saxon! - zawołał. - Jesteś najlepsza, najporządniejsza żona na świecie. Gdyby wszystkie żony wszystkich naszych chłopców były takie, wygralibyśmy każdy strajk!

- A co byś zrobił, gdybyś nie był żonaty? - spytała.

- Kazałbym im pójść do wszystkich diabłów!

- W takim razie małżeństwo niczego nie zmienia. Przecież muszę stać przy tobie w każdej twojej walce. Ładna byłaby ze mnie żona, gdybym tego nie robiła.

Przypomniał jej się mężczyzna, który przychodził po południu; wiedziała, że powinna skorzystać z tej tak przychylnej chwili.

- Był tu dziś po południu jeden mężczyzna. Chce wynająć pokój. Powiedziałam mu, że się z tobą porozumiem. Gotów jest zapłacić sześć dolarów miesięcznie za tę małą sypialnię. Pokryłoby to połowę miesięcznej raty za meble i starczyło jeszcze na worek mąki, a mąka już nam się zupełnie skończyła.

W Billu natychmiast zbudziła się dawna niechęć do tego sposobu zarobkowania. Saxon z niepokojem obserwowała jego twarz.

- Pewnie jakiś łamistrajk z zakładów kolejowych - powiedział.

- Nie. Jest palaczem pociągu towarowego na trasie do San José. Nazywa się Harmon, James Harmon. Przenieśli go właśnie z okręgu Truckee. Powiedział, że pracuje na nocnej zmianie i sypia w dzień. Dlatego zależało mu na spokojnym domu, gdzie nie ma dzieci.

W końcu Bill zgodził się, acz bardzo niechętnie. Saxon długo musiała mu tłumaczyć, jak niewiele przyda jej to pracy. Ale nawet gdy powziął już decyzję, dodał z niezadowoleniem:

- Nie chcę, żebyś słała łóżka obcym mężczyznom. To nie jest w porządku. Sam powinienem ci zapewnić utrzymanie.

- I zapewniłbyś - odcięła się Saxon - gdybyś przyjął tę pracę w stajni. Ale nie możesz jej przyjąć. To też nie byłoby w porządku. Jeżeli masz mieć we mnie oparcie; musisz mi pozwolić, żebym ci pomagała.

Okazało się, że James Harmon sprawiał mniej kłopotu, niż Saxon przewidywała. Jak na palacza był człowiekiem niezwykle czystym i przed powrotem do domu mył się w parowozowni. Miał klucz od drzwi kuchennych i używał zawsze kuchennego wejścia. Z Saxon zamieniał najwyżej krótkie „dzień dobry” lub „do widzenia”, a ponieważ sypiał w dzień i pracował w nocy, minął cały tydzień, zanim go Bill zobaczył.

Bill zaczął coraz później wracać do domu i często sam wychodził po kolacji. Nie tłumaczył się Saxon, dokąd idzie. A ona go nie pytała. Zresztą bez trudu mogła to odgadnąć, bo zapach whisky buchał od niego w takich momentach. Jego powolny, pełen rozważli i namysłu sposób bycia stawał się jeszcze powolniejszy. Alkohol nie szedł mu w nogi. Krok miał tak pewny, jak gdyby nic nie pił. Nie było wahania, nie było niepewności w jego ruchach. Alkohol uderzał mu do głowy, chmurne światło w źrenicach stawało się jeszcze chmurniejsze, powieki do połowy przesłaniały oczy. Ale bynajmniej nie robił się w takich wypadkach nerwowy, popędliwy czy rozdrażniony. Przeciwnie - pod wpływem whisky jego procesy myślowe nabierały powagi i głębi. Mówił mało, ale się odzywał, były to słowa złowróznej wyroczni. Jego sąd bywał wtedy nieodwołalny. Żadna dyskusja nie wchodziła w rachubę. Był wszechwiedzący jak Bóg.

Trzeba przyznać, że nie pokazywał się Saxon od najlepszej i najładniejszej strony. Miewała niekiedy takie uczucie, jak gdyby obcy człowiek zamieszkał nagle pod jej dachem. Mimowolnie zaczęła się oddalać od niego. I niewielką pociechę przynosiła jej myśl, że Bill nie jest teraz sobą, pamiętała bowiem dobrze jego dawną łagodność, dobroć, delikatność. W tamtych czasach starał się usilnie unikać wszelkich bójek i awantur. Dzisiaj sprawiały mu one przyjemność, rozkoszował się nimi. Wszystko to uwidoczniło się na jego twarzy. Nie był już uśmiechniętym chłopcem o miłej powierzchowności. Uśmiechał się rzadko. Jego twarz nabrała cech męskich. Usta, oczy; linie wokół ust były tak surowe, jak surowe były jego myśli.

Rzadko bywał dla Saxon przykry. Ale rzadko też bywał dla niej miły. Jego stosunek do żony stawał się po trochu obojętny. Przestała go interesować. Mimo że ramię przy ramieniu prowadziła z nim walkę, mało miejsca zajmowała w jego myślach. Rozumiała zresztą, że dobrotliwa łagodność, jaką jej niekiedy okazywał, jest machinalna, podobnie jak

czułe słowa i pieszczoty są tylko nawykiem: zniknęła z nich żywiołowość, zniknęło ciepło. Często, kiedy nie pił, dostrzegała w nim przebliski dawnego Billa, ale czasem i one stawały się coraz rzadsze. Myśli miał zajęte czymś innym; ciężkie czasy i pełna zaciętości walka ekonomiczna wycisnęła na nim swe piętno. Zwłaszcza uwidoczniło się to nocą, gdy męczyły go zmyry przerażających snów, gdy jęczał i mamrotał, gdy twarz przebiegały mu skurcze, a z gardła wyrywały się i zamierały na wargach straszliwe przekleństwa. Leżąc przy nim, lękając się tego obcego mężczyzny obok w łóżku, Saxon wspominała, co Mary mówiła jej o Bercie. Bill też przeklinał i zaciskał pięści, nocą ponownie przeżywał burzliwe zdarzenia dnia.

Z jednego wszakże Saxon jasno zdawała sobie sprawę. Bill stał się tym innym, odpychającym Billem wbrew swoim intencjom. Gdyby nie strajk, gdyby nie walka o pracę istniałby tylko ów dawny Bill, którego kochała bez zastrzeżeń. Bestia śpiąca w nim spałaby nadal. Było to coś, co zostało w nim rozbudzone, jakiś obraz odzwierciedlający zewnętrzne warunki - nie mniej od tych warunków okrutny, przerażający i wrogi. Saxon obawiała się, nie bez słuszności, że jeśli strajk potrwa dłużej, to inne i straszne ja Billa nabierze pełniejszych i ohydniejszych kształtów. Wiedziała zaś, że stanie się to nieuchronnym końcem ich miłości. Takiego Billa nie mogłaby kochać; z samej natury rzeczy taki Bill nie był zdolny do miłości i nie mógł być kochany. A myśl o konsekwencjach tego Saxon dygotała. Były one przerażające. Gdy snuła podobne rozmyślenia, z duszy jej wyrywała się odwieczna skarga człowieka: - Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Również Bill miał swoje pytania, na które nie znajdował odpowiedzi.

- Dlaczego budowlani nie przyłączą się do strajku? - rzucał gniewnie w mrok spowijający życie i świat. - Ani myślą się przyłączyć. O'Brien nie uznaje strajków, a przecież on trzyma w garści całą radę związku robotników budowlanych. Ale w takim razie dlaczego nie wywalą go i nie rzuca pracy? Zwyciężylibyśmy wtedy na całej linii. Tymczasem nie - O'Brien trzyma ich za twarz, a sam siedzi po uszy w przekupstwach i brudnej polityce! I niech diabli Federację Związków! Gdyby zastrajkowali wszyscy kolejarze, robotnicy z warsztatów nie dostaliby po skórze. Psiakrew, od wieków nie paliłem przyzwoitego tytoniu i nie piłem uczciwej kawy. Zapomniałem, jak smakuje porządne jedzenie. Zważyłem się wczoraj. Od wybuchu strajku ubyło mi piętnaście funtów. Jeżeli tak dalej pójdzie, będę mógł walczyć w wadze średniej. A dzieje się tak, chociaż od Bóg wie ilu lat płacę składki na związek. Nie mogę najeść się do syta, a moja żona musi słać łóżka obcym mężczyznom. Od samego myślenia o tym robi mi się czerwono przed oczami. Jak się kiedyś wścieknę, wyrzucę za drzwi tego lokatora...

- Bill! Przecież to nie jego wina! - oburzyła się Saxon.

- A kto mówi, że jego? - warknął Bill. - Nie mogę mówić ogólnie, jak mi przyjdzie na to ochota? Tak czy siak, mam tego po uszy. Co za korzyść ze zorganizowanej klasy robotniczej, kiedy nie potrafi zdobyć się na solidarność? Za dwa centy podwyżki cisnąłbym to wszystko i przeszedł na stronę pracodawców. Tylko że tego nie zrobię, niech ich diabli!

Jak im się zdaje, że mogą nas zmusić do posłuszeństwa, to niech spróbują! Ale swoją drogą nie mieści mi się to w głowie. Cały świat zwyczajnie zwariował. W niczym nie ma ani krztyny sensu. Po co właściwie popierać związek, który nie potrafi wygrać strajku? Co za sens rozbijać łby łamistrajkom, jeżeli coraz więcej ciągnie ich do miasta. Wszystko to jest całkiem pomylone, a mnie też już niewiele brakuje.

Taki wybuch był u Billa czymś niezwykłym; zdarzył się tylko ten jeden jedyny raz. Zazwyczaj bywał ponury, małomówny i zamknięty w sobie. A whisky tylko go utwierdzała w przekonaniach.

Któraś wieczora Bill wrócił do domu dopiero o północy. Niepokój Saxon był tym większy, że doniesiono jej o ulicznych starciach z policją. W końcu Bill przyszedł, a jego wygląd zdawał się potwierdzać obiegające pogłoski. Rękawy kurtki miał wyszarpane z pach, krawat zniknął spod miękkiego wykładanego kołnierzyka, u koszuli brakowało guzików. Gdy zdjął kapelusz, przerażona Saxon zobaczyła na jego głowie guz wielkości sporego jabłka.

- Wiesz, kto to zrobił? Ten holenderski łajdak Hermanmann. Pałką! Dostanie on za to któregoś pięknego dnia. I jeszcze na jednego faceta mam oko. Rozprawię się z nim, kiedy skończymy strajk i wszystko się uspokoi. Taki facet nazwiskiem Blanchard, Roy Blanchard.

- Chyba nie z firmy „Blanchard, Perkins i Spółka”? - spytała Saxon. Obmywała skaleczenie Billa i jak zwykle wszelkimi sposobami usiłowała przywrócić mu spokój.

- Owszem. Tylko że to jest syn właściciela. Jak myślisz, co on robi, ten gagatek, który w życiu nie przyłożył ręki do uczciwej pracy i tylko szasta pieniędzmi starego? Idzie i bierze się do rozbijania strajku. Popisuje się przed publiką - powiadam ci, że o to mu tylko chodzi. Gazety o nim piszą, a dzierlatki, z którymi lata, aż się zachłystują z podziwu. „Och, ach! Co za zuch z tego Roya Blancharda! Co za zuch!” Zuch - rzeczywiście! Jeszcze się ten zuch przekona, jak smakuje prawdziwe bicie! Nigdy w życiu tak mnie ręka nie świerbiła.

I myślę, że ten holenderski policjant też mnie dobrze popamięta. Dzisiaj mu się zdrowo dostało. Ktoś rozwalił łajdakowi łeb kawałkiem węgla wielkości wiaderka na wodę. Było to akurat, kiedy wozy skręcały z Ósmej we Franklina, pod starym hotelem „Galindo”. Wywiązała się tam ostra walka i jakiś facet z hotelu wyrzucił ten kawał węgla z okna pierwszego piętra.

Walczyliśmy krok za krokiem, całą drogę - cegły, brukowce, no i na dodatek policyjne

pałki. Nie odważyli się wezwać wojska do pomocy. I bali się strzelać. Robiliśmy sieczkę z policjantów. Ambulanse i wozy policyjne zdrowo musiały się napracować. Ale pomyśl tylko, Saxon - zablokowaliśmy pochód na rogu Czternastej i Broadwayu, pod samym ratuszem. Zaszliśmy ich od tyłu i, odcięliśmy zaprzęgi od pięciu wozów i w przejściu zostawiliśmy kilka małych pamiątek tym lalusiom z uniwersytetu. Od szpitala uratowała ich tylko rezerwa policji. W każdym razie trzymaliśmy tam to bractwo całą godzinę. Trzeba ci było widzieć, Saxon, te sznury tramwajów - na Broadwayu, na Czternastej, na San Pablo, jak okiem sięgnąć, wszędzie tramwaje!

- Ale co takiego zrobił ten Blanchard? - spytała Saxon.

- Jechał na czele i powoził moim zaprzęgiem. Wszystkie zaprzęgi były z naszych stajni. Skrzyknął się z kolegami - sami faceci, co żyją z pieniędzy swoich ojców. Przyjechali do stajni wielkimi autokarami, zaprzęgli konie i wyprowadzili wozy, a do pomocy mieli połowę oaklandzkiej policji. Saxon, co to był za dzień! Brukowce spadały jak deszcz z nieba. I trzeba ci było słyszeć stuk pałek o nasze głowy - trrrach, trrrach, trrrach! A zanim przedostaliśmy się na ulicę Peraltel, policja nas zaatakowała, sam komendant był z nimi, siedział niczym Bóg wszechmocny w swoim policyjnym aucie. Właśnie wtedy jakaś stara kobiecina stojąca przed furtką swojego domu cisnęła mu w twarz zdechłego kota. Tfu! Sam słyszałem, jak plasnęło. „Zaareztować tę kobietę!” - ryknął i wyciągnął chustkę z kieszeni. Ale chłopcy sprali policjantów, którzy biegli do staruszki, i pomogli jej uciec. Niezły dzień, co? No chyba! W szpitalu miejskim zabrakło miejsc, więc nadprogramowe numery kierowali do szpitala Marii, do Fabioli - sam już nie wiem dokąd. Ośmiu naszych zabrały ambulanse. I kilkunastu związkowców z San Francisco, którzy przyszli nam pomóc. Ależ to diabły wcielone ci związkowcy z San Francisco! Wyglądało na to, że przyłączyła się do nas połowa oaklandzkiej braci robotniczej. Kupa ich siedzi teraz pod kluczem. Nasi adwokaci będą musieli ich bronić.

Ale możesz mi wierzyć na słowo, Saxon, że Roy Blanchard i jego koleżkowie nie będą więcej wścibiali nosa do nie swoich spraw. Pokazaliśmy im niezły taniec. Pamiętasz ten murowany dom, który budują na ulicy Morskiej? No więc w tym miejscu zaatakowaliśmy ich po raz pierwszy. I wiesz, co ci powiem? W powietrzu aż się ciemno zrobiło od cegieł, kiedy wozy wyjechały ze stajni. Blanchard powoził pierwszym wozem i raz cegła zwała go z siedzenia, ale wygramolił się na kozioł i został.

- Musi być z niego odważny człowiek - zauważyła Saxon.

- Odważny? - wrzasnął wściekle Bill. - Kiedy ma za sobą całą policję, całą armię i marynarkę? Widzę, że jeszcze trochę, a przejdiesz na ich stronę! Odważny? Okrada z

jedzenia nasze żony i dzieci! Nie wiesz może, że dziecko Curleya Jonesa umarło ostatniej nocy z głodu? Pokarm matki za mało był pożywny, bo kobieta nie jadła jak trzeba. A oboje wiemy, ile starych ciotek i kuzynek poszło ostatnio do przytułków, bo rodziny w tych ciężkich czasach nie mogą im dać utrzymania.

W gazecie porannej Saxon przeczytała żywy opis daremnej próby złamania strajku woźniców. Roya Blancharda obwołano bohaterem i uczyniono zeń wzór wszelkich cnót obywatelskich - naturalnie z klasy bogaczy. A Saxon w żaden sposób nie mogła stłumić uczucia podziwu dla jego odwagi. Dalej gazeta cytowała słowa pewnego generała brygady regularnej armii, który ubolewał, że nie wezwano wojska, by rozprawiło się należycie z tłumem i przywróciło praworządność. „Czas najwyższy upuścić nieco krwi. Okaże się to na pewno zbawiennym zabiegiem”. Skrytykowałszy wpieryw łagodne metody policji, generał kończył swoje uwagi tymi słowami: „Dopóki motłoch nie zostanie ujarzmiony i nie nauczy się moresu, nie będziemy mieli spokoju”.

Tego wieczora Saxon i Bill poszli do miasta. Gdy wróciwszy do domu nie znaleźli nic do jedzenia, Bill wziął ją pod rękę, przez drugie zaś ramię przewiesił swój płaszcz. Zastawił płaszcz w lombardzie wujaszka Sama, po czym zjedli z Saxon kolację w japońskiej restauracji, gdzie za dziesięć centów - rzecz granicząca niemal z cudem - najedli się prawie do syta. Po kolacji postanowili wydać jeszcze pięć centów na bilety do kina.

W pobliżu Banku Centralnego podeszli do Billa i zabrali go z sobą dwaj strajkujący woźnice. Saxon czekała na rogu, a gdy po trzech kwadransach wrócił, zauważyła, że pił.

Nieco dalej, gdy mijali kawiarnię „Forum”, Bill nagle zatrzymał się w miejscu. Przy krawężniku stała limuzyna, do której wytworny młody człowiek pomagał wsiadać kilku strojnym kobietom. Za kierownicą siedział szofer.

Bill dotknął ramienia młodzieńca. Był to mężczyzna o barach tak szerokich jak u Billa i trochę od niego wyższy. Oczy miał niebieskie, twarz męską; zdaniem Saxon był bardzo przystojny.

- Jedno słówko, bracie - powiedział Bill powoli i cicho.

Młodzieniec obrzucił szybkim spojrzeniem Billa i Saxon, a potem spytał niecierpliwie: - Tak, słucham.

- Nazywasz się pan Blanchard - zaczął Bill. - Widziałem pana wczoraj, jak prowadziłeś wozy ulicami.

- Czyżbym to robił nieumiejętnie? - spytał Blanchard rzucając na Saxon przelotne spojrzenie.

- Owszem, nie najgorzej, ale nie o tym chciałem mówić.

- Kim pan jesteś? - spytał tamten z nagle rozbudzoną podejrzliwością.

- Jestem strajkującym woźnicą. Tak się złożyło, żeś pan powoził moim zaprzęgiem. To wszystko... Nie, nie ma potrzeby - dodał, gdy Blanchard sięgał do bocznej kieszeni po rewolwer. - Nie mam zamiaru rozpoczynać teraz bójki. Ale chcę panu coś powiedzieć.

- W takim razie proszę się pośpieszyć.

Blanchard postawił już jedną nogę na stopniu samochodu.

- Już lecę - odparł Bill z tą samą co zwykle powolnością. - Chcę panu powiedzieć, że mam zamiar sprawić panu zdrowe bicie. Nie teraz, kiedy trwa strajk, ale potem, jak się wszystko uspokoi, dostanę pana w swoje ręce i nie będę żałował pięści.

Blanchard obejrzał Billa ciekawie, po czym w jego oczach pojawił się błysk uznania.

- Nie jesteś ułomek - powiedział wreszcie. - Ale czy myślisz, że dasz mi radę?

- Ma się rozumieć. Jesteś pan w sam raz na moją miarę.

- A więc dobrze, przyjacielu. Przyjdź do mnie, kiedy skończy się strajk. Popróbujesz się.

- Niech pan pamięta - dodał Bill. - Mam pana na oku.

Blanchard skinął głową, uśmiechnął się do nich obojga przyjaźnie, uchylił przed Saxon kapelusza i wsiadł do samochodu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Odtąd życie wydało się Saxon pozbawione wszelkiego sensu. Przemieniło się w bzdurę, w koszmar. Każdy bezsens stał się możliwy. W anarchicznym biegu wydarzeń, który porwał ją ze sobą i niósł ku nieuniknionej katastrofie, nie było nic stałego. Gdyby mogła polegać na Billu, zniosłaby wszystko. Gdybym miała w nim oparcie, nie lękałaby się niczego. Ale zabrał go jej, porwał obłądny wir wypadków. Bill tak zupełnie się odmienił, że był teraz intruzem w domu. Duchowym intruzem, inny człowiek wзираł z jego oczu - człowiek, którego myśli wypełniał gwałt i nienawiść; człowiek, który w niczym nie dostrzegał dobra i który stał się zapalonym orędownikiem zła rozszalałego i powszechnego. Ten człowiek nie potępiał już Berta; sam wypowiadał niejasne słowa o dynamicie, sabotażu i rewolucji.

Saxon starała się ze wszystkich sił zachować słodycz i chłód duchowy i cielesny, tak niegdyś miłe Billowi. Raz tylko straciła panowanie nad sobą. Był w szczególnie przykrym usposobieniu i jakaś niesprawiedliwa, grubiańska uwaga dotknęła ją do żywego.

- Jak śmiesz mówić do mnie w taki sposób? - zawołała zapalczywie. Oniemiał i zmieszany wpatrywał się w jej twarz, bladą z gniewu.

- Nie waż się tak do mnie więcej odzywać! - dorzuciła.

- Że też nie potrafisz darować człowiekowi, jak czasem wybuchnie - powiedział na pół przepraszająco, na pół wyzywająco. - Bóg jeden wie, że dość mam powodów, żeby dostać bzika.

Gdy wyszedł, rzuciła się na łóżko i płakała rozpaczliwie. Bo choć zaznawała w miłości tylu upokorzeń, była kobietą dumną. Tylko dumni zdolni są do pokory, tak jak tylko silni potrafią się zdobyć na prawdziwą łagodność. Ale co jest warta, zapytywała się w duchu, jej własna dzielność i własna duma, skoro jedyny człowiek, który coś dla niej znaczy, wyzbył się dumy, zatracił poczucie sprawiedliwości i zrzucił na jej barki gorszą część wspólnej troski?

I tak jak samotnie musiała się borykać z głębszym, niejako organicznym bólem po stracie dziecka, tak też teraz samotnie stanęła przed inną i większą troską osobistą. Być może nadal kochała Billa, ale jej miłość zmieniała się powoli w uczucie mniej dumne, mniej pewne, mniej ufne; zabarwiona była litością - tą szczególną odmianą litości, która bliska jest politowania. Zaczynała się już chwiać w swej lojalności i drżała z przerażenia na myśl o pogardzie, która mogła niebawem zakraść się do jej serca.

Starała się zebrać siły, by sprostac sytuacji. Przebaczyła mu i doznała ulgi, ale zaraz

przyszła myśl, że w wielkiej, prawdziwej miłości nie ma miejsca na odpuszczanie winy. Znowu zalała się łzami, znowu podjęła swą walkę. W każdym razie jedna rzecz była bezsporna. Nie jest to już ten Bill, którego kiedyś kochała. Ten obecny Bill jest innym człowiekiem - tak nieodpowiedzialnym, jak chory bredzący w malignie. Musi być jego pielęgniarzką - pozbawioną dumy, nie odczuwającą pogardy, nie mającą nic do przebaczenia. A zresztą to przecież on dźwiga cały ciężar walki, on przebywa wciąż w jej ogniu, jego oszałamiają ciosy, które zadaje, i te, które otrzymuje. Wszystko to nie jest jego winą. Błędu należy doszukiwać się gdzie indziej - gdzieś w splątanym układzie warunków życia, które każą mężczyznom żreć się i walczyć jak psy o kość.

Tak więc Saxon otarła oczy i włożyła swą zbroję, przygotowując się do najcięższej ze wszystkich walk prowadzonych na arenie świata - do walki kobiety o mężczyznę. Odegnęła od siebie wszelkie wątpliwości, wszelką nieufność. Nie wybaczała nic, bo nie miała co wybaczać. Rozbudziła w sobie na nowo niezachwianą wiarę, że nic ich miłości nie zbruka, nic nie zakłóci - że jest ona tak piękna, jak była dawniej, jak będzie znowu; kiedy świat zacznie znów kierować się rozsądkiem. Gdy tego wieczoru Bill wrócił do domu, Saxon zaproponowała, że weźmie się na nowo do haftu i szycia, pomagając mu w ten sposób utrzymywać dom, dopóki nie skończy się strajk. Ale Bill nawet nie chciał o tym słyszeć.

- Już ty sobie o te rzeczy nie susz głowy - zapewniał ją wielokrotnie - Nie ma potrzeby, żebyś pracowała. W końcu tygodnia będę miał pieniądze. Wszystkie je ode mnie dostaniesz. A w sobotę wieczór pójdziemy do teatru, do prawdziwego teatru, nie do żadnego kina. Do miasta przyjeżdża zespół śpiewaków murzyńskich Herveya. Pójdziemy w sobotę. Będę miał te pieniądze przed sobotą, głowę ci daję.

W piątek wieczór nie przyszedł na kolację. Saxon zmartwiła się, gdyż Maggie Donahue oddała jej pożyczony w ubiegłym tygodniu garnek kartofli i dwie kwarty mąki, tak że w domu czekał Billa królewski posiłek. Trzymała ogień pod kuchnią do dziewiątej, kiedy to wbrew woli i chęci położyła się do łóżka. Wolałaby na niego czekać, nie śmiała jednak; wiedziała dobrze, jakie to zrobi na nim wrażenie, jeżeli wróci do domu podpity.

Zegar wybił pierwszą, gdy usłyszała trzask zamykanej furtki. Powoli, ciężko, złowroźnie wchodził na stopnie, długo gmerał przy zamku. Wszedł do sypialni. Słyszała, jak westchnął siadając. Leżała cicho, zrozumiała już bowiem, że pod wpływem alkoholu człowiek staje się przewrażliwiony; strzegła się, aby go nie zranić choćby świadomością, że czuwa czekając na niego. Nie przychodziło to łatwo. Zaciśnęła dłonie, aż paznokcie wpiły się w skórę, ciało zaś zeszytniało w nadludzkim wysiłku zachowania spokoju. Nigdy jeszcze nie wrócił do domu w takim stanie.

- Saxon - zawołał zduszonym głosem. - Saxon.

Poruszyła się i ziewnęła.

- Co to? - spytała.

- Możesz zapalić lampę? Palce mam jak kołki.

Nie patrząc w jego stronę zrobiła, jak prosił, ale ręce drżały jej tak gwałtownie, że szkło lampy zadzwoniło o oprawkę i zapalka zgasła.

- Nie jestem pijany - powiedział w ciemności. W jego głosie zabrzmiała nuta jakby rozbawienia. - Dostało mi się tylko... kilka razy.

Druga próba z lampą powiodła się. Saxon spojrzała na Billa i krzyknęła przeraźliwie. Chociaż słyszała jego głos i wiedziała, że to on, w pierwszym momencie nie poznała go. Była to twarz najzupełniej obca. Opuchnięta, pokaleczona, sina, o rysach zniekształconych od ciosów. Jedno oko zamknęło się zupełnie, drugie spoglądało przez szparę w nabiegłych krwią powiekach. Skóra na jednym uchu była prawie zupełnie zdarta. Cała twarz mu obrzękła, zwłaszcza zaś prawa strona zdawała się dwa razy szersza od lewej. Nic dziwnego, że mówił tak niewyraźnie, pomyślała Saxon spoglądając na straszliwie pocięte, wciąż krwawiące wargi. Przeraził ją ten widok. Serce wezbrało jej wielką czułością do Billa. Pragnęła wziąć go w ramiona, utulić i pocieszyć, ale zmysł praktyczny kazał jej postąpić inaczej.

- Mój ty biedaku! - zawołała. - Powiedz mi, co mam zrobić. Nigdy nie miałam do czynienia z czymś takim.

- Gdybyś mi pomogła zdjąć ubranie - poprosił głosem pokornym i zduszonym. - Włożyłem je, zanim mi mięśnie zeszywniały.

- A potem przygotuję ciepłej wody. To na pewno dobrze zrobi - mówiła ściągając delikatnie rękaw kurtki przez opuchniętą, bezkształtną dłoń.

- Mówiłem ci, że palce mam jak kołki - wymamrotał krzywiąc się. Podniósł rękę i przyglądał jej się przez szparę w powiece.

- Siądź i poczekaj, aż rozpalę ogień i nastawię wodę. To nie potrwa minuty. Potem skończę cię rozbierać.

Słyszała z kuchni, że mamroce coś do siebie, a gdy wróciła do pokoju; powtarzał w kółko: - Tak nam były potrzebne pieniądze, Saxon. Tak nam były potrzebne.

Widziała wyraźnie, że nie pił, ale ze sposobu mówienia domyśliła się, że nie jest zupełnie przytomny.

- A niech go, zrobił wszystkim niespodziankę - ciągnął chaotycznie Bill, gdy ostrożnie ściągала z niego ubranie. - Był wielką niewiadomą z Chicago. Sekretarz Klubu Acme

ostrzegał mnie, że będę miał ręce pełne roboty. Wygrałbym, gdybym był w dobrej kondycji. Ale jak człowiek straci piętnaście funtów i nie trenuje, co mu tam marzyć o ringu. Poza tym piłem ostatnio dużo i zrobił mi się krótki oddech.

Ściągając z niego podkoszulek Saxon nie słyszała i nie rozumiała, co do niej mówi. Tak jak nie poznała twarzy Billa, tak też nie mogła poznać jego wspaniałych muskularnych pleców. jedwabista, gładka skóra była pocięta i nabiegła krwią. Krwiste pręgi występowały najczęściej w liniach poziomych, chociaż tu i tam zdarzały się pionowe rozdarcia.

- Skąd się to wszystko wzięło? - spytała.

- Liny. Nie pamiętam już, ile razy byłem na linach! Nie ma co, sprawił mi zdrowe lanie. Ale go przetrzymałem. Nie mógł mnie położyć na deski. Dotrwałem do końca ostatniej rundy i mogę cię zapewnić, że mu zostawiłem sporo pamiątek. Niech skisnę, jeżeli nie ma złamanych dwóch knykciów u lewej ręki. Dotknij mojej głowy, o, w tym miejscu. Spuchnięte, co? No pewnie! Chłopczyna gorzko teraz żałuje, że tyle razy mnie tu uderzył. Ale co za bicie! Co za bicie! Jak długo żyję, nie zdarzyło mi się coś podobnego. Postrach Chicago... tak go nazywają. Zdejmuję kapelusz i nisko się kłaniam. Klasa bokser. Ale dałbym mu radę, gdybym był w dobrej kondycji i miał dobry oddech... Auu! Och! Na Boga, uważaj. To boli jak wrzód!

Przy odpinaniu paska ręka Saxon natrafiła na rozogniony obrzęk wielkości talerza.

- To od ciosów w nerki - wyjaśnił Bill. - Szelma, jest od tego specjalistą. Prawie w każdym zwarcu częstował mnie pięścią w to miejsce. Tak bolało, że o mało nie wyłem... dopóki nie zmaćło mi się w głowie. wtedy nie bardzo wiedziałem, co się ze mną dzieje. Taki cios na deski nie położy, ale na dłuższą metę jest piekielnie męczący. Wybija z człowieka całą siłę.

Obnażywszy mu nogi Saxon zobaczyła, że skóra z kolan jest niemal zupełnie zdarta.

- Kolana nie są zrobione do tego, żeby utrzymywać ciężar takiego wielkiego chłopca jak ja - pośpieszył z wyjaśnieniem. - A brezent na deskach wrzynał się w skórę jak wszyscy diabli.

Łzy napłynęły Saxon do oczu z litości nad zmaltretowanym ciałem jej pięknego, a tak teraz chorego chłopca.

Gdy szła przez pokój niosąc spodnie do szafy, zabrzęczały pieniądze. Przywołał ją z powrotem i wyciągnął z kieszeni garść srebra.

- Tak nam były potrzebne te pieniądze... Tak nam były potrzebne - mamrotał w kółko. Saxon wiedziała, że znowu jest w malignie.

W sercu poczuła skurcz bólu na wspomnienie złych myśli, które w ciągu ubiegłego

tygodnia podważały jej lojalność wobec męża. A przecież Bill, ten wspaniały okaz męzczyzny, jest tylko chłopcem - jej chłopcem. Zniósł straszne cierpienia dla niej, dla domu, dla mebli, które są ich meblami i ich domem. Powiedział to teraz, gdy nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co mówi. Powiedział: „Tak NAM były potrzebne te pieniądze. A więc wbrew temu, co sobie wyobrażała, nie wygnał jej ze swych myśli. NAM były potrzebne pieniądze. NAM!

Gdy pochyliła się nad nim, łzy płynęły jej po policzkach i kochała go tak, jak chyba nigdy dotąd.

- Weź. Policz - rzekł rezygnując z daremnego wysiłku. -... Ile jest?

- Dziewiętnaście dolarów i trzydzieści pięć centów.

- Zgadza się... Nagroda pocieszenia... Dwadzieścia dolarów... no i zapłaciłem za tramwaj. Gdybym zwyciężył, dostałbym sto dolarów. O tę setkę walczyłem. Mielibyśmy przez jakiś czas święte życie. Weź te pieniądze. Lepsze to niż nic.

Położyła go do łóżka, ale z bólu nie mógł zasnąć. Mijały godziny, a ona wciąż zmieniała mu gorące kompresy na guzach i sińcach, wcierała z najczulszą delikatnością maść w miejsca opuchnięte i zadrapanie. Bill nadal ciągnął swą chaotyczną opowieść, od czasu do czasu przeplatając słowa jękiem. Przeżywał na nowo walkę, znajdował ulgę mówiąc Saxon o swym rozczarowaniu, zamartwiał się stratą pieniędzy i przyznawał otwarcie do zranionej dumy. Bardziej cierpiał z powodu zranionej dumy niż z powodu ran cielesnych.

- Tak czy siak, nie dał rady mnie znokautować. A mógł grzmocić, jak chciał, kiedy byłem za bardzo zmęczony, żeby podnieść rękę do gardy. Sala wpadła w szal. Pokazałem im, co znaczy mieć krzepę. A chwilami on tylko markował - tak go wypompowałem w pierwszych rundach. Nawet nie wiem, ile razy rzucił mnie na deski. Wszystko zrobiło się potem takie zamazane...

Chwilami, pod koniec walki, widziałem go na raz w trzech miejscach na ringu i nie miałem pojęcia, którego grzmocić, a przed którym robić uniki...

Ale go przechrzyłem. Kiedy już nic nie widziałem i nic nie czułem, i kiedy kolana się pode mną uginały, odpoczywałem sobie w zwarciu. Głowę dam, że sędziego ringowego ręce dotąd bołą, tyle razy musiał rozrywać zvarcie...

Ale co za bicie! Co za bicie! Słuchaj, Saxon... gdzie ty jesteś? Och, tu... tak? Coś mi się chyba przyśniło. Ale pamiętaj, niech to będzie dla ciebie nauczka. Złamałem słowo, poszedłem walczyć i widzisz, jak to się skończyło? Przyjrzyj mi się dobrze i niech to będzie dla ciebie ostrzeżenie, żebyś sama nie zrobiła tego błędu i nie zaczęła sprzedawać swoich robótek.

Ale ja ich nabrałem... wszystkich ich nabrałem. Na początku zakładali się jeden do jednego. Przy szóstej rundzie mądrale proponowali dwa do jednego przeciwko mnie. Byłem już skończony... każdy to widział. Tylko że on w żaden sposób nie mógł mnie wyliczyć do dziesięciu. W dziesiątej rundzie zakładali się, że nie wytrzymam do końca tej rundy. W jedenastej proponowali zakłady, że się skończę przed piętnastą. A ja mimo wszystko wytrzymałem dwadzieścia. Ale dostało mi się bicie... Och, Saxon... takie bicie!

Wiesz, przez cztery rundy w ogóle nie miałem pojęcia, co się ze mną dzieje... tyle tylko, że stałem na nogach i walczyłem albo leżałem na deskach do ośmiu i wstawałem, i kryłem się za gardą, robiłem uniki, odskakiwałem... Tak naprawdę, to nie wiem, jak to było, bo byłem nieprzytomny, ale musiało chyba tak być. Nie pamiętam ani jednego momentu od trzynastej rundy, kiedy walnąłem głową o słupek, aż do osiemnastej...

O czym to ja mówiłem? Ach tak... No więc otwieram oczy, a właściwie jedno oko, bo już tylko jedno mogłem otworzyć. Siedzę w moim rogu, rozcierają mi ciało ręcznikami, amoniak podtykają pod nos. Bill Murphy przykłada mi kawałek lodu do karku. A po drugiej stronie ringu widzę Postrach Chicago... Dobrze musiałem wysilić mózgowicę, zanim sobie przypomniałem, że z nim walczę. Miałem takie uczucie, jakbym wrócił skądś z bardzo daleka. „Która to runda będzie teraz?” - pytam Billa. „Osiemnasta” - odparł Bill. „Głupstwa mówisz - ja mu na to. - Pamiętam, że ostatnia była trzynasta. Co się stało z tamtymi rundami?” „Jesteś fenomenem - mówi Bill. - Byłeś nieprzytomny przez cztery rundy, tylko że oprócz mnie nikt o tym nie wiedział. Cały czas cię namawiałem, żebyś zszedł z ringu”. Właśnie wtedy rozległ się gong i zobaczyłem, że Postrach wstaje i idzie w moją stronę. „Poddaj się” - mówi Bill i już chce rzucić ręcznik na środek ringu. „Za skarby świata - odparłem. - Zostaw ten ręcznik”. Ale on dalej mnie namawiał, żebym zszedł z ringu. Tymczasem Postrach znalazł się już w moim rogu i stał z opuszczonymi rękami, i tylko na mnie patrzył. Sędzia też się we mnie wpatrywał i na sali było cicho jak w kościele. W głowie mi się trochę przejaśniło, ale nie za bardzo.

„Daj spokój, i tak nie wygrasz” - mówi Bill.

„Przekonasz się jeszcze, czy nie wygram” - ja mu na to. I zaraz skoczyłem do Postracha, czego on się wcale nie spodziewał. W głowie tak mi się kręciło, że nie ustalbym w miejscu, ale rozpedziłem się i przegnałem go przez cały ring do jego rogu, gdzie się potknął i upadł, a ja grzmotnąłem na niego. Słuchaj, sala zupełnie oszalała...

Gdzie to ja byłem? W głowie mi się kręci i tak szumi, jakby mi tam cały rój pszczół siedział...

- Zwaliliś się właśnie na niego w jego rogu - podsunęła prędko Saxon.

- A tak. No więc podnieśliśmy się, a że ja ustać nie mogłem, z powrotem przegnałem go przez ring do mojego rogu i znów na niego upadłem. To było zwykłe szczęście. Wstaliśmy i byłbym upadł, tylko że oparłem się o niego w zwarciu...

„Mam cię, bratku - powiadam. - I zaraz zrobię z ciebie sieczkę”.

To była bujda, ale chodziło mi o to, żeby go trochę nastraszyć. I udało mi się, bo jak tylko sędzia rozerwał zvarcie, ulokowałem mu dobry cios w żołądku, przez co trochę się uspokoił i zrobił się bardzo ostrożny. Dużo za bardzo ostrożny. Myślał, że mam więcej siły, której ja już wcale nie miałem. Więc jak widzisz, udało mi się go nabrać.

No i nie mógł mnie znokautować. Nie znokautował mnie. W dwudziestej rundzie staliśmy na środku ringu i jak równy z równym wymienialiśmy ciosy. Naturalnie jak na faceta, który dostał takie lanie, zachowałem się bardzo przyzwoicie, ale sędziowie ogłosili jego zwycięstwo, co mu się słusznie należało. Tylko że ja go nabrałem. Nie znokautował mnie. I nabrałem tych wszystkich chłystków, którzy się zakładali, że mnie rozłoży po paru rundach.

W końcu, gdy na dworze już świtało, Bill zapadł w sen. Jęczał i stękał, skurcze bólu przebiegały mu po twarzy, gdy rzucając się i kręcąc, daremnie szukał ulgi dla obolałych członków.

A więc tak wygląda boks zawodowy - myślała Saxon. Nie wyobrażała sobie, że jest czymś aż tak strasznym. Nie miała pojęcia, że miękkie rękawice bokserskie mogą dokonać takich spustoszeń. Nigdy, nigdy nie pozwoli mu już walczyć. Nawet starcia uliczne są lepsze. Zastanawiała się, jak dalece może to zaszkodzić jego zdrowiu, gdy nagle otworzył oczy i zaczął coś mamrotać.

- Co chcesz, kochany? - spytała, zapominając w pierwszej chwili, że jest w malignie.

- Saxon!... Saxon!... - wołał.

- Tu jestem, Bill... Co chcesz, kochany?

Wysunął rękę i zaczął szarpać pościel w miejscu, gdzie Saxon zwykle leżała.

Znowu zawołał ją po imieniu. Odpowiedziała mu głośno, prosto w ucho. Westchnął z ulgą i wymamrotał niewyraźnie:

- Musiałem to zrobić... Pieniądze tak nam były potrzebne.

Zamknął oczy i spał teraz spokojnie, chociaż wciąż bredził jak w gorączce. Wiedziała, czym jest zapalenie mózgu i ogarnęło ją przerażenie. Potem przypomniała sobie, że Bill Murphy przykładał mu lód do karku.

Zarzuciła chustkę na głowę i pobiegła do Baru Woźniców na Siódmej ulicy. Właściciel akurat otworzył i zabierał się do sprzątnięcia. Dał jej z lodówki tyle lodu ile mogła

unieść, porąbawszy go wpierw na poręczniejsze kawałki. Saxon przyłożyła lód na tył głowy Billa, w nogach umieściła mu gorące żelazka i obmywała czoło balsamem chłodzonym na lodzie.

Spał w zaciemnionym pokoju do późnego popołudnia, kiedy to, ku strapieniu Saxon, postanowił wstać z łóżka.

- Muszę im się pokazać - oznajmił - Nie chcę, żeby mnie wyśmiewali.

W najwyższej udręce ubrał się z jej pomocą i w najwyższej udręce wyszedł z domu, aby jego świat mógł się naocznie przekonać, że bicie, jakie wczoraj dostał, nie przykuło go do łóżka.

Był to inny rodzaj dumy, niepodobny do dumy kobiecej, ale Saxon wydawał się nie mniej godny podziwu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W ciągu kilku dni opuchlizna opadła, siniaki zaś zniknęły wprost zdumiewająco prędko. Szybkie gojenie się miejsc skaleczonych dowodziło, że Bill ma krew zdrową. Zostały tylko czarne sińce dokoła oczu, szczególnie widoczne u kogoś o tak jasnej cerze. Ślady te utrzymywały się z uporem przez dwa tygodnie, podczas których zaszło kilka ważnych zdarzeń.

Sprawa przeciwko Otto Frankowi nie trwała długo. Sąd przysięgłych, który go sądził, wyróżniał się tym, że przeważali w jego składzie biznesmeni i ludzie wolnych zawodów. Otto Frank uznany został za winnego i skazany na śmierć. Przewieziono go do więzienia San Quentin, żeby wykonać wyrok.

Proces Chestera Johnsona i czternastu współoskarżonych trwał nieco dłużej, ale zakończył się w tym samym tygodniu. Chester Johnson skazany został na szubienicę. Poza tym wydano dwa wyroki dożywotniego więzienia i trzy po lat dwadzieścia. Tylko dwóch oskarżonych uniewinniono. Pozostałych siedmiu otrzymało wyroki od dwóch do dziesięciu lat.

Saxon popadła w krańcowe przygnębienie. Bill sposepniał, ale duch w nim nie upadł.

- W bitwie zawsze ludzie muszą umierać - powiedział. - Z tym należy się liczyć. Ale sposób, w jaki ich skazano, zupełnie mnie zatyka. Albo wszyscy, którym dowiedziono winy, byli odpowiedzialni za zabójstwo, albo żaden. Jeżeli wszyscy byli odpowiedzialni, wszyscy powinni dostać jednakowe wyroki. Albo wszyscy powinni pójść na szubienicę jak Chester Johnson, albo on nie powinien być skazany na śmierć. Bardzo bym chciał wiedzieć, jak sędzia podejmuje decyzję. Musi to być trochę tak, jak znaczenie biletów na chińskiej loterii. Sędzia gra na numery. Patrzy na oskarżonego i czeka, aż mu przyjdzie do głowy jakaś liczba. Bo inaczej jakim cudem dawałby Johnny'emu Blackowi cztery lata, a Calowi Hutchinsowi dwadzieścia? Grał na numery, tak jak mu przychodziły do głowy, i z równym powodzeniem mogło wypaść na odwrót... Cal mógł dostać cztery lata, a Johnny dwadzieścia.

Znam ich obu. Jeszcze w szkole biegaliśmy razem pływać na Piaszczystą Plażę albo do próbnego doku, gdzie woda była głęboka na sześćdziesiąt stóp... tak ludzie mówili, ale chyba nie była. A kiedyś, w jakiś czwartek, wygrzebaliśmy razem masę muli i potem w piątek poszliśmy na wagary, żeby je sprzedać. Chodziliśmy też na Rock Wall i łapaliśmy tam śledzie wędrownie i sztokfiszę. Jednego dnia, było to podczas zaćmienia słońca, Cal złapał okonia jak pół tych drzwi. W życiu nie widziałem takiej ryby. A teraz będzie nosił pasiaki przez

najbliższe dwadzieścia lat. Całe szczęście, że nie jest żonaty. Jeżeli nie dostanie suchot, kiedy wyjdzie na wolność, będzie już stary. Matka Cala nie pozwalała mu pływać, więc jak tylko przyszło jej do głowy, że się kąpał, próbowała językiem jego włosy. Jak były słone, Cal dostawał pasem. Ale on znalazł na to sposób. W drodze do domu przełaził przez płot na cudze podwórka i wsadzał głowę pod kran.

- Tańczyłam często z Chesterem Johnsonem - powiedziała Saxon. - I znam od lat jego żonę Kitty Brady. Pracowała obok mnie przy tym samym stole w fabryce pudełek. Podobno przeniosła się do San Francisco do swojej zameężnej siostry. Spodziewa się niedługo dziecka. Była śliczna i zawsze kręciła się koło niej gromada chłopaków.

Jeżeli idzie o związkowców, wyroki śmierci i długoletniego więzienia wywarły jak najgorszy skutek. Zamiast odjąć im ducha, wzmogły tylko zaciętość. Skrucha Billa wywołana walką na ringu i czułość na nowo rozbudzona w dniach, kiedy go Saxon pielęgnowała, poszły w niepamięć. W domu był posepny i nachmurzony, a gdy mówił, w jego słowach dźwięczał ton Berta z ostatnich dni przed śmiercią tego ostatniego mohikanina. Coraz więcej też czasu spędzał Bill poza domem i znów pił regularnie.

Saxon zaczynała już tracić nadzieję. Przygotowywała się niemal do nieuniknionej tragedii, którą jej rozgorączkowana wyobraźnia odmalowywała na tysiąc rozmaitych sposobów. Najczęściej był to obraz Billa przynieszonego do domu na noszach; niekiedy - wezwanie do telefonu w sklepie na rogu i obcy głos zawiadamiający w kilku słowach, że jej mąż leży w szpitalu miejskim lub w kostnicy. A kiedy rozeszła się wieść o tajemniczym truciū koni, kiedy rezydencja jednego z magnatów od konnego transportu wyleciała częściowo w powietrze, Saxon widziała Billa w więziennym pasiaku - odsiadującego karę albo wstępującego na stopnie szubienicy. Jednocześnie zaś widziała reporterów i fotografów oblegających mały domek na ulicy Sosnowej.

Ale nawet jej żywa wyobraźnia nie potrafiła przewidzieć tego, co się w rzeczywistości zdarzyło. Palacz Harmon, ich lokator, wychodząc któregoś dnia do pracy zatrzymał się w kuchni, żeby jej opowiedzieć o katastrofie kolejowej, która się wydarzyła poprzedniego dnia na nadmorskich bagniskach Alviso. Gdy rozpoczął się przypływ, maszynista - cały i zdrowy, lecz uwięziony pod przewróconą lokomotywą - zaczął tonąć i błagał, by go zastrzelono. Bill przyszedł pod koniec opowiadania. Spojrzawszy posepne światło w jego oczach, Saxon domyśliła się, że pił. Spojrzał wściekle na Harmona i nie przywitawszy ani jego, ani Saxon oparł się plecami o ścianę.

Harmon wyczuł niezręczność sytuacji i starał się zachować możliwie najnaturalniej.

- Mówiłem właśnie pana żonie... - zaczął, ale Bill przerwał mu grubiańsko.

- Nic mnie nie obchodzi, coś pan jej mówił. Za to ja mam coś do powiedzenia, panie ważny. Moja żona już za dużo razy słała panu łóżko. Mam tego powyżej dziurek od nosa.

- Bill! - zawołała Saxon czerwieniąc się z gniewu, wstydu i urazy.

Bill nie zwrócił na nią uwagi.

- Naprawdę nie rozumiem... - zaczął Harmon.

- Nie podoba mi się pańska gęba - wyjaśnił Bill. Nadepnąłeś pan sobie na nogę. Radzę zejść. Jazda stąd! Zrozumiano?

- Nie wiem, co mu się stało - wykrztusiła Saxon. - Jest chyba nieprzytomny. Och, tak mi przykro... tak mi wstyd.

Bill obrócił się do niej rozwścieczony.

- Zamknij twarz i przestań się wtrącać!

- Jak możesz, Bill!

- Wynoś mi się do tamtego pokoju!

- Nie ma co! - wybuchnął Harmon. - Ładnie pan traktujesz człowieka!

- I tak za dużo ci, łajdaku, pozwalałem - warknął Bill.

- Komorne płaciłem regularnie. Może nie?

- Już dawno powinienem ci rozwalić głowę. Nie widzę powodu, dlaczego nie miałbym zrobić tego zaraz.

- Bill, jeżeli się odważysz... - zaczęła Saxon.

- Jeszcze tu? Wynoś mi się do tamtego pokoju, bo jak nie, sam cię wyprowadzę!

Chwycił ją za ramię. Opierała mu się przez moment i dopiero gdy żelazne kleszcze jego palców rozdarły jej skórę, zrozumiała, jak bardzo jest silny.

Rzuciła się na fotel we frontowym pokoju i szlochając nadśluchiwała odgłosów z kuchni.

- Zostanę do końca tygodnia - mówił palacz. - Zapłaciłem z góry.

- Słuchaj pan uważnie - zabrzmiał głos Billa, powolny, rozwlekły, ale nabrzmiały wściekłością. - Jeżeli chcesz być cały i zdrowy, radzę wynieść się prędko... razem z bambetlami. Jeszcze chwila, a coś panu zrobię.

- Wiem dobrze, że jesteś pan pijak i awanturnik... - zaczął palacz.

A potem rozległ się nieomylny odgłos ciosu, brzęk tłuczonego szkła, szamotanie na ganku kuchennym, ciężki, głuchy stukot ciała turlającego się w dół po stopniach. Słyszała, jak Bill wrócił, krzątał się po kuchni, zmiatał z podłogi szkło. Potem umył się pod zlewem, gwizdał ocierając ręce i twarz, wszedł do pokoju. Nie podniosła głowy, nie spojrzała na niego. Była zbyt wstrząśnięta, zbyt zasmucona. Przystanął niepewnie, podejmował widocznie

jakieś postanowienie.

- Wychodzę do miasta - powiedział. - Idę na wiec związkowy. Jeżeli nie wrócę, będzie to znaczyło, że ten łobuz doniósł na mnie.

Otworzył drzwi frontowe i znowu przystanął. Wiedziała, że patrzy na nią. Potem usłyszała trzask drzwi i kroki na stopniach.

Popadła w otepienie. Nie mogła zebrać myśli. W głowie miała pustkę. Całe to zdarzenie było tak niezrozumiałe, tak nieprawdopodobne. Siedziała w fotelu z zamkniętymi oczami, zdruzgotana przerażającym uczuciem, że oto skończyło się wszystko.

Głosy dzieci bawiących się na ulicy wyrwały ją z odrętwienia. Podeszła po omacku do lampy i zapaliła ją. W kuchni wpatrywała się przez chwilę w żalony, nie dokończony posiłek na blasze. Ogień wygasł, woda w garneczku z kartoflami wygotowała się. Gdy podniosła przykrywkę, uderzył ją w nozdrza zapach spalenizny. Starannie, systematycznie wyszorowała garnceczek, sprzątnęła kuchnię, obrała i pokrajała kartofle, żeby je usmażyć następnego dnia. I z taką samą systematycznością przygotowała się do snu. Ten brak nerwowości, to opanowanie były nienormalne, tak dalece nienormalne, że zaledwie zamknęła oczy, zapadła w sen. Obudziło ją dopiero słońce zagładające do pokoju.

Była to ich pierwsza noc spędzona oddzielnie. Jakże dziwne jej się wydawało, że miast czuwać i martwić się o niego przespala całą noc. Leżała z oczami szeroko otwartymi i pustką w głowie, dopóki ból w ramieniu nie przyciągnął jej uwagi... ból tam, gdzie zacisnęły się palce Billa. Zobaczyła, że skóra jest przecięta, sina, nabiegła krwią. Zdumiała ją nie strona duchowa faktu - to, że wyrządził jej krzywdę ktoś, kogo kochała najbardziej na świecie, lecz zwykły fakt fizyczny, spustoszenie dokonane jednym przelotnym zaciśnięciem się palców. Siła mężczyzny jest czymś przerażającym. Zaczęła się zastanawiać w sposób najzupełniej bezosobowy, czy Charley Long też jest tak silny jak Bill.

Dopiero gdy była już ubrana i rozpałała ogień, myśli jej zwróciły się ku sprawom bliższym i bardziej nagłym. Bill nie wrócił, a więc jest aresztowany. Co robić? Czy ma go zostawić w więzieniu, odejść i rozpocząć życie od nowa? Nie może przecież żyć dalej z człowiekiem, który się tak haniebnie zachował. Ale zaraz przyszła myśl inna: czy naprawdę nie może? Przecież mimo wszystko Bill jest jej mężem. Na złą i dobrą dolę - zdanie to rozbrzmiewało wciąż na dnie jej świadomości jak monotony refren. Rzucić go znaczyłoby się poddać. Przedstawiła sprawę przed trybunałem pamięci matki. Nie! Daisy nigdy by się nie poddała. Daisy walczyłaby do ostatka.

Wobec tego ona, Saxon, też musi walczyć. Co więcej, Bill był lepszy niż większość mężów, niż ci wszyscy, o których mówiły jej znajome kobiety, powiedziała sobie Saxon na

zakończenie, wspominając jego dobroć i delikatność z pierwszego okresu małżeństwa.

O jedenastej ktoś zastukał do drzwi. Bud Strothers, towarzysz Billa z pikiety strajkowej. Bud zawiadomił ją, że Bill nie zgodził się, żeby uiszczono za niego kaucję, nie zgodził się, żeby bronił go adwokat, prosił, żeby postawiono go przed sądem, przyznał się do winy i został skazany na sześćdziesiąt dolarów grzywny z zamianą na trzydzieści dni aresztu. Nie pozwolił też, aby związek opłacił za niego grzywnę.

- Ma całkiem źle w głowie - dodał Strothers na zakończenie. - Staraliśmy się przemówić mu do rozumu, ale nic z tego. Powiada, że odsiedzi swoje. Myślę, że za dużo ostatnio popijał. Coś mu się w maszynie rozluźowało. Aha, dał mi ten list do pani. Jakby coś było potrzeba, da mi pani znać. Chłopcy zaopiekują się jak należy żoną Billa Roberta. Pani jest jedna z naszych. Jak pani stoi z gotówką?

Duma kazała jej odrzucić propozycję Buda Strothersa. Dopiero po jego odejściu przeczytała list.

„Kochana Saxon. Bud Strothers odda ci tę kartkę. Nie martw się o mnie. Połknę tę pigułkę. Należy mi się, sama wiesz o tym najlepiej. Musiałem mieć chyba źle w głowie. Tak czy siak, przykro mi, że to zrobiłem. Nie przychodź mnie odwiedzać. Nie chcę, żebyś mnie tu oglądała. Jeżeli Ci potrzebne pieniądze, związek Cię zaopatrzy. Wyjdę za miesiąc. Saxon, wiesz, że Cię kocham. Przebac mi tym razem, a ja Ci przyrzekam, że już nigdy więcej nie będziesz mi musiała przebaczać. Bill”.

Zaledwie Bud Strothers wyszedł, Maggie Donahue i pani Olsen złożyły Saxon sąsiedzką wizytę. Taktownie zaproponowały jej pomoc i w rozmowie jak najstaranniej unikały nazbyt częstych wzmianek o przykrym położeniu Billa.

Po południu zjawił się James Harmon. Kulał lekko i Saxon zaraz odgadła, że stara się zbagatelizować skutki poniesionych obrażeń. Usiłowała go przeprosić, ale nie dopuścił jej do słowa.

- Do pani o nic nie mam pretensji - powiedział. - Wiem, że to nie pani wina. Zresztą myślę, że pani mąż sam nie wiedział, co robi. Musiał się wyładować dla zasady, a mój pech, że akurat znalazłem się na jego drodze.

- Tak, ale...

Pałac potrząsnął głową.

- Wiem dobrze, jak to jest. Sam kiedyś za często zaglądałem do kieliszka i robiłem wtedy różne dziwne rzeczy. Żałuję teraz, że złożyłem to doniesienie. Ale krew mnie zalała ze złości. Teraz mi już przeszło i naprawdę żałuję, że to zrobiłem.

- Bardzo, bardzo to zaniecie z pana strony - rzekła Saxon, a potem dodała z wahaniem,

poruszając kłopotliwą sprawę: - Pan... pan nie może teraz zostać, kiedy jego... nie ma.

- Ano tak. To by nie uchodziło - przyznał palacz. - Spakuję się zaraz i wyjdę, a koło szóstej przyślę wózek po rzeczy. Proszę, zwracam klucz od drzwi.

Chociaż protestował, zmusiła go do przyjęcia zwrotu pieniędzy za nie przemieszkane dni. Zanim wyszedł, uściśnięła jej serdecznie rękę i usiłował wydobyć od niej obietnicę, że jeżeli znajdzie się w potrzebie, przyjdzie do niego po pożyczkę.

- Śmiało może pani to zrobić - zapewniał. - Jestem żonaty i mam dwóch synków. Jeden ma coś z płucami i żona zabrała obu na wieś do Arizony. Kolej dała nam darmowy przejazd.

Gdy schodził ze stopni, Saxon dziwiła się w duchu, że na tym obłąkanym świecie istnieją jeszcze ludzie tak zacni.

Mały Donahue podrzucił jej gazetę wieczorną, w której pół kolumny poświęcono Billowi. Ton tej notatki nie był przyjemny. Autor zwrócił uwagę na fakt, że Bill stanął przed sądem policyjnym mając oczy podbite w jakiejś dawniejszej burdzie. Opisał go jako awanturnika, chuligana i zawodowego moczymordę, którego obecność w związku przynosi ujmę zorganizowanej klasie robotniczej. Napaść, do której się przyznał, należy określić jako dziki i niczym nie sprowokowany wybryk, gdyby więc Bill Roberts miał być typowym okazem strajkującego woźnicy, Oakland powinno natychmiast zlikwidować związek i wygnać jego członków ze swych granic. W zakończeniu artykułu autor ubolewał nad łagodnością wyroku, który powinien opiewać nie na jeden, lecz na sześć miesięcy. Przytoczył też słowa sędziego, który żałował, że nie może oferować wyroku sześciomiesięcznego, i tłumaczył to przepelnieniem panującym w więzieniach - tak wiele przestępstw popełniono podczas kolejno wybuchających strajków.

Tej nocy Saxon po raz pierwszy doznała uczucia osamotnienia. W głowie miała zamęt, budziła się co chwilę i na próżno szukała Billa u swego boku. W końcu zapaliła lampę i leżała z szeroko otwartymi oczami, wciąż i wciąż od nowa rozpamiętując szczegóły katastrofy, która na nią spadła. Stać ją było na to, żeby zapomnieć i nie mogła zapomnieć. Cios zadany jej miłości był zbyt straszny, zbyt brutalny. Jej duma zraniona została nazbyt boleśnie, by mogła bez zastrzeżeń wrócić pamięcią do tamtego Billa, którego kochała. Płakała w samotności pustego łóżka, usiłowała zapomnieć niepojęte okrucieństwo Billa, przytuliła nawet policzek do posiniaczonego ramienia; ale mimo to w jej sercu tliła się uraza, wybuchał co chwilę płomień protestu przeciwko Billowi i temu, co Bill uczynił. W gardle czuła suchość, w piersi głuchy, dojmujący ból; dręczyła ją świadomość, że coś minęło bezpowrotnie. Dlaczego? Dlaczego? Ale w wielkiej zagadce zwanej światem nie znajdowała

odpowiedzi.

Rano Sara złożyła jej wizytę, drugą, odkąd Saxon wyszła za Billa. Z łatwością domyśliła się celu tej wyprawy. Nie musiała się wysilać, aby rozbudzić w sobie na nowo całą dumę. Ani myślała zajmować pozycji obronnej. Nie było tu nic, co by wymagało obrony, co by wymagało usprawiedliwienia. Wszystko jest w porządku, a zresztą niech się nikt nie wtrąca do tych spraw. Ta postawa doprowadziła Sarę do tym większej irytacji.

- Ostrzegałam cię, nie zaprzeczysz - terkotała. - Od początku wiedziałam, że on jest więzienny ptaszek, chuligan, pijak. Zemdliło mnie, kiedy się dowiedziałam, że latasz z bokserem. Powiedziałam ci to wtedy. Ale nie. Ty naturalnie nie słuchałaś. W głowie miałaś zielono, a w szafie więcej par butów, niż przystało przyzwoitej kobiecie. Byłaś mądrzejsza ode mnie. Mówiłam do Toma, pamiętam każdziutkie słowo: „No, Saxon przepadła z kretesem”. Słowo w słowo tak powiedziałam. Ach, gdybyś wyszła za Charleya Longa! Nie sprowadziłabyś wstydu na całą rodzinę. A to jest dopiero początek, popamiętasz moje słowa! Czym się to wszystko skończy, Bóg jeden raczy wiedzieć. Pewnego pięknego dnia ten twój gagatek zamorduje kogoś i zawiśnie na szubienicy. Poczekasz, to się przekonasz. Popamiętasz moje słowa. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz...

- Bardzo sobie chwałę to moje posłanie - zauważyła Saxon.

- Tak powiedzieć nie sztuka - szydziła Sara.

- Nie zamieniłabym go na królewskie łoże - dodała Saxon.

- Masz za to łóżko więziennego ptaszka - wybuchnęła Sara.

- Och, to teraz jest w modzie - wyjaśniła lekko Saxon. - Wszyscy muszą popробować więzienia. Zdaje się, że Tom też był aresztowany na jakimś socjalistycznym wiecu? Teraz wszyscy chodzą do więzienia.

Strzała trafiła w bolące miejsce.

- Ale Tom został uniewinniony - pośpieszyła Sara z wyjaśnieniem.

- Co z tego? Przebył całą noc w więzieniu bez prawa zwolnienia za kaucją.

Ten argument był nieodparty i Sara sięgnęła do swojej ulubionej metody ataku z flanki.

- Trzeba powiedzieć, że jak na dziewczynę wychowaną w uczciwym i przyzwoitym domu ładnie sobie poczynasz. Ucinasz romansiki z lokatorami!

- Kto tak powiedział? - Saxon wybuchnęła gniewem, który jednak szybko opanowała.

- Och, ślepy by to przeczytał między wierszami. Lokator, młoda mężatka bez żadnych zasad i mąż bokser... o co innego mogliby się pobić?

- Taka sobie zwykła kłótnia rodzinna, co? - spytała Saxon uśmiechając się pogodnie.

Zgorszenie Sary było tak wielkie, że na chwilę zaniemówiła.

- Chciałabym, żebyś zrozumiała jedno - ciągnęła Saxon. - Kobieta ma być z czego dumna, kiedy mężczyźni o nią walczą. Ja jestem z tego dumna. Słyszysz? Jestem z tego dumna. Chcę, żebyś im to powtórzyła. Żebyś to powiedziała wszystkim swoim sąsiadkom. Wszystkim. Bo wiesz co? Podobam się mężczyznom. Mężczyźni się o mnie biją. Mężczyźni idą dla mnie do więzienia. A po co są kobiety na świecie, jak nie po to, żeby się mężczyznom podobać? A teraz idź już, Saro. Idź i powiedz wszystkim, coś wyczytała między wierszami. Powiedz, że Bill jest więzienny ptaszek, a ja kobieta lekkich obyczajów, na którą wszyscy mężczyźni patrzą pożądliwym wzrokiem. Krzycz o tym głośno - i Bóg z tobą! Ale wyjdź z mojego domu. I nigdy tu nie wracaj. Jesteś za przyzwoitą kobietą, żebyś mogła do mnie przychodzić. Mogłabyś stracić dobrą reputację. I musisz pamiętać o dzieciach. A teraz idź już. Idź. Dopiero gdy osłupiała i przerażona Sara zatrzasnęła za sobą drzwi, Saxon rzuciła się na łóżko i wybuchnęła konwulsyjnym szlochem. Wstydziła się dotąd tylko niegościnnosci Billa, gwałtowności jego usposobienia i nieszlachetnego stosunku do drugiego człowieka. Ale dopiero teraz zrozumiała, w jakim świetle inni widzą tę sprawę. Dotąd taka myśl nie powstała jej w głowie. Była pewna, że Bill też o tym nie pomyślał. Wiedziała dobrze, o co mu chodziło. Od początku sprzeciwiał się przyjęciu lokatora, ponieważ wyznawał dumną zasadę, że jego żona nie powinna pracować. Tylko ciężkie czasy skłoniły go do wyrażenia zgody, a właściwie ona ją na nim wymogła.

Ale wszystko to nie zmieniało w niczym poglądu, jaki sąsiedzi i znajomi muszą mieć na tę przykrą sprawę. A odpowiedzialność za to też spada na Billa. Była to rzecz straszniejsza niż wszystkie jego dotychczasowe przewiny razem wzięte. Nigdy... nigdy nie ośmieli się spojrzeć ludziom w oczy. Maggie Donahue i pani Olsen okazały wielką zacność, ale o czym myślały rozmawiając z nią tak uprzejmie? I co sobie potem mówiły? Co ludzie mówią przy furkach frontowych i ponad ogrodzeniem podwórek? O czym mówią mężczyźni spotykając się na ulicy lub w barze?

Później, gdy wyczerpana bólem przestała płakać, jej myśli stały się bardziej nieosobiste i zwróciły się ku nieszczęściom, jakie od wybuchu strajku dotknęły tyle znajomych kobiet - żonę Ono Franka, wdowę po Hendersonie, śliczną Kitty Brady, Mary, wszystkie żony robotników, którzy siedzą w San Quentin. Świat Saxon rozpadał się wokół niej. Nikt nie był wyjątkiem. A ona nie tylko nie uniknęła losu innych, lecz ugodzona została najboleśniej. Rozpaczliwie usiłowała wmówić w siebie, że śpi, że wszystko to jest zmorą, że niebawem zadzwoni budzik i ona zerwie się, aby przygotować śniadanie dla Billa, który pójdzie do pracy.

Tego dnia nie wstała z łóżka. Ale nie zasnęła ani na moment. Jej umysł pracował gorączkowo - to rozpamiętywała swą niedolę, to snuła najfantastyczniejsze domysły na temat tego, co zwała swą hańbą, to znów wracała do dzieciństwa i przebiegała myślami szczegóły najmniej ważnych zdarzeń. Pracowała kolejno we wszystkich zakładach, w których ją zatrudniano, wykonywała tysiące drobnych mechanicznych czynności właściwych dla każdego zajęcia - kleiła tekturę w wytwórni pudełek, prasowała w pralni, stała przy warsztacie tkackim w fabryce worków, obierała owoce w fabryce konserw. Chodziła znów na wszystkie zabawy i wszystkie pikniki. Sięgała myślami do lat szkolnych, usiłowała sobie przypomnieć nazwiska i twarze koleżanek; wróciła do szarych, posepnych lat w sierocińcu; wskrzeszała w wyobraźni każde wspomnienie matki, każdą jej opowieść; przeżywała od nowa całe życie z Billem. Ale wciąż i wciąż - i to było najstraszniejsze - wracała z tych dalekich traktów do swego obecnego położenia. I w gardle czuła suchość, w piersi dojmujący ból; dręczyła ją świadomość, że coś minęło bezpowrotnie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Całą tę noc Saxon przeleżała na łóżku ubrana, nie zaznawszy ani chwili snu. A gdy rano wstała, obmyła twarz i uczesała włosy, przeniknęło ją uczucie dziwnego odrętwienie poczuła nieznośny ucisk w głowie, jak gdyby czaszkę skuwala jej żelazna obręcz. Był to początek choroby tylko, że Saxon nie wiedziała, że to jest choroba. Wiedziała tylko; że czuje się jakoś dziwnie. Nie była to gorączka ani przeziębienie. Właściwie nic jej nie dolegało i gdy zaczęła się nad tym zastanawiać, przypisała złe samopoczucie nerwom, a według poglądów jej i jej klasy stan nerwów nie wiąże się ze zdrowiem.

Opanowało ją dziwne uczucie zagubienia własnego ja, obcości w stosunku do siebie samej; świat, na którym żyła, stał się nagle niewyraźny, jakby zamglony. Brak mu było ostrości konturów, zniknęła zwykła żywość barw i faktów. Saxon miewała chwile zaniku pamięci, bezustannie łapała się na tym, że wykonuje czynności nie zamierzone. Na przykład ocknęła się w pewnej chwili na podwóreczku za domem wieszając tygodniowe pranie. Nie pamiętała, żeby stała nad balią, a mimo to wszystko było należycie uprane. Prześcieradła, poszewki, obrusy wygotowała. Welnianą bieliznę Billa uprała w ciepłej wodzie mydłem domowej roboty, na które przepis dała jej Mercedes. Zorientowała się także, że na obiad zjadła kotlet barani, a więc chodziła do rzeźnika, czego zupełnie nie pamiętała. Zaciekawiona weszła do sypialni. Łóżko było posłane, pokój sprzątnięty.

O zmroku ocknęła się w małej bawialence. Siedziała przy oknie, płacząc z radości. W pierwszej chwili nie mogła się zorientować, jaki jest powód tego szczęścia. Potem nagle zrozumiała: to dlatego, że dziecko umarło. „Szczęście, szczęście” - wykrzykiwała na głos, załamując ręce. Ale wiedziała, że załamuje ręce z radości.

Dni mijały. Zatraciła poczucie czasu. Niekiedy zdawało jej się, że minęły wieki, odkąd Bill poszedł do więzienia. Kiedy indziej znów odnosiła wrażenie, że to było zaledwie wczoraj. Ale w tym chaosie dwie myśli powtarzały się uporczywie: nie wolno jej odwiedzać Billa w więzieniu; całe szczęście, że dziecko umarło.

Któregoś dnia odwiedził ją Bud Strothers. Rozmawiała z nim we frontowym pokoju, cały czas wpatrując się jak urzeczona w postrzępione mankiety jego spodni. Innego znów dnia przyszedł administrator związku. Powiedziała mu, podobnie jak Strothersowi, że niczego nie potrzebuje i że da sobie radę, dopóki Bill nie wróci.

Zaczął ją prześladować nowy lęk. Kiedy Bill wróci... Nie. To się nie może zdarzyć. Nie wolno im mieć dziecka. To dziecko mogłoby żyć. Nie, nie - po tysiąc razy nie. Nie

dopuści do tego. Prędzej ucieknij. Wolałaby nigdy nie zobaczyć Billa. Wszystko, tylko nie to. Wszystko... wszystko.

Ten lęk był uparty, nie ustępował. W snach pełnych koszmarów stało się to już faktem dokonanym; budziła się drżąca i zlane zimnym potem, z twarzą mokrą od łez. Sypiała źle. Niekiedy całą noc nie mogła zasnąć; wiedziała, że cierpi na bezsenność, i przypomniała sobie, że na bezsenność umarła jej matka.

Któregoś dnia ocknęła się w gabinecie doktora Hentleya. Spoglądał na nią ze zdziwieniem.

- Odżywia się pani porządnie? - spytał.

Skinęła głową.

- Dolega coś pani?

Wykonała ruch przeczenia.

- Czuję się dobrze, panie doktorze... tylko... - Słuchamy, słuchamy - zachęcił ją doktor.

I nagle wiedziała, dlaczego tu przyszła. W słowach prostych, jasnych wytłumaczyła mu wszystko. Potrząsnął głową.

- To się nie da zrobić, młoda osobo - odparł.

- Och, da się zrobić! - zawołała. - Wiem, że się da!

- Nie to miałem na myśli - rzekł doktor. - Chciałem powiedzieć, że nie mogę udzielić pani tej rady. Nie śmiem. Jest to sprzeczne z prawem. W więzieniu w Leavenworth siedzi lekarz skazany właśnie za taką poradę.

Na próżno tłumaczyła mu, błagała. Powiedział jej, że ma żonę i dzieci i że przez wzgląd na nie nie wolno mu ryzykować.

- Zresztą w chwili obecnej istnieje małe prawdopodobieństwo - dodał.

- Ale ono będzie, z pewnością będzie - nalegała.

Doktor Hentley miał minę zatroskaną i potrząsnął tylko głową.

- Dlaczego chce pani wiedzieć? - spytał w końcu.

Saxon otworzyła przed nim serce. Opowiedziała mu o swoim pierwszym szczęśliwym roku z Billem, o ciężkich czasach, o tym, że się Bill zmienił, o dręczącym ją lęku. Nie idzie o to, że ono może umrzeć. Z tym dałaby sobie radę. Ale o to, że może żyć. Bill wyjdzie niebawem z więzienia i wtedy niebezpieczeństwo zacznie znów zagrażać. Przecież chodzi tylko o kilka słów. Nigdy nikomu o tym nie powie. Żadna siła nie zdołałaby z niej tego wyrwać.

Ale doktor Hentley nadal potrząsał głową.

- Nie wolno mi o tym mówić. To wstyd, ale boję się tego ryzyka. Mam ręce związane. Nasze prawa są idiotyczne. Muszę pamiętać o moich bliskich.

Dopiero gdy wstała, zawahał się i zmiękł.

- Niech no pani podejdzie bliżej - powiedział. - Proszę usiąść.

Już miał szeptać jej do ucha, gdy nagle wstał i w odruchu przesadnej ostrożności przeszedł szybko przez pokój, otworzył drzwi, wyjrzał do poczekalni. A gdy usiadł znowu, przysunął krzesło tak blisko, że ramiona ich dotykały się, a jego broda łechtala jej ucho.

- Nie, nie - uciął krótko, gdy usiłowała wyrazić mu swą wdzięczność. - Nic pani nie powiedziałem. Przyszła pani do mnie poradzić się co do ogólnego stanu zdrowia. Jest pani przemęczona, osłabiona...

Mówiąc to prowadził ją do wyjścia. Gdy otworzył drzwi, zobaczyli w poczekalni pacjenta czekającego na dentystę, który przyjmował w sąsiednim gabinecie. Doktor Hentley podniósł głos:

- Proszę zażywać tę miksturę, którą pani zapisałem. To bardzo ważne. A jak pani apetyt, proszę go nie zadowalać byle czym. Powinna pani jeść solidne, pożywne potrawy... i naturalnie befsztyki, dużo befsztyków. Tylko proszę ich nie wysmażać na podszewę. Do widzenia.

Niekiedy cisza panująca w domu stawała się nie do zniesienia. W takich chwilach Saxon zarzucała chustkę na głowę i szła na molo albo minawszy warsztaty kolejowe wydostawała się przez bagniste łąki na Piaszczystą Plażę, gdzie Bill chodził się kąpać w latach chłopięcych. Znalazła też drogę na Rock Wall, co nie było łatwe, bo musiała wpiernić się kamienne obmurowanie nad próbnym dkiem, zejść w dół oszalowania po zawrotnej drabince z żelaznych ćwieków i wdrapać się na falochron z bali. Rock Wall wrzynała się głęboko w zatokę i była czymś w rodzaju bariery pomiędzy bagniskami i przeczyszczanym przez przypiływ ujściem rzeki. Wiała tutaj rześka bryza, a Oakland zmieniało się w smugę dymu za jej plecami, podczas gdy przed sobą po drugiej stronie zatoki Saxon widziała drugą smugę dymu - San Francisco. Parowce oceaniczne płynęły w górę i w dół rzeczno-rozlewiska, małe zaś holowniki ciągnęły za sobą statki o wysmukłych masztach.

Spoglądała na marynarzy na pokładzie i zastanawiała się w duchu, czy płyną w dalekie rejsy, do jakich odległych krajów i jakich swobód zażywają. Czy też może są niewolnikami świata tak bezwzględnego i okrutnego, jak świat mieszkańców Oakland? Czy są tak niesprawiedliwi, tak brutalni, tak nieuczciwi w stosunkach z bliźnimi jak mieszkańcy miast? Jakoś nie mogła w to uwierzyć i niekiedy pragnęła znaleźć się na pokładzie i płynąć na

morze - gdzie bądź, wszystko jedno dokąd, byle jak najdalej od tego świata, któremu oddała wszystko, co miała najlepszego, a który ją w zamian stratał.

Nie zawsze się orientowała, kiedy opuściła dom ani dokąd ją poniosły nogi. Któregoś dnia oprzytomniała nagle w nie znanej dzielnicy Oakland. Ulica była szeroka, wysadzana cienistymi drzewami. Puszyste trawniki schodziły aż do rynsztoków, przerwane tylko pasem cementowego chodnika. Domy były duże i stały oddzielnie. W jej słowniku takie domy zwały się pałacami. Z odrętwienia wyrwał ją widok młodego człowieka za kierownicą dużego sportowego samochodu. Młodzieniec przyglądał jej się ciekawie; poznała w nim Roya Blancharda, któremu Bill pod kawiarnią „Forum” przyobiecał bicie. Obok samochodu stał z gołą głową inny młody mężczyzna. Jego Saxon również poznała. Był to ów młodzieniec, który na pikniku - jej pierwszym pikniku z Billem - rzucił laskę między nogi finiszującego biegacza i przyspieszył tym wybuch ogólnej walki zgromadzonych widzów. On też przyglądał jej się ciekawie i nagle Saxon zorientowała się, że mówiła do siebie na głos. Wciąż dźwięczały jej w uszach bezwiednie wypowiedane słowa. Zaczerwieniła się, wstyd gorącą falą uderzył jej do twarzy, przyspieszyła kroku. Blanchard wyskoczył z samochodu i podszedł do niej uchylając kapelusza.

- Czy czuje się pani niedobrze? - spytał.

Potrząsnęła głową i chociaż się zatrzymała, dała do zrozumienia, że pragnie pójść dalej.

- Pamiętam panią - powiedział przyglądając jej się uważnie. - Była pani towarzystwie tego strajkującego woźnicy, który mi obiecał wyłoić skórę.

- To mój mąż - odparła.

- O! Szczęśliwy człowiek. - Spojrzenie jego oczu było sympatyczne i szczerze. - Ale co z panią? Czy mógłbym może jakoś pani pomóc? Bo widzę, że czuje się pani niedobrze.

- Nic mi nie dolega - powiedziała Saxon. - Byłam niedawno chora - skłamała. Nigdy bowiem nie przyszło jej na myśl, żeby łączyć dziwne samopoczucie z chorobą.

- Wygląda pani na zmęczoną - nastawał. - Mogę panią podwieźć samochodem, dokąd pani chce. To dla mnie żaden kłopot. Mam mnóstwo czasu.

Saxon potrząsnęła głową.

- Gdyby... gdyby mi pan zechciał powiedzieć, gdzie jest przystanek tramwaju idącego ulicą Ósmą. Rzadko bywam w tych stronach.

Powiedział, gdzie znajdzie przystanek tramwaju i w którym punkcie ma się przesiąść. Zdumiała ją odległość, którą przebyła.

- Dziękuję panu - rzekła. - I do widzenia.

- Czy naprawdę w niczym nie mógłbym pani pomóc?

- Naprawdę w niczym.

- A więc do widzenia - rzekł z wesołym uśmiechem. - I proszę powiedzieć mężowi, żeby porządnie trenował. Myślę, że mu się to przyda, kiedy popróbuje ze mną swoich sił.

- Och, pan nie powinien z nim walczyć - ostrzegła. - Naprawdę pan nie powinien. Nie ma pan żadnej szansy.

- Bravo! - rzekł z podziwem. - To rozumiem! To jest stosunek kobiety do mężczyzny. Większość niewiast tak by się bała, że ich mężczyźnie stanie się coś złego...

- Kiedy ja się nie boję... o niego. Chodzi mi o pana. On bije się jak szatan. Nie miałby pan cienia szansy. Byłoby to jak... jak...

- Jakby ktoś odebrał dziecku ciastko? - dokończył za nią Blanchard.

- Tak - odparła. - On użyłby właśnie tych słów. A jeżeli powie panu kiedykolwiek, że nadepnął pan sobie na nogę, niech się go pan strzeże. Muszę już iść. Do widzenia i jeszcze raz dziękuję.

Poszła dalej, a jego wesołe pożegnanie wciąż jeszcze dźwięczało jej w uszach. Był miły i życzliwy - przyznała to uczciwie, ale jednocześnie należał do mądrych, do klasy panów, którzy według Billa ponoszą odpowiedzialność za okrucieństwa wyrządzane robotnikom, za nędzę kobiet, za surowe wyroki na związkowców, odsiadujących kary w więzieniu albo w celi śmierci oczekujących na egzekucję. Mimo to był uprzejmy, miły, czysty, dobry. Wyczytała to wszystko z jego twarzy. Ale jak to możliwe, skoro ponosił odpowiedzialność za tyle zła? Znużona potrząsnęła głową. Nie sposób wytłumaczyć, nie sposób zrozumieć tego świata, który zabija małe dzieci i zadaje bolesne rany sercom kobiecym.

Nie zdziwiło jej, że zawędrowała do dzielnicy pańskich rezydencji. Wyjaśnienia doszukiwała się we własnej dziwności. Robiła mnóstwo rzeczy nie wiedząc, że je robi. Ale musi uważać. Lepiej, żeby wędrowała po bagniskach i Rock Wall.

Lubiła zwłaszcza przechadzki po Rock Wall. Panowała tam swoboda, niczym nie ograniczona przestrzeń, którą Saxon instynktownie usiłowała wdychać, do której wyciągała ramiona, by ją objąć i uczynić częścią siebie. Był to świat bardziej naturalny, świat dający się wytłumaczyć kategoriami rozumowymi. Rozumiała go - rozumiała zielone kraby o białych szczypcach, które pomykały przed nią; widywała je podczas odpływu, jak się żywiły na skałach porośniętych zielonymi wodorostami. Chociaż ta wielka zaporą była dziełem rąk ludzkich, nie tutaj nie wydawało się sztuczne. Nie było tu ludzi, nie było praw ludzkich, nie było ludzkich konfliktów. Po przypływie następował odpływ; słońce wschodziło i zachodziło;

regularnie każdego popołudnia przedzierał się przez Złote Wrota dzielny wiatr zachodni przyciemniający barwę wody, tworzący na jej powierzchni maleńkie grzbiety fal, przydający skrzydeł łodziom żaglowym. Wszystko tutaj przebiegało w niczym nie zakłóconym porządku. Wszystko było wolne. Drzewo na opał leżało wszędzie, każdy mógł je wziąć. Nikt nie sprzedawał go w workach. Na skałach siedzieli mali chłopcy i łowili ryby na wędki; nikt ich nie odpędzał, nikt im nie urągał, że naruszają prawa rybackie. Łowili ryby, tak jak niegdyś łowił ryby Bill, jak łowił Cal Hutchins. Bill opowiadał Saxon o wielkim okoniu, którego złapał Cal w dniu zaćmienia słońca, kiedy ani się domyślał, że swoje najlepsze lata męskie spędzi w więziennym pasiaku.

I było tu jedzenie, jedzenie, za które nikt nie kazał płacić. Któregoś dnia kiedy nic nie miała w ustach, podpatrzyła chłopców i potem ich naśladowała: zebrawszy podczas odpływu mięczaki ze skały upiekła je między węglami ogniska, które roznieciła na szczycie wału. Były wyśmienite. Nauczyła się odbijać ze skały małe ostrygi, a raz znalazła kilka świeżo złowionych ryb, które jakiś malec zapomniał zabrać do domu.

Tutaj morze przynosiło świadectwo ponurej działalności człowieka - z oddali z miast. Kiedyś podczas przypływu przekonała się, że powierzchnia wody pokryta jest melonami. Niezliczone ich tysiące wypełniały zalew podskakując i podrygując na wodzie. Te, które podpływały pod skałę, Saxon mogła dosięgnąć ręką. Ale wszystkie, absolutnie wszystkie - a Saxon cierpliwie sprawdzała dziesiątki - były przedziurawione ostrym narzędziem i pełne słonej wody. Nie mogła tego zrozumieć. Zwróciła się o wyjaśnienie do starej Portugalki, która zbierała opodal drzewo naniesione przez przypływ.

- A jakże, robią to ci, którzy mają za dużo jedzenia - odparła kobieta prostując zeszytywniałe w trudzie plecy z takim wysiłkiem, że Saxon słyszała niemal trzask kości. W czarnych oczach starej kobiety pojawiły się ognie gniewu, grymas goryczy wykrzywił wargi obciążone ciasno na bezzębnych dziąsłach. - Ludzie, co mają za dużo jedzenia. Chodzi o to, żeby utrzymać ceny. Wyrzucają melony do wody w San Francisco.

- Ale dlaczego ich nie dają biednym ludziom? - spytała Saxon:

- Chodzi im o to, żeby ceny nie spadły.

- Przecież biedni ludzie i tak nie kupią melonów - upierała się Saxon. Więc - to w żadnym wypadku nie wpłynęłoby na ceny.

Stara kobieta wzruszyła ramionami.

- Ja tam nie wiem. Tak już robią. Dziurawią każdy melon, żeby biedni ludzie nie mogli ich wyłowić i trochę się nimi pożywić. To samo robią z pomarańczami, z jabłkami. A rybacy! Rybacy mają trust. Kiedy złapią za dużo ryb, trust każe im je wyrzucać do morza z

Przystani Rybackiej - pełne, pełniutkie łodzie najpiękniejszych ryb! I te piękne, dobre ryby idą na dno - i już po nich. Nikt się nimi nie pożywi. A przecież to są ryby złowione i dobre do jedzenia. Ryby są bardzo dobre do jedzenia. Saxon nie mogła zrozumieć świata, który tak postępował - świata, na którym część ludzi posiadała tak wiele jedzenia, że je wyrzucała płacąc tym, co niszczyli produkty, zanim zatopili wszystko w morzu. A na tym samym świecie żyło wiele, wiele ludzi, którzy nie mieli dość jedzenia, których dzieci umierały, ponieważ mleko matek nie było dość pożywne; na tym samym świecie mężczyźni walczyli o pracę i zabijali się w tej walce, na tym samym świecie stare kobiety i starzy mężczyźni szli do przytułków dla nędzarzy, ponieważ nie starczało dla nich jedzenia w nędznych chatkach, które z płaczem opuszczali. Saxon zastanawiała się, czy wszędzie na świecie jest tak samo; przypomniały jej się opowieści Mercedes. Tak, wszędzie na świecie jest tak samo. Przecież Mercedes widziała w Indiach, jak umierało z głodu dziesięć tysięcy rodzin, chociaż - sama to mówiła - własne jej klejnoty mogły ich uratować od śmierci. Przytułki i kadzie z solą w prosektorjach dla głupców, klejnoty i automobile dla ludzi mądrych.

Ona należy do głupców. To jasne. Wszystko na to wskazuje. A jednak Saxon buntowała się przeciwko temu. Nie jest głupia. Jej matka nie była głupia, nie były głupie poprzedzające ją pokolenia pionierów. Ale widocznie musi tak być mimo wszystko. Bo oto siedzi tutaj nie mając w domu łyżki strawy; mężczyzna, którego kocha, zmieniony w brutalną bestię, przebywa za kratkami, jej puste ramiona i puste serce tęsknią za dzieckiem, które by żyło, gdyby głupcy, żrąc się o pracę, nie zrobili jatek w jej ogródku przed domem.

Siedziała łamiąc sobie głowę nad zawilóścią tych spraw; za plecami miała szarą smugę Oakland, po drugiej stronie zatoki - szarą smugę San Francisco.

A jednak słońce było dobre i wiatr był dobry, podobnie jak rześkie, słone powietrze w jej nozdrzach; dobre było błękitne niebo z białymi plamami obłoków. Cała natura była prawa, mądra, dobroczynna. To świat stworzony przez człowieka był zły, szalony, przerażający. Dlaczego głupi są głupi? Czy Bóg tak kazał? Nie, to niemożliwe. Bóg stworzył wiatr, powietrze, słońce. Świat ludzi stworzony został przez ludzi - partacka robota! A jednak (pamiętała dobrze naukę w sierocińcu) Bóg stworzył wszystko. Matka też w to wierzyła, wierzyła w tego Boga. Świata nie można zmieniać. Jest taki, jaki jest z wyroku Boga.

Przez jakiś czas Saxon siedziała zdruzgotana, bezradna. Potem w sercu zaczął jej się tlić protest, bunt. Na próżno zapytywała się w duchu, dlaczego Bóg ją karze. Czym zasłużyła sobie na taki los? Przebiegła myślami całe swoje życie, szukała w nim grzechów śmiertelnych, ale ich nie znalazła. Okazywała posłuszeństwo matce; okazywała posłuszeństwo Cady'emu, właścicielowi baru, i jego tonie; była posłuszna wobec przełożonej

w sierocińcu i wszystkich wychowawczyń; gdy zamieszkała w domu Toma, słuchała go i nigdy nie wybiegała bawić się na ulicę, ponieważ on jej tego zabronił. W szkole przechodziła z klasy do klasy z odznaczeniem i ze sprawowania miała zawsze najwyższe stopnie. Pracowała od dnia opuszczenia szkoły do dnia ślubu. Była dobrą robotnicą. Mały Żyd, właściciel fabryki pudełek, płakał nieomal, kiedy wymówił. Podobnie rzecz się miała w fabryce konserw. Gdy zamykano wytwórnię wyrobów z juty, Saxon należała do najlepszych tkaczek. I nigdy nie zeszła z uczciwej drogi. A przecież nie była brzydka czy odpychająca. Przeżywała swoje chwile pokus i chwile niebezpieczeństw. Mężczyźni za nią szaleli. Uganiali się za nią, walczyli o nią - większości dziewcząt przewróciłoby się od tego w głowie. Ale ona nie zeszła z uczciwej drogi. Potem przyszedł Bill, jej wielka nagroda. Poświęciła mu się, poświęciła się jego domowi, temu wszystkiemu, co stanowiło pokarm dla jego miłości. A teraz ona i Bill zapadają się w bezsensowne odmęty niedoli i rozpaczy świata, który stworzyli ludzie.

Nie, Bóg nie może być za to odpowiedzialny. Ona sama potrafiłaby stworzyć lepszy świat - szlachetniejszy, bardziej prawy świat. A jeżeli tak jest naprawdę, w takim razie nie ma Boga. Bóg nie wykonałby tak partackiej roboty. Przełożona w sierocińcu myliła się, jej matka nie miała racji. Z tego wynika, że nie istnieje nieśmiertelność; słusznie mówił Bert - szalony, zwariowany Bert, który padł przed jej furtką ze swoim śmiesznym okrzykiem na ustach. Człowiek umiera na zawsze.

Widząc życie odarte z irracjonalnych osłonek, Saxon popadła w otchłań najczarniejszego z wątplenia. Nie ma we wszechświecie sprawiedliwej nagrody za dobre postępowanie, nie ma uczciwości w stosunku do niej, która zasłużyła na nagrodę, w stosunku do milionów, którzy pracują jak zwierzęta, umierają jak zwierzęta - i umierają na zawsze.

Siedziała teraz zdruzgotana większą jeszcze bezradnością, niż kiedy włączyła Boga do systemu niesprawiedliwości. Dopóki istniał Bóg, istniała też szansa cudu, jakiejś nadprzyrodzonej interwencji, nagrody pod postacią niewysłowionego szczęścia. Gdy Boga zabrakło, świat stał się pułapką. Życie zmieniło się w pułpkę. Ona była makolągwą schwytaną przez chłopców i uwięzioną w klatce. Stało się tak, ponieważ makolągwa jest głupia. Ale ona się zbuntowała. Nie jest głupia. Nie chce być w pułapce. Musi się z niej wydostać, znaleźć drogę wyjścia. Taka droga z pewnością istnieje. Jeżeli najędźniejsi z głupich nędzarzy mogli znaleźć - jak o tym czytała w szkolnym podręczniku historii - drogę wyjścia i stać się prezydentami, którzy rozkazywali nawet mądrym jeżdżącym w samochodach, w takim razie ona powinna znaleźć drogę wyjścia dla siebie i zdobyć maleńką nagrodę - maleńką upragnioną nagrodę; Billa, odrobinę miłości, odrobinę szczęścia. Byłoby

jej to obojętne, że świat jest niemoralny, że nie ma na nim Boga, że nie ma nieśmiertelności. Rada poszłaby do czarnego grobu i na zawsze pozostała w jego nieprzeniknionej czerni - niechby ją wrzucono do zbiorników z solą, niechby młodzi studenci krajali jej nieżywe ciało na kawałki, byleby tylko otrzymała wprawdzie swą małą nagrodę szczęścia.

Jakżeby ona dbała o to szczęście! Jakżeby je ceniła, jakżeby się cieszyła każdą jego najdrobniejszą cząsteczką! Ale w jaki sposób je zdobyć? Którędy wiedzie droga do niego? Nie mogła jej dojrzeć. Przed oczami miała tylko szarą smugę San Francisco i szarą smugę Oakland, gdzie mężczyźni walczą i zabijają się, gdzie umierają dzieci urodzone i te w łonach matek, gdzie kobiety płaczą z bólu w zranionych sercach.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Żyła nadal swym otępiałym, nierzeczywistym życiem. Zdawało jej się, że Bill odszedł od niej przed wiekami i że wieki miną, zanim wróci. Cierpiała wciąż na bezsenność, niekiedy przez kilka nocy ani na chwilę nie zmrużyła oka. Kiedy indziej znów zapadała w długie, odrętwiałe sny, z których budziła się oszołomiona, niezdolna podnieść ciężkich powiek, niezdolna poruszyć znużonych członków. Uścisk żelaznej obręczy na głowie ani na moment nie zelżał. Odżywiała się nędznie. Nie miała ani centa. Często przez cały dzień nic nie brała do ust. Kiedyś nie jadła przez siedemdziesiąt dwie godziny. Wygrzebywała mule z podmokłego piachu, odbijała ostrygi ze skały i zbierała kraby.

A mimo to gdy wpadł Bud Strothers spytać, jak sobie radzi, zdołała go przekonać, że wszystko jest w porządku. Któregoś wieczora po pracy przyszedł Tom i zmusił ją do przyjęcia dwu dolarów. Był bardzo zatroskany. Chciałby jej więcej pomóc, ale Sara spodziewa się znów dziecka. U niego z pracą też jest kiepsko z powodu strajku w innych gałęziach przemysłu. Kraj schodzi na psy. A wszystko jest takie proste. Wystarczyłoby, gdyby ludzie dali się przekonać i głosowali w taki sposób, w jaki on głosował. Wtedy każdy otrzymałby to, co mu się słusznie należy. Chrystus też był socjalistą, powiedział na zakończenie.

- Chrystus umarł dwa tysiące lat temu - zauważyła Saxon.

- To co z tego? - spytał nie rozumiejąc ukrytego znaczenia jej słów.

- Pomyśl tylko, ile kobiet i mężczyzn umarło w ciągu dwóch tysięcy lat. A socjalizm nie przyszedł. Za następne dwa tysiące lat może być równie daleko jak dzisiaj. Tom, twój socjalizm nic ci dotąd nie dał. To zwykła mrzonka.

- Nie byłby mrzonką, gdyby... - zaczął niechętnie.

- Gdyby wszyscy wierzyli, tak jak ty wierzysz. Tylko że nie wierzą. jakoś nie możesz ich do tego namówić.

- Ale z każdym rokiem jest nas więcej - upierał się.

- Dwa tysiące lat to strasznie długo - powiedziała spokojnie.

Skinął głową, a smutek na jego zmęczonej twarzy pogłębił się.

- No cóż, Saxon, jeżeli to jest marzenie, to w każdym razie piękne marzenie.

- Nie chcę marzeń - odparła. - Chcę rzeczy prawdziwych. Chcę ich teraz.

Przed oczyma jej wyobraźni przesunęły się niezliczone pokolenia głupich nędzarzy - Billów i Saxon, Bertów i Mary, Tomów i Sar. Dokąd szły? Do zbiorników z solą i do grobów.

Mercedes jest twardą, złą kobietą, ale Mercedes ma rację. Głupcy zawsze będą gnębieni przez mądrych. Tylko te ona, Saxon, córka Daisy, która pisała piękne wiersze, i córka żołnierza na dereszowatym rumaku, ona, latorośl silnych pokoleń, które podbiły tę część świata, odebrały ją dzikiej naturze i krwiożerczym Indianom - ona nie jest głupia. Było to tak, jakby niesłusznie zamknięto ją do więzienia. To jakaś omyłka. Musi się stąd wydostać.

Za dwa dolary od Toma kupiła worek mąki i pół worka ziemniaków. Ożywiło to nieco monotonię jadłospisu składającego się z muli i ostryg. Za przykładem włoskich i portugalskich kobiet zbierała drzewo naniesione przez wodę i dźwigała je do domu, ale zawsze z uczuciem zawstydzenia i zawsze po zapadnięciu zmroku. Któregoś dnia włoscy rybacy wyciągnęli łódź na piaszczysty wał po stronie bagnisk, powstały przy pogłębieniu kanału. Saxon przyglądała im się ze szczytu Rock Wall; patrzyła, jak obstępują kocioł podgrzewany węglem drzewnym, jak jedzą twarde włoski chleb i mięso duszone z jarzynami, jak splukują jedzenie długimi łykami cienkiego czerwonego wina. Zazdrościła im swobody i wolności, o których świadczyła obfitość posiłku, wesoły ton rozmów i śmiech, sama łódź, która niosła ich, dokąd chcieli, i nie zatrzymywała się zawsze w tym samym miejscu. Potem wyciągnęli niewód przez rozlewisko na piach i wybrali tylko większe ryby. Gdy odpłynęli, na piachu zostały tysiące małych rybek wśród nich sardynki. Saxon napełniła nimi worek i dwa razy odbywała drogę do domu, po czym zasoliła je w drewnianej balu.

Nadal cierpiała na zanik świadomości. Najdziwniejszą z przygód, jakie się jej przydarzyły, miała na Piaszczystej Plaży. Ocknęła się tam któregoś wietrznego popołudnia przykryta workami w jamie, którą wygrzebała. Nad jamą zrobiła nawet prymitywny daszek z kawałków drewna i ostrej trawy, obłożony na wierzchu piachem.

Innego razu odzyskała nagle świadomość na błotnistych łąkach. Szła niosąc na plecach wiązkę drzewa, a obok niej kroczył Charley Long. Widziała dokładnie jego twarz w blasku gwiazd. Zastanawiała się tępo, od jak dawna Long do niej przemawia. Potem nagle zapagnęła usłyszeć, o czym mówi. Nie bała się mimo jego siły i przewrotności, mimo że tak samotnie i ciemno było na bagniskach.

- To hańba, że musisz to robić - mówił, powtarzając najwyraźniej jakieś już przytaczane argumenty. - Wystarczy, Saxon, żebyś powiedziała słowo. Jedno słowo Saxon!

Przystanęła i spokojnie spojrzała mu w twarz.

- Słuchaj uważnie, Charley. Beti odsiaduje tylko miesiąc i niedługo wyjdzie. A jeżeli powiem mu wtedy, żeś mnie napastował, twoje życie nie będzie warte funta kłaków. Zapamiętaj to sobie. Jeżeli odejdziesz zaraz i będziesz się trzymał z daleka, nic mu nie powiem. Tylko tyle ode mnie usłyszysz.

Ogromny kowal stał niezdecydowany i patrzył na nią groźnie. Pod naporem dzikiego pożądanego jego twarz była niemal żalosa w swym wyrazie; ręce zaciskały mu się i rozwierały bezwiednie.

- Ty śmieszna, mała kruszyno - powiedział z desperacją w głosie. - Mógłbym cię zabić jednym palcem. Mógłbym... mógłbym zrobić z tobą wszystko. Ale nie chcę twojej krzywdy, Saxon. Wiesz o tym. Dlatego powiedz słowo...

- Powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia.

- Boże! - wymamrotał z mimowolnym podziwem. - I ty się mnie nie boisz. Nie boisz się mnie.

Spoglądali na siebie długo, w milczeniu.

- Dlaczego się mnie nie boisz? - spytał wreszcie, wpatrzywszy się wpięrw w otaczającą ich ciemność, jak gdyby tam szukał jej ukrytych sprzymierzeńców.

- Bo wyszłam za męża za prawdziwego mężczyznę - odparła Saxon. - A teraz idź już sobie.

Gdy odszedł, przesunęła ciężar na drugie ramię i ruszyła w dalszą drogę. Przenikało ją spokojne uczucie dumy z Billa; choć był zamknięty za kratkami więzienia, nadal znajdowała oparcie w jego sile. Sama wzmianka o nim wystarczyła, aby się pozbyć brutala w rodzaju Charleya Longa. W dniu, w którym powieszono Otto Franka, nie wyszła z domu. Wieczorne gazety opublikowały sprawozdanie z egzekucji. Nie odroczone wykonania wyroku. W Sacramento był gubernator, który zawieszał wyroki, a nawet korzystał z prawa łaski w stosunku do włamywaczy obrabowujących banki i ludzi winnych przekupstwa, ale który nawet palcem nie ruszył, żeby uratować robotnika. Tak mówili wszyscy w sąsiedztwie. Tak mówiłby Bill. Tak mówiłby Bert.

Nazajutrz Saxon poszła na Rock Wall i duch Otto Franka wędrował u jej boku. A wraz z nim był mniej wyraźny, zamglony duch, w którym poznała Billa. Czy los każe kroczyć mu dalej tą drogą, aż do ponurego końca, jaki spotkał Otto Franka? Z pewnością tak, jeżeli walka i przelew krwi potrwać dłużej. Bill uznaje walkę. Uważa, że ma prawo walczyć. Łatwo jest zabić człowieka. Nawet jeśli nie ma zamiaru zabijać, kiedyś, gdy będzie okładał pięściami jakiegoś łamistrajka, ten upadnie i zdruzgoce sobie czaszkę o krawężnik jezdni lub betonową płytę chodnika. A wtedy Bill pójdzie na szubienicę. Dlatego powieszono Otto Franka. Otto Frank nie zamierzał zabić Hendersona. To był przypadek, że Hendersonowi pękła czaszka. Ale tak czy inaczej, Otto Frank poszedł na szubienicę.

Załamywała ręce i płakała na głos, potykając się w wietrze na nadmorskich skałach. Godziny mijały, a ona zagubiła się, zapamiętała w swych myślach i w swym smutku. Ocknęła

się na samym cyplu ściany, w miejscu, gdzie wrzyna się ona w zatokę pomiędzy kamienną tamą portu Oakland i portu Alameda. Tylko że Saxon nie zobaczyła ściany. Był to czas pełni księżyca i niezwykle wysokie fale przyływu zalały skały. Woda sięgała jej do kolan i dokoła pływały dziesiątki ogromnych skalnych szczurów. Piszczwały i walczyły z sobą żąłczenie, usiłując wdrapać się na nią w ucieczce przed przyływem. Zaczęła krzyczeć ze strachu i obrzydzenia, odpędzała je nogami. Niektóre dały nurka i odpłynęły pod wodę; inne otoczyły ją kołem i utrzymywały się na powierzchni w bezpiecznej odległości. Jakiś szczególnie duży okaz wbił zęby w jej but. Nadepnęła go i zmiażdżyła drugą nogą. Chociaż nadal drżała, mogła teraz spokojnie rozważyć sytuację. Brodząc po kolana w wodzie przeszła kilka stóp dzielących ją od solidnego kawałka drewna i za jego pomocą szybko oczyściła sporą przestrzeń wokół siebie.

Mały chłopiec w małej, jaskrawo pomalowanej łodzi żaglowej szczyrzył do niej zębami w uśmiechu. Zaczął płynąć ku ścianie i popuściwszy szoty⁶ zwolnił żagiel.

- Wziąć panią na pokład? - zawołał.

- Tak - odpowiedziała. - Tutaj są tysiące wielkich szczurów. Boję się ich.

Skinął głową, podprowadził łódź blisko do ściany, zwolnił zupełnie żagiel, tak że łódź niesiona własnym rozpędem zbliżyła się powoli do Saxon.

- Niech pani odepchnie dziób od skały - rozkazał. - Nie chciałbym złamać miecza⁷. W porządku. A teraz niech pani wskoczy na rufę, obok mnie. Prędko!

Uśluhała i lekko wsiadła do łodzi. Przytrzymał sterownicę łokciem, naciągnął szoty i gdy wiatr wydał żagiel, łódź odbiła od skały poprzez marszczącą się wodę.

- Zna się pani na łodziach - powiedział chłopiec z uznaniem.

Był to smukły, niemal drobny wyrostek lat dwunastu lub trzynastu; wygląd miał jednak zdrowy, twarz opaloną i usianą piegami i szare, duże oczy o czystym i inteligentnym spojrzeniu. Mimo że posiadał tę śliczną łódź, Saxon wyczuła instynktownie, że należy do jej klasy, że jest dzieckiem ludu.

- Pierwszy raz w życiu siedzę w łodzi - odparła ze śmiechem. - Nie licząc jazdy promem.

Spojrzał na nią bystro. - Hm... mogę tylko powiedzieć, że zachowuje się w łodzi jak kaczka w wodzie. Gdzie mam panią wysadzić?

- Gdzie bądź.

⁶ Szoty - lina służąca do ustawiania żagla względem wiatru

⁷ Miecz - poruszający się w skrzyni mieczowej - deska lub blacha, którą się opuszcza w celu zabezpieczenia stateczności poprzecznej statku oraz zapobieżenia dryfowaniu

Otworzył usta i już miał coś powiedzieć, ponownie obrzucił ją bystrym spojrzeniem namyślał się chwilę, a potem spytał nagle:

- Ma pani czas?

Skinęła głową.

- Cały dzień wolny?

Znowu skinęła.

- Wie pani co pani powiem? Wybieram się teraz z odpływem na Wyspę Koźłą na połów sztokfiszy, a wrócę wieczorem, jak zacznie się przyływ. Mam mnóstwo wędek i przynęty. Chce pani ze mną popłynąć? Moglibyśmy oboje łowić. A co pani złapie, weźmie pani dla siebie.

Saxon zawahała się. Niczym nie ograniczona swoboda i ruch tej małej łodzi pociągały ją w szczególny sposób. Łódź wypływała na morze, tak jak statki, którym zazdrościła.

- A może ty mnie utopisz? - rozpoczęła pertraktacje.

Chłopiec dumnym gestem odrzucił głowę.

- Spędziłem dużo dni na morzu i jakoś jeszcze żyję - powiedział.

- No to dobrze - zgodziła się Saxon. - Tylko pamiętaj, że nie znam się zupełnie na łodziach.

- Och, nic nie szkodzi... Teraz zmienię kurs. Kiedy powiem: „Do zwrotu”, schyli pani głowę, bo inaczej bom mógłbym panią uderzyć, i przesunie się pani na drugą stronę łodzi.

Wykonał manewr. Zrobiła, jak kazał, i nagle znalazła się po przeciwnej stronie gdy tymczasem sama łódź, idąc nowym halsem⁸, płynęła ku Długiemu Nabrzeżu, gdzie były bunkry z węglem. Saxon nie posiadała się z zachwytem, tym bardziej że technika żeglowania była dla niej czymś skomplikowanym i tajemniczym.

- Kto cię tego nauczył? - spytała.

- Sam się nauczyłem, tak jakoś samo przyszło. Lubilem żagiel i chciałem pływać, a dla chcącego nic trudnego. To już jest moja druga łódź. Pierwsza nie miała miecza. Kupiłem ją za dwa dolary i wiele na niej skorzystałem, chociaż przeciekała. Jak pani myśli, ile zapłaciłem za tę łódkę: Teraz jest warta dwadzieścia pięć dolarów. No, jak pani myśli - ile?

- Poddaję się - rzekła Saxon. - Ile?

- Sześć dolarów. Uwierz pani? Taka łódź! Naturalnie mocno się nad nią napracowałem, a żagiel kosztował dodatkowo dwa dolary, wiosła dolar czterdzieści i farba siedemdziesiąt pięć centów. Ale te dziesięć dolarów i piętnaście centów to też jest półdarmo. Chociaż strasznie długo trwało, zanim je zebrałem. Rano i wieczór roznoszę gazety... jeden

⁸ Hals - zakos, jakim posuwa się statek żeglujący pod wiatr

mój znajomy chłopiec zastąpi mnie dziś po południu. Daję mu za to dziesięć centów i wszystko, co dostanie z dodatkowych egzemplarzy. Zebrałbym na tę łódź dużo prędeży, tylko że matka każe mi płacić za lekcje stenografii. Chce żebym został reporterem sądowym, bo oni zarabiają czasem po dwadzieścia dolarów na dzień. O rany! Ale ja na to nie mam ochoty. Nie chcę tego. To, hańba, marnować pieniądze na takie lekcje.

- A czego ty chcesz? - spytała, częściowo ot tak, żeby spytać, a częściowo z prawdziwej ciekawości. Spodobał jej się ten chłopiec w krótkich spodenkach, który był tak ufny i tak jednocześnie inteligentny.

Obracając powoli głowę przebiegł oczyma linię horyzontu; zatrzymał się na chwilę, gdy jego wzrok napotkał od strony lądu brunatne pagórki Contra Costa, od strony zaś morza - Złote Wrota w dali za Alcatraz. Tęskny wyraz w jego oczach, zaskakująco intensywny, rozczulił Saxon.

- Tego chcę - powiedział zataczając ręką krąg, którym objął cały świat.

- Tego?

Spojrzał na nią zmieszany, że nie dość jasno wyraził swoje myśli.

- Czy pani nigdy tak nie czuje? - spytał szukając zrozumienia dla swych marzeń. - Czy nie ma pani czasem uczucia, że pani umrze, jeżeli się pani nie dowie, co jest za tymi górami i dalej za górami, które są za tymi pierwszymi? A Złote Wrota! Za Złotymi Wrotami jest Pacyfik... i Chiny, Japonia, Indie... i wszystkie wyspy koralowe. Ze Złotych Wrót dopłynię pani wszędzie - do Australii, do Afryki, na wyspy focze, na biegun północny, na przylądek Horn. Przecież te wszystkie miejsca tylko na mnie czekają. Całe życie spędziłem w Oakland, ale nie mam zamiaru spędzić tu reszty życia. Ani mi się śni. Wyjadę daleko... daleko...

A ponieważ słowami nie mógł wyrazić ogromu swego pragnienia, znów zatoczył ręką krąg obejmujący cały świat.

Saxon zrozumiała jego podniecenie. Nie licząc wczesnego dzieciństwa, ona też całe życie mieszkała w Oakland. I dobrze jej się żyło w tym mieście... do niedawna. A teraz stało się koszmarem pełnym zgrozy, miejscem, skąd trzeba odejść... tak jak dla jej przodków Wschód stał się miejscem, z którego trzeba było odejść. A właściwie dlaczego nie? Szeroki świat zdawał się zapraszać ją gestem i dlatego tak dobrze rozumiała pragnienie chłopca. Kiedy zaczęła się nad tym zastanawiać, doszła do wniosku, że ludzie jej rasy nigdy nie lubili siedzieć długo na jednym miejscu. Zawsze byli w ruchu. Wróciła myślami do opowieści matki, do drzeworytu, na którym jej pólnadzy przodkowie z mieczami w rękach wyskakiwali ze smukłych łodzi i szli w bój nasiąknięci krwią piaskach nadbrzeżnych Anglii.

- Czy słyszałeś o Anglosasach? - zwróciła się do chłopca.

- No chyba! - Oczy mu zabłyśły, spojrzał na nią z nowym zainteresowaniem. - Ja jestem Anglosas, cały od stóp do głów. Niech pani popatrzy na moje oczy, mają cerę. Jestem strasznie biały wszędzie tam, gdzie mnie słońce nie schwyciło. A jak byłem dzieckiem, miałem zupełnie jasne włosy. Matka powiada, że zanim dorosnę, włosy zrobią mi się brązowe. Takie psie szczęście! Ale mimo to jestem Anglosas. Należę do rasy ludzi, którzy lubią walczyć. My się nie boimy niczego. Ta zatoka... Phi, myśli pani, że jej się boję? - Spojrzał na wodę oczami, w których płonęła pogarda. - Przecież ja przepłynąłem zatokę w mojej łodzi, kiedy wiatr aż wył i kiedy żeglarze ze szkunerów przybrzeżnych mówili, że to kłamstwo i że wcale nie przepłynąłem. Ha! Takie chłystki! Przecież myśmy tysiące lat temu sprawili lanie takim jak oni. My potrafimy sprawić lanie każdemu, do kogo się weźmiemy. Przeszliśmy cały świat, wszystkim po kolei sprawiając lanie. Na morzu, na lądzie... zawsze jest tak samo. Niech pani weźmie lorda Nelsona albo Davy Crocketta, albo Paula Jonesa, Clive'a, Kitchenera, Fremonta, Kita Carsona i wszystkich innych.

Saxon skinęła głową; chłopiec mówił dalej, a ona słuchała z błyszczącymi oczami. I przyszło jej na myśl, jak by to było cudownie być matką takiego syna. Dobra rasa, dobra rasa, powtarzała w duchu. A potem myślała o Billu i o sobie, zdrowych, silnych pędach tego samego pnia, i o tym, że są skazani na bezdzietność, ponieważ stworzony przez człowieka świat jest pułapką i ponieważ ciąży na nich przekleństwo przynależności do głupiej części rodzaju ludzkiego.

Wróciła myślami do chłopca.

- Mój ojciec był żołnierzem w wojnie domowej - mówił malec. - Był zwiadowcą i szpiegiem. Buntownicy chcieli go dwa razy powiesić za szpiegostwo. Podczas bitwy o Wilsons-Creek przebiegł pół mili niosąc na plecach rannego kapitana. Jeszcze dotąd ma kulę w nodze, tuż nad kolaniem. Siedzi mu tam przez te wszystkie lata. Raz pozwolił mi dotknąć tego miejsca. Przed wojną był myśliwym, polował na bawoły zastawiał sidła na zwierzynę. Jak miał dwadzieścia lat, został szeryfem swojego okręgu. A po wojnie, kiedy go mianowali głównym szeryfem Silver City, wypędził z miasta wszystkich łotrów i zabijaków. Zna prawie każdy stan w Unii. Za młodu zwyciężał każdego w zapasach i był postrachem flisaków na Susquehanna. Jego ojciec, kiedy miał sześćdziesiąt lat, zabił w uczciwej walce człowieka jednym uderzeniem pięści. A jak miał siedemdziesiąt cztery lata, jego druga żona urodziła mu bliźniaki. Umarł podczas orki w polu, mając lat dziewięćdziesiąt dziewięć. Wyprzęgł woły, usiadł pod drzewem i umarł na siedząco. Mój ojciec jest zupełnie do niego podobny. Jest już dość stary, ale nie boi się niczego. Prawdziwy Anglosas. Należy do specjalnej policji i w walkach na ulicy nie podniósł nawet sęki na strajkujących. Ale raz poranili mu całą twarz

kamieniami i wtedy on złamał pałkę na głowie tego chuligana.

Umilkł zdyszany i spojrzał na nią.

- O rany! - powiedział. - Nie chciałbym być w skórze tego faceta!

- Nazywam się Saxon - oznajmiła.

- Na nazwisko?

- Nie, na imię.

- Słowo daję! - zawołał. - Ale z pani szczęściara! Ach, gdybym się tak nazywał chociaż Erling... wie pani, Erling Śmiały. Albo Wolf, albo Swen, albo Jarl!

- A jak ci na imię?

- John - rzekł ze smutkiem. - Ale nie pozwalam nikomu mówić na siebie John. Wszyscy muszą mnie nazywać Jack. Biłem się już z kilkunastu chłopakami, którzy próbowali mnie nazywać John albo Johnnie... Brr, aż się mdło robi! Johnnie!

Minęli bunkry z węglem przy Długim Nabrzeżu i chłopiec skierował łódź ku San Francisco. Byli już daleko na zatoce. Zachodni wiatr powiał teraz silniej, tworząc białe czapy piany na wartkiej fali odpływu. Łódź mknęła wesoło. Gdy piana bryzgała na pokład mocząc im ubrania, Saxon śmiała się, a chłopiec spoglądał na nią z uznaniem. Minęli prom. Pasażerowie na górnym pokładzie zebrali się przy burcie i patrzyli za nimi. Na dużej fali po przejściu parowca łódź napełniła się do jednej czwartej wodą. Saxon wzięła do ręki pustą puszkę i spojrzała na chłopca.

- A tak - powiedział - trzeba by wybrać. - A gdy skończyła, dodał: - Dopłyniemy do Wyspy Koźlej następnym halsem. Zarzucimy sieci tuż obok Stacji Torpedo, na głębokości pięćdziesięciu stóp, a przy wysokiej fali nawet więcej. Ależ pani przemokła, że można by panią wyżyć! Niech mnie! Pani pasuje do swojego imienia. Jest pani prawdziwa Saxon. Ma pani męża?

Saxon skinęła głową, a wtedy chłopiec zmarszczył brwi.

- I po co to było robić? Teraz nie będzie pani mogła wędrować po całym świecie, jak ja. Jest pani przywiązana do miejsca. Na dobre zarzuciła pani kotwicę.

- Małżeństwo też jest coś warte - powiedziała z uśmiechem.

- Pewnie, każdy się żeni. Ale to jeszcze nie powód, żeby się z tym śpieszyć. Dlaczego pani nie poczekała trochę dłużej? ja też się kiedyś ożenię, ale dopiero jak będę zupełnie stary i zwiedzę cały świat.

Gdy znaleźli się pod osłoną Wyspy Koźlej, chłopiec zwinął żagiel, a gdy łódź zniosło w miejsce, które mu się wydało dogodne, zarzucił małą kotwiczkę. Wyjął teraz wędki i pokazał Saxon, jak zakładać na haczyki kawałki solonego piskorza. Potem zarzucili wędki

głęboko, aż na dno - i czekali.

- Niedługo zaczną brać -- powiedział chłopiec zachęcająco. - Tylko dwa razy nie udało mi się tu nic złapać: A co pani na to, żebyśmy tymczasem coś zjedli?

Na próżno zapewniała go, że nie jest głodna. Podzielił się z nią swoim obiadem wedle surowych nakazów chłopięcego poczucia sprawiedliwości, nie pominawszy nawet jajka na twardo i dużego czerwonego jabłka.

A sztokfisz nie brały. Z miejsca przy sterze chłopiec wyciągnął książkę oprawną w płótno.

- Bezpłatna wypożyczalnia - wyjaśnił. Zaczął czytać, palcem jednej ręki wodząc po stronie, drugą trzymając na wędce w oczekiwaniu szarpnięcia.

Saxon przeczytała tytuł: „Wyprawa wodą przez puszcę”.

- Niech pani posłucha - powiedział po chwili. Przeczytał jej kilka stron zawierających opis zalanej powodzią puszczy tropikalnej, do której wyprawiła się gromadka chłopców na tratwie. - Niech pani tylko pomyśli! - rzekł na zakończenie. - Tak wygląda podczas powodzi rzeka Amazonka w Ameryce Południowej. A na świecie pełno jest takich miejsc - wszędzie ich pełno, tylko naturalnie nie w Oakland. Oakland to po prostu takie miejsce, z którego rusza się w świat. Mówię pani - to była przygoda! Niech pani tylko pomyśli, jak się tym chłopcom poszczęściło! Swoją drogą ja też się kiedyś przeprawię przez Andy do źródeł Amazonki, przedrę się przez lasy kauczukowe, wsiedę w czółno i popłynę w dół rzeki - tysiące, tysiące mil aż do ujścia, gdzie Amazonka tak jest szeroka, że nie widać drugiego brzegu, i gdzie w odległości stu mil od lądu czerpie się z morza słodziutką rzeczną wodę.

Ale Saxon już nie słuchała. Jedno znamienne zdanie porwało jej wyobraźnię. Oakland to takie miejsce, z którego wyrusza się w świat. Nigdy nie spoglądała na swoje miasto w takim świetle. Uważała je za miejsce wyznaczone jej do życia, za cel sam w sobie. A tymczasem - miejsce, z którego wyrusza się w świat! Czemu by nie? Dlaczego traktować go jako stacji kolejowej czy przystani promu? W sytuacji, jaka się wytworzyła, Oakland nie zachęcało do pozostania na dłużej. Chłopiec miał rację. Miejsce, z którego wyrusza się w świat. Ale dokąd? Natrafiła tu na przeszkodę, a jednocześnie silne i powtarzające się szarpnięcia wędką przerwały jej rozmyślanie. Zaczęła ściągać linkę szybko i zręcznie, wedle pełnych zachęty wskazówek chłopca, aż wreszcie haczyki, ciężarki i duży, łapiący skrzelaми powietrze sztokfisz grzmotnęły na dno łodzi. Gdy ryba uwolniona została z haczyka, Saxon założyła nową przynętę i po raz drugi zarzuciła wędkę. Chłopiec zaznaczył miejsce, do którego doczytał, i zamknął książkę.

- Niedługo tak zaczną brać, że nie nadażymy z wyciąganiem linki - powiedział.

Ale nastąpiło to nie tak prędko.

- Czy czytała pani książki kapitana Mayne Reida? - spytał. - Albo kapitana Marryatta? Albo Ballantyne'a?

Potrząsnęła głową.

- I pani uważa się za Anglosaskę! - zawołał szyderczo. - W bezpłatnej bibliotece są ich całe stosy. Mam dwie karty, matki i moją, więc ciągle je wypożyczam. Najczęściej po szkole, zanim idę roznosić gazety. Wsadzam książki za koszulę, na piersi wsuwam je pod szelki. Trzymają się tam dobrze. Jednego dnia, kiedy roznosiłem gazety, na rogu Długiej i Market Street napadła mnie banda chłopaków, strasznych łobuzów, którzy się tam zwykle kręcą. Rozpocząłem walkę z ich przywódcą. Zamachnął się, chciał mnie tak rąbnąć, żeby mi dech zaparło, no i wpakował pięść w okładkę książki. Szkoda, że pani nie widziała jego twarzy! Wtedy ja go rąbnąłem i cała banda chciała się na mnie rzucić, ale dwaj robotnicy z odlewni ujęli się za mną i przypilnowali, żeby walka była uczciwa. Dałem im książki do potrzymania.

- Kto zwyciężył? - spytała Saxon.

- Nikt - wyznał niechętnie chłopiec. - Myślę, że byłem górą, ale robotnicy powiedzieli, że jest remis, bo nadszedł policjant i kazał nam przerwać, chociaż walczyliśmy dopiero pół godziny. Ale niech pani żałuje, że pani nie widziała tego tłumu. Głowę dam, że było z pięćset osób...

Urwał raptownie i zaczął ściągać linkę, a po chwili Saxon robiła to samo. W ciągu następnych dwóch godzin złapali we dwoje dwadzieścia funtów ryby.

Tej nocy, długo po zapadnięciu zmroku, mała łódź płynęła w górę oaklandzkiego zalewu. Kierunek wiatru był dobry, ale nasilenie małe i łódź posuwała się powoli, ciągnąc za sobą długi bal drzewa; chłopiec złapał go, gdy unosił się na fali, i oznajmił, że jako drzewo na opał wart jest najmniej trzy dolary. Powierzchnia przybierającej wody była gładka, na niebie stał księżyc w pełni i w jego blasku Saxon rozpoznawała punkty, które mijali - próbny dok, Piaszczystą Plażę, stocznię, fabrykę gwoździ, nabrzeże przy Market Street. Chłopiec wprowadził łódź do zniszczonej przystani u wylotu ulicy Castro, gdzie jeden obok drugiego stały szkunery przybrzeżne naładowane żwirem i piaskiem. Obstawał stanowczo przy podziale ryb na dwie równe części, ponieważ Saxon pomogła je łowić; jednakże długo i szeroko objaśniał prawa etyczne rządzące podziałem wyłowionego drzewa, by jej dowieść, że bal jest jego wyłączną własnością.

Rozstali się na rogu ulicy Siódmej i Topolowej; Saxon poszła dalej sama, niosąc swoją część ryb. A chociaż była zmęczona po tym długim dniu, doznawała osobliwego uczucia błogości. Oczyszczyła ryby i położyła się do łóżka, ale zanim zasnęła, zastanawiała się, czy

kiedy wróca dobre czasy, zdoła namówić Billa, żeby kupił łódź i zabierał ją w niedzielę na cały dzień na zatokę.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W nocy spała spokojnie i mocno, a rano obudziła się przytomna i po raz pierwszy od wielu tygodni wypoczęta. Czuła się znów sobą, jak gdyby zdjęto z niej jakiś przytłaczający ciężar, jak gdyby zniknęła zasłona przysłaniająca jej słońce. Umysł miała jasny. Żelazna obręcz uciskająca głowę nagle znikła. Było jej wesoło na duszy. W pewnym momencie, gdy dzieliła ryby na trzy równe części - dla Maggie Donahue, pani Olsen i siebie - złapała się na tym, że śpiewa na głos. Pogawędka z obiema kobietami sprawiła jej przyjemność; gdy wróciła, zabrała się wesoło do sprzątanego domu. Śpiewała pracując, a między tonami jej piosenek tańczyły wciąż i skrzyły się magiczne słowa: „Oakland to takie miejsce, z którego wyrusza się w świat!” Wszystko było teraz jasne jak słońce. Problem jej i Billa był tak prosty jak zadanie arytmetyczne w szkole: wybić chodnikiem pokój mający tyle a tyle stóp szerokości i długości. Wykleić tapetą pokój o takich a takich rozmiarach... Była chora umysłowo, miewała dziwne momenty zaniku świadomości, była nieodpowiedzialna. Doskonale.

Wszystko to stało się z przyczyny trosk, które spadły na nią nie z jej winy. To samo dotyczyło Billa. Zachowywał się dziwnie, ponieważ był nieodpowiedzialny za swoje czyny. Ich kłopoty i troski wynikały z mechanizmu pułapki. Oakland jest pułapką. Oakland to miejsce, z którego wyrusza się w świat.

Przebiegła w myślach zdarzenia małżeńskiego życia. Strajki i ciężkie czasy były przyczyną wszystkiego. Gdyby nie strajk robotników z zakładów kolejowych i walka pod oknami jej domu, nie straciłaby dziecka. Gdyby bezczynność i beznadziejność walki woźniców nie doprowadziły Billa do rozpacz, nie zaczęłyby pić. Gdyby nie ciężkie czasy, nie wzięliby lokatora i Bill nie siedziałby teraz w więzieniu.

Powzięła decyzję. Miasto nie jest miejscem odpowiednim dla niej i dla Billa, nie jest miejscem odpowiednim dla miłości i dzieci. Droga wyjścia jest prosta. Opuszczą Oakland. Tylko głupi zostają i poddają się bezwolnie losowi. Ale ona i Bill nie są głupi. Nie schyla głowy przed wyrokiem losu. Wyjdą losowi naprzeciw. Dokąd... tego nie wiedziała. Ale to się jeszcze zobaczy. Świat jest wielki. Gdzieś poza kręgiem otaczając ich wzgórz, gdzieś poza Złotymi Wrotami znajdą to, czego pragną. Chłopiec tylko w jednym nie miał racji. Choć ma męża, nie jest przywiązana do Oakland. Świat stoi otworem przed nią i przed Billem - tak jak stał otworem przed dawnymi pokoleniami wędrowców. Tylko głupi pozostawali zawsze w tyle, kiedy rozpoczynała się wędrówka. Silni szli naprzód. Ona i Bill są silni. Pójdą w świat

- poza brunatne pagórki Contra Costa lub poprzez Złote Wrota.

W wilię uwolnienia Billa Saxon dokończyła ubogich przygotowań na jego przyjęcie. Nie miała ani centa i gdyby nie postanowienie, że już nigdy nie zrobi Billowi tej przykrości, pożyczylaby od Maggie Donahue pieniądze na przejazd promem i udałaby się do San Francisco, żeby sprzedać część swoich stroików. Ponieważ nie wchodziło to u rachubę, w domu zaś miała tylko chleb, kartofle i solone sardynki, wyszła podczas popołudniowego odpływu nad zatokę, i wykopała z piachu mule na duszonkę. Zebrała też naręcze drzewa naniesionego przez wodę i dopiero o dziewiątej wieczór zeszła z bagnisk niosąc na plecach drzewo i krótką łopatkę, w wolnej zaś ręce wiaderko z mulami. Przemykała się nie oświetloną stroną ulicy i śpiesznie przebyła przestrzeń pod lampami elektrycznymi, aby uniknąć ciekawych spojrzeń sąsiadów. Ale jakaś postać kobieca zbliżyła się do niej, spojrzała na nią uważnie i przystanęła. Była to Mary.

- Mój Boże, Saxon! zawołała. - A więc doszło już do tego?

Saxon spojrzała ciekawie na dawną przyjaciółkę, objęła ją szybkim, badawczym spojrzeniem, które odgadło całą tragedię. Mary była szczuplejsza, chociaż policzki barwiły jej się żywszym rumieńcem - rumieńcem, który zbudził w Saxon podejrzenie. Błyszczące oczy Mary wydawały się ładniejsze, większe - za duże, błyszczały zbyt gorączkowym ogniem, niespokojne. Była dobrze ubrana - za dobrze ubrana. I niezwykle nerwowa. Co rusz obracała głowę lekko i spoglądała w ciemność poza sobą.

- Boże... - wyszeptała Saxon. - Więc ty... - Umilkła i zaczęła po raz drugi: - Chodź do domu.

- Jeżeli się wstydzisz, że cię ze mną zobaczą... - wybuchnęła Mary z dawną, jakże dla niej typową popędliwością.

- Nie, nie - zaprzeczyła Saxon. - Idzie mi o to drzewo i mule. Nie chcę, żeby sąsiedzi widzieli. Chodź, Mary.

- Nie mogę, Saxon. Chciałabym, ale nie mogę. Muszę złapać następny pociąg do San Francisco. Czekałam na ciebie. Stukałam do drzwi kuchennych, ale w całym domu było ciemno. Bill jeszcze w więzieniu?

- Wychodzi jutro rano.

- Czytałam o tym w gazetach - mówiła Mary w pośpiechu, znów oglądając się za siebie. - Kiedy się to stało, byłam w Stockton. - Zwróciła się do Saxon niemal groźnie: - Nie ganisz mnie chyba, co? Nie mogłam... nie mogłam wrócić do pracy po tym, jak byłam już mężatką. Zbrzydła mi praca. Byłam już chyba zmęczona... i w ogóle nie jestem wiele warta. Ale gdybyś ty wiedziała, jak ja nienawidziłam pralni jeszcze przed małżeństwem! Świat jest

podły. Ty o tym nie masz pojęcia. Klnę się Bogiem, Saxon, że nawet się nie domyślasz setnej części jego podłości. Och, chciałabym umrzeć, chciałabym umrzeć i skończyć z tym wszystkim. Posłuchaj, Saxon... nie, nie mogę teraz. Mój pociąg wjeżdża już na Adeline. Będę musiała biec, żeby zdążyć. Chciałabym przyjść znowu...

- Może byś się tak pośpieszyła, co? - przerwał jej męski głos. - Mężczyzna, który wypowiedział te słowa, wyłonił się z ciemności. Nie był to robotnik. Saxon zaraz poznała; mimo dostatniego odzienia człowiek ów stał dużo niżej na drabinie społecznej od najędźniejszego robotnika.

- Poczekaj minutkę, już idę - rzuciła Mary pojednawczo.

Zarówno ze słów, jak i z tonu jej głosu Saxon poznała, że Mary boi się tego człowieka, który jak żerujące zwierzę krył się na granicy mroku.

- Muszę lecieć. Do widzenia - powiedziała Mary szukając czegoś, co wsunięte miała za rękawiczkę.

Chwyciła jej wolną rękę i Saxon poczuła, że wciska jej w dłoń małą, rozgrzaną monetę. Usiłowała stawić opór, siłą zwrócić pieniądz.

- Nie, nie - prosiła Mary. - W imię dawnych czasów. Kiedyś może ty zrobisz dla mnie to samo. Wpadnę znowu. Do widzenia.

Nagle wybuchnęła szlochem, objęła Saxon i przytuliła twarz do jej piersi łamiąc pióra na kapeluszu o wiązkę drzewa. Potem odsunęła się od niej na odległość ramienia i stała wpatrując się w nią drżąca i bliska załamania.

- No, dalej! Rusz się! - przyplął z ciemności naglący głos mężczyzny.

- Och, Saxon: - zaszlochała Mary. I odeszła.

Znalazszy się w domu Saxon zapaliła lampę i spojrzała na monetę. Było to pięć dolarów - dla niej fortuna. Potem pomyślała o Mary i mężczyźnie, którego się Mary bała. Postawiła w myślach jeszcze jedną czarną kreskę przeciwko Oakland. Mary to dalsza ofiara. Saxon słyszała, że żyją one przeciętnie pięć lat. Spojrzała znów na monetę i cisnęła ją do kuchennego zlewu. Gdy myła mule pod kranem, słyszała, jak pieniążek potoczył się z brzękiem w dół rury odpływowej.

Myśl o Billu kazała jej nazajutrz rano wejść pod zlew, odkręcić kolanko i wyjąć monetę. Mówiono jej, że więźniowie otrzymują marne pożywienie; perspektywa postawienia przed Billem - po trzydziestu dniach więziennej strawy - suchego chleba i muli była zbyt przygnębiająca, aby mogła wahać się dłużej. Bill tak lubi chleb nasmarowany grubo masłem, gruby befszytk usmażony na suchej, gorącej patelni, kawę, która jest naprawdę kawą!

Bill przyszedł dopiero po dziewiątej i Saxon czekała na niego w swojej najładniejszej

domowej sukni. Przyglądała mu się zza firanki, gdy wchodził wolno na stopień; byłaby do niego wybiegła, gdyby nie grupka dzieci z sąsiedztwa, które patrzyły z przeciwnej strony ulicy. Drzwi otworzyły się przed nim, zanim sięgnął ręką do klamki, a gdy był już w środku, zamknąć je musiał plecami, gdyż ramiona pełne miał Saxon. Nie, nie jadł śniadania, ale teraz, gdy ma Saxon, nie chce żadnego śniadania. Po drodze wstąpił tylko do fryzjera, żeby się ogolić. Fryzjer ogolił go na kredyt. Całą drogę z ratuszu przebył pieszo, bo nie miał miedziaków na opłacenie przejazdu. Za to strasznie by się chciał wykapać i zmienić bieliznę. Saxon nie powinna się do niego zbliżać, dopóki tego nie zrobi.

Umyty i przebrany zasiadł w kuchni i patrzył na nią, gdy przygotowywała jedzenie spostrzegł drewno zbierane w zatoce i spytał ją o nie. Saxon opowiadała mu o tym jak zbierała drzewo, jak sobie radziła nie zaciągając długów wdzięczności wobec związku. Gdy siedli do stołu, opowiedziała mu o wczorajszym spotkaniu z Mary. Nie wspomniała ani słowem o pięciu dolarach.

Bill przestał żuć kawałek mięsa, który włożył do ust. Wyraz jego twarzy przeraził ją. Wypluł mięso na talerz.

- Pieniądze na mięso dostałaś od niej - rzucił oskarżycielsko. - Nie miałaś pieniędzy, kredytu rzeźnik dawno odmówił, a mimo to podałaś mi mięso. Mam rację?

Za całą odpowiedź Saxon spuściła głowę.

Na jego twarzy pojawił się ów przerażający wyraz; w oczach -, beznamiętny, posepny chłód, który widziała po raz pierwszy w dniu ich poznania, gdy walczył w Weasel Park trzema Irlandczykami.

- Coś jeszcze kupiła? - spytał. W jego pytaniu nie było surowości ani gniewu tylko zdejmujący lekko chłód wściekłości, której nie potrafią wyrazić żadne słowa.

Skonstatowała ze zdziwieniem, że nagle wrócił jej spokój. Bo czyż miało to jakieś znaczenie? Było to coś, czego żyjąc w Oakland należało się spodziewać - coś, co pozostawia za sobą, gdy Oakland będzie już miejscem, z którego wyruszyli w świat.

- Kawę - odpowiedziała. - I masło.

Zgarnął jedzenie ze swojego i jej talerza na patelnię, wrzucił tam osełkę masła i odkrajany z niej kawałek leżący na stole, na wierzch zaś wysypał zawartość puszki na kawę. Wszystko to zaniósł na podwórko i wrzucił do śmietnika. Dzbane z kawą wypróżnił do zlewu.

- Ile ci jeszcze pieniędzy zostało? - spytał.

Saxon wyjęła portmonetkę i przeliczyła jej zawartość.

- Trzy dolary osiemdziesiąt centów - odparła podając mu pieniądze. - Za befsztyk

zapłaciłam czterdzieści pięć centów.

Spojrzał na garść monet, przeliczył je i podszedł do drzwi frontowych. Słyszała, jak otwiera i zamyka drzwi; domyśliła się, że wyrzucił srebro na ulicę. Gdy wrócił do kuchni, Saxon nakładała mu już smażone kartofle na czysty talerz.

- Nie ma takiej rzeczy, która byłaby za dobra dla Robertsów - powiedział. - Ale na Boga, tego rodzaju smakołyki są za wytworne dla mojego żołądka... Są tak wytworne, że śmierdzą.

Spojrzał na smażone ziemniaki, na kromkę nie posmarowanego chleba i na szklanekę wody, którą postawiła obok nakrycia.

- Bądź spokojny - uśmiechnęła się na widok jego wahania. - Nie została ani jedna nieczysta potrawa.

Spojrzał jej w twarz, jakby szukając tam sarkazmu, a potem westchnął i siadł. Prawie natychmiast zerwał się i wyciągnął do niej ramiona.

- Zaraz wezmę się do jedzenia, ale najpierw chciałbym z tobą pomówić - rzekł siadając, ale nie wypuszczając jej z objęć. - Zresztą woda to nie kawa. Jak ostygnie, nic jej nie zaszkodzi. A teraz posłuchaj. Ciebie jedną mam na świecie. Nie zlekkaś się mnie ani tego, co przed chwilą zrobiłem. I to mnie cieszy. Ale zapomnijmy o Mary. Mam dość miłosierdzia. Jest mi jej żal na pewno nie mniej niż tobie. Zrobiłbym dla niej wszystko. Obmyłbym jej nogi jak Chrystus. Posadziłbym ją przy swoim stole i wpuścił pod swój dach. Ale to jeszcze nie powód, żebym miał korzystać z tego, co zarobiła. Teraz zapomnij o niej. Teraz jesteśmy tylko ty i ja, tylko my dwoje - i niech diabli porwą resztę świata. Wszystko inne się nie liczy. Nigdy już nie będziesz musiała się mnie bać. Whisky i ja to kiepskie połączenie, wobec tego kończę z whisky. Przez długi czas miałem chyba źle w głowie i nie traktowałem cię sprawiedliwie. Ale to już należy do przeszłości. Nigdy więcej się nie powtórzy. Mam zamiar zacząć wszystko od początku.

Weź to, co przed chwilą zrobiłem. Nie powinienem był zachować się tak popędliwie. Ale się zachowałem. Powinienem był to z tobą omówić. Ale nie omówiłem. Moja gwałtowność wzięła nade mną górę, a wiesz, jaki jestem gwałtowny. Jeżeli człowiek umie się opanować na ringu, powinien się też opanowywać w małżeństwie. Ale to było takie jakieś niespodziewane. To coś, z czym się nie mogę pogodzić, z czym nigdy bym się nie mógł pogodzić. A ty przecież nie chciałabyś mnie zmuszać do czegoś, z czym w żaden sposób nie mógłbym się pogodzić, tak jak ja bym cię nigdy do czegoś takiego nie zmuszał.

Usiadła wyprostowana na jego kolanach, przejęta myślą, która nagle przysła jej do głowy.

- Mówisz to poważnie, Bill?

- Ma się rozumieć - odparł. - W takim razie powiem ci o czymś, czego w żaden sposób nie potrafię znieść dłużej. Umrę, jeżeli będę musiała.

- Mów - powiedział po krótkiej chwili namysłu.

- Wszystko zależy od ciebie.

- Jedź śmiało i odważnie.

- Nie wiesz, na co się narażasz - ostrzegła go. - Może byś lepiej się wycofać zanim będzie za późno.

Potrząsnął głową z uporem.

- Jak czegoś nie możesz znieść, nie będziesz tego znosiła - powiedział. - A teraz jazda.

- Po pierwsze - zaczęła - mam dość rozbijania głów łamistrąkom.

Otworzył już usta, ale powstrzymał mimowolny okrzyk protestu.

- Po drugie, mam dość Oakland.

- Tego nie bardzo rozumiem.

- Mam dość Oakland. Mam dość życia w Oakland. Umrę, jeżeli będę musiała tu zostać. Chcę, żebyśmy rzucili wszystko i wyszli z tego miasta.

Przeżuwał powoli jej słowa.

- Dokąd? - spytał w końcu.

- Dokądkolwiek. Gdzie bądź. Wypał papierosa i zastanów się nad tym. Potrząsnął głową i badał jej twarz.

- Mówisz to poważnie? - spytał po długiej chwili milczenia.

- Najpoważniej w świecie. Tak bardzo chcę rzucić na zawsze Oakland, jak ty chciałeś rzucić na śmietnik kawę, befsztyk i masło.

Widziała, że zbiera siły. Czowała, jak naprężyły mu się mięśnie, zanim odpowiedział.

- Zgoda, jeżeli ty tego chcesz. Opuścimy Oakland. Nawet się za nim nie obejrzymy. Niech je diabli - tak czy siak to miasto nic dla mnie nigdy nie zrobiło. Wydaje mi się, że dość mam siły, żeby gdzieś na świecie zarobić na nas oboje. A ponieważ umowa już stoi, powiedz mi, co masz przeciwko Oakland.

Powiedziała mu wszystko, co sobie przedtem ułożyła w myślach, przytoczyła wszystkie fakty w swoim akcie oskarżenia przeciwko Oakland; nie opuściła niczego nawet ostatniej wizyty u doktora Hentleya i pijaństwa Billa. On milczał i tylko przygarnął ją mocniej, i po raz drugi obwieścił swoje postanowienie. Czas płynął. Smażone ziemniaki wystygły, wygasł ogień pod blachą.

Gdy zapadła chwila milczenia, Bill wstał, ale nie wypuścił jej z objęć. Spojrzał na

kartofle.

- Zimne jak lód - powiedział i zwrócił się do niej: - Dalej, Saxon. Włóż swoje śliczne szmatki. Pójdziemy do miasta coś zjeść i uczcić ten dzień. Należy się, jeżeli wziąć pod uwagę, że postanowiliśmy wynieść się z tej starej dziury i zacząć wszystko od nowa. I wcale nie musimy iść piechotą. Pożyczę od fryzjera dziesięć centów na tramwaj, a dość mam rupieci, żebyśmy się mogli porządnie zabawić.

Rupiecie okazały się złotymi medalami, które w latach walk amatorskich Bill zdobył na turniejach. Pierwsze kroki w mieście skierowali do lombardu; okazało się, że właściciel był doskonale obznajmiony z wartością medali i wychodząc Bill pobrzękiwał w kieszeni garścią srebrnych monet.

Był rozbawiony jak dziecko i Saxon udzielił się jego dobry humor. Zatrzymał się przy sklepie z cygarami na rogu, żeby kupić woreczek tytoniu Bull Durham, ale w ostatniej chwili zmienił postanowienie i kupił paczkę Imperialów.

- Och, jestem dzisiaj prawdziwy utracjusz - powiedział ze śmiechem. - Nie ma dla mnie rzeczy za dobrej... nawet szyte na miarę papierosy. I nie ma mowy o żadnej drugorzędnej jadłodajni czy japońskiej garkuchni. Idziemy do Barnuma.

Poszli do restauracji na rogu Siódmej i Broadwayu, gdzie w dniu ślubu jedli kolację.

- Udawajmy, że nie jesteśmy małżeństwem - zaproponowała Saxon.

- Świetna myśl - ucieszył się Bill. - I weźmiemy gabinet, żeby kelner musiał za każdym razem stukać do drzwi.

Na to Saxon nie chciała się zgodzić.

- Wypadłoby to za drogo. Musielibyśmy dać mu napiwek za każde stukanie. Siądziemy na sali.

- Zamawiaj wszystko, na co masz ochotę - powiedział Bill z pańską hojnością, gdy siedzieli już przy stoliku. - Jest stek z polędwicy wołowej, półtora dolara sztuka. Co ty na to?

- I jarzyny duszone na mięsie - podsunęła - i kawa ekstra specjalna... a najpierw może kilka ostryg. Chciałabym je porównać z tymi, które zbierałam na skałach.

Bill skinął i podniósł głowę znad jadłospisu.

- Są mule w potrawce. Zamów je, żeby się przekonać, czy lepiej smakują od twoich spod Rock Wall.

- Dlaczego nie? - zawołała patrząc na niego promiennie. - Świat do nas należy! Podróżujemy i jesteśmy tylko przejazdem w tym mieście.

- Ano właśnie - powiedział Bill z roztargnieniem. Przeglądał repertuar teatrów. - W Bell jest popołudniówka. Moglibyśmy za ćwierć dolara zarezerwować bilety... Co za psie

szczęście!

Okrzyk Billa był tak gwałtowny i tak pełen żalu, że spojrzała na niego z niepokojem.

- Nic... Pomyślałem tylko, że trzeba nam było pójść do „Forum” na jedzenie. To jest ta najelegantsza buda, w której przesiadują faceci jak Roy Blanchard i wydają pieniądze zarobione przez nas w pocie czoła.

Kupili bilety do teatru Bell, ale ponieważ mieli jeszcze sporo czasu, poszli na Broadway do kina. Zobaczyli najpierw film kowbojski, potem francuską komedię; jako trzeci wyświetlany był dramat wiejski gdzieś ze Środkowego Zachodu. Pierwsza scena rozgrywała się na podwórzu farmy. Jaskrawe słońce oświetlało węgiel stodoły i drewniane sztachety płotu, gdzie na ziemi kładł się cętkowany cień wysokich drzew. Kury, kaczki, indyki przechadzały się po podwórzu, grzebały w ziemi. Duża maciora na czele siedmiu tłusciutkich prosiaków wkroczyła majestatycznie w gromadkę kurcząt, roztrzając je na boki. Kury naturalnie zemściły się na prosiakach skubiąc je, gdy za bardzo oddaliły się od matki. A sponad płotu spoglądał senny koń machający ogonem w odstępach czasu obliczonych z matematyczną ścisłością; słońce zapaliło jaskrawe błyski na leniwie poruszającym się ogonie.

- Dzień jest ciepły i w powietrzu pełno much. Czujesz to, prawda? - wyszeptła Saxon.

- Pewnie. Ach, i ogon tego konia! Zupełnie jak żywy. Głowę dam, że ta szkapina zna na pamięć sztuczkę przerzucania ogona przez lejce. Nie zdziwiłbym się, gdyby go nazwali Żelazny Ogon.

Pies wypadł na podwórze. Maciora zrobiła w tył zwrot i uciekła z ekranu w śmiesznych, małych susach; za nią biegł jej przychówek, a pies następował im na pięty. Pojawiła się teraz młoda dziewczyna z kapeluszem od słońca zsuniętym na plecy; w załomie fartucha niosła ziarno i sypała je między rozwrzeszczany drób. Gołębie sfrunęły z górnej części ekranu i przyłączyły się do hałaśliwej uczy. Wrócił pies, kroczył prawie nie zauważony przez upierzone bractwo, zbliżył się do dziewczyny, pomachał ogonem i podniósł do niej roześmiany pysk. A za płotem koń kiwał głową i machał ogonem.

Teraz z kolei zjawił się młody mężczyzna. Publiczność posiadająca rozległą kinową wiedzę natychmiast odgadła cel jego przybycia. Ale Saxon nie interesowały sceny miłosne namiętne perswazje i wstydliva powściągliwość dziewczyny i chłopca. Jej wzrok wracał wciąż do kurczaków, do cętkowanego cienia pod drzewami, do rozgrzanej w słońcu ściany stodoły, do sennego konia z jego pojawiającą się na ekranie w regularnych odstępach czasu kitą ogona.

Przysunęła się do Billa i poszukała ręką jego dłoni.

- Och, Bill - westchnęła cicho. - Umarłabym chyba ze szczęścia, gdybym mogła zamieszkać w takim miejscu. - A gdy film się skończył, powiedziała: - Mary jeszcze mnóstwo czasu do przedstawienia. Zostańmy i obejrzymy drugi raz ten film.

Zostali więc na drugi program. Na ekranie pokazała się znów scena na podwórku farmy, a im dłużej Saxon na nią patrzyła, tym głębsze odczuwała wzruszenie. Zauważyła też dużo więcej szczegółów. Widziała teraz pola za podwórzem, w dali faliste pagórki niebo i na nim białe obłoczki. Odróżniała już niektóre sztuki drobiu, zwłaszcza jedną starą awanturniczą kurę, która mszcząc się na maciorze za to, że ta pchnęła ją ryjem dziobała prosiaki ze szczególną zaciekłością; a gdy posypało się ziarno, na lewo i prawo okładała dziobem swoje współzawodniczki. Saxon przeniosła znów wzrok na pola na pagórki i niebo i wchłaniała pełną rozmachu przestrzeń, swobodę, radość tego obrazu. Łzy napłynęły jej do oczu; płakała cicho ze szczęścia.

- Znam sposób na tego starego konia, gdyby tak mnie próbował robić kawały z ogonem - wyszeptał Bill.

- Wiem, dokąd pójdziemy, jak opuścimy Oakland - oznajmiła Saxon.

- Dokąd?

- Tam.

Obrócił się do niej i zobaczył, że patrzy w ekran.

- Och - powiedział i zamyślił się. - Dlaczego nie? - dodał.

- Bill, naprawdę chcesz?

Jej wargi drżały z przejęcia, szeptał załamał się, był prawie niedosłyszalny.

- Ma się rozumieć - odparł. Był to jego dzień pańskiej szczerości. - Jak czegoś chcesz, musisz to mieć, choćbym miał sobie ręce urobić po łokcie. Mnie samego też zawsze ciągnęło na wieś. Wiesz co? Takiego konia można by kupić za pół ceny, a ja już bym go odczył robienia kawałów.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Gdy w drodze powrotnej z teatru Bell wysiadali na rogu ulicy Siódmej i Sosnowej, był wczesny wieczór. Załatwiali razem skromne zakupy, a potem rozstali się na rogu; Saxon poszła do domu przygotować kolację, Bill zaś chciał porozmawiać z towarzyszami, którzy podczas miesiąca spędzonego przezeń w więzieniu nadal prowadzili walkę strajkową.

- Uważaj na siebie, Bill! - zawołała za nim.

- Możesz być spokojna - odpowiedział oglądając się przez ramię.

Serce podskoczyło jej w piersi na widok jego uśmiechu. Był to ów dawny, niczym nie zachmurzony uśmiech, który pragnęła zawsze widzieć na twarzy męża. Uzbrojona we własną mądrość i mądrość Mercedes Higgins, gotowa była prowadzić o ten uśmiech najzaciętszy z bojów kobiecych. Ta myśl jak jasny błysk przemknęła Saxon przez głowę i dumny uśmiech wypłynął na jej wargi, gdy wspomniała cały swój piękny ekwipunek wojenny złożony w szufladach komody i szafy.

W trzy kwadransy później kolacja była gotowa i Saxon czekała - tylko kotlety baranie miała wrzucić na patelnię, gdy usłyszy jego kroki na schodach. W chwilę później trzasnęła furka; ale zamiast kroków Billa rozległ się beładny, dziwny tupot wielu nóg. Szarpnęła drzwi. Za progiem stał Bill, ale jak niepodobny do tego Billa, z którym się niedawno rozstała! Obok zobaczyła małego chłopca, który trzymał jego kapelusz. Bill miał twarz świeżo obmytą, a raczej oblaną wodą, gdyż koszula i kurtka na plecach były mokre. Jasne włosy posklejane i wilgotne opadły mu na czoło, przyciemniała je krew cieknąca strużką z rany. Ręce zwisały bezwładnie wzdłuż ciała. Ale twarz miała wyraz opanowany, a wargi nawet się uśmiechały.

- To nic wielkiego, Saxon - uspokoił ją. - Tym razem mnie się dostało. Trochę uszkodzony, ale ani myślę zejść z ringu. - Bardzo ostrożnie przeszedł przez próg. - Chodźcie, chłopcy. wpadliśmy, to się teraz razem trzymajmy.

Wszedł za nim do pokoju chłopczyk z kapeluszem, Bud Strothers, inny woźnica którego Saxon знаła, i wreszcie dwaj nieznajomi mężczyźni. Były to ogromne chłopiska o srogich twarzach, ale spoglądający na Saxon tak, jakby się jej obawiali.

- To naprawdę nic wielkiego, Saxon - zaczął Bill. Bud Strothers mu przerwał.

- Pierwsza rzecz, to trzeba go posadzić na łóżku i zdjąć z niego ubranie. Musimy przeciąć wszystko nożyczkami. Ma oba przedramiona złamane, a tu są ci dwaj durnie, co to zrobili.

Wskazał ręką na dwóch nieznajomych mężczyzn, którzy zaszurali nogami i zrobili

jeszcze bardziej bojaźliwe miny.

Bill usiadł na łóżku i podczas gdy Saxon trzymała lampę, Bud i nieznajomi rozciągli mu nożyczkami marynarkę, koszulę i podkoszulek.

- Nie chciał pójść do szpitala miejskiego - zwrócił się Bud do Saxon.

- Za skarby świata bym nie poszedł - dorzucił prędko Bill. - Kazałem im posłać po doktora Hentleya. Powinien tu być lada chwila. Te dwie ręce to wszystko, co posiadam na świecie. Zachowywały się w stosunku do mnie przyzwoicie, więc teraz ja muszę im odpłacić tym samym... Studenci nie będą się uczyli doktorowania na moich rękach.

- Ale jak się to stało? - spytała Saxon, zdumiona przyjaznym stosunkiem, który najwyraźniej łączył ich wszystkich.

- Oni nie są winni - wtrącił prędko Bill. - Zrobili to przez pomyłkę. Są z San Francisco, ze związku woźniców. Przychodzą nam pomagać... całymi gromadami do nas przychodzą.

Słyszając to dwaj woźnice trochę jakby się rozpogodzili. Skinęli energicznie głowami.

- Tak, paniusiu - zagrzmiął jeden z nich. - To wszystko jest pomyłka i... i mocno nam się za to należy.

- W każdym razie whisky będziecie musieli postawić - uśmiechnął się Bill.

Saxon nie tylko nie była zdenerwowana, ale nawet stosunkowo mało zaniepokojona wypadkiem. Zdarzyło się coś, czego należało oczekiwać. Jeszcze jedna krzywda, jaką Oakland wyrządziło jej i jej bliskim. Zresztą Bill nie odniósł poważnych obrażeń. Złamane ręce i zraniona głowa zagoją się bez śladu. Przyniosła krzesła i poprosiła mężczyzn, aby usiedli.

- A teraz opowiedzcie mi, jak się to wszystko stało - poprosiła. - Nic z tego nie mogę zrozumieć. Najpierw dwa olbrzymy łamią mojemu mężowi ręce, a potem odprowadzają go do domu i gruchają z nim jak gołąbki.

- Należy się, żeby pani wszystko wiedziała - powiedział Bud Strothers. - No więc początek był taki...

- Zamknij się, Bud - przerwał mu Bill. - Przecież tyś w ogóle nic nie widział.

Saxon przeniosła wzrok na woźniców z San Francisco.

- Przyszliśmy trochę pomóc - zaczął jeden z nich - bo widzimy, że jakoś z oaklandzkimi chłopakami niewyraźnie. No i możesz pani być pewna jednego. Nauczyliśmy niektórych spośród łamistrajków, że jest na świecie lepsza praca niż powożenie zaprzęgiem. Więc idziemy sobie z Jacksonem, żeby trochę przewąchać; co się dzieje, aż tu patrzymy nadchodzi pani mąż. Kiedy on się...

- Wolnego! - przerwał mu Jackson. - Jak coś mówisz, mów akuratnie. Widzi pani, myśleliśmy, że znamy wszystkich chłopców z widzenia. Ale pani męża nigdyśmy na oczy nie widzieli, bo...

- Przez jakiś czas, można powiedzieć, nie było go na widoku - podjął pierwszy woźnica. - Więc kiedy patrzymy, że jakiś facet, który nam wygląda na łamistrajka, zmyka przed nami i wali prosto skrótem przez alejkę...

- Wąskie przejście na tyłach sklepu Campbella - objaśnił Bill.

- A jakże, za sklepem spożywczym - ciągnął dalej pierwszy woźnica. - Więc kiedy na niego patrzymy, pewni jesteśmy, że to jeden z tych durnych łamistrajków wynajętych przez Murraya i Ready'ego chce się dostać do stajen przez ogrodzenie na tyłach zabudowań.

- Myśmy tam z Billem też kiedyś jednego złapali - wtrącił Bud.

- Nie tracimy czasu na niepotrzebne ceregiele - zwrócił się mężczyzna do Saxon. - Robiliśmy to już nieraz i wiemy, jak się załatwić z łamistrajkiem, żeby był jak niewinne dziecko w kołysce. Więc przyłapujemy pani męża na środku alejki.

- Szukałem Buda - rzekł Bill. - Chłopcy mi powiedzieli, że kręci się gdzieś na drugim końcu alejki. Aż tu nagle Jackson prosi mnie o zapalną.

- No i w tym miejscu odwalilem moją pierwszą sztukę roboty - podjął pierwszy woźnica.

- Jak to? - spytała Saxon.

- Tak - odparł i pokazał na ranę w głowie Billa. - Ja go rozłożyłem. Upadł na ziemię jak wór, a potem podniósł się na kolana i coś tam zaczął mamrotać, ktoś sobie nadepnął na nogę. Widzi pani, nie wiedział, co się z nim dzieje. Zupełnie go zamroczyłem. No, to potem zabraliśmy się do tamtej roboty.

Mężczyzna umilkł. Był to koniec opowieści.

- Złamali mu żelaznym drągiem oba przedramiona - uzupełnił Bud.

- Wtedy wróciła mi przytomność... kiedy kości pękły - objaśnił z kolei Bill. - A nade mną stała ta para i urągała mi na całego. „Popamiętasz tę nauczkę” mówił Jackson. A Anson powiada: „Chciałbym cię widzieć, jak będziesz tymi rękoma powoził”. A potem znów Jackson: „Dajmy mu jeszcze jednego na szczęście” i pakuje mi cios w szczękę.

- Nie - sprostował Anson. - Ten cios to był mój.

- W każdym razie znowu mnie zamroczyło - westchnął Bill. - jak przyszedł do siebie, Bud, Jackson i Anson polewali mnie wodą przy końskim korycie. No, a potem przegnaliśmy jeszcze jednego reportera i już prosto przyszliśmy do domu.

Bud Strothers podniósł do góry pięść i pokazał świeżo startą skórę.

- Ten facet reporter koniecznie chciał to opisać - powiedział. Zwrócił się do Billa: - Dlatego poszedłem skrótem przez Dziewiątą i dogoniłem was dopiero na Szóstej.

W kilka minut później przyszedł doktor Hentley i kazał mężczyznom opuścić pokój. Czekali, dopóki nie skończył opatrunków, i wyszli dopiero wtedy, kiedy się dowiedzieli, że Billowi nic nie zagraża. Doktor Hentley umył ręce w kuchni i udzielił Saxon ostatnich wskazówek. Wycierając ręce pociągnął nosem i spojrzał na piec, gdzie bulgotało coś w garnczku.

- Mule - powiedział. - Gdzie je pani kupiła?

- Nie kupowałam - odparła Saxon. - Sama je wykopałam.

- Chyba nie na błotniskach? - spytał z zainteresowaniem.

- Tak.

- Niech je pani wyrzuci. Na Boga, niech je pani wyrzuci. Te mule to śmierć i zaraza. Tyfus... mam w tej chwili trzy wypadki, we wszystkich stwierdzona przyczyna. Mule wykopane z bagnisk.

Gdy doktor wyszedł, Saxon zrobiła, jak radził. Jeszcze jedna czarna kreska przeciwko Oakland... Oakland, ta pułapka na ludzi. Truje tych, których nie może zagłodzić na śmierć.

- Wystarczy tego chyba, żeby człowiek znów zaczął pić - jęknął Bill, gdy Saxon wróciła do niego. - Przyszłoby ci kiedy do głowy, że mogę mieć takiego pecha? Tyle razy walczyłem na ringu i nigdy nie miałem złamanej kości. A tu trzask, trzask - dwie ręce poszły.

- Och, mogło być gorzej - uśmiechnęła się Saxon pogodnie.

- Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób.

- Mogły to być nie ręce, tylko kark.

- Szkoda, że nie był. Mówię ci, Saxon... nie przekonasz mnie, że mogło mnie spotkać coś gorszego.

- A właśnie, że cię przekonam - powiedziała ufnie.

- No?

- Gdybyś się, powiedzmy, uparł zostać w Oakland, gdzie by cię to mogło spotkać drugi raz. Nie byłoby to gorsze?

- Już się widzę, jak zostaję farmerem i chwytam za pług tymi dwoma kikutami.

- Doktor Hentley powiedział, że ręce po zrośnięciu będą jeszcze silniejsze. Wiesz dobrze, że tak jest, kiedy kości są złamane, nie zmiążdżone. A teraz zamknij oczy i śpij. Jesteś do cna wyczerpany. Przestań się denerwować i nie myśl więcej o niczym.

Zamknął posłusznie oczy. Wsunęła mu pod kark chłodną dłoń i siedziała obok niego.

- To bardzo przyjemne - wymamrotał. - Jesteś taka chłodna, Saxon. Twoja ręka... i ty,

cała ty jesteś chłodna. Jak człowiek jest z tobą, to tak, jakby wyszedł w chłodną noc po tańcach na dusznej sali.

Po kilku minutach milczenia zaczął nagle chichotać.

- Co znowu? - spytała.

- Och, nic. Pomyślałem sobie tylko... pomyślałem o tych dwóch durniach, co tak mnie urządzili... mnie, który mam na rozkładzie tyłu lamistrajków, że już nawet ich wszystkich nie zliczę.

Nazajutrz rano Bill nie pamiętał o wczorajszym przygnębieniu. Saxon słyszała z kuchni, jak wyczynia dziwne wokalne akrobacje.

- Przypomniałem sobie piosenkę, której nigdy nie słyszałaś - powiedział, gdy weszła do pokoju z filiżanką kawy. - Ale pamiętam tylko refren. Stary gospodarz mówi do parobka, który chce się ożenić z jego córką. Mamie, dziewczyna, co z nią Bill Murphy chodził, zanim się ożenił, często to śpiewała. Piosenka jest, jak się to mówi, rzewna. Mamie zawsze łzy kapąły z oczu. Tak idzie refren - tylko pamiętaj, że to śpiewa stary gospodarz.

Bill zaczął śpiewać z wielką powagą i niemiłosiernymi kiksami.

*Bądź dobry dla mej có-ó-rki;
jak tylko będziesz mógł...
Gdy umrę, dam ci domek
I ziemi parę włók,
I konia, i owieczki, i krowę dam, i pług,
I wszystkie moje ku-u-rki.*

- Najwięcej mi się podobają te małe kuraczki w ogrodzie - wyjaśnił. - I dlatego sobie przypomniałem... kiedy wczoraj w kinie zobaczyłem kuraki. My także będziemy mieli kiedyś kuraki w ogrodzie. Prawda, staruszek?

- I córkę - dorzuciła Saxon. - A ja będę stary gospodarz i będę trzymał taką przemowę do parobczaka - fantazjował Bill. - Jeżeli się człowiek pośpieszy, całkiem prędko może wyhodować córkę.

Saxon wyjęła z futerału i nastroiła swoje długo zaniedbywane *ukulele*.

- Ja też znam piosenkę, której nie słyszałaś - powiedziała. - Tom często ją śpiewał. Tom marzy o tym, żeby wziąć ziemię od rządu i założyć gospodarstwo, tylko że Sara nawet nie chce o tym słyszeć. O, takie są słowa:

Będziemy mieli gospodarstwo:

Koń, krowa, świnek parę sztuk -

Ty wózek poprowadzisz dziarsko,

Ja poprowadzę pług.

- Ale w naszym przypadku to ja będę chodził za pługiem - zauważył Bill. - Słuchaj, Saxon, zaśpiewaj mi teraz „Gdy skończą się żniwa”. To też farmerska piosenka.

Saxon zrobiła, jak prosił, ale potem oznajmiła, że kawa zupełnie wystygnie i zmusiła go do wypicia. Był zupełnie bezradny i Saxon musiała go karmić jak dziecko. A gdy go karmiła, rozmawiali.

- Powiem ci coś - mówił Bill między łykami. - Jak już się osiedlimy gdzieś na wsi, dostaniesz tego konia, o którym marzysz całe życie. Będzie należał tylko do ciebie, będziesz sobie na nim jeździła wierzchem albo go zaprzęgiesz, albo sprzedasz. Zrobisz z nim, co zechcesz.

I dalej rozmyślał na głos: - Jedno, co się przyda na wsi, to to, że wiem coś niecoś o koniach. Zawsze to już dobry początek. W razie czego będę mógł wziąć pracę, naturalnie jeżeli stawki nie będą związkowe. A innych rzeczy o gospodarstwie nauczę się chyba prędko... Słuchaj, Saxon, pamiętasz, jak mi pierwszy raz mówiłaś, te całe życie marzysz o własnym koniu?

Saxon pamiętała i tylko z największym trudem zdołała powstrzymać łzy cisnące się jej do oczu. Szczęście ją rozpierało, przypominała sobie wiele, wiele szczegółów wszystkie obietnice szczęśliwego życia z Billem, w które wierzyła, zanim przyszły ciężkie czasy. Teraz obietnice na nowo ożyły. A ponieważ nie doczekali się ich spełnienia, wyjdą w świat i sami je spełnią. Urzeczywistnią piękną bajkę widzianą w kinie.

Pod wpływem lęku, w połowie udanego, wymknęła się do małej sypialni za kuchnią w której umarł Bert, i spojrzała w lustro na komodzie. Nie, powiedziała sobie. Niewiele się zmieniła. Była wciąż dobrze uzbrojona do walki na bitewnym polu miłości. Nie była piękna. Wiedziała o tym dobrze. Ale czyż nie mówiła jej Mercedes, że wielkie kobiety w historii, które zdobywały mężczyzn, wcale nie były piękne? Mimo to nie można powiedzieć, upierała się Saxon badając w lustrze swoją twarz, że nie jest pociągająca. Przyglądała się swoim dużym szarym oczom - tak bardzo szarym, roziskrzonym żywością oczom, w których zawsze kłębiły się myśli - to w ich głębi, to na powierzchni; myśli nigdy nie wypowiedane na głos, które rozpląwały się, rozwiewały, żeby ustąpić miejsca innym myślom. Brwi miała piękne, z tego zdawała sobie sprawę. Delikatne w rysunku, nieco ciemniejsze od jasnobrązowych

włosów, pasowały znakomicie do nieregularnego nosa, który był kobiecy, ale nie słaby; może najlepiej dałoby się go określić jako nos pikantny, używając zaś bardziej malowniczych określeń, można by go nazwać nosem zuchwałym.

Zobaczyła w lustrze, że twarz ma trochę za chudą, że wargi straciły nieco barwy i rumieniec nie tak łatwo wypływa na policzki. Ale to wróci z czasem. Jej usta nie należały do „ust - pączków różanych”, jakie widywała w magazynach ilustrowanych. Teraz przyglądała im się ze szczególną uwagą. Były to miłe usta - usta stworzone do wesołości i śmiechu, do rozweselania innych. Z rozmysłem uśmiechnęła się do swojego odbicia. Wiedziała, że kiedy się uśmiecha, prowokuje innych do śmiechu. Odchyliła głowę i roześmiała się oczami i ustami, ukazując równe rzędy mocnych, białych zębów.

Przypomniała sobie, jak Bill pochwalił jej zęby na zabawie w „Germania Hall”, po tym, jak powiedział Charleyowi Longowi, że nadepnął sobie na nogę. „Ani nie za duże, ani nie za małe jak u dziecka... - powiedział Bill. - Takie, jakie powinny być, i ładnie a z nimi”. Powiedział też, że jak patrzy na nie, robi się głodny... Przypomniała sobie kolejno wszystkie komplementy, jakie jej mówił kiedykolwiek. Były to dla niej skarby bezcenne - słowa miłosne, pochwały, zachwyty. Mówił jej, że skórę ma chłodną, delikatną jak aksamit i gładką jak jedwab. Podwinęła wysoko rękaw, dotknęła leciutko policzkiem białego ramienia, przyjrzała się dokładnie delikatnej skórze. Bill mówił też, że jest słodka; że dopóki jej nie poznał, nie wiedział, co to znaczy, kiedy mężczyźni mówią, że jakaś dziewczyna jest słodka. I powiedział, że ma głos chłodny, że słysząc jej głos, ma takie uczucie, jak kiedy przykładła mu chłodną rękę do czoła; że ten głos przenika go całego, jak chłodny wiatr. Przyrównał jej głos do pierwszego powiewu bryzy popołudniowej w skwarny dzień.

Nazwał ją swoim odżywczym kochaniem. Przyrównywał ją do kłaczy czystej krwi - wytrzymałej, nerwowej, delikatnej i wrażliwej. Chwalił, że umie nosić suknie. Powiedział, że nosi je jak marzenie. Tak to określił. Powiedział, że są jej nieodłączną częścią - podobnie jak chłód w głosie, chłód skóry i zapach włosów.

A jej figura! Weszła na krzesło i tak ustawiła lusterko, że widziała się od bioder do stóp. Ściągnęła suknię do tyłu, uniosła ją nieco. Cienka kostka ani trochę nie zgrubiała. Łydka jak dawniej zachwycała delikatną krągłością linii. Przyglądała się swym biodrom, tali, piersiom, szyi, osadzeniu głowy - i westchnęła z zadowoleniem. Bill ma chyba rację. Powiedział, że jest zbudowana jak Francuzka i że jeśli idzie o linię, może zapędzić Anetę Kellerman w kozi róg.

Przypomniawszy sobie wszystko naraz, zorientowała się, ile to on jej rzeczy powiedział. Usta. W niedzielę, gdy się jej oświadczył... „Lubię patrzeć na twoje wargi, kiedy

mówisz. To dziwne, ale każdy ich ruch to tak jakby pocałunek”. A trochę później tego samego dnia: „Spodobałaś mi się w tej samej chwili, kiedy cię zobaczyłem”. Chwalił, że tak dobrze prowadzi gospodarstwo. Mówił, że jada lepiej niż dawniej, żyje wygodniej, może się spotkać z kolegami - a mimo to odkłada pieniądze. Przypomniała sobie ten dzień, kiedy ją wziął w ramiona i oznajmił, że jest najwspanialszą małą kobietką, jaką człowiek miał kiedykolwiek za żonę.

Objęła oczami odbicie całej swej postaci, zobaczyła całość harmonijną i przyjemną dla oka... Nawet zachwycającą, wiedziała o tym. Tak, nadaje się dla Billa. Chociaż Bill jest wspaniały na swój męski sposób, ona jest dla niego odpowiednią towarzyszką. Tak, była dobrą żoną dla Billa. Zasłużyła sobie na wiele - na wszystko, co jej może dać, na wszystko, co jest w nim dobrego. Nie popełniła jednak błędu samolubstwa. Oceniając szczerze swoją wartość, oceniła nie mniej szczerze jego wartość. Kiedy był sobą, kiedy nie przygnębiały go troski, nie otumaniało pijaństwo - jej chłopiec, jej kochanek wart był wszystkiego, co mu dawała, co dać mu mogła.

Saxon obrzuciła swoje odbicie ostatnim, pożegnalnym spojrzeniem. Nie. Nie umarła. Żyła jeszcze, tak jak żyła miłość Billa, jak żyła jej miłość. Jeżeli tylko znajdą właściwy grunt, ich miłość rozwinie się, zakwitnie. Rzuć Oakland i pójdą szukać tego właściwego gruntu.

- Och, Bill, Bill! - zawołała przez dzielącą ich ścianę. Stała wciąż na krześle, przytrzymując lustro ręką w taki sposób, aby mogła objąć oczami swoje odbicie od kostek u nóg aż po twarz zarumienioną i po łobuzersku ożywioną.

- Tak, Saxon? - usłyszała jego głos.

- Podobam się sobie - zawołała. - A to co znowu? - spytał zdziwiony. - Skąd te zachwyty nad samą sobą?

- Ponieważ mnie kochasz - odpowiedziała. - Podoba mi się we mnie wszystko, Bill, ponieważ... och, ponieważ ty kochasz we mnie wszystko.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Dni upływały Saxon szczęśliwie na karmieniu i pielęgnowaniu Billa, na zajmowaniu się gospodarstwem, na układaniu planów i sprzedawaniu zapasów pięknych ręcznych robótek.

- Sprzedaję tylko te, których nie nosiłam - dowodziła. - A jak już się gdzieś osiedlimy, zrobię sobie nowe.

To, czego nie sprzedała, złożyła na przechowaniu u Toma, wraz z bielizną pościelową, stołową i odzieżą własną i Billa.

- Wal śmiało i odważnie, Saxon - powiedział Bill. - Używaj, ile chcesz. Twoje słowo jest dla mnie rozkazem. Ty jesteś Robinson Kruzoe, a ja twój Piętaszek. Czyś się już zdecydowała, dokąd jedziemy?

Saxon potrząsnęła głową.

- Ani dokąd, ani jak?

Podniosła jedną nogę, potem drugą, obie obute w solidne turystyczne trzewiki, które tego ranka zaczęła nosić po domu, chcąc się do nich zawczasu przyzwyczać.

- Piechotę, tak?

- W taki sposób nasi przodkowie przyszli na Zachód - powiedziała dumnie.

- Przyszli czy nie przyszli, będzie to zwyczajna włóczęga - dowodził. - A nie widziałem jeszcze kobiety trampa.

- Przyjrzyj mi się dobrze, to zobaczysz pierwszą. Ach, Bill, przecież w tym nie ma żadnego wstydu. Moja matka przewędrowała pieszo prawie całą drogę przez prerie. W tamtych czasach prawie wszyscy byli trampami. Nie dbam o to, co ludzie powiedzą. Myślę, że nasza rasa wędrowała od początku stworzenia, szukając kawałka ziemi, który by zachęcał do zostania, tak jak my go będziemy szukali.

Po kilku dniach, kiedy rana w głowie zagoiła się i kości zaczęły się zrastać, Bill wstał z łóżka i zaczął wychodzić. Był jednak nadal zupełnie bezradny, gdyż obie ręce miał w łupkach.

Doktor Hentley nie tylko zgodził się, ale sam zaproponował, żeby z uregulowaniem rachunku za leczenie poczekali do lepszych czasów. Nie potrafił jednak odpowiedzieć nic na żarliwe pytania Saxon o ziemię przydzieloną przez rząd; miał tylko mgliste wrażenie, że czasy nadawania ziemi dawno się skończyły.

Tom, przeciwnie - był pewien, że w kraju jest mnóstwo ziemi rządowej. Wspominał o Honey Lake, Shasta County i Humboldt.

- Ale nie możecie się tam wybierać o tej porze roku, kiedy zbliża się zima - przestrzegął Saxon. - Musicie pójść na południe, w cieplejszy klimat. Powiedzmy, wzdłuż wybrzeża. Tam nie ma nigdy śniegów. Powiem wam, co powinniście zrobić. Idźcie przez San José i Salinas na wybrzeże Monterey. Na południe od Monterey znajdziecie ziemie rządowe zmieszane z rezerwatami leśnymi i ranczami meksykańskimi. Dziko tam, dróg prawie nie ma. Mieszkańcy zajmują się tylko hodowlą bydła. Ale gdzieś tam można spotkać piękne kaniony schodzące aż do oceanu, porośnięte sekwojami, z doskonałą ziemią pod uprawę. Rozmawiałem w zeszłym roku z jednym gościem, który zna te strony jak własną kieszeń. Sam bym pojechał, tylko że Sara nie chce o tym słyszeć. Poza tym jest tam złoto. Sporo ludzi kopie na własną rękę, i jest kilka dobrze prosperujących kopalni. Ale to leży dalej na południe i dalej w głąb łądu. Warto by było, żebyście tam zajrzeli.

Saxon potrząsnęła głową. - Nie chcemy złota. Chcemy mieć kury i miejsce do hodowania warzyw. Nasi przodkowie mogli w dawnych czasach kopać tyle złota, ile chcieli, i co im z tego przyszło?

- Chyba masz rację - przyznał Tom. - Chcieli zawsze prowadzić wielką grę i marnowali tysiące małych okazji, które mieli pod nosem. Weź twojego ojca. Pamiętam, jak mówił, że sprzedał trzy działki budowlane na Market Street w San Francisco po pięćdziesiąt dolarów każda. Teraz są warte po pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Albo weź wujaszka Willa. Miał ranczo i pełno krów. Zadowolilo go to? Ale skąd. Chciał koniecznie zostać królem stad, regularnym magnatem. A umierał jako stróż nocny w Los Angeles z pensją czterdziestu dolarów na miesiąc. Istnieje taka rzecz, którą nazywają duchem czasów. A duch czasów się zmienił. Teraz liczy się tylko wielki biznes, a my jesteśmy małe płotki. Przecież ja sam jeszcze słyszałem, jak ludzie mówili o przeniesieniu się do Wielkiego Zachodniego Rezerwatu. To było to wszystko, co teraz należy do stanu Ohio. W tamtych czasach każdy mógł dostać farmę. Wystarczyło zaprząć woły i ruszyć prosto przed siebie. Do oceanu było tysiące, tysiące mil i te wszystkie tysiące mil i miliony farm tylko czekały, żeby je sobie ludzie wzięli. Sto sześćdziesiąt akrów farma? A jakże! W dawnych czasach w Oregonie nie mówiło się o farmach innych, jak sześćsetakrowe.

Taki był duch tamtych czasów. Ziemia za darmo i tyle, ile dusza zapragnie. Ale kiedyś doszliśmy do brzegów Pacyfiku, tamte czasy się skończyły. Zaczął się wielki biznes. Wielki biznes znaczy wielcy biznesmeni. A każdy wielki biznesmen to tysiące małych ludzi nie posiadających żadnego biznesu i własną pracą przysparzających bogactwa tamtym. To są ci, którzy przegrali. Jeżeli im się to nie podoba, mogą odejść od gry, ale co im z tego przyjdzie? Nie zaprzęgają wołów i nie ruszą prosto przed siebie. Nie mają dokąd pójść. Dalej

są Chiny, a przed Chinami spory zbiorniczek słonej wody, która nie nadaje się do celów rolniczych.

- Tak, to wszystko jest jasne - zauważyła Saxon.

- Ano właśnie - ciągnął Tom. - Widzimy to teraz, kiedy jest już za późno.

- Ale przyznasz, że ci wielcy ludzie byli mądrzejsi - powiedziała Saxon.

- Mieli więcej szczęścia - dowodził Tom. - Niektórzy wygrali, ale większość przegrała, a między nimi ludzie wcale nie gorsi od tamtych. Trochę to było tak, jak kiedy gromada chłopców rzuca się na garść pieniędzy ciśniętych na chodnik. To wcale nie znaczy, że część tych przegrywających nie miała zdolności przewidywania. Weź znów swojego ojca. Pochodził z południowego wschodu, gdzie ludzie mają smykałkę do interesów i potrafią pomnożyć to, co posiadają. Przypuśćmy, że twój ojciec miałby słabe serce albo chorowałby na nerki, albo na reumatyzm i nie mógłby uganiać się i walczyć, i zwiedzać, i szwendać się po całym Zachodzie. Wtedy najprawdopodobniej osiadłby w San Francisco - nie miałby innego wyjścia - i nie wypuszczałby z rąk tych swoich trzech działek na Market Street. Z czasem naturalnie dokupiłby więcej i zakładał linie okrętowe, grał na giełdzie, budował koleje i wiercił tunele.

Sam zostałby wielkim biznesmenem. Znałem go. Był energiczny, bystry, zimny jak góra lodowa i dziki jak Indianin ze szczepu Komanczów. Położyłby pokotem wielkich hazardzistów i piratów biznesu z tamtych lat, tak jak przebijał strzałą serca dam, kiedy niczym wichur gnał na swoim wielkim koniu, z szablą u boku brzękającą, z ostrogami dzwoniącymi - prosty jak Indianin, zgrabny i zręczny jak niebieskooki książę z bajki i meksykański *caballero* zlepiony w jedną całość... Tak jak położył pokotem oddział rebeliantów podczas wojny domowej, kiedy wpadł między nich na czele żołnierzy i rozpedził tamtych, i niczym dziki Indianin wołał, że mu jeszcze mało. Cady mi o tym opowiadał. Cady był wtedy z twoim ojcem.

Tak, Saxon, gdyby twój ojciec osiadł w San Francisco, byłby jednym z wielkich biznesmenów Zachodu. A w takim przypadku ty byłabyś teraz bogatą młodą damą podróżującą po Europie. Miałabyś pałac na Nob Hill i wielki portfel akcji. A dlaczego tego nie masz? Dlatego, że twój ojciec nie był mądry? Nie. Miał umysł działający jak precyzyjny zegarek. Dlatego nie jesteś bogaczką, że twojego ojca aż roznosił duch tamtych czasów. Dlatego, że był pełen ognia i niepokoju i nie mógł usiedzieć na jednym miejscu. Tylko taka jest różnica między tobą i młodymi kobietami z rodzin obecnych magnatów. Twój ojciec nie nabawił się reumatyzmu we właściwym czasie. To wszystko.

Saxon westchnęła, a potem uśmiechnęła się.

- W każdym razie jestem nad nimi górą - powiedziała. - Młode milionerki nie mogą wyjść za mąż za bokserów zawodowych, jak ja wyszłam.

Tom spojrział na nią i aż zaniemówił ze zdumienia. Po chwili zachwyty i podziw rozlały mu się na twarzy.

- Powiem tylko - oznajmił uroczyście - że Bill nawet się nie orientuje, jak bardzo jest szczęśliwy.

Dopiero gdy doktor Hentley pozwolił, zdjęto łupki z rąk Billa, aby zaś wykluczyć wszelkie ryzyko, Saxon zarządziła dalszą dwutygodniową zwłokę. Te dwa tygodnie dopełnią dwumiesięczną zaległość z komornym, a właściciel zgodził się czekać na zapłatę, dopóki Bill nie stanie znów mocno na nogach.

Ludzie z firmy Salingera mieli zabrać meble w dniu wyznaczonym przez Saxon, zwracając Billowi siedemdziesiąt pięć dolarów.

- Reszta, którą wpłaciliście, zostaje przeliczona na pokrycie kosztów wypożyczenia - powiedział akwizytor. - A meble są już teraz używane. Firma wychodzi z tej transakcji ze stratą. Na pewno się pani orientuje, że właściciele mogli postąpić inaczej. Niech więc pani pamięta, że potraktowali was bardzo przyzwoicie i jeżeli będziecie się urządzać na nowo nie zapomnijcie o nas.

Z tej sumy i z tego, co Saxon otrzymała ze sprzedaży swoich haftów, zapłacili wszystkie drobne długi, a nawet zostało im jeszcze kilka dolarów w kieszeni.

- Długi to dla mnie trucizna - powiedział Bill do Saxon. - A teraz poza gospodarzem i doktorem Hentleyem nie jesteśmy winni nikomu ani centa.

- Żaden z nich nie powinien czekać dłużej niż to konieczne - powiedział.

- Na pewno nie będą - powiedział Bill spokojnie.

Uśmiechnęła się z aprobatą, dzieliła bowiem z Billem jego obrzydzenie do długów; oboje zaś dzielili to uczucie z pionierami o purytańskiej moralności, którzy skolonizowali Zachód.

Saxon wykorzystała porę, kiedy Billa nie było w domu, żeby zapakować komodę, która przebyła Atlantyk na statku żaglowym i prerie na pionierskim wozie zaprzężonym w woły. Ucałowała ślad po kuli, pamiątkę walki pod Little Meadow; ucałowała także szablę ojca, wyobrażając go sobie jednocześnie na wielkim wojennym rumaku. Z dawnym uczuciem nabożnej czci odczytała wiersze matki w notatniku i pożegnany gestem opasała talię jej

czervenym hiszpańskim pasem. Otworzyła zeszyt z wycinkami, aby jeszcze raz spojrzeć na drzeworyt przedstawiający wikingów z mieczami w rękach, gdy wyskakują na przybrzeżne piachy Anglii. Ponownie rozpoznała Billa w jednym z wojowników i zastanawiała się przez chwilę nad dziwną drogą rozwoju ziarna, z którego wyrosła. Jej plemię było zawsze głodne ziemi i Saxon pomyślała z przyjemnością, że jest nieodrodną córą swojego plemienia; bo czyż nie odczuwa tego samego głodu ziemi, chociaż urodzona i wychowana została w mieście? I czy nie wyrusza na wędrowkę, aby ów głód zaspokoić, tak jak w dawnych czasach uczynili to jej ojciec i matka? Przypomniała jej się opowieść matki o tym, jak pionierzy ujrzeli ziemię obiecaną, gdy ich zniszczone wozy i umęczone woły zaczęły spuszczać się w dół ośnieżonych stoków Sierry ku rozległym, kwitnącym dolinom słonecznej Kalifornii. Usiłowała sobie wyobrazić, że jest dziewięcioletnim dzieckiem, które ze śnieżnych szczytów spogląda w dół na doliny - jak jej matka kiedyś patrzyła. Powtórzyła na głos jedną ze strofek poematu matki:

*Słodko jak lutni wiatru szept
Twa wdzięczna Muza śpiewa -
Aż Kalifornii szumny step
Nutami jej rozbrzmiewa.*

Z piersi wyrwało jej się westchnienie szczęścia. Osuszyła oczy. Może ciężkie czasy minęły już bezpowrotnie. Może były ich preriami, które przebyli szczęśliwie z Billem; może właśnie teraz wspinają się na Sierre, aby zejść w dół ku miłym dolinom?

Rankiem tego dnia, w którym opuszczali Oakland, zajechał furgon Salingera po meble. Przyszedł gospodarz, wziął od nich klucze, uściskał im ręce i życzył szczęścia.

- Mądrze robicie - powiedział. - Czy to ja sam czterdzieści lat temu nie przyszedłem piechotą do Oakland, z pledem zwiniętym w rulon na plecach? Kupujcie ziemię, kiedy jest tania, uchroni to was przed przytułkiem na stare lata. Nowe miasta wyrastają jak grzyby po deszczu. Praca rąk zapewni wam jedzenie i dach nad głową, a ziemia da wam zamożność. Znacie mój adres. Jak będziecie mogli, przyślecie tę odrobinę, którą mi jesteście winni. Życzę wam szczęścia. I nie zwracajcie uwagi na to, co sobie ludzie myślą. Kto szuka, ten znajdzie.

Gdy Bill i Saxon szli ulicą, ciekawi sąsiedzi zerkali spoza firanek, a dzieci spoglądały na nich z rozdziawionymi buziami.

Bill niósł na plecach owinięty w płótno nieprzemakalne rulon pościeli, w który wsunęli zmianę bielizny i drobiazgi codziennego użytku.

Do rzemieni ściąających rulon przyczepiona była patelnia i saganek.

W ręku Bill niósł dzban na kawę.

Saxon niosła koszyczek zabezpieczony czarną ceratą, przez plecy zaś miała przewieszzone maleńkie *ukulele*.

- Musimy wyglądać jak straszdyła - gderał Bill kurcząc się pod spojrzeniami przechodniów.

- Wszystko byłoby w porządku, gdybyśmy szli na wycieczkę - pocieszała go Saxon.

- Tylko że nie idziemy.

- Ale przecież oni o tym nie wiedzą - tłumaczyła Saxon. - Tylko ty o tym wiesz, a oni wcale nie myślą tego, co tobie się zdaje. Prawdopodobnie wyobrażają sobie, że idziemy na pieszą wycieczkę. A co najzabawniejsze, to my naprawdę idziemy na wycieczkę. Naprawdę! Naprawdę!

Słyszając to Bill rozpogodził się trochę, wymamrotał jednak pod nosem mocne postanowienie, że rozwali głowę każdemu facetowi, który się zachowa bezczelnie. Rzucił spojrzenie na Saxon. Policzki płonęły jej rumieńcem, oczy błyszczały.

- Wiesz co, Saxon - powiedział nagle. - Widziałem kiedyś operę, w której faceci wędrowali po wsiach z gitarami przewieszonymi przez plecy, jak ty przewiesiłaś to swoje brzękadło. Śpiewali ciągle piosenki. - Po to wzięłam moje *ukulele* - odparła Saxon. - Kiedy wyjdziemy już na wiejskie drogi, będziemy sobie śpiewali w marszu i wieczorem przy ognisku. Bo my idziemy na pieszą wycieczkę, Bill. Mamy wakacje i chcemy poznać kraj. Więc dlaczego nie mielibyśmy sobie umilać czasu? Pomyśl - przecież my nawet nie wiemy, gdzie spędzimy dzisiejszą noc... i wszystkie następne noce. Pomyśl, co za zabawa!

- Trzeba przyznać, że to jest całkiem sportowe przedsięwzięcie - przyznał Bill. - Ale swoją drogą skróćmy i obejdźmy ten dom od tyłu. Tam na rogu następnej ulicy stoją chłopcy, których znam, a nie chciałbym zaczynać od rozbijania im głów.

KSIĘGA TRZECIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tramwaj jechał aż do Haywards, ale na propozycję Saxon wysiedli w San Leandro.

- To przecież nie ma znaczenia, gdzie zaczniemy naszą wędrówkę, bo gdzieś musimy ją zacząć. A ponieważ szukamy ziemi i chcemy się dowiedzieć o niej wszystkiego, im prędzej rozpoczniemy nasze badania, tym lepiej. Poza tym chcemy poznać wszystkie rodzaje ziemi - i tę, która jest blisko wielkich miast, i tę położoną wysoko w górach.

- Niech to licho! To musi być chyba kwatera główna Portugalczyków! - powtarzał Bill, gdy szli ulicami San Leandro.

- Wygląda na to, że wypierają naszych - zauważyła Saxon.

- I to na całego - powiedział gniewnie Bill. - Coś mi się zdaje, że dla wolno urodzonego Amerykanina nie ma już miejsca w jego własnym kraju.

- W takim razie to nasza wina - rzekła Saxon z ledwie uchwytną szorstkością. Gniewem napawała ją sytuacja, którą dopiero co zaczęła pojmować.

- Och, tego nie jestem pewien. Myślę, że Amerykanin potrafiłby robić to samo co Portugalczyk... gdyby tylko chciał. Ale Bogu dzięki nie chce. Nie ma ochoty żyć jak świnia i żywić się odpadkami.

- Na wsi może nie - upierała się Saxon. - Ale w mieście widywałam bardzo wielu Amerykanów żyjących jak świnie.

Bill niechętnie przyznał jej rację. - Bo to jest tak: rzucają farmy i idą do miast na lepsze życie, a tymczasem dostają po karku.

- Spójrz na te dzieci, Bill! - zawołała Saxon. - Właśnie skończyły się lekcje. I wszystko prawie sami mali Portugalczycy.

- W swojej ojczyźnie nigdy się tak nie stroili - szydził Bill. - Wyglądają jak pączki w maśle. Musieli przyjechać aż tutaj, żeby zacząć nosić przyzwoite ubranie i najadać się do syta.

Saxon skinęła i nagle rozjaśniło jej się wszystko w głowie.

- Właśnie o to mi idzie, Bill. Osiągnęliście to... osiągnęliście dzięki pracy na roli. Oni nie muszą bać się strajków.

- Chyba nie nazywasz tego babrania się w ogrodzie pracą na roli - zaprotestował wskazując na działkę o powierzchni najwyższej akra, którą właśnie mijali.

- Och, masz wciąż jeszcze wielkie wymagania - zaśmiała się Saxon. - Jesteś jak wujaszek Will, który miał tysiąc akrów, ale chciał mieć milion i w końcu został stróżem nocnym. To jest właśnie cała bieda z nami wszystkimi, ze wszystkimi Amerykanami. Każda

rzecz musi być na wielką skalę. Farma mniejsza niż sto pięćdziesiąt akrów - to maleństwo.

- Tak czy siak - dowodził uparcie Bill- gospodarowanie na wielką skalę jest na pewno o niebo lepsze niż gospodarowanie na małą skalę w tych ogródkach wielkości chustki do nosa.

Saxon westchnęła.

- Nie wiem, co jest lepsze - powiedziała w końcu. - Mieć kilka akrów ziemi i zaprząg, którym się samemu powozi, czy nie mieć ani jednego akra ziemi i powozić cudzym zaprzęgiem.

Bill poddał się.

- Dalej, Robinsonie Kruzoe - powiedział z humorem. - wygadaj się do woli. A najgorsze w tym wszystkim to, że masz rację. Ładny wolno urodzony Amerykanin był ze mnie - zarabiałem na życie powożeniem cudzymi zaprzęgami, strajkowałem, rozbijałem łby łamistrajkom i ani rusz nie mogłem wydołać z płaceniem rat za kilka sztuk mebli. Ale przykro mi z jednego powodu. Niech to diabli, nie mogłem patrzeć, jak zabierają nam ten fotel, który tak lubiłaś. Spędzaliśmy na nim dużo czasu podczas miesięcy miodowych.

Znajdowali się już spory kawałek za San Leandro, szli pośród małych gospodarstw, które Bill nazwał „farmeczkami”. Saxon wzięła do ręki *ukulele*, aby rozweselić go piosenką. Najpierw odśpiewała „Bądź dobry dla mojej có-ó-ó-rki”, potem sięgnęła do posepnych hymnów śpiewanych na rekolekcyjnych zebraniach religijnych pod gołym niebem. Zaczynały się od słów:

Dzień Sądu idzie, słyszę jęk -

I płacz, i jęk dokoła...

I słyszę trąb straszliwy dźwięk,

I łoskot trąb dokoła...

Wielki samochód sportowy minął ich w pędzie, wzbijając tuman kurzu, który zmusił ją do przerwania śpiewu. Saxon podzieliła się z Billem swą nowo nabytą wiedzą.

- Pamiętaj, Bill, że nie rzucimy się na pierwszy kawałek ziemi, jaki zobaczymy. Musimy mieć oczy otwarte...

- A tymczasem nie są jeszcze otwarte - przyznał.

- Toteż najpierw musimy tak postępować, żeby nam się otwały. „Kto szuka, ten znajdzie”. Mamy mnóstwo czasu na naukę. Co z tego, jeżeli nauka potrwa nawet miesiące? Pójdziemy, dokąd nas oczy poniosą. Lepiej raz zacząć dobrze niż dziesięć razy źle. Będziemy

mówili z ludźmi dopóty, dopóki się nie dowiemy. Musimy rozmawiać z każdym, kogo spotkamy. Musimy zadawać pytania. Pytać wszystkich o wszystko. To jedyny sposób nauki.

- Ja tam nie jestem znów taki mocny w zadawaniu pytań - wzdragał się Bill.

- W takim razie ja będę pytała! - wykrzyknęła Saxon. - Musimy wygrać w tej grze, a jedyny sposób to poznać jej reguły. Weź choćby tych Portugalczyków. Gdzie się podzieli Amerykanie? Przecież Amerykanie byli pierwszymi właścicielami po Meksykanach. Dlaczego Amerykanie opuścili ziemię? jak Portugalczycy dają sobie radę? Rozumiesz, Bill? Musimy zadawać tysiące pytań.

Palce jej dotknęły strun i czysty, miły głos zabrzmiał wesoło:

Wracam do Dixie,

Wracam do Dixie,

Gdzie pomarańczy rozwija się liść,

Bo dzieci tam płaczą,

Łzy płyną rozpaczą

I serce mnie woła do Dixie, do Dixie -

I muszę iść...

- Och, jak ślicznie!

- wykrzyknęła przerywając piosenkę.

- Spójrz na tę altankę... cała obwieszczona winogronami!

Małe zagrody, które mijali, wzbudzały jej zachwyt. Wykrzykiwała co chwila: - Spójrz na te kwiaty! - albo: - Boże! Co za jarzyny! - lub wreszcie: - Popatrz! Mają krowę!

Mężczyźni - Amerykanie - mijający ich w kabrioletach lub bryczkach, przyglądali im się ciekawie. Saxon łatwiej było to znieść niż Billowi, który dławiał w gardle gniewne pomruki.

Natknęli się na robotnika naprawiającego druty telegraficzne; jadł obiad w rowie przydrożnym.

- Zatrzymaj się i porozmawiaj z nim - wyszeptwała Saxon.

- Po co? Przecież to robotnik. Co on może wiedzieć o uprawie ziemi?

- Nigdy nie wiadomo. Ty zacznij, Bill. Odezwij się do niego. Nie pracuje w tej chwili, więc będzie chętniejszy do rozmowy. Widzisz to drzewo tam, w samym środku bramy? I te gałęzie tak dziwnie zrośnięte? To osobliwość. Spytaj go o to drzewo. W taki sposób najłatwiej zacząć rozmowę.

Gdy znaleźli się obok mężczyzny, Bill przystanął.

- Dzień dobry - powiedział niezbyt grzecznie.

Robotnik, młody mężczyzna, rozłupywał właśnie skorupkę jajka na twardo. Spojrzał na nich odrywając się od jedzenia.

- Dzień dobry - odpowiedział.

Bill zsunął tobolek z pleców na ziemię. Saxon postawiła obok koszyk.

- Handlarze? - spytał młody mężczyzna; był zbyt dyskretny, aby zwrócić się wprost do Saxon, podzielił więc pytanie między nią a Billa, zerkając jednocześnie ciekawie na przykryty koszyk.

- Nie! - odpowiedziała prędko. - Szukamy ziemi. Nie wie pan, czy w tych okolicach można kupić ziemię?

Znowu oderwał wzrok od jajka i przyglądał im się bystro, jak gdyby oceniając ich sytuację finansową.

- Czy wy wiecie, jaka jest cena ziemi w tych stronach? - spytał.

- Nie wiemy - odparła Saxon. - A pan wie?

- No chyba. Urodziłem się tutaj. Cena tej ziemi, którą naokoło widzicie, waha się od dwustu-trzystu do czterystu-pięciuset dolarów za akr.

- Fiu! - zagwizdał Bill. - Coś mi się zdaje, że jej nie kupimy.

- Ale co tak podwyższa jej cenę? Rozbudowa miasta? - dopytywała się Saxon.

- Nie. Portugalczycy podwyższają jej cenę.

- Myślałem, że za bardzo dobrą ziemię płaci się sto dolarów¹ za akr - powiedział Bill.

- Och, te czasy dawno minęły. Kiedyś rząd nadawał ziemię, a jeżeli człowiek umiał gospodarować, dorzucali mu jeszcze całe bydło przebywające na gruntach.

- A jak z ziemią rządową w tych stronach? - brzmiało następne pytanie Billa.

- Nie ma tu ziemi rządowej i nigdy nie było. To są dawne meksykańskie nadania. Mój dziadek kupił tysiąc sześćset akrów najlepszej ziemi w tych okolicach za tysiąc pięćset dolarów - pięćset dolarów z góry, reszta w spłatach pięcioletnich bez procentu. Ale to dawne czasy. Przybył na Zachód w 1848. Szukał kraju, w którym by nie było wilgoci i febry.

- Dobrze trafił - rzekł Bill.

- A jakże. A gdyby on i mój ojciec nie wypuścili tej ziemi z ręki, byłoby to lepsze niż kopalnia złota, a ja nie musiałbym się najmować do pracy. A pan w czym pracuje?

- Jestem woźnicą.

- Strajkował pan w Oakland?

- Pewnie. Większość życia przepracowałem tam jako woźnica.

Tutaj obaj mężczyźni wdali się w dyskusję na temat sytuacji strajkowej i spraw związkowych. Ale Saxon ani myślała wypuścić rozmowy z ręki i naprowadziła ją z powrotem na właściwe tory.

- Jak się to stało, że Portugalczycy podwyższyli cenę ziemi? - spytała.

Młody mężczyzna z trudem oderwał się od zagadnień związkowych i przez chwilę spoglądał na nią zmatowiałymi oczami. Potem pytanie dotarło do jego świadomości.

- Bo pracowali więcej niż ktokolwiek inny. Bo pracowali rano, w południe i wieczorem - wszyscy, nie wyłączając kobiet i dzieci. Bo potrafili wydusić więcej z dwudziestu akrów niż my ze stu sześćdziesięciu. Na przykład taki stary Silva, Antonio Silva. Pamiętam go, jak jeszcze byłem malcem. Kiedy trafił w te strony i zaczął dzierżawić ziemię od mojej rodziny, nie miał dość pieniędzy, żeby się najeść do syta. A teraz... teraz ma w majątku dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów i głowę dam, że kredytu ma na milion.

- I dorobił się tak na ziemi pana rodziny? - spytała Saxon.

Młodzieniec niechętnie skinął głową.

- W takim razie dlaczego pana rodzinie to się nie udało?

- Niech mnie pani zabije - nie wiem!

- Ale te pieniądze były w ziemi?

- Niech je diabli - zabrzmiała odpowiedź mężczyzny z lekka zabarwiona gniewem. - Nie wystawały z piachu tak, żebyśmy je mogli zauważyć. Pieniądze były w głowach Portugalczyków. Znali się na rzeczy lepiej niż my. To wszystko.

Saxon tak była rozczarowana jego wyjaśnieniem, że młodzieniec poczuł się zmuszony do działania. Wstał zirytowany.

- Niech pani idzie, to coś pokażę - powiedział. - Pokażę pani, dlaczego muszę się teraz utrzymywać z pracy najemnej, chociaż miałbym miliony, gdyby w mojej rodzinie nie byli sami durnie. Tacy my już jesteśmy - my, starzy Amerykanie. Durnie przez duże D.

Zaprowadził ich za bramę ogrodzenia, do drzewa owocowego, na które Saxon przedtem zwróciła uwagę. Z głównego rozwidlenia pnia wyrastały cztery konary. Dwie stopy nad rozwidleniem każdy połączony był z sąsiednimi jak gdyby klamrą żyjącego drzewa.

- Może się pani zdaje, że to tak wyrosło? Owszem, wyrosło, tylko z pomocą starego Silvy. Kiedy drzewo było młode, brał dwa pędy i skręcał je. Sprytnie, co? No pewnie. To drzewo nigdy się nie złamie. To są naturalne, elastyczne wiązadła i biją na głowę wszystkie żelazne klamry. Niech pani spojrzy na te rzędy. Każde drzewo jest takie. Widzi pani? A to, jest tylko jedna ze sztuczek Portugalczyków. Znają ich miliony.

Teraz niech się pani zastanowi. Nie potrzebują podpórek, kiedy drzewa obrodzą.

Myśmy przy bogatym plonie używali pięciu podpórek do jednego drzewa. Weźmy dziesięć akrów drzew owocowych. Wypadnie dobre kilka tysięcy podpórek. A podpórki kosztują, nie mówiąc już o koszcie pracy przy dostawianiu i odstawianiu ich co roku. Te naturalne klamry na drzewach nie wymagają żadnej pracy. Są w użyciu przez okrągły rok. Tak, Portugalczycy pobili nas na głowę. Chodźcie, coś wam jeszcze pokażę.

Bill, po miejsku zapatrujący się na sprawę wkraczania na cudzy teren, był wyraźnie zmieszany, że poczynają sobie tak swobodnie w obrębie tej małej farmy.

- Och, nikomu to nie przeszkadza, byleby nie chodzić po grzędach - uspokoił go robotnik. - Zresztą ta farma należała kiedyś do mojego dziadka. Znają mnie tutaj. Czterdzieści lat temu stary Silva przyjechał z Azorów. Przez dwa lata wypasał w górach nasze stada, potem przewędrował do San Leandro. Te pięć akrów to była pierwsza ziemia, jaką wydzierżawił. Wtedy właśnie zrobił początek. Potem zaczął dzierżawić po sto i dwieście akrów naraz. No i jego siostry, ciotki i wujaszkwowie walili tu na potęgę z Azorów - oni wszyscy tam są spokrewnieni. Bardzo niedługo San Leandro stało się regularną portugalską kolonią.

Następne pociągnięcie Silvy to kupno tych pięciu akrów od ojca. A trochę później - ojciec był wtedy po uszy w długach - kupował ziemię setkami akrów. Wszyscy jego krewni robili to samo. Ojciec zawsze prędko się wzbogacał, ale umarł w długach. Za to stary Silva nigdy nie pominął najmniejszej okazji do zrobienia pieniędzy. Wszyscy Portugalczycy są tacy sami. Widzicie tam - między ogrodzeniem a drogą? Koński ząb. My wstydzilibyśmy się lecieć na takie małe zarobki. Silva niczym nie gardzi. Wiecie, ma teraz piękny dom w San Leandro. I rozbija się samochodem za cztery tysiące dolarów. A mimo to obsadza cebulą ogród przed domem, aż do samego podjazdu. Ten kawałek ziemi daje mu trzysta dolarów rocznie. Wiem, że w zeszłym roku dokupił dziesięć akrów. Zażądali od niego tysiąc dolarów za akr i zapłacił bez zmrużenia powiek. Wiedział, że mu się to wróci. Wysoko w górach ma ranczo, pięćset osiemdziesiąt akrów. Kupił je za pół darmo. Powiem wam tylko, że każdego dnia w tygodniu mógłbym jeździć innym samochodem, gdybym miał to, co mu przynosi to ranczo. Hoduje na nim konie, od ciężkich pociągowych do lekkich pod wierzch.

- Ale jak... jakim sposobem zdobył to wszystko? - dopytywała się Saxon.

- Takim sposobem, że się znał na gospodarstwie. Poza tym cała jego przeklęta rodzina pracuje. Nie wstydzą się podwinąć rękawów do łokcia i kopać - synowie, córki, synowe, starcy, staruchy, dzieciaki. Mówi się u nich, że czteroletnie dziecko, które nie potrafi wypaść porządnie jednej krowy w przydrożnych rowach, do niczego nie dojdzie. Silvowie cała ich rodzina, uprawiają własnymi rękami sto akrów grochu, osiemdziesiąt akrów pomidorów,

trzydzieści akrów szparagów, czterdzieści akrów ogórków i... i mnóstwo innych warzyw.

- Ale jak, jak oni to robią? - nie dawała za wygraną Saxon. - Przecież myśmy nigdy nie wstydzieli się pracować. Pracowaliśmy ciężko całe życie. Ja sama prześcignę w pracy każdą portugalską kobietę. Wiem, bo to robiłam w fabryce worków. Przy warsztatach było pełno portugalskich dziewcząt. Pracowałam lepiej niż one. Więc to nie o pracę chodzi. Ale w takim razie o co? Młody mężczyzna spojrział na nią zatroskanym wzrokiem.

- Wiele razy zadawałem sobie to samo pytanie. Mówiłem sobie: Jesteśmy lepsi od tych nędznych imigrantów. Byliśmy tu pierwsi i do nas należała ziemia. Pobję na głowę każdego dudka, który się urodził na Azorach. Mam lepsze wykształcenie od niego. Więc jak się to, u diabła, dzieje, że oni dają nam po karku, zdobywają naszą ziemię i otwierają sobie rachunki w bankach? I znalazłem tylko jedną odpowiedź: że nie mamy dość oleju w głowie. Coś z nami nie jest w porządku. W każdym razie nie nauczyliśmy się uprawiać ziemi. Bawiliśmy się tylko w uprawę. Pokazać wam? Po to was tu właściwie przyprowadziłem, żeby wam pokazać, jak gospodaruje Silva i jego rodzina. Spójrzcie na ten kawałek. Jakiś kuzyn Silvy, który dopiero co przyjechał z Azorów, zaczyna na nim swoją karierę i płaci Silvie ciężkie pieniądze za dzierżawę. Bardzo prędko dorobi się i sam zacznie kupować ziemię od jakiegoś robiącego bokami amerykańskiego farmera.

Przyjrzyjcie się temu poletku, chociaż właściwie powinniście je zobaczyć latem. Nie marnuje się ani cal ziemi. Tam gdzie mieliśmy jeden chudy zbiór, oni mają cztery bogate zbiory. Spójrzcie, jak oni tu wszystko hodują na kupie. Porzeczek między rzędami drzew, fasola między rzędami porzeczek, rzędy fasoli wzdłuż każdego rzędu drzew i rzędy fasoli tam, gdzie drzewa się kończą. Silva nie sprzedałby tych pięciu akrów za pięćset dolarów akr płatne gotówką. Mojemu dziadkowi zapłacił pięćdziesiąt dolarów za akr w długoletnich splatach, a teraz ja pracuję w telefonach i zakładam aparat kuzynowi Silvy z Azorów, który nawet nie umie jeszcze mówić po angielsku.

Koński ząb wzdłuż drogi. Wiecie, kiedy Silva chwycił się tej sztuczki, więcej zarobił na wypasieniu świń pierwszym zbiorem niż mój dziadek na całej farmie. Dziadek zadzierał nosa na widok końskiego zębu. Umarł z nosem zadartym, ale za to ziemię za obdłużoną do niemożliwości. Hodowanie pomidorów zawiniętych w papier - słyszeliście kiedy o tym? Ojciec parsknął śmiechem, kiedy zobaczył pierwszy raz, jak to robili Portugalczycy. I dalej parskął. Tylko że Portugalczycy mieli olbrzymie zbiory, a zagonik pomidorów pod naszym domem zjadły czarne żuki. Nie mamy dość oleju w głowie czy smykałki do ziemi, czy czegoś takiego. Portugalczycy to urodzeni farmerzy, a my nie mamy pojęcia o uprawie ziemi.

Telefonista oprowadzał Saxon i rozmawiał z nią aż do pierwszej, kiedy to spojrział na

zegarek, pożegnał ich i zabrał się z powrotem do zakładania telefonu imigrantowi niedawno przybyłemu z Azorów.

Kiedy szli przez miasto, Saxon niosła swój przykryty ceratą koszyk w rękę, miał on jednak takie urządzenie, że gdy znaleźli się na drodze, wsuwała ręce pod rzemyk i niosła ciężar na plecach. Wtedy mały futerał z *ukulele* przesuwiała pod lewe ramię.

O milę od miejsca, gdzie siedział telefonista, zatrzymali się przy obrośniętym krzakami strumyku, który przecinał wiejską drogę. Bill proponował, żeby zjeść na zimno to, co Saxon po raz ostatni przygotowała na ulicy Sosnowej; ale ona stanowczo żądała, aby rozpalili ognisko i ugotowali kawę. Nie dlatego, że jej samej na tym zależało, ale ponieważ miała głębokie przekonanie, że ze względu na Billa wszystko od początku ich dziwnej wędrówki powinno być urządzone możliwie najwygodniej. Pragnęła go natchnąć entuzjazmem równym swojemu, nie mogła więc pozwolić, aby rzecz tak posępna, jak zimny posiłek, miała zdławić odrobinę jego zapału.

- Jedno musimy zaraz na początku wybić sobie z głowy - zwróciła się do Billa. - To, że się śpieszymy. Nie śpieszymy się i jest nam wszystko jedno, ile czasu zajmie nam droga. Chcemy, żeby to była dobra zabawa, prawdziwa przygoda, o jakich czyta się w książkach. Och, Bill! Chciałabym, żeby mnie mógł zobaczyć ten chłopiec, który wziął mnie na ryby na Wyspę Kozłą. Oakland to miejsce, z którego wyrusza się w świat. Tak powiedział. No i wyruszyliśmy, prawda? A teraz zatrzymamy się tutaj i ugotujemy kawę. Ty rozpal ognisko, a ja przyniosę wodę i przygotuję jedzenie.

- Wiesz, Saxon, co mi to przypomina? - spytał, gdy czekali na zagotowanie się wody.

Saxon wiedziała, ale potrząsnęła głową. Chciała to usłyszeć z jego ust.

- Drugą niedzielę od naszego poznania, kiedy pojechaliśmy dwukółką do doliny Moraga. Wtedy też przygotowywałaś nasz obiad.

- Tylko że był to obiad dużo wystawniejszy - powiedziała uśmiechając się promiennie.

- Swoją drogą ciekawe, dlaczego nie ugotowaliśmy sobie wtedy kawy - ciągnął Bill.

- Bo może przypominałoby to za bardzo prowadzenie gospodarstwa w domu - zaśmiała się Saxon. - Mary nazwałaby to czymś „niedelikatnym”.

- Albo „ordynarnym” - dodał Bill. - Co rusz używała tego słowa.

- No i pomyśl, do czego się doprowadziła. - Zawsze tak jest z nimi - rzucił Bill ponuro. - Zauważyłem, że to te skromnisie, te wybrednisie są najbardziej zepsute. Przypominają mi takie konie, co rzucają się w bok ze strachu przed tym, czego się najmniej boją.

Saxon milczała, przygnębił ją smutek nieokreślony i mglisty, wywołany wzmianką o

wdowie po ich przyjacielu.

- Jeszcze coś innego zdarzyło się tamtego dnia - wspomniał Bill. - Głowę dam, że nie zgadniesz co. Zakład, że się nie domyślisz.

- Ciekawa jestem - wyszeptała Saxon. Jej oczy zdradziły mu, że odgadła.

Bill odpowiedział jej wzrokiem i nagle spontanicznie wyciągnął rękę, ujął jej dłoń i przytulił pieśczośliwie do policzka.

- Ojej, ależ ona jest maleńka! - powiedział patrząc na uwięzioną rękę. Potem przeniósł wzrok na Saxon, którą od jego słów ogarnęło tkliwe ciepło. - Zdaje się, że na nowo zaczynamy się do siebie zalecać. Co?

Oboje zjedli z apetytem i Bill miał na sumieniu trzy filiżanki kawy.

- Ależ człowiek jest głodny na tym wiejskim powietrzu - powiedział zagłębiając zęby w piątą kanapkę z mięsem. - Mógłbym zjeść wołu i utopić go potem w kawie.

Myśli Saxon wróciły do tego, co jej powiedział młody telefonista. Streściła jego informacje w jednym zdaniu.

- Nauczyliśmy się mnóstwo, Bill! - zawołała.

- Z pewnością jedna nauka nam się przyda - rzekł. - Mianowicie, że te strony nie są dla nas. Akr ziemi kosztuje tu tysiąc dolarów, a my mamy dwadzieścia w kieszeni.

- Kiedy przecież my tu nie zostaniemy - powiedziała prędko Saxon. - Ale swoją drogą to Portugalczycy nadali ziemi jej wartość. Wiedzie im się dobrze, posyłają dzieci do szkoły... mają dzieci. I jak sam zauważyłeś, dzieci są tłuste jak pączki w maśle.

- Toteż kłaniam im się pięknie i z uszanowaniem - odparł Bill. - Ale tak czy inaczej, wolałbym mieć czterdzieści akrów po sto dolarów niż cztery po tysiąc dolarów. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale jakoś bałbym się na tych czterech akrach... bałbym się, że nie dam rady.

Rozumiała go doskonale. Czterdzieści akrów przemawiało do niej z nieporównanie większą mocą. Na swój sposób - i mimo różnicy pokoleń - pragnęła przestrzeni nie mniej gorąco niż jej wujaszek Will.

- Nie zostaniemy tutaj - uspokoiła męża. - Chcemy mieć nie czterdzieści akrów tylko sto sześćdziesiąt akrów, które dostaniemy za darmo od rządu.

- I uważam, że należy nam się to od rządu za to, co zrobili nasi ojcowie i matki. Mówię ci, Saxon, że kiedy kobieta przebywa prerie, jak twoja matka, i kiedy mąż i żona giną z ręki Indian, jak moi dziadkowie... ludziom tym należy się coś od rządu.

- No cóż, myśmy się o tę należność powinni upomnieć.

- Upomnimy się, możesz być spokojna. Gdzieś na południe od Monterey, w tych

porosłych sekwojami dolinach, o których mówił Tom.

ROZDZIAŁ DRUGI

Droga do Niles, prowadząca przez miasteczko Haywards, zajęła im całe popołudnie. Jednakże Saxon i Bill znaleźli czas, aby zejść z głównego traktu i szli równoległymi drózkami wiejskimi pośród intensywnych upraw, gdzie rola była wykorzystana aż do kolein na drodze. Saxon spoglądała ze zdumieniem na drobnych, śniadych imigrantów, którzy przyszli na tę ziemię z pustymi rękami i potrafili podwyższyć jej cenę do dwustu, pięciuset, a nawet tysiąca dolarów za akr.

Praca wrzała po obu stronach dróżki. Na polach uwijały się kobiety i dzieci, nie tylko mężczyźni. Saxon odnosiła wrażenie, że nie dają spocząć glebie ani na chwilę. A gleba wywdzięczała im się za troskliwość. Musiało tak być, bo inaczej ich dzieci nie chodziłyby do szkół, a oni sami nie jeździliby w kupionych z drugiej ręki rozklekotanych bryczuszkach lub na małych, solidnych wozach.

- Przyjrzyj się ich twarzom - powiedziała Saxon. - Są zadowoleni, szczęśliwi. Nie przypominają ani trochę naszych sąsiadów, odkąd zaczęły się strajki.

- Pewnie, powiodło im się - przyznał Bill. - Widać to z daleka. Ale to jeszcze nie powód, żeby mnie traktowali z góry tylko dlatego, że im się udało wygryźć naszych z ziemi i ze wszystkiego.

- Bill, przecież oni wcale nie patrzą na nas z góry - zaprotestowała Saxon.

- To prawda, jak się nad tym zastanowić. Ale swoją drogą tacy najmądrzejsi to też nie są. Głowę dam, że ode mnie mogliby się niejednego nauczyć o koniach.

Słońce już zachodziło, gdy weszli do małego miasteczka Niles. Bill, który milczał przez ostatnie pół mili, zaproponował z wahaniem:

- Słuchaj... nie miałbym nic przeciwko temu, żebyśmy sobie wzięli pokój w hotelu. Co o tym myślisz?

Ale Saxon potrząsnęła głową.

- Wydaje ci się, że w takim tempie nasze dwadzieścia dolarów starczy nam na długo? A poza tym zaczynać trzeba od samego początku. Nie planowaliśmy sypiania w hotelach.

- No dobrze - ustąpił. - Ja dam radę. Chodziło mi po prostu o ciebie.

- W takim razie pamiętaj, że ja też dam radę - powiedziała przebacząc mu. - A teraz musimy kupić coś na kolację.

Kupili kawałek mięsa, ziemniaki, cebulę, dwanaście jabłek i opuściwszy miasteczko skierowali się do kępy drzew i krzaków; które obrastały brzegi strumienia. Tam, na

piaszczystej plaży pod drzewami, rozłożyli obóz. Dokoła leżało pod dostatkiem suchych gałęzi i Bill zbierając je i łamiąc pogwizdywał wesoło. Saxon, śledząca każdy jego nastrój, poweselała słysząc te straszliwe fałszy. Z uśmiechem na ustach rozłożyła pledy, podałszy wpierw ceratę i usunąwszy spod spodu wszystkie gałązki. Był to ich stół. Jeśli idzie o gotowanie nad ogniskiem, wiele jeszcze musiała się nauczyć, ale postępy robiła szybkie, zorientowawszy się już w pierwszej chwili, że umiejętność panowania nad ogniem znaczy bez porównania więcej niż rozmiar ogniska. Kiedy kawa była już gotowa, odstawiała dzbanek na brzeg węgli, gdzie nie gotując się płyn mógł zachować ciepło. Pokrajała ziemniaki w talarki i umyła je wraz z cebulą, a potem umieściła na wierzchu dzbanka z kawą, w talerzu cynowym, z którego miała jeść, przykryte talerzem Billa. Na suchej, rozgrzanej patelni usmażyła mięso w sposób, który tak zawsze zachwycał Billa. Następnie wyłożyła je na talerze i podczas gdy Bill nalewał kawę, wyrzuciła z powrotem na patelnię kartofle z cebulą i mocno podgrzała.

- Czy można żądać czegoś więcej? - spytał Bill z głębokim zadowoleniem w głosie. Wypiwszy ostatnią filiżankę kawy kręcił sobie właśnie papierosa; leżał wyciągnięty na boku, podpierając się łokciem. Ogień płonął jasno, migotliwe błyski barwiły policzki Saxon ciepłym rumieńcem. - Pomyśl, że nasi przodkowie na preriach musieli się obawiać Indian, dzikich zwierząt i różnych takich niebezpieczeństw. A my siedzimy sobie tutaj tak bezpieczni jak pluskwy w łóżku. Weź choćby ten piasek. Czy można żądać lepszego łóżka? Miękki jak puchowy piernat. Wiesz co? Podobasz mi się, mała squaw. Słowo daję, wyglądasz najwyżej na szesnaście lat.

- Naprawdę? - Przechyliła zalotnie głowę i błysnęły jej olśniewające zęby. - Gdybyś nie palił właśnie papierosa, spytałabym, czy mamusia wie, że chłopczyk wyszedł z domu.

- Słuchaj - zaczął z udaną powagą. - Jeżeli pozwolisz, chciałbym cię o coś spytać. Naturalnie przykro by mi było ranić twoje uczucia czy coś takiego... ale mimo wszystko muszę się dowiedzieć. To bardzo poważna sprawa.

- Mów, słucham - powiedziała nie doczekawszy się dalszego ciągu.

- Widzisz, Saxon, idzie mi o to... Naturalnie podobasz mi się okropnie i tak dalej, ale noc się zbliża, jesteśmy o tysiące mil od ludzkich osiedli i... No więc chciałbym wiedzieć, czy my naprawdę i na pewno jesteśmy małżeństwem?

- Naprawdę i na pewno. A dlaczego pytasz?

- Och, to drobiazg. Ale widzisz, jakoś zapomniałem i trochę mnie to zaczęło peszyć. Bo gdybyśmy nie byli małżeństwem, to biorąc pod uwagę wychowanie, jakie otrzymałem, nie byłoby to miejsce odpowiednie dla...

- Dość tego, młokosie - powiedziała z udaną surowością. - W każdym razie na pewno

jest to miejsce i pora odpowiednia do tego, żebyś wstał i zebrał drewno na rano, a ja tymczasem zmyję naczynia i sprzątnę kuchnię.

Już miał odejść, żeby wykonać polecenie, zatrzymał się jednak, wziął ją w ramiona i przytulił mocno. Milczeli, ale gdy odszedł, pierś Saxon poruszyła się gwałtownie, a na jej ustach drżały słowa dziękczynienia.

Zapadła noc rozświetlona mdłym blaskiem gwiazd. Ale gwiazdy zginęły niebawem za chmurami, które przypląnęły nie wiadomo skąd. Był to początek kalifornijskiego babiego lata. W ciepłym, nieruchomym powietrzu wyczuwało się pierwszą zapowiedź nocnego chłodu.

- Mam takie uczucie, jakbyśmy dopiero teraz zaczęli żyć - powiedziała Saxon, kiedy Bill, nazbierawszy drewno, usiadł obok niej na derkach przed ogniskiem. - Dzisiejszego dnia nauczyłam się więcej niż w ciągu dziesięciu lat w Oakland. - Odetchnęła głęboko i wyprostowała plecy. - Uprawa ziemi to zagadnienie dużo trudniejsze, niż mi się początkowo zdawało.

Bill milczał. Nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w ogień i Saxon wiedziała, że zastanawia się nad czymś poważnie.

- Co to, Bill? - spytała orientując się, że doszedł już do jakichś wniosków. Przykryła ręką jego dłonie.

- Układałem sobie właśnie, jak ma wyglądać to nasze rancho - odparł. - Małe farmy też mają swoje korzyści. Są w sam raz dobre dla cudzoziemców. Ale my Amerykanie musimy mieć więcej miejsca. Chcę patrzeć na pagórek i wiedzieć, że to jest moja ziemia i że po drugiej stronie też jest moja ziemia, aż do następnego pagórka, za którym gdzieś nad strumieniem moje kobyły pasą się i skubią trawę, a z nimi źrebaki albo się pasą, albo hasają sobie wesoło. Wiesz, hodowla koni to świetny interes, a już specjalnie hodowla ciężkich koni roboczych, takich, co ważą od tysiąca ośmiuset do dwóch tysięcy funtów. W miastach płacą za parę takich czteroletnich wałachów siedemset i osiemset dolarów. W takim klimacie wystarczy im dobry, duży wypas, a na dodatek jakieś schronienie i odrobina siana podczas najprzykrzejszej niepogody. Nigdy mi to przedtem nie przyszło do głowy, ale muszę ci powiedzieć, że taki pomysł rancho wydaje mi się całkiem interesujący.

Saxon słuchała z przejęciem. Oto zyskuje nowe wiadomości na umiłowany temat, a co ważniejsze, Bill jest w tych sprawach autorytetem. Jeszcze bardziej cieszyło ją nowo rozbudzone zainteresowanie Billa.

- Na stu sześćdziesięciu akrach znajdziemy dość miejsca na rancho i na wszystko inne - powiedziała zachęcająco.

- Pewnie. Dookoła domu będziemy mieli warzywa, kwiaty, kury, i tak dalej, jak Portugalczycy. A poza tym dużo miejsca na wybiegi i wypas dla koni.

- Ale czy hodowla żrebaków nie będzie za kosztowna? - spytała.

- Nie bardzo. Konie na bruku prędko się kończą. Dzięki temu zdobędę moje klacze hodowlane... pośród tych koni, które w mieście nie nadają się już do pracy. Na tych sprawach znam się dobrze. Takie konie sprzedają na licytacjach. Zdrowe zwierzęta, które mogą żyć jeszcze całe lata, tylko nie nadające się na bruk.

Zapadło długie milczenie. Wpatrywali się oboje w dogasające ognisko i oczyma duszy widzieli przyszłą farmę.

- Cicho tu i spokojnie, co? - rzekł Bill ocknąwszy się z zadumy. Rozejrzał się dokoła. - I ciemno jak w beczce ze smołą. - Zadygotał, zapiął guziki kurtki i dorzucił kilka patyków do ognia. - Ale swoją drogą to jest najlepszy klimat na świecie. Jak byłem dzieckiem, mój ojciec wciąż narzekał na wilgoć w Kalifornii. Pojechał raz na Wschód, przebył tam lato i zimę i raz na zawsze miał dosyć. Nigdy więcej nie jeździł.

- Moja matka mówiła, że nigdzie na świecie nie ma takiego klimatu. Jak cudowny im się musiał wydawać ten kraj po przejściu przez pustynie i góry. Nazywali go ziemią mlekiem i miodem płynącą. Gleba była tak bogata, że - jak mówił Cady - wystarczyło ją trochę podrapać, a już dawała plony.

- I wszędzie pełno zwierzyny - dorzucił Bill. - Pan Roberts, ten, który zaadoptował mojego ojca, przeprowadzał bydło od rzeki San Joaquin nad rzekę Columbia. Miał ze sobą czterdziestu ludzi do pomocy, a wzięli w drogę tylko proch i sól. Żywili się dziczyzną.

- Na pagórkach było mnóstwo jeleni, a w okolicy Santa Rosa moja matka widywała całe stada łosi. Kiedyś musimy się tam wyprawić, Bill. Zawsze o tym marzyłam.

- A jak mój ojciec był młody, w wąwozie zwanym Cache Slogh, gdzieś na północ od Sacramento, mieszkały niedźwiedzie. Chodził na nie często ze strzelbą. A jeżeli spotkał je na otwartej przestrzeni, podjeżdżał do nich wraz z Meksykanami na koniach i łapał na lasso. Ojciec mówił, że koń, który się nie bał niedźwiedzia, kosztował dziesięciokrotnie więcej. Ach, i pantery! Dawniej ludzie nazywali je dzikimi kotami albo kuguarami. Tak, musimy obejrzeć sobie kiedyś Santa Rosa. A może nam się nie spodobają te okolice niedaleko wybrzeża i pomaszerujemy gdzieś dalej?

Tymczasem ogień już wygasł, a Saxon skończyła szcztokować włosy i splotła je w warkocze. Ich przygotowania do snu były bardzo proste, w kilka więc minut później leżeli obok siebie pod derkami. Saxon zamknęła oczy, nie mogła jednak zasnąć. Przeciwnie, nigdy chyba nie była dalsza snu. Nie zdarzyło jej się dotąd spędzać nocy na dworze i żadnym

wysiłkiem woli nie potrafiła opanować ogarniającego ją uczucia dziwności. A ponadto mięśnie miała zeszywniałe od długiego marszu, piasek zaś - skonstatowała ze zdziwieniem - wcale nie był miękki. Minęła godzina. Usiłowała wmówić w siebie, że Bill śpi, była jednak prawie pewna, że tak nie jest. Trzask gałązki dopalającej się w niewygasłym żarze przestraszył ją. Odniosła wrażenie, że Bill poruszył się lekko.

- Bill, nie śpisz? - wyszeptała.

- Nie - odparł cicho. - I myślę sobie, że ten piach jest twardszy od betonowej podłogi. Mnie to tam nie przeszkadza. Ale kto by pomyślał?

Oboje zmienili pozycję, ale próżne okazały się próby uniknięcia bolesnego kontaktu z piachem.

Niespodziewany metaliczny, warkotliwy głos świerszcza gdzieś niedaleko ponownie przestraszył Saxon. Wytrzymała go dzielnie kilka minut, aż wreszcie Bill wybuchnął:

- Cokolwiek to jest, diabli mnie biorą od samego słuchania.

- Czy przypuszczasz, że to może być grzechotnik? - spytała ze spokojem, którego bynajmniej nie czuła.

- Właśnie o tym samym myślałem.

- Widziałam kiedyś dwa grzechotniki na wystawie apteki Bowmana. I wiesz co, Bill? One mają wydrążony w środku ząb i kiedy go wpiją w człowieka, trucizna spływa do ciała tą rurką.

- Brr! - zawołał Bill dygocąc z lęku, który nie ze wszystkim był udany. - Pewna śmierć, chyba że się jest Bosco. Pamiętasz go?

- Sztukmistrz Bosco zjada je na żywo! Zjada je na żywo! Bosco! Boski Bosco! - podchwyciła Saxon naśladując głos nawoływacza na jarmarcznych przedstawieniach.

- Swoją drogą wszystkie grzechotniki Bosco mają wycięte gruczoły z trucizną. Nie może być inaczej. Ojej! Dlaczego ja nie mogę zasnąć? Żeby to przekłete paskudztwo zamknęło się wreszcie! Ciekawe, czy to jest grzechotnik?

- Wykluczone - powiedziała Saxon stanowczo. - Grzechotniki zostały wytępione Bóg wie jak dawno.

- To skąd Bosco bierze swoje okazy? - spytał Bill z logiką, której nic nie można było zarzucić. - I dlaczego ty nie śpisz?

- Pewnie dlatego, że to wszystko jest dla mnie takie nowe - brzmiała odpowiedź. - Widzisz, ja nigdy w życiu nie spędzałam nocy na dworze.

- Ja też nie. I do dzisiaj myślałem, że ta bagatela. - Zmienił pozycję i westchnął ciężko. - Ale myślę, że z czasem do tego przywykniemy. Co mogą robić inni, my też możemy, a bez

liku ludzi nocowało pod gołym niebem. Podoba mi się to nawet. No, proszę, jesteśmy sobie wolni i niezależni, komornego płacić nie musimy, sami się sobą rządzymy, jak chcemy...

Urwał raptownie. Gdzieś spomiędzy krzaków dał się słyszeć nieprzerwany chrzęst i chrobot. Gdy spróbowali umiejscowić ten hałas, umilkł tajemniczo; a gdy po pewnym czasie zaczęła ich ogarniać pierwsza senność, hałas ponowił się nie mniej tajemniczo.

- To zupełnie tak, jakby coś do nas pełzło - powiedziała Saxon przysuwając się bliżej do Billa.

- Hm... w każdym razie nie jest to dziki Indianin. - Było to najlepsze, co Bill mógł jej ofiarować w miejsce pociechy. Ziewnął z rozmysłem. - Ach, bzdury! Czego tu się bać? Pomyśl, na co byli narażeni pionierzy.

W kilka minut później plecy zaczęły mu się trząść i Saxon wiedziała, że chichocze.

- Przypomniała mi się taka historyjka, którą ojciec opowiadał - wyjaśnił. - Dotyczyła pewnej pionierki z Oregonu, Zuzanny Kleghorn. Nazywali ją Zuzanna Moczy-Buzia, ale strzelać umiała jak mało kto. Kiedyś na preriach ich wozy zostały zaatakowane przez Indian. Ustawili cały tabor w koło, ludzi i woły wzięli do środka, odegnali Indian i natłukli ich mnóstwo. Mogliby się tak trzymać w nieskończoność, więc jak myślisz - co zrobili Indianie, żeby ich wywabić na otwartą przestrzeń? Przyprowadzili dwie białe dziewczyny, porwane z jakichś innych wozów, i zaczęli je torturować. Stanęli sobie poza zasięgiem kul, ale tak, żeby wszyscy mogli ich widzieć. Liczyli na to, że biali ludzie nie wytrzymają, wypadną zza wozów, a wtedy oni zrobią z nimi, co im się żywnie spodoba.

Biali mieli ręce zupełnie związane. Gdyby się rzucili na ratunek dziewczynom, Indianie by ich wytlukli i napadliby na wozy. Wtedy nie uratowałaby się żywa dusza. No i jak ci się zdaje, co zrobiła Zuzanna? Wzięła starą strzelbę z Kentucky, taką z długą lufą, nabiła ją potrójnym ładunkiem prochu, wycelowała do jednego czerwonoskórego łotra, który mocno był zajęty torturowaniem - i trrrrach! Strzelba tak odbiła, że stara Zuzanna rymnęła jak długa na ziemię i ramię ją bolało przez resztę drogi do Oregonu, ale ubiła na miejscu wielkiego Indianina. Zanim się obejrzał, już nie żył.

Ale nie o tym chciałem ci opowiedzieć. Otóż stara Zuzanna przepadała za Johnem Barleycornem. Jak tylko miała okazję, hulala sobie na całego. Toteż synowie Zuzanny i córki, i stary mąż musieli dobrze uważać, żeby jej się nie dostał do ręki.

- Kto żeby jej się nie dostał do ręki?

- John Barleycorn... Och, ty tego nie wiesz. To taka staromodna nazwa whisky. No więc któregoś dnia wszyscy wychodzili z domu. Było to gdzieś w takiej miejscowości, która się nazywała Bodega. Osiedlili się tam po opuszczeniu Oregonu. Stara Zuzanna narzekała, że

ma znowu bóle reumatyczne i że nie może pójść. Ale rodzina dobrze wiedziała, co się święci. W domu był dwugalonowy gąsior whisky. Powiedzieli jej, żeby została, ale zanim wyszli, kazali jednemu z wnuków wspiąć się na wielkie drzewo na podwórzu obok stodoły, gdzie malec przywiązał gąsior na wysokości sześćdziesięciu stóp nad ziemią. Ale mimo to jak wrócili wieczorem do domu, stara Zuzanna leżała na podłodze w kuchni, umarła dla świata.

- Czyli że wdrapała się na to drzewo? - próbowała odgadnąć Saxon, gdy Bill nie kwapił się z dopowiedzeniem swojej historyjki do końca.

- Ale skąd! - wybuchnął radosnym śmiechem. - Zrobiła inaczej. Postawiła na ziemi balię, w prostej linii pod gąsiorem. Potem wzięła swoją starą strzelbę i roztrzaskała gąsior na drobny maczek. No, a potem musiała już tylko wychłęptać whisky z balii.

Saxon znowu zapadła w drzemkę, gdy chrobot rozległ się ponownie, tym razem bliżej. W jej podnieconej wyobraźni szmer ów miał w sobie coś dziwnie tajemniczego, zdradliwego. Pomyślała, że skrada się do nich jakieś drapieżne zwierzę.

- Bill - wyszeptała.

- Tak, słyszę - odpowiedział przytomnym, rozbudzonym głosem.

- Może to pantera albo... albo ryś?

- Wykluczone. Wszystkie dzikie kocury zostały wybite Bóg wie jak dawno temu. Jesteśmy w spokojnym rolniczym kraju.

Zabłąkany wietrzyk wionął między drzewami. Saxon zadygotała. Tajemniczy głos świerszcza umilkł z podejrzaną raptownością. Potem nagle w miejscu, skąd dobiegał ich chrobot, rozległo się głucho, lecz ciężkie tupnięcie. Saxon i Bill poderwali się jak na komendę i usiedli. Dźwięki umilkły, więc położyli się znowu, ale sama cisza wydawała im się teraz złowróźbna.

- Ha! - westchnął Bill z ulgą. - Może myślisz, że nie wiem, co to było? Króliki. Słyszałem, jak oswojone króle tupają tylnymi nogami dokładnie w taki sposób.

Na próżno Saxon starała się przywołać sen. W miarę jak mijały godziny, stawał się coraz twardszy. Bolało ją wszystko. Chociaż jej umysł szydził z wszelkiej możliwości niebezpieczeństwa, wyobraźnia odmalowywała je z niezmordowanym zapałem.

Rozległy się teraz nowe dźwięki. Nie był to ani chrobot, ani tupanie, a raczej coś, co przywodziło na myśl duże cielsko przemykające się przez krzaki. Od czasu do czasu łamały się i trzaskały gałązki, a raz usłyszeli, jak giętkie gałązki krzaków odsunięte na bok wracają na swoje miejsce.

- Jeżeli tamto była pantera, to to jest słoń - brzmiała niezbyt podnosząca na duchu opinia Billa. - Ma swój ciężar! O, słuchaj! I zbliża się do nas.

Często następowała przerwa; potem hałas znowu się odzywał - coraz głośniejszy, coraz bliższy. Bill poderwał się i objął ramieniem Saxon, która też usiadła.

- Nie spałem ani minuty - narzekał. - O, znowu! Żebym tak mógł coś zobaczyć!

- Hałas jest taki, jakby szedł niedźwiedź - paplała Saxon szczękając zębami częściowo ze zdenerwowania, częściowo z przenikającego ją zimna.

- Że to nie konik polny, to wiadomo.

Bill zaczął wysuwać się spod pledów, ale Saxon chwyciła go za rękę.

- Co chcesz zrobić?

- Och, ani trochę się nie boję - odparł.- Ale słowo daję, że mnie to zaczyna denerwować. Jak się nie przekonam, co to jest takiego, dostanę gęziej skóry. Idę na zwiady. Nie podejść za blisko.

Noc była tak ciemna; że zaledwie Bill znalazł się poza zasięgiem jej ręki straciła go z oczu. Czekala. Hałasy umilkły, jednakże trzask suchych gałązek wskazywał jej drogę, którą posuwał się Bill. Po kilku minutach wrócił i wpełzł pod pledy.

- Odstraszyłem to chyba. Musi mieć lepszy słuch ode mnie, bo kiedy usłyszało, że się zbliżam, dało drapaką. Wylaziłem ze skóry, żeby nie robić hałasu. O Boże... znowu!

Ponownie usiedli. Saxon trąciła Billa łokciem.

- O! - ostrzegła cichutkim szeptem. - Słyszałam, jak odetchnęło. Prawie że parsknęło.

Sucha gałązka trzasnęła głośno i tak blisko, że oboje podskoczyli bezwiednie.

*

- Ani myślę znosić dłużej tych brewerii - oznajmił gniewnie Bill. - Jeżeli czegoś nie zrobię, to diabelstwo wlezie nam niedługo na głowę.

- Ale co zamierzasz? - spytała niespokojnie.

- Wrzasnę, ile mam sił w płucach. Cokolwiek to jest, nakryje się ze strachu nogami.

Wciągnął potężny haust powietrza i wrzasnął dziko.

Rezultat prześcignął wszelkie oczekiwania. Saxon zaś serce załomotało z nieprzytomnego strachu. Natychmiast w ciemnościach zakotłowało się, zawrzało. Rozległ się trzask poszycia, ciężkie cielska rozbiegły się z tupotem na wszystkie strony. Na szczęście dla nich wszystkie te hałasy oddaliły się i umilkły.

- No i jak ci się to podoba? - spytał Bill przerywając milczenie. - A niech to! Kibice na ringu zawsze mówili, że ja się niczego nie boję. Moje szczęście, że mnie dzisiaj nie widzieli. -

Jęknął. - Mam dosyć tego przeklętego piasku. Wstanę i rozpalę ogień.

Nie nastęczyło to żadnych trudności. Pod popiołem był żar, suche gałęzie, które Bill rzucił na wierzch, szybko się zajęły. Kilka gwiazd spoglądało w dół mglistego nieboskłonu. Bill zadarł głowę, patrzył w nie, zastanawiając się nad czymś, a potem wykonał taki ruch, jakby miał odejść.

- Dokąd idziesz? - zawołała Saxon.

- Och, przyszła mi do głowy jedna myśl - powiedział niejasno i nieustraszony wyszedł poza krąg światła.

Saxon siedziała otuliwszy się szczelnie pledami i podziwiała jego odwagę. Nie wziął nawet siekierki, a poszedł w kierunku, w którym oddaliły się hałasy.

Po dziesięciu minutach wrócił chichocząc głośno.

- A niech ich, takie syny! Następnym razem będę się bał własnego cienia. Co to było? Ha! Nie zgadłabyś, choćbyś myślała tysiąc lat. Gromada niedorosłych cielaków, które bardziej były wystraszone od nas.

Wypalił papierosa przy ognisku, a potem wsunął się pod pledy.

- Ładny będzie ze mnie farmer - wściekał się - jeżeli ze strachu przed stadkiem cielaków dusza ucieka mi w pięty. Głowę dam, że mój ojciec i twój ojciec nawet by nie mrugnęli. Nasza rasa schodzi na psy.

- Nie, wcale nie - broniła Saxon. - Rasa jest dobra. Jesteśmy tak samo zdolni do życia, jak nasi przodkowie, tyle tylko, że od nich zdrowsi. Otrzymaliśmy inne wychowanie. To wszystko. Całe życie spędziliśmy w mieście. Znamy dźwięki miasta, wiemy o nim wszystko, a o wsi nie wiemy nic. Przygotowani zostaliśmy do życia w sposób sprzeczny z naturą. Tak się to da określić w kilku słowach. A teraz my idziemy przygotować się do życia w sposób zgodny z naturą. Poczekaj trochę, a zobaczysz, że będziemy spali pod gołym niebem tak mocno, jak twój czy mój ojciec.

- Ale nie na piasku - jęknął Bill.

- Nawet nie będziemy próbować. Tego nauczyliśmy się raz na zawsze. A teraz bądź cicho i śpij.

Pozbyli się lęków, ale za to piach, który przyciągał teraz niepodzielnie ich uwagę, stał się tym twardszy. Bill pierwszy zapadł w sen, ale koguty już piał gdzieś w oddali, gdy Saxon zamknęła oczy.

Na niebie zaczynało dopiero świtać, kiedy Bill wypełził spod pledów i rozniecił ogromne ognisko. Drżąca z zimna Saxon przysunęła się do płomieni. Oczy mieli zapadnięte, twarze zmęczone. Saxon zaczęła się śmiać. Bill zawtórował jej, dość jednak ponuro; potem

nagle rozpogodził się, gdy jego wzrok padł przypadkiem na garnek z kawą. Postawił go prędko na ogniu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Odległość z Oakland do San José wynosi czterdzieści mil, które Saxon i Bill przebyli w ciągu trzech dni niemęczącego marszu. Nie natknęli się już więcej na uprzejmych a gniewliwie gadatliwych telefonistów, spotkania zaś z przypadkowo mijającymi ich piechurami nie nastęrczały wielu okazji do rozmów. Na wiejskich drogach widywali sporo trampów, zdążających zarówno na północ, jak i na południe; z rozmów zaś z nimi Saxon szybko wywnioskowała, że albo nie wiedzą nic, albo niewiele o uprawie roli. Byli to przeważnie ludzie starzy, słabi lub ogłupiali i mówić umieli tylko o pracy - gdzie można dostać dobrą pracę albo gdzie można było dostać dobrą pracę, ale miejscowości, które wymieniali, leżały zawsze bardzo daleko. Jedną informację Saxon wyłuskała z rozmów z nimi, to mianowicie, że okręg, przez który szli z Billem, był okręgiem „małych farmerów”, gdzie rzadko najmowano ludzi do pracy, a i to najczęściej Portugalczyków.

Farmerzy byli bardzo nieżyczliwi. Mijali Saxon i Billa na drodze, a chociaż często wozy mieli puste, nigdy nie zaproponowali, że ich podwożą. Gdy zdarzyła się okazja i Saxon zadawała pytania, spoglądali na nią albo ciekawie, albo podejrzliwie i dawali odpowiedzi dwuznaczne lub zabarwione kpina.

- Niech ich diabli, to przecież nie są Amerykanie - złościł się Bill. - W dawnych czasach wszyscy odnosili się do wszystkich przyjaźnie.

Ale Saxon przypomniała sobie ostatnią rozmowę z bratem.

- To duch czasu, Bill. Duch czasu się zmienił. A zresztą ci ludzie mieszkają za blisko miasta. Ręczę ci, że jak się oddalimy od miasta, ludzie będą bardziej przyjacielscy.

- W każdym razie ci tutaj to wstrętne typy - warknął Bill.

- Może słusznie robią, że są tacy - zaśmiała się Saxon. - Kto wie, czy te łamistrajki, którym rozbijałeś głowy, nie są ich synami?

- Gdybym tak mógł mieć pewność! - zawołał Bill gorączkowo. - Ale gdybym nawet posiadał w majątku dziesięć tysięcy akrów, uważałbym, że ludzie, co pyrgają z rulonem pleców na plecach, mogą być tak samo dobrzy jak ja... albo ode mnie lepsi.

Bill pytał o pracę początkowo bez wyboru, potem tylko w większych farmach. Ale niezmiennie odpowiedź brzmiała, że pracy nie ma. Kilku gospodarzy obiecywało najmować do orki po pierwszym deszczu. Tu i tam rozpoczęto już suchą orkę na małych poletkach, większość jednak farmerów czekała.

- Ale czy ty umiesz orać? - spytała Saxon.

- Nie. Myślę tylko, że to żadna sztuka. Zresztą mam zamiar wziąć lekcję u pierwszego

człowieka, jakiego zobaczę przy pługu.

Nazajutrz wczesnym popołudniem nadarzyła się ta okazja. Bill wdrapał się na murek otaczający niewielkie pole i obserwował starca, który orał zataczając kręgi wokół tego skrawka ziemi.

- Wielkie rzeczy! To zabawka - zauważył Bill pogardliwie. - Jeżeli taki stary fajtłapa daje sobie radę z jednym pługiem, ja mogę orać dwoma naraz.

- Idź i spróbuj - namawiała Saxon.

- Czy to warto?

- Tchórz! - zadrwiła, ale jednocześnie uśmiechnęła się do niego. - Wystarczy go spytać. Najwyżej powie, że nie. No to co? Przez dwadzieścia rund dawałeś sobie radę z postrachem Chicago - i nie stchórzyłeś.

- Tak, ale to zupełnie inna sprawa - upierał się Bill, zeskoczył jednak z murku do środka ogrodu. - Zakład, że ten stary fajtłapa każe mi się wynieść.

- Nie, zobaczysz, że nie. Powiedz mu, że chciałbyś się nauczyć, więc żeby ci pozwolił poprowadzić pług przez kilka okrążeń. Powiedz mu, że zrobisz to za darmo.

- Ale jak będzie bezczelny, odbiorę mu ten jego przeklęty pług siłą.

Ze szczytu murku Saxon obserwowała dialog, była jednak za daleko, żeby słyszeć. Po kilku minutach lejce znalazły się na plecach Billa, rączki pługa w jego rękach. Potem zaprzęg ruszył i starzec szedł obok Billa zasypując go gradem wskazówek. Po kilku okrążeniach gospodarz przeszedł przez zaorany kawałek pola i zbliżył się do Saxon.

- Miał już kiedyś pług w rękach, co?

Saxon potrząsnęła głową.

- Nie. Nigdy. Ale umie się obchodzić z końmi.

- Od razu widać, że nie jest taki zupełny żółtodziób, a uczy się prędko. - Tutaj farmer zachichotał i odkrajał sobie kawałek prasowanego tytoniu. - Nie każe mi się tu chyba nudzić za długo.

Nie zaorana przestrzeń zmniejszała się szybko, a Bill nie zdradzał ochoty porzucenia pługa. Tymczasem jego widzowie zagłębili się w poważnej rozmowie. Saxon zarzucała farmera pytaniami i niebawem doszła do wniosku, że starzec w sposób zdumiewający przypomina znanego jej z opisu ojca telefonisty.

Bill nie odszedł od pługa, dopóki pole nie zostało zaorane, wtedy zaś starzec zaproponował im, żeby zostali na noc. Na farmie była mała przybudówka, w której stał piec; gospodarz obiecał im też dać słodkiego mleka. Dodał jeszcze, że jeżeli Saxon chce się przekonać o swoich farmerskich uzdolnieniach, będzie miała do tego okazję przy dojeniu

krowy.

Nauka dojenia nie dała tak dobrych wyników, jak nauka orki, ale gdy Bill nazartował się już z niej do woli, Saxon wyгнаła go, aby sam spróbował. Rezultat był nie mniej oplakany. Saxon miała oczy szeroko otwarte i zadawała mnóstwo pytań. Zorientowała się też niebawem, że patrzy na odwrotną stronę medalu farmerskiego życia. Tak farma jak i jej właściciel byli staroświeccy i zacofani. Nie prowadzono tu intensywnej uprawy. Ziemi było dużo, a uprawy mało. Wszędzie widniały oznaki zaniedbania. Dom, stodoła budynki gospodarskie - wszystko chyliło się ku ruinie. Podwórze przed domem porastały zieleń. Nie prowadzono warzywnika. Sad był stary, drzewa cherlawe i zaniedbane. Powykręcane pnie pokrywała warstwa szarego mchu. Synowie i córki gospodarza przenieśli się do miasta. Jedna córka wyszła za doktora, druga była nauczycielką w średniej szkole stanowej; jeden syn pracował jako maszynista pociągu, drugi był architektem, trzeci reporterem sądowym w San Francisco. Niekiedy - wyjaśnił starzec - pomagali pieniądze rodzicom.

- No i co o tym myślisz? - spytała Saxon Billa, gdy ów palił po kolacji papierosa.

Wzruszeniem ramion odpowiedział, że wszystko świetnie rozumie.

- Och, to przecież proste. Ten stary fajtłapa podobny jest do swojego sadu - cały obrośnięty mchem. Po San Leandro wszystko jest jasne jak słońce na niebie. On nie ma pojęcia o gospodarowaniu. I te konie! Byłoby to dla niego dobrodziejstwo i oszczędność, gdyby był ktoś oba wyprowadził i zastrzelił. U Portugalczyków nie zobaczysz takich koni. I nie myśl, że jak ktoś ma dobre konie, to znaczy, że mu się w głowie przewróciło czy zadziera nosa. To jest czysty zysk i interes. Oplaca się. Na to, żeby się utrzymać w kondycji, stare konie muszą zjeść więcej niż młode, a w pracy są mniej wydajne. Ale kucie tych czy tamtych kosztuje tyle samo. Stary fajtłapa ma chyba źle w głowie. Każda minuta z tymi końmi w gospodarstwie to dla niego strata pieniędzy. Trzeba ci było zobaczyć, jak te konie pracują, i porównać z pracą koni w mieście.

Spali dobrze i po wczesnym śniadaniu przygotowali się do dalszej drogi.

- Chętnie wziąłbym was na kilka dniówek - powiedział farmer z żalem przy pożegnaniu - ale nie poradzę. Odkąd dzieci wyniosły się do miasta, farma zaledwie daje wyżywienie mnie i żonie. A i to nie zawsze. Zapomnieliśmy już dawno, co to dobre czasy.

Wczesnym popołudniem na przedmieściach San José Saxon zarządziła postój.

- Wchodzę tu do środka i rozmawiam - oznajmiła. - Chyba że mnie poszczują psami. To najśliczniejsza posiadłość, jakąśmy dotąd widzieli.

Bill, który wciąż miał przed oczyma pagórek i rozległe pastwiska dla swych koni, nie okazywał zbytniego entuzjazmu.

- Ach, i te warzywa! Spójrz na nie! I wszystkie grędy warzyw obramowane kwiatami! To bije na głowy pomidory zawijane w papier!

- Nie bardzo widzę, co to ma za sens - wydziwiał Bill. - Przecież kwiaty nie dadzą tyle, co dobre jarzyny rosnące na ich miejscu.

- Właśnie tego wszystkiego muszę się dowiedzieć. - Wskazała na kobietę przed małym bungalowem, która z gracją w ręku pochylała się nad grzędami. - Nie wiem, jaka ona jest, ale w najgorszym wypadku może być tylko niesympatyczna. Widzisz? Zauważyła nas. Postaw swój pakunek obok mojego i chodź.

Bill zsunął rulon z pleców, postanowił jednak zaczekać. Idąc wąską, wysadzaną kwiatami ścieżką Saxon spostrzegła między warzywami dwóch robotników. Jednym był stary Chińczyk, drugim równie stary mężczyzna jakiejś ciemnooskiej cudzoziemskiej rasy. Nawet jej niewprawne oko zauważyło tu schludność, wydajność pracy, intensywność uprawy posuniętą do najdalszych granic. Kobieta wyprostowała się ponad grzędą kwiatów i Saxon zobaczyła, że jest w średnim wieku, szczupła i skromnie, lecz ładnie ubrana. Nosila okulary. Saxon wyczytała z jej twarzy, że jest dobra, ale nerwowa.

- Dzisiaj nic nie potrzebuję - powiedziała, zanim Saxon zdążyła się odezwać, opatrując jednak odmowę miłym uśmiechem.

Saxon jęknęła wewnątrz na myśl o swoim przykrytym ceratką koszyku. Widocznie kobieta zauważyła, jak stawiała go na ziemi.

- My niczym nie handlujemy - wyjaśniła szybko.

- Och, przepraszam.

Tym razem uśmiech kobiety był jeszcze miłszy. Czekala, aż Saxon wyjawi cel swego przybycia.

Saxon bez wahania skoczyła na głęboką wodę.

- Szukamy ziemi. Bo widzi pani, chcemy być farmerami i zanim się gdzieś osiedlimy, chcielibyśmy wiedzieć, jaki by nam rodzaj gospodarstwa odpowiadał. A na widok pani ślicznej posiadłości od razu przyszło mi do głowy tysiące pytań. Bo my nic, ale to nic nie wiemy o uprawie roli. Całe życie spędziliśmy w mieście, ale porzuciliśmy miasto i chcemy żyć na wsi i być szczęśliwi.

Umilkła. Twarz kobiety miała teraz jakby trochę kpiący wyraz, choć nadal była sympatyczna.

- Skąd ta pewność, że będziecie szczęśliwi na wsi - spytała.

- Nie wiem. Wiem tylko, że biedni ludzie nie mogą być szczęśliwi w mieście, gdzie wciąż mają kłopoty z pracą. Jeżeli na wsi też nie mogą być szczęśliwi, w takim razie nigdzie

nie ma dla nich szczęścia. A to się wydaje jakieś niesprawiedliwe, prawda?

- Twojemu rozumowaniu pozornie nic nie można zarzucić, moje dziecko. Ale proszę pamiętać, że na wsi jest dużo biednych ludzi, jak również wiele nieszczęśliwych.

- Pani nie wygląda ani na biedną, ani na nieszczęśliwą - rzuciła Saxon wyzwaniem.

- Jak to miło z pani strony!

Twarz kobiety rozbliły zadowoleniem, które nie zniknęło, gdy ciągnęła dalej.

- Ale ja mogę mieć szczególne kwalifikacje do tego, żeby żyć na wsi i osiągnąć powodzenie. Jak pani sama wspomniała, spędziliście całe życie w mieście. O wsi nie macie żadnego pojęcia. Możecie tu nawet być nieszczęśliwi.

Saxon wróciła myślami do strasznych miesięcy w domku na ulicy Sosnowej.

- Wiem już z całą pewnością, że w mieście będę nieszczęśliwa. Może tu też będę nieszczęśliwa, ale widzi pani - to jest moja jedyna szansa. To - albo nic. Zresztą obie nasze rodziny pochodzą ze wsi. Życie na wsi wydaje się jakieś bardziej naturalne. A co jest może ważniejsze, niż wszystko inne, to to, że jestem tutaj, bo to dowodzi, że w głębi duszy muszę pragnąć wsi, muszę mieć, jak pani to nazwała, szczególne kwalifikacje do życia na wsi. Inaczej by mnie tutaj nie było.

Kobieta skinęła głową na dowód, że podziela jej zdanie, i spojrzała na Saxon ze wzrastającym zainteresowaniem.

- Ten młody mężczyzna?...

- To mój mąż. Do wybuchu strajku był woźnicą. Nazywam się Roberts, Saxon Roberts, a mój mąż William Roberts.

- Moje nazwisko jest Mortimer - rzekła kobieta, skinieniem głowy dopełniając ceremoniału - jestem wdową. Jeżeli powie pani mężowi, żeby zechciał wejść do środka, postaram się dać pani odpowiedź na niektóre pytania. Niech mu pani powie, żeby wniósł rzeczy... No więc jak brzmią te tysiące pytań?

- Och, są najrozmaitsze. Jaki dochód przynosi farma? Jak pani daje sobie z nią radę? Ile pani zapłaciła za grunt? Czy pani sama wybudowała ten śliczny dom? Ile pani płaci robotnikom? Jak się pani tego wszystkiego nauczyła, co rośnie najlepiej i co daje najlepszy dochód? Jak najkorzystniej sprzedawać produkty? Jak je pani sprzedaje? - Saxon umilkła i roześmiała się. - Och, to dopiero początek. Dlaczego sady pani kwiaty wszędzie dookoła grzęd? Przyglądałam się portugalskim farmom w okolicach San Leandro, ale nie widziałam, żeby oni hodowali kwiaty razem z warzywami.

Pani Mortimer podniosła rękę. - Proszę pozwolić, że najpierw odpowiem na ostatnie pytanie. Jest ono bez mała kluczem do wszystkiego.

Ale tymczasem nadszedł Bill i wyjaśnienia musiały poczekać, dopóki Saxon nie przedstawiła go pani Mortimer.

- Prawda, że to kwiaty przyciągnęły pani uwagę? - podjęła gospodyni. - I kazały ci, drogie dziecko, przekroczyć furtkę i podejść do mnie. Właśnie dlatego zostały zasadzone wraz z warzywami: żeby przyciągać wzrok. Nawet sobie nie wyobrażacie, ile razy przyciągały wzrok ludzki i ile ludzi zwabiły do mojego ogrodu. Droga przed domem jest dobra, mieszkańcy miasta bardzo lubią wyjeżdżać tędy na krótkie wiejskie przejażdżki. O nie! Nie miałam dotąd szczęścia z samochodami. Ludziom w samochodach kurz zasłania wszystko. Ale kiedy zaczynałam, większość ludzi jeździła powozami. A więc przejeżdżali tędy mieszkańcy miasta. Moje kwiaty i cała posiadłość przyciągała ich wzrok. Mówili stangretom, aby zatrzymali konie. A ja... no cóż, starałam się zawsze być przed domem, w zasięgu ich głosu. Na ogół przyjmowali moje zaproszenie. Wchodzili do środka, żeby obejrzeć kwiaty... i naturalnie warzywa. A tu wszystko było schludne, śliczne, czyściutkie - wszystko to do nich przemawiało. I... - Pani Mortimer wzruszyła ramionami. - Jest to rzecz znana, że żołądek posługuje się oczyma. Myśl o warzywach rosnących między kwiatami w przyjemny sposób podniecała ich wyobraźnię. Chcieli moich warzyw. Musieli koniecznie je mieć. I mieli - po cenie dwa razy wyższej niż rynkowa, na którą chętnie się zgadzali. Widzicie, stałam się modna, na swój sposób byłam czymś w rodzaju ich konika. Nikt na tym nie tracił. Warzywa były doskonałe, nie ustępowały najlepszym rynkowym, a często były świeższe. A co więcej, moi odbiorcy zabijali dwa ptaszki jednym kamieniem. Nie tylko kupowali warzywa w najwyższym gatunku, lecz także pomagali zasługującej na to wdowie, co im sprawiało przyjemność ze względów filantropijnych. Tak... A ponadto było w dobrym tonie, kiedy ktoś mógł powiedzieć, że kupuje warzywa u pani Mortimer. Za długo byłoby o tym opowiadać! Słowem, moja farma stała się jakby miejscem na pokaz - ot, zawsze można tam było pojechać na spacer, chociażby dla zabicia czasu. No i w mieście rozeszła się wiadomość, kim jestem, kim był mój mąż, kim ja byłam kiedyś. Wyszło to od pań, które znałam kiedyś osobiście, i przyczyniło się do mojego powodzenia. Poza tym - podawałam tu herbatę. Moi klienci stali się moimi gośćmi. Nadal podaję herbatę, kiedy przywożą swoich przyjaciół, żeby się mną przed nimi popisać. Jak więc widzicie, kwiaty to jedna z moich dróg do sukcesu.

Twarz Saxon wyrażała najwyższe uznanie, ale gdy pani Mortimer przeniosła wzrok na Billa, nie dostrzegła pochwały. Jego niebieskie oczy były chmurne.

- Śmiało, młody człowieku - powiedziała zachęcająco. - Co pan o tym myśli?

Ku zdumieniu Saxon Bill odpowiedział wprost, a ku jej jeszcze większemu zdumieniu

sformułował zarzut, który jej samej nie przyszedłby do głowy.

- To jest po prostu sztuczka - oznajmił. - O tym właśnie mówiłem, kiedy...

- Ale sztuczka, która daje dobre dochody - przerwała pani Mortimer jej oczy poza szklami okularów błyskały żywym ogniem.

- Tak i nie - obstawał przy swoim Bill, jak zwykle wypowiadając słowa powoli i z namysłem. - Bo gdyby każdy farmer mieszał kwiaty z warzywami, wtedy każdy farmer otrzymałby cenę dwukrotnie większą od ceny rynkowej - i wtedy nie byłoby już takiej podwójnej ceny. Wszystko byłoby po staremu.

- Przeciwstawia pan teorię faktowi - stwierdziła pani Mortimer. - Faktem jest, że nie wszyscy farmerzy to robią. Faktem jest, że ja otrzymuję podwójną cenę. Temu pan nie zaprzeczy.

Bill nie był przekonany, chociaż nie znajdował odpowiedzi.

- Tak czy inaczej - zamruczał potrząsając powoli głową - nie mogę się w tym połapać. Coś tu nie kapuje, przynajmniej jeżeli idzie o mnie i o moją żonę. Może trochę później będę to umiał wytłumaczyć.

- A tymczasem obejrzymy sobie gospodarstwo - zaprosiła pani Mortimer. - Chciałabym wam pokazać wszystko i wyjaśnić, na jakich zasadach prowadzę moją farmę. Potem usiądziemy i opowiem wam o tym, jak zaczynałam. Widzicie - tu przeniosła wzrok na Saxon - chciałabym, abyście dobrze zrozumieli, że może się wam powieść na wsi, jeżeli przystacie do rzeczy we właściwy sposób. Kiedy zaczynałam, nie miałam pojęcia o pracy w gospodarstwie i nie miałam przy sobie takiego silnego, wspaniałego mężczyzny, jak ty, moje dziecko. Byłam zupełnie sama. Ale o tym też wam opowiem.

Przez następną godzinę między warzywami, krzewami i drzewami owocowymi Saxon wchłaniała ogromną masę informacji, aby je potem przetrawić we właściwej porze. Bill też okazywał zainteresowanie, pozostawił jednak rozmowę w rękach Saxon i sam tylko rzadko o coś pytał. Gdy znaleźli się za domem, gdzie panował ten sam ład i porządek, pani Mortimer zaprowadziła ich na podwórze. W kilku odgrodzonych od siebie wybiegach trzymała tu kilkaset małych, śnieżnobiałych kurek.

- Białe leghorny - wyjaśniła. - Nie macie pojęcia, jak one się w tym roku niosły. Trzymam kury tylko dopóty, dopóki dobrze się niosą...

- Dopiero co, Saxon, mówiłem ci to samo o koniach - wtrącił Bill.

- A dzięki prostej metodzie sadzania ich na jaja o właściwej porze - o czym nie pomyśli nawet jeden farmer na dziesięć tysięcy - niosą mi się w zimie, kiedy jajka są

najdroższe. I jeszcze jedno: mam swoich specjalnych odbiorców. Płacą mi o dziesięć centów więcej za tuzin niż ceny ustalone, gdyż gwarantuję im jajka jednodniowe.

Tutaj pani Mortimer spojrzała przypadkiem na Billa i zobaczyła, że ów nadal boryka się ze swym problemem.

- Ta sama stara śpiewka? - spytała.

Skinął głową. - Ta sama stara śpiewka. Gdyby każdy farmer dostarczał na rynek jednodniowe jaja, nie byłoby cen o dziesięć centów wyższych od najwyższych rynkowych. Znowu farmerzy nic by na tym nie zyskali.

- Ale za to jajka byłyby jednodniowe. Niech pan nie zapomina, że wszystkie jajka na rynku byłyby jednodniowe - podkreśliła pani Mortimer.

- Tylko że z tego nie wynika żadna korzyść dla mnie i dla mojej żony - dowodził Bill. - I to jest ten orzech, który od początku próbowałem rozgryźć i teraz rozgryżłem. Mówi pani o teorii i faktach. Dziesięć centów więcej niż najwyższa cena to dla Saxon i dla mnie jest czysta teoria. A faktem jest, że nie mamy ani jajek, ani kur, ani ziemi, na której kury mogłyby sobie biegać i składać jajka.

Pani Mortimer skinęła głową ze zrozumieniem.

- Ale jeszcze jest coś w tym pani gospodarstwie, czego dotąd nie mogę rozgryźć - ciągnął. - Nie potrafię tego dokładnie określić, ale wiem, że to jest.

Następnie obejrzelili kociarnię, świniańnię, krowiańnię i psiarnię, jak pani Mortimer nazywała działy hodowlane swej farmy. Nie były one wielkie, ale wszystkie przynosiły dochód, jak zapewniła gospodyni zarzucając ich cyframi. Wprawiała ich w osłupienie ceną podawaną i otrzymywaną za perskie koty, z rodowodami, za podrasowane świnię rasy Chester z rodowodami, za owczarki szkockie z rodowodami i krowy rasy Jersey z rodowodami. Na mleko miała zresztą specjalnych odbiorców, którzy płacili jej za kwartę o pięć centów więcej niż za najlepsze mleko z mleczarni. Bill podpatrzył i wskazał na różnice pomiędzy jej sadem a sadem, który zwiedzili poprzedniego dnia. Pani Mortimer zwróciła uwagę na mnóstwo innych różnic, z których wiele musiał przyjąć na wiarę.

Potem opowiedziała im o innej gałęzi swej wytwórczości, o robionych w domu dżemach i galaretkach, które zamawiano u niej z góry, płacąc ceny nieporównanie wyższe od rynkowych. Siedzieli na wygodnych trzcinowych krzesłach na werandzie, słuchając jej opowieści o tym, jak zorganizowała swój przemysł dżemowo-galaretkowy; otóż rozpoczęła pertraktacje tylko z jedną najlepszą restauracją w San José i najwytworniejszym klubem. Poszła do właściciela i kierownika z próbkami wyrobów, w długich dyskusjach zwalczyła ich opór, przezwyciężyła niechęć i namówiła - zwłaszcza właściciela restauracji - aby podawał

„specjalności kuchni”, biorąc ceny znacznie wyższe za wszystkie dania i potrawy, w których skład wchodziły jej wyroby.

Oczy Billa spoglądały nadal pochmurnie i z niezadowoleniem. Pani Mortimer zauważyła to - i czekała.

- A teraz proszę... niech pani zacznie od początku! - zwróciła się do niej Saxon.

Pani Mortimer zgodziła się, ale pod warunkiem, że zostaną na kolacji. Saxon pominęła niechęć Billa i wyraziła zgodę za nich oboje.

- A więc na początku - podjęła pani Mortimer swą opowieść - byłam nowicjuszką urodzoną i wychowaną w mieście. O wsi wiedziałam tylko tyle, że jeździ się tam na wakacje, a i to wożono mnie zwykle do miejscowości kąpielowych, w góry i nad morze. Prawie całe życie spędziłam między książkami. Byłam główną bibliotekarką Biblioteki Publicznej w Doncaster. Potem wyszłam za mąż za Mortimera. Był to człowiek nauki, profesor uniwersytetu w San Miguel. Chorował bardzo długo, a gdy umarł, nic nie zostało. Chcąc pozbyć się wierzycieli, musiałam naruszyć nawet jego polisę ubezpieczeniową. A ja... cóż, byłam do szczytu wyczerpana, bliska nerwowego załamania, niezdolna do niczego. Zostało mi jednak pięć tysięcy dolarów i - żeby nie rozwodzić się nad tym zbyt długo - postanowiłam wziąć się do pracy na roli. Znalazłam tę farmę - klimat tu jest rozkoszny, do San José blisko, zaledwie ćwierć mili od ostatniego przystanku tramwaju. Kupiłam ją więc, zapłaciłam dwa tysiące gotówką i dwa tysiące zapisałam na hipotekę. Cena wynosiła dwieście dolarów za akr.

- Dwadzieścia akrów! - zawołała Saxon.

- Nie było to trochę mało? - wyraził Bill przypuszczenie.

- Było wiele za dużo. Zaczęłam od tego, że z miejsca wydzierżawiłam dziesięć akrów. I dotąd je wydzierżawiam. Nawet te dziesięć, które sobie zostawiłam, przez długi, długi czas było o niebo za dużo. Dopiero ostatnio zaczynam odnosić wrażenie, że jest mi odrobinę za ciasno.

- I z tych dziesięciu akrów utrzymywała pani siebie i dwóch robotników? - spytał Bill w osłupieniu.

Pani Mortimer zachwycona klasnęła w ręce.

- Posłuchajcie. Byłam bibliotekarką. Orientowałam się w książkach. Więc przede wszystkim przeczytałam wszystko, co mogłam znaleźć na ten temat, i zapnumerowałam najlepsze miesięczniki rolnicze. Pytaliście, czy moje dziesięć akrów dało utrzymanie dwóm robotnikom i mnie. Powiem wam coś. Mam czterech najemnych robotników. To jasne dziesięć akrów musi ich utrzymać, tak jak utrzymuje Hannę - jest to wdowa, Szwedka która prowadzi mi dom, istny wojownik trojański w okresie smażenia konfitur - tak jak utrzymuje

córkę Hanny, która chodzi do szkoły i pomaga czasem w gospodarstwie, i jak utrzymuje mojego siostrzeńca, którego wzięłam na wychowanie i kształcę. A co więcej, te dziesięć akrów prawie już zwróciło mi koszt całych dwudziestu, jak również domu, zabudowań gospodarskich i rasowego inwentarza.

Saxon przypomniała sobie, co jej powiedział młody telefonista o Portugalczyk.

- Wcale nie dziesięć akrów to zrobiło - zawołała. - To pani głowa zrobiła wszystko, i pani wie o tym.

- O to właśnie idzie, moja droga. Masz najlepszy dowód, że właściwi ludzie mogą osiągnąć na wsi powodzenie. Pamiętajcie, że ziemia jest hojna, ale musi być traktowana z hojnością, a tego Amerykanie dawnego pokroju nie mogą zrozumieć. A więc istotnie głowa jest ważna. Nawet jeżeli wygłodniała, wyjałowiona ziemia przekona farmera dawnego typu o konieczności nawożenia, nie potrafi on dostrzec różnicy między tanim, kiepskim nawozem a dobrym nawozem.

- O tym chciałam się jak najwięcej dowiedzieć! - wykrzyknęła Saxon.

- Powiem wszystko, co wiem, ale wydaje mi się, że jest pani bardzo zmęczona. Zauważyłam, że pani kuleje. Wejdźcie państwo teraz do środka...mniejsza o pakunki. Poślę po nie Czanga.

Dla Saxon, z jej wrodzonym zamiłowaniem do piękna i uroku we wszystkich przedmiotach życia codziennego, wewnątrz bungalowu stało się objawieniem. Nigdy dotąd nie była we wnętrzu domu mieszczańskiego, a to, co ujrzała, nie tylko przekroczyło wszelkie jej wyobrażenia, lecz także bardzo się od nich różniło. Pani Mortimer zauważyła jej roziskrzony wzrok, który obejmował wszystko, oprowadziła ją więc uprzejmie po całym wnętrzu i niby to chępiąc się wesoło, wymieniała ceny poszczególnych materiałów, tłumaczyła, w jaki sposób wiele rzeczy wykonała domowym sposobem - takie, jak pomalowanie podłóg, zabicie półek na książki i odremontowanie wielkiego fotela. Bill trzymał się cały czas ostrożnie na uboczu, a chociaż nie powstało mu nawet w głowie, żeby udawać, iż przywykł do takich manier od urodzenia, zdołał uniknąć wyraźnych niezręczności - nawet przy stole, gdzie oboje z Saxon mieli pierwsze tego rodzaju doświadczenie w życiu: w prywatnym domu usługiwała im do stołu służąca.

- Ach, gdybyście byli przyszli w następnym roku - martwiła się pani Mortimer - miałabym już wtedy gościnny pokój, który zamierzam dobudować...

- Bardzo to uprzejmie z pani strony - przemówił Bill. - Ale wsiądziemy w tramwaj i wynajmiemy sobie pokój w San José.

Pani Mortimer nadal jednak martwiła się niemożnością zatrzymania ich na noc, przeto

Saxon zmieniła temat prosząc ją, aby opowiedziała więcej.

- Mówiłam wam, że zapłaciłam za ziemię tylko dwa tysiące gotówką. Pewnie to pamiętacie ciągnęła pani Mortimer. - Pozostało mi więc na eksperymenty trzy tysiące dolarów. Naturalnie wszyscy moi krewni i przyjaciele przepowiadali ruinę. Robiłam oczywiście mnóstwo błędów, ale przed daleko gorszymi uratowały mnie gruntowne studia, które przeprowadziłam i wciąż pogłębiłam. - Wskazała na półki pełne książek rolniczych i stosów pism fachowych. - Nie przerywałam studiów. Postanowiłam być nowoczesna, sprowadziłam sobie raporty wszystkich ośrodków eksperymentalnych. Wychodziłam z założenia, że cokolwiek robił farmer dawnego pokroju, musi być błędne... i czy wiecie, że działając na tej zasadzie, sama nie tak bardzo się myliłam? Głupota tych staromodnych farmerów jest wprost nie do pojęcia... Ależ tak, radziłam się ich, dyskutowałam z nimi, podawałam w wątpliwość ich stereotypowe metody, żądałam, aby mi dowiedli słuszności swych dogmatycznych wierzeń i przesądów, i zdołałam przekonać ich wszystkich co do jednego, że jestem idiotką skazaną na zagładę.

- Ale wcale tak nie było, wcale tak nie było!

Pani Mortimer uśmiechnęła się do Saxon z wdzięcznością.

- Czasem, nawet jeszcze teraz, sama się dziwię, że mimo wszystko do tego doszło. Ale pochodzę z upartego szczepu, który dostatecznie długo żył w oderwaniu od ziemi, aby zyskać nowe perspektywy. Kiedy jakaś rzecz przemawiała do mojego rozsądku, natychmiast, bez chwili wahania ją robiłam - bez względu na to, jak bardzo wydawała się ekstrawagancka. Na przykład stary sad. Był zupełnie bezwartościowy. Gorzej niż bezwartościowy! Stary Calkins o mało nie dostał ataku serca, kiedy zobaczył, jakie spustoszenie zrobiłam w sadzie. A widzieliście go dzisiaj. Na miejscu mojego bungalowu stała rozsypująca się ruina. Zamieszkałam w niej, ale natychmiast zrównałam z ziemią starą oborę, chlewy, kurniki, wszystko. Sąsiedzi potrząsali tylko głowami i wzdychali na widok tego bezsensownego marnotrawstwa, którego dopuszczała się wdowa z trudem zdobywająca środki do życia. Ale najgorsze miało przyjść. Zdrętwieli, kiedy im powiedziałam cenę trzech pięknych świń rasy Chester, nieledwie prosiaków, za które dałam sześćdziesiąt dolarów. Potem pozbyłam się kur bliżej nie określonej rasy i na ich miejsce kupiłam białe leghorny. Dwie cherlawe krowy należące do inwentarza farmy sprzedałam rzeźnikowi po trzydzieści dolarów za sztukę, za dwie zaś jałówki rasy Jersey zapłaciłam dwieście pięćdziesiąt dolarów... i zarobiłam dużo na tej zamianie, podczas gdy, Calkins i inni jemu podobni dalej hodowali swoje cherlaki, których koszt utrzymania przewyższał wartość udoju.

Bill skinął głową z uznaniem.

- Pamiętaj, co ci mówiłem o koniach - zwrócił się do Saxon i zachęcony przez gospodynię, wygłosił bardzo przekonujący pogląd na temat hodowli koni pod kątem ich opłacalności.

Gdy Bill wyszedł na papierosa, pani Mortimer nakłoniła Saxon, aby opowiedziała jej o sobie i Billu i nie okazała najmniejszego zgorznięcia usłyszawszy o jego zamiłowaniach do zawodowego boksu i rozbijania głów łamistrajkom.

- To wspaniały okaz mężczyzny - powiedziała z przekonaniem. - I dobry człowiek. Widać to po jego twarzy. A co najważniejsze, kocha cię, moje dziecko, i jest z ciebie dumny. Nie masz pojęcia, z jaką przyjemnością mu się przyglądam, kiedy patrzy na ciebie, zwłaszcza jak mówisz. Liczy się z twoim zdaniem. Oczywiście, że się liczy, bo inaczej nie wyruszyłyby na tę pielgrzymkę, która jest twoim wyłącznym pomysłem. - Pani Mortimer westchnęła. - Jesteś bardzo, bardzo szczęśliwa, moje dziecko. A nie wiesz jeszcze, co znaczy męska głowa. Poczekaj, aż naprawdę zapłonie entuzjazmem do twojego projektu. Zdumieje cię nagłość, z jaką w pewnej chwili wszystko obejmie. Niełatwo będzie ci wtedy za nim nadążyć. Tymczasem ty musisz przewodzić. Pamiętaj, że urodził się i wychował w mieście. Będziesz musiała walczyć, aby odzwycząić go od jedyne go życia, jakie znał.

- Och, kiedy on też nienawidzi miasta... - zaczęła Saxon.

- Ale nie tak jak ty. Miłość nigdy nie włada tak niepodzielnie mężczyzną jak kobietą. Miasto tobie wyrządziło większą krzywdę. To ty straciłaś dziecko. Jego zainteresowanie, jego stosunek do dziecka był powierzchowny i przypadkowy w porównaniu z głębią i intensywnością twoich uczuć.

Pani Mortimer zwróciła się do Billa, który wchodził właśnie do pokoju.

- Czy trafił pan już w sedno tego, co pana niepokoi?

- Prawie - odparł siadając na wielkim fotelu wskazanym mu przez gospodynię. - Bo widzi pani...

- Chwileczkę - przerwała pani Mortimer. - Fotel jest piękny, mocny i duży, a to samo można powiedzieć o panu... W każdym razie jest pan duży i mocny. A pana maleńka żona jest bardzo, bardzo zmęczona... nie, nie! Niech pan siada, przecież ona właśnie potrzebuje pana siły. Tak, naprawdę proszę! Niech pan otworzy ramiona.

Podprowadziła do niego Saxon. - A teraz... ach, wyglądacie zachwycająco! Teraz proszę, żeby pan powiedział, co pan zarzuca mojemu sposobowi zarobkowania.

- Kiedy ja mu nic nie zarzucam - zaprzeczył prędko Bill. - Pani sposób zarobkowania jest dobry. Nawet wspaniały. Chcę tylko powiedzieć, że do nas nie pasuje. My nie doszlibyśmy do niczego tym pani sposobem. Pani miała nad nami przewagę... bogatych

znajomych, ludzi, którzy wiedzieli, że była pani bibliotekarką, a pani mąż profesorem. A poza tym... - Borykał się przez chwilę z niemożnością precyzyjnego wyrażenia myśli, którą zaczynał dopiero pojmuwać. - No cóż... postępowała pani w taki sposób; w jaki my nie umielibyśmy postępować. Jest pani wykształcona i... och, nie wiem, ale przypuszczam, że wie pani, jak postępować z ludźmi i jak się brać do interesów, o czym my, nie mamy pojęcia.

- Ależ chłopcze drogi, moglibyście się tego wszystkiego nauczyć - usiłowała go przekonać pani Mortimer.

Bill potrząsnął głową.

- Nie. Pani mnie niezupełnie zrozumiała. Weźmy to od innej strony. Powiedzmy, że to ja pakuję się z dżemem i galaretką do tej pierwszoklasnej restauracji, żeby porozmawiać z kierownikiem. No więc wystarczyłoby, żebym wszedł do jego pokoju, a już zacząłbym głupio wyglądać. Co gorsza, czułbym się głupio. A jakbym się czuł głupio, zaczęłaby mnie ręka świerzbic i zrobiłbym się napastliwym, co nie jest najlepszym sposobem załatwiania interesów. Dalej myślałbym, że on myśli, że ja jestem niezła łamaga, jeżeli handluję dżemami. Co wtedy? Zanim bym się obejrzał, już bym go zaczepił. Pomyślałbym, że on myśli, że ja sobie nadeptuję na nogę, więc bym mu prędko powiedział, że to on sobie nadeptuje na nogę. Rozumie pani? To wszystko dlatego, że już tak zostałem wychowany. Zrobiłbym po swojemu, a dżemu bym nie sprzedał.

- Jest słusność w tym, co pan mówi - podjęła żywo pani Mortimer. - Ale niech pan nie zapomina o swojej żonie. Proszę na nią spojrzeć. Potrafiłaby zrobić wrażenie na każdym człowieku interesu. Byłby aż nazbyt skory ją wysłuchać.

Bill zeszywniał, na twarzy pojawił mu się nieprzyjemny wyraz.

- Co ja znowu złego zrobiłam? - spytała ze śmiechem pani Mortimer.

- Jeszcze nie doszedłem do tego, żeby handlować ładnym wyglądem mojej żony - rzucił szorstko.

- Ma pan rację. Cały kłopot z wami, że oboje urodziliście się o pięćdziesiąt lat za późno. Jesteście Amerykanami dawnego pokroju. Nie rozumiem, jakim cudem znaleźliście się w samym środku nowoczesnych stosunków społecznych. Jesteście jak Rip Van Winkle⁹. Kto słyszał w tych naszych zdegenerowanych czasach, żeby młoda kobieta i młody mężczyzna z miasta brali na plecy tobołki i wyruszali w świat szukać ziemi? Macie w sobie ducha dawnych argonantów. Jesteście jak ziarnka piasku podobni do tych, którzy zaprzęgali

⁹ Rip Van Winkle - bohater opowiadania Washingtona Irvinga (1783-1859) pod tym samym tytułem. kolonista holenderski, który zapada w sen na dwadzieścia lat, budzi się po Rewolucji i nie rozumie zmienionego świata. Człowiek starej daty, postać dzięki Irvingowi przysłowiowa

woły i wyruszali na zachód, ku ziemiom, nad którymi zachodziło słońce. Mogę się założyć, że wasi ojcowie i matki albo wasi dziadkowie byli pionierami.

Oczy Saxon błyszcząły, w oczach Billa pojawił się znów przyjazny wyraz. Oboje skinęli głowami.

- Ja sama pochodzę z tego starego pnia - mówiła pani Mortimer z dumą. - Moja babka była jedną z nielicznych pozostałych przy życiu osób z wyprawy Donnera. Mój dziadek, Jason Whitney, opłynął Przylądek i należał do tych, którzy zatykali flagę z godłem niedźwiedzia¹⁰ w Sonoma. Był w Monterey, kiedy John Marshall znalazł złoto, w młynówce Suttera. Jedną z ulic w San Francisco nazwana jest jego, imieniem.

- Wiem która - wtrącił Bill. - Ulica Whitneya, niedaleko Rosyjskiego Wzgórza. Matka Saxon przebyła prerie.

- A dziadek i babka Billa zostali zamordowani przez Indian - dorzuciła Saxon. - Jego ojciec był wtedy malutkim dzieckiem i żył między Indianami, dopóki nie dostał się w ręce białych. Nawet nie wiedział, jak się nazywa. Został zaadoptowany przez pana Robertsa.

- Ach, drogie dzieci, jesteśmy jakby jedną rodziną! - zawołała rozpromieniona pani Mortimer. - Czuję powiew dawnych czasów, niestety, doszczętnie zapomnianych w pośpiechu naszego życia! Ja osobiście szczególnie się nimi interesuję, gdyż skatalogowałam i przeczytałam prawie wszystko, co dotyczy tamtego okresu. Pan - wskazała na Billa - jest postacią historyczną, a w każdym razie był nim pana ojciec. Pamiętam doskonale ten przypadek, jest opisany, w „Historii Banerofta”. Byli to Indianie ze szczepu Mobok. Napadli na tabor osiemnastu pionierskich wozów. Tylko pana ojciec został przy życiu... niemowlę nie zdające sobie sprawy z tego, co zaszło. Zaadoptował go przywódca białych.

- Wszystko się zgadza - rzekł Bill. - Była to sprawka Modoków. Wozy zdążyły prawdopodobnie do Oregonu. Cały transport został wycięty. A może słyszała pani coś o matce Saxon? Ona w młodości pisała poezje.

- Czy były drukowane? - Tak - odparła Saxon. - W pismach wychodzących wtedy w San José.

- Pamięta pani może któryś z wierszy?

- Trochę. Jeden, który zaczyna się w taki sposób:

Słodko jak lutni wiatru szept

Twa wdzięczna Muza śpiewa -

¹⁰ Flaga z wizerunkiem niedźwiedzia była godłem Republiki Kalifornijskiej. Republikę tę założyli w roku 1846 Amerykanie, którzy podnieśli bunt przeciw Meksykowi

Aż Kalifornii szumny step

Nutami jej rozbrzmiewa

- Brzmi to jakoś znajomo... - rzekła pani Mortimer w zamyśleniu.

- I pamiętam jeszcze jeden. Taki był początek:

I porzuciwszy tłumy uszedłem w gaj święty

Gdzie pośród drżenia liści bieleją posągi.

- I dalej było podobnie. Zupełnie go nie rozumiem. Matka pisała ten wiersz do mojego ojca...

- Poemat miłosny! - przerwała pani Mortimer. - Przypominam sobie! Chwileczkę...
Tralala, tralala, tralala, trala... stoi...

U stóp fontanny, której ametysty

Skrzą w dłoniach nimfy, nim strumień kaskady

Splynie jej z piersi w basen przezroczysty...

- Nie zapomniałam dotąd tych padających kropeł ametystów, chociaż nie pamiętam, jak się nazywała pani matka.

- Daisy... - zaczęła Saxon.

Nie! Dayelle - poprawiła pani Mortimer.

- Och, nikt jej tak nie nazywał.

- Ale tak podpisywała swoje utwory. A nazwisko?

- Daisy Wiley, Brown.

Pani Mortimer podeszła do półek i wróciła zaraz z dużym, skromnie oprawionym tomem.

- Jest to „Historia ze starych roczników” - wyjaśniła. - Między innymi są tu wszystkie dobre wiersze, zebrane ze starych roczników gazet. - Przebiegła oczami spis. - Miałam rację - powiedziała zatrzymując się nagle. - Dayelle Wiley Brown. Są tutaj... dziesięć jej poematów. „Śladem wikinga”, „Dni złote”, „Stalość”, „Caballero”, „Groby przy Little Meadow”...

- Odparliśmy tam Indian! - przerwała jej podniecona Saxon. - Matka, która była wtedy malutką dziewczynką, wyszła z za taboru i przyniosła wody dla rannych. A Indianie do niej nie strzelali. Wszyscy mówili, że to był cud. - Wyrwała się z objęć Billa i wyciągając ręce do

książki wołała: - Och, niech mi pani pokaże! Proszę, proszę! Nie znam tych wierszy. Czy mogłabym je przepisać? Nauczę się ich na pamięć. Jak pomyślę, że są to wiersze mojej matki...

Pani Mortimer musiała przetrzeć szkła; przez pół godziny siedzieli z Billem w milczeniu, podczas gdy Saxon pochłaniała utwory napisane przez matkę. W końcu zamknęła książkę, ale miejsce założyła palcem i wpatrując się w nią powtarzała w pełnym czci zdumieniu:

- A ja o tym nie wiedziałam. Nic o tym nie wiedziałam.

Ale przez te pół godziny umysł pani Mortimer pracował gorączkowo. Nieco później a przedstawiła im swój plan. Była zwolenniczką intensywnej gospodarki mlecznej, tak jak intensywnej uprawy i miała zamiar założyć hodowlę krów Jersey na pozostałych dziesięciu akrach, gdy tylko wygaśnie dzierżawa. Byłoby to oczywiście gospodarstwo wzorowe, tak jak wszystko, czego się imiała, i w związku z tym musi nająć kogoś do pomocy. Bill i Saxon są jak stworzeni do tej pracy. W przyszłym roku w lecie będzie mogła ich umieścić w domku, który zamierzała wybudować. Tymczasem postarałaby się o pracę dla Billa przez okres zimy. Ręczy mu, że znajdzie dla niego tę pracę, zna też adres domku na końcu linii tramwajowej, który mogliby wynająć. Pod jej nadzorem Bill będzie od pierwszej chwili kierować budową domu na farmie. Słowem - zarabialiby na życie przygotowując się jednocześnie do samodzielnego gospodarowania i nie tracąc okazji rozglądaliby się po okolicy.

Ale jej perswazje były daremne. W końcu Saxon wyraziła swój pogląd w następujących słowach:

- Nie możemy zatrzymywać się w pierwszym miejscu, nawet jeżeli jest tak piękne jak pani farma, przepelniona pani dobrocią i położona w tak miłej dolinie. My nawet jeszcze nie wiemy, czego właściwie chcemy. Musimy iść dalej, musimy zobaczyć najrozmaitsze okolice i najrozmaitsze sposoby życia. Wtedy się przekonamy, czego chcemy. Nie będziemy się śpieszyć z decyzją. Chcemy, bardzo chcemy wiedzieć na pewno! Zresztą... - Zawahała się. - Nie lubimy właściwie płaskich okolic. Bill wolałby mieć na swojej farmie pagórki. Ja też.

Gdy byli już gotowi do drogi, pani Mortimer chciała ofiarować Saxon „Historię ze starych roczników”. Ale Saxon potrząsnęła głową i poprosiła Billa o pieniądze.

- Na książce jest napisane, że kosztuje dwa dolary - powiedziała. - Czy zechciałaby pani kupić dla mnie jeden egzemplarz i zatrzymać go u siebie, dopóki się gdzieś nie osiedlimy? Napisałabym wtedy i pani przysłałaby mi go pocztą.

- Och, wy prawdziwi Amerykanie! - zawołała pani Mortimer z żartobliwym wyrzutem, przyjmując pieniądze. - Ale musicie mi przyrzec, że zanim się osiedlicie, będziecie

pisali do mnie od czasu do czasu.

Odprowadziła ich do drogi.

- Jesteście dzielne, kochane stworzenia - powiedziała przy pożegnaniu. - Sama chciałabym pójść z wami, z tobołkiem na plecach. Jesteście po prostu cudowni, oboje. Gdybym mogła wam być w czymś pomocna, dajcie mi znać. Musi wam się powieść, a ja chciałabym przyłożyć do tego ręki. Napiszcie mi, jak wygląda sprawa ziemi rządowej, chociaż ostrzegam was, że nie bardzo wierzę w wykonalność tego planu. Takie grunty na pewno leżą za daleko od rynków zbytu.

Uścisnęła rękę Billa. Saxon objęła i ucałowała.

- Bądź dzielna - powiedziała jej poważnie do ucha. - Jestem pewna, że zwyciężysz. Wychodzisz ze słusznych założeń. Mielście rację, że nie przyjęliście mojej propozycji. Ale pamiętajcie, że mój dom będzie dla was zawsze otwarty. Jesteście jeszcze oboje młodzi. Nie śpieszcie się. A ilekroć zatrzymacie się gdzieś na dłużej, napiszcie do mnie. Przyślę wam całe stosy raportów rolniczych i pism. Do widzenia! Życzę wam masę, masę szczęścia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wieczorem tego dnia Bill z wyrazem zamyślenia na twarzy siedział nieruchomo na brzegu łóżka w ich maleńkim pokoju w San José.

- No cóż - powiedział wreszcie, odetchnąwszy głęboko - powiem tylko, że mimo wszystko są na tym świecie naprawdę porządni ludzie. Weź taką panią Mortimer. To pierwszorzędna kobieta, prawdziwa dawna Amerykanka.

- Wytworna, wykształcona dama - podjęła Saxon - ale ani trochę się nie wstydzi pracować na roli. I to z jakim powodzeniem.

- Na dwudziestu akrach... nie, na dziesięciu! Zapłaciła za nie, wprowadziła tyle ulepszeń i zarabia na sobie, daje utrzymanie czterem robotnikom, jednej Szwedce, jej córce i własnemu siostrzeńcowi. Na dziesięciu akrach! Przecież mój ojciec nie zawracałby sobie głowy farmą mniejszą niż stusześcdziesięcioakrowa. Nawet twój brat Tom nie wyobraża sobie mniejszej farmy. A na dodatek ona jest tylko kobietą... Mieliśmy szczęście, żeśmy ją spotkali.

- To była prawdziwa przygoda! - zawołała Saxon. - Właśnie takie rzeczy przydarzają się podróżnym. Nigdy nie wiadomo, co nastąpi za chwilę. Spadło to na nas jak z nieba, kiedyśmy już byli zmęczeni i zastanawialiśmy się, ile jeszcze mil do San José. To była zupełna niespodzianka. I pani Mortimer wcale nas nie potraktowała jak włóczęgów. Ach, ten dom - taki czysty i piękny! Można by jeść na podłodze. Nawet mi się nie śniło, że bywa coś tak czarującego i ślicznego jak wewnątrz jej domu.

- Dobrze tam pachniało - dorzucił Bill.

- A właśnie. To jest to, co w pismach kobiecych nazywają atmosferą. Nie bardzo dotąd rozumiałam, co to znaczy. Dom pani Mortimer ma uroczą, śliczną atmosferę...

- Jak twoja bielizna - zauważył Bill.

- A to jest następny krok po tym, kiedy się utrzymuje ciało czyste i miłe, i piękne. Starać się, żeby dom był czysty, miły i piękny.

- Tylko że to się nie da zrobić w domu wynajmowanym, Saxon. Taki dom trzeba mieć na własność. Gospodarze nie budują tego rodzaju domów. Swoją drogą jedna rzecz od razu rzuciła się w oczy: ten dom nie kosztował dużo. Tu nie chodzi o pieniądze. Ważny jest sposób wykonania. Drzewo było sobie zwyczajnym drzewem, jakie można kupić w każdym składzie. Nasz dom na ulicy Sosnowej jest zrobiony z takiego samego drzewa, Tylko że dom pani Mortimer jest wybudowany jakoś inaczej. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale wiesz, o co

mi chodzi.

Odtwarzając w myślach wnętrze małego bungalowu, który dopiero co opuścili, Saxon powiedziała z roztargnieniem: - Właśnie to... ważny jest sposób.

Nazajutrz wczesnym rankiem szli przez przedmieścia San José szukając drogi do San Juan i Monterey. Saxon na dobre okulała. Pęcherz pękł i skóra na pięcie coraz bardziej się jątrzyła. Bill przypomniał sobie słowa ojca o konieczności dbania o nogi, wszedł więc do rzeźnika i kupił łoju baraniego za pięć centów.

- To najlepsze lekarstwo - powiedział do Saxon. - Nóżki trzymać czysto i dobrze smarować tłuszczem. Jak tylko wyjdziemy z miasta, zrobimy wszystko jak należy. A swoją drogą przez dzień albo dwa możemy się nie śpieszyć. Byłoby najlepiej, żebyśmy dostał gdzieś pracę, bo mogłabyś wtedy odpocząć przez kilka dni. Będę strzygł oczami na lewo i prawo.

Tuż za miastem zostawił Saxon na drodze, sam zaś skręcił w długi podjazd prowadzący na dużą farmę. Wrócił rozpromieniony.

- Poszło jak z płatka! - wołał zbliżając się do niej. - Przejdziemy teraz do tej kępy drzew koło strumienia i rozbijemy obóz. Zaczynam pracę jutro rano, dwa dolary na dzień, własne wyżywienie. Z życiem na miejscu dostawałbym półtora dolara. Powiedziałem mu, że wolę bez życia, bo mam wszystko ze sobą. Pogoda jest piękna, więc posiedzimy kilka dni, dopóki nie zgoi ci się noga. Chodź. Założymy porządny obóz.

- Ale jak się to stało, żeś otrzymał tę pracę? - spytała Saxon, gdy rozglądali się za odpowiednim miejscem.

- Poczekaj, aż się urządzimy. Wszystko ci wtedy opowiem. To był prawdziwy cud, fuks.

Dopiero gdy posłanie zostało przygotowane, ognisko rozpalone i nastawiony garnczek z fasolą, Bill rzucił na ziemię ostatnie naręcze drzewa i zaczął swą opowieść.

- Więc po pierwsze, Benson to nie żaden staroświecki fajtlapa. Z wyglądu wcale byś nie poznała, że to farmer. Jest nowoczesny, twardy jak żelazo, a mówi i zachowuje się jak biznesmen. Domyśliłem się tego, jak tylko spojrzałem na farmę, jeszcze zanim go zobaczyłem. A jemu wystarczyło piętnaście sekund, żeby się zorientować, kim jestem.

„Umiesz pan orać?” - spytał.

„Pewnie, że umiem” - odpowiedziałem.

„A na koniach się pan znasz?”

„Urodziłem się w stajni” - ja mu na to.

I właśnie wtedy... Pamiętasz ten wóz pełen sprzętu zaprzężony w cztery konie, który parę kroków za mną skręcał w podjazd? Właśnie wtedy wóz podjechał.

„A jak z czwórką koni?” - pyta Benson, niby obojętnie.

„Czwórka to dla mnie drobiazg. Mogę ją zaprząć do pług, do maszyny do szycia albo do karuzeli”.

„W takim razie skacz pan na wóz i bierz lejce - powiada Benson prędko i ostro, nie tracąc ani sekundy. - Widzisz pan tę szopę? Objedź stodołę od prawej i zawróć do wyładowania”.

I w tym miejscu zaraz muszę ci powiedzieć, że Benson żądał nie lada roboty. Widziałem po koleinach, że wszystkie wozy objeżdżają stodołę od lewej. Na drodze, którą on mi kazał pojechać, było za ciasno, żeby mogło być przyjemnie - podwójny skręt, jak litera S, pomiędzy narożnikiem padoku i dookoła węgła stodoły. A żeby na tym ciasnym przejściu było jeszcze ciaśniej, leżały na drodze kupy gnoju akurat wyrzuconego ze stodoły i nie odgarniętego na bok. Ale nie mrugnąłem nawet okiem. Woźnica dał mi lejce i widziałem, jak się uśmiecha, pewien, że tylko narobię bałaganu. Zakład, że sam by tego nie potrafił zrobić. Ale dalej nie puszczam farby - i jazda! A przecież nie znałem nawet koni! Powiadam ci, Saxon - żebyś ty mnie widziała, jak pchnąłem przewodników prosto na kupę gnoju, tak że prawy aż się otarł o ścianę stodoły, a lewy o sześć cali minął narożny słupek paddoku! Ale to był jedyny sposób. Te konie to prawdziwe cuda. Przewodniki zwołniały i o mało co nie usiadły na orczykach, kiedy ściągnąłem lejce dyszlowym koniom; szarpnąłem za hamulec i zatrzymałem się dokładnie na wyznaczonym miejscu.

„Nadajesz mi się - mówi Benson. - Dobrześ to zrobił”.

„Phi, wielkie rzeczy - odpowiadam, obojętny jak wszyscy diabli. - Niech mi pan da jakąś prawdziwą robotę”.

Uśmiechnął się tylko. Zrozumiał.

„Naprawdę dobrześ to zrobił. A ja byle komu nie powierzam moich koni. Włóczenie się po drogach to dla pana nie bardzo odpowiednie zajęcie. Musiałeś być porządny facet, tylkoś się zmarnował. Mimo to możesz pan orać moimi końmi. Przyjdź do pracy jutro rano”.

Z czego wynika, że wcale nie był taki mądry. Przecież mu nie pokazałem, że umiem orać.

Gdy Saxon wyłożyła na talerze fasolę, Bill zaś nalał kawę, Saxon stała przez chwilę nieruchomo przyglądając się posiłkowi rozłożonemu na pledach: blaszanka z cukrem, puszka mleka skondensowanego, pokrajana w plastry peklowana wołowina, zielona sałata z plasterkami pomidorów, kromki świeżej bułki, dymiące talerze fasoli i kubki kawy.

- Jaka różnica w porównaniu z wczorajszą kolacją! - zawołała klaszcząc w ręce. - To jest naprawdę jak przygoda z książki. Och, jak mi się przypomniał ten chłopiec, z którym

łowila ryby! Pomyśl o pięknym domu i pięknie nakrytym stole wczoraj - i spójrz na to! Przecież moglibyśmy przeżyć tysiąc lat w Oakland i nawet by nam nie przyszło do głowy, że istnieje taka kobieta, jak pani Mortimer, albo taki dom, jak jej bungalow. I pamiętaj, Bill, że to dopiero początek.

Bill przepracował trzy dni i chociaż przekonywał Saxon, że wieździe mu się całkiem nieźle, przyznawał jednak, że w orce jest coś więcej, niż przypuszczał. Przekonawszy się, że polubił tę pracę, Saxon odczuła ciche zadowolenie.

- Nigdy bym nie myślał, że mi się oranie spodoba... tak specjalnie - powiedział. - Ale to pierwszorzędna praca. I doskonała na mięśnie nóg. Przy powożeniu nogi prawie wcale nie ćwiczę. Gdybym jeszcze kiedykolwiek trenował do walki na ringu, pochodziłbym trochę za pługiem. I czy ty wiesz, ziemia ma wspaniały zapach, kiedy ją się tak przewraca i przewraca. Mój Boże - taki zapach, że można by go zjeść! I cały dzień tak pachnie jakoś świeżo i czysto, i apetycznie. A konie Bensona to prawdziwe cuda. Znają się na swojej robocie jak człowiek. Jedno jest pewne. Benson nie ma na farmie ani jednej cherlawej szkapy.

Ostatniego dnia pracy Billa niebo zaciągnęło się chmurami, powietrze stało się wilgotne, zaczął dąć silny wiatr z południowego wschodu i wszystkie znaki na ziemi i niebie zapowiadały pierwszy zimowy deszcz. Bill wrócił wieczorem z niewielką płachtą brezentu, którą udało mu się pożyczyć. Rozpiął ją na patykach nad posłaniem, tak by ich chroniła od spodziewanego deszczu. Kilkakrotnie skarżył się na ból w małym palcu lewej ręki. Dokuczał mu przez cały dzień, a właściwie nieznacznie już od kilku dni; miejsce było tak wrażliwe jak wrzód. Prawdopodobnie była to drzazga, tylko że Bill nie mógł jej znaleźć.

Poczynił jeszcze inne przygotowania na wypadek burzy. Pod posłanie wsunął kilka starych desek z nie używanej, rozpadającej się stodoły na przeciwległym brzegu strumienia. Deski przykrył grubą warstwą suchych liści zamiast materaca. Na zakończenie umocnił brezent kawałkami sznura i drutu.

Gdy padły pierwsze krople deszczu, Saxon była zachwycona. Bill okazał niewielkie zainteresowanie. Powiedział, że za bardzo boli go palec. Ani on, ani Saxon nie mogli się zorientować, co to może być takiego, oboje jednak wzruszyli tylko ramionami na myśl o zakażeniu.

- To może być zastrzał - powiedziała Saxon.

- Co to jest?

- Nie wiem. Pamiętam tylko, że żona Cady'ego miała kiedyś zastrzał, ale byłam wtedy bardzo mała. Też w małym palcu. Zdaje się, że przykładła kataplazmy i smarowała jakąś maścią. Strasznie ją bolało, a skończyło się tym, że zeszedł jej paznokieć. Potem palec prędko

wydobrzała i paznokcie odrósł. Może bym ci zrobiła gorący kataplazm z chleba?

Bill nie chciał, dowodząc, że do rana samo przejdzie. Saxon była zmartwiona; zapadając w drzemkę wiedziała, że on leży z oczyma szeroko otwartymi. W kilka minut później, zbudzona przez wściekły podmuch wiatru i bębnienie deszczu w brezent nad głowami, usłyszała cichy jęk Billa. Oparła się na łokciu i wolną ręką, w znany sobie sposób, zaczęła mu masować czoło i miejsca dokoła oczu, usypiając go tym kojącym zabiegiem.

Znowu zapadła w sen. I znowu się obudziła, ale tym razem nie burza, tylko Bill wyrwał ją ze snu. Nie mogła nic dojrzeć w ciemności, ale ręką wybadała jego dziwną pozę. Wysunął się spod pledów, klęczał z czołem opartym o deski, plecami wstrząsał mu dreszcz bólu, który starał się ukryć.

- To paskudztwo pulsuje na dodatek - odparł, gdy do niego przemówiła. - Ból gorszy, niż gdyby bolało tysiąc zębów. Ale to nic... żeby tylko wiatr nie zerwał brezentu. Pomyśl, co nasi rodzice musieli znosić - wyrzucił z siebie między jękami. - Ojciec był w górach i niedźwiedź pokieroszował myśliwego, który mu towarzyszył... dosłownie przeorał mu całe ciało do kości. A zbrakło im już jedzenia i musieli wracać. Ojciec trzy razy pakował go na konia, ale on dwa razy mdlał i spadał na ziemię. Trzeba go było przywiązać do siodła. Trwało to pięć tygodni, ale facet dał radę. I był taki myśliwy, Jack Quigley. Strzelba mu wybuchła i rozszarpała całą prawą rękę, a szczeniak legawiec, którego miał z sobą, zeżarł trzy palce. Znajdował się zupełnie sam na bagniskach...

Ale Saxon nie poznała dalszych przygód Jacka Quigleya. Wściekły podmuch wiatru zerwał sznury umacniające podpórki, przewrócił drewniane rusztowanie i na chwilę zagrzebał ich pod brezentem. Już w następnej sekundzie brezent, podpórki i sznury zmiecione zostały w ciemność, a Saxon i Bill znaleźli się w strumieniach ulewnego deszczu.

- Tylko jeden ratunek - wrzasnęła jej do ucha. - Zbieramy rzeczy i biegniemy do stodoły.

Wśród ciemności i ulewnego deszczu dwa razy musieli odbywać po kamieniach drogę przez płytki strumień, zanurzając się do kolan w wodzie. Dach starej stodoły przeciekał jak sito, znaleźli jednak suche miejsce, na którym rozłożyli bynajmniej nie suche poślanie. Saxon serce bolało na widok udręki Billa. Godzina minęła, zanim zdołała go na tyle uspokoić, że zapadł w drzemkę, ale tylko bezustannym masażem czoła mogła go uchronić przed przebudzeniem. Choć sama dygotała z zimna i czuła się źle, rada była nie spać całą noc, wiedząc, że oszczędza mu świadomości najgorszego bólu.

W momencie gdy pomyślała, że jest już chyba po północy, zdarzyło się coś niespodziewanego. W otwartych drzwiach błysnęło światło latarki elektrycznej i jak maleńki

reflektor obmiatało wewnątrz stodoły, dopóki nie zatrzymało się na nich. Od strony światła zabrzmiał szorstki głos:

- A! Mam was! Wynosić się stąd!

Bill usiadł na posłaniu oślepiony blaskiem. Głos za latarką zbliżał się powtarzając wezwanie, aby się stąd wynieśli.

- Co to? - spytał Bill.

- To ja - brzmiała odpowiedź. - Dobrze wiesz kto.

Głos znajdował się teraz tuż obok nich, w odległości najwyżej jarda, ale nadal nic nie widzieli, gdyż oślepiało ich światło; gasło ono często na sekundę, gdy ręka mężczyzny omdlewała od bezustannego naciskania guzika.

- No, dalej! Pośpieszcie się i jazda! - ryknął głos. - Zwijajcie derki i za mną.

- Kim pan u diabła jesteście? - spytał Bill.

- Jestem konstabl. Chodźcie.

- Po coś pan tu przyszedł?

- To chyba jasne. Po was oboje.

- Ale po co?

- Nie po co, tylko za co. Za włóczegostwo. A teraz zbierajcie się migiem. Ani myślę sterczeć tu całą noc.

- Sam się pan zbieraj migiem - poradził Bill. - Nie jestem włóczęgą. Jestem robotnikiem.

- Może jesteście, a może nie jesteście - drwił konstabl. - Opowiesz to wszystko jutro rano sędziemu Neusbaumerowi.

- Ty... ty śmierdzący kundlu... wydaje ci się, że mnie zaaresztujesz? - zaczął Bill. - Obróć latarkę na siebie. Chcę zobaczyć twoją wstrętną gębę. Masz zamiar mnie zaaresztować? Mnie? Gdybym miał tylko ochotę, wstałbym i sprząłbym cię na kwaśne jabłko, ty...

- Daj spokój, Bill! - prosiła Saxon. - Nie rób awantur. To by się tylko skończyło więzieniem.

- A właśnie - przytaknął konstabl. - Słuchaj, co ci mówi twoja kobieta.

- To jest moja żona i radzę ci się wyrażać o niej odpowiednio - ostrzegł Bill. - A teraz wynoś się stąd, jeżeli nie chcesz, żeby cię spotkało coś złego.

- Znam się na takich gagatkach - warknął konstabl. - I mam ze sobą mojego małego pomocnika. Patrz!

Snop światła przesunął się. Bill i Saxon zobaczyli sterczącą ku nim z ciemności rękę z

rewolwerem, upiorną w jaskrawym blasku. Ta ręka zdawała się czymś oddzielnym, samoistnym, nie mającym powiązań cielesnych; ukazywała się i znikła znów jak zjawy, gdy słabł nacisk kciuka na wyłącznik latarki. W jednej sekundzie spoglądali na rękę z rewolwerem, w drugiej wpatrywali się w ciemność, potem znów widzieli przed sobą rękę i rewolwer.

- Łatwo się domyślić, że teraz ze mną pójdziecie - powiedział konstabl złośliwie

Domyślisz się łatwo, ale czegoś innego - zaczął Bill.

W tej samej chwili światło zgasło. Usłyszeli szybki ruch policjanta i jednocześnie stuk latarki o klepisko. Obaj z Billeem rzucili się jej szukać po omacku, ale Bill był pierwszy. Skierował snop światła na tamtego. Zobaczyli mężczyznę z siwą brodą, ubranego w ociekający wodą ceratowy płaszcz. Był to człowiek stary i przypominał Saxon weteranów, jakich widywała na wielkiej defiladzie wojskowej w dniu ustrajania grobów żołnierzy poległych w wojnie domowej.

- Oddaj mi tę latarkę! - ryknął.

Bill odmówił pogardliwie.

- Przedziurawię cię na wylot! Wymierzył rewolwer w Billa, którego palec na wyłączniku latarki nawet nie drgnął. Widzieli wyraźnie błyszczące szpice kul w komorach bębena.

- Ach, ty śmierzący stary tchórz! Przecież nie starczyłoby ci nawet odwagi, żeby strzelać do kwaśnych jabłek! - brzmiała odpowiedź Billa. - Znam się na takich jak ty... odważny niby lew, kiedy idzie o wsadzenie do ciupy biednych, wynędzniałych włóczęgów, ale niech tylko spotka prawdziwego mężczyznę, zaczyna skamleć jak tchórzliwy kundys. Pociągnij cyngiel! Och, ty zastrachany zgniłku, przecież ty byś podkulił ogon pod siebie i w nogi, gdybym krzyknął buuu!

Ilustrując słowa czynem, Bill wyrzucił z siebie potężne BUUU! Saxon zachichotała mimowolnie, widząc, jak konstabl kuli się ze strachu.

- Po raz ostatni cię ostrzegam - rzucił ów przez zaciśnięte zęby. - Oddaj latarkę i chodź ze mną po dobremu, bo jak nie, na miejscu cię ubiję.

Saxon bała się o Billa, ale był to tylko lęk połowiczny. Ufała, że policjant nie ośmieli się strzelić, i czuła dobrze znany, przenikający ją dreszcz zachwytu dla odwagi Billa. Nie mogła dojrzeć jego twarzy, wiedziała jednak z pewnością, że jest beznamiętna i pozbawiona wszelkiego wyrazu - w ów przerażający sposób beznamiętna, jak wtedy, kiedy walczył z trzema Irlandczykami.

- Dla mnie zabijanie to nie nowina - groził konstabl. - Jestem dawnym żołnierzem i

widoku krwi się nie boję...

- Powinien się pan wstydzić - przerwała Saxon. - Chce pan zhańbić i skrzywdzić spokojnych ludzi, którzy nie zrobili nic złego.

- Spaliście tutaj, a to przestępstwo - dowodził. - Ta stodoła do was nie należy. Naruszyliście prawo, a ludzie naruszający prawo idą do więzienia, tak jak wy pójdziecie. Niejednego już trampa zamknąłem na trzydzieści dni za spanie w tej stodole. To prawdziwa pułapka na włóczęgów. Dobrze przyjrzałem się waszym twarzom i wiem, co z was za ptaszki.

- Zwrócił się do Billa. - Dość mam tej zabawy. Poddajecie się i idziecie ze mną po dobrej woli?

- Powiem ci dwie rzeczy, stary wałachu - odparł Bill. - Po pierwsze, nie wsadzisz nas do ciupy. Po drugie, prześpimy się do rana w tej stodole.

- Oddaj mi latarkę - powiedział konstabl stanowczo.

- A pójdiesz stąd, kundlu! Nadepnąłeś sobie na nogę. Zmykaj. już cię nie ma. A latarkę znajdziesz na dworze w błocie.

Bill przesunął snop światła na drzwi, a potem zamachnął się latarką i cisnął ją jak piłką w baseballu. Ogarnęła ich teraz nieprzenikniona ciemność; słyszeli, jak napastnik zgrzyta zębami w bezsilnej złości.

- Spróbuj strzelić, a zobaczysz, co się z tobą stanie - rzekł groźnie Bill.

Saxon namacała w ciemności rękę Billa i ucisnęła ją w przypiływie dumy. Konstabl mamrotał jakieś pogrożki.

- A to co znowu? - spytał Bill ostro. - Jeszcze tu? Słuchaj dobrze, ciamajdo. Dość długo znosiłem twoje małpowanie. Wynoś się, bo jak nie, siłą cię wyrzucę. A jeżeli spróbujesz się tu znowu pytać, dostaniesz za swoje. Jazda!

Wiatr wył tak głośno, że nic nie słyszeli. Bill skręcił papierosa. Gdy go zapalał, zobaczyli, że stodoła jest pusta. Bill zachichotał.

- Wiesz, z tej wściekłości zupełnie zapomniałem o moim zastrzale. Teraz znowu zaczyna strzykać.

Saxon namówiła go, żeby się położył i poddał jej uśmierzającym zabiegom.

- Nie ma sensu ruszać się przed ranem - powiedziała. - Jak tylko zacznie świtać, wstaniemy, pojedziemy- tramwajem do San José, wynajmiemy pokój, zjemy gorące śniadanie i pójdziemy do apteki po kataplazm czy inne potrzebne lekarstwo.

- Ale Benson... - protestował Bill.

- Zatelefonuję do niego z miasta. To kosztuje tylko pięć centów. Widziałam, że ma druty telefoniczne. Zresztą nawet gdyby cię palec nie bolał, nie mógłbyś orać z powodu

deszczu. Będziemy się razem kurowali. Zanim wróci pogoda, moja pięta wydobrzeje i ruszymy w dalszą drogę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W poniedziałek wczesnym rankiem, w trzy dni później, Saxon i Bill dojechali tramwajem do końcowego przystanku i po raz wtóry rozpoczęli drogę do San Juan. Kałuże stały na drodze, ale z błękitnego nieba świeciło jasne słońce i wszędzie dokoła widać było na ziemi pierwszą zapowiedź pączkującej zieleni. Przed farmą Bensona Saxon poczekała, a tymczasem Bill poszedł odebrać swoje sześć dolarów za trzydniową orkę.

- Aż warczał z wściekłości, że odchodzę - powiedział Bill wróciwszy do Saxon - Początkowo nie chciał nawet słuchać. Obiecywał, że za parę dni da mi pracę, i mówił, że za mało jest dobrych woźniców na czwórkę koni, żeby mnie miał tak łatwo z rąk wypuszczać.

- A coś ty mu odpowiedział?

Och, że muszę maszerować dalej. A jak mnie zaczął przekonywać, powiedziałem, że jest ze mną żona, która aż się rwie do drogi.

- Przecież ty też chciałeś iść, Bill. - Pewnie, staruszek. Ale nie tak bardzo jak ty. Niech to licho, spodobało mi się to oranie. Nie będę się już teraz bał pytać o pracę przy pługu. Złapałem dryg i głowę daję, że mógłbym iść w zawody z większością oraczy.

W godzinę później, gdy mieli już za sobą dobre trzy mile, usłyszeli huk motoru samochodowego i zeszli na brzeg drogi. Ale samochód nie wyminął ich, tylko zatrzymał się tuż obok. W środku był Benson, siedział sam przy kierownicy.

- Dokąd idziecie? - zwrócił się do Billa, obrzuciwszy Saxon badawczym spojrzeniem.

- Do Monterey... jeżeli się pan tak daleko wybiera - odparł Bill ze śmiechem.

- Mogę was podwieźć do Watsonville. Zaoszczędzi to wam dobre kilka dni drogi pieszo z tymi tobołami. Wejdźcie. - Zwrócił się wprost do Saxon: - Chce pani jechać z przodu?

Saxon spojrzała na Billa.

- Naturalnie - zgodził się. - Na przodzie jest przyjemniej. Moja żona, proszę pana... Saxon, to pan Benson.

- Ho, ho, to pani porwała mi męża od pługa - rzucił Benson żartobliwe oskarżenie, owijając jej nogi pledami.

Saxon wzięła na siebie tę winę i natychmiast z wielką uwagą zaczęła się przyglądać, jak Benson uruchamia samochód.

- Biedny byłby ze mnie farmer, gdybym miał tylko tyle ziemi, ileś pan zorał przed przyjściem do mnie - rzekł Benson przez ramię do Billa, z żartobliwym i błyskiem w oczach.

- Tylko jeden jedyny raz szedłem przedtem za pługiem - wyznał Bill. - Ale człowiek musi kiedyś zacząć się uczyć.

- Po dwa dolary za dniówkę nauki?

- Jeżeli znajdzie frajera, który mu je płaci - odparł Bill uprzejmie. Benson wybuchnął serdecznym śmiechem.

- Trzeba przyznać, że uczysz się pan szybko - pochwalił Benson. - Zaraz zobaczyłem, że pan i pług znacie się tylko z widzenia. Ale dobrze wzięłeś się pan do rzeczy. Nawet co dziesiąty robotnik, jakiego mogę nająć na drodze, nie radzi sobie tak dobrze z orką, jak pan na trzeci dzień pracy. Ale pana największa zaleta, to że znasz się na koniach. Był to w połowie żart, kiedy powiedziałem panu tamtego ranka, żebyś wziął lejce od mojego woźnicy. Jesteś pan wyszkolony i urodzony koniarz.

- Bardzo łagodnie obchodzi się z końmi - wtrąciła Saxon.

- To nie tylko o to idzie - podjął Benson. - Pani mąż ma umiejętne podejście do koni. Trudno to wytłumaczyć. Ale właśnie to jest ważne - podejście. Prawie instynkt. Łagodność jest konieczna. Ale umiejętność trzymania w garści jeszcze konieczniejsza. Pani mąż trzyma konie w garści. Niech pani weźmie tę próbę, którą mu kazałem zrobić z czwórką i ładownym wozem. Było to bardzo skomplikowane i ciężkie. Łagodnością nie dałby rady. Trzeba było panowania. Poznałem to, jak tylko ruszył. Nie wahał się ani. przez chwilę. Konie też się nie wahały. Wyczuły go od razu. Po prostu wiedziały, że pewne zadanie musi być wykonane i że to one muszą je wykonać. Nie bały się, wiedziały jednak, że na koźle siedzi ich pan. Kiedy wziął do ręki lejce, wziął w ręce konie. I utrzymał je w garści. Ruszył nimi i zajechał, gdzie chciał - prowadził je na górę i w dół, w lewo i w prawo, kazał im ciągnąć mocno i zwalniać, i hamować, a one wiedziały, że wszystko skończy się dobrze. Och, konie mogą nie mieć rozumu, ale nie są głupie. Wiedzą, kiedy właściwy człowiek trzyma lejce w ręku... chociaż zupełnie nie potrafię zrozumieć, jakim sposobem orientują się tak prędko.

Benson umilkł, trochę rozgniewany własną gadatliwością, i spojrzał bystro na Saxon, czy aby śledziła tok rozmowy. Wyraz jej twarzy i oczu zadowolił go, dodał więc ze śmiechem:

- Konie to moja mania. Niech się pani nie wydaje inaczej, ponieważ jadę tą cuchnącą maszyną. Wolałbym powozić teraz parą szybkich koników. Ale straciłbym za dużo czasu, a co gorsza, za bardzo bym się o nie przez całą drogę niepokoił. A to paskudztwo... no cóż, nie ma toto ani nerwów, ani ścięgien, ani delikatnych stawów. Ot, niech się męczą!

Pędzili, przebywając milę za milą i niebawem Saxon zagłębiła się w poważną rozmowę z gospodarzem. Zorientowała się natychmiast, że ma przed sobą typ nowoczesnego

amerykańskiego farmera. Dzięki wiadomościom, które dotąd zebrała, mogła wyciągnąć korzyści z tej rozmowy; zdumiała się też niepomniernie, że tak wiele mogła rozumieć ze słów Bensaona. Na postawione wprost pytanie opowiedziała mu o swoich i Billa planach; napomknęła tylko w kilku słowach o życiu w Oakland i rozwodziła się dłużej nad planami przyszłości.

Gdy mijali szkółkę drzew na Morgan Hill, Saxon prawie jak we śnie dowiedziała się od Bensaona, że przebyli już dwadzieścia mil i uświadomiła sobie, że jest to więcej; niż zamierzała przejść w tym dniu. A samochód wciąż pędził naprzód, wciąż pożerał przestrzeń przed sobą.

- Zdziwiło mnie to, że taki świetny człowiek jak pani mąż jest zwykłym trampem - rzekł Benson.

- Wiem - uśmiechnęła się. - Powiedział pan nawet, że musi być z niego porządny człowiek, który zeszedł na złą drogę.

- Widzi pani, nie wiedziałem wtedy o pani istnieniu. Teraz rozumiem. Chociaż muszę przyznać, że w obecnych czasach jest to coś niezwykłego, żeby para młodych jak wy brała tobołki na plecy i wyruszała na poszukiwanie ziemi. Aha, powiem pani coś, bo potem mogę zapomnieć. - Zwrócił się do Billa: - Mówię właśnie pańskiej żonie, że czeka na pana praca na moim ranczo przez okrągły rok. I mam trzypokojowy przyzwoity domek, w którym moglibyście się zagospodarować. Nie zapomnijcie o tym.

Między innymi Saxon dowiedziała się ze zdziwieniem, że Benson skończył wydział rolny na Uniwersytecie Kalifornijskim; dotąd nawet nie wiedziała, że taka gałąź wiedzy istnieje. Jeśli idzie o ziemię rządową, Benson nie robił jej wielkich nadziei.

- Jedyna ziemia rządowa, jaka jeszcze została - wyjaśniał - jest z tych czy innych względów niewarta zachodu. Jeżeli tam, gdzie się wybieracie, ziemia sama jest żyzna, rynki zbytu okażą się niedostępne. Nie słyszałem, żeby przechodziła tamtędy linia kolejowa.

Poczekajcie, aż zjedziemy w dolinę Pajaro - powiedział, gdy minawszy Gilroy pędzili w kierunku Sargent. - Pokażę wam, co można zrobić z ziemią - i to nie absolwenci krowich uniwersytetów, tylko ciemni, nieuczni cudzoziemcy, których wspaniali i wyniośli Amerykanie zawsze mieli w pogardzie. Pokażę wam. Jest to jeden z ciekawszych i wspanialszych widoków w całym stanie.

W Sargent zostawił ich na kilka minut w samochodzie, sam zaś poszedł załatwić interesy.

- Fiu, fiu! To bije na głowę jazdę na własnych nogach - powiedział Bill. - Dzień jest jeszcze młody i kiedy Benson nas wysadzi, będziemy mieli siłę przejść kilka mil piechotą.

Ale swoją drogą, jak już się osiedlimy i zarobimy coś niecoś, będę się dalej trzymał koni. Dla mnie tam konie wystarczą.

- Samochód jest dobry, jak trzeba się gdzieś śpieszyć - przyznała Saxon. - Naturalnie, jeżeli będziemy kiedyś bardzo, bardzo bogaci...

- Wiesz co, Saxon? - przerwał jej Bill, którego uderzyła nagle pewna myśl. - Zrozumiałem jedno. Nie boję się już, że nie dostanę pracy na wsi. Bo początkowo się bałem, chociaż ci tego nie mówiłem. Umierałem ze strachu, kiedyśmy wyszli za roгатki San Leandro. A tu masz - dwa miejsca czekają, u pani Monimer i u Bersona. I to stała praca. Tak, człowiek może się nie bać o pracę na wsi.

- Ach, niedobrze to wyraziłeś - poprawiła Saxon z małym, pełnym dumy uśmiechem. - Wartościowy człowiek może się nie bać o pracę na wsi. Farmerzy nie najmują ludzi z litości.

- Pewnie. Nie prowadzą przecież farm dla sportu - rzekł wyszczerzając zęby w uśmiechu.

- A na ciebie dosłownie się rzucają. Ponieważ jesteś wartościowy człowiek. Zauważyliby to, gdyby byli ślepi. Weź choćby tych trampów szukających pracy, których spotkaliśmy na drodze. Ani jeden nie mógł się z tobą równać. Przyglądałam im się. Wszyscy byli jacyś słabi - mieli słabe ciała i nie bardzo dobrze w głowie.

- To prawda, dość nędzna z nich hałastrą - przyznał Bill skromnie.

- Nie jest to najlepsza pora roku na oglądanie doliny Pajaro - powiedział Benson, gdy Sargent zostało, już daleko za nimi. - Ale tak czy siak, zawsze warto ją zobaczyć. Pomyślcie tylko - dwanaście tysięcy akrów samych jabłek! Wiecie, jak nazywają teraz dolinę Pajaro? Nowa Dalmacja. Nas stamtąd wypierają. My, Jankesi, wyobrażaliśmy sobie, że jesteśmy przedsiębiorczy. Cóż... Dalmatyńczycy przyszli i dowiedli, że są dużo bardziej przedsiębiorczy. Byli nędznymi imigrantami, biednymi jak myszy kościelne. Początkowo pracowali na dniówki przy zbiorze owoców. Potem, na bardzo małą skalę, zaczęli kupować jabłka na drzewach. Im więcej zarabiali pieniędzy, tym większe transakcje zawierali. Wkrótce zaczęli brać sady w długoletnią dzierżawę. A teraz wzięli się do kupowania ziemi. Niewiele wody upłynie, nim cała dolina będzie do nich należała i zniknie stąd ostatni Amerykanin.

Och, nasi przedsiębiorczy Jankesi! Czy wy wiecie, że ci pierwsi obszarpani i wynędziali Słowianie w swoich transakcjach z nami mieli tylko dwa lub trzy procent dochodu? Teraz zadowolają się stoma procentami zysku. Uważają to za nieszczęście, jeżeli zysk spadnie do dwudziestu pięciu lub pięćdziesięciu procent.

- To mi zupełnie przypomina San Leonardo - wtrąciła Saxon. - Pierwotni właściciele

ziemi prawie wszyscy już odeszli. Ważna jest intensywna uprawa. - Podobało mi się to zdanie. - Nie idzie o to, żeby mieć dużo akrów, tylko o plon z jednego akra.

- Tak i jeszcze o coś więcej - odparł Benson kiwając głową. - Wielu z nich, jak Luke Skuricz, prowadzą gospodarkę na wielką skalę. Kilku ma już z majątku ćwierć miliona dolarów. Mógłbym wyliczyć dziesięciu, którzy mają przeciętnie po sto pięćdziesiąt tysięcy każdy. Mają umiejętne podejście do jabłek. To jest prawie talent. Znają drzewa w sposób bardzo podobny do tego, w jaki pani mąż zna konie. Każde drzewo ma dla nich jakby własną osobowość, tak jak dla mnie ma każdy koń. Znają każde drzewo, jego całą historię, wszystkie przypadki, które mu się wydarzyły. Trzymają palec na pulsie. Mogą bez mała powiedzieć, czy dzisiaj czuje się tak samo dobrze jak wczoraj. A jeżeli czuje się gorzej, wiedzą dlaczego i zaczynają je ratować. Mogą spojrzeć na drzewo jeszcze kwitnące i powiedzieć, ile skrzyń jabłek z niego zbiorą. Nie tylko to - będą wiedzieli, jak drzewa obrodzą, jaka będzie wielkość jabłek i tak dalej. Znają każde jabłko z osobna, zrywają je troskliwie, z miłością i ekspediują je z tą samą troskliwością, tak że kiedy przybywa na rynek, nie jest uszkodzone ani nadgniłe i osiąga najwyższą cenę.

Tak, to jest coś więcej niż intensywna uprawa. Ci Słowianie znad Adriatyku są doskonałymi biznesmenami. Nie tylko potrafią hodować jabłka, ale potrafią je też sprzedać. Nie ma zbytu? To co z tego? Trzeba stworzyć rynek zbytu. W ten sposób biorą się do rzeczy, podczas gdy nasi Amerykanie pozwalają, aby zbiór gnął pod drzewami. Na przykład taki Piotr Mengol. Co roku jeździ do Anglii i bierze ze sobą sto wagonów żółtych jabłek newtońskich. Ach, właśnie teraz Dalmatyńczycy pokazują swoje jabłka na południowoafrykańskich rynkach i zgarniają pieniądze.

- A co oni robią z tymi wszystkimi pieniędzmi?

- Wykupują naturalnie dolinę Pajaro z rąk Amerykanów. Już to zaczęli robić.

- A co potem? - dopytywała się Saxon.

Rzucił jej badawcze spojrzenie.

- Potem zaczną wykupywać z rąk Amerykanów jakąś inną dolinę. A Amerykanie wydadzą pieniądze otrzymane za ziemię i w drugim pokoleniu zaczną gnąć w miastach tak jak wy byliście gnili, gdybyście tam zostali.

Saxon nie mogła opanować dreszczu, który wstrząsnął jej ciałem... Tak jak Mary, jak Bert. Jak Tom i wszyscy inni.

- O, to jest wspaniały kraj - ciągnął Benson. - Tylko że my nie jesteśmy wspaniałym narodem. Kipling miał rację. Wyparto nas z domu, siedzimy już w przedsiönku. A co najgorsze, to że nie ma żadnego powodu, żebyśmy nie umieli postępować lepiej. Uczymy

nowych metod w wyższych szkołach rolniczych, na stacjach eksperymentalnych, na wystawach objazdowych. Ale ludzie nie chcą się uczyć, więc imigrant, który ma za sobą twardą szkołę życia, wypiera ich z ziemi. Po skończeniu uniwersytetu, zanim umarł ojciec - należał do starej szkoły i drwił z moich, jak je nazywał, teoryjek - podróżowałem przez dwa lata. Chciałem zobaczyć, jak prowadzi się uprawę w starym świecie. No i zobaczyłem.

...Niedługo będziemy w dolinie... Tak, zobaczyłem. Najpierw w Japonii zobaczyłem pagórki pocięte tarasami. Proszę sobie wyobrazić pagórek tak stromy, że koniem by na stok nie wjechał. To dla nich żadne zagadnienie. Pocięli stok tarasami. Stok z kamieni umocnionych solidną podmurówką, sześć stóp wysoki, podtrzymuje poziomy taras szerokości sześciu stóp. I tak dalej, i dalej, ściana - taras, coraz wyżej i wyżej, prosto w niebo, ściany, tarasy, ściany, tarasy. Aż pod szczytem widziałem wybudowane ściany wysokie na dziesięć stóp, podtrzymujące tarasy szerokości trzech stóp i ściany wysokie na stóp dwadzieścia pod wąziutkimi skrawkami ziemi, na których prowadzono uprawę. A ziemię tę wnosili Japończycy w koszykach na plecach!

To samo wszędzie gdzie byłem: w Grecji w Irlandii w Dalmacji, bo tam też trafiłem. Wszędzie wieśniacy zbierają każdą grudkę ziemi, kradną ją nawet za pomocą łopaty czy gołej ręki i zanoszą w góry na własnych plecach, i budują farmy. Budują je, zakładają je na nagich skałach. We Francji widziałem górali, którzy wykopywali ziemię z łozysk strumieni, tak jak nasi dziadkowie przekopywali strumienie Kalifornii w poszukiwaniu złota. Tylko że nasze złoto skończyło się bezpowrotnie, a wieśniacza ziemia została, wciąż dając plon, wciąż pracując, wciąż rodząc coś - cały czas.

- Mój Boże! - wyszeptał Bill z czcią i grozą w głosie. - Nasi ludzie tego nie robili. Nic dziwnego, że przegrali.

- O, już widać dolinę! - powiedział Benson. - Spójrzcie na te drzewa! Spójrzcie na te stoki! To nowa Dalmacja. Raj jabłoni. Spójrzcie na glebę, na to, jak jest uprawiana!

Saxon zobaczyła przed sobą niezbyt dużą dolinę. Ale wszędzie, na jej dnie i na stokach niskich pagórków, widniały dowody pracowitości Dalmatyńczyków. Patrzyła słuchając słów Bena.

- Czy wy wiecie, co dawni osadnicy robili z tą wspaniałą glebą? Na dnie doliny siali zboża, a na pagórkach wypasali stada. A teraz całe dwanaście tysięcy akrów zajmują sady. Ach, taki Mateusz Lettunicz - to jeden z tutejszych oryginałów. Przybył przez Castle Garden i zmywał talerze. Kiedy pierwszy raz spojrzął na tę dolinę, zaraz wiedział, że to jego Klondike. Dzisiaj dzierżawi siedemset akrów i ma własnych sto trzydzieści - najpiękniejsze w całej dolinie. Co roku ekspertuje od czterdziestu do pięćdziesięciu tysięcy skrzynek. A do pracy

przy zbiorach przyjmuje tylko samych Dalmatyńczyków. Kiedyś spytałem go żartem, za ile sprzedałby swoje sto trzydzieści akrów. Odpowiedział mi zupełnie poważnie. Powiedział, ile mu ta ziemia dawała, rok po roku, i wymienił przeciętną. Kazał mi obliczyć sumę podstawową, określając dochód na sześć procent. Zrobiłem to. Wypadło ponad trzy tysiące dolarów akr.

- A co robią ci wszyscy żółci w dolinie? - spytał Bill. - Chińczycy też hodują jabłka?

Benson potrząsnął głową.

- Ale to jeszcze jedna pozycja, którą straciliśmy my, Amerykanie. Nie marnotrawi się w tych dolinach nic, ani pestki jabłka, ani skórki. Ale to nie Amerykanie robią te oszczędności. W dolinie pracuje pięćdziesiąt siedem suszarni owoców, aby nie wspominać o fabrykach konserw i wytwórniach jabłecznika i octu. Należą one do Chińczyków, którzy rokrocznie wysyłają stąd piętnaście tysięcy beczek octu i jabłecznika.

- A przecież to nasi stworzyli ten kraj - rzekł Bill w zamyśleniu. - Walczyli o niego, skolonizowali go, zrobili wszystko...

- Tylko go nie rozwinęli - przerwał Benson. - Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby go zniszczyć, tak jak zniszczyliśmy ziemię Nowej Anglii. - Wskazał ręką jakiś punkt za linią pagórków. - W tamtej stronie leży Salinas. Gdybyście się tam znaleźli, myślelibyście, że jesteście w Japonii. A dużo jest żyznych, małych dolin porośniętych sadami w Kalifornii, które przeszły w ręce Japończyków. Ich metoda działania jest nieco inna niż Dalmatyńczyków. Zaczynają od najmowania się do zbiorów na dniówki. Pracują lepiej niż amerykańscy zbieracze, więc jankeski właściciel sadów rad jest ich najmować. Następnie, gdy już trochę nabiorą sił, organizują się w japońskich związkach zawodowych i wypierają z rynku amerykańskich robotników. Właściciele sadów nadal są zadowoleni. Następny krok, to gdy Japończycy odmawiają pracy przy zbiorach. Zbiór zaczyna gnić. Wtedy wstępują na widownię japońscy przywódcy związków zawodowych. Są już panami sytuacji. Kontraktują cały zbiór. Właściciele sadów są na ich łasce-nielasce. Niebawem Japończycy rządzą całą doliną. Właściciele sadów stają się nieobecniymi właścicielami ziemi, uczącymi się bardziej cywilizowanego życia w miastach lub odbywającymi podróże do Europy. I teraz jeszcze tylko jeden krok. Japończycy wykupują od nich ziemię. Amerykanie muszą ją sprzedać bo Japończycy opanowali rynek pracy i mogliby ich w każdej chwili doprowadzić do bankructwa.

- Ale jeżeli tak dalej pójdzie, co będzie z nami? - spytała Saxon.

- To, co już się dzieje. Ci z nas, którzy nic nie mają, gniją w miastach. Ci, którzy mają jeszcze ziemię, sprzedają i przenoszą się do miast. Z niektórych wyrastają kapitaliści na

większą skalę. Niektórzy wchodzą do wolnych zawodów. Reszta wydaje pieniądze i zaczyna gnić z chwilą, gdy skończą się pieniądze. A jeżeli pieniądze starczą im do śmierci, zamiast nich zaczynają gnić dopiero ich dzieci.

Długa jazda dobiegła niebawem końca i przy pożegnaniu Benson jeszcze raz przypomniał Billowi o stałej pracy, która czeka na niego w każdej chwili.

- Myślę, że najpierw rzucimy jednak okiem na tę ziemię rządową - odparł Bill. - Nie wiem jeszcze, na jakiej ziemi osiadziemy, ale do jednego z pewnością nie będziemy się brali.

- Do czegoż to? - spytał Benson.

- Do hodowli jabłek na ziemi po trzy tysiące za akr.

Bill i Saxon, z pakunkami na plecach, przeszli około stu jardów. On pierwszy przerwał milczenie.

- I jeszcze ci coś powiem, Saxon. Nie będziemy też chodzić węsząc i szukając ziemi, żeby ją potem palcami wydrapywać i nosić w koszykach na górę. W Stanach Zjednoczonych dość jest jeszcze miejsca. Gwizdę na to, co mówi Benson i inni - Stany Zjednoczone jeszcze się nie skończyły. Są jeszcze miliony akrów nie tkniętych ludzką ręką i czekających na właściciela. Nasza rzecz, żebyśmy je znaleźli.

- A ja też ci coś powiem - odparła Saxon. - Zdobywamy wykształcenie. Tom był wychowany na farmie, a mimo to my wiemy więcej od niego o warunkach w rolnictwie. Jeszcze ci coś powiem. Im więcej się nad tym zastanawiam, tym bardziej się boję, że ta ziemia rządowa mocno nas rozczaruje.

- Nie trzeba wierzyć we wszystko, co ludzie mówią.

- Och, to nie jest to. Ja sama tak myślę. Zastanów się. Jeżeli ziemia w tych okolicach kosztuje trzy tysiące dolarów za akr, to jak to jest możliwe, żeby ziemia rządowa - jeżeli jest coś warta - czekała tuż obok, aż ją ktoś weźmie za darmo.

Bill myślał o tym przez następne pół godziny, ale nie doszedł do żadnych konkluzji. W końcu odchrząknął i powiedział:

- Możemy chyba poczekać, aż ją zobaczymy. Prawda?

- Masz rację - przyznała Saxon. - Poczekajmy, aż ją zobaczymy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Z Monterey, zamiast skierować się wzdłuż wybrzeża Drogą Siedemnastu Mil, poszli prosto przed siebie wiejską dróżką wiodącą przez pagórki, tak że zatoka Karmel wyłoniła się przed nimi nagle w całej swej nieoczekiwanej piękności. Zeszli w dół stoku porośłego pachnącymi żywicą sosnami, minęli umajone zielenią domki o dziwnym, bardzo wiejskim wyglądzie, zamieszkane przez artystów i pisarzy, i szli dalej przez rozległe, wysmagane wiatrami piaszczyste wydmy umocnione krzepkim lubinem i falujące białymi kalifornijskimi makami. Z ust Saxon wyrwał się okrzyk zdziwienia i zachwytu, potem stała z zapartym tchem i patrzyła na zdumiewający, pawiooblękitny kolor długiej fali prześwietlonej złotymi promieniami słońca, idącej na milę długim wałem i rozpadającej się wśród grzmotów w ruinę białej piany na półksiężycowatej plaży, gdzie piach tak był niemal biały jak piana.

Saxon nie wiedziała, jak długo stali, spoglądając na majestatyczną procesję fal powstających na zmarszczonej wiatrem morskiej głębinie i rozpadających się w pyle i grzmocie u stóp. Ocknęła się, gdy Bill próbował ze śmiechem zdjąć jej z pleców koszyk.

- Tak mi jakoś wyglądasz, jakbyś się tu chciała zatrzymać na dłużej - rzekł. - Więc warto pomyśleć o wygodzie.

- Nie miałam pojęcia... nie miałam pojęcia - powtarzała zaciskając namiętnie ręce. - Zdawało mi się, że... że morze pod Cliff House jest piękne, ale skąd ja mogłam wiedzieć, że coś takiego istnieje... Spójrz! Spójrz! Czyś ty widział kiedy taki nieprawdopodobny kolor? I to słońce, które prześwietla je na wylot! Och! Och! Och!

W końcu zdołała oderwać oczy od zatoki i przenieść je ku pawioniebieskiej linii horyzontu przykrytej zwałem chmur, ku poszarpanym konturom skał zamykających od południa łuk wybrzeża, ku niebieskim szczytom gór widocznych za łagodnymi, niskimi pagórkami - od strony lądu, w głębi doliny Karmel.

- Równie dobrze możemy usiąść i trochę sobie posiedzieć - rzekł Bill. - To jest wszystko za dobre, żeby człowiek zaraz chciał stąd uciekać.

Saxon zgodziła się, ale natychmiast zaczęła rozsznurowywać buciki.

- Ty też? - spytał Bill zdumiony i zachwycony i sam zaczął zdejmować buty.

Ale zanim byli gotowi, ażeby biegać boso na niebezpiecznym skrawku kremowego piachu, gdzie ocean spotykał się z ziemią, nowy i zachwycający widok przyciągnął ich uwagę. Spomiędzy ciemnych sosen wypadł na piaszczyste wydmy mężczyzna, tylko w wąziutkich spodenkach na obnażonym ciele. Miał skórę gładką, różowawą, twarz cherubina

pod jasną, wijącą się czupryną, ale jego ciało było potężnie umięśnione, jak ciało Herkulesa.

- O rany! To musi być chyba Sandow - powiedział Bill cicho do Saxon.

Ona jednak myślała o drzeworycie w brulionie matki i o wikingach wstępujących na mokre piachy Anglii.

Biegacz minął ich w odległości kilkunastu stóp, wypadł na mokry piach i biegł nie zatrzymując się, aż piana sięgała mu kolan, tuż nad nim zaś piętrzył się najmniej na dziesięć stóp wysoki wał wody. Chociaż mężczyzna wydawał się tak ogromny i silny, teraz jego ciało było dziwnie białe i kruche wobec grożącego mu nieuniknienie potężnego ciosu morza. Saxon dyszała z niepokoju; rzuciła spojrzenie na Billa i spostrzegła, że stęzał w oczekiwaniu.

Nieznajomy skoczył jednak na spotkanie ciosu i w chwili, gdy się zdawało, że fala musi go zmiążdżyć, dał nurka w sam jej środek i zniknął. Potężna masa wody runęła wśród grzmotu na piach, ale za nią ukazała się na powierzchni jasna głowa, jedna wyciągnięta ręka i część ramienia. Mężczyzna zdołał wykonać zaledwie kilka ruchów, gdy znów musiał nurkować w środek następnej fali. O to właśnie walczył - aby wydostać się na morze, płynąc pod potężny nurt śpieszących do lądu fal. Ilekroć dawał nurka i znikał im z oczu, Saxon powstrzymywała oddech i zaciskała dłonie. Niekiedy, gdy przewaliła się ponad nimi fala, nie mogli go odnaleźć, a gdy go znów widzieli, znajdował się już o kilkadziesiąt stóp dalej - drobny okruch rzucony tam przez dymiącą pianą falę. Często Saxon i Bill odnosili wrażenie, że nie da rady, że fale wyrzucą go na brzeg. Po pół godziny jednak znajdował się już poza pasem bałwanów bijących o brzeg i nie nurkował, lecz płynął szybko grzbietem fal. Niebawem był już tak daleko, że tylko z rzadka dostrzegali plamkę jego głowy, a potem i ona zniknęła. Saxon i Bill spojrzeli na siebie - jej twarz wyrażała zdumienie, błękitne oczy Billa rzucały ogień.

- Co za pływak, co za pływak! - chwalił Bill. - Ani razu nie stchórzył. Słuchaj, Saxon, pływałem dotąd w basenach i na zatoce, ale teraz nauczę się pływać w oceanie. Gdybym potrafił zrobić to, co on, wbiłbym się w taką dumę, że nie mogłabyś się do mnie zbliżyć na odległość czterdziestu stóp. Słowo daję, wolałbym nauczyć się tak pływać niż mieć w majątku tysiąc farm. Och, ja też potrafię pływać, w wodzie czuję się jak ryba... Którejś niedzieli przepłynąłem od Wąskiej Przystani do Sessions' Basin, a to przecież są mile i mile. Ale nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. I nie ruszę się z miejsca, dopóki on nie wróci. Sam... zupełnie sam na środku tego morza... pomyśl tylko! Odważny, nie ma co!

Przez następną godzinę Bill i Saxon gonili się po plaży wywijając kępami wodorostów i bawiąc się jak dzieci. Dopiero gdy wkładali buty, ujrzeli żółty punkcik głowy nieznajomego zbliżający się do brzegu. Bill stanął na samym skraju plaży, żeby go przywitać.

- Ależ z pana cudo! Nie mogę wytrzymać, żeby panu tego nie powiedzieć! - wyraził swój zachwyt.

- Fala rzeczywiście była dzisiaj wysoka - odparł młody mężczyzna kiwając głową.

- Nie jest pan przypadkiem bokserem, którego mi się jakoś nie zdarzyło widzieć? - pyta Bill pragnąc ustalić tożsamość tego fizycznego fenomenu.

Mężczyzna roześmiał się i potrząsnął głową, a Bill nie mógł przecież odgadnąć, że jest on eks-kapitanem uniwersyteckiej „jednostki”, ojcem rodziny i autorem wielu książek. Zmierzył Billa okiem, które przywykło oceniać nowicjuszy aspirujących do boiska.

- Z pana też nie najgorszy kawał chłopca - rzekł z uznaniem. - Nie wyglądałby pan źle przy najlepszych atletach. Czy dobrze zgaduję, że wie pan coś niecoś o ringu?

Bill skinął głową. - Nazywam się Roberts.

Pływak zmarszczył brwi daremnie usiłując sobie coś przypomnieć.

- Bill... Bill Roberts - uzupełnił Bill.

- Ho, ho! Czyżby Wielki Bill Roberts? Widziałem pana, jak pan walczył... przed trzęsieniem ziemi w Pawilonie Mechaników. Była to walka wstępna przed Eddie Hanlonem i jakimś innym zawodnikiem. Jest pan oburęcznym bokserem, doskonale to pamiętam, o ciosie potężnym, ale trochę może powolnym. Tak, pamiętam, że był pan wtedy trochę powolny, a mimo to pan zwyciężył. - Wyciągnął do Billa mokrą rękę. - Nazywam się Hazard, Jim Hazard.

- A jeżeli pan jest tym kapitanem drużyny futbolowej sprzed kilku lat, to czytałem o panu w gazetach. Zgadłem?

Uścisnęli sobie serdecznie dłonie i Bill przedstawił Hazarda Saxon. Czują się śmiesznie mała przy tych dwóch młodych olbrzymach i bardzo dumna, że należy do rasy, która ich wydała. Mogła się tylko przysłuchiwać ich rozmowie.

- Chętnie bym potrenował z panem co dzień pół godziny boksu - powiedział Hazard. - Mógłby mnie pan dużo nauczyć. Czy zostajecie tu państwo na dłużej?

- Nie. Wybieramy się dalej brzegiem morza. Szukamy ziemi. Ale swoją drogą mógłbym pana nauczyć kilku chwytów, a i pan mógłby mnie w zamian czegoś nauczyć. Pływania na otwartym morzu.

- W każdej chwili jestem gotów rozpocząć z panem ten handel wymienny - zaofiarował się Hazard z uśmiechem. Zwrócił się do Saxon: - Dlaczego nie mielibyście się państwo zatrzymać jakiś czas w Karmelu? Nie jest tu najgorzej.

- Jest pięknie - przyznała uśmiechając się z wdzięcznością. - Ale widzi pan... - wskazała na pakunki stojące na brzegu łubinu. - Jesteśmy w drodze, szukamy ziemi rządowej

na farmę.

- Jeżeli będziecie jej szukali dalej za Sur, potrwa to dość długo - rzekł ze śmiechem. - No, muszę już iść i ubrać się. Gdybyście państwo wracali tą samą drogą, wpadnijcie do mnie. Każdy wam powie, gdzie mieszkam.

I tak jak się zjawił, tak się oddalił - na przełaj, biegiem przez wydmy.

Bill odprowadził go zachwyconym spojrzeniem.

- Wspaniały chłop, wspaniały - wymruczał pod nosem. - Wiesz, Saxon, on jest naprawdę sławny. Jeżeli widziałem jego twarz jeden raz w gazetach, widziałem ją tysiąc razy. I ani trochę mu się w głowie nie przewróciło. Rozmawialiśmy jak mężczyzna z mężczyzną. Wiesz... zaczynam znów wierzyć w naszą dawną rasę.

Zeszli z plaży i na maleńkiej głównej ulicy wioski kupili mięsa, warzyw i kilka jajek. Bill musiał odciągnąć Saxon od wystawy sklepu, na której mieniły się wszystkimi kolorami tęczy oprawione i nie oprawione perły abalonów.

- Abalonów jest tutaj zatrzęsienie wzdłuż całego wybrzeża - zapewnił ją Bill. - Nabieram ci ich, ile będziesz chciała. Wystarczy wyjść na plażę podczas odpływu.

- Mój ojciec miał spinki zrobione z muszli abalonów - powiedziała Saxon. - Były oprawione w czyste złoto. Zupełnie o nich nie pamiętałam przez te wszystkie lata. Ciekawa jestem, do kogo teraz należą.

Skęcili na południe. Wszędzie spośród sosen wyglądały zgrabne, śliczne domki zamieszkałe przez artystów, zaskoczył ich więc widok budowli, która wyłoniła się przed nimi, gdy zaczęli schodzić w dół drogą do rzeki Karmel.

- Wiem, co to jest - powiedziała Saxon prawie szeptem. - To stary hiszpański klasztor misyjny. Naturalnie... misja karmelitów. W ten sposób Hiszpanie przyszl tu z Meksyku... budując misje i nawracając Indian...

- Dopókiśmy nie wygnali całego bractwa do spółki, Hiszpanów i Indian - rzekł Bill ze spokojną satysfakcją w głosie.

- Ale mimo to klasztor jest piękny - zauważyła Saxon patrząc w zamyśleniu na ogromną, na pół zrujnowaną budowlę z nie wypalanej cegły. - W San Francisco widziałam misję Dolores, ale jest mniejsza i nie tak stara.

Ukryty od strony morza wśród niskich pagórków, zapomniany przez ludzi, opuszczony przez ludzkie osiedla, stał cichy i niemy kościół z suszonej na słońcu cegły, słomy i kredy - stał pośród ceglanych ruin, które niegdyś dawały schronienie tysiącom jego wiernych. Saxon i Billowi udzielił się nastrój panujący nad tym miejscem, szli więc cicho, mówiąc szeptem, niemal lękając się przekroczyć otwarty portal kościoła. Nie było tu ani

kapłana, ani wiernych; wiele jednak znaków świadczyło, że w kościele odbywają się nabożeństwa, choć po liczbie ławek Bill ocenił, że kongregacja jest bardzo niewielka. Wspięli się na dzwonnice popękaną podczas trzęsienia ziemi, zwracając po drodze uwagę na ręcznie ciosane belki. Na krużganku, drżąc na myśl o własnym zuchwalstwie, Saxon odśpiewała cicho pierwsze takty „Jezu, serca ukochanie”. Przekonawszy się, jak czysto brzmi pod sklepieniem jej głos, przechyliła się przez poręcz i coraz głośniejszym, coraz pełniejszym głosem odśpiewała całą strofę:

*Jezu, serca ukochanie,
Bądź mi sterem wśród podróży,
Gdy się kłębią wód otchłanie
I gdy morska toń się burzy.
Chroń mnie, słodki Zbawicielu,
Od wszelakich burz żywota,
Niech u drogi mojej celu
Nieb otwarte znajdą wrota.*

Bill oparł się plecami o starodawną ścianę i spoglądał na Saxon wzrokiem pełnym miłości. Gdy skończyła, powiedział szeptem:

- To było piękne... zwyczajnie piękne. I szkoda, żeś nie widziała swojej twarzy, kiedy śpiewałaś. Byłaś taka sama piękna jak twój głos. Czy to nie zabawne? O religii myślę tylko wtedy, kiedy myślę o tobie.

Rozłożyli obóz w kępie wierzbin na dnie doliny i spędzili popołudnie na cyplu niskich skałek na północ od ujścia rzeki. W zasadzie nie zamierzali się tu zatrzymywać, nie mieli jednak siły odejść, tak ich urzekły fale, uderzające z grzmotem w skały, i barwne życie morza - gwiazdy morskie, kraby, muszle. W pewnej chwili, na płyciźnie skalnej, zobaczyli młodą ośmiornicę i przeszło ich mrowie, gdy mackami oplątywała niewielkie kraby, które zrzucili jej ze skały. Gdy zaczął się odpływ, zebrali mnóstwo małżów - same ogromne okazy długości kilku cali, obrośnięte patriarchalnymi brodami. Potem, gdy Bill odbywał po plaży daremne wędrówki w poszukiwaniu abalonów, Saxon leżąc grzebała w maleńkim jezioru skalnym i garściami wydobywała lśniące klejnoty - okruchy muszli i kamyki iskrzące się barwami czerwieni, błękitu, zieleni i fioletu. Bill wrócił, położył się obok niej w promieniach słońca chłodzonego morską bryzą i rozleniwieni patrzyli, jak słońce zapada za linię horyzontu, tam gdzie najciemniejsza była pawio błękitna barwa oceanu.

Położyła dłoń na rękę Billa i westchnęła - tak pełne było jej zadowolenie. Miała uczucie, że nigdy nie przeżyła dnia tak cudownego, że ziszcili się wreszcie wszystkie dawne sny. Nie wyobrażała sobie nawet w najśmielszych marzeniach, że na świecie może istnieć tyle piękna. Bill czule uściskał jej dłoń.

- O czym myślałaś? - spytał, gdy w końcu wstali, aby odejść. - Właściwie nie wiem, Bill... Może o tym, że taki jeden dzień jest lepszy niż dziesięć tysięcy lat w Oakland.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

O wschodzie słońca opuścili rzekę Karmel i dolinę Karmel i ruszyli na południe, przez pagórki leżące między oceanem a górami. Droga była podmyta przez deszcze, pełna wyboi i najwyraźniej rzadko używana.

- Potem w ogóle znika - powiedział Bill - i dalej jest już tylko ścieżka końska. Ale nie widzę, żeby tu było dużo drzew i ziemia też wyglądała kiepskawo. Same pastwiska, gruntów uprawnych jak na lekarstwo.

Pagórki były nagie, trawiaste. Tylko w kanionach zieleń się drzewa, a odleglejsze, wyższe wzgórza porastały kosmate, karłowate krzewy. Raz zobaczyli kojota przemykającego się i ginącego w zagajniku, a kiedy indziej znów Bill westchnął z żalem, że nie ma strzelby, gdy ogromny ryś spoglądał na nich złośliwie i nie chciał się cofnąć, dopóki wielka gruda ziemi nie rozprysła mu się koło uszu jak szrapnel.

Po kilku milach Saxon zaczęła narzekać na pragnienie. W miejscu, gdzie droga opuszczała się prawie do poziomu morza i przecinała parów, Bill zaczął się rozglądać za wodą. Dno parowu było wilgotne i nasiąkłe wodą ściekającą z gór; Bill zostawił Saxon, by odpoczęła, sam zaś poszedł szukać źródła.

- Hej, Saxon! - zawołał w kilka minut później. - Zejdź tu do mnie. Musisz to zobaczyć. Sam widok dech ci odbierze.

Saxon poszła wąską ścieżką, która prowadziła stromo w dół przez gęste krzaki. W połowie drogi, gdzie wysoko nad gardzielą parowu przeciągnięte było i umocnione dużymi kamieniami ogrodzenie z drutu kolczastego, dojrzała po raz pierwszy maleńką plażę. Tylko od strony oceanu można się było domyślić jej istnienia, tak dokładnie była ukryta między trzema stromymi ścianami i osłonięta parawanem krzaków. Co więcej, plaża dawała początek wąskiej kamiennej zatoczce długiej na ćwierć mili; dalej za jej ujściem morze grzmiało łoskotem fal, w jej wnętrzu pulsowały łagodnie pienne fale. Poza gardzielą zatoki potężne bałwany uderzały w pojedyncze skały na otwartym morzu, wzbijając wysoko w powietrze bryzgi wody i piany. Ukazując się pomiędzy jednym a drugim ruchem fal boki skał czarne były od małżów. Na ich wierzchołkach rozpierały się ogromne lwy morskie porykujące w słońcu, wysoko zaś w górze unosiły się z ostrym krzykiem i zataczały kręgi stada ptactwa morskiego.

Ostatnia część drogi, poniżej drutu kolczastego, była raczej zjazdem długości dwunastu stóp, toteż Saxon wylądowała na suchym, miękkim piasku w pozycji siedzącej.

- Powiadam ci, Saxon, to jest po prostu wspaniałe - paplał Bill. - Spójrz, co to za wymarzone miejsce na obóz. Dalej pomiędzy drzewami bije źródło, jakiegoś chyba nigdy w życiu nie widziała. A popatrz tylko, ile drzewa na opał i... - Rozejrzał się dokoła, przeniósł wzrok na morze i zobaczył to, czego żaden natłok słów nie jest zdolny wyrazić. -... I to w ogóle wszystko. Moglibyśmy tu mieszkać. Widzisz te małże? i głowę dam, że można by łowić ryby. Co myślisz o tym, żebyśmy się tu zatrzymali na kilka dni?... Przecież ostatecznie to są nasze wakacje... Mógłbym wrócić do Karmelu i kupić wędkę i haczyki.

Przyglądając się badawczo jego rozpromienionej twarzy Saxon zrozumiała, że istotnie odbiera Billa miastu.

- I ani odrobina wiatru tu nie wieje - zachwalał. - Spójrz, jak jest dziko. Jakbyśmy się znajdowali o tysiąc mil od ludzkich osiedli.

Wiatr, ostry i przenikliwy na nagich pagórkach, nie miał dostępu do małej zatoki, a plaża była ciepła i balsamiczna, powietrze przepojone aromatem zarośli. Tu i tam pośród krzaków wyrastały małe dębczaki i inne drzewa, których Saxon nie znała. Jej entuzjazm dorównywał teraz zapałowi Billa; ręka w rękę wyruszyli na zbadanie okolicy.

- Możemy się bawić tutaj w prawdziwego Robinsona Kruzoe - zawołał Bill, gdy przeszli przez twarde piach od miejsca, dokąd sięgał przypływ, aż nad sam brzeg wody. - Dalej, Robinsonie. Zostańmy tu. Ja naturalnie jestem twój Piętaszek i ty mi rozkazujesz.

- Ale co my zrobimy z Sobotaszką? - zawołała, wskazując z udanym przerażeniem na świeży odcisk stopy w piachu. - Przecież to może być jakiś dziki ludożerca.

- Niestety nic z tego. To nie ślad bosej stopy, tylko pantofla tenisowego.

- Ludożerca mógł zdobyć pantofle tenisowe na utopionym albo zjedzonym żeglarzu - dowodziła.

- Kiedy żeglarze nie noszą pantofli tenisowych - odparł Bill szybko.

- Jak na Piętaszka wiesz za dużo - łąjała Saxon. - Ale swoją drogą, jeżeli przyniesiesz pakunki, rozbijemy tu obóz. Zresztą to mógł być pożarty wcale nie żeglarz, tylko pasażer.

W godzinę później gotowe było wygodne obozowisko - pledy rozłożone, drzewo porąbane, nad ogniem bulgotał garnczek kawy. Saxon zawołała do Billa, który improwizował stół z obmytej falami deski. Pokazała w kierunku morza. Na daleko wysuniętych w morze skałach stał mężczyzna w kąpielowych spodenkach. Patrzył w ich stronę, widzieli powiewającą na wietrze czuprynę jego ciemnych włosów. Gdy zaczął iść po skałach w kierunku lądu, Bill zwrócił uwagę Saxon na fakt, że nogi ma obute w pantofle tenisowe. W kilka minut później nieznajomy zeskoczył na piach i zaczął zbliżać się do nich.

- O rany! - wyszeptał Bill do Saxon. - jest dość chudy, ale spójrz na jego mięśnie.

Widać wszyscy w tych stronach zajmują się kulturą fizyczną.

Zanim nieznajomy podszedł do nich, Saxon zdażyła przyjrzeć się jego twarzy, która przywiodła jej na myśl dawnych pionierów i pewien typ urody często spotykanej wśród starych żołnierzy. Chociaż był to mężczyzna młody - najwyżej trzydziestoletni według jej oceny - miał tę samą długą i wąską twarz o wysokich kościach policzkowych, wysokim, wąskim czole, nosie cienkim, niemal orlim, i wąskich, wrażliwych wargach. Ale oczy miał inne - nie widziała takich oczu u pionierów ani u weteranów, ani w ogóle u żadnego człowieka. Tak ciemnoszare, że prawie brązowe, o spojrzeniu dalekim i czujnym, jak gdyby przeszukującym wciąż głębie nie ograniczonych niczym obszarów. Saxon odnosiła mgliste wrażenie, że go już kiedyś widziała.

- Dzień dobry - przywitał ich. - Powinno wam tu być wygodnie. - Rzucił na piach częściowo tylko napełniony worek. - Małże. Tylko tyle zdołałem zebrać. Odpływ dopiero się zaczął.

Saxon usłyszała zduszony okrzyk Billa i dostrzegła na jego twarzy wyraz bezgranicznego zdumienia.

- Jak Boga kocham, jestem dumny, że pana spotykam! - wybuchnął. - Niechże pan da rękę! Zawsze sobie mówiłem, że jak się gdzieś na pana natknę, uściskę panu rękę... Swoją drogą!...

Ale uczucia Billa wzięły nad nim górę. Zaczął się najpierw dławić tłumionym chichotem, a później wybuchnął w ataku bezradnej wesołości.

Nieznajomy spoglądał na niego ciekawie ponad złączonymi dłońmi, a potem spojrzał na Saxon pytająco.

- Musi mi pan wybaczyć - wyrzucił z siebie Bill, potrząsając ręką mężczyzny w górę i w dół. - Ale żeby tam nie wiem co, muszę się śmiać. Przecież ja się po nocach budziłem, wybuchałem śmiechem i znowu zasypiałem. Nie poznajesz go, Saxon? To ten sam identyczny lalusz... słuchaj, bracie, musisz być niezły as w stumetrówce... co?

I wtedy, w nagłym przebłysku, Saxon przypomniała sobie, gdzie widziała nieznajomego. Był to ten sam młody mężczyzna, który wraz z Royem Blanchardem stał obok samochodu... tego dnia, kiedy chora i bez pamięci zawędrowała do obcej dzielnicy miasta. Ale wtedy też nie po raz pierwszy go widziała.

- Pamięta pan piknik murarzy w Weasel Park? - pytał Bill. - I wyścigi na bieżni? Przecież ja bym poznał ten pana nos między milionem nosów! To pan rzucił laskę między nogi Tima McManusa i rozpoczął największą awanturę, jaką pamięta Weasel Park czy jakkolwiek inny park w Oakland.

Teraz mężczyzna wybuchnął śmiechem. Śmiał się coraz serdeczniej, stojąc najpierw na jednej, potem na drugiej nodze. Wreszcie usiadł na belce wyrzuconej przez morze.

- I pan tam był... - zdołał w końcu wykrztusić zwracając się do Billa. - Pan to widział... Pan to widział. - Spojrzał na Saxon. - A pani?

Skinęła głową.

- Ale ja muszę się dowiedzieć - zaczął Bill, gdy ucichł w końcu ich śmiech - dlaczego pan to zrobił. Dlaczego pan to zrobił? Od tamtego czasu furt zadaję sobie to pytanie.

- Ja też - brzmiała odpowiedź.

- Nie znał pan Tima McManusa, prawda?

- Nie. Nie widziałem go nigdy na oczy. Ani przedtem, ani potem.

- Ale dlaczego pan to zrobił? - nastawał Bill.

Młody mężczyzna roześmiał się, ale prędko opanował wesołość.

- Choćby zależało od tego moje życie, nie potrafię powiedzieć. Mam przyjaciela, niezwykle inteligentny człowiek, autor poważnych dzieł naukowych, którego aż ręka świerzbi, żeby rzucić jajko do wentylatora elektrycznego. Chciałby zobaczyć, co się stanie. Może tak właśnie było ze mną, z tą różnicą, że żadnego świerzbiecia ręki nie czułem. Kiedy zobaczyłem te biegnące obok mnie nogi, po prostu wrzuciłem między nie laskę. Nie wiedziałem z góry, że to zrobię. Po prostu zrobiłem. Tim McManus na pewno nie był bardziej zdziwiony ode mnie.

- A czy oni pana złapali? - spytał Bill.

- A czy ja na to wyglądam? Nigdy w życiu niczego się tak nie bałem. Sam Tim McManus nie zdołałby mnie tego dnia dogonić. Ale co się potem stało? Słyszałem, że wybuchła okropna awantura. Naturalnie nie mogłem zostać i zobaczyć.

Dopiero po kwadransie, gdy Bill skończył opowieść o bójce Irlandczyków, doszło do wymiany nazwisk. Nieznajomy nazywał się Mark Hall i mieszkał w bungalowie pośród sosen doliny Karmel.

- Ale w jaki sposób znaleźliście drogę do Zatoki Bierce'a - spytał ciekawie. - Od strony ścieżki nikt się nawet nie domyśla jej istnienia.

- To taka jest nazwa tej zatoki? - rzekła Saxon.

- Myśmy ją tak nazwali. Jeden z przyjaciół z naszej paczki rozbił tu obóz na całe lato, więc nazwaliśmy ją później od jego imienia. Jeżeli pani pozwoli, chętnie wypiję filiżankę kawy - zwrócił się do Saxon. - A potem oprowadzę pani męża i pokażę mu wszystko. Jesteśmy ogromnie dumni z tej naszej zatoki. Poza nami nikt tu nigdy nie zagląda.

- Ale te wszystkie mięśnie to się panu nie wyrobiły od samej ucieczki przed

McManusem - zauważył Bill, gdy wypili kawę.

- Masaż w naprężeniu - brzmiała tajemnicza odpowiedź.

- Co to takiego? Je się to łyżką? - spytał Bill.

Hall roześmiał się.

- Zaraz panu wytłumaczę. Niech pan weźmie jakikolwiek mięsień, napręży, a potem masuje palcami tak... i tak.

- I od tego zrobiły się panu te wszystkie mięśnie? - spytał sceptycznie Bill.

- Te wszystkie mięśnie! - odparł Hall pogardliwie, lecz z dumą. - Na jeden mięsień, który pan widzi, jest pięć schowanych, ale działających. Niech pan dotknie palcem któregośkolwiek miejsca i sprawdzi.

Bill posłuchał i dotknął prawej piersi Halla.

- Wie pan coś niecoś o anatomii, jeżeli pan dotyka miejsca najmniej umięśnionego - łajał Hall.

Bill uśmiechnął się triumfalnie, lecz nagle ku jego zdumieniu mięsień wyrósł mu pod palcem. Nacisnął i przekonał się, że jest to twardy, solidny mięsień.

- Masaż w naprężeniu! - wybuchnął Hall radośnie. - Niech pan sprawdza dalej!

Gdziekolwiek Bill dotknął, wszędzie wyrastały duże lub małe mięśnie, drżały w naprężeniu i niknęły pod skórą, aż całe ciało marszczyło się jak powierzchnia wody, poruszone wółą człowieka.

- Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego - powiedział w końcu Bill z zachwytem. - A widziałem niejednego dobrze zbudowanego mężczyznę. Przecież pan jest cały ze stali.

- Masaż naprężonych mięśni, przyjacielu. Doktorzy machnęli na mnie ręką. Przyjaciele nazywali mnie chorym szczurem, cherlawym poetą i tak dalej. Rzuciłem miasto, przyjechałem do Karmelu, żyłem na powietrzu... no i masaż naprężonych mięśni.

- Jim Hazard nie w ten sposób dorobił się swoich - rzucił Bill wyzwanie.

- Z pewnością nie. Ten szczęśliwy łajdak urodził się z nimi. Moje są przeze mnie zrobione. Na tym polega różnica. Ja jestem dziełem sztuki, on - niedźwiedziem jaskiniowym. No, chodźmy. Oprowadzę pana po zatoce. Niech się pan lepiej rozbierze. Wystarczą spodnie i buty, chyba że pan ma spodenki kąpielowe.

- Moja matka pisała wiersze - rzekła Saxon, gdy Bill przebierał się w zaroślach. Zwróciła uwagę na to, co Hall powiedział o sobie.

Nie okazał zainteresowania, więc Saxon ponowiła próbę.

- Niektóre były drukowane.

- Jak się nazywała? - spytał obojętnie.

- Dayelle Wiley Brown. Napisała „Śladem wikinga”, „Dni złote”, „Stalość”, „Caballero”, „Groby przy Little Meadow” i wiele innych. Część ich jest w „Historii ze starych roczników”.

- Mam tę książkę w domu - powiedział, po raz pierwszy okazując zainteresowanie, - Była pionierką... są to naturalnie czasy dużo od moich wcześniejsze. Przejrzę jej wiersze w domu. Moi rodzice też byli pionierami. Przyjechali przez Panamę z Long Island, w pięćdziesiątym którymś roku. Ojciec był lekarzem, ale zabrał się w San Francisco do interesów i tak skutecznie obrabował swoich bliźnich, że ja i reszta mojej licznej rodziny do dziś się z tego utrzymujemy... Mogę spytać, dokąd się państwo wybieracie?

Saxon opowiedziała mu, jak postanowili opuścić Oakland i wyszli na wędrowkę w poszukiwaniu ziemi. Hall uznał słuszność pierwszego, ale nad drugim potrząsnął głową z powątpiewaniem.

- Okolice za Sur są piękne - przyznał. - Byłem we wszystkich tych kanionach, pełno w nich zwierzyny. I są ziemie rządowe. Ale osiedlenie się tam to czyste szaleństwo. Za daleko od ludzkich osiedli. I ziemia nie bardzo nadaje się pod uprawę, chyba tylko miejscami w kanionach. Znam Meksykanina, który ma w tamtej okolicy pięćset akrów i marzy o tym, żeby je sprzedać za półtora tysiąca dolarów. Trzy dolary za akr! A co to znaczy? Że ziemia tyle jest warta. Właściwie nie jest tyle warta, bo nie może znaleźć nabywcy. Widzi pani, ziemia tyle jest warta, za ile ją ludzie sprzedają i kupują.

Pojawienie się Billa, który wyszedł z zarośli tylko w butach i spodniach podwiniętych do kolan, położyło kres rozmowie. Saxon obserwowała tych dwóch mężczyzn, fizycznie tak do siebie niepodobnych, gdy wspinali się na skały i rozpoczynali wędrowkę wzdłuż południowego brzegu zatoki. Początkowo jej oczy śledziły ich leniwie, niebawem jednak wzrosło zainteresowanie, a wraz z nim niepokój. Hall prowadził Billa w górę bez mała pionowej ściany, najwyraźniej w zamiarze wydostania się na grzbiet skalny. Bill szedł bardzo powoli i bardzo ostrożnie, dwukrotnie jednak Saxon widziała, jak się ześlizguje, gdy skruszałe kamienie rozpadały się pod dotykiem jego ręki i grzechocząc spadały do zatoki. Hall dotarł na szczyt i tam, na wysokości stu stóp nad poziomem morza, stał wyprostowany i swobodny, chociaż pod stopami miał ostry jak brzytwa grzbiet skały; Saxon wiedziała, że po drugiej stronie stok jest równie urwisty. Gdy Bill dotarł wreszcie na szczyt, zadowolił się inną pozycją: przykląkł i podparł się rękami. Przewodnik ruszył dalej, szedł wyprostowany, swobodny, jakby to była gładka podłoga. Bill podniósł się z czworaków, szedł jednak mocno pochylony i często podpierał się rękami.

Ostry jak brzytwa grzbiet był poząbkowany głębokimi szczelinami obaj mężczyźni zniknęli w jednej z takich wyrw. Nie mogąc opanować niepokoju Saxon wspięła się na Północny brzeg zatoki, gdzie grzbiet biegł gładszą i łatwiejszą do przebycia linią. Ale mimo to niezwykła dla niej wysokość, krusząca się skała pod nogami i potężne uderzenia wiatru wyczerpywały jej odwagę. Niebawem znalazła się naprzeciw mężczyźn. Przeskoczyli wąską przepaść i wdrapywali się teraz na następny ząb skalny. Bill szedł już trochę zręczniejsz, jednakże Hall często zatrzymywał się i czekał na niego. Droga stawała się coraz trudniejsza i ściany rozpadlin, które przebywali, schodziły stromo w dół do oceanu, gdzie w wąskich szczelinach bryzgały pianą przedzierające się z grzotem potężne fale. Kiedy indziej znów stawali wyprostowani i pochylali ciała, dopóki ich dłonie nie napotkały przeciwległej ściany ponad wąskimi i przepaścistymi szczelinami; wtedy wczepiwszy palce w skałę Podciągali się z wysiłkiem w górę i na drugą stronę przepaści.

Blisko krańca skał Hall i Bill zniknęli Saxon z oczu na południowym urwisku, a gdy ich znów ujrzała, obchodzili cypel po wewnętrznej stronie. Tutaj droga urywała się raptownie. Szeroka rozpadlina między dwiema beznadziejnie stromymi ścianami ziała ku niemu groźną pustką - od pianistych wirów u podnóża, gdzie oszalałe wody strzelały w górę na wysokość kilkunastu stóp, a potem opadały równie raptownie, obnażając czarną otchłań skał oblepionych splotami wodorostów.

Czepiając się niepewnie ściany obaj mężczyźni zeszli w dół aż do miejsca, gdzie były w nich pieniste bryzgi. Tam przystanęli. Saxon widziała, jak Hall wskazuje coś Billowi w dole po drugiej stronie rozpadliny, i wyobraziła sobie, że jest to jakaś osobliwość, na którą zwraca mu uwagę. Nie była przygotowana na to, co teraz nastąpiło. Spieniona fala cofnęła się i opadła i wtedy Hall przeskoczył ponad osłoniętą przepaścią na małą płytkę w skale, która chwilę wcześniej znajdowała się kilka jardów pod powierzchnią rozszalałych wód. Nie zatrzymał się tam ani sekundy. Ścigany powracającą falą przebył występ skalny i wspiął się na rękach i nogach w górę, aby uciec przed miażdżącym ciosem wód. Bill został teraz sam. Nie widział Halla, a tym bardziej nie mógł liczyć na jego dalsze wskazówki. Saxon przyglądała mu się w takim napięciu, że dopiero ból w koniuszkach palców zaciśniętych na skale, o którą się opierała, kazał jej zwolnić naprężone mięśnie. Bill czekał na odpowiedni moment, dwukrotnie próbował odbić się od skały i opadał znów na pięty, a potem przeskoczył ponad przepaścią na chwilowo odsłoniętą platformkę, obszedł występ i gdy wspinał się na czworakach do Halla, został po pas ogarnięty wodą, ale nie oderwany od skały.

Saxon dopiero odetchnęła spokojnie, gdy znaleźli się obok niej przy ognisku. Jedno spojrzenie na Billa przekonało ją, że jest z siebie w najwyższym stopniu niezadowolony.

- Jak na początek, całkiem nieźle - powiedział Hall klepiąc go przyjaźnie po nagim ramieniu. - Ta wspinaczka to mój specjalny wyczyn. Wielu odważnych chłopców zaczynało ją ze mną i już w połowie miało dosyć. Kilkunastu cofnęło się przed tym wielkim skokiem. Tylko prawdziwi atleci potrafią przebyć tę drogę.

- Wcale się nie wstydę przyznać, że miałem piekielnego pietra - rzekł Bill. - Ale bo też z pana to prawdziwy kozioł górski. Jestem teraz wściekły. Głównie chodzi o trening, więc żeby tam nie wiem co, zostaję tutaj i trenuję, dopóki nie będę mógł pana wyzwąć do biegu dookoła skały i z powrotem na plażę.

- Umowa stoi - rzekł Hall, potwierdzając ją uściskiem dłoni. - A jak spotkamy się kiedyś w San Francisco, będzie się pan mógł zmierzyć z Bierce'em... to nasz przyjaciel, od którego nazwiska ochrzciliśmy zatokę. Oprócz zbierania grzechotników ma jeszcze inne ulubione zajęcie. Czeka na wiatr o szybkości czterdziestu mil na godzinę, wydostaje się na najwyższe piętro drapacza chmur i przechodzi po obmurówce u samego szczytu... po stronie zawietrznej, proszę zwrócić uwagę, tak że w razie upadku zatrzymałby się dopiero na ulicy. Podjudził mnie kiedyś do tego.

- I co? Przeszedł pan? - spytał Bill skwapliwie.

- Nawet bym nie próbował, gdybym się z nim nie założył. Trenowałem w tajemnicy przez tydzień. I wygrałem od niego dwadzieścia dolarów.

Niska fala odpływu uniemożliwiła już teraz zbiór małżów i Saxon poszła z obu mężczyznami na północny grzbiet skał. Hall niósł kilka pustych worków. Wyjaśnił im, że po południu przyjedzie po niego bryczka, która odwiezie worki z małżami do Karmelu. Gdy worki były już napelnione, przebyli jeszcze kilka skalnych szczelin i zostali wynagrodzeni trzema abalonami. W jednej z muszel Saxon znalazła upragnioną perłę. Hall wtajemniczył ich w zawiły rytuał zbijania i przygotowywania mięsa abalonów dla celów kulinarnych.

Saxon odniosła już teraz wrażenie, że znają się od bardzo dawna. Przypominało jej to dawne czasy, gdy Bert był z nimi i śpiewał swoje piosenki albo rozprawał o ostatnich Mohikanach.

- Teraz posłuchajcie. Nauczę was czegoś - oznajmił Hall trzymając w ręce duży okrągły kamień i wznosząc go nad mięsem abalonów. - Musicie pamiętać, że nie wolno wam zbijać abalonów nie śpiewając jednocześnie tej pieśni. A także nie wolno wam śpiewać tej pieśni przy innej okazji. Byłoby to najohydniejsze świętokradztwo. Abalony są pokarmem bogów. Przygotowanie go to czynność religijna. A teraz słuchajcie, uważajcie i zapamiętajcie raz na zawsze, że jest to bardzo uroczysty ceremoniał.

Kamień spadł na białe mięso z głuchym stukiem i dalej opadał i podnosił się, tworząc

jakby wybijany na tam–tamie akompaniament do pieśni poety.

*Jeden lubi przepiórki, chleb spieczony bez skórki,
Takie to są dziś modne fasony -
Ja zaś człek byle jaki, preferuję ślimaki
I zamawiam na stół abalony.*

*Mission–Point to dziura, lecz niech zrówna jej która,
Tu kraj krabów i ryb wymarzony -
Szukaj tylko u skały, gdzie się poprzyczepiały
Do cichego mórz dna abalony.*

*Taki ślimak - psiajucha morskich szumów wciąż słucha
I wędruje po plaży znużony -
Potem przylgnie do głazu - i jak dziad do obrazu
Jęczy: marny nasz los, abalony!*

*Jeden lubi brzęk kiesy, drugi wdzięki Teresy
W Coney–Island za garstkę mamony -
Lecz my stoim u celu na tym naszym Karmelu
I rąbiemy - ciup, ciup - abalony.*

Umilkł z ustami otwartymi, z kamieniem wzniesionym wysoko w górę. Z miejsca, gdzie złożyli przedtem worki z małżami, dobiegł skrzyp kół i nawoływanie. Hall po raz ostatni opuścił rękę z kamieniem i wstał.

- Mamy jeszcze setki podobnych wierszy - powiedział. - Szkoda, że nie zdążyłem ich was nauczyć. - Wyciągnął ręce, dłońmi zwrócone w dół. - A teraz błogosławię was, dzieci. Jesteście członkami klanu Zjadaczy Abalonów. Przykazuję wam uroczyście, abyście nigdy, w żadnych okolicznościach nie zbijali mięsa abalonów nie śpiewając jednocześnie świętych słów, które wam przed chwilą objawiłem.

- Przecież my tak od jednego razu nie potrafimy ich zapamiętać - obruszyła się Saxon.

- Zajmiemy się tym. W najbliższą niedzielę zstąpi tu do was plemię Zjadaczy Abalonów. Poznacie więc rytuały, poznacie pisarzy i pisarki, poznacie samego Żelaznego Człowieka o bazyliżkowym spojrzeniu, który znany jest pospółstwu jako Król Uświęconej

Jaszczurki.

- A czy Jim Hazard przyjdzie? - zawołał Bill, gdy Hall zniknął już w zaroślach.

- Przyjdzie z całą pewnością. Czyż nie jest Niedźwiedziem Jaskiniowym o Zabójczym Ciosie, najgroźniejszym i prócz mnie najgorliwszym spośród wszystkich Zjadaczy?

Saxon i Bill spoglądali na siebie w milczeniu, dopóki nie umilkł skrzyp kół.

- Niech skisnę! - wybuchnął wreszcie Bill. - Co za facet! Ani trochę nie zadziera nosa. Zupełnie jak Jim Hazard. Przychodzi do człowieka i zaraz czuje się jak u siebie w domu. On nie jest lepszy od ciebie, ty nie jesteś lepszy od niego i wszyscy razem są przyjaciółmi... tak sobie po prostu, jak z bicia strzelił.

- On też jest z pionierskiej rodziny - powiedziała Saxon. - Mówił mi o tym, kiedyś ty się rozbierał. Jego rodzina przybyła przez Panamę, zanim wybudowano kolej. Z jego słów wynikało, że ma mnóstwo pieniędzy.

- W każdym razie nie zachowywał się, jakby był bogaczem.

- I jaki jest wesoły, zabawny! - wykrzyknęła Saxon.

- Prawdziwy komik z niego. I to ma być - poeta!

- Dlaczego nie, Bill? Słyszałam, że poeci przeważnie są dziwni.

- To racja, jak się nad tym zastanowić. Jest na przykład taki Joaquiz Miller. Mieszka na bezludziu, między pagórkami za Fruitvale. Dziwna z niego sztuka. Wiesz, to miejsce, gdzie ci się oświadczyłem, było niedaleko jego domu. Ale swoją drogą myślałem, że poeci noszą wąsy i binokle. A już nigdy by mi nie przyszło do głowy, że rzucają laski między nogi biegaczy na niedzielnych piknikach albo że wychodzą z domu tak rozebrali, jak tylko im na to pozwala prawo, i zgarniają małże do worków skacząc po skałach jak górskie kozice.

Tego wieczoru Saxon leżała przykryta derkami, wpatrując się w gwiazdy, rozkoszując się balsamiczną wonią płynącą od zarośli, wsłuchując w głuche dudnienie oceanu poza skalną osłoną i w cichy szmer łagodnych fal obmywających plażę w odległości kilku kroków. Bill poruszył się i Saxon wiedziała, że jeszcze nie śpi.

- Jesteś rad, że rzuciłeś Oakland? - spytała przymilnie.

- Ha! - odparł. - Czy małż w skorupie może być szczęśliwy?

ROZDZIAŁ ÓSMY

W połowie każdego odpływu Bill wybiegał na południowy grzbiet skał i za każdym razem niebezpieczną drogę Halla odbywał w krótszym czasie.

- Zobaczysz, co będzie w niedzielę - mówił do Saxon. - Nasz poeta dobrze będzie się musiał napocić przy bieganiu. Nie ma już takiego miejsca, gdzie bym się nie czuł pewny. Nabrałem pewności siebie. Biegam teraz tam, gdzie przedtem szedłem na czworakach. A obmyśliłem sobie to wszystko w taki sposób: powiedzmy, że spadek po obu stronach jest na stopę wysoki i leży tam miękkie siano. Wtedy nic by człowiekowi nie przeszkadzało. Na pewno by nie spadł. Biegłby jak strzała. No, to tak samo powinno być, gdyby po obu bokach znajdowała się przepaść na milę. Co za różnica? Nic go to nie powinno obchodzić. Ważne jest tylko to, żeby się utrzymał na grzbiecie i biegł jak strzała. I czy ty wiesz, Saxon, że kiedy to sobie powiedziałem, przestała mi ta wysokość przeszkadzać. Zobaczysz, co będzie, jak on tu przyjedzie w niedzielę ze swoją paczką. Jestem gotowy i czekam na niego.

- Ciekawa jestem, co to za ludzie - zastanowiła się Saxon.

- Naturalnie wszyscy tacy jak on. Swój ciągnie do swego. Żadne z nich nie będzie zadzierało nosa. Przekonasz się.

Hall przysłał im przez meksykańskiego kowboja, który jechał na południe na swoje rancho, kostium kąpielowy dla Billa i kilka wędek. Od Meksykanina dowiedzieli się sporo o ziemi rządowej i sposobie jej otrzymania. Czas płynął im szybko; co dzień Saxon żegnała słońce westchnieniem pełnym ukontentowania, co rano witali je śmiechem radości, że oto znów zaczął się szczęśliwy dzień. Nie robili planów na przyszłość; łowili ryby, zbierali małże i muszle abalonów, wspinali się na skały - jak im przyszła chęć czy humor. Mięso abalonów zbijali nabożnie do wtóru wierszydła zaimprovizowanego przez Saxon. Bill kwitł. Saxon nie widziała go nigdy w takim zdrowiu. Jeśli zaś o nią idzie - cóż, bez spoglądania w małe lusterko wiedziała, że nigdy, od najmłodszych lat, nie miała takich rumieńców i tak żywiołowego ognia w oczach.

- Po raz pierwszy w życiu mam prawdziwe wakacje - oznajmił Bill. - A ty i ja przez cały czas małżeństwa ani razu nie mieliśmy takiej zabawy. To jest lepsze niż być nie wiem jakim milionerem.

- O siódmej rano nie słyhać syren fabrycznych - mówiła Saxon z zachwytem. - Ja bym naumyślnie leżała dłużej, tylko że mi szkoda - wszystko jest takie cudowne. A teraz, mój Piętaszku, pobaw się w rąbanie drzewa na ogień i złowienie ładnego okonia. Bo inaczej z

obiadem będzie kiepsko.

Bill leżał wyciągnięty na plecach i palcami bosych stóp kopał dołki w piachu. Teraz wstał i wziął siekierkę do ręki.

- Ale to się wkrótce skończy - powiedział z westchnieniem. - Lada dzień zaczną się deszcze. Pogoda i tak utrzymuje się nieprawdopodobnie długo.

Gdy w sobotę wrócił z treningu na południowej skale, nie zastał Saxon w zwykłym miejscu. Nie odpowiedziała na głośne nawoływania, wspinał się więc w górę kanionu. Zobaczył ją w odległości pół mili, siedziała na grzbiecie nie osiodłanego, nie okiełznanego konia, który powoli i niechętnie szedł po pastwisku.

- Twoje szczęście, że ta stara szkapa była używana pod wierzch... widzisz te ślady po siodle? - gderał pomagając jej zeskoczyć na ziemię, gdy wreszcie zatrzymała się przy nim.

- Och, Bill - mówiła rozpromieniona - nigdy przedtem nie siedziałam na koniu. To takie cudowne! Czułam się taka bezradna i... taka dzielna.

- Muszę powiedzieć, że jestem z ciebie dumny - ciągnął bardziej jeszcze gderliwym tonem. - Nie każda mężatka odważyłaby się zbliżyć do obcego konia, zwłaszcza jeżeli nigdy nie jeździła konno. Nie zapomniałem, że masz mieć kiedyś własnego zwierzaka pod wierzch, prawdziwego lalusia w końskiej skórze.

Na dwóch bryczkach i kilku wierzchowcach zjadacze abalonów zjechali gremialnie do Zatoki Bierce'a. Było wśród nich dziesięciu mężczyzn i prawie tyle kobiet, wszyscy młodzi, w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat, i wszyscy bardzo ze sobą zżyci. Większość stanowili ludzie żonaci. Przyjechali rozkrzyczani, spychali się wzajemnie w dół stromej ścieżki i natychmiast zagarnęli Billa i Saxon w krąg przyjaźni tak naturalnej i ciepłej, jak same promienie słońca. Dziewczęta - Saxon nie mogła wprost uwierzyć, że są to dojrzałe kobiety - zawładnęły nią niepodzielnie. Były dla niej czarujące, chwaliły ekwipunek podróżny i obozowy, dopytywały się o jej dzieje. Same były doświadczone w sztuce obozowania, o czym się Saxon wkrótce przekonała widząc garnuszki, patelnie i płótno do gotowania małżów, które ze sobą przyniosły.

Tymczasem Bill i reszta mężczyzn, przebrani w kostiumy kąpielowe, rozproszyli się po skałach w poszukiwaniu małżów i abalonów. Dziewczęta zobaczyły przypadkiem *ukulele* i nic nie pomogły protesty - Saxon musiała im zagrać i zaśpiewać. Kilka z nich było kiedyś w Honolulu; znały ten instrument i potwierdziły słowa Mercedes, że po hawajsku nazywa się on „skacząca pchła”. Umiały też śpiewać piosenki hawajskie, których Saxon nauczyła się od Mercedes, i niebawem wszystkie śpiewały chórem przy akompaniamencie Saxon „Aloha

Oe”, „Płomienne dziewczęta z Honolulu” i „Słodką Lei Lehua”. Saxon była naprawdę zgorzonna, gdy kilka z nich, między innymi te najstarsze, odtańczyło na piasku hawajski taniec hula.

Gdy wrócili mężczyźni obładowani workami mięczaków, Mark Hall, jako wysoki kapłan, rozpoczął uroczyste obrządki plemienne. Na znak jego ręki kamienie zaczęły spadać zgodnym ruchem na białe mięso i wszystkie głosy zaintonowały hymn do abalonów. Dawne wiersze śpiewali wszyscy chórem, od czasu do czasu zaś rozlegał się pojedynczy głos śpiewający nową strofkę, którą potem podchwytywał chór głosów. Wydało się wszystko, gdy Bill poprosił Saxon cicho, aby zaśpiewała wiersz przez siebie ułożony. Jej śliczny głosik zaintonował bojaźliwie:

*Siedząc sobie wokół, popijamy wesoło -
Z nosem precz, co na kwintę spuszczone!
Naszym celem jedynym jest wyciskać cytryny
Na skwierczące jak lój abalony!*

- Wspaniale! - zawołał poeta. - Ta niewiasta przemawia językiem plemienia! Dalej, dzieci, zaczynamy!

Wszyscy chórem odśpiewali strofkę Saxon. Potem Jim Hazard zaprodukował im nowy wiersz, potem zaśpiewała jedna z dziewcząt, i wreszcie Żelazny Człowiek o szarozielonych oczach bazyliuszka, którego Saxon poznała z opisu Halla. Dla niej człowiek ten miał twarz kapłana.

*Jeden lubi słoninę, drugi znów baraninę,
Trzeci jarosz zaś je makarony -
Lecz mnie podaj, mój synu, flachę whisky lub dżinu
I do tego - no cóż - abalony!*

*Jeden pije deszcz z nieba, a drugiemu potrzeba
Litr koniaku, by czuł się wzmocniony -
Mnie żytniówki ćwiartula, aż się człowiek ulula,
A pod wódkę mi daj abalony!*

Jeden żyje nadzieją, temu karty się śmieją,

*Z alimentów też żyją matrony -
Dla dobrego kocura, jak dyktuje natura,
Najsmaczniejsze są mórz abalony!*

Czarnowłosa czarnooki mężczyzna o szelmowskiej twarzy satyra, który - o czym Saxon dowiedziała się później - był malarzem sprzedającym swoje płótna po pięćset dolarów sztuka, wzbudził powszechny zachwyty i poklask następującą strofą:

*Im się więcej ich zjada, tym liczniejsza gromada
Ślub za głębinach zawiera wnet słony -
Nie miej, bracie, obawy, bo nie pokpią tu sprawy,
Nie miej, Nie wyginą do cna abalony!*

I tak dalej, i dalej - śpiewali nowe i stare pieśni, pieśni na cześć i chwałę soczystego mięczaka z wybrzeży Karmelu. Radość Saxon była ogromna, bez mała ekstatyczna i niełatwo było jej uwierzyć że to wszystko dzieje się w rzeczywistości. Odnosiła wrażenie, że nagle ziściła się jakaś bajka czy opowieść z książki. Albo raczej jest to scena, ci ludzie zaś - aktorzy i że ona z Billem przez pomyłkę i w zgoła niezrozumiały sposób dostali się nagle na tę scenę. Wyczuwała intuicją wiele z dowcipu, którego nie była zdolna pojąć. Wiele dowcipu rozumiała. Zdawała sobie też sprawę, że są to igraszki inteligentnych umysłów - coś, czego nigdy dotąd nie widziała. Ta część jej natury, którą ukształtowało purytańskie wychowanie, dziwiła się i gorszyła niektórymi objawami swobody, Saxon jednak ani myślała osądzać. Ci beztroscy młodzi ludzie sprawiali wrażenie ludzi zacnych; nie byli ordynarni czy grubiańscy, jak wielu spośród tłumów na niedzielnych piknikach. Żaden z mężczyzn się nie upił, chociaż przywieźli ze sobą koktajle w termosach i duży gąsior czerwonego wina.

Największe wrażenie robiła na Saxon ich niepomiarkowana wesołość, dziecinna radość, z jaką się bawili, i dziecinny charakter ich zabawy. Wrażenie to podnosił jeszcze fakt, że byli powieściopisarzami i malarzami, poetami i krytykami, rzeźbiarzami i kompozytorami. Jeden z nich, mężczyzna o subtelnej, delikatnej twarzy - jak Saxon poinformowano, krytyk teatralny poważnego dziennika w San Francisco - dokonał czynu, który wszyscy mężczyźni starali się potem naśladować bezskutecznie i z najpocieszniejszym wynikiem. Na plaży ustawiono w regularnych odstępach deski stanowiące przeszkody. Krytyk teatralny na czworakach pogalopował przez piach do złudzenia naśladowując ruchy konia i jak koń biorąc przeszkody, dotarł do końca toru.

Przyniesiono na plażę krążki i przez jakiś czas miotano nimi z zapalem. Potem rozpoczęły się skoki i jedna gra następowała po drugiej. Bill uczestniczył we wszystkim, ale nie zdobywał pierwszego miejsca tak często, jak na to liczył. W rzucie oszczepem angielski pisarz był od niego lepszy o kilkanaście stóp. Jim Hazard zwyciężył go w podnoszeniu ciężkich głazów. Mark Hall - w skoku w dal z miejsca i z rozpędu. Ale w skoku wzwyż Bill zajął pierwsze miejsce. Mimo dużej wagi zawdzięczał to zwycięstwo wspaniale rozwiniętym mięśniom pleców i brzucha. Jednakże zaraz potem siostra Marka Halla, olśniewająca młoda amazonka w kostiumie przystosowanym do męskiego siodła, pchnęła go na samo dno rozpaczy; popróbował z nią sił w indiańskich zapasach i trzy razy wyciągnął się jak długi w haniebnym upadku.

- Walka z panem to dziecinna zabawka - drwił Żelazny Człowiek, czyli jak się dowiedzieli, w życiu codziennym Pete Bideaux. - Położę pana, jak zechcę, w wolnej amerykance.

Bill przyjął wyzwanie i przekonał się, że przyjaciele nadali Żelaznemu Człowiekowi słuszny przydomek. W obozach treningowych Bill boksował się i siłował z wielkimi mistrzami, jak Jim Jeffries lub Jack Johnson, nigdy jednak nie spotkał człowieka o sile Pete'a Bideaux. Chociaż Bill starał się, jak mógł, był zupełnie bezradny i dwukrotnie wgnieciony został plecami w piach.

- Będiesz miał okazję mu się wywdzięczyc - szepnął Billowi do ucha Hazard odprowadziwszy go na stronę. - Przyniosłem rękawice. To zrozumiałe, że w jego specjalności nie miałeś żadnej szansy. Siłował się w music-hallach londyńskich z Hackenschmidtem. Trzymaj język za zębami, a my wszystko urządzimy niby w przypadkowy sposób. Nie wie, że jesteś bokserem.

Niebawem Anglik, specjalista od rzutu oszczepem, rozpoczął zapasy z krytykiem teatralnym, a Hazard i Hall rozgrywali groteskowy mecz bokserski. Zdjąwszy rękawice zaczęli się rozglądać za następną odpowiednio zestawioną parą. Wybór padł oczywiście na Bideaux i Billa.

- Jeżeli go zaboli, może się zrobić bardzo nieprzyjemny - uprzedził Hazard Billa wiążąc mu rękawice. - Pochodzi ze starej francusko-amerykańskiej rodziny i ma piekielny temperament. Ale nie trać głowy i uderzaj go z lekka... jakkolwiek będziesz walczył, nie przestawaj go z lekka poklepywać.

„Łagodna walka”. „Żadnych awantur, Bideaux”. „Kilka lekkich ciosów, rozumiesz?” - takimi oto upomnieniami raczyli zebrani Żelaznego Człowieka.

- Chwileczkę - zwrócił się do Billa opuszczając ręce. - Kiedy mi się dostanie, wpadam

w złość. Ale niech pan nie zwraca na mnie uwagi. Rozumie pan, nie potrafię się opanować. To nachodzi mnie tylko na chwilę i zaraz mija.

Saxon była zdenerwowana, przed oczami stały jej obrazy krwawych walk Billa i jego bijatyk z łamistrajkami; ale nie widziała go nigdy na ringu i teraz wystarczyło dwóch minut, żeby wrócił jej spokój. Żelazny Człowiek nie miał żadnych szans. Bill był niepodzielnym panem sytuacji, zasłaniał gardą każdy cios przeciwnika, sam zaś dotykał lekkimi ciosami jego ciała i twarzy niemal w dowolnie wybranych momentach. Nie było siły w jego uderzeniach - ot, raczej szybkie i delikatne pacnięcia, ale bezustanne powtarzanie się tych uderzeń wyprowadziło Żelaznego Człowieka z równowagi. Na próżno widzowie ostrzegali go, aby się opanował. Twarz pociemniała mu z gniewu, ciosy stały się dzikie. Ale Bill nadal go tylko dotykał - pac, pac, pac, spokojny, łagodny, niewzruszony. Żelazny Człowiek stracił głowę, ciskał się i miotał wymierzając ciosy z wielkiego zamachu i o zabójczej sile. Bill robił uniki, uskakiwał, blokował, zasłaniał się nie ponosząc żadnej szkody. W zwarciach, które były nieuniknione, wzięił ramiona Żelaznego Człowieka i w każdym z tych zwarć Żelazny Człowiek śmiał się i przepraszał po to tylko, żeby mógł stracić głowę i przy pierwszym ciosie wpaść w tym większą wściekłość.

Gdy po skończeniu walki ujawniono tożsamość Billa, Żelazny Człowiek śmiał się wraz z innymi z tego żartu własnym kosztem. Walka Billa była wspaniałym popisem boksu. Jej mistrzowski poziom, niezwykle opanowanie boksera wywarły na zebranych bardzo korzystne wrażenie; Saxon, dumna ze swego chłopca-mężczyzny, widziała, że wszyscy go podziwiają.

Ona zaś też miała swoje triumfy towarzyskie. Gdy zmęczeni i spoceni zawodnicy odpoczywali na piachu, dała się uprosić i akompaniowała na *ukulele* ich nonsensownym piosenkom. A niebawem, wpadłszy w ogólny nastrój, śpiewała i uczyła ich dziwnych piosenek, których nauczył ją w dzieciństwie Cady, właściciel baru, pionier, były kawalerzysta i poganiacz wołów na szlaku Salt Lake w czasach, kiedy nie śniło się jeszcze nikomu o kolei. Zwłaszcza jedna piosenka zachwycała wszystkich:

O, Bitter Creek - to była historia nielicha!

Jak wół haruj, braciszku, a jak nie - to zdychaj!

Piasek w gardle - pył w oczach... Pośród słońca żaru

Zginaj grzbiet i wytrzymaj... Zdychaj albo haruj.

Gdy odśpiewano kilkanaście linijek, Mark Hall oznajmił, że jest wprost zakochany w:

*Obadierowi zdało się we śnie,
Że dziesięć mulów wiódł jednocześnie.
Kiedy się zbudził - westchnął głęboko:
Pierwszy mul kopnął drugiego w oko.*

Sam Mark Hall wspomniał o tym, że Bill wyzwał go do wyścigu wzdłuż południowego grzbietu skał, traktował jednak te zawody jako coś, co miało odbyć się w przyszłości. Był zaskoczony, gdy Bill oznajmił, że gotów jest stanąć do wyścigu w każdej chwili. Hall proponował, aby stawiali na niego, nie było jednak chętnych. Zaproponował Jimowi Hazardowi zakład dwa do jednego, ale Hazard potrząsnął głową i powiedział że trzy do jednego byłoby sportową propozycją. Słyszając to Bill zazgrzytał zębami.

- Zakładam się z panem o pięć dolarów - zwrócił się do Halla - ale w innej proporcji. Stawiam na siebie jeden do jednego.

- Kiedy ja nie chcę wygrać od pana, tylko od Hazarda - protestował Hall. - Przyjmuję jednak zakład z wami dwoma w stosunku trzy do jednego. W końcu Hall przyjął oba zakłady - jeden do jednego z Billem i trzy do jednego z Hazardem.

Ostry jak brzytwa grzbiet tak był wąski, że biegacze żadną miarą nie mogliby się wyminąć, toteż postanowiono, że Hall wystartuje pierwszy, Bill zaś w pół minuty po nim.

Hall stanął na linii startowej i na dany znak rozpoczął wyścig jak prawdziwy sprinter. Saxon zdrętwiała. Billowi nigdy nie udało się przebyć plaży z taką szybkością. Ruszył z linii startowej w pół minuty później i dotarł do podnóża skały, gdy Hall znajdował się w połowie jej wysokości. Gdy obaj byli już na szczycie i biegli do szczeliny, Żelazny Człowiek oznajmił, że zawodnicy wspięli się na skałę co do sekundy w tym samym czasie.

- Mój zakład wciąż nie wygląda źle - zauważył Hazard - ale mam nadzieję, że żaden z nich nie skręci karku. Nie ścigałbym się po tej skale nawet za tyle złota, ile by trzeba, żeby wypełnić tę zatokę.

- Za to narażasz się na większe niebezpieczeństwo pływając podczas sztormu na otwartym morzu.

- Och, tego bym nie powiedział. W każdym razie przy pływaniu nie grozi upadek z takiej wysokości.

Bill i Hall zniknęli okrążając cypel na końcu skał. Widzowie na brzegu uważali, że poeta zyskał nad Billem przewagę w zawrotnej walce o zwycięstwo na przepaściwym skalnym grzbiecie. Przyznawał to nawet Hazard.

- No i jak teraz wygląda mój zakład? - wołał z przejęciem podskakując w miejscu.

Hall ukazał się znów oczom zebranych, przeskoczył wielką szczelinę i biegł do brzegu. Ale Bill następował mu na pięty i z pięt mu nie zeszedł do brzegu, w dół skalnej ściany i przez piach ku mecie. Bill przyszedł pierwszy w czasie o pół minuty lepszym.

- To tylko według zegarka - wysapał z trudem. - Hall od początku do końca miał nadę mną przewagę ponad pół minuty. Nie jestem wolniejszy, niż myślałem, ale on jest szybszy. Ha! to piorun nie człowiek. Pobiłby mnie dziesięć razy na dziesięć, gdyby nie przypadek. Wysoka fala opóźniła mu skok. Tam go dogoniłem. Skoczyłem zaraz za nim - przy tej samej fali, a potem on nadał tempo do mety, no i ja już tylko musiałem je utrzymać.

- To wszystko prawda - powiedział Hall. - Ale chodzi o to, że nie tylko mnie zwyciężyłeś. Zrobiłeś coś więcej. Po raz pierwszy w historii Zatoki Bierce'a dwaj zawodnicy przeskoczyli szczelinę przy tej samej fali. I tyś ryzykował, bo byłeś drugi.

- Zwyczajny fuks - upierał się Bill.

W tym momencie Saxon zakończyła to współzawodnictwo skromności i wywołała huragan śmiechu. Brzękając na strunach *ukulele* odśpiewała parodię starego hymnu na modłę murzyńskich minstreli.

A Pan złośliwie, jako zwykły,

Popelnia swoje błędy.

Po południu Jim Hazard i Hall przedarli się przez zwał fal przybrzeżnych i popłynęli do skał na otwartym morzu, zmuszając do ucieczki lwy morskie i obejmując w posiadanie ich kamienne twierdze. Bill odprowadzał pływaków wzrokiem tak tęsknym, że pani Hazard zwróciła się do niego z następującymi słowami:

- A może byście się tak państwo zatrzymali w Karmelu przez zimę? Jim nauczy pana pływać na otwartym morzu. A sam marzy o treningu bokserskim z panem. Tyle godzin spędza przy biurku, że naprawdę potrzebne mu są ćwiczenia fizyczne.

Dopiero o zachodzie słońca wesoła gromada zaniósła swoje garnki, patelnie i worki z małżami na drogę i odjechała. Bill i Saxon patrzyli za nimi, gdy konno i na bryczkach znikali za najbliższym pagórkim; potem trzymając się za ręce wrócili przez zarośla do obozowiska. Bill rzucił się na piasek.

- Nie pamiętam, żebym był kiedy w życiu taki zmęczony - oznajmił ziewając. - Jedno jest pewne: nigdy, jak długo żyję, nie miałem takiego dnia. Warto jest żyć dwadzieścia lat,

żeby się go doczekać. Wyciągnął rękę do Saxon, która położyła się obok niego.

- Bill, byłam taka dumna z ciebie - powiedziała. Przecież ja nigdy nie widziałam jak się boksujesz. Mogłeś robić z Żelaznym Człowiekiem co ci się podobało, a mimo to nie byłeś ani gwałtowny, ani okrutny. Patrzenie na tę walkę sprawiało przyjemność. Wszyscy patrzyli z przyjemnością, widziałam to.

- Ha, muszę ci powiedzieć, że tobie też powiodło się niezgorzej. Oni wszyscy za tobą przepadają. Słowo daję, Saxon, w śpiewaniu razem z tym twoim *ukulele* biłaś ich wszystkich na głowę. I spodobałaś się kobietom, a to się najwięcej liczy.

Był to ich pierwszy triumf towarzyski, a smak takiego triumfu jest słodki.

- Pan Hall powiedział, że zajął do „Historii ze starych roczników” - mówiła Saxon. - Powiedział, że matka była prawdziwą poetką. Mówił, że to zdumiewa, jak wspaniali ludzie przyszedli tutaj przez prerie. Dowiedziałam się od niego o tych dawnych czasach i ludziach mnóstwo rzeczy, których nie wiedziałam. I wiesz, Bill? Czytał dokładny opis walki pod Little Meadow. Ma to w jednej książce w domu i obiecał mi, że jeżeli wrócimy do Karmelu, da mi ją do przeczytania.

- On naprawdę chce, żebyśmy wrócili. Wiesz, Saxon, co mi zaproponował? Dał mi list do jednego faceta, który ma farmę na ziemi rządowej... gospodaruje na czterdziestu akrach, a poza tym pisze wiersze. Będziemy się mogli u niego zatrzymać, jak złapią nas wielkie deszcze. I... och, właśnie to chciałem ci powtórzyć. Hall powiedział, że ma małą chałupinę, w której mieszkali, kiedy budował się ich dom. Zajmuje ją teraz Żelazny Człowiek, ale on wyjeżdża niedługo do katolickiego seminarium uczyć się na księdza, więc Hall powiedział, że moglibyśmy tam mieszkać, jak długo zechcemy. Mówił jeszcze, i że mógłbym robić to, co Żelazny Człowiek, i że zarobiłbym dość na życie dla nas obojga. Hall był trochę jakby zawstydzony, kiedy mi proponował pracę. Powiedział, że to byłaby tylko dorywcza robota, ale że na utrzymanie zarobię. Mówił na przykład, że miałbym mu pomagać sadzić kartofle. Ale prawie się wściekał, kiedy mi powiedział, że nie wolno mi rąbać drzewa. Uprzedzał mnie, że to jest jego robota i naprawię widziałem, że jest o nią zazdrosny.

- A pani Hall mówiła mniej więcej to samo - oznajmiła Saxon. - Myślę, Bill, że nie byłoby tak źle spędzić w Karmelu porę deszczową. I mógłbyś się uczyć pływać z panem Hazardem.

- Wygląda na to, że możemy się osiedlić, gdzie tylko mamy ochotę - rzekł Bill. - Karmel to już trzecie miejsce, jakie nam proponują. No, jedno jest pewne. Każdy człowiek może bez strachu próbować życia na wsi.

- Każdy wartościowy człowiek - poprawiła go Saxon.

- Chyba masz rację - przyznał Bill po namyśle. - Ale swoją drogą fajtlapy też mają lepsze widoki na wsi niż w mieście.

- Kto by pomyślał, że na świecie jest tyle wspaniałych ludzi - mówiła Saxon. - To naprawdę cudowne, jak się nad tym zastanowić.

- Niczego innego nie można się było spodziewać po bogatym poecie, który rzuca laskę między nogi biegaczowi na irlandzkim pikniku - dowodził Bill. - Paczka, z jaką taki facet się trzyma, musi być do niego podobna, a jakby takiej paczki nie było, sam by ją zorganizował. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby to on skrzyknął sobie tych ludzi. I słuchaj, Saxon, ta jego siostra to kawał dziewczyny, jakby tak ktoś podjechał na lwie morskim i cię o nią spytał. Indiańskie zapasy to dla niej dziecinna zabawka i zbudowana jest do tego odpowiednio. A jego żona nie jest wspaniała?

Jeszcze czas jakiś leżeli na ciepłym piachu. Bill pierwszy przerwał milczenie, a to, co powiedział, było najwyraźniej wynikiem głębokich medytacji.

- Wiesz co, Saxon? Nic a nic bym się nie zmartwił, gdybym już nigdy w życiu nie miał pójść do kina.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Saxon i Bill kilka tygodni wędrowali w kierunku południowym, w końcu jednak wrócili do Karmelu. Zatrzymali się u poety Haflera w jego Marmurowym Domu, który Hafler wybudował własnymi rękami. Ta dziwaczna budowla składała się z jednej jedynej izby i wzniesiona była prawie wyłącznie z marmuru. Hafler gotował jakby nad ogniskiem obozowym w ogromnym kominku, również marmurowym, który zastępował mu kuchnię. Pod ścianami stały półki na książki; masywne meble i wiązania dachu wykonane były z drzewa sekwoi. Saxon znalazła kącik dla siebie za pleciem rozpiętym w rogu. Poeta miał właśnie wyruszyć w drogę do San Francisco i Nowego Jorku, został jednak z nimi na jeden dzień, żeby im udzielić informacji i oprowadzić Billa po ziemi rządowej. Rankiem tego dnia Saxon prosiła, aby ją zabrali, ale Hafler odmówił pogardliwie, tłumacząc, że ma za krótkie nogi. Gdy wrócili wieczorem, Bill był doszczętnie wyczerpany. Przyznał otwarcie, że Hafler rozłożył go na cztery łopatki i że on, Bill, od pierwszej godziny szedł z wywieszonym językiem. Hafler obliczał, że przeszli tego dnia pięćdziesiąt pięć mil.

- Ale jakich mil! Połowa drogi do góry albo na dół, i przez cały prawie czas bez żadnej ścieżki - rozvodził się Bill. - I co za tempo! Miał świętą rację z tymi twoimi krótkimi nogami. Powiadam ci, Saxon, że po pierwszej mili miałabyś dosyć. A co za okolica! Jeszcześmy czegoś takiego nie widzieli.

Nazajutrz rano Hafler wyszedł wcześniej, żeby zdążyć na pociąg w Monterey. Pozwolił im korzystać swobodnie z Marmurowego Domu i prosił, aby zostali całą zimę, jeżeli będą mieli na to ochotę. Bill przeznaczył ten dzień na wypoczynek. Bolały go mięśnie i kości. Nie mógł wyjść z podziwu nad wytrzymałością, jakiej dowiódł w marszu poeta.

- W tych stronach każdy potrafi robić coś na piątkę - mówił z zachwytem. - Weź takiego Haflera. Jest wyższy ode mnie i waży więcej. A waga przeszkadza w chodzeniu. Wszystkim, tylko nie jemu. Powiedział mi, że kiedyś w dwadzieścia cztery godziny zrobił osiemdziesiąt mil, a innym razem przeszedł sto siedemdziesiąt w trzy dni. Powiadam ci, Saxon, że wystrychnął mnie na dudka. Wstydzilem się jak małe dziecko.

- Pamiętaj, Bill - pocieszała go Saxon - że każdy człowiek powinien mieć swoją specjalność. Ty robisz na piątkę to, co jest twoją specjalnością. Nie ma w tych stronach nikogo, kto byłby od ciebie lepszy w boksie.

- Masz chyba rację - zgodził się. - Ale swoją drogą człowiek może się chyba wściec, kiedy go drugi człowiek tak przegoni, że mu nogi odpadają. I to kto - poeta! Pomyśl, poeta!

Całe dni spędzali na wędrówkach po ziemi rządowej i w końcu, niechętnie, postanowili, że się tu nie osiedlą. Kaniony porosłe sekwojami i wysokie szczyty Santa Lucia urzekły Saxon; nie za zapomniała jednak, co jej mówił Hafler o letnich mgłach, za którymi słońce nikło niekiedy na tydzień lub dwa, a które przez długie miesiące snuły się nad ziemią. Co więcej, okolice były zupełnie odcięte od rynków zbytu. Odległość do Post, gdzie zaczynała się najbliższa droga, wynosiła wiele mil, ale na całym odcinku od Post przez Point Sur do Karmelu była to droga nużąca i niebezpieczna. Oceniając ją spojrzeniem woźnicy, Bill oznajmił, że przejazd ładownych wozów na pewno nie byłby tu sprawą łatwą. Na gruntach Haflera znajdowały się pokłady białego marmuru. Hafler powiedział że blisko linii kolejowej takie kamieniołomy warte by były fortunę; w tej sytuacji gotów był im je podarować.

Bill, który widział oczami wyobraźni stada koni i bydła wypasające się na trawiastych zboczach, z ciężkim sercem opuszczał te strony. Wysłuchał jednak ze zrozumieniem argumentów Saxon przemawiającej za tego rodzaju gospodarstwem; jakie widzieli w Oakland na filmie. Tak, przyznał, powinni mieć gospodarstwo wszechstronne i takie gospodarstwo zdobędą, choćby go mieli szukać przez najbliższe czterdzieści lat.

- Ale na tej naszej farmie muszą być sekwoje - zastrzegła się prędko Saxon. - Jestem w nich zakochana. I lepiej, żeby nie było mgły. A za to musi być koniecznie dobra droga bita i linia kolejowa w odległości nie większej niż sto mil.

Rzęsiste deszcze zimowe uwięziły ich na dwa tygodnie w Marmurowym Domu. Saxon znalazła rozrywkę wśród książek poety, chociaż większość ich wprost beznadziejnie przekraczała jej możliwości pojmowania; Bill wychodził na polowanie ze strzelbami Haflera. Był jednak kiepskim strzelcem i jeszcze gorszym myśliwym. Udawało mu się co najwyżej z królikami, które zabijał czasem, gdy stały spokojnie. Ze sztucera nie trafił ani razu, chociaż strzelał kilkakrotnie do jeleni i raz do ogromnego kocura o długim ogonie, który w jego przekonaniu był górskim lwem. Mimo że Bill gderał bezustannie na własną nieudolność, Saxon widziała, jak wiele radości przyczynia mu myślistwo. To opóźnione rozbudzenie myśliwskiego instynktu uczyniło zeń innego człowieka. Wychodził z domu wcześniej, wracał zaś późno i dni spędzał na dalekich włóczęgach i trudnych wspinaczkach. Pewnego razu dotarł aż do kopalni złota, o których wspominał Tom, i wrócił dopiero po dwóch dniach.

- Jak pomyślę, że mógłbym harować teraz w mieście i w niedzielę szukać rozrywki w kinie albo na piknikach! - wybuchał. - W głowie mi się nie chce mieścić, że mogłem wytrzymać takie życie! Tutaj powinienem być od początku albo w jakimś podobnym miejscu.

Porwało go to nowe życie, przypominały mu się wciąż stare historyjki myśliwskie ojca i opowiadał je Saxon.

- Popatrz, już mi mięśnie nie sztywnieją po całodziejnej włóczędze! - wołał rozradowany. - Przywykłem. A jak któregoś dnia spotkam się znów z tym Haflerem, zaproszę go na taką wędrówkę, że mu oczy wyjdą na wierzch ze zdumienia.

- Ach, ty głuptasie! - roześmiała się Saxon z zachwytem. - Zawsze chciałbyś robić to, co inni, i być mistrzem w cudzych specjalnościach.

- A tak, masz chyba rację - mruknął. - Hafler zawsze będzie lepszym piechurem ode mnie. Tak już jest zbudowany. Ale swoją drogą jak go kiedyś spotkam, poproszę, żeby włożył rękawice... Tylko że się zachowam przyzwoicie i nie zmęczone go tak, jak on mnie zmęczył.

Gdy minęli Post w powrotnej wędrówce do Karmelu, stan drogi przekonał ich naocznie, jak mądra była decyzja nieosiedlania się na ziemi rządowej. Zobaczyli przewrócony wóz farmerski, inny wóz ze złamaną osią i brek pocztowy, który runął sto jardów w dół górskiego zbocza wraz z końmi, pasażerami i kawałem obsuniętej drogi.

- Myślę, że w zimie przestaną chyba używać tej drogi - powiedział Bill. - Ludziom i koniom grozi na niej śmierć i gdzie tu marzyć o transporcie marmuru na ciężkich wozach!

Osiedlenie się w Karmelu przyszło im bez trudu. Żelazny Człowiek wyjechał już do seminarium katolickiego, a chałupka, o której wspominał Hall, okazała się trzypokojowym domem, wygonie umeblowanym i wyposażonym. Hall oddał Billowi pod opiekę zagon ziemniaków - pole o powierzchni trzech akrów, które poeta uprawiał nieumiejętnie, lecz ku nieopisanemu radości swej paczki. Sadził ziemniaki o wszystkich możliwych porach roku i społeczność godziła się z faktem, że co nie zgniło w ziemi, dzielone było równomiernie między krety i krowy wchodzące w szkodę. Teraz Hall pożyczył pług wraz z zaprzęgiem i Bill przystąpił do roboty. Ponadto ogroził cały zagon, a gdy to skończył, wziął się do malowania gontów na dachu bungalowu. Wdrapawszy się na ogrodzenie drwalki Hall raz jeszcze ostrzegł Billa, żeby się trzymał z daleka od jego stosu drewna. Któregoś ranka Hall przyszedł, gdy Bill rąbał dla Saxon drzewo na opał. Przyglądał się pożądanym okiem pracy Billa, ale w końcu nie wytrzymał.

- Przecież pan nie ma pojęcia, jak się obchodzić z siekierą - rzekł pogardliwie.

- Niech pan mi da, pokażę panu. Pracował z zapalem przez godzinę, cały czas wygłaszając wykład o sztuce rąbania drzewa.

- No proszę - utyskiwał Bill, gdy wreszcie tamten oddał mu siekierę. - Będę teraz musiał narąbać dla pana cały sążen, żeby się panu jakoś odwdzięczyć.

Hall niechętnie oddał mu siekierę.

- Niech mi się pan nie zbliża do mojego drzewa - rzekł z pogroźką w głosie. - Moja

drwalnia to moje królestwo i radzę o tym pamiętać.

Saxon i Bill odkładali teraz sporo pieniędzy. Nie płacili za komorne, skromne jedzenie kosztowało ich niewiele, a Bill mógł mieć tyle pracy, ile tylko zechciał. Wyglądało na to, że członkowie paczki Halla założyli spisek, aby dostarczyć mu odpowiedniego zajęcia. Były to tylko zajęcia dorywcze, ale Billowi taki układ szczególnie odpowiadał, mógł bowiem dostosowywać swój rozkład dnia do Jima Hazarda. Co dzień trenowali boks i wypływali daleko na otwarte morze. Gdy Hazard kończył poranne pisanie, wołał przez las do Billa, który natychmiast rzucał każde swoje zajęcie. Po skończonym pływaniu brali prysznic w domu Hazarda, masowali się nawzajem wedle zwyczaju przyjętego na obozach treningowych i byli gotowi do południowego posiłku. Po obiedzie Hazard siadał znów do biurka, Bill zaś wracał do pracy na dworze, jednakże pod wieczór umawiali się często na kilkumilowy bieg po wzgórzach. Ćwiczenia fizyczne były dla obu mężczyzn nawykiem. Hazard wiedział, jak straszna śmierć oczekuje atletów, którzy nagle przerywają trening, gdy więc rzucił po siedmiu latach futbol, chcąc nie chcąc musiał utrzymywać się w dobrej kondycji. Ale nie była to już teraz konieczność; z czasem polubił trening. Bill też lubił trenować, gdyż udoskonalanie sił i mięśni sprawiało mu wielką przyjemność.

Często o świcie brał strzelbę do ręki i wychodził z Markiem Hallem, który uczył go strzelać i polować. Hall zaczął się posługiwać strzelbą jeszcze w dzieciństwie; jego bystry, wszystkowiedzący wzrok i znajomość dzikiego życia zwierząt były dla Billa objawieniem. W okolicach Karmelu, nazbyt gęsto zaludnionych, nie spotykało się dużej zwierzyny, Bill dostarczał jednak Saxon wiewiórek i przepiórek, amerykańskich szarych królików, bekasów i dzikich kaczek. Przywykli jeść kaczory i kaczki przygotowywane na sposób kalifornijski - szesnaście minut w bardzo gorącym piecu. A gdy nauczył się władać dubeltówką i sztucerem, zaczął żałować jeleni i lwa górskiego, do których spudłował, i do warunków, jakim odpowiadać musiała wymarzona przez nich farma, dodał obfitość zwierzyny.

Ale życie w Karmelu nie upływało na samej tylko rozrywce. Ta część miejscowego społeczeństwa, którą Bill i Saxon poznali, to jest „paczka Halla”, składała się z ludzi ciężko pracujących. Niektórzy pracowali regularnie, od wczesnego ranka lub do późnej nocy. Inni pracowali jakby spazmatycznie - na przykład ów szalony irlandzki dramaturg, który zniknął niekiedy na tydzień, a potem zjawiał się znów, blady i o ściągniętych rysach, i w szaleńczej zabawie wykorzystywał każdą chwilę przed następnym spazmem pracy. Blady i młodociany ojciec rodziny o twarzy Shelleya, który pisał piosenki wodewilowe dla zarobku, tragedie zaś białym wierszem i sonety ku utrapieniu dyrektorów teatrów i wydawców, zamykał się w celi z betonu o ścianach grubych na trzy stopy i tak urządzonej, że od jednego pociągnięcia rączki

ze ścian tryskała woda na zbliżającego się intruza. Na ogół jednak szanowali wzajemnie swoje godziny pracy. Odwiedzali się w domach, kiedy przyszła im na to ochota, ale jeżeli zastali kogoś przy pracy, natychmiast szli w swoją stronę. Odnosiło się to do wszystkich prócz Marka Halla, który nie musiał zarabiać na życie; on zaś, w ucieczce przed popularnością, wdrapywał się na czubki wysokich drzew i tam pracował w spokoju.

Paczka była unikatem demokratyczności i solidarności. Z trzeźwą i konwencjonalną częścią Karmelu łączyły ją luźne tylko stosunki. Do tej grupy należała arystokracja literatury i sztuki, nazwana pogardliwie przez paczkę Halla grupą mieszczańską. Ludzie ci z kolei patrzyli niechętnym okiem na paczkę, uważając ją za rozhukaną cyganerię artystyczną. Owa niechęć rozciągała się na Saxon i Billa. Bill przyjął postawę solidarną z klanem i nie starał się o pracę w przeciwnym obozie. Nikt mu zresztą tej pracy nie ofiarowywał.

Hall prowadził dom otwarty. Ogromny salon z potężnym kominkiem, kanapami, półkami na książki, stolikami pełnymi książek i czasopism był ośrodkiem życia. Saxon i Bill byli tu tak mile widziani, jak reszta paczki i czuli się jak w domu. Jeżeli nie prowadzono tu słownych batalii na wszelkie możliwe tematy, Bill grywał w mordercze pedro, w wista, brydża. Saxon, ulubienica młodych kobiet, szyła z nimi, uczyła ich pięknych haftów, sama od nich uczyła się nie znanych wzorów.

Zanim minął pierwszy tydzień ich pobytu w Karmelu, Bill zwrócił się do Saxon nieśmiało:

- Wiesz... nie masz pojęcia, jak mi brak tych twoich wszystkich ślicznych szmatek. A może byś tak napisała do Toma, żeby je tu przysłał pośpieszną przesyłką? Jak będziemy wyruszali w drogę, odeślemy je z powrotem.

Saxon napisała list do Toma i cały ten dzień serce jej śpiewało radośnie. Bill, jej mężczyzna, jest jej kochankiem. W oczach pojawiły mu się znów wszystkie dawne ognie, które wygasły w koszmarnym okresie strajku.

- Nie ma co, nie brak tu ładnych dziewczyn, ale żadna z nich nie może się nawet z tobą równać - powiedział. - Och, tak czy siak, kocham cię na śmierć i życie. Ale jak Tom nie wyśle tych rzeczy, będzie pogrzeb.

Hall i jego żona mieli parę koni pod wierzch, które trzymane były w stajniach w miasteczku, i tu naturalnie ciągnęło Billa. Stajnie obsługiwały dylizans i przewoziły pocztę z Karmelu do Monterey. Ponadto wynajmowały powozy i wózki górskie mieszczące dziewięciu pasażerów. Często brakło woźniców i wtedy śpiesznie wzywano Billa. Stał się dodatkowym pracownikiem stajni. Otrzymywał trzy dolary za dzień i woził turystów drogą Siedemnastej Mili do doliny Karmel i dalej nad brzeg oceanu do rozmaitych zakątków i na plażę.

- Ale większość ich mocno zadziera nosa - powiedział do Saxon. - Nic, tylko ciągle: „Niech pan Roberts to... niech pan Roberts tamto... „ - najrozmaitsze ceregiele, byleby tylko nie zapomniał, że oni uważają się za coś lepszego ode mnie. Bo widzisz, służącym nie jestem, ale do towarzystwa też się broń Boże nie nadaję. Tfu! Kiedy jedzą obiad, dają mi gdzieś na boku albo kiedy sami skończą posiłek. A ta dzisiejsza banda w ogóle nic mi nie dała. Od dzisiaj będę zabierał ze sobą obiad. Nie chcę tym przeklętym chłystkom za nic dziękować. A chybabyś umarła, jakbyś zobaczyła takiego jednego, który chciał mi dać napiwek! Nie powiedziałem mu ani słowa. Patrzyłem na niego, jakby to było powietrze, a potem, po chwili, odwróciłem się niby niechcący i tak go zostawiłem. Miał minę zmieszaną jak wszyscy diabli.

Mimo to Bill lubił te jazdy, zwłaszcza gdy brał lejce do ręki i powoził nie czwórką powolnych koni roboczych, lecz czwórką szybkich, zwinnych zwierząt; gdy trzymając nogę na potężnym hamulcu, brał w szalonym tempie zakręty i mknął po zawrotnych serpentynach przy akompaniamencie przerażonych kobiecych wrzasków. Jeżeli zaś idzie o ocenę koni i leczenie chorych lub zranionych zwierząt, nawet właściciel stajni przyznawał mu pierwszeństwo.

- Mógłbym u niego w każdej chwili dostać stałą pracę - chwalił się spokojnie Saxon. - Przecież tu na wsi dla facetów jako tako do rzeczy jest pracy tyle, co grzybów po deszczu. Mogę się z miejsca założyć o wszystko, że jakbym chciał wziąć stałą pracę za sześćdziesiąt dolarów na miesiąc, pryncypał przyjąłby mnie z otwartymi rękami. Dawał mi to już do zrozumienia. Aha! I czy ty wiesz, że twój wierny podnózek nauczył się nowego zawodu? A jakże, nauczył się. Mógłby wszędzie na świecie przyjąć pracę woźnicy dyliżansu. W Lake County zaprzęgają niektóre dyliżanse w szóstkę koni. Jak tam kiedyś dotrzemy, pokumam się z jakimś woźnicą i wezmę od niego lejce takiej szóstki. I posadzę cię obok siebie na koźle. To jest jazda! Ach, to jest jazda!

Bill okazywał małe zainteresowanie dla licznych dyskusji prowadzonych w wielkim salonie Halla. Przelewanie z pustego w próżne - tak je nazywał. Był to dla niego czas stracony - czas, który można było wykorzystać na partyjkę pedro, na pływanie w morzu i zapasy na gorącym piachu. Natomiast Saxon rozkochała się w tych walkach słownych, aczkolwiek niewiele z nich rozumiała i śledziła je raczej intuicją, tylko z rzadka dostrzegając jasne światło w mroku.

Nie mogła zaś żadną miarą zrozumieć pesymizmu, który często dźwięczał w ich słowach. Szalony irlandzki dramaturg miewał okresy straszliwej depresji. Shelley, który pisał piosenki do wodewilów, był chronicznym pesymistą. St. John, młody publicysta, należał do

anarchicznych wyznawców Nietzschego. Masson, malarz, wyznawał doktrynę wiecznej powtarzalności zjawisk, która była przerażająca. A Hall, tak zazwyczaj pogodny, mógł prześcignąć ich wszystkich, gdy zaczynał się rozwodzić nad kosmicznym patosem religii lub pozbawionym sensu antropomorfizmem wyznawanym przez ludzi, którzy nie chcą umierać. W takich chwilach Saxon wpadała w przygnębienie z winy tych smutnych dzieci sztuki. Nie mogła wprost pojąć, dlaczego spośród wszystkich ludzi właśnie oni mają być tak nieszczęśliwi.

Pewnego wieczoru Hall zwrócił się niespodziewanie do Billa, który z trudem starał się śledzić tok dyskusji i rozumiał tylko jedno: że dla tych ludzi życie jest złe i nic niewarte.

- Hej, ty poganinie! Ty przyziemny, umięśniony wołu! Ty monstrum zarozumiałstwa, niepożytego zdrowia i radości! Co ty o tym myślisz?

- Och, miewałem swoje zmartwienia - odparł Bill w zwykły sobie powolny sposób. - Miewałem ciężkie chwile... walczyłem w strajku bez żadnych widoków wygranej, zastawiałem zegarek, nie miałem na zapłacenie komornego i na kupno jedzenia, rozbijałem głowy łamistrajkom i sam nieraz obrywałem, siedziałem w więzieniu za to, że zrobiłem z siebie głupca. Jeżeli dobrze was zrozumiałem, lepiej jest być spasioną świnia tuczoną na targ i nie przejmującą się niczym niż facetem, któremu flaki się przewracają z tego, że nie wie, jak jest rządony świat... ani jaki jest sens wszystkiego.

- To ci się udało... ta spasiona świnia - rzekł poeta ze śmiechem. - Możliwie jak najmniej podniety, możliwie jak najmniej wysiłku. Kompromis nirwany z życiem. Możliwie jak najmniej podniety, możliwie jak najmniej wysiłku - idealna egzystencja. Meduza unosząca się w nieruchomym, ciepłym, mrocznym morzu.

- Ale tracisz w ten sposób wszystkie dobre rzeczy w życiu - sprzeciwiał się Bill.

- Wymień je! - zażądał poeta.

Bill milczał przez chwilę. Jemu życie wydawało się czymś wielkim i hojnym. Odczuwał jak gdyby tęskny ból w ramionach, że nie może objąć go całego. Zacinając się, z wahaniem, zaczął przyoblekać uczucia w słowa:

- Gdybyś stał kiedy na ringu i przez dwadzieścia rund walczył i zwyciężał człowieka w niczym ci nie ustępującego, zrozumiałbyś, co mam na myśli. Rozumiemy to obaj z Jimem Hazardem, kiedy wypływamy na morze i drwimy sobie z najgroźniejszych fal, kiedy wychodzimy spod prysznicu, kiedy wymasowani i ubrani mamy takie wrażenie, jakby nasza skóra i nasze mięśnie były z najwspanialszego jedwabiu, kiedy nasze ciała i nasze mózgi aż drżą od siły...

Umilkł zrezygnowany. Nie potrafił wyrazić myśli, które w najlepszym wypadku były

mgliste, a w rzeczywistości były zaledwie zapamiętanymi odczuciami.

- Ciało we wspaniałej kondycji... znasz coś lepszego? - zakończył niezręcznie, czując, że nie zdołał utrafić w sedno, zmieszany uwagą słuchaczy.

- Wszystko to znamy na pamięć - odciął się Hall. - Oszustwo ciała. Potem przychodzi reumatyzm i cukrzyca. Wino życia uderza do głowy, ale nazbyt prędko zmienia się w...

- W kwas moczowy - wpadł mu w słowa szalony dramaturg irlandzki.

- Jest jeszcze dużo dobrych rzeczy w życiu - powiedział Bill. Słowa nagle same zaczęły mu się cisnąć na usta. - Dużo dobrych rzeczy... od soczystego befsztyka i takiej kawy, jaką podaje pani Hall, do... - Zawahał się, a potem skoczył na głęboką wodę. - Do kobiety, którą się kocha. Spójrzcie na Saxon, jak siedzi z tym swoim *ukulele* na kolanach. To dlatego mogę wylać meduzę do pomyj, a świnie tuczoną na śmierć obedrzeć ze skóry.

Kobiety zaczęły bić brawo i głośnymi okrzykami wyrażały swą pochwałę, Bill miał minę boleśnie speszoną.

- Ale założmy, że stracisz swoją wspaniałą kondycję i twoje ciało zacznie przypominać rozklekotane, zardzewiałe taczki - nastawał Hall. - Założmy... tylko założmy, że Saxon ucieknie z innym mężczyzną. Co wtedy?

Bill zastanawiał się przez chwilę.

- Wtedy pewnie będę głosował za pomyjami i meduzą - powiedział. Wyprostował się w krześle i bezwiednie odciągnął do tyłu ramiona, naprężając jednocześnie mięśnie i dotykając ich ręką. Potem jeszcze raz spojrział na Saxon. - Ale Bogu dzięki potrafię jeszcze mocno grzmocić lewym ramieniem i prawym ramieniem i mam żonę, którą mogę nimi objąć.

Kobiety znowu zaczęły klaskać, a pani Hall zawołała:

- Spójrzcie na Saxon! Ona się rumieni!... A co ty nam możesz powiedzieć od siebie?

- Że nie ma chyba kobiety ode mnie szczęśliwszej - odparła zacinając się - ani dumniejszej królowej. I że...

Dokończyła myśli uderzając w struny *ukulele* i śpiewając:

A Pan złośliwie, jako zwykły,

Popęlnia swoje błędy.

- Zwyciężyłeś mnie - uśmiechnął się Hall do Billa.

- Och, tego wcale nie jestem pewien - rzekł skromnie Bill. - Przeczytałeś tyle książek, te musisz znać się na wszystkim dużo lepiej ode mnie.

- Och! Ach! Zdrajca! Wycofał się! - wołały kobiety.

Bill zebrał odwagę, uspokoił je swoim powolnym uśmiechem i powiedział:

- Swoją drogą wolę być sobą niż chorować na książkową niestrawność. A jeżeli idzie o Saxon, to jeden jej pocałunek wart jest więcej niż wszystkie biblioteki świata.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Muszą być koniecznie pagórki i doliny, żyzna ziemia, strumyki z czystą wodą, dobra droga, kolej niezbyt daleko. mnóstwo słońca, noce na tyle chłodne, żeby trzeba się było przykrywać pledami, i nie tylko same sosny, ale dużo innych gatunków drzew, szerokie, otwarte przestrzenie, żeby miały się gdzie wypasać konie i trzody Billa, dużo jeleni i królików, żeby Bill mógł polować, i zatrzesienie sekwoi, i... i ani odrobiny mgły - zakończyła Saxon opis farmy, której szukają z Billem.

Hall roześmiał się zachwycony.

- I wszędzie na drzewach słowiki - zawołał. - Kwiaty, które nie przekwitają, pszczoły bez żądań, miodowa rosa co rano, manna spadająca z nieba, fontanny młodości i kamieniołomy kamienia filozoficznego. Ach, znam takie miejsce. Chodź, Saxon, to ci je pokażę.

Czekała, podczas gdy on przeszukiwał stanową mapę dróg. Gdy to okazało się daremne, wyciągnął ogromny atlas, ale chociaż były na nim wszystkie kraje świata, nie znalazł tego, czego szukał.

- To nic - powiedział. - Przyjdź wieczorem, a pokażę ci takie miejsce.

Tego wieczoru zaprowadził ją na werandę do teleskopu i Saxon zobaczyła przed sobą tarczę księżycy w pełni.

- Gdzieś tam w którejś z dolin znajdziesz swoją farmę - rzekł z żartobliwą złośliwością.

Gdy wrócili do pokoju, pani Hall spojrzała na nich pytająco.

Pokazywałem jej dolinę na księżycu, gdzie ma zamiar założyć farmę - roześmiał się.

- Kiedyśmy wyruszyli z Oakland - powiedziała Saxon - byliśmy gotowi przejść każdą odległość. Jeżeli ma to być księżyc, myślę, że chyba tam zajdziemy.

- Ale moje dziecko! Nie możesz liczyć na to, że znajdziesz taki raj na ziemi - przekonywał ją Hall. - Na przykład: nie możesz mieć sekwoi bez mgły. Sekwoje i mgła są nierozłączne. Te drzewa rosną tylko w pasie mgły.

Saxon zastanawiała się chwilę.

- Och, myślę, że z odrobiną mgły dalibyśmy sobie radę - powiedziała. - Zgodzę się prawie na wszystko, byleby mieć sekwoje. Nie wiem, jak wyglądają kamieniołomy kamienia filozoficznego, ale jeżeli są podobne do pokładów marmuru pana Haflera, wytrzymałybyśmy chyba ich sąsiedztwo. A co do tej rosy miodowej, to nie trzeba chyba chodzić po nią na

księżyc. W stanie Nevada zdejmuje się ją z liści niektórych krzaków. Wiem, że tak jest na pewno, bo mój ojciec mówił o tym mojej matce, a ona mnie powiedziała.

Ponieważ temat rolnictwa zaprzętał ich wszystkich, nieco później Hall rozpoczął mowę oskarżycielską przeciwko „rajowi szulerów”, jak określał Stany Zjednoczone.

- Ach, jak się pomyśli o tej wspaniałej szansie! - zawołał. - Nowy kraj, otoczony oceanami, położony we właściwej szerokości geograficznej, o żyzniejszej ziemi i bogatszych skarbach naturalnych niż jakikolwiek inny kraj na świecie, skolonizowany przez imigrantów, którzy odrzucili pęta starego świata i przyszedli tu w nastroju sprzyjającym demokracji. Tylko jedna jedyna rzecz mogła im przeszkodzić w udoskonaleniu tej demokracji, którą zaczęli budować. Tą rzeczą była chciwość.

Zaczęli zreć wszystko, co było na widoku - jak świnie. A gdy tak żarli, demokrację diabli wzięli. Żarcie zamieniło się w karciany hazard. Naród stał się narodem karciarzy. Jeżeli ktoś postawił na złą stawkę i przegrał, wystarczyło mu przejść przez granicę kilka mil na zachód i zdobyć nową stawkę. Przeciągali przez kraj jak szarańcza. Niszczyli wszystko - Indian, ziemię, lasy, podobnie jak niszczyli bawoły i dzikie gołębie. Ich moralność w biznesie i polityce była moralnością szulera. Ich prawa były prawami hazardu - jak rozgrywać grę. Każdy grał. A więc - niech żyje hazard! Nikt nie protestował, bo nie było takich, którzy by nie mogli grać. Jak mówiłem, kto przegrywał, gnał dalej na zachód przez granicę - po nowe stawki. Ktoś, kto dziś wygrywał, jutro mógł stracić wszystko, a pojutrze znowu wyciągnąć najwspanialszy atut.

Tak więc żarli i uprawiali hazard od Atlantyku po Pacyfik, aż zaświnili cały kontynent. A kiedy już się załatwili z ziemią, lasami i kopalniami, z powrotem odbyli i całą drogę grając o każdą najmniejszą stawkę, którą przeoczyli, grając o przywileje i monopole, używając polityki do ochrony swych lajdackich gier i znaczonych kart. A demokrację diabli wzięli.

Potem zaczęła się najśmieszniejsza zabawa. Ci, co przegrali, nie mogli już znaleźć nowych stawek, podczas gdy ci, co wygrali, dalej uprawiali hazard między sobą. Przegrywający mogli już tylko trzymać ręce w kieszeniach i przyglądać się grze. A kiedy poczuli głód, poszli do szulerów, którym się powiodło, zdjęli kapelusze i poprosili o pracę. Ci, co przegrali, zaczęli pracować dla tych, co wygrali, i do dziś dla nich pracują, a demokracja zboczyła z drogi i poszła sobie w najdziksze góry. Ty, Bill, nigdy w życiu nie przyłożyłeś ręki do gry. Dlatego, że twoi rodzice przegrali.

- A co z tobą? - spytał Bill. - Nie widziałem, żebyś trzymał kartę w ręce.

- Ja nie muszę. Ja się nie liczę. Jestem pasożytem.

- Co to znaczy?

- Pchła, kleszcz skórny - wszystko, co dostaje coś za nic. Tuczę się wczepiony w parchatą skórę robotników. Nie muszę grać. Nie muszę pracować. Ojciec zostawił mi dość swoich karcianych zysków. Och, nie wbijaj się w dumę, mój chłopcze. Twoi rodzice nie byli lepsi od moich. Tylko że twoi przegrali, a moi wygrali, i dlatego ty uprawiasz moje zagony ziemniaków.

- Wcale tak nie uważam - powiedział Bill z przekonaniem. - Człowiek z krzepą może dzisiaj też wygrać...

- Na ziemi rządowej? - spytał Hall prędko.

Bill przełknął i przyznał w duchu, że strzał był celny.

- Ale mimo to może wygrać - podjął na nowo.

- Z pewnością. Zdobędzie pracę - u drugiego człowieka. Młody siłacz jak ty, z olejem w głowie, wszędzie dostanie pracę. Ale pomyśl, w o ile gorszej sytuacji są inni którzy przegrali. Ilu trampów spośród tych, których spotykałeś na drodze, otrzymałoby pracę przy powożeniu czwórką koni w stajni wynajmującej powozy w Karmelu? A niektórzy z nich byli w młodości tak silni jak ty. Co więcej, do wielkich rzeczy nie dojdiesz. To jest upadek na łeb i szyję - od gry hazardowej o kontynent do gry hazardowej o pracę.

- Mimo to... - zaczął Bill ponownie.

- A tak, masz to we krwi! - uciął Hall błyskawicznie. - Zresztą dlaczego byś miał nie mieć? Wszyscy w tym kraju uprawiali szulerską grę od pokoleń. Atmosfera szulerni otaczała cię, kiedyś się rodził. Wdychałeś ją przez całe życie. Chociaż nigdy w życiu nie miałeś jednej karty w ręku, wciąż się rwiesz do gry, wciąż marzysz o hazardzie.

- Ale co my mamy robić... my wszyscy, którzyśmy przegrali? - spytała Saxon.

- Powinniście zawołać policję i zażądać przerwania gry - poradził Hall. - To jest gra oszukańcza.

Saxon zmarszczyła brwi.

- Zróbcie to, czego nie zrobili wasi ojcowie - dodał. - Udoskonalcie demokrację.

Saxon przypomniała sobie słowa Mercedes.

- Moja przyjaciółka mówiła, że demokracja jest czarem rzucanym na ludzi.

- To prawda. Jest czarem rzucanym na ludzi - w szulerni. W naszych szkołach są teraz miliony chłopców, którzy przełknęli gładko kłamstwo o awansie z chłopca na posyłki na prezydenta Stanów Zjednoczonych, a miliony zacnych obywateli śpią co noc spokojnie w przekonaniu, że mają udział w rządzeniu krajem.

- Mówisz jak mój brat Tom - powiedziała Saxon, przestając rozumieć. - Jeżeli

wszyscy zajmujemy się polityką i będziemy ze wszystkich sił walczyli o coś lepszego, może otrzymamy to za jakieś tysiąc lat. A ja chcę tego teraz. - Zaciśnęła namiętnie ręce. - Ja nie mogę czekać. Ja chcę tego teraz.

- Właśnie o tym wam mówię, droga moja - odparł Hall. - Na tym polega cały kłopot z tymi, co przegrywają. Nie mogą czekać. Chcą tego teraz - garści sztonów i miejsca przy karcianym stoliku. No cóż, nie dostaną ich teraz. To samo dotyczy ciebie - pogoń za doliną na księżycu! To samo dotyczy Billa, który tęskni do szansy wygrania ode mnie dziesięciu centów przy pedro i przeklina pod nosem to nasze „przelewanie z pustego w próżne”.

- Ojej!... Byłby z ciebie pierwszorzędny agitator wiecowy - zauważył Bill.

- To prawda. Byłbym agitatorom wiecowym, gdybym nie miał do wydawania nieuczciwie zdobytej wygranej mojego ojca. Zresztą - to nie moja sprawa. Niech gniją. Gdyby się dostali na górę, byłiby takimi samymi łajdakami. To wszystko jest jedno bagno - ślepe nietoperze, zgłodniałe świnię, drapieżne sepy.

Tu pani Hall włączyła się do rozmowy.

- Słuchaj, Mark, jeżeli nie przestaniesz, naprawdę wpadniesz w depresję.

Ruchem głowy odrzucił lok włosów z czoła i roześmiał się z wysiłkiem.

- Nie, nie wpadnę - zapewnił ją. - Mam zamiar wyciągnąć dziesięć centów od Billa w partyjce pedro. On nie podgląda.

Saxon i Bill rozkwitli w ludzkiej, serdecznej atmosferze Karmelu. We własnych oczach nabrali większej wartości. Saxon czuła, że jest czymś więcej niż prasowaczką w pralni i żoną zrzęzonego woźnicy. Nie więziły jej już ciasne granice robotniczego sąsiedztwa na ulicy Sosnowej. Powodziło im się lepiej fizycznie, materialnie i duchowo i wszystko to znajdowało odbicie w wyrazie ich twarzy, w ich postawie. Saxon wiedziała, że Bill nigdy nie był tak przystojny i nigdy nie znajdował się w tak wspaniałej kondycji. Bill przysięgał, że ma harem i że ona jest jego drugą żoną - dwa razy piękniejszą od tej, z którą się ożenił. A Saxon przyznała mu się z ociąganiem, że pani Hall i kilka innych kobiet zachwyciły się jej ciałem, gdy któregoś dnia poszły się kąpać dla ochłody w rzece Karmel. Otoczyły ją kołem, nazywały Wenus z Milo i kazały jej przybierać inne pozy.

Bill rozumiał wzmiankę o Wenus, gdyż w salonie Halla stała marmurowa rzeźba bez rąk i poeta powiedział, że świat wielbi tę postać jako ideał kobiecych kształtów.

- Zawsze mówiłem, że bijesz Anetę Kellerman na głowę - powiedział Bill. A tak pełen

dumy i tak władczy był wyraz jego twarzy, że Saxon oblała się rumieńcem, zadrżała i ukryła rozplamioną twarz na jego piersi.

Mężczyźni z paczki otwarcie wielbili Saxon, w sposób jawny i uczciwy. Lecz Saxon nie popełniła błędu. Nie straciła głowy. Nie wchodziło to w ogóle w rachubę, gdyż jej miłość do Billa była silniejsza niż kiedykolwiek. Ale nie przeceniała go także. Patrzyła na niego trzeźwo i kochała go z otwartymi oczami. Nie miał wykształcenia, nie znał się na sztuce, jak ci inni mężczyźni. Z gramatyką był na bakier; wiedziała o tym, tak jak wiedziała, że nigdy nie nauczy się mówić poprawnie. A mimo to nie zamieniłaby go na żadnego z nich, nawet na Marka Halla o królewskim sercu, którego kochała uczuciem podobnym do uczucia, jakim darzyła jego żonę.

Zresztą dostrzegała w Billu pewne zdrowie duchowe, dostrzegała prawość i czystość, które ceniła bardziej niż wykształcenie i konto bankowe. Dzięki temu właśnie zdrowiu, prawości i czystości Bill zwyciężył Halla w dyskusji tamtego wieczoru, gdy poeta rzucił się w odmęt pesymizmu. Bill zwyciężył go nie za pomocą broni nauki, lecz po prostu tym, że był sobą i wypowiadał prawdę, która w nim tkwiła. Co bardziej było zdumiewające, to że nie zdawał sobie sprawy z tego, iż zwyciężył Halla, i potraktował aplauz kobiet jako dobrotliwe drwiny. Ale Saxon wiedziała, chociaż nie umiałaby wytłumaczyć, na czym opiera swoją pewność. Nie zapomni nigdy, jak żona Shelleya wyszeptwała później, spoglądając na nią błyszczącymi oczami: - Ach, Saxon, jaka ty musisz być szczęśliwa.

Gdyby Saxon musiała wyrazić w mowie, co znaczy dla niej Bill, uczyniłaby to jednym jedynym słowem: mężczyzna. Zawsze był dla niej przede wszystkim mężczyzną. Zawsze słowo to, w całej swojej wspaniałości, było jego synonimem. MEŹCZYŻNA. Niekiedy, gdy była sama, doprowadzała się niemal do łez z radości na wspomnienie pewnego drobiazgu: sposobu, w jaki Bill informował niektórych napastliwych mężczyzn, że nadepnęli sobie na nogę... „Nadepnąłeś sobie na nogę. Radzę ci zejść, bracie”. Oto Bill! Było to dla niego tak cudownie typowe! I ten Bill kocha ją, wiedziała o tym. Poznawała to po owym tętnie miłości, które tylko kobieta potrafi wymierzyć. Kochał ją miłością mniej szaloną, to prawda, ale za to głębszą i bardziej dojrzałą. Taka miłość jest trwała - jeżeli tylko nie wrócą do miasta, gdzie giną wszystkie piękne cechy ducha i bestia obnaża kły.

Wczesną wiosną Mark Hall i jego żona odjechali do Nowego Jorku, dwaj japońscy służący zostali zwolnieni, a Saxon i Bill przenieśli się do bungalowu jako jego zarządcy. Wyjechał też Jim Hazard w swoją doroczną podróż do Paryża. Choć Bill odczuwał brak jego towarzystwa, wypływał jednak sam poprzez przybrzeżne fale na otwarte morze. Dwa

wierzchowce Halla zostały pod ich opieką i Saxon uszyła sobie ładny kostium do konnej jazdy na męskim siodle; za materiał posłużył brązowy korderoj, którego barwa harmonizowała z brązowymi błyskami w jej włosach. Bill nie brał już dorywczych prac. Jako dorywczy woźnica w stajniach zarabiał więcej, niż mogli wydać; rezygnując z drobnych zarobków uczył Saxon jeździć konno i wyprawiał się z nią na całodzienne wycieczki w okolicy. Najchętniej jeździli drogą wzdłuż wybrzeża do Monterey, gdzie nauczył ją pływać na wielkiej pływalni Del Monte. Wieczorem wracali do domu na przełaj przez pagórki. Saxon polubiła też wczesne poranne wyprawy z Billem na polowanie. Słowem - ich życie było jak jedne wielkie wakacje.

- Powiem ci coś - rzekł do niej któregoś dnia, gdy zatrzymali konie, aby spojrzeć w dół ku dolinie Karmel. - Nigdy w życiu nie przyjmę już stałej pracy u innego człowieka.

- Praca nie jest wszystkim - przyznała Saxon.

- Pewnie, że nie jest. Pomyśl, Saxon, jak by to było, gdybym pracował dalej jako woźnica w Oakland za milion dolarów na dzień przez milion najbliższych lat i musiał mieszkać tam dalej i żyć tak, jak myśmy żyli? Byłoby tak, że pracowałbym cały dzień i dla rozrywki chodziłbym do kina! Ha! Przecież my teraz sami żyjemy jak na filmie. Wolałbym przeżyć jeden taki rok jak w Karmelu i potem umrzeć, niż żyć sto milionów lat na ulicy Sosnowej.

Saxon uprzedziła Hallów listownie, że z początkiem lata zamierzają wyruszyć na dalszą wędrowkę w poszukiwaniu księżycowej doliny. Złożyło się szczęśliwie, że dla poety nie wyniknął stąd żaden kłopot, gdyż Bideaux, Żelazny Człowiek o oczach bazyliuszka, porzucił swój sen o święceniach kapłańskich i postanowił zostać aktorem. Przyjechał z seminarium na czas, aby przejąć od nich bungalow.

Sprawiło to Saxon wielką przyjemność, gdy widziała, z jakim żalem żegna ich paczka. Właściciel stajni w Karmelu zaproponował Billowi miejsce zarządzającego z pensją dziewięćdziesięciu dolarów na miesiąc. Z podobną propozycją wystąpił właściciel stajni w Pacific Grove.

- Dokąd to? - spytał ich szalony dramaturg irlandzki na peronie dworca w Monterey. Wrócił z Nowego Jorku.

- Do księżycowej doliny - odparła Saxon wesoło.

Spojrzał na ich ekwipunek turystyczny.

- Na Boga! - zawołał. - Zrobię to! Na Boga! Weźcie mnie ze sobą! - Potem twarz mu się wydłużyla. - A ja podpisałem umowę - jęknął. - Trzy akty! Ale z was szczęśliwcy! Ach... i ta wspaniała pora roku.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zeszłej zimy pyrgaliśmy do Monterey na piechotę, a teraz jedziemy sobie pociągiem - powiedział Bill, gdy ruszyli ze stacji.

Postanowili, że nie będą odbywać powtórnie drogi, którą już raz przechodzili pieszo, kupili więc bilety do San Francisco. Mark Hall ostrzegł ich przed męczącymi upałami południa, przeto postanowili udać się na północ w poszukiwaniu klimatu, gdzie nocą trzeba się przykrywać pledami. Zamierzali przepłynąć zatokę do Sausalito i pójść na północ wzdłuż wybrzeża. Znajdą tam, powiedział im Hall, prawdziwą ojczyznę sekwoi. Ale Bill poszedł na papierosa do wagonu dla palących i usiadł obok człowieka, który wpłynął na zmianę kierunku ich wędrówki. Był to mężczyzna o inteligentnej twarzy i ciemnych oczach, najwyraźniej Żyd. Bill, pomny na nauczki Saxon, aby zawsze zadawał pytania, czekał na sposobność rozpoczęcia rozmowy. Zorientował się bardzo prędko, że Gunston jest kupcem-pośrednikiem i że byłoby szkoda, aby Saxon miała stracić cenną treść jego wypowiedzi. Widząc, że Gunston skończył cygaro, Bill zaprosił go prędko do sąsiedniego wagonu, gdzie czekała Saxon. Przed pobytem w Karmelu Bill nie byłby zdolny to takiego czynu. Tyle przynajmniej nabrał ogłady towarzyskiej.

- Pan Gunston właśnie mi mówił o królach kartoflanych i poprosiłem go, żeby ci wszystko powtórzył - wyjaśnił Bill przedstawivszy go Saxon. - Niech pan opowie mojej żonie o tym zgranym do nitki Chińczyku, który zarobił w zeszłym roku dziewiętnaście tysięcy dolarów na selerach i szparagach.

- Wspominałem pani mężowi, w jaki sposób Chińczycy gospodarują na terenach w górze rzeki San Joaquin. Uważam, że opłaci się państwu podjechać tam i rozejrzeć się po okolicy. Pora roku odpowiednia, na komary jeszcze za wcześnie. Moglibyście wysiąść w Black Diamond albo Antiochii i statkiem parowym albo motorówką objechać wielkie wyspy, na których założono farmy. Bilety są tanie, a niektóre łodzie motorowe, jak „Duchess” i „Princess”, przypominają raczej duże parowce.

- Niech jej pan opowie o Czow Lamie - nalegał Bill.

Kupiec oparł się plecami o ławkę i wybuchnął śmiechem.

Jeszcze kilka lat temu Czow Lam był istotnie zgranym do suchej nitki graczem w fantan. Nie miał ani centa przy duszy, a i zdrowie zaczęło mu szwankować. Coś mu tam weszło w krzyże od dwudziestoletniej pracy w kopalni złota, gdzie przepłukiwał odpadki po dawnych kopaczach. A co zarobił, przegrał w szulerni. Ponadto był dłużny trzysta dolarów Sześciu

Kompaniom... wiecie, te towarzystwa chińskie. Pamiętajcie więc - to było zaledwie siedem lat temu. Zdrowie kiepskawe, trzysta dolarów długu i żadnego fachu. Czow Lam zjawił się w Stockton i dostał pracę na torfowiskach, naturalnie na dniówkę. Było to chińskie towarzystwo obejmujące tereny nad Middle River i uprawiające selery i szparagi. W tym czasie Czow Lam opamiętał się i spojrzął na siebie trzeźwym okiem: dwadzieścia pięć lat w Stanach Zjednoczonych, nadwreżony kręgosłup i ani centa na podróż powrotną do Chin. Zobaczył, jak radzą sobie Chińczycy pracujący w towarzystwie - odkładają zarobki i kupują udziały.

Odkładał zarobki przez dwa lata i kupił jeden udział w spółce rozporządzającej trzydziestoma udziałami. To było zaledwie pięć lat temu. Spółka dzierżawiła trzysta akrów od białego człowieka, który wolał podróżować o Europie. Z zysku, jaki mu przyniósł ten jeden udział w pierwszym roku, kupił dwa udziały w innej spółce. A gdy minął następny rok, mając te trzy udziały założył własną spółkę. Szczęście mu nie dopisało, po roku wrócił do tego, z czy zaczął. Zauważcie, że działo się to trzy lata temu. Następny rok - wspaniałe urodzaje, Czow Lam zgarnia cztery tysiące dolarów. W następnym roku zarobił pięć tysięcy. A w zeszłym roku jego dochód wyniósł dziewiętnaście tysięcy dolarów. Nieźle, co? Jak na starego i schorowanego Czow Lama...

- Och! - Tylko tyle mogła Saxon powiedzieć.

Ale jej żywe zainteresowanie pobudziło kupca do dalszych opowieści.

- Weźmy takiego Sing Ki, kartoflanego króla Stocktonu. Znam go dobrze. Przeprowadzałem z nim większe transakcje, ale zarobiłem mniej pieniędzy niż na którymkolwiek innym z moich kontrahentów. Był kulisem i dwadzieścia lat temu przemycił się do Stanów Zjednoczonych. Pracował najpierw na dniówki, potem handlował warzywami, które nosił w dwóch koszykach zawieszonych na drągu, a potem otworzył sklep w chińskiej dzielnicy San Francisco. Miał głowę na karku i bardzo prędko wlaźł do kieszeni chińskim farmerom, którzy kupowali w jego sklepie. Ale chociaż sklep dawał duże zyski, wszystkiego było mu mało. Pojechał w górę rzeki San Joaquin. Przez dwa lata niewiele robił, tylko trzymał oczy szeroko otwarte. Potem nagle wydzierżawił tysiąc dwieście akrów ziemi po siedem dolarów za akr.

- Mój Boże! - zawołał Bill z przejęciem. - Osiem tysięcy czterysta dolarów za samą dzierżawę w pierwszym roku! Znam takie pięćset akrów, które mógłbym kupić za trzy dolary akr.

- Odpowiednia ziemia pod uprawę kartofli? - spytał Gunston.

Bill potrząsnął głową. - Ani chyba pod żadną inną uprawę.

Wszyscy troje wybuchnęli wesołym śmiechem, po czym kupiec podjął swą opowieść.

- Te siedem dolarów to była tylko cena dzierżawy. Może wiecie, ile musi kosztować zaoranie tysiąca dwustu akrów?

Bill skinął poważnie głową.

- A zebrał w tym roku sto sześćdziesiąt worków z akra - ciągnął Gunston. - Cena ziemniaków wynosiła wtedy pięćdziesiąt centów worek. Mój ojciec stał w tym czasie na czele naszego koncernu, więc wiem to z całą pewnością. Sing Ki mógł sprzedać swoje ziemniaki po pięćdziesiąt centów i dobrze na tym zarobić. Ale czy sprzedał? Bądźcie pewni, że Chińczyk dobrze zna rynek. Bije w tym na głowę każdego pośrednika. Sin Ki ani myślał się spieszyć. Kiedy prawie wszyscy plantatorzy sprzedali swoje ziemniaki, cena zaczęła rosnąć. Sing Ki śmiał się naszym agentom w nos, gdy mu proponowali sześćdziesiąt centów, siedemdziesiąt centów, dolara. Czy chcecie wiedzieć, za ile je w końcu sprzedał? Dolar sześćdziesiąt pięć centów worek. Powiedzmy, że jego koszt własny wynosił czterdzieści centów. Sto sześćdziesiąt razy tysiąc dwieście... zaraz, dwanaście razy zero jest zero, a dwanaście razy szesnaście jest sto dziewięćdziesiąt dwa. Sto dziewięćdziesiąt dwa tysiące worków po dolarze i ćwierć... cztery mieści się w stu dziewięćdziesięciu dwóch czterdzieści osiem razy... a teraz dodajmy... wypada dwieście czterdzieści. No i proszę - dwieście czterdzieści tysięcy dolarów czystego zysku z transakcji w tym jednym roku.

- I on jest Chińczyk - rzekł Bill z głębokim rozżaleniem w głosie. Zwrócił się do Saxon: - Potrzebny by nam był jakiś nowy kraj, żebyśmy się my, biali, mogli do niego przenieść. Niech to diabli! Święta prawda, że siedzimy w przedSIONKU.

- Ale był to naturalnie przypadek wyjątkowy - pośpieszył z wyjaśnieniem Gunston. - Kartofle źle obrodziły w innych okręgach, a poza tym machinacje monopolistów... no i Sing Ki zaciął się w jakimś dziwnym uporze. Nie miał już więcej tak wielkich zysków, ale stale powiększa majątek. W ubiegłym roku obsadził cztery tysiące akrów ziemniakami, tysiąc szparagami, pięćset selerami i pięćset fasolą. A poza tym na sześciuset akрах prowadzi hodowlę nasion. Cokolwiek się stanie z jednym czy drugim zbiorem, nie może stracić na wszystkich.

- Widziałam już tysiąc dwieście akrów jabłoni - powiedziała Saxon. - Chciałabym teraz zobaczyć cztery tysiące akrów obsadzonych ziemniakami.

- I zobaczysz - oznajmił Bill z niezwykłą stanowczością. - Jedziemy w górę San Joaquin. Nie mamy pojęcia, co się dzieje w naszym kraju. Nic dziwnego, że siedzimy w przedSIONKU.

- Zobaczycie tam niejednego magnata - podjął na nowo Gunston. - Yep Hong Li, nazywają go Wielki Jim... dalej Ah Pok, Ah Wang... no i Szima, japoński król ziemniaków.

Dorobił się kilku milionów. Żyje jak książkę udzielną.

- Dlaczego Amerykanom tak się nie powodzi? - spytała Saxon.

- Chyba dlatego, że nie chcą. Prócz ich własnej osoby nic im nie stoi na przeszkodzie.

Ale powiem wam jedno - ja osobiście chętnie handluję z Chińczykami. Chińczyk jest uczciwy. Jego słowo tyle jest warte, co jego weksel. Jeżeli powie, że coś zrobi, na pewno to zrobi. Zresztą tak czy inaczej - biali nie mają pojęcia o uprawie ziemi. Nawet nowoczesny biały farmer zadawała się jednym zbiorem na raz i płodozmianem. Chińczyk jest o oczko lepszy - hoduje dwa zbiory jednocześnie na tym samym polu. Sam to widziałem. Marchew i rzodkiewki.

- Co jest zupełnie bez sensu - zaprotestował Bill. - W ten sposób na polu było pół zbioru jednego i pół zbioru drugiego.

- Zgadł pan, ale niezupełnie - zadrwił Gunston. - Kiedy marchew podrośnie, trzeba ją przerywać. To samo dotyczy rzodkiewki. Tylko że marchew rośnie powoli, a rzodkiewka prędko. Wolno rosnąca marchew spełnia wobec rzodkiewki tę funkcję, co przerywanie. A kiedy rzodkiewka zostanie wyrwana i powędruje na rynek, tym samym zostaje przerywana marchew, która rośnie wolniej. Chińczyk jest niezawodny.

- Nie bardzo widzę, dlaczego biały nie miałby robić tego, co Chińczyk - upierał się Bill.

- To brzmi całkiem rozsądnie - przyznał kupiec. - Tylko że... biały tego nie robi. Chińczyk pracuje bez wytchnienia i ziemi każe pracować bez wytchnienia. A poza tym jest zorganizowany, systematyczny. Czy słyszał kto kiedy, żeby biały farmer prowadził książki? Chińczyk je prowadzi. Chińczyk nie oblicza „na oko”. Chińczyk w każdej chwili wie wszystko o każdym swoim zbiorze - co do centa zna jego wartość. Poza tym zna rynek. Gra na obie strony. Nie mogę pojąć, jak on to robi, ale zna rynek lepiej niż my, pośrednicy.

Dalej, jest cierpliwy, ale nie uparty. Powiedzmy, że popełni omyłkę, że zasadzi coś, a potem się przekona, że nie znajdzie na to zbytu. W takiej sytuacji biały zatnie się w uporze, jak buldog zaciskający zęby na kości. Chińczyk tego nie robi. Chińczyk zmniejszy stratę do minimum. Ziemia musi pracować i zarabiać pieniądze. W momencie kiedy Chińczyk pozna swój błąd, bez zmrużenia powieki, bez żalu przeorze nieudaną plantację i zasadzi coś innego. Chińczyk jest mądry. Może spojrzeć na kielek, który dopiero co wychynął a ziemi, i powiedzieć, czy roślina wyrośnie, czy nie wyrośnie, a także, czy roślina będzie piękna, średnia czy do niczego. To jest jedna strona zagadnienia. Ale istnieje jeszcze druga. Chińczyk kontroluje swoje zbiory. Rzuca je na rynek - albo wstrzymuje, cały czas pilnie obserwując ceny. A gdy sytuacja na rynku jest dla niego najkorzystniejsza, zjawia się wtedy jego zbiór, w

porze wybranej z dokładnością niemal co do minuty.

Rozmawiali z Gunstonem kilka godzin, a im dłużej kupiec mówił im o Chińczykach i ich sposobie gospodarowania, tym wyraźniej Saxon zdawała sobie sprawę z nurtującego ją niezadowolenia. Nie podawała w wątpliwość faktów. Tylko że były one mało ponętne. Jakoś nie mogła znaleźć dla faktów miejsca w swojej dolinie księżycowej. Dopiero gdy sympatyczny Żyd opuścił pociąg, Bill dał w jasnych słowach wyraz temu, co ją mglście niepokoiło.

- Ha! Nie jesteśmy Chińczykami. Jesteśmy biali. Czy Chińczykowi przyjdzie kiedy do głowy, żeby wsiąść na konia i dla samej przyjemności pędzić na złamanie karku? Czy widziałaś kiedy, żeby jakiś Chińczyk wypływał przez fale na otwarte morze w Karmelu? Albo żeby się boksował, siłował, biegał czy skakał - ot, dla zabawy? Czy widziałaś kiedy, żeby Chińczyk brał dubeltówkę na ramię, wędrował sześć mil i wrócił do domu, szczęśliwy, z jednym nędznym królikiem? Bo co taki Chińczyk robi? Flaki sobie wypruwa w pracy. Tylko do tego się nadaje. Do diabła z pracą, jeżeli ma wypełnić całe życie... a ja przecież nie leniłem się nigdy i mógłbym pracować nie gorzej od nich. Ale co z tego? Jednej rzeczy nauczyłem się raz na zawsze, Saxon, odkąd wyszliśmy z tobą na drogę. Że praca to nie jest najważniejsza rzecz w życiu. Boże... gdyby życiu miało być samą tylko pracą, wolałbym sobie gardło poderznąć i skończyć z nim jak najprędzej. Chcę mieć dubeltówkę i sztucer, chcę ścisnąć konia kolanami. Nie chcę czuć wciąż takiego zmęczenia w kościach, żebym nie mógł kochać mojej żony. Komu to potrzebne, żeby zarobić na ziemniakach dwieście czterdzieści tysięcy dolarów! Weź takiego Rockefellera! Odżywia się tylko mlekiem. A ja chcę jeść befszyki i mieć żołądek, który by strawił podeszwę. I chcę ciebie, a razem z tobą chcę mieć dużo czasu i dużo przyjemności dla nas obojga. Co za pożytek z życia, kiedy nie ma w nim przyjemności?

- Och, Bill! - zawołała Saxon. - Mówisz o tym, co ja wciąż starałam się sobie w głowie uporządkować. Męczyło mnie to od dawna! Bałam się, że jednak coś nie jest ze mną w porządku - że mimo wszystko nie nadaję się do życia na wsi. Nie zazdrościłam Portugalczykom z San Leandro. Nie chciałam być ani Portugalką, ani Dalmatką z doliny Pajaro, ani nawet panią Mortimer. I ty odczuwałeś to samo. My chcemy czego innego - chcemy doliny księżycowej, gdzie by nie było za dużo pracy... i gdzie mielibyśmy czas na przyjemności. I dopóty będziemy jej szukali, dopóki nie znajdziemy. A jeżeli jej wcale nie znajdziemy, będziemy dalej żyli tak, jak żyjemy, odkąd wyszliśmy z Oakland. I Bill... nigdy, nigdy nie będziemy się zapracowywali na śmierć... Prawda?

- Mowy nie ma - przytwierdził Bill niemal groźnie.

Weszli do Black Diamond z ekwipunkiem na plecach. Była to luźno zabudowana wioska składająca się z nędznych małych domków, o jednej ulicy, którą późne deszcze wiosenne zamieniły w czarne bajoro. Z nierównych chodników sterczały krzywe stopnie i progi. Wszystko tu zdawało się dziwnie nieamerykańskie. Nazwiska na szyldach nad nędznymi sklepikami brzmiały nieprawdopodobnie cudzoziemsko. Właścicielem jednego jedynego obdrapanego hoteliku był Grek. Greków widziało się wszędzie - śniadzi mężczyźni w czapczkach z pomponami, kobiety z odkrytymi głowami, w jaskrawych sukniach, gromady hałaśliwych dzieci - wszyscy mówiący osobliwie cudzoziemskimi głosami, wszyscy wykrzykujący głośno i żywo, z obfitością słów charakterystyczną dla ras śródziemnomorskich.

- Tfu... przecież to nie są Stany Zjednoczone - wymamrotał Bill.

Blisko portu zobaczył fabrykę konserw rybnych i szparagów; sezon był w pełni i w obu wrzała praca, ale na próżno Saxon i Bill szukali między robotnikami znajomych amerykańskich twarzy. Wreszcie Bill odnalazł je, ale tylko księgowi i majstrowie byli Amerykanami. Reszta - sami Grecy, Włosi i Chińczycy.

Poszli na przystań i przyglądali się, jak jaskrawo pomalowane greckie kutry podpływały do molo, wyładowały wspaniałe łososie i znów odbijały. Kanał Nowojorski, jak nazywano odnogę, skręcał na zachód i północ i wpadał do wielkiej masy wód, tam gdzie łączyły się rzeki Sacramento i San Joaquin.

Za przystanią łodzi ciągnęły się przystanie rybackie, a dalej były już tylko stojaki do suszenia sieci. Tutaj, z dala od gwaru cudzoziemskiego osiedla, Saxon i Bill zdjęli z pleców pakunki i odpoczywali. Wysokie, szemrzące sitowie wyrastało z głębokiej wody tuż obok zrujnowanej przystani, przy której siedzieli. Naprzeciw miasta widzieli płaską, długą wyspę i na niej rysujący się na tle nieba rząd topoli.

- To zupełnie przypomina ten holenderski obrazek z wiatrakiem, który wisi u Marka Halla - powiedziała Saxon.

Bill wskazał ręką na ujście kanału i dalej, ponad szerokim rozlewiskiem wody, na białe domki, poza którymi jak rozedrgana w słońcu fatamorgana ciągnęły się niskie pagórki Montezuma.

- Te domki to Collinsville - powiedział. - W tym miejscu rzeka Sacramento wpada do San Joaquin i tamtędy płynie się w górę do Rio Vista, Isleton, Walnut Grove i wszystkich innych miejscowości, o których mówił nam Gunston. Wszystko to są wyspy i kanały, łączące się jedne z drugimi - i z powrotem z San Joaquin.

- Ach, jakie to słońce jest rozkoszne - ziewnęła Saxon. - I jak tu spokojnie, chociaż tak niedaleko do tych dziwnych cudzoziemców. Pomyśl, Bill - w miastach, właśnie teraz, ludzie biją się i zabijają o pracę.

Od czasu do czasu pędził w oddali pociąg pasażerski z głębi kraju, jego łoskot odbijał się głośnym echem od pagórków u podnóży Mt. Diabło, masywnej góry o dwóch bliźniaczych szczytach, rysującej się wyraźnie na tle nieba. Potem wracała senna cisza, przerywana niekiedy odległym nawoływaniem w cudzoziemskim języku lub turkotem kutra pędzonego ropą który wpływał do ujścia kanału.

W odległości może trzydziestu jardów stał zakotwiczony w sitowiu piękny biały jacht. Mimo smukłości sprawiał wrażenie obszernego i wygodnego. Z rury od kuchennego pieca ulatniał się dym. Na tyle, wypisany złotymi literami, widniał napis „Włóczęga”. Na dachu kabiny leżeli w słońcu mężczyzna i kobieta z różową wstążką we włosach. Mężczyzna czytał na głos książkę, kobieta szyła. Obok nich wyciągał się w słońcu foksterier.

- Popatrz! Im też do szczęścia nie są potrzebne miasta - zauważył Bill.

Japoński służący wyszedł z kabiny, usiadł na dziobie i zaczął skubać kurę. Pióra unosiły się na wodzie płynąc długim sznurkiem do ujścia kanału.

- Spójrz, Bill! - zawołała podniecona Saxon. - On łowi ryby! A wędkę ma przywiązaną do palca u nogi! Mężczyzna odłożył książkę grzbietem do góry i sięgnął po wędkę; tymczasem kobieta podniosła głowę znad szycia, a terier zaczął poszczekiwać.

Mężczyzna ścigał wędkę kawałek po kawałku, aż wreszcie ukazał się na końcu duży sum. Gdy zdjął rybę z haczyka i założył nową przynętę, zarzucił ponownie wędkę, okręcił linkę dokoła palca u nogi i wrócił do czytania.

Nadszedł inny Japończyk i stanąwszy obok Saxon i Billa zaczął wołać w kierunku jachtu. Był obładowany paczkami mięsa i jarzyn, jedną kieszeń kurtki wypychały mu listy, z drugiej sterczał plik gazet. Usłyszawszy jego wołanie Japończyk na pokładzie wstał z na pół oskubaną kurą w ręce. Mężczyzna powiedział mu kilka słów, odłożył na bok książkę, wsiadł do małej białej szalupy uwiązanej na rufie i powiosłował do przystani. Gdy podpłynął do schodków, złożył wiosła, chwycił się rusztowania i przywitał ich wesołym dzień dobry.

- Przecież ja pana znam - powiedziała Saxon impulsywnie, ku niewypowiedzianemu zdumieniu Billa. - Pan jest...

Urwała zmieszana.

- Niechże pani skończy - rzekł mężczyzna z zachęcającym uśmiechem.

- Pan jest Jack Hastings... na pewno. Widywałam wciąż pana fotografie w gazetach, kiedy był pan korespondentem wojennym podczas wojny japońsko-rosyjskiej. Napisał pan

masę książek, tylko że ja ich nie czytałam...

- Nie omyliła się pani - powiedział. - A państwo...

Saxon przedstawiła siebie i Billa, a gdy spostrzegła, że pisarz przygląda się ciekawie ich ekwipunkowi, opowiedziała mu w kilku słowach o ich wyprawie. Farma w księżycowej dolinie najwyraźniej porwała jego wyobraźnię i chociaż Japończyk wraz z paczkami znajdował się już w łodzi, Hastings ociągał się z odjazdem. Gdy Saxon wspomniała o Karmelu, okazało się, że Hastings zna wszystkich z paczki Halla, gdy zaś napomknęła, że wybierają się do Rio Vista, natychmiast zaprosił ich na jacht.

- Przecież my tam właśnie płyniemy, chcemy odbić najdalej za godzinę, jak tylko zacznie się przyływ - zawołał. - To świetnie się składa. Chodźcie, państwo, na jacht. Jeżeli złapiemy chociaż trochę wiatru, będziemy na miejscu o czwartej po południu. Proszę do łodzi. Moja żona jest na pokładzie, a pani Hall to jedna z jej najbliższych przyjaciółek. Byliśmy teraz w Ameryce Południowej, właśnie stamtąd wracamy. Gdyby nie to, spotkalibyśmy się w Karmelu. Zresztą Hall pisał nam o państwu.

Saxon po raz drugi w życiu wsiadła do małej łodzi, „Włóczęga” zaś był pierwszym jachtem, którym miała płynąć. Żona pisarza (miała na imię Klara) przywitała ich serdecznie. Saxon zakochała się w niej od pierwszego wejrzenia i od pierwszego wejrzenia podbiła serce tamtej. Były do siebie tak zdumiewająco podobne, że już po kilku minutach Hastings zwrócił na to uwagę. Ustawił je obok siebie, przyglądał się ich oczom, ustom i uszom, porównywał ręce, włosy, kostki u nóg i na zakończenie oznajmił, że oto legł w gruzach jeden z jego umiłowanych snów - że forma, wedle której odlano Klarę, została stłuczona.

Klara podsunęła myśl, że mogą to być formy bardzo podobne, porównały więc swoją przeszłość. Obie pochodziły z rodzin pionierskich. Matka Klary, podobnie jak matka Saxon, przebyła prerie w wozach ciągnionych przez woły i spędziła zimę w Salt Lake City, a nawet wraz ze swymi siostrami otworzyła w tej mormońskiej twierdzy pierwszą szkołę dla panien. Podczas gdy ojciec Saxon był jednym z tych, którzy w Sonomie podnieśli sztandar buntu z godłem niedźwiedzia, ojciec Klary w tejże Sonomie zebrał ochotników i pojechał ze swym oddziałem na wschód aż do Salt Lake City, po czym był dowódcą policji w tym mieście, kiedy zaczęły się niepokoje z mormonami. Jako ukoronowanie wszystkiego Klara poszła do kabiny i przyniosła *ukulele* z drzewa *koa*, bliźniaczo podobne do instrumentu Saxon, i wraz z nią odśpiewała „Płomienne dziewczę z Honolulu”.

Hastings postanowił, że zjedzą obiad, zanim wypłyną z przystani. Wygoda, jaką zapewniała pasażerom ta maleńka kabina, zaskoczyła i zachwyciła Saxon. Zaledwie starczyło tu miejsca, aby Bill mógł stanąć wyprostowany. Skrzynka mieczowa dzieliła kabinę wzdłuż i

do niej przymocowany był na zawiasach stół, przy którym jedli. Niskie koje biegnące wzdłuż obu ścian i obite wesołym zielonym materiałem zastępowały krzesła. Zasłona, umocowana na haczykach między skrzynką mieczową a sufitem, oddzielała w nocy miejsce do spania pani Hastings. Po drugiej stronie spali dwaj Japończycy, bliżej zaś dziobu, pod pokładem, znajdował się kambuz. Było to pomieszczenie tak maleńkie i tak niskie, że kucharz gotując musiał siedzieć w kucki. Drugi Japończyk, który przyniósł prowianty na jacht, obsługiwał im do stołu.

- Szukają rancza w dolinie księżycowej - rzekł Hastings do Klary kończąc wyjaśnienie celu pielgrzymki Saxon i Billa.

- Och! Przecież to!... - zawołała, ale mąż ją powstrzymał.

- Sza! - rzucił prędko, a potem rzekł do gości: - Posłuchajcie. Jest coś szczególnego w tym pomysłe doliny księżycowej, ale wam nie powiem co. To sekret. Otóż my z Klarą mamy ranczo w dolinie Sonoma, w odległości mniej więcej ośmiu mil od miasta Sonoma, w którym wasi dwaj ojcowie wzięli się do żołnierki. Jeżeli kiedykolwiek traficie na to nasze ranczo, poznacie sekret. Wierzcie mi, że ma on związek z waszą doliną księżycową... Prawda, Klaro?

Klara uśmiechnęła się, potem roześmiała, potem kiwnęła głową.

- Może się okaże, że nasza dolina jest tą, której poszukujecie - powiedziała.

Ale Hastings ruchem głowy nakazał jej milczenie. Klara zwróciła się do foksteriera i przykazała mu poprosić o kawałek mięsa.

- Nazywa się Peggy - powiedziała do Saxon. - Na Morzach Południowych mieliśmy dwa irlandzkie teriery, rodzeństwo, ale oba padły. Nazywały się Peggy i Possum. Ta mała otrzymała swoje imię po oryginalnej Peggy.

Billowi zaimponowała doskonała organizacja na pokładzie „Włóczęgi”. Gdy po skończonym posiłku siedzieli jeszcze przy stole, na znak Hastingsa obaj Japończycy wyszli na pokład. Bill słyszał, jak ściągają fały, odrzucają rabanty i naprężają łańcuch kotwicy o kilku minutach jeden z nich zawołał: - Gotowe! - i wtedy wszyscy wyszli na pokład. Wciągnięcie grotzagli i łódki było sprawą kilku chwil. Podnieśli kotwicę, i podczas gdy jeden nawijał łańcuch na kołowrót, drugi postawił fokzagiel. Hastings przy sterze zrobił porządek z szotami. „Włóczęga” nadął żagle, złapał wiatr lekko się przechylając i pomknął przez gładką wodę do ujścia Nowojorskiego Kanału. Japończycy zwinęli fały i zeszli do kabiny na obiad.

- Przyptyw dopiero się zaczyna - powiedział Hastings wskazując na malowaną w pręgi boję, która podrygiwała lekko u brzegu kanału.

Białe domki Collinsville, do których zbliżał się powoli, zniknęły za zasłoną płaskiej wyspy, ale rozległe, niskie, łagodne wzgórza Montezuma drzemały na horyzoncie, nic się na

pozór do nich nie przybliżywszy.

Gdy „Włóczęga” minął ujście kanału Montezuma i wpłynął na wody Sacramento, znaleźli się nagle tuż obok Collinsville. Saxon klasnęła w dłonie.

- Te domki wyglądają zupełnie jak wycięte z tektury - zawołała. - A pola na pagórkach za nimi są jak namalowane.

Mijali barki i łodzie przycumowane na stałe do brzegu i zamieszkane przez rodziny rybaków; mężczyźni w kutrach, podobnie jak kobiety i dzieci, mieli śniadą cerę, czarne oczy i cudzoziemski wygląd. W miarę jak jacht posuwał się w górę rzeki, spotykali coraz częściej ogromne dragi wygarniające piasek z dna i zsypujące go na wierzch potężnych wałów u brzegu. Na schodzący do rzeki skłon tych wałów układano mat z plecionej wierzbiny, długości wielu setek jardów, umacniane drutami stalowymi i tysiącem metrów sześciennych cementu. Wierzbina niebawem puszczała pędy, powiedział im Hastings, a zanim maty zdążyły zgnić, korzenie drzew umacniały piasek.

- To musi diabelnie kosztować - zauważył Bill.

- Ziemia warta jest tych nakładów - wyjaśnił Hastings. - Gleba tych wysp należy do najżyźniejszych na świecie. Tę część Kalifornii można przyrównać do Holandii. Zdziwi się pan zapewne, ale wyspy są położone niżej niż poziom wody, po której płyniemy. Przypominają one dziurawe łodzie - trzeba w nich bezustannie, dzień i noc, dychtować dziury, zatykać szpary, pompować wodę. Ale to się opłaca. Dobrze się opłaca.

Oprócz drag, świeżych nasypów u brzegów i od południa górującego nad horyzontem Mt. Diablo nic nie widzieli. Od czasu do czasu mijał ich parowiec rzeczny i wtedy stadka niebieskich czapli odfruwały między drzewa.

- Jak tu samotnie - westchnęła Saxon.

Hastings roześmiał się i powiedział, że nieco później zmieni zdanie. Nie szczędził informacji o gruntach nadrzecznych, a po jakimś czasie skierował rozmowę na kwestię dzierżawienia gospodarstw. Sprowokowała go Saxon wspominając o głodnych ziemi Anglosasach.

- Żarłoczne wieprze! - rzucił ostro. - Oto czym staliśmy się w tym kraju. Jak to jeden ze starych wieśniaków powiedział pewnemu profesorowi z doświadczalnej stacji rolniczej: „Co za sens uczyć mnie rolnictwa? Znam się na uprawie roli. Przecież miałem kolejno trzy farmy”. Tacy jak on zniszczyli Nową Anglię. Wielkie połacie ziemi uprawnej wróciły tam do stanu dzikości. Co najmniej w jednym stanie pogłowię jeleni tak wzrosło, że zwierzęta zagrażają zbiorom. Liczba porzuconych farm wynosi dziesiątki tysięcy. Przeglądałem spisy - gospodarstwa w stanie Nowy Jork, New Jersey, Massachusetts, Conneicut. Wystawia się je

na sprzedaż na dogodnych warunkach. Żądane ceny nie pokrywają nawet wartości zabudowań, a ziemia jest po prostu dodatkiem dorzuconym gratis.

Wszędzie dzieje się podobnie, w całym kraju ten sam rabunek ziemi, to samo obzarstwo wieprzów - w Teksasie i w Missouri, w Kansas i tu, w Kalifornii. Weźmy sprawę wydzierżawiania ziemi. Znam ranczo w moim okręgu, na którym akr ziemi wart był sto dwadzieścia pięć dolarów. Dawało ono dochód odpowiedni do wartości. Gdy umarł stary właściciel, syn wydzierżawił je Portugalczykowi, a sam przeniósł się do miasta. Portugalczyk przez pięć lat eksploatował ziemię. Następna umowa dzierżawna, z innym Portugalczykiem, zawarta została tylko na trzy lata i za jedną czwartą poprzedniej sumy. Trzeci Portugalczyk już się nie zjawił. W chwili śmierci starego właściciela farma była warta pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Po długich staraniach syn dostał za nią jedenaście tysięcy. Ja sam widziałem farmy, które dawały dwanaście procent zysku, a po pięciu latach rabunkowej gospodarki dzierżawnej - już tylko jeden i ćwierć procent.

- W naszej dolinie jest podobnie - uzupełniła pani Hastings wywody męża. - Wszystkie stare farmy idą w ruinę. Choćby taka farma Ebell Place, prawda? - zwróciła się do męża. Hastings przytwardził skinieniem głowy. - Kiedyśmy ją poznali, była prawdziwym rajem rolniczym. Tamy i stawy, piękne, bogate łąki, winnice na czerwieniejących wzgórkach, setki-akrów doskonałych pastwisk, urocze lasy sosnowe i dębiny, murowana cieplarnia dla winnych latorośli, murowane zabudowania gospodarskie - och, mogłabym opisywać tę farmę godzinami. Kiedy umarła stara pani Bell, rodzina rozproszyła się i farmę puszczone w dzierżawę. Dzisiaj gospodarstwo jest w ruinie. Drzewa wycięto i sprzedano na opał. Tylko skrawek winnicy jest w uprawie - tyle, żeby starczyło na wino dla obecnego dzierżawcy, Włocha, który prowadzi biedniuchną farmę mleczną na pozostałościach dawnych pastwisk. Objechałam w zeszłym roku cały teren - i płakałam. Piękny sad budzi zgrozę. Pola uprawne wróciły do stanu dzikości. Tylko dlatego, że nie czyścili rynien, deszcz ściekał na boki i zgniło drewno w budynkach, wielka murowana stodoła zapadła się w ziemię. To samo stało się z częścią cieplarni, w pozostałej części trzymają krowy. A dom! Wprost brak mi słów!

- Stało się to czymś w rodzaju nowego zawodu - podjął Hastings. - „Ruchomi dzierżawcy”. Wydzierżawiają gospodarstwo, w ciągu kilku lat wyniszczają i odzierają farmę z czego się da, a potem przenoszą się dalej. Nie są oni jak cudzoziemcy - Chińczycy, Japończycy i inni. Najczęściej są to leniwi włóczędzy, biali gorszego gatunku, których jedyne zajęcie to wyssać ziemię ze wszystkiego i przenieść się dalej, wyssać ziemię i przenieść się dalej. Weźmy takich Portugalczyków i Włochów. Ci są inni. Przyjeżdżają do naszego kraju bez centa przy duszy i pracują u swoich ziomków, dopóki nie nauczą się języka i zwyczajów.

Nie należą oni do kategorii „ruchomych dzierżawców”. Dążą do zdobycia ziemi na własność, ziemi, którą będą kochali, o którą będą dbali. Ale jak dojść do tej własnej ziemi? Odkładać zarobki? To za długa droga. Jest szybszy sposób. Biorą farmy w dzierżawę. W ciągu trzech lat mogą wydusić z cudzej ziemi tyle, żeby się urządzić na całe życie. To jest świętokradztwo, prawdziwy gwałt zadawany ziemi. Ale co z tego? Takie zwyczaje istnieją w Stanach Zjednoczonych.

Zwrócił się nagle do Billa.

- Niech pan posłucha. Pan i pańska żona szukacie kawałka ziemi dla siebie. Bardzo jej pragniecie. Dam panu dobrą radę. Twardą, pełną wyrachowania radę. Weźcie jakąś farmę w dzierżawę. Wydzierżawcie gospodarstwo, którego właściciel umarł, a jego synowie i córki uważają, że wieś nie jest dla nich odpowiednim miejscem do mieszkania. A potem ją eksploatujcie. Wyduście z ziemi wszystko, co się da, do ostatniego dolara, nie naprawiajcie nic. Po trzech latach zdobędziecie pieniądze na kupno własnej farmy. Wtedy zacznijcie życie od nowa, kochajcie waszą ziemię. Odżywiajcie ją. Każdy dolar wydany na jej wzbogacenie zwróci wam się podwójnie. I nie trzymajcie na waszej farmie żadnego cherlawca - czy to będzie koń, czy krowa, kura czy świnia, czy krzaki jeżyn.

- Przecież to jest niegodziwe - wybuchnęła Saxon. - To jest niegodziwa rada.

- Żyjemy w niegodziwych czasach - odparł Hastings uśmiechając się gorzko. - To powszechne wyniszczanie ziemi jest zbrodnią dzisiejszych Stanów Zjednoczonych. Zresztą nie udzielałbym pani mężowi takiej rady, gdybym nie był absolutnie pewny, że farma której on nie zechce zdewastować, zostanie zdewastowana przez pierwszego lepszego Portugalczyka czy Włocha. Zaledwie osiedlą się w tym kraju, posyłają po swoje siostry, kuzynów i ciotki. Gdyby pan był spragniony i gdyby palił się właśnie skład towarów i niszczało w nim wspaniałe wino reńskie - czyż nie sięgnąłby pan ręką po butelkę? No, więc nasz narodowy skład towarów pali się w wielu miejscach i niszczy w nim mnóstwo dobrych rzeczy. Niechże pan sobie nie żałuje. Jeżeli pan nie weźmie tego, co panu potrzebne, zrobią to za pana imigranci.

- Och, państwo go nie znacie - pośpieszyła z wyjaśnieniem pani Hastings. - Cały czas spędzony na ranczu poświęca uprawie ziemi. Mamy ponad tysiąc akrów lasu, a chociaż przecina i prowadzi wyrąb drzew ze starannością chirurga, nie da ściąć ani jednego pnia bez swojego pozwolenia. Zasadził około stu tysięcy drzew i wciąż każe drenować i kopać rowy, żeby zapobiec erozji, a poza tym przeprowadza eksperymenty z trawami na pastwiskach. Od czasu do czasu kupuje jakąś zrujnowaną sąsiednią farmę i zaczyna odżywiać glebę.

- I dlatego wiem, co mówię - wpadł jej w słowa Hastings. - Nie cofam mojej rady.

Kocham ziemię, ale gdybym był biedny, to w obecnym stanie rzeczy jutro wydusiłbym ile się da z pięciuset akrów, żeby kupić dwadzieścia pięć akrów dla siebie. Jak będziecie państwo w dolinie Sonoma, odwiedźcie mnie, a wszystko wam dokładnie wyjaśnię i pokażę obie strony zagadnienia. Pokażę wam budowę i pokażę zniszczenie. Jeżeli znajdziecie farmę skazaną na rabunek przez innych, nie namyślajcie się i sami rabujcie.

- Tak, tylko że sam zadłużył się po uszy - zaśmiała się pani Hastings - żeby uchronić pięćset akrów lasu od przerobienia na węgiel drzewny.

Przed sobą, na lewym brzegu Sacramento, w miejscu, gdzie wzgórza Montezuma przechodziły w płaszczyznę, zobaczyli Rio Vista. „Włóczęga” przemknął po spokojnej wodzie, mijając nadbrzeża, przystanie i składy towarów. Dwaj Japończycy poszli na dziób. Na komendę Hastingsa spuścili fokżagiel; Hastings ustawił jacht do wiatru, tracąc rozpęd, aż w pewnej chwili zawołał: - Rzucaj kotwicę! - Kotwica poszła na dno i jacht znieruchomiał tak blisko brzegu, że szalupa znalazła się pod zwisającymi gałęziami wierzb.

- Dalej w górze rzeki cumujemy jacht do samego brzegu - powiedziała pani Hastings - tak że rano po przebudzeniu mamy gałęzie drzew w kabinie.

- Ooo. - syknęła Saxon wskazując bąbel na napiętku. - Proszę spojrzeć. Komar.

- Dość wcześnie na komary - rzekł Hastings. - Trochę później stają się prawdziwą plagą. Widywałem już tak gęste chmary w powietrzu, że po prostu trudno było postawić foka.

Saxon za mało wiedziała o żeglarstwie, aby ocenić tę hiperbolę, Bill jednak wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- W księżycowej dolinie nie ma ani jednego komara - powiedziała.

- Rzeczywiście nie ma - przyznała pani Hastings, a jej mąż wyraził natychmiast żal, iż kabina jest tak mała, że nie mogą im ofiarować noclegu.

Samochód wypadł na wał nadbrzeżny. Dziewczęta i chłopcy siedzący w wozie zawołali na widok Saxon, Billa i Hastingsa, który odwoził ich łódką: - Serwus, dzieciaki. - Saxon, spoglądając z upodobaniem na jego młodzieńczą, opaloną twarz, przypomniała sobie pogodną młodzieńczość Marka Halla i jego paczki.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przeprawivszy się staroświeckim promem na drugi brzeg Sacramento, nieco powyżej Rio Vista; Saxon i Bill wkroczyli w okręgi nadrzeczne. To, co Saxon ujrzała ze szczytu wału, było dla niej objawieniem. U jej stóp rozciągał się jak daleko okiem sięgnąć płaski, nizinny kraj, Drogi biegły we wszystkich kierunkach i Saxon zobaczyła setki domów farmerskich, o których istnieniu nawet jej się nie śniło, gdy płynęła po samotnej rzece, w odległości zaledwie kilku stóp, oddzielona od nich zasłoną z wierzbin.

Trzy tygodnie spędzili na żyznych wyspach, gdzie usypywano wały ochronne i pompowano wodę dzień i noc, aby nie zatonać. Był to krajobraz monotony, o ziemi niezmiernie bogatej i z jednym tylko urozmaiceniem - Mt. Diablo, który zawsze widoczny uśpiony w południowym lazurze, rysował się wyraźną linią pomarszczonego masywu na tle nieba prześwieconego słońcem lub wyłaniał się jak sen spośród srebrnego brzasku. Czasem pieszo, czasem motorówką przebywali wzdłuż i wszerz okręgi nadrzeczne aż do torfowisk nad Middle River, w dół San Joaquin do Antiochii i w górę kanału Georgiana do Walnut Grove nad Sacramento. Przekonali się, że jest to kraj cudzoziemski. Na ziemi pracowały tysiące robotników, a jednak Saxon i Bill niekiedy przez cały dzień nie spotykali nikogo, kto znałby angielski. Widywali czasem całe wsie Chińczyków, Japończyków, Portugalczyków, Włochów, Szwajcarów, Hindusów, Koreańczyków, Norwegów, Duńczyków, Francuzów, Armeńczyków, Słowian - niemal wszystkie narodowości świata oprócz Amerykanów. Bliżej ujścia kanału Georgiana spotkali jednego Amerykanina, który łapiąc ryby na zastawy, zdobywał w sposób sprzeczny z prawem środki do życia. Inny Amerykanin, bluzgający nienawiścią na wszystkie instytucje polityczne, był wędrownym pszczelarzem. W tętniącym życiem Walnut Grove było zaledwie kilku Amerykanów - właściciel sklepu, szynkarz, rzeźnik, dzierżawca mostu i przewoźnik promem. A jednak Walnut Grove składało się z dwóch świetnie prosperujących dzielnic, chińskiej i japońskiej. Większość ziemi należała do Amerykanów, którzy żyli w miastach i sprzedawali ją po trochu cudzoziemcom.

Bijatyka czy może zabawa - Saxon i Bill nie byli pewni - wybuchła w dzielnicy japońskiej, gdy wypływali z Walnut Grove na pokładzie parowca „Apache” zdążającego do Sacramento.

- Szkoda gadać, siedzimy w przedsiönku - wybuchnął Bill gniewnie. - A niedługo i stąd nas wypędzą.

- W księżycowej dolinie nie będzie żadnego przedsiönka - starała się go pocieszyć

Saxon.

Ale on był niepokieszony. Zauważył z goryczą:

- Przecież żaden z tych przeklętych cudzoziemców nie potrafiłby powozić czwórką koni tak jak ja. Gospodarować za to umieją.

Spoglądając na niego Saxon przypomniała sobie nagle litografię, którą widziała w dzieciństwie. Był na niej Indianin z prerii, przybrany w barwy wojenne i pióra; siedział na koniu i zdumionym wzrokiem spoglądał na pociąg pędzący po świeżo założonych szynach. Indianin zatonął, przypomniała sobie Saxon, w nurcie nowego życia, które niosło ze sobą kolej. Czy Bill i ludzie jego pokroju są na wyginięciu w nowej wzbierającej fali życia tak niezwykle pracowitego, które napływa tu z Azji i Europy?

W Sacramento zatrzymali się dwa tygodnie. Bill pracował w stajniach i zarobił na dalszą wędrowkę. Zresztą życie w Oakland i Karmelu, położonych w rześkim klimacie nadmorskim, wydelikaciło ich i usposobiło niechętnie do klimatu w głębi lądu. Za gorąco - tak brzmiał ich wyrok o Sacramento, pojechali więc pociągiem na zachód, przez rozległe bagniska, do Davisville. Tutaj znęcił ich piękny Woodland, skręcili więc na północ. Bill prowadził zaprzęg na farmie owocowej, Saxon zaś wymusiła na nim niechętną zgodę i zaczęła pracować przy zbiorze owoców. Robiła tajemnicę i nie chciała się przyznać, na co przeznaczają swoje zarobki, i Bill dokuczał jej żartobliwie, dopóki cała sprawa nie wypadła mu z pamięci. A Saxon nie wspomniała ani słowem o przekazie pieniężnym, który wraz z pewnym niebieskim kwitkiem przesała do Buda Strothersa.

Upał zaczął ich męczyć. Bill oznajmił, że zmylili drogę i oddalili się od pasa „pledowego klimatu”.

- Nie ma tu sekwoi - powiedziała Saxon. - Musimy wrócić na zachód, w kierunku wybrzeża. Tam znajdziemy naszą księżycową dolinę.

Z Woodland udali się drogami wiejskimi na zachód i południe, do rajy owocowego Vacaville. Bill dostał pracę przy zbiorze owoców, potem jako woźnica. A Saxon właśnie w Vacaville otrzymała list i maleńką przesyłkę od Buda Strothersa. Gdy Bill wrócił wieczorem z pracy, poprosiła go, aby stał przez chwilę spokojnie i oczy. W pewnym momencie poczuł ukłucie jakby szpilką i jęknął, ale Saxon roześmiała się przykazując mu groźnie, aby nie otwierał oczu.

- Pocałuj mnie raz dwa trzy - zaśpiewała - a ja coś pokażę ci. Pocałowała go. Otworzył oczy i zobaczył przypięte do koszuli złote medale, zastawione w dniu, gdy poszli na film, który ich natchnął do powrotu na ziemię.

- Ach, ty dzieciaku! - wykrzyknął Bill porywając ją w ramiona. - To na to wydałaś

pieniądze zarobione przy zbiorze owoców? A ja się niczego nie domyślałem! No, teraz ci się dostanie!

I Saxon poddać się musiała miłej przemocy jego władczych ramion, które ją miażdżyły i kruszyły, dopóki nie wykypiał garnek z kawą i nie pobiegła na ratunek.

- Nie ma co, byłem z nich zawsze dumny - wyznał skręcając po kolacji papierosa. - Przypominają mi szczenięce lata, kiedy walczyłem jako amator. Wierz mi albo nie, ale niezły szczeniak był ze mnie w tych latach. Ale pomyśl... te medale całkiem mi wyleciały z pamięci. Mam takie uczucie, jakbyśmy wyszli z Oakland tysiąc lat temu i odeszli o dziesięć tysięcy mil.

- Zaraz usłyszysz coś, co ci je przypomni - powiedziała Saxon otwierając list Buda i czytając go na głos.

W przekonaniu, że Bill jest poinformowany o przebiegu i zakończeniu strajku, Bud opisywał szczegółowo, którzy woźnice otrzymali z powrotem pracę, a którzy dostali się na czarną listę. On sam został na powrót przyjęty do stajen i powoził teraz zaprzęgiem Billa - ku własnemu najwyższemu zdumieniu. Bardziej jeszcze zdumiewająca była następna wiadomość. Dawny główny stajenny zmarł i dwaj jego następcy zupełnie nie mogli dać sobie rady z pracą, w wyniku czego pryncypał, w rozmowie z Budem tego właśnie dnia, wyraził żal z powodu nieobecności Billa.

„Tylko zrozum to dobrze - pisał Bud. - Pryncypał zna wszystkie twoje sprawki. Zakład, że mógłby wymienić z nazwiska każdego łamistrajka, któremuś rozwalił łeb. Ale mimo to powiada dzisiaj do mnie: Strothers, może nie jesteś upoważniony do dawania jego adresu. Ale w takim razie napisz do niego i powiedz mu w moim imieniu, żeby przyjechał. Dam mu sto dwadzieścia pięć kawałków i niech mi zarządza stajniami”.

Gdy Saxon doczytała list do końca, czekała ukrywszy starannie niepokój. Bill wyciągnął się na ziemi. Podparty na łokciu puszczał kłęby dymu i myślał. Jego tania koszula robocza, na której tle nedorzecznie wyglądały złote medale połyskujące w świetle ogniska, była otwarta na piersi i ukazywała wspaniałe mięśnie pod gładką, jedwabistą skórą. Rozejrzał się dokoła - zatrzymał wzrok na posłaniu czekającym w zielonej altanie z liści, na ognisko i poczerniały od dymu, zniszczony garnek na kawę, na spracowaną siekierkę, do połowy ostrza zagłębioną w pniu drzewa, i w końcu na Saxon. Objął ją uważnym wzrokiem; potem w jego oczach pojawiło się pytanie. Ale ona nie chciała mu pomóc.

- No cóż... powiedział wreszcie. - Napisz do Buda Strothersa i powiedz, żeby się kazał pryncypałowi wypchać... A przy okazji pošlij mu pieniądze na wykupienie zegarka. Obliczysz procent? Palto może sobie gnść dalej w lombardzie.

Ale nie czuli się dobrze w upalnym klimacie lądowym. Ubywało im na wadze. Ich ciała i umysły traciły prężność. Zarzucili więc ekwipunek na plecy i przez dzikie, góryste tereny podążyli na zachód. W dolinie Berryessa oczy i głowy bolały ich od patrzenia na roziskrzone w słonecznym żarze powietrze, tak że iść mogli tylko wczesnym rankiem i późnym popołudniem. Zdążali coraz dalej i dalej na zachód, przez inne pasma wzgórz, aż wreszcie dotarli do pięknej doliny Napa. Tuż obok znajdowała się dolina Sonom, gdzie Hastings zaprosił ich na swoje ranczo. I poszliby tam, gdyby Bill nie przeczytał przypadkiem notatki w gazecie, z której wynikało, że gdzieś w Meksyku wybuchła rewolucja i pisarz wyjechał tam jako korespondent.

- Odwiedzimy ich później - powiedział Bill, gdy skręciwszy w kierunku północno-zachodnim szli przez winnice i sady doliny Napa. - Jesteśmy jak ten milioner, o którym śpiewał Bert, z tą różnicą, że nie pieniądze, lecz czas możemy wyrzucać garściami. Jeden kierunek jest tak samo dobry jak drugi - ale zachodni najbardziej mi się podoba.

W dolinie Napa Bill trzykrotnie odrzucał proponowaną mu pracę. Gdy minęli St. Helena Saxon powitała radosnym okrzykiem sekwoje, które dostrzegli z daleka w małych kanionach żłobiących zachodni brzeg doliny. W Calistoga, na końcu linii kolejowej, zobaczyli sześciokonne dyliżanse kursujące na trasie do Middletown i Lower Lake. Zastanawiali się nad dalszą marszrutą. Droga wiodła do Lake Conty, a więc wgląd lądu, skręcili więc na zachód i przez góry dotarli do Healdsburg w dolinie Rzeki Rosyjskiej. Wędrowali pośród pól chmielowych na żyznym dnie doliny, gdzie Bill odrzucił pogardliwie propozycję pracy przy zbiorach wraz z robotnikami indiańskimi, japońskimi i chińskimi.

- Wystarczyłoby, żebym popracował z nimi godzinę - wyjaśnił Saxon - a już na pewno zacząłbym im rozwalać głowy. Zresztą ta Rzeka Rosyjska to prawdziwe чудо. Rozbijamy obóz i idziemy się kąpać.

Próżnując rozkosznie, szli dnem bogatej, szerokiej doliny - szli na północ tak szczęśliwi, że praca przestała im się wydawać koniecznością, księżycowa zaś dolina była złotym snem, odległym, lecz kiedyś w przyszłości na pewno ziszczalnym. W Cloverdale Billowi nadzwyczajnie się poszczęściło. W stajniach pocztowych obsługujących dyliżans zabrakło nagle woźnicy, co było wynikiem zarówno choroby, jak i niefortunnego przypadku. Pociągi przywoziły co dzień pasażerów, którzy wybierali się dalej do Geysers, i Bill - jakby to robił od dziecka - wziął do rąk lejce poszóstnego zaprzęgu i przewiózł pełen dyliżans przez góry w czasie zgodnym z rozkładem. Drugą podróż Saxon odbywała obok niego na wysokim kotle. Po dwóch tygodniach wrócił właściwy woźnica. Bill podziękował za pracę, jaką proponowano mu w stajniach, wziął swoje zarobki i puścił się z Saxon w dalszą drogę na

północ.

Saxon zdobyła gdzieś szczeniaka foksteriera i nazwała go Possum, po psie, o którym opowiadała jej pani Hastings. Szczeniak był jeszcze tak mały, że bardzo prędko okulał i Saxon niosła go na rękach, dopóki Bill nie usadowił malca na wierzchu tobołka, gderając, że Possum już się zabrał do jego włosów na karku.

Minęli barwne winnice Asti w momencie, gdy kończyło się już winobranie, i weszli do Ukiah zmoczeni do suchej nitki przez pierwszy deszcz zimowy.

- Słuchaj, Saxon - rzekł Bill - pamiętasz, jak „Włóczęga” śmigał po wodzie? Tak samo śmignęło lato - było i już go nie ma. A teraz nasza rzecz znaleźć sobie jakieś miejsce na zimę. Ukiah wygląda na niczego sobie miasteczko. Weźmiemy dzisiaj pokój w hotelu i wysuszymy się porządnie. A jutro skoczę do stajen i rozejrzę się za pracą. Jeżeli coś dostanę, wynajmiemy jakąś chałupinę i będziemy się namyślali przez całą zimę, dokąd pójdziemy w przyszłym roku.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ta zima była dużo mniej zajmująca od miesięcy zimowych spędzonych w ubiegłym roku w Karmelu i chociaż Saxon ceniła sobie wysoko towarzystwo paczki Halla, teraz jeszcze lepiej zdała sobie sprawę z wartości tych ludzi. W Ukiah zawarła kilka bardzo tylko powierzchownych znajomości. Ludzie tutaj przypominali raczej ludność robotniczą, z którą współżyła w Oakland, lub byli bogaci i w swoim gronie rozbijali się samochodami. Niebyło w Ukiah demokratycznej kolonii artystów, która uznawała przyjaźń z pominięciem kastowych więzów bogactwa.

Ale zima ta upływała Saxon w warunkach miłszych niż wszystkie zimy spędzone w Oakland. Bill nie dostał stałej pracy, więc mogła się nacieszyć do woli jego towarzystwem; wynajęli małą domkę i wiedli szczęśliwe i beztrudne życie. Jako dodatkowy woźnica w największych stajniach wynajmujących powozy Bill miał tyle wolnego czasu, że po trochu zabrał się do handlu końmi. Było to zajęcie ryzykowne i nieraz tracił wszystko, co zarobił, ale na ich stole nigdy nie zabrakło najlepszego mięsa i kawy ani też nie musieli odmawiać sobie wydatków na ubranie.

- A ci przekłęci farmerzy... Nie ma co, muszę im to przyznać - rzekł Bill szczerząc zęby w uśmiechu, gdy pewnego dnia szczególnie mu się nie udała jakaś końska transakcja. - Żeby tam nie wiem co, nie zmiękną, tacy owacy! W lecie biorą do domu gości za pieniądze, a w zimie zarabiają kupę pieniędzy wycinając sobie wzajemnie psie sztuczki przy handlu końmi. Ale muszę a powiedzieć, Saxon, że nauczyli mnie niejednego. I sam robię się po trochu twardy. Nie zobaczą już mnie oni, jak mięknę przy targowaniu. Z czego wynika, że twój sługa unizony zdobył jeszcze jeden zawód. Mogę teraz handlem końmi wszędzie zarobić na życie.

Często Bill wynajmował dwa wierzchowce w stajni i zabierał Saxon na liczne wyprawy w okolicę, wszystkie związane z jego handlem końmi. Towarzyszyła mu też, gdy pędził konie na sprzedaż za prowizją. I oboje, zupełnie niezależnie od siebie, wpadli na nowy pomysł w związku z ich włóczęgą.

- Natknąłem się wczoraj w mieście na wózek - rzekł Bill któregoś dnia - i od tego czasu nie mam chwili spokoju. Nie próbuję cię namawiać, żebyś zgadła, bo nie dasz rady. Powiem ci - najwspanialszy wózek podróżny, jaki ktokolwiek widział na oczy. Po pierwsze, jest mocny, był zrobiony na zamówienie w Puget Sound i został wypróbowany na tej ogromnej trasie aż tu na południe. Nie ma takiego ładunku i nie ma takiej drogi, która by go

nadwreżyła. Facet, który go obstalował, miał suchoty. Jechał z nim doktor i kucharz, aż wreszcie biedak tu w Ukiah przeniósł się na tamten świat. Ale sama zobaczysz, jak ci ten wózek pokażę. Najrozmaitsze udogodnienia, miejsce na wszystko - prawdziwy dom na kółkach. Gdybyśmy mogli mieć taki wózek i do niego parę koników, gwizdalibyśmy na pogodę i jechali jak królewska para.

- Och, Bill, właśnie o czymś takim marzyłam przez całą zimę. To byłoby cudownie... I Bill, to przecież... przecież czasem musi tak być, że zapominasz podczas naszej włóczęgi, jaką masz miłą małą żonę... a gdybyśmy jechali wozem, mogłabym mieć ze sobą różne ładne fatalaszki...

Gdy Bill przemówił, w jego błękitnych oczach pojawiła się pieszczota chmurna i ciepła.

- Myślałem o tym.

- Mogłbyś mieć wtedy sztucer i dubeltówkę, wędki - wszystko! - ciągnęła z przejściem Saxon. - I porządną siekierę normalnej wielkości zamiast tego toporka, na który zawsze narzekasz. Possum mógłby czasem odpocząć. I... ale pewnie nie będziesz mógł go kupić? Ile oni chcą za ten wózek?

- Sto pięćdziesiąt dolarów - odparł Bill - co jest tanio jak barszcz. Dosłownie oddają go za półdarmo. Głowę daję, że kosztował najmniej czterysta dolarów, a ja nawet po ciemku poznam się na wozie. Gdyby mi się tak udało przehandlować tę szóstkę koni Caswella... Aha, wiesz, dopiero dzisiaj natknąłem się na kupca. Czy ty wiesz, do kogo on wyśle tę szóstkę, jeżeli ją kupi? Prosto do mojego dawnego pryncypała w Zachodniooaklandzkich Stajniach. Musisz do niego napisać. Ponieważ będziemy się przenosili z miejsca na miejsce, mogłbym po drodze wyszukiwać korzystne okazje. Gdybym się dogadał z pryncypałem, brałbym zwykłą prowizję kupca końskiego. Ale musiałyby mi wtedy zawierzać duże sumy pieniędzy, a tego pewnie nie zrobi, bo wie, ilu łamistrajków mu natłukłem.

- Jeżeli ci chciał powierzyć zarząd stajni, to chyba nie będzie się bał o pieniądze powiedziała Saxon.

Bill wzruszył ramionami. Był to gest zarówno skromności, jak i powątpiewania.

- W każdym razie, jak ci już mówiłem, jeżeli uda mi się sprzedać szóstkę Caswella i jeżeli nie popłacimy w tym miesiącu rachunków, będziemy mogli kupić wózek.

- Ale co z końmi? - spytała niespokojnie Saxon.

- Na konie przyjdzie kolej później, choćbym miał wziąć na kilka miesięcy regularną pracę. Tylko cała bieda, że wtedy będziemy mogli wyruszyć w drogę dopiero gdzieś w środku lata. Ale chodź, pójdziemy do miasta, bo chciałbym ci pokazać zaraz to чудо.

Saxon zobaczyła wózek i tak się w nim zakochała, że spędziła bezsennie całą noc w niespokojnym oczekiwaniu na wynik transakcji. Nazajutrz konie Caswella zostały sprzedane, płatność rachunków miesięcznych Billa i Saxon wstrzymana - i wóz przeszedł na ich własność. Pewnego deszczowego ranka w dwa tygodnie później Bill, który wyjechał na całodzienną wyprawę po konie, wrócił po kilku minutach do domu.

- Chodź, Saxon! - zawołał do niej z ulicy. - Ubierz się i chodź, chcę ci coś pokazać.

Zawiózł ją do stajen w mieście, zaprowadził do mieszczącego się na tyłach ogrodzenia pod daszkiem i tam przyprowadził do niej parę krzepkich, nakrapianych kasztanów o kremowych grzywach i ogonach.

- Ach, jakie one piękne! Jakie one piękne! - zawołała Saxon tuląc policzek do aksamitnego pyska jednego kasztanka, podczas gdy drugi łobuzersko trącał ją nosem dopominając się o swój udział w pieszczocie.

- Prawda, że piękne sztuki? - mówił rozpromieniony Bill przeprowadzając konie tam i z powrotem przed jej zachwyconym wzrokiem. - Ważą po tysiąc trzysta pięćdziesiąt funtów każdy, a nie wyglądają na tyle, tak są zwięzłe w sobie. Nie mogłem w to uwierzyć, dopóki ich nie postawiłem na wadze. Razem ważą okrągłe dwa tysiące siedemset funtów. Dwa dni temu wziąłem je na próbną jazdę. Dobrze przyuczone koniki, żadnych narowów, ciągną jak maszyny, z samochodami otrzaskane i tak dalej. Zakład, że prześcigną każdą parę swojej wagi. Słuchaj... jak myślisz... dobrze by wyglądały przy tym naszym wózku?

Saxon zobaczyła je w wyobraźni zaprzęzone do wózka i powoli, z żalem, potrząsnęła głową.

- Można je kupić za trzysta dolarów żywą gotówką - powiedział Bill. - To murowana okazja. Właścicielowi tak są potrzebne pieniądze, że z pośpiechu aż mu się ręce trzęsą. Musi je sprzedać, i to sprzedać szybko. Przysięgam ci, Saxon, że w mieście na licytacji daliby za tę parę okrągłe pięćset dolarów. Obie klacze, rodzone siostry, jedna pięcio-, druga sześcioletnia, po belgijskim ogierze i mocnej kobyle ze wzorowej stadniny, którą znam. - Można je kupić za trzysta dolarów gotówką i mam trzy dni do namysłu.

Żal Saxon zmienił się nagle w gniew.

- Och, po coś ty mi je pokazał? Nie mamy trzystu dolarów i dobrze o tym wiesz. Ja mam w domu wszystkiego sześć, a ty nie masz nawet sześciu.

- Pewnie ci się zdaje, że ja tylko po to przyprowadziłem cię do miasta? - spytał zagadkowo. - Hm... nie tylko po to.

Umilkł, zwilżył wargi i mocno speszony przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

- Teraz słuchaj spokojnie do końca, zanim się odezwiesz. Gotowa?

Saxon skinęła głową.

- I nie piśniesz ani słówka, zanim nie skończę?

Tym razem ulegle potrząsnęła głową.

- No więc sprawa tak wygląda - zaczął z ociąganiem. - Przyjechał tu z San Francisco taki smarkacz, nazywają go Młody Sandow albo Chluba Telegraph Hill. Naprawdę dobry z niego bokser ciężkiej wagi. Miał w sobotę wieczór walczyć z Montana Redem, tylko że Montana Red wybił sobie wczoraj podczas treningu rękę w łokciu. Organizatorzy nic nikomu o tym nie powiedzieli. A teraz posłuchaj, jaka jest propozycja. Sprzedali kupę biletów i tłumy ludzi zjeżdżają się w sobotę wieczór. W ostatniej chwili, żeby nie rozczarować publiczności, wystawią mnie na miejsce Montany. Nikt o mnie nic nie wie. Nie znają mnie - nawet Młody Sandow o mnie nie słyszał. Wszedł na ring, kiedy ja przestałem walczyć. Będę jak fuks na wyścigach. Mogę walczyć jako Koń-Roberts.

Czekaj, nic nie mów. Zwycięzca dostanie trzysta dolarów żywą, dobrą gotówką. Powiadam ci, nie mów nic! To jest murowana wygrana. Zupełnie, jakbym miał obrabować trupa. Sandow jest zacięty, uparty bokser, taki, co to do ostatka trzyma się na deskach. Przeczytałem, co o nim pisali w gazetach. Ale mądry nie jest. Ja jestem powolny - zgoda, ale walczę z głową i w obu rękach mam młockarnie. Przyjrzałem się Sandowowi i dobrze to sobie wykalkulowałem.

Wiadomo, Saxon, że masz tu coś niecoś do powiedzenia. Jak powiesz „zgoda” - kasztanki są nasze. Jak powiesz „nie” - wtedy kłapa, ale pretensji do ciebie mieć nie będę i wezmę się do czyszczenia uprzęży w stajniach, żeby zarobić na kupno dwóch szkap. Ale pamiętaj, że będą to tylko szkapy. Zdecyduj, ale jak się będziesz zastanawiała, nie patrz na mnie. Zwróć te swoje ślipki na konie.

Saxon spojrzała na parę pięknych zwierząt z bolesnym niemal wahaniem.

- Nazywają się Hazel i Hattie - dorzucił Bill chytrze. - Jak je kupimy, będziemy je mogli nazywać zaprzęg HaHa.

Ale Saxon zapomniała o koniach i oczyma wyobraźni widziała tylko straszliwie pokaleczone ciało Billa tej nocy, gdy walczył z Postrachem Chicago. Już miała się odezwać, gdy Bill, który czekał niecierpliwie na jej słowa, nagle wybuchnął:

- Zaprzęgnij je w myślach do naszego wózka i przyjrzyj im się dobrze. Ze świecą szukałabyś lepszych.

- Przecież ty nie masz żadnego treningu, Bill - powiedziała niespodziewanie i wbrew temu, co zamierzała powiedzieć.

- Ha! - rzucił pogardliwie. - Przez cały ostatni rok przeprowadzałem półtrening. Nogi

mam jak z żelaza. Utrzymają mnie na stojąco, dopóki będę miał siłę w rękach, a tej mi nigdy nie zbraknie. Zresztą ani myślę mu pozwolić na przedłużenie walki. Sandow jest gwałtowny narwaniec, a ja takich kładę na deski. Zjadam ich żywcem. Najtrudniej mi walczyć z inteligentnymi chłopcami, którzy mają w sobie krzepę i wytrzymałość. Ale taki Sandow to dla mnie zabawka. Załatwię się z nim pewnie w trzeciej albo czwartej rundzie... wiesz, rozpędzę go w ataku i pac, pac - jut po nim! Powiadam ci, że to murowana wygrana. Słowo daję, Saxon, że aż trochę wstyd będzie brać te pieniądze.

- Ale ja po prostu nie mogę o tym myśleć, że miałbyś być znowu taki pokaleczony - odwlekała Saxon decyzję. - Gdybym cię nie kochała tak bardzo, pewnie bym to odczuwała inaczej. A poza tym możesz odnieść jakieś poważne obrażenia.

W śmiechu Billa zabrzmiała pogarda zrodzona z młodości i siły.

- W ogóle nie zauważysz, że walczyłem... tyle tylko, te Hazel i Hattie będą nasze. Zresztą wiesz, Saxon, że od czasu do czasu muszę wpakować pięść w czyjąś fizjonomię. Mogę przez parę miesięcy chodzić łagodny i cichy jak baranek, a potem ni z tego, ni z owego pięści same mi się wyrrywają do bicia. Przyznasz chyba, że to dużo rozsądniej, żebym przetrzepał Młodego Sandowa i dostał za to trzysta dolarów, niż rozkwaślił jakiegoś chłystka, poszedł do kozy i został skazany na zapłacenie grzywny przez sędziego pokoju. No, Saxon, spójrz jeszcze raz na Hazel i Hattie. Prawdziwe z nich klaczki framerskie, doskonałe do hodowli, kiedy zajedziemy do tej naszej księżycowej doliny. A są dość silne i ciężkie, żeby pójść za pługiem.

W dniu walki Saxon rozstała się z Billem o godzinie ósmej piętnaście wieczorem. O dziewiątej piętnaście, gdy czekała na niego przygotowany z góry gorącą wodę i lód, usłyszała trzask furtki i kroki Billa na schodach. Zgodziła się na walkę wbrew woli i przez ostatnią godzinę oczekiwania nie mogła sobie darować własnej uległości. Otwierając teraz drzwi, była przygotowana na widok najstraszliwszych spustoszeń. Ale wygląd Billa był dokładnie taki jak przed godziną.

- Nie walczyłeś? - zawołała z tak wyraźnym rozczarowaniem, że aż Bill się roześmiał.

- Jak wychodziłem, wrzeszczeli wszyscy: „Bujda! Nabieranie!” i żądali zwrotu pieniędzy.

- Och, mam cię z powrotem całego i zdrowego - zaśmiała się wprowadzając go do pokoju. Ale w duchu pożegnała smutnym westchnieniem Hazel i Hattie.

- Zatrzymałem się po drodze, żeby wziąć coś dla ciebie, coś chciała mieć już od dłuższego czasu - rzucił Bill niedbale. - Otwórz rękę, zamknij oczy, to do ręki ci coś wskoczy

- zaśpiewał.

Poczuła na dłoni coś bardzo ciężkiego i bardzo zimnego. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła piętnaście złotych monet po dwadzieścia dolarów każda.

- Mówiłem ci, że to zupełnie tak, jakbym miał obrabować trupa - wykrztusił uszczęśliwiony, gdy wydostał się wreszcie spod huraganowego ognia jej pocałunków i uścisków. - W ogóle nie było żadnej walki. Chcesz wiedzieć, jak długo trwała cała zabawa? Dokładnie dwadzieścia siedem sekund... mniej niż pół minuty. A ile bokserzy wymienili ciosów? Jeden. I to moją pięścią... Czekał, pokażę ci, jak to było. Cudo nie cios.

Bill zajął pozycję na środku pokoju, na lekko zgiętych kolanach, zasłoniwszy brodę gardą lewej ręki, z zaciśniętymi pięściami, łokciami zasłaniając żołądek i lewy bok, przedramiona zaś ściągawszy blisko korpusu.

- Ma się zacząć pierwsza runda - objaśniał. - Biją w gong, my podajemy sobie ręce. A że walka ma być naturalnie długa i myśmy się nigdy nie widzieli na ringu, ani trochę się nie śpieszymy. Obmacujemy się tylko i zwlekamy. Tak mija siedemnaście sekund. Ani jednego ciosu. Nic. A potem nagle już jest po wielkim Szwedzie. W opowiadaniu to trwa długo, ale naprawdę trwało mniej niż jedną dziesiątą sekundy. Sam się tego nie spodziewałem. Stoimy okropnie blisko siebie. Jego lewa rękawica jest w odległości nie całej stopy od mojej szczęki, moja lewa rękawica jest w tej samej odległości od jego szczęki. On markuje cios prawą, ale ja wiem, że to tylko markowanie, więc podnoszę lekuchno lewe ramię, a prawą markuję cios. To go zmusza do podniesienia gardy o jakiś cal i wtedy widzę dla siebie szansę. Moja lewa ma niecałą stopę do przebycia. Nie odciągam jej do tyłu ani na kawałek. Zaczynam z tego miejsca, gdzie się znajduje, wkręcam ją jak śrubę pod jego prawą gardę i zamach robię od pasa, żeby uderzyć całym ciężarem ramienia. No i pięść ląduje!... Ląduje na podbródku, trochę bokiem. Sadow wali się na deski jak nieżywy. Idę do mojego rogu i słowo ci daję, Saxon, że zaczynam chichotać... takie to było dziecinnie łatwe. Sędzia ringowy staje nad nim i zaczyna go wyliczać. Sadow ani drgnie. Publiczność nie może się w tym wszystkim połapać i siedzi jak sparaliżowana. Trenerzy prowadzą go do rogu i sadzają na stołku, ale muszą go podtrzymywać. W pięć minut później otwiera oczy, ale nic nie widzi. Oczy ma jak szklane. Jeszcze pięć minut i wstaje. Ale muszą go wziąć pod pachy, bo im leci przez liny i dalej prowadzą go pod ręce do garderoby. Teraz sala zaczyna wrzeszczeć, te oszustwo i żąda zwrotu pieniędzy. Dwadzieścia siedem sekund, jeden jedyny cios - i para koników dla najlepszej żony, jaką Bill Roberts miał w całym swoim haremie.

W Saxon ożyło całe jej dawne fizyczne uwielbienie dla Billa - ożyło ustokrotnione. Bill naprawdę był bohaterem godnym należenia do towarzystwa mężczyzn w hełmach

ozdobionych skrzydłami, którzy wyskakiwali ze smukłych łodzi na nasiąkłe krwią piachy angielskiego wybrzeża. Nazajutrz obudził się czując dotyk jej warg na lewej ręce.

- Hej! A to co znowu? - zawołał.

- Nic. Całuję na dzień dobry Hazel i Hattie - odpowiedziała poważnie. - Teraz pocałuję ciebie... A teraz chciałabym wiedzieć, gdzieś ty go właściwie uderzył. Pokaż mi.

Bill dotknął knykciami jej podbródka. Zacisnąwszy obie dłonie na jego przedramieniu odepchnęła je, a potem usiłowała przyciągnąć ruchem naśladowującym cios. Ale Bill się oparł.

- Poczekaj - powiedział. - Nie chcesz chyba, żebym ci wybił szczękę. Zaraz zobaczysz. Wystarczy odległość ćwierć cala...

I z odległości ćwierć cala jego pięść wylądowała na szczęce Saxon w najlżejszym z ciosów.

Natychmiast w jej mózgu błysnął jakby biały płomień, podczas gdy ciało straciło prężność - drętwe, słabe i bezwolne - a obraz przed oczyma zamazał się i zakołysał. Już w następnej sekundzie była znów sobą; w jej oczach malował się przestach i zrozumienie.

- A tyś go uderzył z odległości stopy - powiedziała głosem, w którym podziw mieszał się ze zgrozą.

- I całym ciężarem ramienia - zaśmiał się Bill. - Och, to jest drobiazg... Czekaj, pokażę ci coś innego.

Wyszukał jej splot słoneczny, przytknął weń środkowym palcem. Tylko tyle. Tym razem poczuła, jak ciało jej drętwieje i dech zamiera, jednakże we wzroku i umyślenie doznała żadnych zaburzeń. I znowu po sekundzie wszystkie nieprzyjemne sensacje minęły.

- To splot słoneczny - wyjaśnił Bill. - A teraz wyobraź sobie, jak to smakuje, kiedy ci przeciwnik pakuje w to miejsce pięść zamachnąwszy się aż od kolan. Tym ciosem Bob Fitzsimmons zdobył mistrzostwo świata.

Dreszcz przebiegł ciało Saxon, poddała się jednak i pozwoliła, aby Bill na niej wykazał wszystkie słabe punkty ludzkiej anatomii. Nacisnął palcem miejsce w środku jej przedramienia i poczuła obezwładniający ból. Dotknął lekko kciukami miejsc z obu stron szyi, u podstawy, i natychmiast zaczęła tracić przytomność:

- To jest jeden ze śmiertelnych chwytów, jakimi walczą Japończycy - powiedział objaśniając kolejno rozmaite chwytów. - Tym chwytym palcami u nóg Goth zwyciężył Hackenschmidta. Nauczyłem się go od Burnsa. A to jest półnelson... powiedzmy, że ty, Saxon, robisz awanturę na zabawie, a ja jestem zarządzający i muszę wyrzucić cię za drzwi.

Jedną ręką chwycił przegub jej dłoni, drugą wsunął pod przedramię i palce zacisnął na własnym przegubie dłoni. Przy pierwszej próbie nacisku odniosła wrażenie, że jej ręka jest

kruchym i łamliwym patykiem.

- Ten chwyt nazywa się „chodź, bratku”... A to znowu tak zwana „silna ręka”. Dziecko może zwalić z nóg dorosłego mężczyznę... A gdybyś się tak z kimś biła i twój przeciwnik chwyciłby cię zębami za nos... Nosa wolałabyś nie tracić, co? Musisz wtedy błyskawicznie zrobić tak...

Zacisnęła bezwiednie powieki, gdy poduszki kciuków Billa dotknęły jej oczu. Poczowała bolesny prąd, który zapowiadał ból straszny i tępy.

- Jeżeli cię nie puści, naciśnij naprawdę mocno, a ślipska wyjdą mu na wierzch i będzie do końca życia ślepy jak kret. Ale nie bój się, puści cię, puści!

Oderwał ręce od jej twarzy, i leżąc na wznak śmiał się głośno.

- No i jak, Saxon? - spytał. - To nie są sztuczki bokserskie, ale używa ich się przy wszystkich większych bójkach.

- Mam ochotę na mały rewanż - powiedziała, usiłując uwięzić jego rękę w chwycie „chodź, bratku”.

Gdy naprężywszy mięśnie zacisnęła chwyt, okrzyk bólu wydarł jej się z piersi, nie robiąc bowiem krzywdy jemu, zadała ból sobie. Bill wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wbiła palce w jego szyję naśladując śmiertelny chwyt Japończyków, a potem z żalem spojrzała na zgięte końce swych paznokci. Zręcznym ciosem ugodziła go w podbródek - i nowy okrzyk bólu, gdy jej knykcie zderzyły się z jego szczęką.

- Przynajmniej tym nie zrobię sobie krzywdy - rzuciła przez zacisnięte zęby uderzając obiema pięściami w jego splot słoneczny.

Ale teraz Bill ryknął głośnym śmiechem. Pod pokładami naprężonych mięśni, jak pod żelazną zbroją, fatalny ośrodek nerwów krył się w bezpiecznym schronieniu.

- Jeszcze, Saxon, jeszcze! - nalegał, gdy zrezygnowawszy dyszała ciężko. - To tak przyjemnie, zupełnie jakbyś mnie gładziła piórkiem.

- Masz rację, mój ty Groźny Mężczyzno - powiedziała złowieszczo. - Możesz sobie mówić o swoich chwytach i dotykach śmierci, i innych sztuczkach, ale to są wszystko sposoby używane przez mężczyzn. Ja mam sposób lepszy od tamtych, sposób, od którego najsilniejszy mężczyzna robi się słabszy niż niemowlę. Poczekaj, zaraz go na tobie wypróbuję. Zamknij oczy. Jesteś gotowy? To nie potrwa sekundy.

Czekał z zamkniętymi oczami i nagle poczuł na ustach dotyk jej warg lekki jak dotyk spadających płatków róży.

- Zwyciężyłaś - powiedział w niemal uroczystym zachwycie i otoczył jej kibić ramieniem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Rano Bill poszedł do miasta zapłacić za Hazel i Hattie. Saxon nie mogła się doczekać chwili, kiedy je zobaczy, i odniosła wrażenie, że ta prosta czynność trwa nieznośnie długo. Ale przebaczyła mu, gdy zajechał przed dom wózkiem zaprzężonym w konie.

- Musiałem pożyczyć uprząż - wyjaśnił. - Podaj mi Possuma i wejdz, bo chciałbym ci pokazać, jak się sprawa nasz HaHa zaprzęg. Powiadam ci, złoto nie koniki.

Gdy wózek ciągniony przez parę kasztanów o kremowych ogonach i grzywach wyjechał na drogę wiejską, Saxon wprost nie posiadała się z radości. Siedzenie było miękkie, oparcie wysokie i wygodne, a Bill nie miał dość słów zachwyty dla cudów sprawności hamulca. Puścił konie kłusem po bitej drodze, aby pokazać, że istotnie pochodzą od wzorcowych klaczy, a potem kazał im się wspinać stromą dróżką wiejską, gdzie koła niemal po piasty grzęzły w błocie, aby dowieść, że w ich drzewie genealogiczny mnie zbrakło belgijskiego przodka.

Gdy w końcu Saxon umilkła zupełnie, Bill zaczął rzucać jej badawcze, niespokojne spojrzenia. Westchnęła i spytała:

- Jak myślisz... kiedy będziemy mogli wyruszyć?

- Może za dwa tygodnie... a może za kilka miesięcy - odparł wzdychając umyślnie głośno. - Jesteśmy jak ten Irlandczyk, który miał walizkę, ale nie miał co włożyć do środka. Mamy wózek, mamy konie, ale konie nie mają co ciągnąć. Wiem o jednej pierwszorzędnej używanej dubeltówce za osiemnaście dolarów... Ale jak pomyślę, ile my mamy długów do płacenia. Dalej, widziałem śliczną nową fuzyjkę, dwudziestkę dwójkę, w sam raz dla ciebie. I doskonały sztucer, 30-30, na jelenie. I oboje powinniśmy mieć nareszcie przyzwoite składane wędki. Ekwipunek kosztuje jak wszyscy diabli. Na uprząż, jaką bym chciał mieć, trzeba wydać pięćdziesiąt dolarów. Wózek koniecznie należałoby pomalować. Poza tym musimy kupić pęta na pastwisko, worki na obrok i różny taki sprzęt. A przez cały ten czas Hazel i Hattie usychają z nudów w stajni. Mnie samego aż ponosi, żeby się wreszcie stąd ruszyć.

Umilkł nagle, wyraźnie zmieszany.

- Słuchaj, Bill, co ty tam ukrywasz za pazuchą? Widzę to wyraźnie w twoich oczach - spytała Saxon oskarżycielskim tonem, używając mieszanej metafory.

- Bo widzisz, Saxon, to jest tak... Sadow ma pretensje. Dosłownie się wścieka. Pomyśl, że on mnie nawet nie dotknął rękawicą. Nie miał okazji pokazać, co jest wart, więc teraz żąda rewanżowego meczu. Lata i pyskuje po mieście, że mógłby mnie nabić, gdyby mu

jedną rękę związano z tyłu i tym podobne bzdury. Ale nie o to idzie. Idzie o to, że kibice aż się rwą do rewanżowego meczu. Ostatnim razem niewiele zobaczyli za swoje pieniądze. Napelniliby teraz salę do ostatniego miejsca. Organizatorzy już ze mną mówili. Dlatego tak się dzisiaj spóźniłem. Trzysta nowych dolarów będzie na mnie czekało od wczoraj za dwa tygodnie, jeżeli ty powiesz jedno jedyne słowo. O walce już ci wszystko mówiłem. Sadow jest jak stworzony, żebym go położył na deski. A on ciągle myśli, że jestem patałach i tamten cios udał mi się tylko fuksem.

- Och, Bill, przecież mi mówiłeś, że boks wyciska z ciebie zdrowie. To dlatego rzuciłeś ring i zostałeś woźnicą.

- Nie taki rodzaj boksu - odparł. - Tę walkę dokładnie sobie z góry wykalkulowałem. Pozwolę mu walczyć do jakiejś siódmej rundy. Nie dlatego, żeby to było konieczne, tylko żeby publiczność wiedziała, za co płaci. Naturalnie sam przy tym zarobię kilka guzów i będę miał trochę zdartej skóry. A potem trzepnę go w ten jego porcelanowy podbródek i skończę walkę nokautem. Będziemy już spakowani i następnego dnia rano puścimy się w drogę. No i co ty na to? Zgoda?

W sobotę wieczór, w dwa tygodnie później, Saxon podbiegła do drzwi usłyszawszy trzask furtki. Bill miał wygląd zmęczony - włosy mokre, nos spuchnięty, jeden policzek obrzmiały, skórę zdartą na uszach i z lekka przekrwione oczy.

- Niech skisnę, jeżeli mnie ten chłopak nie nabrał - rzekł wsuwając jej do ręki rulon złotych monet. Usiadł i wziął ją na kolana. - Kawał boksera z niego, kiedy się rozrusza w walce. Zamiast żebym ja go zatrzymał i skończył w siódmej rundzie, on mi się kazał zdrowo nauwijać aż do czternastej. Potem go położyłem tak, jak sobie uplanowałem. Swoją drogą szkoda, że ma tę wrażliwą szczękę. Jest szybszy, niż myślałem, i ma tyle siły w pięści, że od drugiej rundy nabrałem do niego szacunku. Ale ta szczęka! Trzymał ją jak w wacie do czternastej rundy, ale potem ja buch - i już po nim.

Wiesz co, Saxon? Bardzo jestem rad, że walka trwała czternaście rund. Przekonałem się, że nie straciłem nic z mojej bokserskiej kondycji. Nie brakło mi oddechu i wszystkie rundy leciały piorunem. A nogi miałem jak z żelaza. Mógłbym na nich ustać przez czterdzieści rund. Widzisz, nic ci nie mówiłem, ale od tamtej walki z Postrachem Chicago cały czas niepokój chodził mi po plecach.

- Nonsens! Już dawno byś się o tym przekonał - zawołała Saxon. - Dość miałeś do tego okazji przy boksowaniu i siłowaniu, i tych wszystkich biegach w Karmel.

- Nie - Bill potrząsnął głową z przekonaniem, jakie płynie z gruntownej wiedzy. - To

zupełnie inna sprawa. Tamto nie wyciskało z człowieka siły. Trzeba walczyć na serio, walczyć jakby o życie, runda po rundzie, z młodym facetem, o którym wiadomo, że ma tej siły na funty i dotąd jej nie stracił... Jeżeli wtedy człowiek nie pada ze zmęczenia, jeżeli nogi pod nim nie drżą, serce mu nie pęka, jeżeli się nie chwieje ani w głowie nie zaczynają mu się dziać dziwne rzeczy... Cóż, wtedy może być spokojny, że nie stracił nic ze swej siły i swojego zdrowia. A ja nic nie straciłem - słyszysz, Saxon? Nie straciłem i ani myślę ryzykować więcej walk. To postanowione. Co się łatwo zarobi, drogo kosztuje. Od dzisiaj będę zarabiał prowizję na kupnie koni i będziemy jeździli naszym wózkiem, dopóki nie znajdziemy tej księżycowej doliny.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyjechali z Ukiah. Possum siedział między nimi, otwierając ze zdumienia swój różowy pyszczek. Początkowo zamierzali prosto z Ukiah przedostać się nad brzeg oceanu, ale pora roku była jeszcze zbyt wczesna i miękkie drogi nie obeschły po zimowych deszczach. Wobec tego skierowali się na wschód do Lake County, przy czym dalsza ich trasa miała prowadzić na północ przez górną część doliny Sacramento i dalej poprzez góry do Oregonu. Potem zatoczą koło na zachód i dotrą do wybrzeża, gdzie drogi obeschną do tego czasu, i już tamtędy będą się posuwali na południe, do Złotych Wrót.

Wszędzie dokoła nich ziemia zieleniła się i barwiła kwiatami, a gdy wjechali między wzgórz, każda mała dolinka była jak kwietny ogród.

- Ha! - zwrócił się Bill pogardliwie do całego krajobrazu. - Ludzie powiadają, że toczący się kamień nie porasta mchem. A tymczasem myśmy w coś niecoś porośli. Tak długo żyję, nie miałem naraz tylu własnych rzeczy... A przecież były czasy, kiedy się nie toczyłem, tylko siedziałem na miejscu. Niech to diabli, nawet meble nie były nasze. Tylko trochę łachów na grzbiecie i rozmaitych gratów.

Saxon dotknęła jego ręki, a on wiedział, że to na znak miłości.

- Jedno mnie tylko martwi - powiedziała. - Ty sam zarobiłeś to wszystko. Ja nie miałam w tym żadnego udziału.

- Jeszcze jaki! Jesteś jak mój trener podczas walki. Dzięki tobie czuję się szczęśliwy jestem w dobrej kondycji. Człowiek nie może walczyć bez dobrego trenera, który by się nim opiekował. Przecież gdyby nie ty, w ogóle bym tu nie był! To tyś mnie zmusiła, żebym rzucił wszystko i wyszedł z Oakland. Gdyby nie ty, zapiłbym się na śmierci zdechł albo bym zawisł na stryczku w St. Quentin, bo trzepnąłbym jakiegoś łamistrajka za mocno w głowę czy zrobił coś takiego. A teraz spójrz na mnie. Przyjrzyj się tej paczce zielonych dolarów - tu uderzył się w pierś - za które mam kupić konie dla pryncypała. Pomyśl - przecież my mamy nie kończące

się wakacje, a jednocześnie zarabiamy na przyzwoite utrzymanie. I zdobyłem jeszcze jeden zawód: kupowanie koni dla Oakland. Jeżeli pokażę, że mam głowę na karku, a wiesz, że mam, wszystkie farmy w San Francisco będą się dobijały do mnie, żebym im kupował konie. A to jest twoja wina. Bądź spokojna, jesteś moje Odżywcze Kochanie i gdyby Possum nie patrzył, na pewno bym... A zresztą niech patrzy!

Bill przechylił się i pocałował ją w usta.

Gdy zaczęli się wspinać pod górę, droga stała się uciążliwa i kamienista, ale dział wodny nie był wysoki i niebawem zjechali w dół Kanionem Niebieskich Jezior pomiędzy bujne pola porośnięte złotymi makami. Na dnie kanionu lśniła tafla wodna o intensywnie błękitnej barwie. Dalej faliste wzgórza urozmaicały krajobraz, pośrodku zaś wznosiła się podległa niebieskawa góra.

Wdali się w rozmowę z przystojnym, czarnookim mężczyzną o falistych szpakowatych włosach, który mówił z wyraźnym niemieckim akcentem, podczas gdy kobieta o wesołej twarzy uśmiechała się do nich z wąskiego, zdobionego krata okna w szwajcarskim domku nad brzegiem jeziora. Nieco dalej Bill napoił konie przy wodopoju obok ładnego hotelu; wyszedł do nich właściciel, rozpoczął pogawędkę i powiedział, że wybudował hotel własnymi rękami według projektu mężczyzny o czarnych oczach i szpakowatych włosach, który jest architektem z San Francisco.

- Coraz ważniejsi, coraz ważniejsi - wyśpiewywał Bill, gdy jechali wijącą się górską drogą obok następnego błękitnego jeziora. - Zauważyłaś, jak nas inaczej traktują, odkąd jedziemy wózkiem zamiast pyrgać pieszo z tobołkami na plecach? Jak ludzie patrzą na Hazel i Hattie, i Saxon, i Possuma, i twojego unizonego sługę, i ten elegancki wózek, na pewno nas biorą za milionerów, którzy szukają przygody na drogach.

Droga była teraz szersza. Po obu stronach ciągnęły się rozległe, wysadzone dębina pastwiska, na których stada szczypały trawę. Potem nagle otworzył się przed nimi widok na Clear Lake, podobne raczej śródlądowemu morzu, o tafli pomarszczonej tu i tam porysowanej przez wiatr wiejący od gór, gdzie na północnych stokach iskrzyły się wciąż płaty śniegu.

- Słyszałam, jak pani Hazard zachwycała się Jeziorem Genewskim - przypomniała sobie Saxon. - Ale chyba nie może być piękniejsze od tego.

- Ten architekt mówił o tych górach, że to są Alpy Kalifornijskie. Pamiętasz? - przytwierdził Bill. - A jeżeli się nie mylę, tam z daleka widać Lakeport. No i zaczynają się dzikie okolice, kolei ani śladu.

- I księżycowych dolin też tu nie ma - dodała Saxon krytycznie. - Ale przyznaję, że

jest pięknie. Och, jak pięknie!

- Głowę dam, że w środku lata musi być piekielnie gorąco - zawyrokował Bill. - Nie, moja droga. Ziemia, której szukamy, leży bliżej wybrzeża. Swoją drogą to wszystko jest piękne... jak obrazek na ścianie. A co ty na to, żebyśmy się tu zatrzymali i po południu szli się kąpać i popływać?

W dziesięć dni później dotarli do Williams w okręgu Colusa i po raz pierwszy od dawna zobaczyli znów linię kolei żelaznej. Bill rozglądał się za koleją, ponieważ przywiązane z tyłu do wózka biegły dwa wspaniałe konie pociągowe, które kupił po drodze z zamiarem wysłania do Oakland.

- Za gorąco tu - brzmiał wyrok Saxon, gdy spoglądała na szklące się żarem powietrze ponad płaskim dnem rozległej doliny Sacramento. - Nie ma sekwoi. Nie ma pagórków. Nie ma lasów. Ani manzanita. Ani madrono. Jakoś samotnie i smutno...

- Trochę podobnie jak na tych wyspach rzecznych - dorzucił Bill. - Wszystko diabelnie bogate, ale pachnie ciężką pracą. To dobre dla tych, co tylko chcą pracować. Swoją drogą nic by tu człowieka nie kusilo i nie odrywało od roboty. Ani ryb, ani polowania, nic, tylko praca. Sam bym chyba wziął się do harówki, gdyby mi tu przyszło zamieszkać na dłużej.

Jechali wciąż na północ, wśród żaru i kurzu, przez rozległe kalifornijskie równiny i na każdym kroku rzucały im się w oczy dowody „nowego systemu” uprawy ziemi - długie rowy nawadniające, już wykopane lub właśnie w robocie, kraj poprzecinany przewodami elektrycznymi, mnóstwo nowych domów farmerskich na niewielkich działkach ogrodzonych nowymi płotami. Ogromne farmy rozpadały się powoli. Jednakże zostało jeszcze trochę wielkich majątków o powierzchni od pięciu do dziesięciu tysięcy akrów, ciągnących się od brzegów rzeki Sacramento do horyzontu, nad którym tańczyły roziskrzone fale żaru i gdzie strzelały ku niebu ogromne dęby dolinne.

- Takie drzewa wyrastają tylko na dobrej ziemi - powiedział im właściciel dziesięcioakrowej farmy.

Zjechali z drogi i zatrzymali się pod jego maleńką stodołą, żeby napić Hazel i Hattie. Większość dziesięcioakrowego gospodarstwa zajmował krzepki, młody sad, sporą jednak część wydzielono pod białe tynkowane kurniki i wybiegi otoczone siatką, mieszczące setki kur. Gospodarz rozpoczął właśnie budowę małego domku mieszkalnego z drzewa.

- Kiedy kupiłem tę ziemię - wyjaśniał - wziąłem sobie urlop i zasadziłem drzewa.

Potem wróciłem do pracy i nie ruszałem się, dopóki nie było skończone karczowanie. Teraz przyjechałem już na dobre, a jak tylko skończę dom, sprowadzę żonę. Ona nie bardzo jest zdrowa, więc wieś zrobi jej dobrze. Marzyliśmy o tym i pracowali przez całe lata, żeby wydostać się z miasta. - Umilkł, z piersi wyrwało mu się westchnienie szczęścia. - No i wreszcie jesteśmy wolni.

Woda w korycie nagrzana była przez słońce.

- Proszę zaczekać - powiedział mężczyzna. - Niech ich pan tym nie poi. Dostaną zimnej wody.

Wszedł do małej szopy, przekręcił kontakt i puścił w ruch motorek elektryczny wielkości skrzynki na owoce. Pięciodłowy w przekroju strumień pianistej wody trysnął do głównego rowu nawadniającego i popłynął przez sad licznymi odgałęzieniami.

- Prawda, jakie to piękne? Co? Piękne, ach piękne! - wybuchnął mężczyzna w uniesieniu. - To są pąki i owoce. To krew i życie. Przypatrzcie się tej wodzie! Przy niej kopalnia złota jest śmiechu warta, a szynk to potworność. Ja wiem. Byłem... byłem szynkarzem. Byłem szynkarzem prawie przez całe życie. Pracowałem, żeby kupić tę farmę. I przez cały czas nienawidziłem tej pracy. Jako dziecko chowałem się kiedyś na farmie i wciąż marzyłem, żeby wrócić na wieś. No i jestem tu w końcu!

Przetarł okulary, żeby tym lepiej przyjrzeć się swojej ukochanej wodzie, a potem wziął do ręki graczę i idąc wzdłuż głównego rowu otwierał dalsze odgałęzienia.

- To chyba najdziwniejszy szynkarz, jakiego w życiu widziałem - powiedział Bill. Wziąłem go początkowo za jakiegoś biznesmena. Musiał to być bar w jakimś spokojnym hotelu.

- Nie odjeżdżaj zaraz - poprosiła Saxon. - Chciałabym z nim pomówić.

Farmer wrócił z twarzą rozpromienioną; przetarł znów szkła i jak urzeczoną przyglądał się wodzie. Aby go skłonić do mówienia, Saxon nie musiała wykonać większego wysiłku niż on - gdy puszczał motorek elektryczny.

- Pionierzy skolonizowali te ziemie w początkach lat pięćdziesiątych - powiedział. - Meksykanie nie dotarli w te strony, więc wszystko tu było własnością rządu. Każdy otrzymywał po sto sześćdziesiąt akrów. I to jakiej ziemi! Prawie trudno uwierzyć, jak się słyszy, ile oni zbierali pszenicy z jednego akra. A potem zdarzyło się kilka różnych rzeczy. Najzachłanniej i najwytrwalsi spośród pionierów nie tylko utrzymali swoją ziemię, ale powiększali farmy o ziemię sąsiadów. Trzeba połączyć dużo stu sześćdziesięcioakrowych gospodarstw, żeby zrobić z nich jedną, jak to oni nazywali, „farmę szybkich zysków”.

- To byli szulerzy, którym się powiodło - wtrąciła Saxon przypomniawszy sobie słowa

Marka Halla.

Farmer kiwnął głową z uznaniem.

- Starsze pokolenie zbierało, gromadziło, skupywało ziemię tworząc wielkie posiadłości, wznosiło ogromne zabudowania gospodarskie i domy mieszkalne, zakładało sady i ozdobne ogrody przy domach. Młode pokolenie, zepsute tym wielkim bogactwem, przenosiło się do miast i tam traciło pieniądze. A starzy i młodzi jedno robili wspólnie: wyjaławiali ziemię. Rok po roku wyciskali z niej wszystko, co się dało, i zbierali plony „szybkich zysków”. Nie oddawali ziemi nic w zamian, tylko ją po trochu zubożali. Ach, są teraz całe połacie ziemi tak wyjałowione, że przypominają pustynię.

Nie ma już, Bogu dzięki, farm „szybkich zysków”, i teraz my, drobni farmerzy, dochodzimy do swego. Nie potrwa długo, zanim cała dolina zostanie podzielona na takie jak moje małe gospodarstwa. Pomyślcie tylko, ile my robimy! Odkarmiliśmy ziemię, która przestała rodzić pszenicę, nawadniamy ją, otaczamy staraniem... spójrzcie choćby na nasze sady.

Zdobywamy wodę... z gór i ze środka ziemi. Właśnie przedwczoraj przeczytałem ciekawy opis. Wszelkie życie zależy od jedzenia. Wszelkie jedzenie uzależnione jest od wody. Na to, żeby wyprodukować jeden funt żywności, potrzeba tysiąc funtów wody. Żeby wyprodukować jeden funt mięsa, potrzeba dziesięć tysięcy funtów wody. Ile wody wypija człowiek w ciągu roku? Około tony. Ale człowiek zjada w ciągu roku około dwustu funtów warzyw i około dwustu funtów mięsa, z czego wynika, że pochłania w ciągu roku dodatkowo sto ton wody w warzywach i tysiąc ton wody w mięsie. Czyli że potrzeba około tysiąca stu jeden ton wody na rok, żeby taka mała kobietka jak pani utrzymała się przy życiu.

- Ojej! - tylko na to mógł się zdobyć Bill.

- Widzicie więc, jak bardzo ludzie uzależnieni są od wody - ciągnął były szynkarz. - No cóż, my mamy wodę, ogromne podziemne zapasy wody i nim upłynie wiele lat, ta dolina będzie tak gęsto zaludniona jak Belgia.

Urzeczony pięciocalowym strumieniem wody, wydieranym ziemi i zwracanym ziemi przez warczący monotonnie motor, farmer zapomniał o swoich rozmówcach i nie zauważywszy ich odjazdu, stał wpatrując się w wodę w zachwyceniu, niebacznym na to, co się wokół niego działo.

- I on nalewał ludziom alkohol w barze ! - mówił Bill ze zdziwieniem. - Jak tam było z alkoholem, nie wiem, ale z tym napojem trzeźwości umie się obchodzić.

- Miło się robi na myśl o tej całej wodzie... i o tych szczęśliwych ludziach, którzy tu kiedyś przyjdą...

- Ale księżycowa dolina to to nie jest - rzekł Bill ze śmiechem.

- Masz rację. W dolinie księżycowej nie trzeba ziemi nawadniać... chyba że pod lucernę czy jakieś takie zbiory. My musimy mieć wodę, która będzie sama tryskała z ziemi, która będzie przepływała przez farmę w małych strumykach, a gdzieś na końcu gruntów musimy mieć śliczną sporą rzeczkę...

-... i w niej koniecznie pstrągi! - podjął Bill.- A nad brzegami muszą rosnąć wierzby i rozmaite inne drzewa, i musi być miejsce, gdzie w bystrym przepływie można by łowić pstrągi... i głębina, na której można by pływać i nurkować... A do wodopoju muszą przychodzić zimorodki i króliki, a może nawet jeleni...

- A nad pastwiskami muszą fruwać skowronki - dodała Saxon. - A na drzewach muszą być dzikie gołębie. Koniecznie muszą być dzikie gołębie na drzewach... i duże szare wiewiórki.

- Nie ma co! Ta księżycowa dolina to będzie pierwsza klasa dolina - rzekł Bill w zamyśleniu, odganiając batem muchę z Hattie. - Myślisz, że ją kiedyś znajdziemy?

Saxon skinęła głową z przekonaniem.

- Znajdziemy. Tak jak Żydzi znaleźli swoją Ziemię Obiecaną, jak mormoni znaleźli swoje Utah, a pionierzy Kalifornię. Czy pamiętasz ostatnią radę, jaką usłyszeliśmy przed opuszczeniem Oakland? „Kto szuka, ten znajdzie”.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Zgrabny wózek zaprzężony w parę kasztanów o kremowych grzywach i ogonach zdązał wciąż i wciąż na północ przez żyzną, kwitnącą, odmłodzoną ziemię - zatrzymując się w miastach takich jak Willows, Red Bluff i Redding, przebywając okręgi Colusa, Glenn, Tehama i Shasta. Chociaż odwiedzali wiele farm, Bill zakupił tylko trzy konie dla oaklandzkich stajni; a podczas gdy jemu mężczyźni pokazywali stajnie, Saxon rozmawiała z kobietami. I z każdym dniem wzrastało w niej przekonanie, że dolina, której szukają, nie leży w tych stronach.

W Redding przeprawili się promem na drugą stronę Sacramento i w ciągu jednego dnia, w męczącym upale, przecięli na ukos faliste pagórki i rozległy płaskowyż. Żar stawał się nie do zniesienia, drzewa i krzewy były schorowane lub uschnięte. Potem droga przywiodła ich znów nad brzeg Sacramento, gdzie potężne huty w Kennett wyjaśniły im przyczynę zniszczenia roślinności.

Wydostali się z miasta hut, spośród domów przycupniętych niepewnie na urwistych stokach. Droga szeroka, doskonale wytyczona, łagodnie na przestrzeni mil wznosząca się w górę, przywiodła ich w dół do kanionu Sacramento. Tutaj, wycięta w skalnym stoku, stała się tak wąska, że Bill lękał się spotkania z pojazdami jadącymi z przeciwnej strony. Nisko w dole rzeka płynąca do rozległej doliny, którą dopiero co opuścili, to pienila się na kamienistych płycznach, to znów przedzierała się z rykiem, tworząc kaskady nad ogromnymi głazami.

Na niektórych szerszych odcinkach drogi Saxon powoziła, a Bill szedł obok, aby ulżyć koniom. Saxon zażądała, żeby schodzili z wozu na zmianę i gdy w pewnej chwili Bill zatrzymał kłacze na stromiznie, żeby nieco odpoczęły, Saxon zaś stała przy nich pieszcząc je i dodając im otuchy, szczęście Billa zbyt było wielkie, aby je mógł wyrazić słowami. Spoglądał więc w milczeniu na swe piękne konie, na swą śliczną dziewczynę w zgrabnym i barwnym stroju ze złotobrazowego aksamitu w prążki, pod którego wąską i krótką spódnicą rysowały się smukłe łydki. Gdy w odpowiedzi obdarzyła go spojrzeniem pełnym szczęścia, gdy delikatna mgielka pojawiła się w jej szarych, czystych oczach - Bill zrozumiał nagle, że albo powie coś prędko, albo pęknie.

- Serwus, dzieciaku! - zawołał.

A ona odpowiedziała mu z promienną twarzą: - Serwus, dzieciaku!

Minęli Castle Crags o potężnych wieżach, rysujące się czerwoną sylwetą na tle rozedrganego żarem błękitnego nieba. Po raz pierwszy zobaczyli Mt. Shasta, zobaczyli

wyróżniony zachodzącym słońcem śnieżny wierzchołek, który wznosił się pośród i poza zielonymi ścianami kanionów. Był to widok, który miał im towarzyszyć przez wiele następnych dni. Niekiedy na zakrętach, gdy wspięli się pod górę stromą drogą, masyw Shasta ukazywał się znów niespodzianie, wciąż daleki, zwracający ku nim dwa wierzchołki i pola lodowe roziskrzane bielą. Mijały dni, przebywali mile za milami, a potężna góra coraz to ukazywała im się w nowych kształtach i nowych fazach swej letniej śniegowej szaty.

- Zupełnie jakby kto puszczał film w niebie - powiedział któregoś dnia Bill.

- Och, to wszystko jest naprawdę piękne - westchnęła Saxon. - Tylko że nie ma tu księżycowych dolin.

Natknęli się na plagę motyli i przez cztery dni jechali pośród nieprzebranych milionów trzepoczących skrzydełkami piękności, które wyścielały drogę gładkim dywanem z brązowego aksamitu. I droga wciąż zdawała się podnosić przed nosami parszkających klaczy, powietrze napełniało się bezszelestnym rojem, złotobrazowe chmury unosiły się na łagodnym wietrzyku roniąc płatki delikatne jak śnieg, usypując złotobrazowe zwały wzdłuż płotów i nawet obsiadając bezradnie powierzchnię wody w rowach nawadniających. Hazel i Hattie przywykły niebawem do motyli, ale Possuma owady do końca przyprawiały o nieprzytomną wściekłość.

- Ha! Czy kto kiedy słyszał o koniach przyzwyczajonych do plagi motyli? - wołał chępliwie Bill. - Podnosi to ich cenę o pięćdziesiąt dolarów.

- Poczekajcie, aż przejedziecie przez Oregon do doliny rzeki Rogue - powiedziano im. - Te ziemie to prawdziwy raj: klimat, krajobraz, wszystko. Farmy owocowe, które dają dwieście procent zysku przy szacunku ziemi pięćset dolarów za akr.

- Ojej! - jęknął Bill, gdy oddalił się na tyle, że osoba informująca nie mogła ich dosłyszeć. - To za bogato jak na nasze żołądki.

A Saxon dodała: - Nie wiem, jakie będą jabłka w dolinie księżycowej, ale wiem, że plony dadzą dziesięć tysięcy procent szczęścia przy szacunku: jeden Bill, jedna Saxon, jedna Hazel, jedna Hattie i jeden Possum.

Poprzez okręg Siskiyou i wysokie góry dotarli do Ashland i Medford i rozbili obóz nad dziką rzeką Rogue.

- Wspaniale tu, cudownie - oznajmiła Saxon - ale to nie jest księżycowa dolina.

- Nie, to nie jest księżycowa dolina - przyznał Bill. A powiedział to wieczorem tego dnia, gdy złowił niezwykłych rozmiarów pstrąga stojąc po szyję w lodowato zimnej wodzie Rogue i przez czterdzieści minut walcząc przy furkocie motowidła, zanim wyciągnął na brzeg zdobycz i z dzikim wrzaskiem zdobywającego skalp Komancza rzucił się i pochwycił ją za

płetwy.

- Kto szuka; ten znajdzie - przepowiedziała Saxon, gdy przekroczywszy w kierunku północnym Przełęcz Granta zdążyli dalej na północ poprzez góry i porośnięte sadami doliny Oregonu.

Pewnego dnia, w obozowisku nad rzeką Umpqua, Bill pochylony ściągał skórę z pierwszego jelenia, który padł od jego strzału. Podniósł głowę i spojrzawszy na Saxon powiedział:

- Gdybym nie znał Kalifornii, Oregon by mi w zupełności odpowiadał.

Wieczorem, syty po kolacji z upolowanego jelenia, oparł się na łokciu i zapaliwszy papierosa tak rzekł do Saxon:

- Może nie ma nigdzie księżycowej doliny. A jak nie ma, to co z tego? Moglibyśmy tak żyć w nieskończoność. Nie żądam nic lepszego.

- Jest, z pewnością jest księżycowa dolina - odparła Saxon poważnie. - A my ją znajdziemy. Musimy ją znaleźć. Przecież to nie byłoby w porządku, gdybyśmy się nigdy nie mieli osiedlić. Nie byłoby wtedy małych Hazel i małych Hattie ani małych... Billów...

- Ani małych Saxon - dorzucił Bill.

- Ani małych Possumów - dodała prędko i skinąwszy głową wyciągnęła pieszczołtliwym ruchem rękę do teriera, który w radosnym uniesieniu obgryzał zeberko jelenia. Wściekle warknięcie i groźne kłapnięcie zębami, które niemal otarły się o jej palce, były całą nagrodą za jej pieszczotę.

- Possum! - zawołała z ostrą naganą w głosie i znowu wyciągnęła rękę.

- Nie rób tego - ostrzegł ją Bill. - To jest silniejsze od niego. Następnym razem pewnie cię ugryzie.

Possum znowu zawarczał i jeszcze groźniej brzmiało ostrzeżenie w jego głosie; wyszczerzonymi zębami strzegł kości, oczy rzucały wściekle ognie, sierść na karku zjeżyła się.

- Porządny pies musi bronić swojej kości - wystąpił Bill w jego obronie. - Nie chciałbym mieć psa, który by tego nie robił.

- Kiedy to jest mój Possum - zaprotestowała Saxon. - Przecież on mnie kocha. A jak mnie kocha, musi mnie kochać więcej niż pierwszą lepszą starą kość. I musi mnie słuchać. Possum, oddaj mi tę kość! Proszę mi to oddać, Possum!

Wyciągnęła ostrożnie rękę, a wtedy warczenie zaczęło przybierać na sile i doszło do szczytu w głośnym kłapnięciu.

- Mówię ci, Saxon, że to jest instynkt - powtórzył Bill. - Possum cię kocha, a lew

żaden sposób nie może tego w sobie opanować.

- Ma prawo bronić swojej kości przed obcymi, ale nie przede mną, która jestem jak jego matka - dowodziła Saxon. - Zmuszę go, żeby mi tę kość oddał.

- Foksteriery są strasznie nerwowe, Saxon. Zobaczysz, że doprowadzisz go tylko do hysterii.

Ale Saxon zacięła się w swym uporze. Wzięła do ręki krótki patyk przeznaczony na opał.

- Possum, proszę oddać tę kość!

Pogroziła patykiem i warczenie psa stało się wręcz straszne. Znowu kłapnął zębami w powietrzu, potem przypadł do kości. Saxon podniosła patyk, jakby zamierzając go uderzyć, i wtedy nagle Possum puścił kość, przewrócił się na grzbiet u jej stóp, przebierając łapkami w powietrzu, uszy położył pokornie po sobie, oczami poprzysięgał uległości błagał o przebaczenie.

- Mój Boże! - wykrzyknął Bill. - Spójrz na niego! Odsłania przed tobą swój splot słoneczny, swoje wnętrzności, całe swoje życie, poddaje ci się bezbronny, jakby mówił: Leżę tu przed tobą. Nadepnij mnie. Zadepcz mnie na śmierć. Kocham cię, jestem twój niewolnik, ale nie mogę nie bronić swojej kości. To jest instynkt silniejszy ode mnie. Zabij mnie, ale to jest silniejsze ode mnie.

Saxon była wzruszona. Ze łzami w oczach pochyliła się i podniosła maleńkie zwierzę z ziemi. Possum wpadł teraz w nieprzytomne podniecenie, piszczał, drżał, wił się, lizał ją po twarzy - wszystko w błagalnej prośbie o przebaczenie.

- Moje serce, serce ze złota - mówiła pieszczotliwie, zagrzebując twarz w jedwabistym i drżącym ciałku, kłębku nerwów i wrażliwości. - Mamie tak jest przykro. Mama nigdy już tego nie zrobi. No, uspokój się, uspokój, kochane maleństwo. Popatrz tu jest twoja kostka. Weź ją.

Postawiła go na ziemi, ale on się wahał pomiędzy nią a kością, spoglądając otwarcie na swą panią i prosząc o pozwolenie, ale jednocześnie drząc nadal w straszliwej, rozdzierającej walce między obowiązkiem i pożądlivością. Dopiero gdy powtórzyła, że mu wolno, i skinęła głową, Possum wrócił do kości. Raz, w chwilę później, podniósł nagle łepkę i spojrzał na nią pytająco. Uśmiechnęła się do niego i znowu skinęła głową, a wtedy Possum z westchnieniem szczęścia wrócił do swej bezcennej kości.

- Mercedes miała rację, kiedy mówiła, że mężczyźni walczą o pracę jak psy o kości - powiedział Bill powoli, z namysłem. - To jest instynkt. Tak jak Possum nie mógł się opanować, żeby nie kłapnąć na ciebie zębami, tak ja nie mogłem się powstrzymać, żeby nie

trzepnąć łamistrajka w podbródek. Tego się nie da wytłumaczyć. Jak człowiek ma coś zrobić, musi to zrobić. A fakt, że to robi, dowodzi, że musi to zrobić - czy znajduje jakieś wytłumaczenie czy nie. Pamiętasz, że Mark Hall nie umiał wytłumaczyć, dlaczego rzucił laskę między nogi Tima McManusa podczas biegu na pikniku. Jak człowiek ma coś zrobić, musi to zrobić. Tyle tylko wiem na ten temat. Nie miałem żadnego powodu, żeby zbić wtedy tego naszego lokatora, Jimmy Harmona. Porządny był z niego chłop, uczciwy i tak dalej. Ale po prostu musiałem... strajk się już wtedy załamywali tyle we mnie, w środku, było gorczy, że prawie czułem ją w ustach. Nie mówiłem ci o tym, ale po wyjściu z więzienia widziałem się z nim raz, kiedy kurowały mi się ręce. Poszedłem na kolej i czekałem na niego, aż skończy kurs. Przeprosiłem go wtedy. A dlaczego go przeprosiłem? Nie wiem. Pewnie dla tego samego powodu, dla którego przedtem go zbiłem. Bo musiałem.

I tak w obozowisku nad Umpqua Bill objaśniał w kategoriach realizmu przyczynę różnych predylekcji, podczas gdy Possum objaśnił ją, w bardzo podobnych kategoriach klów i apetytu, na swoim jelenim żeberku.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Mając Possuma obok siebie na siedzeniu Saxon wprowadziła wóz na ulice Roseburga. Jechała stępą. Z tyłu do wózka przywiązane były dwa ciężkie, młode konie pociągowe. Za nimi szło luzem sześć koni, pochód zaś zamykał Bill jadący na grzbiecie konia dziewiątego. Cały ten nowy nabytek wysłał z Roseburga koleją do Oakland.

W dolinie Umpqua usłyszeli przypowieść o białym wróblu. Opowiedział im ją pewien farmer, człowiek już niemłody i zamożny. Jego farma była wzorem porządku i systematyczności. Potem Bill dowiedział się, że sąsiedzi oceniają wartość majątku na ćwierć miliona dolarów.

- Słyszeliście historię o farmerze i białym wróblu? - spytał Billa przy obiedzie.

- Nawet nie wiedziałem, że bywają białe wróble - odparł Bill.

- Są rzadkością, to prawda - przyznał farmer. - A oto opowieść: Był kiedyś farmer, któremu jakoś nie bardzo się wiodło. Po prostu nie mógł sobie dać rady, aż tu kiedyś usłyszał o białym wróblu. Dowiedział się, że biały wróbel ukazuje się tylko o świcie i przynosi farmerowi, który zdoła go złapać, bez liku wszelkiego szczęścia i pomyślności. Nazajutrz nasz farmer wstał jeszcze przed świtem i szukał po polach białego wróbla. I czy wiecie? Szukał go nieustannie, przez długie miesiące, ale ani razu nie dojrzał go nawet z daleka. - Gospodarz potrząsnął głową. - Nie, nie zobaczył białego wróbla, zobaczył za to takie rzeczy na farmie, którymi należało się zająć i którym poświęcał teraz czas jeszcze przed śniadaniem, że zanim się zorientował, farma rozkwitła, dług hipoteczny został spłacony i nasz farmer otworzył konto w banku.

Gdy tego popołudnia ruszyli w dalszą drogę, Bill zagłębił się w myślach.

- Och, zrozumiałem doskonale, o co chodzi - powiedział w końcu. - Ale nie powiem, żeby mi się to podobało. Naturalnie nie było w ogóle żadnego białego wróbla, tylko ten farmer wstawał teraz wcześniej i brał się do roboty, którą przedtem zaniedbywał... Pewnie, że rozumiem, o co chodzi. Ale, Saxon, jeżeli życie farmera ma tylko na tym polegać; dziękuję pięknie i nie chcę znajdować żadnej księżycowej doliny. Życie nie może być samą tylko ciężką pracą. Od świtu do nocy, w pocie czoła - z równym powodzeniem mógłbym mieszkać w mieście. Bo właściwie co za różnica? Cały czas, jaki ci zostaje, musisz przeznaczyć na sen, a jak człowiek śpi, nie ma z tego żadnej przyjemności. I czy śpi na wsi czy w mieście, nic nie wie, bo jest jak umarły. Nawet nie wiem, czybym nie wolał od razu umrzeć niż się tak na śmierć zapracowywać. Tysiąc razy lepsza jest taka włóczęga po drodze - raz się zabije jelenia,

raz złapie pstrąga, kiedy indziej mogę się położyć w cieniu, śmiać razem z tobą, bawić się i... i pływać. A przecież ja jestem chętny do roboty. Ale to jest różnica, jak między niebem a ziemią - pracować rozsądną liczbę godzin i zapracowywać się na śmierć.

Saxon całym sercem przyznawała mu słusność. Spojrzała wstecz na lata ciężkiej pracy i porównała je z ich radosnym życiem na drogach.

- My nigdy nie będziemy chcieli być bogaci - powiedziała. - Niech sobie polują na białego wróbla ludzie z wysp na Sacramento i nawadnianych dolin. Jeżeli my będziemy wstawali wcześniej w naszej księżycowej dolinie, to po to, żeby słuchać śpiewu ptaków i śpiewać razem z nimi. A jeżeli czasami będziemy pracowali ciężko, to tylko po to, żeby mieć więcej czasu na zabawę. Jak ty będziesz chodził pływać, ja będę chodziła z tobą. Tak się będziemy bawili, że czasem dla wytchnienia chętnie weźmiemy się do pracy.

- Jestem w środku wysuszony na wiór - oznajmił Bill ocierając pot z opalonego na brąz czoła. - Może byśmy tak zawrócili i pojechali w kierunku wybrzeża?

Skręcili więc na zachód i z wysoko położonych śródlądowych dolin spuszczała się w dół przez dzikie górskie wąwozy. Droga była tak niebezpieczna, że na jednym siedmiomilowym odcinku natknęli się na dziesięć zdruzgotanych samochodów. Bill nie chciał forsować klaczy, rozbili więc prędko obóz nad brzegiem szumiącego strumienia, w którym Bill złowił dwa pstrągi naraz. Tutaj też Saxon złowiła swojego pierwszego dużego pstrąga. Jej dotychczasowe zdobycze nie przekraczały dziewięciu lub dziesięciu cali, gdy więc duża sztuka połknęła haczyk i motowidło zaskrzeczało z wysiłku, wykrzyknęła podniecona i zdumiona. Bill przybliżył się do niej i udzielał jej rad. W kilka minut później Saxon - z płonącymi policzkami i błyszczącym okiem - wyciągnęła ostrożnie olbrzyma na suchy piasek. Tutaj ryba uwolniła się z haczyka i zaczęła rzucać się po pisku konwulsyjnie, dopóki Saxon nie pochwyciła jej w ręce.

- Szesnaście cali - ocenił Bill, gdy Saxon podniosła rybę i oglądała z dumą. -... Dziewczyno! Co ty robisz?

- No chyba muszę ją opłukać z piasku? - odparła.

- Lepiej włóż do koszyka - poradził. A potem zamilkł i przyglądał się ponuro dalszym wypadkom.

Saxon pochyliła się nad brzegiem i zanurzyła w wodzie wspaniały okaz. Ryba zaczęła bić ogonem, rzucać się, Saxon poruszyła się gwałtownie - i już było po pstrągu.

- Och! - zawołała zrozpaczona.

- Kto znalazł, niech trzyma - zacytował Bill.

- Co mi tam! - odparła. - Ty i tak nigdy nie złapałeś takiego dużego pstrąga.

- Ani myślę przeczyć, że świetnie umiesz się obchodzić z wędką - powiedział przeciągając słowa. - Złowiłaś mnie, prawda?

- Tego nie zauważyłam - odcięła się prędko. - A może to było tak, jak z tym człowiekiem, którego zaarrestowano za łowienie pstrągów w czasie ochronnym? Usprawiedliwiał się, że działał w obronie własnej.

Bill zastanawiał się chwilę, ale nie zrozumiał.

- Pstrąg go zaatakował - wyjaśniła.

Bill pokazał zęby w uśmiechu. W piętnaście minut później powiedział:

- Aleś mi zalała sadła za skórę.

Niebo zaciągnęło się chmurami, a gdy zjechali nad brzeg rzeki Coquille, nagle zagarnęła ich mgła.

- Uhm! - zawołał Bill z radością wciągając w płuca wilgotne powietrze. - Czy to nie wspaniałe? Ta mgła wsiąka we mnie jak woda w suchą gąbkę. Nie doceniałem dotąd należycie mgły.

Saxon wyciągnęła ręce i robiła takie ruchy, jakby się kąpała w szarym, wilgotnym oparze.

- Nie przypuszczałam, że mogę mieć kiedyś dosyć słońca - powiedziała. - Ale w ciągu ostatnich tygodni mieliśmy go dużo za dużo.

- Odkąd wjechaliśmy do doliny Sacramento - przyznał Bill. - Za dużo słońca to kiepska sprawa. Wykalkulowałem to dokładnie. Słońce jest jak alkohol. Zauważyłaś może, jak się dobrze czujesz, kiedy po tygodniu pochmurnego nieba pokaże się słońce? No więc takie pierwsze słońce jest jak odrobina whisky. Daje ten sam skutek. Człowiek czuje się dobrze od stóp do głów. Albo pomyśl, jak dobrze się czujesz, kiedy po pływaniu wyjdiesz na brzeg i położysz się na słońcu. To dlatego, że popijasz sobie taki słoneczny koktajl. Ale powiedzmy, że poleżysz na tym słońcu dwie godziny. Nie czujesz się już tak dobrze. Ruchy będziesz miała takie rozlazłe, że ubierać będziesz się Bóg wie jak długo: Pójdiesz do domu ciągnąc za sobą nogi, całkiem bez życia. A co to jest takiego? To zwykły kac. Upiłaś się słońcem jak whisky i teraz za to płacisz. To jasne. Dlatego klimat z mgłą jest najlepszy.

- W takim razie my byliśmy przez parę miesięcy pijani - powiedziała Saxon. - A teraz wytrzeźwiejemy.

- Ma się rozumieć. Przecież ja, Saxon, mogę tutaj zrobić w ciągu jednego dnia tyle, ile tam w ciągu dwóch... Spójrz tylko na kłaczę. Niech mnie, jeżeli one już nie są żwawsze.

Na próżno wzrok Saxon wędrował po lasach sosnowych w poszukiwaniu ukochanych sekwoi. W miasteczku Bandon powiedziano im, że znajdą sekwoje dopiero w Kalifornii.

- W takim razie zajechaliśmy za daleko na północ - orzekła Saxon. - Musimy pojechać na południe, żeby znaleźć naszą księżycową dolinę.

Pojechali więc na południe, drogami, które z każdą milą stawały się gorsze, przez słynny z gospodarstw mlecznych okręg Langlois i gęste lasy sosnowe do Port Orford, gdzie Saxon zbierała agaty na plaży, a Bill złapał ogromnego sztokfisz. Kolej żelazna nie dotarła do tych dzikich okolic, a drogi stawały się coraz trudniejsze do przebycia. Przy Złotej Plaży spotkać swoją starą znajomą, rzekę Rogue, i przeprawili się przez nią w miejscu, gdzie wpada do Pacyfiku. Okolice były tu jeszcze dziksze, drogi jeszcze straszniejsze, coraz rzadziej rozrzucone pojedyncze farmy.

I nie spotkali tu ani Azjatów, ani Europejczyków. Nieliczna ludność składała się z pierwszych kolonistów i ich potomków. Saxon nie raz i nie dwa zdarzyło się rozmawiać ze starymi kobietami i mężczyznami, którzy pamiętali drogę poprzez prerie w wozach zaprzężonych w woły. Ciągnęli na zachód, dopóki Pacyfik nie zagroził im drogi, tutaj więc wykarczowali swoje pola, tutaj wybudowali prymitywne domy i tutaj się osiedlili. Oni to osiągnęli punkt najdalej wysunięty na zachód. Stare obyczaje mało się wśród nich zmieniły. Kolei żelaznej nie było, samochody nie odważyły się zapuścić na te bezdroża. W kierunku wschodnim, między nimi a ludnymi dolinami w głębi lądu, ciągnęła się puszcza Coast Range - raj zwierzyny, jak poinformowano Billa. On jednak oświadczył, że sama droga, po której jadą, jest dla niego dostatecznie dobrym rajem zwierzyny. Bo czyż nie zatrzymał koni, nie oddał lejców Saxon i nie położył z wozu kozła ósmaka?

Gdy na południu od Złotej Plaży pięli się w górę wąską drogą poprzez dziewiczy las, usłyszeli gdzieś wysoko w górze dźwięk dzwoneczków. Sto jardów wyżej Bill znalazł miejsce dostatecznie szerokie, żeby mogły się na nim wyminąć dwa pojazdy. Czekali, gdy tymczasem wesołe dzwonienie schodziło szybko w dół i wciąż się do nich zbliżało. Słyszeli zgrzyt hamulców, stuk kopyt, raz ostry okrzyk mężczyzny, raz kobiecy śmiech.

- Ho, ho, co za woźnica! - mówił Bill półgłosem. - Zdejmuję kapelusz i moje uszanowanie... jechać z taką prędkością po takiej drodze... Słyszysz, Saxon? Ma wspaniałe hamulce! Niech to!... Co za dziura! Ale jakie resory, Saxon, jakie resory!

W miejscu, gdzie wysoko nad nimi droga szła zygzakiem, dostrzegli poprzez drzewa czwórkę srokaczy schodzących szybkim klusem i obracające się koła niewielkiego, jasnobrązowego kocza.

Zza zakrętu wyłoniła się najpierw para przewodników, zataczających szerokie koło, za

nimi para koni dyszlowych, wreszcie lekki kocyk; potem cały ekwipaż wyprostował się i pędził prosto na nich przez wąski mostek z bali. Na przedzie siedziała kobieta i mężczyzna; na tylnym siedzeniu, wciśnięty między walizy, wędki, strzelby, siodła i maszynę do pisania siedział Japończyk; ponad nim i dokoła niego, uwiązana w szczególnie wymyślny sposób, sterczała zdumiewająca obfitość trofeów myśliwskich - rogów jeleni i łośi.

- To przecież państwo Hastings! - zawołała Saxon.

- Stój! - krzyknął Hastings szarpiąc rączkę hamulca i ściągając konie tuż obok ich wózka. Witano się radośnie, a w powitaniach tych miał także swój udział Japończyk, którego widzieli ostatnio na pokładzie „Włóczęgi” w Rio Vista.

- Inaczej tu niż na wyspach Sacramento, prawda? - zwrócił się Hastings do Saxon. - W tych górach sama tylko stara amerykańska rasa. I prawie nic się nie zmienili. Jak powiada John Fox młodszy, są to nasi współcześnie żyjący przodkowie. Nasi pionierzy byli dokładnie tacy sami. Państwo Hastings opowiedzieli o swojej długiej podróży. Byli już w drodze dwa miesiące i mieli zamiar przez Oregon i Waszyngton dotrzeć aż do granicy kanadyjskiej.

- A tam załadujemy konie i wrócimy pociągiem - dodał Hastings na zakończenie.

- Sądząc po tym, jak pan szybko jedzie, powinniście być już dużo dalej - zganił Bill.

- Kiedy my się ciągle po drodze zatrzymujemy - wyjaśniła pani Hastings.

- Zboczyliśmy do rezerwatu Hoppa - rzekł Hastings - i stamtąd czółnami popłynęliśmy przez Trinity i Klamath aż do oceanu. A teraz wracamy z dwutygodniowej włóczęgi w puszczach okręgu Curry. Powinniście tam zboczyć - poradził. - Dzisiaj dotrzecie do Mountain Ranch, a już stamtąd możecie wejść na teren puszczy. Dróg co prawda nie ma żadnych, będziecie musieli zostawić konie. Ale za to pełno zwierzyny. Ustrzeliłem pięć lwów górskich i dwa niedźwiedzie, nie mówiąc już naturalnie o jeleniach. I spotyka się niewielkie stadka łośi. Nie... nie strzelałem do nich, są pod ochroną. Rogi dostałem od starych myśliwych. Wszystko panu dokładnie objaśnię.

A gdy mężczyźni prowadzili rozmowę, Saxon i pani Hastings bynajmniej nie próżnowały.

- Znaleźliście już waszą księżycową dolinę? - spytała żona pisarza przy pożegnaniu.

Saxon potrząsnęła głową.

- Znajdziecie ją, jeżeli zajedziecie dostatecznie daleko. W każdym razie pamiętajcie, że musicie zajechać aż do doliny Sonoma i naszego rancza. A jeżeli do tego czasu jej nie znajdziecie, może my będziemy mogli wam jakoś pomóc.

W trzy tygodnie później, mając na swym myśliwskim rozkładzie więcej lwów górskich i niedźwiedzi niż Hastings, Bill opuścił okręg Curry i poprowadził swój zaprzęg na

południe do Kalifornii. Saxon znalazła się natychmiast między sekwojami. Były to sekwoje nieprawdopodobnej wielkości. Bill zatrzymał konie, zeskoczył z wozu i obmierzył stopami jedno z drzew.

- Czterdzieści pięć - oznajmił. - To znaczy średnica ma piętnaście. I wszystkie są takie, a nawet większe... Nie, to tutaj to zupełny karzełek... Tylko dziewięć stóp średnicy. A wysokie są na kilkaset stóp.

- Jak umrę, Bill, musisz mnie pochować w lesie sekwojowym - poprosiła uroczyście Saxon.

- Możesz być spokojna, że ci nie pozwolę umrzeć przede mną - zapewnił. - A jak już oboje umrzemy, zostawimy odpowiednie polecenie w testamencie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Posuwał się wciąż na południe równoległe do wybrzeża, polując, łowiąc ryby, pływając i kupując konie. Bill wysyłał zakupione zwierzęta parowcami kursującymi wzdłuż wybrzeża. Przejechali przez Del Norte i Humboldt i dalej przez Mendocino dotarli do Sonoma. Były to okręgi większe niż stany na wschodzie kraju. Przedzierali się przez gigantyczne puszcze, przekraczali niezliczone strumienie pełne pstrągów, przebywali liczne bogate doliny. Saxon wciąż szukała księżycowej doliny. Czasem, gdy wszystko inne wydawało się zadowalające, brak było bliskiej linii kolejowej albo drzew madrono i manzanita, najczęściej zaś za dużo było mgły.

- Przecież od czasu do czasu będziemy mieli ochotę na koktajl słoneczny - powiedziała Saxon.

- Słusznie - przyznał Bill. - Jak będzie za dużo mgły, możemy się zrobić ociężali. Najlepsze byłoby coś pośrodku, a na to, żeby takie miejsce znaleźć, musimy się oddalić od wybrzeża.

Była to już jesień. Odwrócili się plecami do Pacyfiku w starym Forcie Ross i drogą przez Cazadero i Guerneville wjechali w dolinę Rzeki Rosyjskiej, znacznie poniżej Ukiah. W Santa Rosa Bill zmarudził długo przy załadunku kilku koni dla Oakland, tak że dopiero po południu wyruszyli drogą wiodącą na południowy wschód do doliny Sonoma.

- Przypuszczam, że zaledwie dotrzemy do wylotu Sonomy, będzie czas na rozbicie obozu - powiedział mierząc okiem położenie słońca na niebie. - Jedziemy teraz przez dolinę Bertnet. Trzeba się stąd przeprawić przez dział wodny i wyjechać do Glen Ellen. Jakby mnie tak kto spytał, powiem, że to niebrzydka dolina. A ta góra tam też nie jest najgorsza.

- Góra jest ładna - przyznała Saxon. - Ale poza tym te wszystkie pagórki są strasznie nagie. I nie widzę nigdzie dużych drzew. Duże drzewa rosną tylko na bogatej ziemi.

- Och, wcale nie twierdzę, że to jest księżycowa dolina. Ale gdzie tam. Tylko że ta góra jest niebrzydka. I spójrz, jakie na niej lasy. Głowę dam, że tam pełno jeleni.

- Zastanawiam się, gdzie spędzimy tegoroczną zimę - powiedziała nagle Saxon.

- To ciekawe! Właśnie o tym samym myślałem. Pojedźmy do Karmelu. Mark Hall wrócił i Jim Hazard. Co o tym sądzisz?

Saxon skinęła głową.

- Tylko że tym razem nie będziesz brał pracy na dniówki.

- Ano nie. Przy dobrej pogodzie będziemy jeździli po okolicy i skupywali konie -

przypadł Bill z twarzą rozpromienioną uśmiechem zadowolenia. - A jeżeli zastaniemy na miejscu tego chodzącego poetę z Marmurowego Domu, będę musiał rozegrać z nim kilka rund, choćby na pamiątkę tego dnia, kiedy mi o mało co nie odpadły nogi.

- Och, och! - zawołała Saxon. - Spójrz, Bill, spójrz!

Zza zakrętu wyłonił się mężczyzna w dwukółce ciągniętej przez potężnego ogiera. Był to kasztanowaty gniadosz o lśniącej sierści i kremowym ogonie i grzywie. Ogon dotykał niemal ziemi, gęsta grzywa zaś spływała wspaniałą i długą kaskadą. Zwiertzył klacze i zatrzymał się w miejscu raptownie, z łbem odrzuconym i grzywą powiewającą na wietrze. Potem pochylił łeb, aż rozszerzone nozdrza dotykały bijących niespokojnie kolan. Pomiedzy sterzącymi ostro uszami widać było wspaniałą linię potężnego karku. Woźnica zjechał na sam kraj drogi dla większego bezpieczeństwa przy mijaniu i wtedy ogier znowu odrzucił łeb gryząc wściekle wędzidło. Dostrzegli teraz szafirowe szkliwo na powierzchni jasnych, dzikich oczu ogiera i Bill, ostrożnie ściągnąwszy lejce, sam starał się objechać dwukółkę najdalszym skrajem drogi. Gdy zaprzęgi wyminęły się, Bill podniósł rękę i woźnica przystanął; rozmawiali przez ramię o koniach pociagowych.

Między innymi Bill usłyszał, że ogier nazywa się Barbarossa, że woźnica jest jego właścicielem i mieszka w Santa Rosa.

- Do doliny Sonoma prowadzą stąd dwie drogi - poinformował ich mężczyzna na zakończenie. - Jak dojedziecie do rozstajów, zobaczycie drogę w lewo, która prowadzi do Glen Ellen przez Szczyt Bertnetta... o tamtędy!

Spośród falistych pastwisk wznosił się ku niebu rozpalony w słońcu Szczyt Bertnetta, otoczony u podnóża grzbietami niższych pagórków. Ale wzgórza po tej stronie były nagie i spieczone, chociaż piękne w swej kalifornijskiej szacie słonecznobrunatnych barw.

Droga w prawo też prowadzi do Glen Ellen, tylko że jest dłuższa i bardziej stroma. Ale sądząc po wyglądzie, wasze klacze dadzą sobie z nią radę.

- Która droga jest ładniejsza? - spytała Saxon.

- Och, ta w prawo! Nie ma nawet porównania - odparł mężczyzna. - Tamta góra to szczyt Sonoma. Droga przecina zbocze na dość dużej wysokości i potem schodzi przez las Coopera.

Pożegnali się, ale Bill nie odjechał zaraz; wykręciwszy szyje oboje z Saxon odprowadzali wzrokiem podnieconego Barbarossę, gdy pełen buntu, niechętnie biegł kłusem w kierunku Santa Rosa.

- Ach! - westchnął Bill. - Chciałbym trafić w te okolice na przyszłą wiosnę.

Na rozstaju Bill zawahał się i spojrzął na Saxon.

- Co z tego, że droga jest dłuższa? - powiedziała. - Spójrz, jak tam pięknie... wszędzie zielenią się drzewa. A wiem, że te drzewa w kanionach to sekwoje. Przecież nic nigdy nie wiadomo. Może właśnie gdzieś tutaj jest księżycowa dolina. Żle byłoby, gdybyśmy mieli ją ominąć tylko dlatego, żeby zaoszczędzić pół godziny jazdy.

Skręcili w prawo i przebywali jeden po drugim faliste pagórki. W miarę jak zbliżali się do góry, coraz więcej widzieli oznak obfitości wody. Jechali wzdłuż wartko płynącego strumienia, a choć winnice na stokach wzgórz spieczone były letnim skwarem, wokół zagród położonych w zagłębieniach i na płaszczyznach zieleniły się wspaniałe drzewa.

- Może ci się to wyda śmieszne - powiedziała Saxon - ale zaczynam już kochać tę górę. Mam zupełnie takie uczucie, jakbym ją kiedyś widziała, jest właśnie taka, jaka powinna być i... Och!

Gdy przebywszy mostek objechali ostry zakręt, otoczył ich nagle tajemniczy chłód i mrok. Wszędzie dokoła wznosiły się okazałe pnie sekwoi, a pod nimi wyróżnione jesiennymi barwami paprocie tworzyły puszysty dywan. Tu i tam promienie słońca wdierały się w głęboki cień rozpraszając chłodną ciemność pod konarami drzew. Wąskie ścieżyny wiodły między pnie i ku zacisznym zakątkom otoczonym kręgiem brunatnoczerwonych kolumn, które obrastały wkoło prochy dawno przeminionych przodków obwodem takiego kręgu świadczyły o gigantycznych rozmiarach tych przodków.

Wyjechali z lasu i zaczęli wspinać się na stromy dział wodny, który był zaledwie filarem podpierającym szczyt Sonoma. Droga wiodła przez falistą wyżynę, poprzez małe jary i kaniony, gęsto zalesione i nasiąknięte wilgocią. Miejscami droga stawała się błotnista - tam, gdzie w rowach były małe źródła.

- Ta góra to prawdziwa gąbka - oznajmił Bill. - Mamy sam koniec suchego lata, a ziemia wszędzie przepuszcza wodę.

- Wiem, że tu nigdy nie byłam - wypowiedziała Saxon na głos swoje myśli - ale to wszystko jest mi takie jakieś znajome... Musiałam chyba widzieć to kiedyś we śnie. Och! Patrz... są madrono! Cały lasek! I manzanita! Czuję się zupełnie tak, jakbym wracała do domu... Och, Bill, gdyby się okazało, że to jest nasza dolina...

- Przylepiona do stoku góry? - spytał uśmiechając się z powątpiewaniem.

- Nie, nie to miałam na myśli. Chciałam powiedzieć, że to może jest droga do naszej doliny. Bo droga... bo wszystkie drogi do naszej doliny muszą być piękne. A ja to już kiedyś widziałam... śniłam o tym.

- Wspaniały krajobraz - przyznał. - Nie zamieniłbym mili kwadratowej tych okolic na całą dolinę Sacramento z wszystkimi wypami rzecznyymi na dodatek i Middle River

dorzuconą dla dobrej wagi. Jeżeli tam wyżej w górach nie ma jeleni, nie znam się na niczym. A gdzie są źródła, tam są strumienie, a gdzie są strumienie, tam są pstrągi.

Minęli duży, zamożny dom farmerski pośród obszernych zabudowań gospodarskich, wjechali pod sklepienie lasu i wynurzyli się obok łąki, która wzbudziła w Saxon ekstatyczny zachwyty. Łagodnie wklęsła wznosiła się od drogi pod górę, zamknięta na najdalszym krańcu nieprzerwaną ścianą drzew. W świetle nadchodzącego zachodu murawa żarzyła się jak roztopione złoto, a mniej więcej po jej środku stała samotna, ogromna sekwoja, na szczycie rozszczepiona od piorunu w taki sposób, że można się tam było domyślać orlego gniazda. Las powyżej okrywał górę nieprzerwanym płaszczem zieleni, aż do punktu, który oni wzięli za wierzchołek. Ale gdy odjechali nieco dalej i Saxon obejrzała się na „swoją” łąkę, zobaczyła wysoko w górze prawdziwy szczyt Sonoma i na jej stoku niewielki występ - górę nad „swoim” polem.

Przed sobą i na prawo, poza nagim grzbietem gór, zobaczyli po raz pierwszy dolinę Sonoma pociętą ciemnozielonymi kanionami i otwierającą się niżej na rozległe sady i winnice, i dzikie góry, które zamykały ją od wschodu. Po lewej wzrok ich biegł ponad złocistymi wzgórkami i dolinami. Dalej ku północy widzieli inną część doliny i jeszcze dalej - przeciwległą jej ścianę, grzbiet gór, których najwyższy szczyt wznosił purpurowy i poszarpany otwór wygasłego krateru ku niebu różowiejącemu w łagodnym blasku zachodu. Od północy do południo-wschodu wierzchołki gór kąpały się w jaskrawych promieniach słońca, jednakże Saxon i Billa ogarniały już wieczorne cienie. Bill spojrzął na Saxon, zauważył ekstatyczny zachwyty na jej twarzy i zatrzymał konie. Cała wschodnia część nieba różowiła się teraz delikatnym rumieńcem, który spływał na góry barwiąc je gdzieś tam plamami rubinu i wina. Dolina Sonoma zaczęła wypełniać się teraz płynną purpurą obmywającą podnóża gór, wznoszącą się coraz wyżej, oblewającą stoki, zatapiającą wierzchołki. Saxon wyciągnęła w milczeniu rękę wskazując, że purpurowy zalew był cieniem szczytu Sonoma. Bill skinął głową, a potem cmoknął na konie i spuszczać się w dół przez ciepły i barwny zmierzch.

Na wyżej położonych odcinkach drogi owiewał ich rozkoszny chłód niesiony wiatrem znad odległego o czterdzieści mil Pacyfiku; z małych zaś kotlinek i zagłębień szedł ku nim ciepły oddech ziemi przyprawiony jesiennym aromatem spalonej słońcem trawy, gnijących liści, więdniętych kwiatów.

Zajechali nad brzeg głębokiego kanionu, który zdawał się wdzierać w same wnętrza góry Sonoma. I chociaż nie padło ani jedno słowo, Bill spojrzął na twarz Saxon i znowu zatrzymał konie. Kanion był piękny w swojej dzikości. Wysokie sekwoje porastały

jego brzegi. W głębi wznosiły się trzy pagórki pokryte gęsto jedliną i dębami. Spomiędzy pagórków wybiegał również porosły sekwojami mniejszy kanion. Bill wskazał na łąki leżące u stóp pagórków.

- Jak myślałem o pastwisku dla moich kłaczy, widziałem je zawsze na takiej łące - powiedział.

Zjechali na dno kanionu drogą, która biegła wzdłuż strumienia szemrzącego pod klonami i olchami. Ognie zachodu odbite od chmur szybko płynących na jesiennym niebie skąpały kanion w karmazynie, w którym drzewa madrono o czerwonych konarach i manzanita o pniach jak wino paliły się i płonęły. W powietrzu unosił się aromat wawrzynu. Dzika winna latorośl jak mostki łączyła brzegi strumienia, od drzewa do drzewa. Dęby rozmaitych odmian zasnuły koronką hiszpańskiego mchu. Brzegi strumienia porastała bujna paproć. Gdzieś z oddali nadpłynęło żalostne gruchanie dzikiego gołębia. Na wysokości pięćdziesięciu stóp, niemal nad ich głowami, wiewiórka przebyła drogę szary błysk między drzewami; śledzili jej dalszą podniebną wędrówkę po uginających się gałęziach.

- Coś mi przyszło do głowy - odezwał się Bill.

- Och, pozwól, ja to pierwsza powiem - prosiła Saxon.

Czekał nie odrywając oczu od jej twarzy, gdy zachwycona rozglądała się dokoła.

- Znaleźliśmy naszą dolinę - wyszeptwała. - Czy to miałeś na myśli?

Skinął głową, ale powstrzymał słowa na widok małego chłopca prowadzącego krowę; malec w jednej ręce niósł nedorzecznie wielką strzelbę, w drugiej trzymał królika równie nieprawdopodobnych rozmiarów.

- Ile mil do Glen Ellen? - spytał Bill.

- Półtorej - brzmiała odpowiedź.

- Jak się nazywa ta rzeczka? - spytała z kolei Saxon. - Dzika Woda. O pół mili dalej wpada do strumienia Sonoma.

- Pstrągi są? - zainteresował się Bill.

- Jeżeli umie je pan łapać - odparł chłopiec z uśmiechem.

- A jelenie w górach macie?

- Jeszcze jest okres ochronny - brzmiała wymijająca odpowiedź.

- Zakład, że nie zabiłeś nigdy jelenia - zastawił Bill chytrą pułapkę i natychmiast usłyszał:

- Mogę pokazać rogi. - Jelenie zrzucają rogi - przekomarzał się Bill żartobliwie. - Każdy może je znaleźć.

- Na moich jest mięso. Jeszcze nie obeschło...

Chłopiec umilkł raptownie, spoglądając z przestachem w wilczy dół, który Bill dla niego wykopał.

- Nie martw się, synu - zawołał Bill ze śmiechem, popędzając konie. - Nie jestem gajowym. Zajmuję się kupowaniem koni.

Więcej wiewiórek skaczących po drzewach, więcej czerwonych madrono, więcej majestatycznych dębów, więcej sekwoi rosnących w zaczarowanych kregach - i wciąż jadąc brzegiem szemrzącego strumienia minęli bramę przy drodze. Przed nią stała wiejska skrzynka pocztowa z napisem „Edmund Hale”. Pod wiejskim łukiem bramy, wychylając się przez nią, stali mężczyzna i kobieta. Był to obraz tak piękny i zachwycający, że Saxon wstrzymała oddech. Stali tuż obok siebie, delikatna ręka kobiety spoczywała w dłoni mężczyzny, która wyglądała tak, jak gdyby była stworzona do udzielania błogosławieństw. Jego twarz potwierdzała to wrażenie - oblicze o pięknie sklepionym czole i dużych, dobrotliwych szarych oczach pod bogactwem siwych włosów, które połyskiwały niczym włosy anielskie. Był to mężczyzna wysoki i postawny; małeńka kobieta u jego boku była delikatnej budowy. Cere miała szafranowobrazową, jaką miewają niekiedy kobiety białej rasy, i śmiejące się błękitne oczy. Ubrana w ładnie drapowaną zieloną suknię w odcieniu szafwii, sprawiała wrażenie kwiatu: jej drobna, żywa twarzyczka nieodparcie narzucała Saxon porównanie z pierwiosnkami.

Może Saxon i Bill tworzyli obraz równie piękny i zachwycający, gdy jechali tak drogą poprzez złoty zmierzch dnia. Obie pary pochłaniały się wzajemnie wzrokiem. Twarz małeńkiej kobiety rozpromieniła się radością. Na twarzy mężczyzny pojawiło się ciepłe światło błogosławieństwa, które przedtem już drżało w jego rysach. Saxon odnosiła wrażenie, że podobnie jak łąkę na stoku góry, podobnie jak samą górę - znała zawsze tę uroczą parę. Wiedziała, że ich kocha.

- Dzień dobry - powiedział Bill.

- Dzieci drogie - odezwał się mężczyzna. - Pewnie się nawet nie domyślacie, jak miło patrzeć na was na tym wózku.

I to było wszystko. Wóz minął bramę, szeleszcząc po drodze wyścielonej liśćmi dębu, klonu i olchy. Niebawem znaleźli się w punkcie, gdzie łączy się oba strumienie.

- Och, co za miejsce do mieszkania! - zawołała Saxon wskazując na drugą stronę Dzikiej Wody. - Popatrz, Bill... tam, na tym tarasie nad łąkami.

- Tu na dole ziemia jest bogata, Saxon, więc tak samo bogata musi być tam w górze. Spójrz, jakie drzewa rosną na tarasie. I z pewnością są tam źródła.

- Podjedźmy tam - poprosiła.

Zjechawszy z głównej drogi przebyli mały mostek nad Dziką Wodą i posuwali się dalej wyboistą dróżką biegnącą wzdłuż rozpadających się sztachet płotu z drzewa sekwoi. Dotarli do bramy, otwartej i wiszącej na zawiasach, za którą droga prowadziła prosto na ziemny taras.

- To tu... wiem, że to tu - powiedziała Saxon z przekonaniem. - Wjedźmy, Bill.

Spoza drzew ukazał się mały bielony domek o wybitych szybach.

- Tyle było mowy o tych twoich madrono...

Bill wskazał na ojca wszystkich madrono - wspaniały okaz o obwodzie pnia najmniej sześć stóp, krzepki i zdrowy, który stał przed domkiem.

Mówili półgłosem, gdy objeżdżali dom pod konarami wielkich dębów i zatrzymali się obok niewielkiej stodoły. Nie tracili czasu na wyprzęganie koni; przywiązali je tylko i poszli zwiedzać obejście. Skłon między tarasem a łąką był stromy, ale gęsto porastały go dęby i manzanita. Gdy przedzierali się przez zarośla, spłoszyli stadko przepiórek.

- Jak ze zwierzyną? - spytała Saxon.

Bill uśmiechnął się i zaczął badać źródło, które czystym strumieniem spływało na łąkę. Ziemia tu była spieczona słońcem i popękana w mnóstwo rys.

Na twarzy Saxon pojawiło się rozczarowanie, ale Bill krusząc grudkę ziemi między palcami nie śpieszył się z wydaniem wyroku.

- Ziemia jest bogata - rzekł wreszcie. - ...Sama śmietanka gleby, która spływała z gór przez dziesiątki tysięcy lat. Ale...

Urwał i zaczął rozglądać się dokoła, badając wzrokiem ukształtowanie terenu; przeszedł na przelaj do sekwoi rosnących na drugim brzegu łąki i po chwili wrócił.

- W tym stanie nie jest dobra - powiedział. - Ale może być najwspanialszą glebą, jeżeli zabrać się do niej odpowiednio. Potrzeba jej tylko do szczęścia trochę zdrowego rozsądku i dużo rowów nawadniających. Ta łąka jest naturalnym basenem, nie napełnionym jeszcze po brzegi. Nachylenie stoku między sekwojami a strumieniem jest bardzo duże. Chodź, Saxon. Pokażę ci.

Przeszli przez lassek sekwoi i wydostali się na brzeg strumienia Sonoma. W tym miejscu nie słyhać było szmeru wody. Strumień rozlewał się w spokojne jeziorko obrośnięte wierzbami, których gałęzie dotykały wody. Przeciwległy brzeg był stromy i wysoki. Bill zmierzył wzrokiem wysokość brzegu, potem drewnem wyłowionym z wody zmierzył głębokość jeziorka.

- Piętnaście stóp - oznajmił. - To pozwala na rozmaite skoki z brzegu. A do pływania mamy tam i z powrotem ze sto jardów.

Szli wzdłuż brzegu jeziora, którego wody przepływały przez wąską gardziel, ponad odsłoniętym łożyskiem skalnym, do następnego jeziora. Nagle pstrąg wyskoczył nad wodę i plusnął z powrotem, pozostawiając na spokojnej powierzchni szybko poszerzającą się zmarszczkę.

- Coś mi się zdaje, że nie będziemy spędzali zimy w Karmelu - powiedział Bill. - To miejsce było specjalnie dla nas wymyślone. Dowiem się, kto jest właścicielem.

Gdy w pół godziny później karmiąc konie, zwrócił Saxon uwagę na gwizd lokomotywy.

- Masz swoją kolej - zawołał. - To pociąg wjeżdża na stację w Glen Ellen, stąd o jedną milę.

Saxon zapadała już w drzemkę otulona pledami, gdy nagle Bill ją rozbudził.

- A jak ten facet nie zechce sprzedać?

- Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości - odparła Saxon z nieporuszonym spokojem. - To jest nasza farma. Wiem o tym.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Rano zbudził ich Possum wymyślający wiewiórcę, że nie chce zejść z drzewa i dać się zabić. Wiewiórka odwzajemniała mu się gadatliwymi uwagami, które doprowadziły rozwścieczonego Possuma do szaleńczych prób wdrapania się na drzewo. Bill i Saxon chichotali i ściskali się z radości na widok zapamiętania małego teriera.

- Jeżeli tu zamieszkamy, nie będzie żadnego strzelania do wiewiórek - oznajmił Bill.

Saxon uścisnęła mu rękę i usiadła na posłaniu. Gdzieś spoza krawędzi tarasu przy płynął ku nim śpiew skowronka.

- Już nic więcej nie potrzeba nam do szczęścia - powiedziała Saxon wzdychając.

- Oprócz jednej umowy dzierżawnej - poprawił ją Bill. Po zjedzonym naprędce śniadaniu udali się na dalsze zwiedzanie terenu. Obchodzili wkoło nieregularne granice farmy i wracali, wciąż przemierzając ją od sztachet do strumienia i z powrotem. U podnóża tarasu, nad brzegiem łąki, znaleźli siedem bijących źródeł.

- Oto zapasy wody - powiedział Bill. - Jak się zdrenuje łąkę, uprawi ziemię, to przy nawozach sztucznych i tej ilości wody można mieć plony cały okrągły rok. Musi być tego z pięć akrów, a nie zamieniłbym ich na ziemię pani Mortimer.

Przystanęli w starym sadzie, gdzie naliczyli dwadzieścia siedem drzew, zaniedbanych, ale krzepkich.

- A na samej górze tarasu, za domem, możemy hodować krzewy owocowe. - Saxon umilkła, rozważała nową myśl. - Gdyby tylko pani Mortimer zechciała tu przyjechać i poradzić nam, co mamy robić! Jak myślisz, Bill... zgodzi się?

- Z pewnością. Przecież to z San Jose najwyżej cztery godziny jazdy koleją. Ale najpierw musimy się tu jakoś zaczepić. Wtedy będziesz mogła do niej napisać.

Najdłuższą granicę małej farmy stanowił strumień Sonoma, z dwóch stron ogrodzona była drewnianym płotem, wzdłuż czwartego krańca płynął strumień Dzikiej Wody.

- Ach, Bill, ci piękni ludzie, których widzieliśmy wczoraj, będą naszymi sąsiadami - przypomniała sobie nagle Saxon. - Dzika Woda odgranicza ich od naszej.

- Taka bardzo nasza to ona nie jest - zauważył Bill. - Chodź, Saxon. Pójdziemy do nich. Oni na pewno będą nam mogli wszystko powiedzieć.

- Jest tak jakby nasza - upierała się Saxon. - Najważniejsze, żeśmy ją znaleźli. A kimkolwiek jest właściciel, widocznie o nią nie dba. Nikt na niej nie mieszka od bardzo dawna. I... och, Bill, jesteś zadowolony?

- Jestem zadowolony z każdego jarda tej farmy - powiedział szczerze. - Tylko cały kłopot, że tych jardów jest trochę mało.

Rozczarowanie na jej twarzy skłoniło go do wyrzeczenia się własnych snów.

- Kupimy ją... to postanowione - dodał. - Ale poza łąką tyle jest lasu, że mało miejsca pozostaje na pastwisko... tyle tylko, żeby wypaść parę koni i jedną krowę. Ale to mi wcale nie przeszkadza. Nie możemy mieć wszystkiego, a to, co jest, jest naprawdę pierwsza klasa.

- Powiedzmy sobie, że to jest tylko początek - pocieszała go Saxon. - Trochę później będziemy ją mogli powiększyć. Może dokupimy tę ziemię nad Dziką Wodą... tę, która wznosi się w górę do trzech pagórków, cośmy ją wczoraj widzieli.

- Ta, co na niej widziałem pasące się moje konie... - przypomniał sobie z błyskiem w oczach. - A czemu by nie? Tyle marzeń sprawdziło się, odkąd wyszliśmy na drogę, że może i to się sprawdzi?

Przeszli pod sklepieniem wiejskiej bramy i dalej posuwali się krętą ścieżką, która prowadziła przez las. Nic nie zapowiadało bliskości domu, dopóki nie wyłonił się nagle przed nimi, ukryty między konarami drzew. Był to dom ośmiokątny, o tak właściwych proporcjach, że mimo piętra nie wydawał się za wysoki. Stapiał się idealnie z tłem. Mógł być wyrosnąć z gleby podobnie jak drzewa. Nie otaczał go żaden ogród. Dzika roślinność podchodziła aż do drzwi. Na niski ganek przed głównym wejściem prowadził tylko jeden stopień. „Trillium Covert” przeczytali nazwę wyrzeźbioną zgrabnie pod okapem ganku.

- Ach, dzieci drogie! Chodźcie prosto na górę - odezwał się w odpowiedzi na pukanie Saxon głos gdzieś nad ich głowami.

Saxon zrobiła krok do tyłu i podniósłszy głowę zobaczyła małą panią uśmiechającą się do nich z werandy przeznaczonej do spania. Ubrana w różową powłóczystą suknię domową znowu przypomniwała Saxon kwiata.

- Pchnijcie drzwi frontowe, a dalej bez trudu traficie na górę.

Saxon weszła pierwsza, Bill za nią. Weszli do pokoju, gdzie światło padało przez mnóstwo okien i na kominku z nie ociosanego kamienia paliła się wielka kłoda drzewa. Na kamiennej półce nad kominkiem stał ogromny meksykański dzban pełen jesiennych liści i pędów włochatego dzikiego wina. Ściany wykończone były w naturalnym drzewie, nasycanym, ale nie polerowanym. W powietrzu unosiła się aromatyczna woń czystego drzewa. Domowe organy z drzewa orzechowego stały w jednym płytkim rogu. Wszystkie rogi były płytkie w tym ośmiokątnym pomieszczeniu. Inny róg obudowany był półkami na książki. Przez okna, ponad niską kanapą przeznaczoną najwyraźniej do użytku, widać było

spokojny jesienny krajobraz - drzewa w jesiennym szacie i pożółkłe trawy poprzecinane ścieżkami rozbiegającymi się w różnych kierunkach po maleńkiej posiadłości. W głębi, za dalszymi jeszcze oknami, śliczne małe kręcone schody prowadziły na piętro. Tutaj czekała już na nich mała pani i zaprowadziła do pokoju, który - jak się Saxon natychmiast domyśliła - był jej pokojem. Dwie spośród ośmiu ścian domu widocznych w tym pomieszczeniu zajmowały okna. Miejsce między podłogą a długim parapetem wypełnione było półkami na książki. Książki leżały wszędzie - na stole do pracy, kanapie, biurku. Na parapecie, w otwartym oknie, stał wazon z jesiennymi liśćmi i wdychał czar tej śniadej kobiety, która usadowiła się w maleńkim wyplatany krześle polakierowanym wesołą wiśniową farbą; było to krzeselczko z rodzaju tych, w jakich dzieci lubią się bujać.

- Dziwaczny dom - zaśmiała się pani Hale śmiechem dziewczęcym i pełnym zadowolenia. - Ale my go kochamy. Edmund zbudował wszystko własnymi rękami... nawet założył rury, chociaż strasznie się namęczył, zanim mu się w końcu udało.

- A jak z posadzką na dole... i z kominkiem? - spytał Bill.

- Wszystko, wszystko - odparła z dumą. - I połową mebli. To biurko cedrowe... tamten stół. Wszystko zrobił własnymi rękami.

- A pan Hale ma takie delikatne, łagodne ręce - powiedziała Saxon bezwiednie.

- Tak, to są łagodne, najładniejsze ręce, jakie może mieć człowiek - rzekła cicho pani Hale. - A pani jest kochana, że to pani zauważyła. Przecież widziała je pani tylko wczoraj przejeżdżając koło bramy.

- Nie mogłam nie zauważyć - powiedziała Saxon z prostotą.

Jej wzrok prześliznął się poza panią Hale i utkwiał w ścianie; zachwyił ją wzór tapety - plaster miodu, na którym tu i ówdzie złożyły się pszczoły. Na ścianach wisiało kilka obrazów w ramach.

- Na wszystkich są ludzie - powiedziała Saxon przypomniawszy sobie piękne krajobrazy wiszące na ścianach bungalowu Marka Halla.

- Przez moje okna widzę obrazy natury - powiedziała pani Hale wskazując widok roztaczający się za oknami. - W domu chcę mieć tylko twarze moich bliskich, którzy nie mogą być wciąż przy mnie. Są między nimi straszni włóczędzy.

- Och! - Saxon zerwała się i wstała wpatrzona w fotografię. - Pani zna Klarę Hastings!

- Jako tako. Niemal wykarmiłam ją własną piersią. Wychowywałam ją od maleńkości. Jej matka była moją siostrą. Czy pani wie, jak bardzo jest pani do niej podobna? Zwróciłam na to wczoraj uwagę Edmundowi. On też to zauważył. Nic dziwnego, że w sercu wezbrało mu tyle serdeczności, kiedy was zobaczył za tą parą pięknych koni.

A więc pani Hale była ciotką Klary Hastings, kobietą ze starej pionierskiej rodziny, która przebyła prerie. Saxon pojęła nagle, dlaczego ta mała pani tak bardzo przypominała jej matkę.

Rozmowa popłynęła wartko, pozostawiając Billa na uboczu, tak że przysłuchiwał się tylko i podziwiał jednocześnie staranną roboczną cedrowego biurka. Saxon opowiedziała o spotkaniu z Klarą i Jackiem Hastingsem na pokładzie ich jachtu i potem na drodze w Oregonie. Rozpoczęli nową podróż, powiedziała pani Hale. Z Vancouver wysłali konie pociągiem do domu, sami zaś wsiedli na statek i są w drodze do Anglii. Pani Hale знаła matkę Saxon, a raczej znała jej poezje. Pokazała Saxon nie tylko „Historię ze starych roczników”, ale ponadto ogromny album z wycinkami, zawierający dużo wierszy, o których istnieniu Saxon nie wiedziała.

Dalej Saxon usłyszała od pani Hale, że Jack Hastings zakochał się w Klarze, a potem, gdy przyjechał w odwiedziny do Trillium Covert, zakochał się w dolinie Sonoma i kupił ogromne ranczo z domem mieszkalnym, chociaż nieczęsto do niego zagląda, bo wciąż jeździ z żoną po świecie. Pani Hale wspomniła o własnej wędrowce przez prerie, którą odbyła jako mała dziewczynka w końcu lat pięćdziesiątych; okazało się, że zna doskonale okoliczności walki pod Little Meadow i masakry taboru wozów pionierskich, z której uratował się tylko ojciec Billa.

- Tak więc szukaliśmy naszej księżycowej doliny trzy lata - dodała Saxon w godzinę później na zakończenie - no i wreszcie znaleźliśmy ją.

- Szukaliście Księżycowej Doliny? - powiedziała pani Hale. - Wiedzieliście, że ona istnieje? Co was tak długo zatrzymywało?

- Nie, nie wiedzieliśmy nic o niej. Zaczęliśmy jej szukać na ślepo. Mark Hall nazwał to nasze poszukiwanie pielgrzymką i ciągle się z nami przekomarzał, i radził, żebyśmy wzięli do rąk długie kostury. Mówił, że jak trafimy wreszcie na właściwe miejsce, będziemy wiedzieli, że to tu, bo kostury puszcza pędy i zakwitną. Śmiał się z nas, że chcemy tylu wspaniałości w tej naszej dolinie, a któregoś wieczora zaprowadził mnie do teleskopu i pokazał mi księżyc. Powiedział, że tylko na księżycu znajdziemy taką cudowną dolinę. Chciał mi dać do zrozumienia, że to są mrzonki, ale my przyjęliśmy tę nazwę i wyruszyliśmy na poszukiwanie.

- Co za zbieg okoliczności! - zawołała pani Hale. - Przecież to jest Księżycowa Dolina.

- Wiem - odparła Saxon ze spokojną pewnością siebie. - Znaleźliśmy tu wszystko, czegośmy pragnęli.

- Nie rozumiałaś mnie, drogie dziecko. To naprawdę Księżycowa Dolina. Ta dolina nazywa się Sonoma. Sonoma jest starym indiańskim słowem i znaczy księżycowa dolina. Indianie nazywali ją tak od niepamiętnych czasów, zanim pierwszy biały człowiek przyszedł w te strony. My, którzy ją kochamy, wciąż ją tak zwiemy.

Saxon przypomniała sobie nagle, w jak tajemniczy sposób Jack Hastings i jego żona napomykali o dolinie Sonoma. Rozmowa znów potoczyła się warkotem, ale w końcu Bill stracił cierpliwość. Odchrząknął znacząco i powiedział:

- Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o tym ranczu po drugiej stronie rzeczulki. Kto jest właścicielem, czy je sprzeda, gdzie go szukać i różne takie rzeczy.

Pani Hale wstała.

- Pójdziemy do Edmunda - rzecz biorąc Saxon za rękę i prowadząc ją do drzwi.

- A to historia! - zawołał Bill spoglądając w dół na panią Hale. - Zawsze myślałem, że Saxon jest mała. Ale przecież z niej dałoby się wykroić dwie takie jak pani.

- A pan jest naprawdę wysoki - uśmiechnęła się pani Hale. - Chociaż Edmund jest od pana wyższy i szerszy w ramionach.

Przeszli przez jasny hall i weszli do pokoju pana domu. Rosły i piękny mąż pani Hale siedział rozparty wygodnie w ogromnym fotelu na biegunach i czytał. Obok stało drugie wyplatane krzeselczko dzieciinne, pokryte czerwonym likierem. Przytulony do uda swojego pana, z głową na jego kolanie, wpatrzony w płonąca kłodą na kominku leżał zdumiewająco ogromny przegowany kot. I pan, i jego zwierzę odwrócili głowy na powitanie nowo przybyłych. Znowu Saxon poczuła dobrotliwe błogosławieństwo tchnące z twarzy tego mężczyzny, z jego oczu, rąk, ku którym bezwiednie skierowała spojrzenie. Znowu uderzyła ją ich łagodność. Były to ręce kochające. Saxon nigdy się nawet nie domyślała te ludzie o takich rękach istnieją. Nikt spośród wesołej paczki w Karmelu nie był do tego człowieka podobny. Tamci byli artystami. On - uczonym, filozofem. W miejsce ich pasji młodzieńczej i młodzieńczego, pełnego szaleństw buntu była w nim dobrotliwość głębokiej mądrości. Łagodne ręce ominęły wszystko to, co jest w życiu gorzkie, i zrywały samą słodycz. Chociaż Saxon kochała serdecznie młodych ludzi z paczki Halla, wołała się jednak nie zastanawiać, jacy oni będą, gdy dojdą do wieku pana Hale... a szczególnie krytyk teatralny i Żelazny Człowiek.

- Przyprowadziłam ci tę parę kochanych dzieciaków, Edmundzie - powiedziała pani Hale. - Wyobraź sobie, że oni chcą kupić ranczo Madrono! Szukali go trzy lata. Ach, zapomniałam im powiedzieć, że myśmy szukali Trillium Covert lat dziesięć. Powiedz im wszystko o tym ranczu. Pan Naismith nie zmienił na pewno zamiaru i nadal chce je sprzedać.

Usadowili się w prostych, masywnych krzesłach, pani Hale zaś usiadła na wyplatany krzeselczku tuż obok ogromnego fotela na biegunach i wsunęła szczupłą rękę w dłoń Edmunda. Saxon przysłuchiwała się rozmowie, a jednocześnie obejmowała wzrokiem szczegóły tych poważnych, surowych pokoi obudowanych półkami na książki. Pojęła nagle, że poprzez zwykłą konstrukcję z drzewa i kamienia może się wyrazić duch tego, kto ją obmyślił i wykonał. Łagodne ręce tego człowieka same to wszystko zrobiły... Każdą sztukę mebli, domyślała się Saxon przenosząc wzrok z biurka na krzesło, ze stołu do pracy na ustawiony obok łóżka w sąsiednim pokoju pulpit do czytania, na którym stała lampa pod zielonym kloszem i leżały w schludnym porządku stosy pism i książek.

- Jeżeli idzie o farmę Madrono, sprawa jest dość prosta - powiedział pan Hale. - Naismith chętnie ją sprzeda. Nosi się z zamiarem sprzedania już od pięciu lat, odkąd założył przedsiębiorstwo butelkowania wody mineralnej u źródeł w tamtym końcu doliny. Szczęśliwie się składa, że on jest właścicielem, ponieważ cała reszta okolicznych gruntów należy do pewnego Francuza, wczesnego kolonizatora. Ten nie rozstałby się ani z piędzią swojej ziemi. Jest chłopem, a typowa u chłopów miłość do ziemi przerodziła się u niego w obsesję, chorobę, nienormalną chciwość. Pozbawiony zmysłu do interesów, stary i uparty, jest właściwie posiadającym ziemię nędzarzem i trudno przewidzieć, co go zaskoczy najpierw: śmierć czy bankructwo.

Właściciel farmy Madrono, Naismith, chętnie ją sprzeda. Cenę ustalił na pięćdziesiąt dolarów za akr, całość więc kosztowałaby tysiąc dolarów, gdyż farma ma dwadzieścia akrów powierzchni. Jako inwestycja rolna przy stosowaniu starych metod uprawy ziemi ranczo nie jest warte tej ceny. Jako lokata na przyszłość - warte jest dużo więcej; ludzie z zewnątrz bowiem zaczynają dopiero odkrywać zalety doliny, a trudno wprost wyobrazić sobie lepsze miejsce na letnią rezydencję. Jako lokata kapitału szczęścia farma z uwagi na piękno doliny i klimat warta jest tysiąc razy więcej niż żądana cena. Edmund był pewien, że Naismith zgodzi się rozłożyć im większość sumy na dogodne spłaty. Radził Billowi, aby podpisali dwuletnią umowę dzierżawną z prawem pierwokupu, przy czym czynsz dzierżawny zostałby odrachowany od ostatecznej ceny kupna. Naismith miał już raz taką umowę z pewnym Szwajcarem, który płacił mu za dzierżawę dziesięć dolarów miesięcznie. Ale żona Szwajcara umarła i on przeniósł się w inne strony.

Edmund domyślił się niebawem, że decydując się na farmę Bill ponosi pewne wyrzeczenia, nie odgadł jednak ich natury. Kilka pytań wyjaśniło mu wszystko - odwieczny sen pionierów o bezkresnych obszarach ziemi, o stadach wypasających się na stu pagórkach, o stu sześćdziesięciu akrach jako najmniejszym dziale ziemi.

- Ależ chłopcze drogi, po co ci tyle ziemi? - spytał łagodnie. - Widzę, że rozumiecie oboje, na czym polega intensywna uprawa ziemi. Czyś zastanawiał się kiedy nad intensywną hodowlą koni?

Zaskakująca nowość tej myśli sprawiła, że Bill otworzył usta ze zdumienia. Rozmyślał przez chwilę, nie potrafił jednak dojrzeć zbieżności między tymi dwoma procesami.

- Musi mi pan to wytłumaczyć! - zawołał.

Starszy pan uśmiechnął się łagodnie.

- Zastanówmy się. A więc po pierwsze, te dwadzieścia akrów nie są wam w ogóle potrzebne... chyba tylko dla ich piękna. Macie tam pięć akrów łąki. Z tego dwa akry pod hodowlę warzyw zapewni wam utrzymanie. Mówiąc ściślej, gdybyście oboje z żoną pracowali na tych dwóch akrach od świtu do nocy, i tak nie zdołacie ich uprawić w należyty sposób. Zostają więc trzy akry. Macie tam pod dostatkiem wody ze źródeł. Nie zadowolajcie się jednym plonem na rok, jak farmerzy starej daty w tej dolinie. Uprawiajcie trzy akry jak ziemię pod warzywami - intensywnie, przez cały rok, hodując paszę dla koni, nawadniając, stosując nawozy sztuczne, płodozmian. Te trzy akry wykarmią tyle koni, co ogromne pastwiska na nie obsiewanych, nie uprawianych ugorach. Zastanów się nad tym, młodzieńcze. Pożyczę panu wszystkie potrzebne książki. Nie wiem, jak duże będą pańskie zbiory, ani nie mam pojęcia, ile zjada jeden koń. To jest pana sprawa. Ale jestem pewien, że jeśli wynajmie pan robotnika do pomocy żonie przy uprawie warzyw, do czasu, kiedy pan kupi tyle koni, ile trzy akry potrafią wykarmić, będzie pan miał ręce pełne roboty. Wtedy dopiero będzie czas dokupić więcej ziemi, więcej koni, żeby zdobyć większe bogactwo - jeżeli w tym widzi pan swoje szczęście.

Bill zrozumiał. Poniesiony zapałem wykrzyknął:

- Ale z pana kawał farmera!

Edmund uśmiechnął się i spojrzał na żonę.

- Powiedz mu, Aneto, co ty o tym myślisz.

Gdy odpowiadała, w oczach migają jej wesołe ogniki.

- Ależ Edmund nigdy nie uprawiał ziemi. Nigdy sam nie gospodarował. A jednak wie.

- Zatoczyła ręką wskazując na półki wzdłuż ścian. - Edmund studiuje dobro. Bada wszystkie dobre rzeczy stworzone przez wszystkich dobrych ludzi na świecie. Przyjemność czerpie z książek i ze stolarki.

- Nie zapominaj o Dulcie - zaprotestował łagodnie Edmund.

- Ach, naturalnie, Dulcie - zaśmiała się Aneta. - Dulcie to nasza krowa. Problem ten pasjonuje zawsze Jacka Hastingsa; czy Edmund bardziej kocha Dulcie, czy też Dulcie

bardziej kocha Edmunda. Kiedy on wyjeżdża do San Francisco, Dulcie jest nieszczęśliwa. Tak samo Edmund, dopóki nie wróci śpiesznie do domu. Och, przyznaję, że nieraz byłam o nią zazdrosna. Ale przyznaję też, że on ją rozumie jak nikt inny na świecie.

- To jest ta jedyna gałąź praktycznej wiedzy rolniczej, jaką znam z własnych doświadczeń - przytwierdził Edmund. - Jestem autorytetem w sprawach hodowli krów Jersey. Zawsze będę wam chętnie udzielał rad.

Wstał i podszedł do półki z książkami; mogli wtedy ocenić w pełni jego wspaniałą postać. Odwrócił się z książką w ręce, żeby odpowiedzieć na pytanie Saxon. Nie, w dolinie Sonoma nie ma komarów, chociaż jednego lata, gdy wiatr z południa wiał nieprzerwanie przez dziesięć dni, zdarzyła się rzecz bezprzykładna: masy powietrza przyniosły kilka komarów znad zatoki San Pablo. Jeśli zaś idzie o mgłę... no cóż, dzięki niej dolina jest taka, jaka jest. W miejscu gdzie się znajdują, osłonięci szczytem Sonoma, mgła utrzymuje się zawsze wysoko. Mgła nadciąga do doliny znad oceanu odległego o czterdzieści mil, ale wierzchołek Sonomy zatrzymuje ją i zmusza do wzbicia się na dużą wysokość. Co więcej, Trillium Covert i rancho Madrono są bardzo szczęśliwie usytuowane w wąskim pasie ciepłym, tak że nawet podczas zimowych porannych przymrozków temperatura tu jest o kilka stopni wyższa niż w pozostałej części doliny. W ogóle przymrozki w tym ciepłym pasie zdarzają się bardzo rzadko, czego dowodem są doskonałe wyniki w hodowli pewnych gatunków pomarańcz i cytryn.

Edmund odczytywał tytuły i wybierał książki, dopóki nie odłożył sporego stosiku. Otworzył jedną z nich, Boltona Halla „Trzy akry i wolność”, i zaczął im czytać o farmerze, który uprawiając ziemię starymi metodami, robił pieszko sześćset pięćdziesiąt mil rocznie po to, by uprawić według starych metod swoje dwadzieścia akrów, a zbierał z nich trzy tysiące buszli marnych ziemniaków; i o innym farmerze, rolniku „nowego pokroju”, który uprawiał tylko pięć akrów, robił pieszko tylko dwieście mil i zbierał trzy tysiące buszli ziemniaków - wczesnych i najprzedniejszego gatunku, sprzedawanych po cenie wielokrotnie wyższej od ceny osiągniętej przez pierwszego farmera:

Edmund wręczył książki Saxon, a ona oddając je Billowi, czytała tytuły: Wicksona „Owoce kalifornijskie”, Wicksona „Warzywa kalifornijskie”, Brooksa „Nawozy sztuczne”, Watsona „Drób hodowlany”, Kinga „Melioracja”, Kropothina „Pota uprawne, fabryki i warsztaty” i wreszcie „Biuletyn rolnika Nr 22”, „O karmieniu bydła”.

- Przychodźcie po więcej, ilekroć będą wam potrzebne - namawiał Edmund. - Mam setki tomów traktujących o rolnictwie i wszystkie biuletyny rolnicze... A jak tylko znajdziecie chwilę czasu, muszę was zapoznać z Dulcie - zawołał do nich już przez drzwi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Przyjechała pani Mortimer obładowana katalogami nasion i książkami rolniczymi i zastała Saxon zatopioną w książkach pożyczonych od Edmunda. Oprowadzana przez Saxon po farmie pani Mortimer zachwycała się wszystkim, nie wyłączając warunków umowy dzierżawnej i zastrzeżonego pierwokupu.

- A teraz - powiedziała - zastanówmy się, co należy zrobić. Siądźcie oboje. Odbędziemy naszą naradę wojenną. Jestem jedyną osobą na świecie, która wam może powiedzieć, co należy zrobić. Co w tym dziwnego? Ktoś, kto skatalogował i przeorganizował ogromną bibliotekę miejską, ma wszystkie dane na to, żeby was pchnąć, moje dzieci, na właściwą drogę. A więc od czego zaczniemy?

Umilkła dla zaczerpnięcia tchu i krótkiego namysłu.

- Po pierwsze, farma Madrono jest niezwykłą okazją. Znam się na ziemi, znam się na pięknie krajobrazu, znam się na klimacie. Farma Madrono jest kopalnią złota. Sama łąka może przynieść fortunę. Uprawy - ale o tym powiem wam później. Zaczniemy od gruntów. Na co je przeznaczymy? Żeby zarobić na życie? Naturalnie. Warzywa? Oczywiście. Co będziecie z nimi robili, jak już je wyhodujecie? Sprzedacie. Ale gdzie?... Teraz słuchajcie uważnie. Musicie zrobić to, co ja zrobiłam. Wykluczyć pośrednika. Będziecie sprzedawali bezpośrednio konsumentowi. Stworzycie swój własny rynek zbytu. Czy wy wiecie, co ja widziałam z okien wagonu, zaledwie kilka mil stąd? Hotele, uzdrowiska miejscowości letniskowe, ośrodki sportów zimowych - ludzie, usta do nakarmienia rynek zbytu. Gdzie zaopatruje się ten rynek? Na próżno rozglądałam się za ogrodami produkującymi warzywa. Bill, zaprzęż konie, bo zaraz po obiedzie wyjedziemy razem z Saxon na przejażdżkę. Mniejsza o wszystko inne. Niech robota stanie. Co za sens wyjeżdżać w drogę nie znając adresu? Dziś po południu będziemy szukali tego adresu. Wtedy zobaczymy, co jest co - dodała pani Mortimer z uśmiechem. Ostatnie zdanie było ustępstwem na rzecz sposobu wyrażania się Billa.

Ale Saxon nie pojechała z nimi. Za dużo było roboty przy sprzątanii zaniedbanego domu i przygotowywaniu pokoju dla pani Mortimer. Dawno już minęła pora kolacji, zanim pani Mortimer i Bill wrócili ze swojej wyprawy.

- Ach, wy szczęściarze, szczęściarze! - zaczęła stara dama od progu. - Ta dolina właśnie zaczyna się budzić. Macie na miejscu rynek zbytu i w całej okolicy ani jednego konkurenta. Zaraz sobie pomyślałam, że są to zupełnie nowe miejscowości... Caliente,

Boyes, Hot Springs, El Verano i mnóstwo innych. Poza tym są jeszcze trzy niewielkie hotele w Glen Ellen, tuż pod bokiem. Och, porozumiałam się ze wszystkimi właścicielami i zarządzającymi.

- Ona jest cudotwórcą - rzekł Bill z podziwem. - Nie bałaby się wystąpić do samego Pana Boga z propozycją interesu. Trzeba ci ją było widzieć.

Pani Mortimer z wdzięcznością przyjęła komplement i z rozmachem mówiła dalej:

- A gdzie zaopatrują się w warzywa? Przywożą je z Santa Rosa i Sonoma, z odległości dwunastu lub piętnastu mil. Bo tam są najbliższe farmy warzywnicze. A jeżeli nie zdołają pokryć wciąż rosnącego zapotrzebowania co podobno zdarza się często, trzeba sprowadzać warzywa pociągiem aż z San Francisco. Przedstawiłam im wszystkim Billa. Są gotowi popierać hodowlę lokalną, w czym naturalnie widzą własną korzyść. Będziecie im dostarczali równie dobrych warzyw po równie niskiej cenie. Dołożycie wszelkich starań, żeby im dostarczać warzyw lepszych świeższych... A nie zapominajcie, że z uwagi na mniejszą odległość sama dostawa będzie was kosztować taniej.

Żadnych sztuczek z jednodniowymi jajkami na waszej farmie. Żadnych galaretek i dżemów. Macie za to mnóstwo miejsca tu na tarasie, gdzie nie możecie hodować warzyw. Jutro z rana pomogę wam rozplanować kurniki i wybiegi dla kur. Aha... ważna jest sprawa kapłonów na rynki San Francisco. Rozpoczniecie hodowlę na bardzo niewielką skalę. Będzie to początkowo jakby dodatkowe zajęcie. Pouczę was o wszystkim dokładnie i przyślę wam odpowiednią literaturę. Wasza rzecz - pracować głową. Niech inni wykonują za was pracę rąk. To musicie zapamiętać raz na zawsze. Płaca ludzi nadzorujących jest bez porównania wyższa od płacy robotników. Musicie prowadzić buchalterię. Musicie dokładnie wiedzieć, w jakiej sytuacji znajdujecie się w danym momencie. Musicie wiedzieć, co się opłaca, a co nie. Książki buchalteryjne odpowiedzą wam na to pytanie. Wszystkiego was nauczę w odpowiednim czasie.

- Kto by to pomyślał... cała heca na dwóch akрах gruntu! - wymamrotał Bill.

Pani Mortimer spojrzała na niego ostro.

- Na dwóch, jeszcze czego! - powiedziała szorstko. - Na pięciu. A i tak nie zdołacie zaspokoić popytu. Bill, mój chłopcze, jak przyjdą pierwsze deszcze, będziesz miał ręce pełne roboty z drenowaniem łąki. Jutro opracujemy szczegółowo te plany. Aha, pozostaje jeszcze sprawa krzewów owocowych tu na tarasie i winnych latorośli najwyższego gatunku. Takie winogrona osiągają fantastyczne ceny. Zasadzimy jeżyny i maliny. Ale nie zwracajcie sobie głowy truskawkami. Za dużo z nimi roboty. To nie to samo, co winna latorośl. Obejrzałam sad. Jest to bardzo dobry materiał. Zastanowimy się później nad sprawą oczyszczenia drzew i

szczepienia.

- Kiedy Bill chciał dla siebie te trzy akry łąki - wtrąciła Saxon przy pierwszej okazji.

- Po co?

- Pod trawy i inne rośliny, jako paszę dla koni, które ma zamiar hodować.

- Kupi dość paszy dla koni z części dochodów, jakie przyniosą te trzy akry.

- Bill przełknął - i raz jeszcze zdobył się na wyrzeczenie.

- Zgoda powiedział, zmuszając się bohatersko do wesołości. - Pozwólmy jej robić po swojemu. Niech żyją zieleniny!

Pani Mortimer została u nich kilka dni i Bill pozwolił obu kobietom samodzielnie układać plany. Oakland weszło w okres prosperity i z Zachodniooaklandzkich Stajni przyszedł list przynaglający do zwiększenia wysyłki koni. Tak więc Bill wyjeżdżał wcześniej i wracał późno całe zaś dni spędzał na poszukiwaniu w okolicach młodych koni pociągowych. W ten sposób zaraz na początku poznał dokładnie dolinę. Zawiadomiono go też z Oakland, że stajnie pozbywają się kobył, które obily sobie nogi na twardych brukach miejskich, zagwarantowano mu prawo pierwszego wyboru po okazyjnych cenach. Były to zdrowe silne konie. Wiedział, czego można po nich oczekiwać, ponieważ znał je z dawnych czasów. Gdy zdejmie im się podkowy i da odpocząć na jakiś czas na pastwisku, wrócą do formy i doskonale będą mogły pracować na miękkich wiejskich drogach. W mieście na twardym bruku nie nadawałyby się już do niczego, ale na farmach mogą pracować jeszcze całe lata. A poza tym można je było użyć jako klacze hodowlane. Ale Bill nie mógł sobie pozwolić na kupno tych koni. Rozgrywał swoją batalię w tajemnicy i nie zdradzał się Saxon ani słowem.

Wieczorami siadywał w kuchni i paląc papierosa przysłuchiwał się opowieściom kobiet o tym, co w tym dniu zrobiły i co jeszcze zamierzają zrobić. O dobre konie było bardzo trudno i - jak to Bill sam określał - namówienie farmera do rozstania się z koniem przypominało operację wyrwania zęba, mimo że Bill otrzymał upoważnienie, aby podwyższyć cenę kupna o pięćdziesiąt dolarów. Chociaż rozpoczęła się era samochodów, ceny ciężkich koni pociągowych wciąż wzrastały. Jak daleko Bill sięgał pamięcią, ceny koni pociągowych stale szły w górę. Po wielkim trzęsieniu ziemi skoczyły raptownie i nie cofnęły się już do poprzedniego poziomu.

- Prawda, Bill, że zarabiasz więcej na kupowaniu koni, niżbyś zarobił jako robotnik? - spytała pani Mortimer. - A więc doskonale. Nie będziesz musiał sam nawadniać łąki ani orać, ani wykonywać innych tego rodzaju robót. Kupuj dalej konie. Pracuj głową. Ale ze swoich zarobków zechciej łaskawie opłacić jednego robotnika do pracy przy warzywach Saxon. Będzie to doskonała lokata pieniędzy i szybkie zyski. - Dobra - zgodził się Bill. - Przecież po

to człowiek wynajmuje do pracy człowieka, żeby mieć z tego jakieś korzyści. Ale jakim cudem Saxon i jeden robotnik mają obrobić te pięć akrów, jeżeli pan Hale powiada, że my we dwoje z Saxon nie dalibyśmy rady obrobić przyzwoicie dwóch akrów - tego nie potrafię zrozumieć.

- Saxon w ogóle nie będzie pracowała fizycznie - odparła Pani Mortimer. - Czyś widział mnie przy pracy w San Jose? Saxon będzie pracowała głową. Najwyższy czas, żebyś to wreszcie zrozumiał. Półtora dolara - oto dzienny zarobek człowieka który nie pracuje głową, tylko rękami. A ona ani myśli się zadowalać zarobkiem półtora dolara na dzień. Teraz słuchaj uważnie.

Miałam dzisiaj długą rozmowę z panem Hale. Powiedział mi, że praktycznie nie można dostać w dolinie wydajnej siły roboczej. - Wiem coś o tym - wtrącił Bill. - Wszyscy zdolni ludzie idą do miast. Na miejscu pozostają tylko same odpadki. A ci, którzy są coś warci, nie wynajmują się do pracy.

- Wszystko to jest święta prawda. A teraz posłuchajcie, dzieci. Wiedziałam, jak się przedstawia sytuacja, i dlatego porozumiałam się z panem Hale. Zgodził się wszystko dla was załatwić. Zna się na tych sprawach i jest w kontakcie z naczelnikiem więzienia. Przyjmiecie do pracy dwóch zwolnionych warunkowo więźniów z San Quentin, takich, którzy wykazali się dobrym sprawowaniem. Będą waszymi ogrodnikami. W San Quentin jest mnóstwo Chińczyków i Włochów, a to są najlepsi na świecie ogrodnicy. W ten sposób zabijecie dwa ptaszki naraz: przysłużycie się biednym więźniom i znajdziecie w tym korzyść dla siebie.

Saxon wahała się, była wyraźnie wstrząśnięta. Bill poważnie roztrząsał w myślach propozycję.

- Znacie Johna, służącego państwa Hale? - spytała pani Mortimer. - Jak on wam się podoba?

- Och, właśnie dzisiaj myślałam, żebyśmy tak mogli znaleźć kogoś podobnego do Johna! - zawołała Saxon z zapalem. - To taki miły, poczciwy człowiek. I pani Hale mówiła o nim tyle pochlebnych rzeczy.

- Nie powiedziała ci tylko jednego - podjęła pani Mortimer z uśmiechem. - John jest więźniem zwolnionym warunkowo. Dwadzieścia osiem lat temu zabił w afekcie człowieka... pokłócili się o sześćdziesiąt pięć centów. Zwolniono go trzy lata temu i cały czas pracuje u Hale'ów. Pamiętacie Louisa, starego Francuza, na mojej farmie? Też jest zwolnionym przedterminowo więźniem. A więc zgoda? Kiedy wasi dwaj przyjadą (naturalnie musicie im płacić godziwe wynagrodzenie), John z ich pomocą i pod kierunkiem pana Hale zbije dla nich z desek małe pomieszczenie. Musimy też dopilnować, żeby byli tej samej narodowości - albo

Chińczycy, albo Włosi. Mimo to, gdy farma na dobre już się rozkręci, będziecie musieli brać robotników na dniówki. Miej więc, drogi chłopcze, oczy otwarte podczas swoich wypraw po okolicy.

Nazajutrz Bill nie wrócił na noc, a o godzinie dziewiątej rano konny posłaniec z Glen Ellen przyniósł depeszę. Bill wysłał ją z Lake Country, dokąd pojechał w sprawie koni dla Oakland.

Wrócił dopiero trzeciego dnia wieczorem. Był do cna wyczerpany, ale tylko z najwyższym trudem ukrywał rozpierającą go dumę.

- Coś ty, chłopcze, robił przez trzy dni? - spytała pani Mortimer.

- Pracowałem głową - odparł chępliwie acz spokojnie. - Celowałem z jednego kamienia do dwóch ptaków, ale zabiłem całe stado. Ha! Zawiadomili mnie o tym w Lawndale i muszę powiedzieć, że Hazel i Hattie mocno były zmęczone, kiedy je stawiałem do stajni w Calistoga i sam przesiadałem się do karety pocztowej żeby pojechać do St. Helena. Zdążyłem na czas i dobiłem targu - osiem doskonałych sztuk, cały zaprzęg jednego woźnicy z gór. Wszystko młode koniki, zdrowe jak ryby, najlżejszy waży ponad tysiąc pięćset funtów. Wysłałem je wczoraj wieczór z Calistoga. Ale na tym nie koniec.

Jeszcze przedtem, pierwszego dnia, rozmawiałem w Lawndale z facetem, który ma umowę na transport z kamieniołomów, gdzie wydobywają kamień na płyty chodnikowe. Wyśmiał mnie, jak mu zaproponowałem, żeby mi sprzedał konie. Chciał kupić! Chciał kupić za każdą cenę. Powiedział nawet, że chętnie by wydzierżawił zaprzęgi.

- I wtedy ty mu posłałeś te osiem kupionych koni! - wpadła mu w słowa Saxon.

- Zgadłaś, ale nie bardzo. Przecież te osiem kupiłem za pieniądze z Oakland i do Oakland je wysłałem. Ale połączyłem się telefonicznie z tym przedsiębiorcą z Lawndale i on zgodził się płacić mi pół dolara dziennie za wydzierżawienie jednego konia, do sześciu sztuk. Wtedy zadeszowałem do pryncypała, żeby mi wysłał sześć klaczy z odbitymi nogami i poprosiłem, żeby Bud Strothers dokonał za mnie wyboru i żeby należność ściągnęli z mojej prowizji. Bud wie, o co mi chodzi. Jak tylko tu zajadą, zdejmie się im podkowy. Po dwóch tygodniach odpoczynku na pastwisku poślę je do Lawndale. Z robotą doskonale dadzą sobie radę. Przewóz odbywa się miękką wiejską drogą, w dół pagórka, do stacji kolejowej. Pół dolara dzierżawy za sztukę, to znaczy, że będę z nich miał trzy dolary dziennie przez sześć dni w tygodniu. Ani ich nie muszę żywić, ani podkuwać, ani nic takiego, tylko będę je miał na oku, żeby się z nimi przyzwoicie obchodzono. Trzy dolary dziennie! Ha! Starczy to akurat na dwóch półdolarowych robotników dla Saxon, chyba że każe im pracować w niedzielę. Ha! Księżycowa Dolina! Coś mi się zdaje, że niedługo zacniemy się obwieszać brylantami.

Ojej! Człowiek mógłby żyć w mieście tysiąc lat i nie trafić na takie okazje. To bije na głowę chińską loterię.

Wstał z krzesła.

- Idę napić i dać obrok Hazel i Hattie. Jak je odstawię do stajni, przyjdę sam coś zjeść.

Saxon i pani Mortimer spoglądały na siebie błyszczącymi oczami. Obie miały już coś powiedzieć, gdy nagle Bill wrócił i wsunął głowę przez szparę w drzwiach.

- Jest jedna rzecz, w której możecie się nie połapały - powiedział. - Zarabiam trzy dolary każdego dnia, ale te sześć klaczek też do mnie należy. Jestem ich właścicielem. Są moje. Rozumiecie teraz?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Jeszcze bynajmniej z wami nie skończyłam - powiedziała pani Mortimer na pożegnanie i kilkakrotnie w ciągu tej zimy wpadła na rancho, aby uczyć Saxon, jak powinna kalkulować zbiory dla niewielkiej liczby bezpośrednich odbiorców, na powiększający się wciąż rynek wiosenny i na okres największego letniego nasilenia, kiedy sprzeda wszystko, co wyhoduje, a i tak nie zaspokoi prawdopodobnie całego popytu. Tymczasem każda wolna chwila Hazel i Hattie wykorzystywana była na zwożenie nawozu z miasteczka Glen Ellen, którego obory po raz pierwszy w swej historii doczekały się tak starannego oczyszczenia. Przychodziły też ładunki nawozów sztucznych na dworzec kolejowy, kupowane wedle wskazówek pani Mortimer.

Zwolnieni warunkowo więźniowie okazali się Chińczykami. Obaj spędzili wiele lat w więzieniu i byli ludźmi starszymi, jednakże praca, jaką obaj zdolni byli w ciągu dnia wykonać, zyskała aprobatę pani Mortimer. Gau Yum prowadził przed dwudziestu laty ogród warzywny w jednym z wielkich majątków w Menlo Park. Niestety spadło nań wraz z bójką przy grze hazardowej fan-tan w chińskiej dzielnicy Redwood City. Jego towarzysz, Czan Czi, był w dawnych gorących dniach San Francisco słynnym awanturnikiem i rzezimieszkiem. Ale dwadzieścia pięć lat dyscypliny w więziennych ogrodach warzywnych ostudziło mu krew; ręka odzwyczajona od morderczego toporka przywykła teraz do gracy. Ci dwaj pomocnicy zostali przysłani na dworzec kolejowy w Glen Ellen jak cenne towary; odbiór ich pokwitował miejscowy szeryf, który ponadto był zobowiązany składać władzom więziennym miesięczne raporty o ich zachowaniu. Także Saxon sporządzała co miesiąc raport i wysyłała go do San Quentin.

Saxon bardzo prędko wyzbyła się obawy, że któregoś dnia Chińczycy poderzną jej gardło. Rozpościerała się nad nimi korzystająca z poczty ręka państwa. Wypicie jednego trunku alkoholowego wystarczyłoby, aby dłoń ta zamknęła się i osadziła ich z powrotem w celi więziennej. Chińczycy nie korzystali też z pełnej swobody ruchów. Gdy Gau Yum musiał pojechać do San Francisco, aby u konsula chińskiego podpisać pewien dokument, trzeba było wpierw uzyskać dla niego zezwolenie z San Quentin. Co najważniejsze jednak, żaden z nich nie miał gwałtownego usposobienia. Saxon z lękiem myślała o czekającym ją obowiązku kierowania dwoma gotowymi na wszystko skazańcami; ale gdy przyjechali, współpraca z nimi stała się dla niej przyjemnością. Ona im mówiła, co mają robić, ale to oni wiedzieli, jak robić. Nauczyła się od nich tysięcy rozmaitych sposobów i sztucznego wspomaganie

wegetacji i uświadomiła sobie niebawem, jak bardzo byłaby bezradna, gdyby miała polegać na miejscowej sile roboczej.

Zresztą nie odczuwała lęku, ponieważ nie była sama. Pracowała głową. Zrozumiała bardzo prędko, że nie zdoła dopilnować dostatecznie roboty w ogrodzie i jednocześnie zajmować się domem. Napisała do Ukiah, do energicznej wdowy, która mieszkała w sąsiednim domu i trudniła się praniem. Wdowa bez namysłu przyjęła ofertę Saxon. Pani Paul miała lat czterdzieści, przy niskim wzroście ważyła dwieście funtów, ale była niezmordowana. Co ważniejsze, należała do kobiet nie mających lęku i jak twierdził Bill, mogła jedną potężną ręką zmusić do posłuchu obu Chińczyków. Pani Paul przywiozła ze sobą szesnastoletniego syna, chłopca chowanego na wsi, który znał się na koniach i umiał wydoić Hildę, piękną krowę rasy Jersey, która zadowoliła wysokie wymagania Edmunda. Chociaż pani Paul doskonale sobie radziła z prowadzeniem domu, Saxon obstawała przy wykonywaniu jednej czynności własnoręcznie - sama prała swoją śliczną bieliznę.

- Jak już nie będę zdolna sama tego robić - powiedziała Billowi - weźmiesz łopatę i wykopiesz dół obok tej kępy sekwoi za Dziką Wodą. Czas najwyższy będzie mnie pochować.

Jeszcze w początkach ich pobytu na ranczu Madrono, podczas drugiej wizyty pani Mortimer, Bill zajechał przed dom z wozem naładowanym rurami; dom mieszkalny, kurnik i obora zostały wyposażone w rury, doprowadzające wodę z kupionego z drugiej ręki zbiornika, który Bill zainstalował poniżej studni.

- Ha! Przyznasz chyba, że potrafię pracować głową - powiedział. - Przyglądałem się jednej kobiecie po drugiej stronie doliny, jak nosiła wodę w wiadrach ze źródła położonego o dwieście stóp od domu. Wziąłem się do rachowania. Powiedzmy, że ona w ciągu dnia chodzi tak trzy razy, a jak ma pranie, naturalnie dużo więcej. Nawet by ci do głowy nie przyszło, ile ona się nachodzi w ciągu roku dźwigając tę wodę. Wypadło mi sto dwadzieścia dwie mile! Spytałem ją, od jak dawna tam mieszka. Trzydzieści jeden lat. A teraz sama sobie pomnóż. Trzy tysiące siedemset osiemdziesiąt dwie mile przeszła nosząc wodę - wszystko, żeby zaoszczędzić dwieście stóp rury wodociągowej. Czy człowiek może się nie wściec?

Och, ani myślę na tym poprzestać. Jak wszystko dobrze pójdzie, niedługo zobaczysz w domu wannę i zbiorniki na wodę. Aha, Saxon, znasz tę taką małą łączkę, w miejscu, gdzie Dziką Wodą wpada do Sonomy... Jest tam tego z jakiś akr. I to całe jest moje! Rozumiesz? Pamiętaj - żadnego chodzenia po trawie! Cała trawa jest moja. Trochę dalej w górze strumienia umieszczę pompę. Mogę dostać za dziesięć dolarów używaną, bardzo dużą pompę, która wypompuje więcej wody, niż mi będzie potrzeba. I zobaczysz lucernę, na której widok polecą ci ślinka. Muszę mieć dla siebie jeszcze jednego konia. Tak często używasz Hazel i

Hattie, że ja nie mam już żadnych widoków. A jak zaczniesz rozwozić swoje warzywa, w ogóle nie będę ich na oczy oglądał. Ta lucerna pomoże chyba utrzymać jeszcze jednego konia.

Ale tak go pochłonęły większe zdarzenia i przedsięwzięcia, że na jakiś czas zapomniał o swojej lucernie. Najpierw przyszły kłopoty. Kilkaset dolarów, z którymi przyjechał do doliny Sonoma, a także późniejsze wpływy z prowizji rozeszły się na doprowadzanie farmy do porządku i na życie. Osiemnaście dolarów na tydzień, które Bill otrzymywał za wypożyczenie sześciu koni w Lawndale, pokrywało wynagrodzenie ogrodników. Nie miał więc pieniędzy na kupno wierzchowca, który był mu potrzebny na wyjazd w teren po zakup koni dla Oakland. Z tym zdołał sobie jednak poradzić - popracował głową i zabił jednocześnie dwa ptaszki. Zaczął brać żrebaki na naukę dyszla i objeżdżając je w zaprzęgu wyruszał tam, gdzie miał kupować konie.

A więc jak dotąd wszystko szło pomyślnie. Ale nowy zarząd miejski w San Francisco, zobowiązawszy się do oszczędności wstrzymał wszystkie roboty uliczne. Doprowadziło to do zamknięcia kamieniołomów w Lawndale, które były jednym z głównych dostawców kamienia brukowego. Sześć koni nie tylko miało wrócić do Billa, ale co więcej, będzie je musiał teraz karmić. A skąd wziąć na zapłacenie pensji dla pani Paul, Gau Yuma i Czan Czi?

- Coś mi się zdaje, że ugryźliśmy więcej, niż możemy stawiać - wyznał Saxon.

Tego wieczoru wrócił do domu późno, ale twarz miał rozpromienioną. Saxon była nie mniej promienna.

- Wszystko w porządku - wiedziała zbliżając się doń, gdy pod stodołą wypręgał zmęczonego, ale wciąż buntowniczego żrebaka. - Rozmawiałam z całą trójką. Zrozumieli sytuację i są gotowi zaczekać trochę na wypłatę pensji. Za tydzień wysyłam Hazel i Hattie z pierwszym transportem warzyw. Wtedy zaczną napływać pieniądze z hoteli i moje książki nie będą miały takiego żalosego wyglądu. I, och... Bill! Nigdy byś się nie domyślił. Stary Yum ma rachunek w banku. Pewnie się trochę zastanawiał, bo przyszedł do mnie później i zaproponował, że mi pożyczy czterysta dolarów. Co ty o tym myślisz?

- Że na pewno nie będę wbijał się w dumę i odmawiał tylko dlatego, że on jest Chińczykiem. Dla mnie jest biały, a pieniądze mogą mi się przydać. Bo widzisz... och, co tam! Nie zgadniesz, co ja robiłem, odkąd rozstaliśmy się dzisiaj rano. Byłem taki zajęty, że nie miałem nawet czasu pomyśleć o jedzeniu.

- Pracowałeś głową? - roześmiała się Saxon.

- Możesz to tak nazwać - odparł również ze śmiechem. - Wydawałem pieniądze... i to garściami.

- Przecież już ci prawie nic nie zostało - zaprotestowała.

- Ale mam kredyt w tej dolinie, na co ośmielam się zwrócić ci uwagę - odparł. - Swoją drogą dziś po południu mocno go nadszarpnąłem. Teraz zgaduj.

- Koń pod wierzch?

Ryknął śmiechem tak głośnym, że przestraszony źrebak usiłował mu się wyrwać; pochwycając go za chrapy i kark Bill na pół podniósł go z ziemi.

- Och, miałem na myśli prawdziwe zgadywanie - powiedział, gdy stanąwszy znów na czterech nogach źrebak przyglądał mu się z lękliwą podejrzliwością.

- Dwa konie pod wierzch?

- Och, Saxon, kiepsko dziś z twoją wyobraźnią. Powiem ci. Znasz Thiercrofta. Kupiłem od niego wielki wóz za sześćdziesiąt dolarów. Kupiłem wóz kowala z Kenwood... taki sobie, ale ujdzie za czterdzieści pięć dolarów. I kupiłem wóz od Pinga za sześćdziesiąt pięć dolarów, prawdziwe чудо. mógłbym go dostać za pięćdziesiąt, ale on widział, że bardzo mi na nim zależy.

- Ale skąd pieniądze?... - spytała Saxon. - Przecież zostało ci już niecałe sto dolarów.

- Nie mówiłem, że mam kredyt w tej dolinie? No, więc mam. Nie wydałem dzisiaj ani centa...prócz drobiazgu na dwie zamiejscowe rozmowy telefoniczne. Potem kupiłem trzy komplety uprzęży, łańcuchowe i używane, po dwadzieścia dolarów sztuka. Sprzedał mi je ten facet, który miał umowę na transport dla kamieniołomów. Nie są mu już potrzebne. I wynająłem od niego cztery wozy i cztery pary koni, za pół dolara na dzień od każdego konia i pół dolara od wozu... będę musiał płacić mu sześć dolarów dziennie za najem. Te trzy komplety uprzęży to dla moich własnych sześciu koni. Dalej... zaraz... a tak! Wynająłem dwie stajnie w Glen Ellen i zamówiłem w składzie w Kenwood pięćdziesiąt ton siana i wagon jęczmienia. Bo rozumiesz, będę musiał dawać obrok wszystkim czternastu koniom kuć je i w ogóle się nimi zajmować.

Tak, złotko, coś niecoś dzisiaj załatwiłem... Nająłem siedmiu ludzi do powożenia, po dwa dolary za dniówkę i... Au! Święty Józefacie! Co ty robisz?

- Nie - rzekła poważnie Saxon, wpierw go uszczypnąwszy. - Nie śni ci się. - Zbadala mu tętno i przyłożyła rękę do czoła. - Gorączki ani śladu. - Przynęła nos do jego ust. - I nie piłeś. Dalej, Bill, opowiedz mi resztę tej... cokolwiek to jest.

- Nie cieszysz się?

- Ani trochę. Chcę usłyszeć więcej. Wszystko.

- Dobra. Ale najpierw chciałbym, żebyś zrozumiała, że mój dawny pryncypał z Oakland nic nie jest ode mnie lepszy. Teraz ja też jestem człowiek interesów, jakby tak ktoś

podjechał tu na wozie z warzywami i spytał cię o to. Zaraz ci wszystko opowiem... chociaż dotąd nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie z Glen Ellen pierwsi na to nie wpadli. Pewnie dlatego, że spali. W mieście nikt by takiej okazji nie przepuścił. No, więc było tak. Słyszałaś o tej frymuśnej cegielni, którą budują, żeby fabrykować specjalnie wypalone cegły na okładzinę wewnętrznych ścian? I pamiętasz, jak się gryzłem, że te sześć koni spadnie mi teraz na głowę i nie tylko nie będą nic zarabiały, ale tak mnie jeszcze objedzą, że pójde z torbami. Musiałem wymyślić dla nich jakąś pracę... no i przypomniała mi się cegielnia. Zaprząłem żrebaka, pojechałem tam i porozmawiałem z tym ich japońskim chemikiem, który robił eksperymenty. Ojej! Co się tam działo! Majstrzy biegali jak opętani po całym terenie i doprowadzali wszystko do porządku. Obejrzałem sobie cały teren i dobrze się zastanowiłem. Potem podjechałem do miejsca, gdzie będą kopali glinę... wiesz, że takie miałkie grudy, białe jak kreda. Widzieliśmy, jak je wykopywali niedaleko tych stu czterdziestu akrów z trzema pagórkami nad łąką. Transport odbywałby się w dół, na odcinku jakiejś mili. Dwa konie doskonale mogą sobie z tym poradzić. Prawdę powiedziawszy, najcięższa dla nich robota to wciągnąć pusty wóz na górę do glinianek. Potem uwiązałem żrebaka i zacząłem liczyć...

Japoński profesor powiedział mi, że dyrektor i inni tacy ważni z zarządu przyjeżdżają porannym pociągiem. Nikomu pary z ust nie puściłem, ale zorganizowałem jednoosobowy komitet powitalny ze sobą samym w charakterze członka. A jak pociąg zajechał na stację, stałem na peronie i wyciągałem uprzejmie rękę w imieniu miasta - a także w imieniu faceta, którego znałaś kiedyś w Oakland, trzeciorzędnego boksera zawodowego, który się nazywał... zaraz, zaraz... Aha, już sobie przypomniałem! Wielki Bill Roberts, tak się wtedy nazywał. Ale teraz ludzie znają go jako pana Williama Roberts'a.

Więc, jak ci mówiłem, przywitałem ich uprzejmie i powlokłem się za nimi do cegielni, a z ich rozmów widziałem, że sprawa nieźle się przedstawia. Potem przy pierwszej okazji wyskoczyłem z moją propozycją. Bałem się cały czas piekielnie, że może mają już przewóz zorganizowany. Ale kiedy się pytali o moją kalkulację, zrozumiałem, że nic podobnego. Znałem ją już na pamięć, więc wyterkotałem wszystko jak maszynka i ten ich taki najważniejszy ważny zapisał to do notesu.

„Przystępujemy do produkcji zaraz i na wielką skalę - powiedział przyglądając mi się bystro. - Jakim transportem pan rozporządza?”

Transportem! Ha! Z naszą Hazel i Hattie, które i tak byłyby za małe do takich ciężkich przewozów!

„Mogę z miejsca wystawić do pracy siedem wozów i czternaście koni - powiadam. - A jak będziecie panowie chcieli więcej, dostaniecie więcej”.

„Proszę nam dać piętnaście minut czasu do namysłu, panie Roberts” - powiada ten ich ważny.

„Doskonale - powiadam, ważny jak wszyscy diabli. - Ale najpierw musimy ustalić dwie rzeczy. Umowę chcę podpisać na dwa lata, a moje ceny zależą od jednego warunku. Jak go nie dopełnicie, cofam wszystko”.

„Jakiż to warunek?” - pytają.

„Sprawa załadunku - powiadam. - Jesteśmy akurat na miejscu to mogę panom pokazać”.

No i pokazałem im. Wy tłumaczyłem, gdzie bym nie dał rady, gdyby się upierali przy swoim planie, a to z tego powodu, że był ostry zjazd w dół i potem stromo pod górę do miejsca załadunku. „Wystarczy, żebyście panowie kazali to przenieść z jakie pięćdziesiąt stóp wyżej, poprowadzić drogę dokoła podstawy pagórka i wybudować podnoszony mostek długości siedemdziesięciu albo osiemdziesięciu stóp”.

Czy ty wiesz, Saxon, że takie gadanie ich przekonało? Było słuszne. Tylko że oni myśleli o ceglach, a ja cały czas myślałem o przewozie.

Naradzali się chyba z pół godziny, a ja czekałem z takim ciężkim sercem, jak kiedy ci się oświadczyłem i czekałem, żebyś mi powiedziała dobre słowo. Jeszcze raz wszystko obliczałem i zastanawiałem się, ile im opuszczę, jeżeli będę musiał. Bo widzisz, policzyłem im dość drogo, takie ceny jak w mieście, i byłem przygotowany, że coś niecoś obetnę. No i potem wyszli do mnie.

„Ceny powinny być na wsi niższe” - powiada ten ich ważny.

- Ani trochę - ja mu na to. - W tej dolinie hoduje się winne latorośle. Ja sam nie zbieram dość siana dla moich koni. Paszę sprowadzam z doliny San Joaquin. W samym San Francisco mógłbym taniej kupować paszę niż tutaj na miejscu”.

To ich wzięło. Bo mówiłem prawdę i oni o tym wiedzieli. Ale posłuchaj tylko. Gdyby mnie tak spytali o wynagrodzenie dla woźniców i o ceny kucia koni, musiałbym sporo opuścić. Bo rozumiesz, Saxon, na wsi nie ma związku woźniców ani związku kowali i dzierzawa jest tania, więc przez to ceny przewozu bardzo się obniżają. Ha! Dzisiaj po południu porozmawiałem z kowalem, tym naprzeciwko poczty. Będzie mi kuł wszystkie konie i opuszczał dwadzieścia pięć centów na jednym kuciu. Ale im nawet do głowy nie przyszło o to spytać, bo za bardzo ich zajmowały cegły.

Bill sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął dokument o urzędowym wyglądzie i podał go Saxon.

- Obejrzyj to sobie - powiedział. - Umowa, pełno w niej warunków, cen i rozmaitych

kar. Spotkałem pana Hale w mieście i poprosiłem, żeby ją obejrzał. Powiedział, że wszystko pierwsza klasa. No i potem jak się wziąłem do galopu! Po całym mieście, Kenwood, Lawndale, wszędzie, wszystko, wszyscy. Przewóz z kamieniołomów kończy się w piątek w tym tygodniu. Ja biorę wszystkie zaprzęgi w środę przyszłego tygodnia i zaczynam zwozić drzewo na budowę i cegły do stawiania pieców, i tak dalej. A jak będą gotowi na przyjęcie gliny, William Roberts będzie tym chłopakiem, który im ją da.

Ale nie powiedziałem ci jeszcze najlepszego. Musiałem czekać na rozmowę z Kenwood do Lawndale, no i żeby mi się nie nudziło, zacząłem jeszcze raz sprawdzać wszystkie cyfry. Ach, Saxon, nie zgadłabyś, żebyś tysiąc lat myślała. Pomyliłem się gdzieś w dodawaniu i narzuciłem im dziesięć procent więcej, niż miałem zamiar. I mówić tu o znajdowaniu pieniędzy na ulicy! Jak będziesz chciała jeszcze ze dwóch ludzi do pomocy przy warzywach, szepnij słówko. Chociaż trzeba powiedzieć, że przez najbliższe dwa miesiące będziemy musieli mocno zacisnąć pasa. Aha, pożycz te czterysta dolarów od Gau Yuma. Powiedz mu, że dostanie osiem procent i że oddamy mu wszystko za jakieś trzy albo cztery miesiące.

Gdy Bill wydostał się wreszcie z objęć Saxon, zaczął przeprowadzać tam i z powrotem żrebaka, żeby wystygł. W pewnej chwili zatrzymał się tak raptownie, że chrapy zwierzęcia zderżyły się z jego plecami; stawanie dęba i skoki trwały dobrą minutę, ale Saxon czekała, wiedząc, że Billowi przyszła nowa myśl do głowy.

- Słuchaj - powiedział. - Czy znasz się przypadkiem na rachunkach w banku i wystawianiu czeków?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Pewnego słonecznego poranka w czerwcu Bill powiedział Saxon, żeby włożyła strój do konnej jazdy, gdyż ma wypróbować konia pod wierzch.

- Ale dopiero po dziesiątej - odparła - Do tego czasu wyślę wóz na drugą turę.

Mimo rozległych interesów, jakie Saxon teraz prowadziła, dzięki dobrej organizacji i systematyczności pozostawało jej sporo wolnego czasu. Odwiedzała Hale'ów, co zawsze było ogromną przyjemnością, zwłaszcza zaś teraz, kiedy Hastingsowie wrócili i Klara często przebywała u ciotki. Saxon kwitła w tej serdecznej atmosferze. Zaczęła czytać - czytać ze zrozumieniem. Znajdowała czas na książki, na hafty, szycie pięknej bielizny i dla Billa, któremu towarzyszyła w wielu wyprawach.

Bill miał więcej jeszcze pracy niż ona, gdyż jego zajęcia różnorodne i rozproszone w różnych punktach. Ponadto doglądał stajni i zaprzęgów, których używała Saxon. Stał się naprawdę człowiekiem interesów, chociaż pani Mortimer, przeglądając i badając sokolim wzrokiem kolumnę wydatków, odkryła kilka drobnych omyłek; w końcu wraz z Saxon potrafiły go zmusić do prowadzenia ksiąg rachunkowych. Co wieczór po kolacji zapisywali oboje swoje pozycje w księgach. Potem on siadał w wielkim fotelu, który kupił jeszcze w początkowym okresie umowy z cegielnią, a ona wsuwała mu się w objęcia i brzdąkała na strunach *ukulele* albo też prowadzili długie rozmowy o tym, co robią i co zamierzają jeszcze zrobić. Czasem mówił Bill:

- Zaczynam się brać do polityki, Saxon. To się opłaca. Wierz mi, że się opłaca. Jeżeli na przyszłą wiosnę nie puszcę sześciu zaprzęgów do robót drogowych i nie zacznę zarabiać pieniędzy od gminy - wracam do Oakland i poproszę pryncypała o pracę.

- Wiesz, Bill - mówiła kiedy indziej Saxon - oni naprawdę budują ten hotel między Caliente i Eldridge. I ludzie przebąkują coś o wielkim sanatorium w górach.

- Słuchaj, Bill - zaczynała innym razem. - Skoro nawodniłeś ten akr, musisz mi go oddać pod warzywa. Wydzierzawię go od ciebie. Obliczysz sobie, ile byś mógł wyhodować na nim lucerny, i zapłacę ci pełne ceny rynkowe, naturalnie po odliczeniu kosztu uprawy.

- Zgoda, weź go sobie. - Bill stłumił westchnienie. - Zresztą za bardzo jestem zajęty, żeby się bawić w lucernę.

Było to kłamstwo wręcz bezwstydną, gdyż dopiero co założył pompę i nawodnił teren.

- To będzie naprawdę rozsądniej, Bill - usiłowała go pocieszyć, wiedziała bowiem, że jego tęsknota za wielkimi przestrzeniami przybrała jeszcze na sile. - Nie ma sensu, żebyś

sobie zawracał głowę jednym akrem. Jest przecież ten stuczterdziestoakrowy szmat ziemi. Zobacysz, że kupimy go, jak stary Chavon umrze. Ta ziemia naprawdę należała kiedyś do rancza Madrono. Razem stanowiły stusześódziesięcioakrową działkę.

- Nie życzę nikomu śmierci - mruknął Bill. - Ale przecież on nie traktuje tej ziemi przyzwoicie, wypasa na niej Bóg wie ile cherlawych zwierzaków. Obejrzałem ją sobie dokładnie, każdy cal, i obliczyłem. Te trzy wykarczowane pola mają razem najmniej czterdzieści akrów, a na dodatek wodę trochę wyżej na pagórkach. Dalej jest z pięćdziesiąt akrów, na których mógłbym wypasać zarodowe klacze, łąki na przemian z kępami drzew, różnymi stromiznami i tak dalej. Na pozostałych pięćdziesięciu są gęste lasy, malownicze miejsca i zwierzyna. Ta stara stodoła z niewypalanej cegły jest w zupełnie możliwym stanie. Gdyby jej dać nowy dach, można by znaleźć w niej schronienie podczas złej pogody Bóg wie dla ilu sztuk. No i pomyśl, muszę teraz wynajmować to nędzne pastwisko za Pingem, żeby moje konie miały gdzie odpocząć. Biegałyby sobie po tych stu czterdziestu akrach... gdybym je tylko miał. Ciekaw jestem, czy stary Chavon by je wydzierżawił.

Albo, realizując mniej ambitne zamierzenia, Bill mówił:

- Muszę skoczyć jutro do Petaluma, Saxon. Na ranczu Atkinsona jest licytacja, więc może trafi mi się jakaś okazja.

- Znowu konie!

- A czy nie zwożę drzewa na budowę nowej cieplarni winnych latorośli? Na dodatek Barney nadwreżył sobie łopatkę. Jeżeli ma w ogóle wrócić do formy, będzie, musiał długo odpoczywać. A Bridget skończyła już z pracą. Wyraźnie się na to zanosi. Leczę ją i leczę, i nic z tego. Weterynarz też się na niej nie poznał. Kilku innym koniom muszę dać trochę wytchnienia. Para siwków wyraźnie zmordowała się ciężką pracą. Ten wielki deresz chyba się wścieka. Wszyscy myśleli, że to zęby, a tymczasem to zwyczajny obłęd. Dbałość o zwierzęta to czysty zysk, a konie są najdelikatniejszymi z czworonogów. Kiedyś, jeżeli mi się to uda, sprowadzę ładunek mułów z okręgu Colusa - wiesz, takich dużych, ciężkich. Ludzie w tej dolinie wyrywaliby je sobie... te sztuki, których bym nie zatrzymał dla siebie.

Albo wreszcie, bardziej żartobliwie, Bill mawiał: - Aha, Saxon... Jak już jesteśmy przy rachunkach, może mi powiesz, ile twoim zdaniem warte są Hazel i Hattie? Według uczciwych cen rynkowych?

- Dlaczego pytasz?

- Chcę wiedzieć:

- Powiedzmy tyle, ileś za nie zapłacił. Trzysta dolarów.

- Hm... - Bill zastanowił się chwilę. - Warte są dużo więcej, ale niech będzie.

Wracając teraz do rachunków, może byś mi wypisała czek na trzysta dolarów.

- Och! Bandyta!

- Wydać mnie nie możesz. A zresztą, Saxon, jak ci dawałem siano i ziarno z moich ładunków, wypisałaś mi przecież czek? Wiesz sama, jak zawsze pilnujesz, żeby ci się rachunki zgadzały co do centa - przekomarzał się z nią Bill. - Jeżeli uważasz się za prawdziwą kobietę interesu, musisz obciążyć swoje warzywa tą parą koni. Ja tam nie używałem ich od nie wiem jak dawna.

- Za to żrebaki będą twoje - dowodziła Saxon. - Zresztą ja i tak nie mogę trzymać klaczy hodowlanych. Lada dzień trzeba będzie odstawić Hazel i Hattie od wozu... są za dobre do takiej pracy. Poszukaj mi pary koni na ich miejsce. Zapłacę ci za nie, ale o prowizji nie masz co marzyć.

- Zgoda - ustąpił Bill. - Hazel i Hattie wrócą do mnie, ale ty swoją drogą możesz mi zapłacić za czas, kiedy je ode mnie wypożyczałaś.

- Jak będziesz tego żądał, policzę ci za wyżywienie.

- A jak ty mi policzysz za wyżywienie, ja ci policzę procent od sumy, którą włożyłem w ten interes.

- Nie możesz - roześmiała się Saxon. - To jest własność wspólna. Jęknął, jakby mu nagle zabrakło tchu.

- Cios prosto w splot słoneczny - powiedział. - Rymnąłem na deski i sędzia mnie wyliczył. Ale to przyjemne słowa, co? Własność wspólna... - Powtarzał je, jakby smakując na języku. - A kiedy się pobierali, szczytem naszej ambicji była stała praca, trochę łachów na grzbiecie i spłacone raty za kilka sztuk mebli. Gdyby nie ty, nie mielibyśmy żadnej wspólnej własności.

- Co za głupstwa, Bill! Czy ja bym sama zrobiła cokolwiek? Wiesz doskonale, że sam zarobiłeś wszystkie pieniądze, dzięki którym mogliśmy się tu urządzić. To przecież ty płaciłeś pensje Gau Yumowi i Czan Czi, i staremu Hughie, i pani Paul i...och, Bill! Przecież to wszystko jest twoja zasługa.

Przeciągnęła pieszczotliwie rękami po jego ramionach i w dół ogromnych bicepsów.

- One to zrobiły, Bill.

- Diabli tam! Twoja głowa to zrobiła. Co za pożytek byłby z moich mięśni, gdyby nie miały głowy; która by nimi kierowała? Na to by się zdały, żeby rozbijać łby łamistrajkom, grzmocić lokatorów i opierać łokcie na ladzie w szynku. Jedyna mądra rzecz, jaką moja głowa w życiu zrobiła, to że mnie z tobą spiknęła. Bóg mi świadkiem, Saxon, że wszystko tobie zawdzięczam.

- Diabli tam, Bill! - powiedziała przedrzeźniając go i wzbudzając tym zachwyty Billa. - Co by ze mną było, gdybyś mnie nie zabrał z pralni? Sama bym się stamtąd nie zabrała. Byłam niezaradna dziewczyną. Gdyby nie ty, ciągle bym tam jeszcze tkwiła. Pani Mortimer miała pięć tysięcy dolarów. Ja miałam ciebie.

- Kobieta nie ma tylu okazji do poprawienia swojej doli, co mężczyzna - uogólnił Bill.
- Wiesz, co ci powiem? Zrobiliśmy to wspólnie. W jednym zaprzęgu. Ciągnęliśmy dyszel w parze. Gdybyśmy szli oddzielnie, ty byłabyś może jeszcze w pralni. A ja w najlepszym wypadku w dzień pracowałam jako woźnica, a wieczorami biegałam na tańce.

Saxon stała w cieniu olbrzymiego madrono i odprowadzała wzrokiem Hazel i Hattie ciągnące wóz naładowany warzywami, gdy wtem zobaczyła Billa zbliżającego się na koniu i prowadzącego gniadą klaczkę, której jedwabista sierść rzucała złote błyski.

- Czterolatka, żywa, z fantazją, ale żadnych złośliwych narowów! - wołał Bill zatrzymując się przy Saxon. - Skóra jak z bibułki, pysk jak z jedwabiu, ale da radę najmocniejszemu dzikiemu koniowi, jaki się kiedykolwiek wyzrebił - spójrz na tę pierś i chrapy. Nazywają ją Ramona... takie hiszpańskie imię. Po Morellicie z prawdziwych Morganów...

- I ktoś chce ją sprzedać? - wyszeptała Saxon zacisnąwszy ręce w niewypowiedzianym zachwycie.

- Dlatego ci ją przyprowadziłem. Żebyś ją sobie obejrzała.

- Wyobrażam sobie, ile oni za nią żądają - brzmiały następne słowa Saxon wydawało jej się to wprost niemożliwe, żeby ten cud w końskiej skórze mógł do niej kiedykolwiek należeć.

- To nie twoja sprawa - odpowiedział szorstko Bill. - Płaci za nią cegielnia, nie ogród warzywny. Będzie twoja, jeżeli tylko powiesz słowo. No i jak?

- Powiem ci za chwilę.

Saxon usiłowała dosiąść klaczy, ale ta odskoczyła nerwowo.

- Poczekaj, przytrzymam ci ją - rzekł Bill. - Cały kłopot, że ona nie jest przyzwyczajona do tych amazońskich spódnic.

Saxon chwyciła pewną ręką za uzdę i grzywę, postawiła stopę obutą w trzewik z ostrogami na ręce Billa i została lekko podsadzona na siodło.

- Przywykła do ostróg! - wołał za nią Bill. - Ujeżdżona hiszpańskim sposobem, więc nie ściągaj jej za gwałtownie. Zwalniaj ostrożnie. I mów do niej. Jest, rozumiesz, wrażliwa.

Saxon skinęła głową, poprowadziła konia klusem za bramę i na drogę, mijając bramę

Trillium Covert pomachała ręką Klarze Hastings i skierowała się do kanionu Dzikiej Wody.

Wróciwszy Saxon poprowadziła Ramonę - z sierścią w miarę spienioną - na tył domu minęła kurniki, rzędy kwitnących krzewów owocowych i podjechała do Billa który zatrzymał konia na brzegu tarasu, w cieniu, i siedząc w siodle, palił papierosa. Spoglądali razem przez lukę w drzewach na łąkę, która nie była już łąką. Z matematyczną dokładnością została podzielona na kwadraty, prostokąty i paski ukazujące wyraźnie setki odcieni zielonej barwy, jakie widuje się w ogrodach warzywnych. Gau Yum i Czan Czi, w ogromnych chińskich kapeluszach ze słomy, sadzili młode cebule. Stary Hughie z gracją w ręku szedł wzdłuż głównego kanału bieżącej wody i otwierał niektóre odgałęzienia, zamykał inne. Z szopy za stodołą dobiegały ostre uderzenia młotka. Saxon wiedziała, że Carlsen umacnia drutem skrzynki z warzywami. Wesoły sopran pani Paul wyśpiewującej hymn płynął poprzez drzewa, akompaniował mu zaś furkot trzepaczki do jajek. Gniewne szczekanie wskazywało miejsce, gdzie Possum wciąż prowadził historyczne i daremne działania wojenne przeciw wiewiórkom. Bill zaciągnął się głęboko papierosem, wypuścił ustami dym i dalej spoglądał na łąkę. Saxon wyczuła, że jest zatroskany. Opierał rękę trzymającą uzdę na łuku siodła; wyciągnęła wolną dłoń i położyła na jego dłoni. Bill musnął wzrokiem pianę pokrywającą jej klacz, ale zdawał się jej nie widzieć i przeniósł spojrzenie na twarz Saxon.

- Ha! - zawołał, jak gdyby zbudzony ze snu. - Ci Portugalczycy z San Leandro nic nie są od nas lepsi, jeżeli idzie o intensywną uprawę. Spójrz na tę wodę w rowach. Wiesz, nie mogę się na tę wodę napatrzeć i czasem aż mam ochotę położyć się na ziemi i całą ją wychłęptać.

- Pomyśl! Mieć tyle wody, ile potrzeba... w takim klimacie! - wykrzyknęła Saxon.

- I możesz się nie bać, że ona zrobi nam kiedy kawał. Jakby deszcze zawiodły, mamy strumień Sonoma pod bokiem. Wystarczy założyć gazolinową pompę.

- Ale to nie będzie potrzebne, Bill. Rozmawiałam ze starym Thompsonem. On mieszka w dolinie od pięćdziesiątego trzeciego roku. Powiedział mi, że nigdy nie było nieurodzaju z powodu suszy. Zawsze będziemy mieli deszczu pod dostatkiem.

- Chodź, przejedziemy się teraz - powiedział szorstko. - Masz przecież czas.

- Chętnie, ale najpierw mi powiedz, co cię gnębi.

- Nic - mruknął. - Zresztą... zgoda. Co za różnica? Prędzej czy później i tak się dowiesz. Trzeba ci było widzieć starego Chavona. Twarz tak mu się wydłużyła że jak chodzi, brodę objija sobie o kolana. Koniec z jego kopalnią złota.

- Kopalnią złota?

- Z jego pokładem gliny. Na to samo wychodzi. Cegielnia płaci mu dwadzieścia

centów za jard.

- To znaczy, że kończy się tak samo twoja umowa na przewóz. - Saxon natychmiast dostrzegła rozmiary klęski. - A co na to zarząd cegielni?

- Zamartwiają się na śmierć, ale wszystko trzymali dotąd w sekrecie. Od tygodnia robotnicy wiercą dziury w rozmaitych miejscach na pagórkach, a japoński chemik dzień i noc robi analizy śmieci, które mu znoszą. Gлина, którą muszą mieć na swój użytek, jest specjalnego gatunku i nie wszędzie się ją znajduje. Specjaliści, co badali pokłady Chavona, zrobili diabelską pomyłkę. Może z lenistwa nie chcieli im się wiercić dość głęboko. W każdym razie strzelili byka co do ilości gliny w tym pokładzie. A teraz przestań się martwić. Jakoś z tego wyjdziemy. I tak nic nie poradzisz.

- Ale w żadnym wypadku nie kupimy Ramony - powiedziała stanowczo Saxon.

- To nie jest twoja sprawa - odpowiedział Bill. - Ja ją kupię, a jej cena w ogóle nic nie znaczy w porównaniu ze stawką, o którą gram. Naturalnie zawsze będę mógł sprzedać konie, ale to by znaczyło, że przestaną zarabiać, a ta umowa z cegielnią dawała naprawdę pierwszorzędne zyski.

- Może uda ci się przerzucić niektóre zaprzęgi na roboty drogowe? - spytała Saxon.

- Pewnie mam to na uwadze. I oczy trzymam otwarte. Są widoki, że kamieniołomy rozpoczną znów pracę, a facet, który zajmował się przewozem, wywędrował do Puget Sound. A zresztą co wielkiego, nawet gdybym musiał sprzedać część koni? Jesteś przecież ty ze swoimi warzywami. To pewny interes. W najgorszym wypadku przez jakiś czas nie będziemy robili takich prędkich postępów. Nie boję się już teraz wsi. Nauczyłem się przez te lata niejednego. No, więc dokąd chcesz pojechać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Wyjechali kłusa za bramę, pogalopowali przez most i minawszy Trillium Covert zwolnili na wznoszącym się w górę stoku kanionu Dzikiej Wody. Za cel wycieczki Saxon wybrała swoją łąkę na stoku u podnóża góry Sonoma.

- Ach, powiadam ci, Saxon, dowiedziałem się czegoś ciekawego, kiedy rano jechałem po Ramonę - rzekł Bill zapominając chwilowo o kłopotach z cegielnią. - W związku z tymi stu czterdziestoma akrami. Spotkałem na drodze młodego Chavona i... słowo daję; że nie wiem dlaczego, ale chyba dla kawału... podjechałem do niego i pytam, czy ojciec nie wydzierżawiłby mi tych akrów. I co ty na to? Młody Chavon powiada mi, że ta ziemia wcale do jego ojca nie należy. Po prostu ma ją w dzierżawie. Dlatego wypasał tam tyle swojego bydła. Wchodzi to klinem w posiadłość, bo wszystko z trzech stron jest jego własnością.

Potem spotkałem Pinga. Powiedział, że właścicielem jest Hilyard, który by te grunty sprzedał, tylko stary Chavon nie ma pieniędzy na kupno. A w drodze powrotnej wpadłem do Payne'a. Rzuca kowalstwo, bo kiedyś koń go kopnął i ma chore plecy. Bierze się za handel nieruchomościami. No więc powiedział mi, że Hilyard, owszem, chce sprzedać i nawet zgłosił tę ziemię u niego. Chavon wyjąłowił pastwiska i Hilyard nie chce mu przedłużyć dzierżawy.

Gdy wyjechali z kanionu Dzikiej Wody; obrócili konie i zatrzymali się na górze stoku, skąd widzieli trzy gęsto zalesione pagórki pośrodku upragnionych stu czterdziestu akrów.

- Będą jeszcze do nas kiedyś należały - powiedziała Saxon.

- Pewnie, że będą - odparł Bill z niedbałą pewnością siebie. - Oglądałem znowu tę wielką stodołę. W sam raz się nadaje na spore stado, a położenie nowego dachu wypadnie taniej, niż myślałem. Tylko, że ani Chavon, ani ja nie będziemy jej mogli chwilowo kupić z powodu tej przeklętej gliny.

Kiedy dotarli do pola, które, jak się dowiedzieli, było własnością starego Thompsona, uwiązali konie i poszli dalej pieszo. Thompson grał właśnie świeżo skoszone siano przywitał ich z daleka okrzykiem. Dzień był bezchmurny i bezwietrzny, schronili się więc przed palącym słońcem w lesie na skraju pól. Napotkali niewyraźną ścieżkę.

- To ścieżka wydeptana przez krowy - zawyrokował Bill. - Głowę dam, że gdzieś między drzewami wciśnięte jest małe pastwisko. Chodźmy.

W piętnaście minut później wyszli z lasu na otwartą trawiastą przestrzeń na zboczu nagiego wzgórza, na wysokości kilkuset stóp w górę podstawy Sonomy. Większość stu

czterdziestu akrów, od których oddalili się o dwie mile, leżała poniżej nich, znajdowali się zaś mniej więcej na wysokości szczytów trzech pagórków. Bill zatrzymał się, żeby spojrzeć na upragnioną ziemię; Saxon stanęła obok niego.

- Co to jest? - spytała wskazując na pagórki. - W górze tego małego kanionu, po lewej stronie, przy najdalszym pagórku, dokładnie pod tą jodłą, która się przechyła nad zboczem?

Bill zobaczył białą bliznę na ścianie kanionu.

- Zachodzę w głowę - powiedział przyglądając się bliźnie. - Zdawało mi się, że znam każdy cal, ale tej rysy nigdy nie widziałem. A byłem tam na samej górze na początku zimy. Strasznie tam dziko. Ściany kanionu zupełnie jak ściany dzwonnicy i całe porośnięte gęstym lasem.

Co to może być? - spytała. - Ziemia się obsunęła?

- Chyba... wskutek ulewy. Jeżeli dobrze zgaduję... - Bill urwał i w napięciu, z jakim przyglądał się bliźnie, zapomniał dokończyć zdania.

- Hilyard sprzeda ziemię za trzydzieści dolarów akr - zaczął po chwili bez związku. - Dobra ziemia, kiepska ziemia, jak leci. Trzydzieści dolarów za akr. Razem daje to cztery tysiące dwieście. Payne dopiero co wziął się do handlu nieruchomościami, więc go przekonam, żeby obniżył swoją prowizję i wyrobił mi możliwie najdogodniejsze warunki spłaty. Możemy pożyczyć znowu te czterysta dolarów od Gau Yuma, dostanę też chyba pożyczkę pod zastaw moich koni i wozów...

- Czy masz zamiar kupić tę ziemię jeszcze dzisiaj? - spytała Saxon żartobliwie.

Pytanie zaledwie dotarło do jego świadomości. Spojrzał na nią, jak gdyby usłyszał jej słowa, ale już w następnej chwili o nich zapomniał.

- Praca głową - wymamrotał. - Praca głową. Jeżeli tym razem nie zadam im bobu...

Zaczął schodzić w dół ścieżką wydeptaną przez krowy, potem przypomniał sobie o Saxon i zawołał przez ramię:

- Chodź. Pośpieszmy się. Chciałbym tam podjechać i rzucić okiem.

Tak szybko szedł w dół ścieżki i potem przez pole, że Saxon nie miała czasu na pytania. Starła się dotrzymać mu kroku i wysiłek ten pozbawił ją niemal tchu.

- Co się stało? - spytała błagalnie, gdy podsadzał ją na konia.

- Może zwykła bzdura... powiem ci później - dał wymijającą odpowiedź.

Na prostej drodze galopowali, tam gdzie droga łagodnie schodziła w dół jechali klusem i dopiero na stromym stoku w dół kanionu Dzikiej Wody poprowadzili konie stępą. Zamyślenie Billa minęło i Saxon skorzystała z okazji, aby poruszyć temat, który już od jakiegoś czasu zaprzętał jej myśli.

- Klara Hastings mówiła mi wczoraj, że zjadą się do nich niedługo goście. Będą Hazardowie i Hallowie, i Roy Blanchard...

Spojrzała niespokojnie na Billa. Gdy wymieniała nazwisko Blancharda, odrzucił głowę, jakby na dźwięk trąbki. Powoli tęskne światło napłynęło do jego chmurnych, błękitnych oczu.

- Już strasznie dawno nie mówiłeś żadnemu mężczyźnie, że nadepnął sobie na nogę - powiedziała Saxon chytrze.

Wstydlivy uśmiech pojawił mu się na wargach.

- Och, nie mam nic przeciwko temu - powiedział udając wielkopańskie maniery. - Roy Blanchard może sobie przyjechać. Pozwalam mu. Tamto wszystko było tak dawno. Zresztą nie mam czasu zawracać sobie głowy takimi głupstwami.

Popędził konia, a jak tylko spadek stał się łagodniejszy, ruszył kłusem. Przy Triuium Coven oboje galopowali.

- Musisz wpięrw wstąpić na obiad - powiedziała Saxon, gdy zbliżali się do bramy rancza Madrono.

- Ty idź coś zjeść - powiedział. - Ja nie będę nic jadł.

- Kiedy ja chcę pojechać z tobą - prosiła. - Powiedz mi, co się stało.

- Nie mam odwagi ci powiedzieć. Idź teraz do domu i zjedz obiad.

- Po tym, co mówisz? Pojadę z tobą i żadna siła mnie od tego nie powstrzyma.

Pół mili dalej zjechał z głównej drogi, przedostali się przez bramę, którą Bill kazał tam wybudować, i ruszyli dalej na ukos przez pola drogą pokrytą grubą warstwą kredowego pyłu. Prowadził tędy dojazd do pokładów gliny Chavona. Sto czterdzieści akrów Hilyarda leżało dalej na zachód. Nagle z chmury pyłu wyłoniły się przed nimi dwa wozy.

- Twoje wozy, Bill! - zawołała Saxon. - Pomyśl tylko. Dzięki temu, że pracujesz głową, zarabiasz pieniądze podczas konnych przejażdżek ze mną.

- Trochę mi wstyd, jak pomyślę, ile żywej gotówki przynosi mi dziennie taki zaprzęg - wyznał.

Mieli już zjechać z drogi ku ogrodzeniu, gdzie znajdował się wjazd na stuczterdziestoakrową farmę, gdy woźnica pierwszego wozu zawołał coś do nich i zaczął dawać znaki ręką. Zatrzymali konie i czekali.

- Wyrwał się ten wielki deresz - powiedział woźnica ściągając konie. - Zupełnie mu się we łbie pomieszało... gryzie, rzuca się, kopie. Wyszarpał się z uprzęży, jakby była z papieru. Wygryzł Baldy'emu dziurę wielkości spodka i na koniec złamał sobie tylną nogę. W życiu chyba nie miałem takich wesołych piętnastu minut.

- Pewien jesteś, że złamał nogę? - spytał ostro Bill.

- Ma się rozumieć.

- W takim razie, jak tylko wyładujesz, podjedź do tej drugiej szopy i weź Bena. Jest w zagrodzie. Powiedz Mathewsowi, żeby się z nim obchodził łagodnie. I weź strzelbę. Jest u Sammy'ego. Będziesz musiał zrobić, co trzeba, z dereszem. Ja nie mam teraz czasu... Dlaczego Matthews nie przyjechał z tobą, żeby wziąć Berta? Oszczędziłoby to czasu.

- Ano Matthews został i czeka - odparł woźnica. - Wykalkulował sobie, że ja mogę przyprowadzić Bena.

- Tracąc niepotrzebnie czas? No, dobrze, jedź już.

- Tak jest na każdym kroku - gderał Bill. - Ani za centa rozumu. Brak pomysłu. Jeden woźnica siedzi sobie z założonymi rękami, a tymczasem drugi zaprzęg zjeżdża cały kawał z drogi, żeby zrobić to, czym tamten powinien się zająć. Na tym polegają kłopoty z ludźmi, których praca jest warta dwa dolary na dzień.

- Chyba raczej z głowami, których praca jest warta dwa dolary na dzień - poprawiła prędko Saxon. - Jakich ty się głów spodziewasz za dwa dolary na dzień?

- Masz rację - przyznał Bill. - Gdyby mieli lepsze głowy, siedzieliby w miastach, tak jak wszyscy ludzie, którzy są coś warci. A ci, co są więcej warci, też są głupcy. Nie wiedzą, jakie mają widoki na wsi. Gdyby wiedzieli, żadna siła by ich stąd nie wygasała.

Bill zsiadł z konia, zdjął trzy belki zagradzające przejście, przeprowadził zwierzęta i z powrotem założył belki.

- Jak ta ziemia będzie do mnie należała, postawię tu uczciwą bramę - oznajmił. - Wydatek zwróci się piorunem. To z tych tysięcy drobnych rzeczy wyrastają wielkie, kiedy je się zliczy do kupy. - Westchnął z zadowoleniem. - Przedtem, takie myśli nigdy mi nie przychodziły do głowy, ale kiedyśmy się wynieśli z Oakland, zaczęło mi się w głowie rozjaśniać. Ci Portugalczycy z San Leandro pierwsi mi otworzyli oczy. Dawniej byłem chyba ślepy.

Objechali skrajem najniższej położone łąki, gdzie dojrzała trawa stała jeszcze nie skoszona. Bill wskazał z wymownym niesmakiem na byle jak zatkaną dziurę w płocie i na zboże mocno zdeptane przez bydło.

- Właśnie to - ganił. - Stare metody. Spójrz, Saxon, jakie marne zboże, jaka płytka orka. Nędzny inwentarz, nędzne plony, nędzna gospodarka. Chavon od ośmiu lat sieje na tym polu i ani razu nie dał mu odpocząć, ani razu nie zwrócił ziemi części tego, co z niej wydusił, a jeszcze bydło puszcza na rżysko, jak tylko sprzątnie zboże.

Trochę dalej zobaczyli na leśnym pastwisku stadko bydła.

- Spójrz, Saxon, na tego byka. Cherlak to dla niego za dobra nazwa. Prawa stanowe powinny zabraniać trzymania takiego bydła. Co się tu dziwić, że Chavon jest w biedzie i że musiał pakować wszystkie swoje dochody z gliny w podatki i procenty od pożyczek. Nie potrafi tak gospodarować, żeby mu ziemia dawała dochód. Weź choćby te sto czterdzieści akrów. Ktoś z głową na karku zbierałby z tej ziemi srebrne dolary garściami. Pokażę mu jeszcze, jak się to robi.

Minęli z daleka dużą stodołę.

- Kilka dolarów wydanych we właściwym czasie oszczędziłoby kilkaset dolarów, które trzeba wydać na naprawę tego dachu - zauważył Bill. - Ale przynajmniej kupując nie będę musiał płacić za żadne inwestycje. I jeszcze ci coś powiem. Na tym ranczu jest bogactwo wody. Jeżeli Glen Ellen kiedyś się rozbuduje, do mnie będą się musieli zgłosić po wodę do wodociągów.

Bill doskonale znał teren, jechał więc przez las skrótami, po ścieżkach wydeptanych przez bydło. W pewnej chwili ściągnął raptownie uzdę i oboje zatrzymali się w miejscu. Naprzeciw nich stał młody rudy lisek. Przez pół minuty zwierzę przyglądało im się ślepkami jak paciorki; drgający, wrażliwy nos starał się odczytać wieść niesioną mu przez wiatr. Potem lisek uskoczył na swych aksamitnych łapkach w bok i już go nie było.

- Niech go ściśnie! - wykrzyknął Bill.

W pobliżu Dzikiej Wody wyjechali na długą, wąską łąkę. Pośrodku Saxon zobaczyła jezioro.

- Naturalny zbiornik na czas, kiedy Glen Ellen zacznie kupować wodę - powiedział Bill. - Widzisz... tam, na drugim końcu? Za pół darmo można by usypać tamę. A mógłbym pompować wodę ze wszystkich możliwych górskich spływów. Woda w tej dolinie to będą kiedyś pieniądze... i to wcale nie za tysiąc lat. A tymczasem te wszystkie durnie i matolki, ciamajdy i fajtlapy śpią i nie widzą, co się święci. Czy ty wiesz, że geometrzy robią już w dolinie pomiary pod linię elektryczną z Sausalito, z odgałęzieniem do doliny Napa?

Dotarli do krawędzi kanionu Dzikiej Wody. Przechyliwszy się w siodłach mocno do tyłu, zjeżdżali w dół stromej pochyłości, dopóki nie natrafili na ledwie widoczny ślad ścieżki.

- Ta ścieżka została wytyczona w latach pięćdziesiątych - wyjaśnił Bill. - Natknąłem się na nią przypadkiem. Akurat wczoraj pytałem o to Poppe'a. On przecież urodził się w tej dolinie. Powiedział, że szajka oszustów wywołała tu oszukańczą gorączkę złota. Kopacze ciągnęli z Petaluma. Oszuści wszystko to urządzili i nabrali tysiące głupców. Widzisz tę płaską polankę... o, tam? I te pieńki drzew? Tam rozbili obóz. Stoły rozstawiali pod drzewami. Polana była większa, ale strumień ją podmył. Poppe powiada, że skończyło się na

dwóch zabójstwach i jednym linczu.

Leżąc nisko na karkach końskich, wydostali się z kanionu stromą ścieżką wydeptaną przez bydło i jechali teraz przez nierówny teren ku trzem pagórkom.

- Słuchaj, Saxon, zawsze oczy wypatrujesz za ładnymi widokami. Jak tylko wyjedziemy z tych manzanita, pokażę ci coś takiego, że ci chyba włosy staną dęba na głowie...

Nigdy, podczas żadnej wycieczki nie napotkała Saxon tak pięknego widoku, jak ten, który się teraz przed nimi roztoczył. Niewyraźny ślad ścieżki snuł się po puszystym leśnym poszyciu jak ruchomy cień, rzucany przez ogromne sekwoje i dęby o sklepionych konarach. Zdawać się mogło, że wszystkie gatunki miejscowych drzew sprzymierzyły się, aby utkać listny dach - klony, olbrzymie madrono i wawrzyny, smukłe dęby o brązowej korze, oplecione i złączone dzikim winem i płomiennym sumakiem. Saxon wskazała Billowi błotnisty brzeg porosły pięciopalczastymi paprociami. Można by sądzić, że wszystkie pochyłości spotkały się tutaj, aby stworzyć ów basen wilgoci i kolosalną altanę drzew. Ziemia była nasiąkła wodą jak gąbka. Niewidoczny strumień szemrał pod gęstymi paprociami. W którąkolwiek stronę wędrował wzrok, ukazywały się zachwycające widoki - młode sekwoje otaczały statecznym kręgiem padle giganty, które pokryte mchem zamieniały się powoli w próchno.

W końcu, po dalszych piętnastu minutach jazdy, uwiązali konie nad brzegiem wąskiego kanionu, który wdzierał się w sam środek leśnej dziczy pagórków. Przez lukę między drzewami Bill wskazał Saxon na szczyt pochylającej się jodły.

- To jest dokładnie pod tą jodłą - powiedział. - Będziemy musieli pójść w górę łożyskiem strumienia. Nie ma tu żadnej ścieżki, chociaż zobaczysz na pewno niejeden ślad wydeptany przez jelenie. Przemoczysz nogi.

Saxon roześmiała się radośnie i idąc tuż za nim, rozpryskiwała kałuże, wspinała się na czworakach po śliskich, wygładzonych przez wodę kamieniach, przeciskała się pod zwalonymi pniami drzew.

- W tej całej górze nie ma ani kawałka prawdziwej skały - wyjaśnił Bill - tak że strumień wrzyna się w grunt coraz głębiej i głębiej, przez co boki kanionu robią się coraz bardziej strome. Jeszcze trochę, a gotowe byłyby się zawalić. Odrobinę wyżej stąd kanion jest nie szerszy od szczeliny, ale za to piekielnie głęboki, jakby cię kto o to spytał. Można plunąć z brzegu na brzeg - ale można też skrócić sobie kark.

Droga stawała się coraz trudniejsza. W końcu ugrzęźli w małej szczelinie, gdzie wyżej tarasowały im drogę naniesione przez wodę kamienie.

- Zaczekaj tu - polecił Bill i zaczął się czołgać przez trzaskające poszycie.

Saxon czekała, dopóki wszystko nie ucichło; poczekała jeszcze dziesięć minut, a potem zaczęła się posuwać drogą przetartą przez Billa. Gdzie łożysko kanionu stawało się niemożliwe do przebycia, trafiała na ścieżki jelenie, które przecinały stromiznę i szły jakby tunelem poprzez bujną roślinność. Niemal w prostej linii nad głową, po drugiej stronie kanionu, zobaczyła pochyloną jodłę i zaraz potem natrafiła na sadzawkę czystej wody w zagłębieniu z gliny. Zagłębienie to powstało najwyraźniej bardzo niedawno na skutek obsunięcia się ziemi i drzew. Po drugiej stronie sadzawki wznosiła się w górę stroma, prawie jednolicie biała ściana. Saxon poznała, czym jest ta biel, i zaczęła się rozglądać za Billem. Usłyszała jego gwizd i spojrzała w górę. Dwieście stóp ponad nią, na niebezpiecznej górnej krawędzi ściany, dojrzała Billa uczeplonego pnia. Pochylona jodła znajdowała się tuż obok.

- Widzę małe pastwisko za twoim polem! - zawołał. - Nic dziwnego, że nikt na to nie wpadł. Tylko z pastwiska widać tę ścianę. A tyś ją dojrzała pierwsza. Poczekaj, zaraz do ciebie zejść i wszystko ci opowiem. Przedtem naprawdę nie miałem odwagi.

Nie trzeba było przenikliwości, aby się domyślić prawdy. Saxon wiedziała już, że jest to bezcenna glina konieczna do produkcji cegły. Zatoczywszy duże koło, Bill obszedł urwisko i zaczął spuszczać się w dół ściany kanionu od drzewa do drzewa, jak po drabinie.

- Czy to nie cudowna historia? - zawołał radośnie, znalazłszy się przy niej. - Pomyśl tylko... glina schowana pod grubą na cztery stopy warstwą ziemi, żeby jej nikt nie mógł znaleźć... Ot, po prostu czekała, aż my trafimy do Księżycowej Doliny, Potem nagle bierze i zrzuca kawałek tej swojej ziemnej skóry, żebyśmy mogli zobaczyć, co jest pod spodem.

- Jesteś pewien, że to ta prawdziwa glina? - spytała Saxon niespokojnie.

- Możesz się założyć o własną śliczną łepetynkę. Tyle się jej nawoziłem że poznałbym ją po ciemku. Rozkrusz kawałek między palcami... o tak. Ach, poznałbym ją chyba po smaku, tyle nałykałem się kurzu z wozów. No i tu się zaczyna zabawa. Musieliśmy się nieraz mocno nakłopotać, odkąd trafiliśmy do doliny. Teraz wszystko pójdzie jak z płatka.

- Przecież ta ziemia nie należy do ciebie - zaprotestowała Saxon.

- Ale zanim skończysz sto lat, będzie należała. Prosto stąd walę do Payne'a i dobijam targu - rozumiesz, opcja, dopóki nie sporządzą aktu kupna-sprzedaży i ja nie zbiorę pieniędzy. Pożyczmy znowu te czterysta dolarów od Gau Yuma i wezmę ile się da pożyczek pod zastaw moich koni i wozów, Hazel, Hattie - wszystkiego, co jest warte choć centa. Wtedy dostanę tytuł własności, a resztę sumy należnej Hilyardowi zapiszą mi na hipotecę. Potem... potem to już prawie tak, jak odebrać dziecku cukierek. Podpiszę umowę z cegielnią na dwadzieścia centów jard... może więcej. Oszaleją z radości; jak to zobaczą. Nie potrzebują

robić żadnych wierceń. Odśloniło się prawie dwieście stóp gliny. Ten pagórek to czysta glina, obciągnięta warstwą ziemi po wierzchu.

- Ale jak zaczniesz wywozić glinę, zeszpecisz cały piękny kanion! - zawołała Saxon niespokojnie.

- Wcale nie. Tylko jeden pagórek. Drogę wytyczymy od tamtej strony. Będzie tamtędy tylko pół mili do pokładów gliny Chavona. Albo własnym kosztem wybuduję i będę liczył więcej za przewóz, albo cegielnia zrobi sama dojazd, a wtedy ja nie podniosę ceny przewozu. I pomyśl: dwadzieścia centów za jard czystego zysku - od pierwszej chwili. Będę naturalnie musiał dokupić koni.

Trzymając się za ręce usiedli nad sadzawką i omawiali szczegóły.

- Słuchaj, Saxon - odezwał się Bill po chwili milczenia. - Zaśpiewaj mi „Gdy skończą się żniwa”.

Uczyniła zadość jego prośbie, a kiedy skończyła, powiedział: - Pierwszy raz śpiewałaś to dla mnie, jak wracaliśmy pociągiem z pikniku...

- Pierwszego dnia naszej znajomości - wtrąciła. - Coś ty tego dnia o mnie pomyślał?

- To, co dalej myślę... że zostałam dla mnie stworzona. Pomyślałem to już przy pierwszym walcu. A coś ty o mnie myślała?

- Och, zastanawiałam się... nawet jeszcze przed tym pierwszym walcem, kiedyśmy się poznawali... zastanawiałam się, czy to ty jesteś tym mężczyzną. Dokładnie te słowa przeleciały mi przez głowę. Czy to jest ten mężczyzna?

- To znaczy, że... że tak jakoś ci się spodobałem?

- Tak, Bill, a wzrok miałam zawsze dobry - odparła.

- Słuchaj - ciągnął Bill. - Tej zimy wszystko powinno się już ułożyć pierwsza klasa. Co ty na to, żebyśmy pojechali na zimę do Karmel? Ty z warzywami będziesz miała martwy sezon, a ja pewnie będę sobie mógł pozwolić na pomocnika.

Zdziwił go brak entuzjazmu ze strony Saxon.

- A to co? - spytał prędko.

Saxon spuściła oczy i odpowiedziała zacinając się, z ociąganiem:

- Wczoraj zrobiłam coś, Bill, nie zasięgnąwszy twojej rady.

Czekał.

- Napisałam do Toma - dodała głosem pokornego wyznania.

Wciąż czekał - nie wiedząc na co.

- Poprosiłam go, żeby mi wysłał tę starą komodę... komodę mojej matki... którą zostawiliśmy u niego na przechowaniu. Pamiętasz?

- Ha! Nie widzę w tym nic takiego znowu nadzwyczajnego - powiedział z ulgą. - Ta komoda jest nam potrzebna, co? I stać nas na to, żebyśmy pokryli koszty transportu?

- Jesteś najukochańszym i najgłupszym człowiekiem na świecie. Tyle ci powiem. Nie wiesz, co jest w tej komodzie?

Potrząsnął głową. Wtedy ona dodała głosem tak cichym, że był to raczej szept:

- Wyprawka dla dziecka.

- Nie! - wykrzyknął.

- Naprawdę.

- Jesteś pewna?

Skinęła głową i żywy rumieniec wypłynął jej na policzki.

- Pragnąłem tego, Saxon, goręcej niż czegokolwiek innego na świecie. Ostatnio często o tym myślałem... odkąd trafiliśmy do naszej doliny - ciągnął rwącym się głosem. Po raz pierwszy Saxon zobaczyła w jego oczach łzy. - Ale po tym wszystkim, co zrobiłem... i po tym, jak się zachowywałem, nie chciałem... nie chciałem ani na ciebie nastawać, ani nawet mówić ci o tym. Ale pragnąłem tego... och, pragnąłem tego, jak... jak teraz pragnę ciebie.

Zamknął ją w ramionach i sadzawka pośrodku kanionu poznała, co to tkliwa cisza.

Saxon poczuła, że Bill ostrzegawczo kładzie palec na jej ustach. Przenosząc wzrok za gestem jego ręki odwróciła głowę i razem spoglądali wysoko na stok pagórka, gdzie przez niewielką lukę między drzewami patrzyła na nich w dół łania z małym nakrapianym jelonkiem u boku.